

Karyn Monk

Czarny Książę

Przekład

Mana Wojtowicz

Rozdział 1

Listopad 1793

Stała dumnie wyprostowana na miejscu dla oskarżonych. Jej dłonie spoczywały na wypolerowanej powierzchni bariery odgradzającej ją od oskarżycieli. Mimo zimna panującego na sali drewniana poręcz była ciepła i ogrzewała jej lodowate palce. Jacqueline zastanawiała się, czy stojący tu poprzednio więzień ścisnął tę poręcz równie mocno w przystępie wściekłości czy rozpacz? Popatrzyła na pięciu sędziów, którzy ziewali i wiercili się na swoich krzesłach znużeni i znudzeni aktem oskarżenia, doszła do wniosku, że oba te uczucia byłyby usprawiedliwione.

- Obywatelka Jacqueline Marie Louise Doucette, córka straconego na gilotynie zdrajcy Charles'a-Alexandre'a, byłego księcia de Lambert, oskarżona jest o działanie na szkodę Republiki Francuskiej i zdradę ojczyzny... - Oskarżyciel publiczny przeszedł teraz do odczytywania dalszych zarzutów.

Napaść na członka Gwardii Narodowej na służbie. Udział w działalności kontrewolucyjnej, polegającej na ukrywaniu złota, srebra, klejnotów i żywności, oraz nielegalny wywóz rzeczonych pieniędzy i kosztowności poza granice Francji. Korespondencja z emigrantami politycznymi i szerzenie kontrewolucyjnej propagandy. Lista zarzutów ciągnęła się bez końca. Jedne były prawdziwe, inne wyssane z palca. Nie miało to żadnego znaczenia. Proces był tylko formalnością, a wyrok z góry przesądzony.

Jacqueline oderwała wzrok od sędziów, którzy zamiast słuchać oskarżyciela publicznego, spierali się między sobą, w ilu jeszcze rozprawach będą musieli dziś uczestniczyć. Obiegła wzrokiem zgromadzoną w sądzie publiczność. Nieokrzesani mężczyźni i proste kobiety wypełniający salę sądową najwyraźniej bawili się znakomicie na jej procesie. Podczas odczytywania aktu oskarżenia wykrzykiwali obelgi pod jej adresem, nazywając ją zdrajczynią i dziwką, i domagali się, by zapłaciła głową za zbrodnie. Śmiali się, poszturchiwali i wrzeszczeli. Ten i ów pluł na podłogę, by okazać pogardę dla oskarżonej, inni jedli i pili. Niektóre kobiety przyniosły robótki. Wszyscy bawili się jak publiczność na dobrej farsie. Jacqueline wpatrywała się w tych ludzi w nędznej, brudnej odzieży, czerwonych

węnianych czapkach i trójkolorowych szarfach związanych na piersi lub w pasie. Nie była zaskoczona ich wrogością. Zastanawiała się tylko, jak mogli wierzyć w to, że jej śmierć, czy śmierć jej ojca lub brata, może polepszyć ich nędzne życie. Dziś w nocy, gdy ona będzie już leżeć sztywna i zimna we wspólnym grobie, ci ludzie nie znajdą przecież na stołach więcej chleba czy wina.

- Obywatelu Barbot, powiedzcie nam, czy to jest ta kobieta, która zaatakowała, gdy pełniliście służbę na rzecz Republiki Francuskiej? - spytał z naciskiem oskarżyciel publiczny, obywatel Fouquier-Tinville.

- To ona - odparł żołnierz zajmujący miejsce dla świadków.

Popatrzył na Jacqueline i uśmiechnął się szeroko. Ukazując dziurę po dwóch zębach, które mu wybiła.

-A czy przedtem, zanim was napadła, wygłaszała jakieś antyrewolucyjne hasła?

-Wygłaszała - potwierdził wojak i kiwnął głową.

-Czy możecie powtórzyć dokładnie Trybunałowi Rewolucyjnemu, co powiedziała obywatelka Doucette?

Żołnierz zawahał się i odchrząknął.

- Powiedziała, że Gwardia Narodowa to banda złodziei i świń. I że wszyscy pójdziemy prosto do piekła.

Widać było, że wymawiając te antyrewolucyjne słowa, obywatel Barbot czuł się nieswojo, choć przecież tylko je powtarzał.

- To ona wyląduje w piekle, podła suka! - wrzasnął mężczyzna z tylnego rzędu.

- I to z głową w koszyku! - dodał inny.

Stłoczona w sali ciżba ryknęła śmiechem.

Obywatel Fouquier-Tinville poczekał, aż się uciszą, po czym kontynuował przesłuchanie.

-Czy to prawda, obywatelu Barbot, że obywatelka Doucette próbowała wam przeszkodzić w wejściu do jej domu, choć okazaliście sądowy nakaz aresztowania jej brata, obywatela Antoine'a Doucette'a?

-Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem - przyznał żołnierz, nieco zirytowany tym wspomnieniem.

-Co wówczas zrobiliście, wy i wasi ludzie? - spytał Fouquier-Tinville.

-Wylamaliśmy drzwi - odparł z dumą świadek.

-Co się zdarzyło potem?

-Zaczęliśmy przetrząsać wszystkie pomieszczenia w poszukiwaniu byłego markiza de Lambert i wszelkich dowodów obciążających. Znaleźliśmy jasnie pana w jego pokoju, w łóżku. Był chory - wyjaśnił żołnierz.

-Tak się nażarł cudzego dobra, aż go kolka sparła! - zawołała kobieta siedząca w pierwszym rzędzie.

- Schował się pod pierzyną, tchórz! - zarechotała inna.

Jacqueline z trudem zwalczyła pokusę zerwania się z ławy oskarżonych i trzaśnięcia baby w gębę.

-Co wtedy zrobiliście? - dopytywał się oskarżyciel.

-Oznajmiłem byłemu markizowi, że jest aresztowany i kazałem mu wstać. Ale on odmówił wykonania rozkazu.

-Był chory, w gorączce, nie wiedział, co się dzieje! - zaprotestowała Jacqueline.

-Cisza! - zagrzmiął przewodniczący ławy sędziów. - Oskarżonej nie wolno rozmawiać ze świadkiem.

-Co zrobiliście, gdy obywatel Doucette odmówił wykonania rozkazu? - pytał dalej oskarżyciel.

Żołnierz wzruszył ramionami.

-Kazałem moim ludziom, żeby go ściągnęli z łóżka i postawili na nogi.

-Zuch chłopak! - wrzasnął jeden z widzów.

-Prawdziwy republikanin! - poparł go inny.

-I właśnie wówczas obywatelka Doucette was zaatakowała? - spytał Fouquier-Tinville.

Żołnierz kiwnął głową.

-Wpadła do pokoju ze sztyletem i powiedziała moim ludziom, że mają zostawić w spokoju jej brata, jeśli im życie miłe. Moi chłopcy tylko się roześmiali i puścili go, a on zwałił się na podłogę. No i wtedy rzuciła się na mnie.

-Czy wasi ludzie nie byli uzbrojeni? - zapytał sędzia przewodniczący.

- Byli - odparł gwardzista. - Mieliśmy muszkiety i szable.

Sędzia przez chwilę zastanawiał się nad tą dziwną sprawą.

Obywatel Fouquier-Tinville znów podjął przesłuchanie.

- Jakie obrażenia odnieśliście, zanim udało się wam obezwładnić obywatelkę Doucette?

Żołnierz miał głupią minę.

- Wpakowała mi sztylet w ramię, nim zdążyłem powalić ją na ziemię. A kiedy złapałem się za zranioną rękę, żeby zatamować krew, zerwała się i wybiła mi dwa zęby.

Spojrzał w stronę ławy przysięgłych i wysunął koniec języka przez paskudną czarną dziurę w uzębieniu. Przysięgli jęknęli ze współczuciem.

-Uderzyła was pięścią? - spytał sędzieja przewodniczący, coraz bardziej zdumiony.

-Nie - odparł gwardzista i poruszył się niespokojnie.

-Więc czym? - Nie ustępował sędzieja.

Żołnierz się nachmurzył.

- Nocnikiem jaśnie pana.

Sędziowie przysięgli i widzowie wybuchnęli śmiechem. Przewodniczący potrząsnął dzwonkiem, by przywrócić spokój na sali, ale Jacqueline widziała, że nawet on się uśmiechnął.

-Kiedy obywatelka Doucette została pojmana, przeszukaliście wraz ze swymi ludźmi zamek, nieprawdaż?

-Przeszukaliśmy wszystko - potwierdził żołnierz. -I znaleźliśmy dowody obciążające w postaci listów do sióstr obywatelki Doucette, które nielegalnie wyemigrowały z kraju albo gdzieś się ukrywają. Te listy szkalują Republikę Francuską i nawołują do przywrócenia monarchii. Odkryliśmy również, że przepadły wszystkie klejnoty byłej księżnej de Lambert oraz wiele cennych przedmiotów z Château de Lambert. Zostały bez wątpienia wywiezione z Francji, by wesprzeć spisek rojalistów.

Ostatnie słowa wypowiedział z taką pewnością siebie, jakby jego podejrzenie stanowiło niepodważalny dowód.

-Ta dziewczucha to szpieg! - zaskrzeczała jakaś kobieta.

-Trzeba wyłapać całą rodzinę! Niech zapłacą za swoje zbrodnie!

-Ale najpierw tej ściąć głowę!

Przewodniczący znów potrząsnął dzwonkiem. Obywatel Fouquier-Tinville pozwolił gwardziście opuścić miejsce dla świadków i zwrócił się do oskarżonej.

- Obywatelko Doucette, czy przyznajecie się do napaści na obywatela Barbot, kapitana Gwardii Narodowej, w trakcie pełnienia przez niego obowiązków służbowych?

Podobnie jak wielu oskarżonych Jacqueline postanowiła sama się bronić przed sądem. Jej ojciec, aresztowany kilka miesięcy temu, wynajął adwokata, by wystąpił w jego obronie. Ten zażądał zawrotnej sumy i nie zrobił nic, by ocalić życie klienta. Jacqueline przekonała się, że wielu adwokatów bogaci się kosztem nieszczęśników, którzy im

zawierzyli. Nie miała więc ochoty płacić za taką obronę, choć wiedziała, że Château de Lambert i wszystko, co w nim jest, przejdzie na własność państwa, gdy tylko zostanie skazana.

- Usiłowałam pomóc bratu - odparła.

-Wasz brat został aresztowany. Przeszkadzaliście w prawomocnym działaniu Republiki Francuskiej - oświecił ją Fouquier-Tinville.

-Czy prawomocnym działaniem jest kopanie z całej siły chorego, gdy upadł na podłogę? - odcięła się z furją.

-Wy, arystokraci, kopaliście nas przez całe lata! - wrzasnął ktoś.

- Może potrzebował kopniaka, żeby się ruszyć? - zakpił inny.

Fouquier-Tinville uśmiechnął się i odwrócił do ławy przysięgłych.

Nie zebraliśmy się tu po to, by krytykować środki, jakie musi przedsięwziąć Gwardia Narodowa, bohatercko broniąc naszej republiki! Mówimy o waszych czynach, obywatelko, które świadczą niezbicie, że zdradzacie swoją ojczyznę. - Oskarżyciel przerwał i spojrzał na Jacqueline. - Gdzie są dwie wasze młodsze siostry, Suzanne i Seraphine?

-U przyjaciół - odparła,

-Czy mieszkają we Francji? - nalegał oskarżyciel.

-Nie.

-Wiecie oczywiście, że wobec tego stały się nielegalnymi emigrantkami, a zatem dopuściły się zdrady republiki?

-Wiem, że znajdują się daleko stąd, a zatem nie grożą im już krwiożerczy mordercy jak wy, obywatelu, czy inni członkowie tego trybunału - odpowiedziała spokojnie Jacqueline.

Widownia i przysięgli wstrzymali oddech. Nawet znużeni sędziowie wyprostowali się na krzesłach. Oskarżyciel publiczny wydawał się nieco skonfundowany. Widać nie przywykł do tego, by nazywano go mordercą. Odchrząknął i znów zabrał głos.

-Przyznajecie więc, że to wy ułatwiście siostrom ucieczkę z Francji?

-Tak. I jestem z tego dumna - potwierdziła Jacqueline. - Wyrwałam je z piekła!
Fouquier-Tinville się uśmiechnął.

- Gdzie są klejnoty, które należały do waszej matki, byłej księżnej de Lambert?

- Sprzedałam je na początku roku.

-Gdzie w takim razie są pieniądze? - nalegał oskarżyciel.

-Wydalam je.

Oskarżyciel spojrział na nią z powątpiewaniem.

- Wszystko co do grosza? - spytał sceptycznie i pokręcił głową. - Klejnoty de Lambertów warte były majątek! Spodziewacie się, że w to uwierzę? Jak moglibyście roztrwonić tyle pieniędzy w tak krótkim czasie?

Jacqueline spojrzała nań z pogardą.

- W kraju, gdzie banknoty mają niższą wartość niż papier, na którym je wydrukowano? Gdzie ustalenie nierealnych, rzekomo niezmiennych cen na zboże i mąkę sprawia, że trzeba zapłacić dziesięć razy tyle paskarzom?

Wśród tłumu na sali rozległy się ponure potakiwania. Fouquier-Tinville przerwał, znowu zabierając głos.

-Nie spodziewacie się chyba, obywatelko, że członkowie tego trybunału uwierzą, iż przetraciliście tak ogromną sumę w ciągu paru miesięcy! Postaraliście się, by zostały wywiezione z Francji, nieprawdaż? - nastawał.

-W każdym razie, już ich nie mam - odparła obojętnie.

Wiedziała, że rząd rewolucyjny tonie w długach i konfiskuje majątki i włości emigrantów, skazańców oraz Kościoła, by pokryć ogromne wydatki wojenne i wesprzeć kulejącą gospodarkę. Przysięgła sobie, że nie wyciągną od niej już ani liwra.

-Czy to wy, obywatelko Doucette, jesteście autorką listów znalezionych przez obywatela Barbot w domu podczas aresztowania waszego brata? - spytał oskarżyciel publiczny, wymachując jej przed nosem kilkoma zapisanymi kartkami.

-Nie.

-Nie tak prędko, obywatelko! Jeszczeście się im nawet nie przyjrzeni! - Podsunął jej jeden z arkusików do obejrzenia. - W tym liście do siostry Suzanne oplakujecie stratę ojca i wyrażacie pragnienie, by rewolucyjny rząd upadł. A w tym, do siostry Seraphine, nazywacie Francję „wielkim szafotem, ociekającym krwią słabych i bezbronnych, i to rzekomo w imię prawa". Mówicie z utęsknieniem o dniu, gdy rodzina królewska wróci na tron. Zaprzeczacie, obywatelko, że wy to napisaliście?

Jacqueline wyciągnęła rękę i wzięła od niego listy. Nie były podpisane. Przyjrzała się uważnie charakterowi pisma. Odetchnęła z ulgą: to nie ręką Antoine'a. Oddała je z powrotem oskarżycielowi.

- Nie jestem aż tak głupia, by wyrażać podobne uczucia na piśmie, żeby je potem odkryła wielce szacowna Gwardia Narodowa - odparła. - A poza tym, któż by poruszał takie tematy w listach do małych dziewczynek, z których jedna ma sześć, a druga dziesięć lat?

Może wy, obywatelu? - spytała ironicznie.

Fouquier-Tinville nie przejął się jej zaprzeczeniem.

-Jeśli to nie wasze listy, obywatelko, w takim razie musiały zostać napisane przez waszego brata. To potwierdza nasze podejrzenia.

-Antoine nigdy by nie napisał czegoś podobnego! - wybuchnęła gniewnie. - A poza tym ostatnio był zbyt chory, by utrzymać pióro w ręku!

-Obywatelko Doucette, te listy zostały znalezione w waszym domu. Jeśli ani wy, ani wasz brat ich nie napisaliście, kto to zrobił? Może nam wyjaśnicie? - spytał szyderczo oskarżyciel.

Jacqueline posłała mu mordercze spojrzenie. Nie wiedziała, kto napisał i podrzucił te listy, by Gwardia Narodowa mogła je odnaleźć. Jako byli arystokraci i dzieci zdrajcy mieli oboje z bratem wielu wrogów. A że Château de Lambert i należące do zamku włości stanowiły dla państwa nie lada gratkę, każdy, kto chciałby się podlizać rządowi rewolucyjnemu, aż się zapewne palił do oczernienia rodzeństwa. Wystarczał jeden donos, by kogoś aresztować. Nie potrzeba było żadnych dowodów. Ale nakaz aresztowania dotyczył tylko Antoine'a... Gdyby Jacqueline nie zaatakowała kapitana, który rozbijał się w ich domu i kazał swoim ludziom rozwalić wszystko, byle znaleźć jej brata, a potem ryczał ze śmiechu, gdy żołnierze kopali powalonego nieszczęśnika, nie zostałaby aresztowana. Te listy miały więc stanowić dowód przeciwko Antoine'owi, a ten, kto je napisał, zadał sobie aż tyle trudu, by mieć pewność, że jej brat nigdy nie wróci.

- Nie domyślacie się, obywatelko? -judził Fouquier-Tinville. Jacqueline się zawahała. Było kilka możliwości... ale bez dowodów nie mogła oskarżyć nikogo! To i tak by jej nie ocaliło, a zniszczyłoby kolejnego człowieka. Pokręciła głową.

- Na gilotynę z nią! - wrzasnęła jakaś kobieta z robótką. – Ta dziewczucha to wróg republiki!

Oskarżyciel publiczny pokiwał głową z satysfakcją.

-Może ława przysięgłych usłyszała już dość, by wydać wyrok? Mógłbym kontynuować przesłuchanie, ale w świetle przedstawionych tu dowodów...

-Czy przysięgłym wystarczy to, co usłyszeli? - spytał sędzia przewodniczący.

Zmęczeni członkowie ławy przysięgłych zaczęli kiwać głowami na znak, że usłyszeli już dosyć, i zostali spieszenie zaprowadzeni do przyległego pokoju, by ustalić werdykt. Zwykle oskarżonego również wyprowadzano z sali, by trybunał mógł kontynuować posiedzenie. Jacqueline sądzono jednak tego dnia jako ostatnią, toteż pozwolono jej pozostać

na ławie oskarżonych.

Czekając na powrót przysięgłych, wodziła wzrokiem po sali. Robiło się już późno. Mężczyźni i kobiety, których tak radował widok więźniów postawionych przed straszliwym Trybunałem Rewolucyjnym, zbierali manatki, by wracać do domu. Jacqueline przeczesywała cizbę wzrokiem w nadziei, że ujrzy znajomą twarz. Przypuszczała, że gdzieś tu jest Henriette, jej wierna pokojówka, choć wyraźnie zabroniła jej przychodzić na rozprawę. Nie dostrzegła nigdzie François-Louisa, a z pewnością rzuciłby się w oczy w tłumie prostaków i nędzarzy. Nieobecność narzeczonego nie zdziwiła Jacqueline: wiedziała, że nie lubi ryzyka, a łączące ich więzi mogłyby zwrócić na niego uwagę. Mimo rozczarowania nie miała mu za złe, że jest tak ostrożny.

Większość zgromadzonej na sali publiczności nie patrzyła już na oskarżoną. Pakowali resztki jedzenia i picia i rozmawiali o wyroku. Oczy Jacqueline zatrzymały się na starcu siedzącym z tyłu. Nie rozmawiał z sąsiadami i nie podzielał ich okrutnej radości z powodu niechybnej śmierci oskarżonej. Był ubrany na czarno, na głowie miał podniszczony płaski kapelusz z rewolucyjną kokardą. Wymykające się spod kapelusza kosmyki włosów były śnieżnobiałe, skóra ziemista i obwisła, twarz usiana plamami i poorana zmarszczkami. Siedział na ławie pochylony do przodu, zaciskając blade ręce na gałce laski, niezbędnej widać podpory dla starego, kruchej ciała. Wpatrywał się w przestrzeń, nie słuchając prostackich uwag o tym, jak arystokratyczna dziwka położy się niebawem dla Sansona, paryskiego kata. Nagle ktoś trącił starego i ze śmiechem zadał mu jakieś pytanie, wskazując palcem Jacqueline. Starzec uśmiechnął się i kiwnął głową. Zwrócił wzrok na dziewczynę i zdawał się zaskoczony tym, że ona też patrzy na niego. Ich spojrzenia zwały się na ułamek sekundy i Jacqueline poraziła intensywność jego wzroku. Potem starzec odwrócił się i coś zagadał do siedzącego obok osiłka, Jacqueline popatrzyła w inną stronę.

Po kilku minutach wróciła ława przysięgłych z werdyktem: winna. Publiczność zaczęła wiwatować.

- Obywatelko Doucette, przysięgli uznali was za winną zbrodni przeciw Republice Francuskiej. Czy macie coś do powiedzenia w swojej obronie, zanim sąd wyda wyrok? - spytał przewodniczący.

Jacqueline zacisnęła palce na poręczu, oddzielającej ją od sędziów i przysięgłych, i popatrzyła na nich z pogardą.

- Uznaliście mnie za winną, gdyż usiłowałam bronić rodziny przed okrucieństwem i zepsuciem, które dławią w swych szponach Francję — zaczęła pełnym napięciem, lodowatym

głosem. – Zamordowaliście mego ojca i bez wątpienia zabijecie mi także brata. Myślicie, że ludzie łam się, iż ujdę cało? Rzucając się na szumowiny, które wdarły się do mego domu, oszczędziłam wam kłopotu: nie musicie wysyłać następnego oddziału gwardii po mnie! - Zamilkła i zmierzyła ich twardym wzrokiem. - Radzę wam, obywatele, cieszcie się dniem dzisiejszym i jutrzejszym, i jeszcze następnym, ponieważ dni wasze są policzone! - Wskazała ludzi, którzy zajęli znów miejsca i słuchali jej słów. – To tylko kwestia czasu. Motłochowi, któremu tak wiele obiecywaliście, sprzykrzą się wasze puste słowa. A ubóstwienia wolności i rozumu i nieustanny stukot spadających pod gilotyną głów nie nasycą ich ani nie odzieją. - Spojrzała na Fouquier-Tinville'a i się uśmiechnęła. - Nawet wy się nie uchowacie, obywatelu - powiedziała z przekonaniem.

- Za to moje siostry są bezpieczne. A gdy rozsądek i sprawiedliwość znów zapanują we Francji, wtedy wrócą do ojczyzny.

- Obywatelko Doucette, robi się późno, a wasze zdanie nie interesuje już nikogo na tej sali - przerwał niecierpliwie sędzia przewodniczący. - Ponieważ nie macie do powiedzenia nic, co mogłoby podważyć werdykt ławy przysięgłych, uznaję was za winną zarzucanych wam zbrodni i niniejszym skazuję na śmierć na gilotynie. Wyrok zostanie wykonany natychmiast - dodał i zaczął zbierać papiery.

Publiczność, która zachowywała się spokojnie w czasie przemówienia Jacqueline, znów zaczęła wiwatować i wyrażała głośno aprobatę dla wyroku. Jeden z pisarzy sądowych odłożył pióro i wyciągnął zegarek, by sprawdzić godzinę. Potem dał znak Fouquier-Tinville'owi, że ma coś ważnego do powiedzenia. Zamieniwszy z nim kilka słów, oskarżyciel publiczny wzruszył ramionami i zwrócił się do sędziów.

-Okazuje się, że ostatni wózek ze skazańcami odjechał na plac Rewolucji pół godziny temu - poinformował przewodniczącego.

-W takim razie obywatelka Doucette może wrócić do swojej celi w Conciergerie i pozostać tam do jutra - poprawił orzeczenie sędzia.

- Ale wyrok musi być wykonany w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Czterej członkowie Gwardii Narodowej podeszli do ławy oskarżonych, by wyprowadzić Jacqueline z sali sądowej. Otaczali ją ze wszystkich stron, gdy szła przejściem między ławkami. Tłum dokoła nich zaczął falować, posypały się przekleństwa, próbowano ciągnąć skazaną za ubranie i za włosy.

- Ale cacane włoski! Jaka szkoda, że Sanson je ciachnie, żeby nasza brzytwa trafiła, jak należy, w twój piękny karczek! – zawodziła bezzębna jędza.

Wyciągnęła przy tym rękę i zdołała szarpnąć Jacqueline za włosy. Szpilki się posypały, z trudem upięta w celi koafiura opadła nieporządnymi pasmami na ramiona.

- Patrzcie, jak toto dumnie maszeruje - mruknął mężczyzna o twarzy czerwonej od nadmiaru taniego wina. Splunął w kierunku Jacqueline. - A masz, suko!

- Zobaczymy, jaka będzie dumna jutro, kiedy każą jej wytknąć głowę przez republikańskie okienko! - roześmiał się chudy młokos.

-Albo jak już bez głowy poleci do wspólnego dołu! - szydził ktoś inny.

Jacqueline starała się patrzeć prosto przed siebie, ale pod wpływem obraźliwych uwag rosła w niej nienawiść. Żołnierze otoczyli ją ciasnym kręgiem, by nikt już nie mógł jej tknąć. Była im za to wdzięczna. Nasłuchiwała się potwornych historii o aresztowanych, którzy nie dotarli do sądu czy więzienia, bo zostali rozszarpani przez rozwścieczony motłoch. Śmierć na gilotynie będzie przynajmniej szybka i - daj Boże - bezbolesna.

W nowej Republice Francuskiej, kolebce wolności, równości i braterstwa, świat stanął na głowie. Ludzie, którzy wydarli władzę królowi, utrzymując, że nawet on musi odpowiadać za swe czyny przed ludem, szybko przekonali się, że nie lepiej sobie radzą z nakarmieniem i odzianiem milionów gniewnych, głodujących chłopów niż Ludwik XVI. Zrzucano więc winę za galopującą inflację i brak żywności na spisek rojalistów i obcięto królowi głowę. Potem rozpoczęła się wojna z Anglią, Holandią i Hiszpanią. Dług narodowy rósł, wymykając się wszelkiej kontroli, zbiory znów nie spełniły oczekiwań. Biedacy, zwani teraz dumnie obywatelami, głodowali po dawnemu. Ścięto więc głowę byłej królowej Marii Antoninie, ale ludzie nadal marli z zimna i żyli w nędzy. Ktoś przecież musiał być za to odpowiedzialny!

To z pewnością dawna arystokracja, od wieków zbijająca fortuny na cudzym pocie i cierpieniu, była przyczyną klęski. To krwio pijcy, zdrajcy, wrogowie rewolucji! Odebrano im już tytuły i przywileje, ale teraz muszą zapłacić za swe zbrodnie własną krwią. Trzeba oczyścić Francję z wrogów wewnętrznych! Dzięki nowej ustawie o podejrzanych każdy lojalny obywatel mógł złożyć donos i spowodować aresztowanie kogokolwiek, choćby nie było ani cienia dowodu przeciwko niemu. Pięćdziesiąt paryskich więzień wypełniło się po brzegi wytwornymi więźniami, którzy nie wymkną się już nieubłaganej sprawiedliwości gilotyny. Egzekucje nie zaspokoily co prawda głodu obywateli, ale nigdy niewysychająca rzeka krwi przelewanej na placu Rewolucji dawała im poczucie, że coś się przecież robi, żeby było lepiej.

Więzienie zwane La Conciergerie sąsiadowało z Pałacem Sprawiedliwości, w

którym obradował Trybunał Rewolucyjny. Groźny, imponujący zamek z XIII stulecia od początku XVI wieku służył za więzienie. Mroczną, zimną, wilgotną i cuchnącą Conciergerie ogólnie uznawano za najgorsze z paryskich więzień.

Jacqueline pod strażą gwardzistów przeszła krętymi korytarzami i wspięła się po wąskich schodach niemal po ciemku, gdyż mrok rozjaśniało tylko słabe światło kaganków, zawieszonych gdzieś na grubych kamiennych murach. Słyszała wyraźnie skrobanie i piski szczurów przemykających pod ich nogami. Przywykła do tych odgłosów i już jej nie trwożyły. Tylko raz szczur odważył się wtargnąć do jej celi, a wówczas strach Jacqueline przerodził się we wściekłość i poty tłukła ohydne stworzenie po głowie pustą miską po zupie, aż padło martwe. Przysięgła sobie, że jeśli nawet umrze w Conciergerie, to nie od zarazy, którą przenosiły szczury!

Straszliwy odór, który buchnął w nos Jacqueline na piętrze, gdzie mieściła się jej cela, sprawił, że jej żołądek aż się skręcił, a gardło zacisnęło. Powietrze na korytarzu było gęste od smrodu odchodów i wymiocin, niemytych ciał i przegniłych desek podłogi. Jacqueline osłoniła nos ręką i próbowała oddychać ustami, ale fetor był tak straszliwy, że omal się nie udusiła. Zacisnęła więc wargi i starała się oddychać możliwie płytko. Od chwili kiedy zjawiała się w Conciergerie po raz pierwszy, upłynęło wiele dni, nim przywykła do tego smrodu. Krótki spacer do Pałacu Sprawiedliwości sprawił, że nos szybko przyzwyczał się do świeższego powietrza. Teraz miała tu spędzić tylko jedną noc; wątpliwe, by zdążyła ponownie oswoić się z fetorem.

-Co ona tu znowu robi? - zdumiał się obywatel Gagnon, dozorca skrzydła, do którego właśnie dotarli.

-Skazali ją na śmierć, ale było za późno na spotkanie z Sansonem - wyjaśnił obojętnie jeden z gwardzistów.

-Spóźniłaś się na ostami wózek, co? - spytał Gagnon sarkastycznym tonem.

Zdjął kaganek ze ściany i zatrzymał się tuż przed Jacqueline. Był to istny niedźwiedź o potężnych barkach i muskularnych ramionach, prężących się pod brudnym, wystrzępionym odzieniem. Skórę miał czarną od nawarstwiającego się latami brudu, a gdy się uśmiechnął, pokazał krzywe, szerniałe, zepsute zęby. W odróżnieniu od większości więźniów, którzy usiłowali domyc się i uprać ubranie w lodowatej wodzie, tryskającej ze źródła na dziedzińcu, dozorca czuli się dobrze ze swoim brudem.

- No, ślicznotko, masz szczęście, bo twój apartament nadal, jest wolny - żartował Gagnon, prowadząc ją korytarzem do celi. Dzwonił przy tym kluczami na wielkim żelaznym

kółku.

Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami z małym zakratowanym okienkiem i wetknął klucz w masywny zamek. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, ukazując malutką celkę. Całe jej umeblowanie stanowiło drewniane łóżko z szorstkim kocem, stół i krzesło. Jacqueline dumnie uniosła głowę, okryła się szczelniej szalem i spokojnie weszła do celi. Słyszała za sobą spieszne kroki oddalających się żołnierzy. Niewątpliwie jak najprędzej chcieli uciec od smrodu. Ona też! Rozejrzała się dokoła i zwróciła się do dozorca:

-Ktoś zabrał moją świeczkę. Chciałabym ją mieć z powrotem.

-Pewnie, pewnie - odparł niemal przyjaźnie Gagnon. - Pamiętasz, ile to kosztuje?

-Zapłaciłam już za tamtą - oświadczyła stanowczo Jacqueline.

-No tak... ale nie liczyłem na twój powrót i sprzedałem ją komu innemu - odparł, wzruszając ramionami. Zmierzył dziewczynę wzrokiem od stóp do głów, aż otuliła się jeszcze ciaśniej szalem. - Masz jakieś pieniądze?

- Napiszę do mojej pokojówki i każę je przynieść jutro - odparła.

Dozorca pokręcił głową.

-Jutro zetną ci śliczną główkę na gilotynie. Kto mi zaręczy, że twoja pokojówka przyjdzie i zapłaci? - spytał.

-To uczciwa kobieta i na pewno odda mój dług - odparła niecierpliwie.

Cela nie miała okna i była straszliwie mroczna. Jeśli będzie musiała spędzić ostatnią noc swego życia w kompletnych ciemnościach, nie mogąc napisać listu do Antoine'a ani nawet zobaczyć szczura, gdyby tu wtargnął, oszaleje z pewnością!

Obywatel Gagnon nie wydawał się przekonany.

- Może odda, a może nie. - W zamyśleniu drapał się w głowę, patrząc bacznie na Jacqueline. - Nie masz nic innego, co byś mi mogła dać?

Zastanowiła się przez chwilę. Nie miała biżuterii, a jej piękna suknia z błękitnego jedwabiu stała się brudnym, postrzępionym łachmanem. Czarny szal był w dobrym stanie, ale z braku płaszcza potrzebowała na dziś i jutro choćby takiego okrycia. Pokręciła głową.

-No, może jednak coś wymyślimy - rozważał Gagnon, podchodząc do niej. Wyciągnął brudną rękę i dotknął włosów opadających jej na ramiona. Okręcił sobie jeden z loków wokół potężnej pięści i przebierał w złotych pasmach brudnymi paluchami. - Bardzo ładne - mruknął z aprobatą. Spojrzał na nią, nie wypuszczając włosów z ręki. - Ubijemy interes - oświadczył. - Włosy za świeczkę!

-Nie! -Jacqueline przejęła głębokim wstrętem sama myśl, że ten człowiek mógłby

mieć coś, co stanowiło część jej samej.

Chciała się od niego odsunąć, ale poczuła piekący ból: dozorca nadal trzymał ją mocno za włosy.

- Nie spiesz się tak z odmową - szepnął, przysuwając twarz do jej twarzy. Jego oddech obrzydliwie cuchnął. -Jeśli sama ich nie obetniesz, utnie ci je Sanson. A tak przynajmniej będziesz coś z tego miała - dodał całkiem rozsądnie.

Jacqueline się wzdrygnęła. Wiedziała, że kat nalega na obcinanie włosów swoim ofiarom, by ostrze gilotyny miało łatwy dostęp do szyi. Oczekujący na egzekucję więźniowie często sami obcinali sobie włosy i pozostawiali je rodzinom na pamiątkę, gdyż te ucięte byle jak przez kata wyrzucano do śmieci. Pomyślała, że mogłaby powierzyć swe włosy pokojówce Henriette, która przesłałaby je potem Suzanne i Seraphine. Po trzech tygodniach pobytu w więzieniu loki nie były czyste, ale nawet prostak Gagnon zauważył, jak są gęste i bujne. Myśl o tym, że mógłby się przechwalać jej włosami jak trofeum albo dać je żonie na perukę, upokarzała ją i napawała obrzydzeniem.

-Zatrzymaj sobie swoją przeklętą świeczkę! - prychnęła, trzepnęła go po rękę i odsunęła się od niego jak najdalej.

-Rób, jak chcesz. — Gagnon wrzucił ramionami.

Wyszedł z kagankiem na korytarz i zamknął drzwi. Cela pograżyła się w ciemności.

Jacqueline usiadła na łóżku. Mimo grubych murów docierały do niej szlochy i jęki. Jakaś kobieta żałośnie wykrzykiwała, że jest niewinna. Ktoś wymiotował. Kilka psów więziennych zaczęło ujadać. Pewnie wytropiły szczura. Zaciśnęła usta i starała się opanować. To tylko zwykłe odgłosy Conciergerie!

Płacz sprawiłby jej ulgę, ale nie mogła płakać. Kiedy aresztowano ojca, płakała całymi dniami, tak się o niego bała. Trzymano go w więzieniu przez trzy miesiące, ale nie był to taki przybytek nędzy i śmierci jak Conciergerie. Został uwięziony w Palais de Luxembourg, stosunkowo wygodnym i przeznaczonym dla zamożniejszych więźniów. Cele były czyste i jasne, a jeśli miało się czym zapłacić, można się tam było raczyć wyśmienitą baraniną, cielęciną czy kaczką i popijać ją przednim francuskim winem. Więźniowie mieli służących, którzy przynosili im czyste ubrania, książki, przybory do pisania. Ozdabiali swoje cele własnymi dywanami, obrazami, gobelinami i meblami. Wielu zawiadywało nawet swoim majątkiem, gdyż wolno im było przyjmować notariuszy, doradców finansowych, maklerów i licytatorów.

Jacqueline i Antoine byli w Luxembourg stałymi gośćmi i mogli się przekonać, że

warunki życia są tam całkiem znośne. Były książe de Lambert uważał, że współwięźniowie to nader sympatyczni ludzie. Spędzał dni na czytaniu, pisaniu, dokonywaniu operacji finansowych i przygotowywaniu się do obrony. Wieczorem wszyscy grali w karty i żywo dyskutowali. Organizowano nawet przedstawienia amatorskie i koncerty poetyckie. Był to świat całkiem inny niż w Conciergerie.

Po przywiezieniu do więzienia Jacqueline umieszczono we wspólnej celi z dwiema innymi kobietami. Jedną z nich była żona oficera, którego skazano na śmierć, gdy jego ostatnia kampania się nie powiodła. Takie niepowodzenia uważano za rzecz bardzo podejrzaną albo wręcz za dowód zdrady. Druga więźniarka była prostytutką, która niebacznie pozaliła się komuś, iż jej rzemiosło podupadło od czasu rewolucji. Uznano to za jawny atak na rząd. Obie kobiety przebywały w więzieniu od kilku miesięcy, czekając na rozpatrzenie sprawy przed trybunałem. Spały na wiązce słomy na podłodze i były straszliwie zawżone. Po dwóch dniach Jacqueline przeniesiono do maleńkiej celi, gdzie za dwadzieścia siedem liwrów (płatnych z góry) mogła przez miesiąc korzystać z łóżka. Była wdzięczna za to przeniesienie i nie bała się samotności. Odwiedziła ją w więzieniu tylko Henriette, której zezwolono na jedno widzenie z dawną panią. Dziewczyna okazała się na tyle rozsądna, że przyniosła Jacqueline trochę pieniędzy.

Oczy przyzwyczyły się już do ciemności; na razie nie dostrzegła niczego, co by buszowało po jej celi. Zziębnięta i zmęczona z westchnieniem położyła się na łóżku. Jutro zetną jej głowę. Pewnie powinna się bać... ale w gruncie rzeczy czuła ulgę. Jej proces odbył się szybko - dzięki Bogu! Najbardziej przerażała ją myśl o gniciu w tej kloace całymi miesiącami, nim zapadnie łatwy do przewidzenia wyrok.

Teraz lękała się tylko o Antoine'a. Był chory, kaszlał i miał gorączkę, gdy pojawili się członkowie Gwardii Narodowej, by go aresztować. Nigdy zresztą nie cieszył się dobrym zdrowiem. W Conciergerie natychmiast ich rozdzielono. Choć Jacqueline nieustannie dopytywała się o brata, nikt nie mógł - albo nie chciał - udzielić jej żadnych informacji. Miała nadzieję, że cela Antoine'a jest czystsza i cieplejsza od jej klitki. Nie wątpiła, że brat też zostanie skazany na śmierć, ale pragnęła, by nie cierpiał przed egzekucją.

Klucz zazgrzytał w zamku, drzwi skrzypnęły. Dozorca odsunął się na bok i do ciemnej celi wszedł wysoki mężczyzna. Przez króciutką chwilę jego twarz oświetlał blask uniesionego przez dozorcę kaganka.

- Przynieś natychmiast świecę! - warknął, zdejmując kapelusz i rzucił go na stół.

Gagnon pospiesznie rzucił się, by spełnić jego polecenie. Nicolas Bourdon mimo

ciemności wpatrywał się w podnoszącą się z łóżka Jacqueline.

- Mademoiselle de Lambert, mam nadzieję, że dobrze się pani miewa - wycedził z ironią i złożył jej przesadnie niski ukłon. Z udanym zainteresowaniem rozejrzał się po celi. - Cóż za straszliwa odmiana losu: pani w tak żalnym otoczeniu...

Cmoknął współczująco.

- Proszę wyjść! - powiedziała cicho Jacqueline.

Spojrzał na nią z udanym zdumieniem.

-Pani mnie zdumiewa, mademoiselle! Gdzież się podziały dobre maniery, jawne świadectwo pani szlacheckiego urodzenia?

-Moje maniery ani urodzenie to nie pańska sprawa, monsieur Bourdon. Proszę wyjść!

Wrócił Gagnon z grubą świecą, którą postawił na stole.

- Może jeszcze czegoś trzeba, inspektorze? - dopytywał się.

Nie ulegało wątpliwości, że na dozorcę gość Jacqueline zrobił duże wrażenie.

- Nie - odparł Nicolas. - Zostaw nas samych.

Gagnon kiwnął głową i opuścił celę, zamykając za sobą drzwi.

- Muszę ci chyba przypomnieć, że nie jesteś już ukochaną córką możnego księcia, królującą we wspaniałych salonach Château de Lambert - wycedził Nicolas, zdejmując bez pośpiechu rękawiczki. Podniósł na nią ciemne oczy. -A ja nie jestem nędznym prostakiem, który musi płaszczyć się przed tobą, Jacqueline. Nie masz tu żadnej władzy. Radzę ci o tym pamiętać.

Uśmiechnął się. Nie ulegało wątpliwości, że cieszy go ta zamiana ról.

- Czego chcesz ode mnie, Nicolas? - spytała. - Przecież już wiesz, że jutro zginę na gilotynie. Czy ci to nie wystarczy? Przyszedłeś napawać się moim upokorzeniem? Liczyłeś, że będę płakać i błagać cię, byś użył swych wpływów w Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego, żeby mnie ocalić?

Spojrzał na nią ze szczerym -jak się zdawało - żalem.

- Wcale nie chciałem, by cię aresztowano, Jacqueline - powiedział cicho.

Jego słowa zawisły w zimnym, cuchnącym powietrzu. Jacqueline ogarnęły zdumienie i gniew.

-A więc to ty złożyłeś donos na Antoine'a? - wyszeptwała. - W takim razie musiałeś napisać też listy! - Przypominała sobie korespondencję odnalezioną przez Gwardię Narodową w ich domu.

-Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyś przyjęła moje oświadczenia - poskarżył się gorzko. - Gdybyś za mnie wyszła, ochraniałbym ciebie i twoją rodzinę!

-Ja miałabym wyjść za ciebie?! - Jacqueline się zachnęła. Nie wierzyła własnym uszom. - Śmiesz mówić to teraz, gdy ukazałeś swe prawdziwe oblicze? Gdy doprowadziłeś do aresztowania mego brata, tak chorego, że drżałam o jego życie?

-Nie wiedziałem, że był chory - zaprotestował Nicolas. - Wszystko miało się odbyć cicho i spokojnie, jak zwykle. Nawet mi do głowy nie przyszło, że rzucisz się na członka Gwardii Narodowej i też zostaniesz aresztowana!

Pokręcił głową z niedowierzaniem, jakby jej postępowanie przekraczało wszelkie wyobrażenia.

- O co ci chodzi, Nicolas? Czyżbym przez to pokrzyżowała ci jakieś plany?

-Jacqueline patrzyła wzrokiem pełnym nienawiści.

Wzruszył ramionami.

- Plany musiały ulec zmianie, ale wierzę, że dojdziemy jednak do porozumienia - odparł twardo.

Jacqueline zaczęła się śmiać. Był to przykry, gorzki śmiech, ale po raz pierwszy od wielu miesięcy coś ją rozbawiło, cieszyła się więc tym doznaniem.

-Do porozumienia? - powtórzyła drwiąco. - Oczywiście, monsieur Bourdon, porozmawiajmy o tym. Chyba powinnam czymś pana ugościć, kiedy będziemy omawiali warunki porozumienia? - spytała uprzejmie, gestem wskazując krzesło. - Nie wiem wprawdzie, co zamówić, bo Conciergerie nie słynie z dobrej kuchni, ale trudno. Proszę mi powiedzieć, na co pan ma ochotę?

-Na ciebie.

Odpowiedź była lakoniczna i konkretna. Nie mogło być wątpliwości co do jej znaczenia.

-Czyś ty oszalał?! - spytała oburzona i zdumiona Jacqueline. -Jutro zostanę ścięta. Mój ojciec nie żyje, brat jest umierający albo już umarł. A winien naszej śmierci będziesz ty i twój przeklęty rząd rewolucyjny. Naprawdę sądzisz, że oddam ci się w przeddzień swej egzekucji?!

-Kto wie? - odparł, wzruszając ramionami. - Gdyby mogło ci to ocalić życie... - Zdjął ciężki brązowy płaszcz i powiesił go na krześle. - Na pewno słyszałaś o kobietach, którym udało się uniknąć śmierci na gilotynie dzięki wyznaniu, że są w ciąży.

-Ja nie jestem! - zaprotestowała Jacqueline z oburzeniem.

-Oczywiście - przytaknął Nicolas. Zdjął brązowy żakiet i starannie złożył go na płaszczu. - Skazane kobiety, które oświadczyły, że spodziewają się dziecka, zostają przewiezione do szpitala Trybunału Rewolucyjnego w Maison de l'Evêché - kontynuował lekkim tonem. - Pozostają tam do chwili, gdy można stwierdzić niezbiecie, czy są rzeczywiście brzemiennie. Jeśli ich ciąża okaże się prawdą, mogą donosić dziecko i je urodzić.

-A co dzieje się z nimi potem? - spytała Jacqueline.

-Potem wyrok śmierci zostaje wykonany - przyznał. - Ale szpital trybunału nie jest niedostępną twierdzą jak Conciergerie, a podczas kilkumiesięcznego pobytu można dobrze zaplanować ucieczkę.

Jacqueline spojrzała na niego z niedowierzaniem.

-Chcesz powiedzieć, że dziś w nocy uczynisz mnie brzemienną, żebym mogła uniknąć śmierci i pozbawić gilotynę jednej z jutrzejszych ofiar?

-Dziś w nocy szczęście może nam aż tak nie dopisać - uściślił Nicolas. - Mogę jednak powiadomić trybunał, że dzięki znajomości z waszą rodziną wiem, iż od pewnego czasu miałaś kochanka. To doda wiarygodności twemu oświadczeniu. Nie mogę się oczywiście przyznać do tego, że sam jestem tym kochankiem, gdyż znalazłbym się w kręgu podejrzanych. Dzięki swej funkcji inspektora Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego będę mógł jednak odwiedzać cię w szpitalu pod pretekstem dokładniejszego zbadania sprawy. Podczas tych spotkań możemy zadbać o to, by ziarno padło na urodzajną glebę. Uśmiechnął się, wyraźnie uradowany tą perspektywą.

- Wynoś się! - powiedziała Jacqueline cichym, pełnym nienawiści głosem.

Nicolas westchnął.

- Rozczarowałaś mnie, Jacqueline. Jak zawsze.

Podszedł do niej, chwycił ją za włosy i brutalnie przyciągnął do siebie.

Jacqueline usiłowała mu się wyrwać, ale on objął ją drugim ramieniem i mocno przycisnął do piersi.

- Naprawdę myślałeś, że uwierzę w twoją chęć niesienia pomocy?! - syknęła przez zęby. - Chcesz tylko obedrzeć mnie z resztek godności i skłonić oszustwem do tego, żebym ci się oddała! To by ci się podobało, co? Ty podły...

Puścił jej talię i wolną ręką uderzył ją z całej siły w twarz. Zatoczyła się pod ciosem i byłaby upadła, gdyby nie trzymał jej za włosy. Twarz mu pociemniała z furii. Chwycił za

dekolt sukni i gwałtownym ruchem rozdarł cienki jedwab stanika, obnażając piersi dziewczyny.

- Wiesz, czym teraz jesteś, Jacqueline? - wycedził, obmacując ją brutalnie. - Po prostu niczym! - Przypierał ją do zimnej kamiennej ściany. - Cała wasza arystokratyczna hałastrą, odarta ze świetnych tytułów, nie ma już żadnych praw! Tylko od nas zależy, czy pozwolimy wam żyć! - Sięgnął w dół i podciągnął spódnicę Jacqueline do góry, przyciskając dziewczynę do muru całym ciężarem. - Jutro umrzesz, ale dzisiejszej nocy, ślicznotko, będziesz moja! - Pochylił głowę i przycisnął brutalnie usta do jej ust, tak że nie mogła nawet krzyknąć.

Jacqueline opierała mu się, zaciskając wargi, drapała go po twarzy, usiłowała powstrzymać rękę unoszącą jej suknię. Czuła napór jego ciała, gdy więził ją w uścisku, brutalnie ścisnął piersi i obmacywał uda. Próbowwała ugodzić go kolaniem w krocze, ale ku jej przerażeniu ręka Nicolasa szybciej dotarła do celu. Brutalnie wetknął palce w najbardziej intymne miejsce, śmiejąc się, zadawał jej ból. Zdołała na chwilę oswobodzić usta i krzyknęła rozpaczliwie, dobrze wiedząc, że w Conciergerie nikt nie pospieszy jej z pomocą.

- O przepraszam! Nie wiedziałem, że obywatelka ma gościa - odezwał się słaby, chrapliwy głos, który przeszedł w atak obrzydliwego kaszlu.

Zaskoczony Nicolas puścił Jacqueline i się odsunął. Dziewczyna spieszenie zebrała brzegi rozdartego stanika i pochwyciwszy szal, który spadł na podłogę, otuliła się nim. Intruz okazał się bardzo pożądany.

- Kim jesteście i czego tu chcecie? - spytał Nicolas ostro, wściekły, że mu przeszkadzono.

Stary człowiek, ten sam, którego Jacqueline zauważyła na sali sądowej, uczynił sękatą ręką jakiś gest w stronę Nicolasa, nie przestając kaszleć. Okropny, mokry, duszący kaszel uniemożliwił mu odpowiedź. Chudy wyrostek piętnasto- czy szesnastoletni, który krył się dotąd w cieniu, wbiegł teraz do celi i chwyciwszy krzesło, na którym leżały rzeczy Nicolasa, podsunął je staremu, żeby usiadł. Z olbrzymim wysiłkiem starzec wsparł się na lasce i powoli opadł na krzesło. Chłopak sięgnął do kieszeni obszernego czarnego płaszcza, który stary człowiek miał na sobie, i wyciągnął dość czystą chustkę do nosa. Staruszek chwycił ją i zaczął odpluwać flegmę z takim wysiłkiem, że Jacqueline obawiała się, iż lada chwila wyzionie ducha.

-To obywatel Julien, pośrednik sądowy - wyjaśnił tonem usprawiedliwienia stojący w drzwiach Gagnon. - Przyszedł tu, żeby skazana mogła uporządkować swoje sprawy osobiste.

-Długi do spłacenia, ostatnie listy do napisania - odezwał się starzec dychawicznym głosem, usiłując zapanować nad kaszlem. - Drobne pamiątki do przekazania, skrawki odzieży, pukle włosów... Ten tu chłopak, Denis, i ja zatroszczymy się o to, by dotarły bez szwanku do bliskich osób. A wszystko po bardzo umiarkowanej cenie. Mogę też spisać przedśmierne zeznanie albo oświadczenie o działalności kontrrewolucyjnej. Nazwiska, adresy... Muszę tu powiedzieć, że mam dostęp do naszego najwybitniejszego oskarżyciela publicznego, obywatela Fouquier-Tinville'a. Mógłbym nawet przedstawić mu osobiście czyjeś ostatnie wyznanie lub donos, gdyby informacja okazała się tego warta. Może masz mi coś do powiedzenia, młoda damo, coś, co mogłoby wpłynąć na zmianę wyroku? - zagadnął nieco dwuznacznym tonem, unosząc gęste siwe brwi.

Jacqueline miała ochotę roześmiać się, tak bardzo była mu wdzięczna za przerwanie koszmarnej sceny. Wiedziała, że skazańcom przysługuje prawo do uporządkowania prywatnych spraw przed egzekucją... ale czy trybunał naprawdę sądzi, że mogłaby zadenuncjować innych jako przeciwników republiki, by ocalić własną skórę?!

- Obawiam się, obywatelu, że przyszlście nie w porę – stwierdził Nicolas, z trudem panując nad głosem. - Mam z tą obywatelką prywatną sprawę do załatwienia. Możecie wrócić tu później.

Skrzyżował ramiona na piersi i czekał, by stary przeprosił i wyniósł się z celi.

Obywatel Julien zignorował jednak tę uwagę i skinął na chłopca, który podał mu grubą skórzaną tekę. Położył ją na stole, otworzył i przysunął bliżej świecę. Potem wyciągnął plik papierów i zaczął je przeglądać, mamrocząc:

- Saint-Simon... Roubourdin... de Crussol... Pontavice... Coutelet... La Voisier... Dufouleur... Mam! - zawołał triumfalnie. Wyjął arkusz papieru ze sterty i położył tak, by padało nań światło świecy. - „Jacqueline Doucette, niegdyś mademoiselle Jacqueline Marie Louise de Lambert, córka straconego na gilotynie zdrajcy Charles'a-Alexandre'a Doucette'a, byłego księcia de Lambert...” - czytał, mrużąc oczy.

Sięgnął znów do teki, tym razem po gęsie pióro i kałamarz, i umieścił je na stole.

Nicolas był wyraźnie zirytowany.

- Mówiłem, obywatelu, żebyście przyszli później! - ryknął mu do ucha, sądząc najwidoczniej, że starzec jest głuchy.

Tamten uniósł powoli do ucha wyblakłą, pokrytą plamami rękę i pokręcił głową, jakby wrzask Bourdona podrażnił mu mózg.

- Nie trzeba tak krzyczeć, chłopcze, nie trzeba krzyczeć – odparł równie głośno.

-Jestem stary, ale jeszcze nie trup - burczał, skupiając znów uwagę na papierach.

- Mam wiele spraw do omówienia z obywatelem Julienem i najchętniej zrobiłabym to od razu - wtrąciła Jacqueline.

Póki starzec będzie przebywał w jej celi, Nicolas jej nie tknie.

- Obywatelu, jeśli wrócić za godzinę, obywatelka Doucette i ja załatwimy to, co jest do załatwienia, i będziecie mogli rozmawiać z nią, jak długo zechcecie - podsunął Nicolas pozornie przyjaznym tonem.

Rzucił przy tym Jacqueline ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło wyraźnie: Jeśli odezwiesz się jeszcze raz, pożałujesz tego, gdy zostaniemy sami!

-Niestety, nie mogę - odparł starzec i zaczął coś pisać na leżącym przed nim papierze. - Obywatelka Doucette jest moją jedyną klientką w Conciergerie. Oprócz niej mam pięciu innych, z którymi muszę się spotkać tej nocy, a przebywają w trzech innych więzieniach. - Podniósł do oczu coś, co było zapewne jakąś notatką, odchrząknął i zaczął czytać na głos: -Jedna osoba w La Conciergerie. - Opuścił rękę z kartką i spojrzał na Nicolasa. - To tu - poinformował go i znów uniósł arkusz do oczu. - Dwie w La Force. - Odłożył znów notatkę i zerknął na Jacqueline. - La Force to niezbyt miłe miejsce. - Zamilkł i rozejrzał się po celi. - Tutaj też nie jest przyjemnie - dodał z roztargnieniem i wziął papier do ręki. -Jedna w L'Abbaye. - Opuścił kartkę i spojrzał na dozorcę, który nadal stał w drzwiach. - Pracowaliście kiedyś w L'Abbaye? - spytał uprzejmie.

-Dość tego! - rozsierdził się Nicolas.

Zza pleców starego wyszarpnął żakiet i płaszcz.

-Dwie w Sainte-Pelagie - kontynuował obywatel Julien ani trochę nieprzejęty wybuchem Nicolasa.

-Wrócę za godzinę dokończyć, cośmy zaczęli - syknął Nicolas do Jacqueline. - Ufam, że będziesz na mnie czekała - dodał z ironią.

Odwrócił się raptownie i opuścił celę.

- Porywczy młodzian - zauważył starzec, odrywając się od swych papierów. Utkwił wzrok w Jacqueline. -Wydaje się niezwykle do was przywiązany, obywatelko.

Spojrzał na nią znacząco.

- Zawołajcie, jak skończycie, to was wypuszczę - powiedział Gag-non i zamknął drzwi na klucz.

-No więc, obywatelko, co mogę dla was zrobić? - spytał żywo obywatel Julien,

kładąc przed sobą czysty arkusz papieru i maczając pióro w atramencie.

-Jeśli mnie oszukacie, pożałujecie tego, uprzedzam! - rzuciła Jacqueline ostrzegawczym tonem.

Słyszała o nieuczciwych pośrednikach, którzy nieźle się obłowili, przywłaszczając sobie cenne przedmioty, powierzone im przez skazańców. Już sam zawód pośrednika był zerowaniem na nieszczęściu innych, ale wyłudzenie pieniędzy od więźniów za usługi, których nie zamierza się oddać, i sprzedawanie lub wyrzucanie ostatnich cennych pamiątek przeznaczonych dla najbliższych, było po prostu niegodziwością!

-Obywatelko... - Stary człowiek zerknął na notatkę. - .. Doucette, czemu podejrzewacie mnie o nieuczciwość? Możecie iść na gilotynę z lekkim sercem, pewna, że wasze ostatnie życzenia zostaną spełnione co do joty - dodał z godnością.

-No dobrze. - Dała się przekonać Jacqueline.

Starzec siedział przy stole, czekając na jej instrukcje. Chłopiec imieniem Denis, podobnie jak Gagnon pokryty warstwą zastarzałego brudu, ulokował się na podłodze, oparty plecami o ścianę. Ubrany był w luźne i długie ciemne spodnie, krótką kurtkę z szorstkiego materiału i czerwoną czapkę - typowy strój sankiuloty - rewolucjonisty, który gardzi obcisłymi spodniami do kolan i długimi surdutami, w jakich szlachetnie urodzeni paradowali przez niemal stulecie. Młodzieniec skrzyżował ramiona na piersi i przymknął oczy. Odpoczywał, nie przejmując się wszechobecnym brudem.

- Ponieważ nasza czcigodna republika w swej niezgłębionej mądrości postanowiła skonfiskować wszelkie dobra należące do mego ojca, włącznie z moim rodzinnym domem i wszystkim, co się w nim znajdowało, pozostawione przeze mnie legaty będą skromne - zaczęła Jacqueline sarkastycznie. - Chcę wysłać list do mojej pokojówki, Henriette Mandrou, i dołączyć do tego listu moje włosy. Ona będzie wiedziała, co ma z nimi zrobić.

Henriette - powtórzył stary człowiek i zabrał się do pisania. Nieco drżącą ręką powoli stawiał litery na papierze. Po chwili uśmiechnął się i spojrzał znad swego dzieła. - Znałem kiedyś pewną Henriette - powiedział niefrasobliwie. - Dójkę. Chciała, żebym się z nią ożenił. Była podobna jak dwie krople wody do swojej krowy. Tylko krowa mniej śmierdziała. - Zachichotał i znów skupił się na liście.

-Chciałabym, żebyście wy, obywatelu, ścięli mi włosy, jeśli zdołacie to zrobić, nie podrzynając mi gardła - mówiła dalej Jacqueline, nieco poirytowana dowcipkowaniem starego.

Wyjęła szpilki i potrząsnęła włosami, przebierając palcami w jasnozłotej grzywie, by

nacieszyć się po raz ostatni ich jedwabistą gładkością.

Obywatel Julien patrzył na nią uważnie. Gęsie pióro zawisło w powietrzu, na twarzy staruszka nie było już uśmiechu. Jacqueline miała wrażenie, że zaskoczyło go piękno jej włosów i przez to nieuchronna strata wydała się jej jeszcze bardziej bolesna.

- Nie ma się czym przejmować, to tylko włosy! – powiedziała gorzko. – Jutro obetną mi głowę.

Odpowiedzią na to stwierdzenie był kolejny atak kaszlu, tak głębokiego i duszącego, że starzec upuścił pióro i nie mógł złapać tchu. Zaniepokojona Jacqueline podbiegła do niego i zaczęła lekko klepać go po plecach. Chłopak zerwał się na równe nogi, odsunął ją i grzmocił swego chlebobawcę, aż dudniło.

-Ma jeden z tych swoich napadów - wyjaśnił.

-Lekarstwo - wyrzucił starzec między jednym a drugim uderzeniem. - Muszę zażyć...

-Gdzie ono jest? - spytała niespokojnie Jacqueline.

-W jego torbie, na dole - wyjaśnił Denis. - Nosimy ze sobą masę rzeczy różnych ludzi. Dozorcy nie chcą nas wpuszczać do celi z całym tym majdanem. Boją się, że przemycimy truciznę albo i broń...

-Gagnon! - krzyknęła Jacqueline przez zakratowane okienko w drzwiach. Kaszel i rżenie starego jeszcze się nasiliły. - Obywatelu Gagnon!

-Czego? - warknął dozorca, otworzył drzwi i wszedł do celi. Spojrzał na obywatela Juliana, zgiętego w pół i z trudem chwytającego powietrze. Chłopak nie przestawał walić go po plecach. - Co się tu dzieje?

-Musi zażyć lekarstwo, które jest w torbie na dole - wyjaśniała Jacqueline z pośpiechem. - Chłopiec może je przynieść!

-No to leć! - Dozorca skinął na Denisa. - I się pospiesz!

Chłopak wypadł z celi, pozostawiając starca pod opieką Jacqueline.

-Pić... - wymamrotał słabo Julien i znów zaniósł się kaszlem.

-Może moglibyście przynieść mu wody albo wina? -Jacqueline zwróciła się do dozorczy, bezradnie patrząc, jak starzec znów odpluwa flegmę.

-Wina nie! - wykrztusił obywatel Julien.

-Więc wody! - ponagliła dozorcę Jacqueline.

- Zgodziłem się na służbę u was, czy co?! - obruszył się Gagnon.

Stary wydał straszliwy, bolesny jęk i chwycił się za pierś, z trudem chwytając powietrze.

- Proszę was, obywatelu! - zaklinała Jacqueline. - Jak by to wyglądało, gdyby urzędnik sądowy zmarł w więzieniu, i to na waszych oczach?! - dodała.

Gagnon się skrzywił.

- Wracam za chwilę. Zostawię drzwi otwarte dla chłopaka, ale tobie niech nie przyjdzie do głowy stąd uciekać, obywatelko! - ostrzegł. - Gdybym musiał cię szukać licha wie gdzie, zażądam zapłaty za moje trudy. I już mi twoje włosy nie wystarczą. Może skosztuję tego, po co przyszedł inspektor Bourdon?

Uśmiechnął się szeroko, ukazując szczerbate i zepsute zęby, a potem ruszył do swego stołu na końcu korytarza i wpadł w złość stwierdziwszy, że wiadro z wodą, które tam trzymał, jest puste. Okropne charczenie starego niosło się gromkim echem po korytarzu. Gagnon postanowił, że zrobi, co w jego mocy, żeby zdechłak nie odwalił kity. Chwyił poobijany kubek i pobiegł do wschodniego skrzydła w nadziei, że tamtejszy dozorca odda mu trochę wody. Tym, że Jacqueline mogłaby uciec, nie przejmował się ani trochę. W Conciergerie roiło się od strażników, którzy z przyjemnością zatrzymają zbłąkaną więźniarkę i ukarzą ją osobiście za wałęsanie się z dala od celi.

Wrócił po kilku minutach z kubkiem pełnym mętnej wody. Kaszel obywatela Julienu wyraźnie zelżał; dozorca przekonał się też, że chłopak wrócił z lekarstwem. Stary tylko chrypiał, pochylony nad Jacqueline, która teraz leżała skulona na łóżku.

- No, no, moja droga, nie ma się czym przejmować: niewielkie omdlenie i dreszcze w przeddzień egzekucji to normalne objawy - pocieszał ją chrapliwie.

Otulił kocem ramiona dziewczyny i westchnął.

- Co jej się stało? - spytał niespokojnie Gagnon.

Republika nie lubiła, gdy skazańcy umierali w więzieniu. To tak, jakby odbierało się gilotynie należny jej żer.

- Obywatelka Doucette musi nieco odpocząć - wyjaśnił starzec. - Gwałtowne przeżycia ostatnich dni nadszarpaneły widać jej siły.

Gagnon prychnął pogardliwie.

- Od jutra będzie sobie odpoczywać, ile dusza zapragnie! - zakpił.

- Słusznie - zgodził się obywatel Julien. - Ale na razie pozwolimy jej dojść do siebie, Denis i ja, zanim znów przystąpimy do interesu.

Wrócił do swych papierów i zaczął czytać jeden z nich przy blasku świecy. Chłopak, który stał w ciemnym kącie, gapiąc się na leżącą na łóżku kobietę, usiadł znów na podłodze, zwiesił głowę na pierś i zabierał się do drzemki.

- Zawołajcie mnie, kiedy będziecie chcieli wyjść - powiedział Gagnon, wzruszając

ramionami, i zamknął drzwi na klucz.

Po pewnym czasie usłyszał głos Jacqueline. Widać poczuła się lepiej, bo dyktowała staremu list. Potem obywatel Julien przeczytał jej, co napisał, a ona go poprawiała, gdy opuścił jakieś słowo. Głośna sprzeczka na temat zapłaty omal nie przyprawiła starego o nowy atak kaszlu. W końcu jakoś się dogadali, ale Jacqueline znów wybuchnęła płaczem. Gagnon słyszał to wyraźnie. Stary Julien miał widać miękkie serce, bo zaczął ją pocieszać i poradził, żeby się znów położyła. Kilka minut później zawołał, by Gagnon go wypuścił.

- Dziewczyna odpoczywa i nikt nie powinien jej przeszkadzać - powiedział obywatel Julien cichym, poważnym głosem. - Zwłaszcza ten porywczy młody człowiek, który tu był wcześniej. Jego obecność jest wyraźnie niepożądana - stwierdził, unosząc brwi.

Gagnon wzruszył ramionami.

- Obywatel Bourdon jest inspektorem Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i może odwiedzać kogo zechce. A co będzie robił w tej celi, to nie mój interes.

Stary człowiek spojrział na niego z niesmakiem.

-Obywatelka Doucette jutro ma zostać stracona. Do tej pory znajduje się pod waszą opieką i jeśli dowiem się o jakichś drożnościach, kiedy tu powrócę jutro rano, żeby jej obciąć włosy, możecie być pewni, że powiadomię o tym obywatela Fouquier-Tinville'a. Nasz oskarżyciel publiczny zna się na prawie i nie zezwala na znęcanie się nad więźniami, którzy znajdują się pod opieką republiki.

-To nie obcięliście jej włosów? - spytał Gagnon z zainteresowaniem.

Zerknął w stronę łóżka i mimo ciemności dojrzał, że włosy Jacqueline spływają spod czarnego szala owiniętego wokół głowy i ramion.

-Była zbyt załamana - wyjaśnił z westchnieniem obywatel Julien. - Powiedziałem, że wrócę tu jutro i wtedy je obetnę, żeby dziś nie musiała rozpaczać nad ich stratą.

-To bardzo zacnie z waszej strony - mruknął Gagnon, zatopiony w myślach.

Kto wie? Może mimo wszystko zdobędzie złotą grzywę?

-Zacne postępowanie to rzadkość w naszych ciężkich czasach - zauważył obywatel Julien, zbierając papiery i chowając je do skórzanej teki.

-Uważajcie, obywatelu - ostrzegł go Gagnon - bo jeszcze wasze słowa wrócą do was i nie wyjdzie to wam na zdrowie!

-Jeśli wrócą, będę wiedział, kto je uznał za warte powtórzenia, nieprawdaż? - odparł stary człowiek. - Idziemy, Denis! - ponaglił chłopca. - Musimy jeszcze odwiedzić pięciu klientów, nim noc dobiegnie końca.

Denis podał Julienowi laskę, odebrał od niego skórzaną tekę, a potem stanął u boku, by starzec mógł się oprzeć na jego ramieniu.

- Chyba robię się już za stary do tej roboty - mruknął z irytacją obywatel Julien, opuszczając celę powolnym, człapiącym krokiem.

Gagnon spojrzał na stojącą na stole świecę, z której już niewiele zostało. Obywatelka Doucette spała i nie widziała, jak się marnuje jej cenna świeczka. Dozorca postanowił zaczekać, aż się całkiem wypali. Dopiero wtedy obudzi dziewczynę. I może ubiję z nią interes! - pomyślał z satysfakcją.

Ale nie było mu to sądzone. Dziesięć minut później wrócił inspektor Bourdon i zażądał, by go wpuścić do celi obywatelki Doucette.

- Zrobiło się jej słabo i położyła się do łóżka - poinformował go Gagnon, otwierając drzwi.

Nicolas wyteżył wzrok i mimo ciemności ujrzał postać śpiącej Jacqueline, której cudowne włosy jak strugi miodu spływały na plecy. Nigdy jeszcze nie widział jej z rozpuszczonymi włosami i teraz na widok śpiącej spokojnie dziewczyny, niczego niepodejrzewającej i bezbronnej, poczuł nagły przypływ pożądania. Dopalający się ogarek zgasł.

-Przynieść drugą świecę? - zaoferował się Gagnon.

-Nie! - zbył go Nicolas. - Wynos się.

Cela pogryżyła się w ciemności, nie było widać nawet mdłego blasku kaganka Gagnona.

Z zapartym tchem Nicolas pozbywał się kapelusza, rękawiczek, płaszcza i zakietu. Powoli rozpiął kamizelkę i poluzował spodnie, rozkoszując się myślą, że za chwilę zdobędzie to, czego od tak dawna mu wzbraniano.

- Jacqueline! - zawołał półgłosem, podchodząc do łóżka.

Stał pochylony nad nią, zaciskając i rozwierając dłonie.

- Wróciłem dokończyć to, co zaczęliśmy - szepnął, przygotowując się na podniecający opór. Wyciągnął rękę i dotknął jedwabistych włosów spływających na cienki, szorstki koc, którym okryto Jacqueline. Nie poruszyła się. -Jestem rad, że nie obcięłaś włosów - powiedział, ściskając złote splety w rękę. - To by cię zeszpeciło, a ja chcę zapamiętać cię doskonałą jak zawsze, kiedy będziesz mnie błagała o litość.

Szarpnął mocno za włosy. Niech ten ból ją obudzi!

I nagle, niczego nie pojmując, spoglądał na złociste pasmo zwisające martwo z jego

ręki. Drugi koniec przywiązany był jakąś wstążeczką...

- Co, na litość bos...

Zerwał koc i ściągnął go z łóżka. Straszliwy ryk wściekłości przetoczył się gromkim echem przez więzienne korytarze. Nicolas uświadomił sobie, że na łóżku leży kukła z podartej jedwabnej sukni, wypchanej zgniłą słomą, która zawdzięcza swe powabne kształty lnianym halkom.

Rozdział 2

Ulice Paryża były Jacqueline zupełnie nieznane.

Przed aresztowaniem ojca odwiedziła to wielkie miasto tylko raz, gdy kilka lat temu książę de Lambert zabrał ją i Antoine'a na spektakl w Comédie-Française. Przyjechali wspaniałą karetą, całą w szkarłacie, hebanowej czerni i złocie, z dumnym herbem de Lambertów na drzwiczkach. Chociaż Jacqueline miała wtedy zaledwie czternaście lat, ojciec zezwolił jej na wyszukaną, obsypaną pudrem fryzurę. Z niesłychaną ostrożnością wsiadała i wysiadała z powozu, by nie uszkodzić sztywnych loków zebranych w fantazyjny bukiet na szczycie koafiury. Suknia była nieco kłopotliwa w noszeniu, ale jedwabna, śnieżnobiała, haftowana srebrnymi i złotymi nićmi. Głęboko wycięty, dopasowany stanik kończył się sztywnym, zachodzącym na spódnicę trójkątem, wyszywanym perłami i szafirami. W tej cudownej toalecie Jacqueline czuła się jak księżniczka z bajki i w upojeniu wyobrażała sobie spotkanie z pięknym księciem, który nieświadom jej młodego wieku (bo wyglądała z pewnością o wiele dojrzalej!), padnie przed nią na kolana i wyzna doznogoną miłość, którą poczuł od pierwszego wejrzenia. Ubioru dopełniał niewielki wachlarz z biało-złotej koronki. Od wielu dni ćwiczyła przed lustrem perfekcyjne rozwijanie go i zamykanie z leciutkim szczękiem. Zamierzała ofiarować go na pamiątkę księciu po wysłuchaniu jego namiętnych wyznań i ze łzami w oczach poinformować go, że mimo dorosłego wyglądu jest jeszcze za młoda do małżeństwa.

Ojciec tamtego wieczoru również wspaniale się prezentował we fraku ze złotego brokatu, koszuli ozdobionej koronkami, białych atlasowych spodniach do kolan i jedwabnych pończochach. Nawet Antoine, który w piętnastym roku życia był stanowczo za wysoki i za chudy, wyglądał wyjątkowo dobrze w błękitnych aksamitach i srebrnej kamizelce. Ta

rodzinna wyprawa do Paryża miała ukryty cel. Księżę próbował w ten sposób wyrwać się - dla dobra dzieci - z całkowitego odosobnienia, w jakim żył od ponad roku. Po nieoczekiwanej śmierci matki Jacqueline Château de Lambert stało się cichą, melancholijną pustelnią, gdzie nie było miejsca na zabawy i uroczystości.

Wspaniałość wieczoru spędzonego w Paryżu przewyższała wszystko, z czym Jacqueline zetknęła się dotychczas. Po teatrze księżę zabrał dzieci i kilkoro przyjaciół do modnej restauracji, gdzie otoczył ich rój kelnerów. Zamówiono wystawny obiad z pięciu dań, poczynając od niezwykle delikatnych gęsich wątróbek z truflami i ostryg na lodzie. Potem przyszła kolej na wyszukane potrawy z różnorodnych mięs: cielęcina, baranina, młode kaczki, gołębie, króliki, kapłony, kuropatwy i przepiórki... Na zakończenie podano świeże owoce, kompoty, lody, sery i ciasta. Uczcie towarzyszyły pogodne melodie w wykonaniu kwartetu smyczkowego, wesołe towarzystwo śmiało się, gawędziło i gasiło pragnienie niezliczonymi butelkami perlistego szampana. Jutrzenka malowała już na niebie różowo-złote wzory, gdy Lambertowie wsiedli znów do karety i wrócili do imponującego hotelu, gdzie pełny szacunku personel prześcigał się w spełnianiu każdej ich zachcianki. Dla Jacqueline Paryż był czarodziejskim miastem światła, olśniewających toalet i wspaniałych klejnotów, teatru, muzyki i rozkoszy podniebienia, światem, gdzie bogaci radowali się życiem, a służba, zadowolona ze swej pozycji, dbała o ich wygodę. W porównaniu z tym życie w Château de Lambert wydawało się trochę zbyt ciche i nieco zaściankowe. Szczęśliwie, oczywiście, ale niezbyt ekscytujące.

Ta wyprawa odbyła się w 1788 roku, na rok przed wybuchem rewolucji. Następnym razem Jacqueline przybyła do czarodziejskiego Paryża, by odwiedzić ojca w więzieniu.

Było to wiosną 1793 roku, a świat Jacqueline dosłownie wywrócił się na nice. Dopiero co powołane Zgromadzenie Ustawodawcze, którego członkiem był ojciec Jacqueline, obaliło przestarzały system feudalny i naszkicowało Deklarację Praw Człowieka i Obywatela. Kiedy liberalne hasła równości i wolności przyjęły się i zakorzeniły, zgromadzenie zabrało się do obalania starych jak świat przywilejów arystokracji, poczynając od zwolnienia od wszelkich podatków, prawa do dziedzicznych tytułów i herbów i monopolu na sprawowanie wyższych urzędów. Nowa Francja miała być państwem wolnomyślnych obywateli, równych wobec prawa i nieobciążonych piętnem pochodzenia. Była to romantyczna, poetycka wizja, stworzona przez arystokratycznych filozofów i przedstawicieli bogatego mieszczaństwa - ludzi, którym nawet się nie śniło, że ich idee tak szybko wyrwą się spod kontroli, wypaczone i przeobrażone w groźne narzędzie nowej tyranii. Dopiero wówczas, gdy Zgromadzenie Narodowe przegłosowało wyrok śmierci na króla (który panował wszak z woli Bożej i miał

być ich partnerem przy zaprowadzaniu nowego ładu), były książe de Lambert uświadomił sobie, że sprawy zmierzają w złym, straszliwym kierunku.

- Przestań się rozglądać i opuść głowę! - ofuknął ją obywatel Julien.

Jacqueline posłusznie zwiesiła głowę i wbiła wzrok w swoje ciężkie drewniane saboty, człapiące po wybrukowanej kocimi łbami ulicy. Nierówna powierzchnia była zdradliwa; tym bardziej że beztrąsko wysypywano na nią śmieci i wylewano nieczystości. Ulice, które teraz przemierzali, były wąskie i mroczne, wytyczone bez planu i logiki. Biegły to w górę, to znów w dół, czasem wiodły na skwerek z walącym się kościółkiem, ale najczęściej krzyżowały się z innymi wilgotnymi, cuchnącymi zaułkami, do których nigdy nie docierało słońce ani świeże powietrze. Jacqueline słyszała piski i szurania buszujących w śmieciach szczurów. Gdyby zamknęła oczy, łatwo mogłaby sobie wyobrazić, że znów jest w Conciergerie, choć smród był tu nieco mniej uciążliwy.

Po opuszczeniu więzienia Jacqueline chciała puścić się biegiem, uwolnić od towarzystwa starca i konieczności posuwania się noga za nogą i pędzić - tak szybko i tak daleko, jak tylko zdoła, dopóki nie nabierze pewności, że straż z La Conciergerie, dozorca Gagnon, członkowie trybunału i Nicolas Bourdon pozostali daleko w tyle. Wyminąwszy niezliczone stráže (oczywiście tym powolnym, człapiącym krokiem), Jacqueline była tak pełna radości z opuszczenia tej trupiarni, że miała ochotę wrzeszczeć z podniecenia. Przyspieszyła kroku, ale natychmiast poczuła na ramieniu mocny uścisk ręki obywatela Julien, który powstrzymał ją od nadmiernej szybkości.

- Powoli! - nakazał stanowczo, człapiąc obok niej.

Jacqueline pojęła, że jej towarzysz nie jest w stanie biec, a ponieważ robił wrażenie, że dobrze wie, dokąd zmierza, podczas gdy ona nie miała pojęcia, gdzie mogłaby się ukryć przed Gwardią Narodową, postanowiła zwolnić kroku i nie opuszczać starca, przynajmniej na razie.

Ulice były prawie puste, nieliczni przechodnie przeważnie pijani. Jacqueline wydawało się, że spoglądają na nią i jej starego towarzysza ze szczególną ciekawością, jakby wyczuwali w nich coś osobliwego albo zastanawiali się, czy warto ich zaczepić. Poczula, że drży ze strachu i powiedziała sobie, że to po prostu śmieszne. Ani ona w obszarpanym chłopięcym ubraniu, ani schorowany starzec nie wyglądali na posiadaczy skarbów, które warto by zagrabieć! Gdyby jednak z jakiegoś powodu zatrzymano ich i gdyby się wydało, że jest kobietą, bardzo wątpliwe, czy zdołałaby się obronić. Obywatel Julien był za stary i zbyt słaby, by udzielić jej pomocy, choć znakomicie zaplanował ucieczkę i zrealizował swój plan.

Kiedy Gagnon wyszedł z celi po wodę, Jacqueline ujrzała ze zdumieniem, że chory staruszek, nadal kaszląc i rżąc, jakby mu pękały płuca, wstaje pospiesznie z krzesła i rozchyła obszerny czarny płaszcz, ukazując liczne głębokie kieszenie w dolnej części podszewki. Z każdej z nich wydobywał jakąś część garderoby i rzucał ją Jacqueline, dając znak, by przebrała się czym prędzej. Dziewczyna w pierwszej chwili osłupiała i stała jak wryta, przyciskając fatalaszki do piersi. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy starzec zręcznie zdjął jej szal i rozpiął suknię z tyłu. Potem, nie czekając, aż Jacqueline zacznie się przebierać, zajął się łóżkiem. Ściągnął koc i zaczął rzucać na posłanie przegniłą słomę z podłogi. Kiedy Jacqueline pozbyła się sukni i halek, chwycił je i uformował całkiem kształtną kukłę, którą ułożył na łóżku, ostrożnie rozkładając fałdy spódnicy, by nie wycierała spod niej słoma. Jacqueline tymczasem przebierała się w brudny, prosty strój, uderzająco podobny do przyodziewku Denisa. Obywatel Julien owinął zręcznie szalem garść słomy i umieścił ją na wezgłówek, zrzucając końce szala na ramiona kukły. Następnie sięgnął znów do ukrytej kieszeni, wyjął nożyczki i kawałek wstążki. Związał nią włosy Jacqueline, nie przestając kaszleć i sapać, i obciął nożyczkami łokieć włosów albo i więcej. Jacqueline patrzyła z odrobiną żalu, jak wtyka związany wstążką koniec pod szal, a pukle układa na ramionach i plecach kukły. Wreszcie wydobył spod peleryny parę sabotów. Jacqueline zdjęła brokatowe pantofelki na wysokich obcasach (starzec umieścił je koło łóżka w widocznym miejscu) i włożyła toporne drewniaki. Niższa teraz prawie o pięć centymetrów, była dokładnie wzrostu Denisa. Ukryła smutne kosmyczki pod czerwoną czapką, a obywatel Julien brudem z podłogi szczerze wysmarował jej twarz, szyję i ręce. Potem, zanosząc się kaszlem, odwrócił się znów do łóżka i otulił troskliwie kocem leżącą na nim postać. W tej właśnie chwili Gagnon wrócił do celi z kubkiem wody.

Jacqueline zamarła, przekonana, że Gagnon ją rozpozna. Ale dozorca nie zwracał na nią uwagi. Znacznie bardziej interesowała go spoczywająca na łóżku więźniarka niż kryjący się w cieniu chłopak. Jacqueline musiała przyznać, że w słabym świetle okryta kocem postać wyglądała jak żywa. Obywatel Julien wrócił spokojnie do swych papierów, a Jacqueline postanowiła sięść na podłodze i udawać, że drzemie. Gagnon, przekonany, że wszystko jest w porządku, wzruszył ramionami i opuścił celę.

To, co nastąpiło potem, było dla Jacqueline najcięższą próbą. Zamiast odczekać parę chwil i zawołać, że chce już wyjść, obywatel Julien kontynuował pracę, jakby nigdy nic. Zmusił Jacqueline, by mu podyktowała list, odczytał go na głos bez pośpiechu, potem zaaranżował głośną sprzeczkę na temat zapłaty. Kazał Jacqueline szlochać i znów zajął się czule leżącą na łóżku postacią, zanim przywołał wreszcie Gagnona, żeby ich wypuścił. Mimo

ciągłego lęku, że zostanie rozpoznana, Jacqueline podziwiała przytomność umysłu starca. Kiedy wyszli z celi i poczłapali powoli korytarzem, oczekiwała, że zaraz rozlegnie się za nimi krzyk dozorczy. Mijając każdego ze strażników, była pewna, że ją zatrzyma. Strażnicy jednak przyzwyczaili się do tłumu przychodzących i wychodzących gości, a że dokumenty obywatela Julienu i towarzyszącego mu chłopca były prawdziwe, nikt nie miał zamiaru zatrzymać nękanego kaszlem starca i brudnego, obdartego wyrostka.

Po dłuższej wędrówce brudnymi zaułkami znaleźli się na ulicy znacznie bardziej ruchliwej. Z kafejki na rogu dolatywała skoczna muzyka, barwnie ubrane kobiety stały na progach domów i pokrzykiwały do podpitych mężczyzn, niezbyt pewnie stąpających po bruku. Tęga niewiasta, na której aż pękała wygnieciona, przyciasna suknia z czerwonej satyny, podeszła do obywatela Julienu.

-Zimna noc, obywatelu, no nie? - spytała, rozchylając cienką pelerynę na imponującym biuście. Cuchnęła alkoholem i tanimi perfumami.

-Istotnie - przytaknął obywatel Julien, idąc dalej i nie zdejmując sękatą ręką z ramienia Jacqueline.

-Nie przydałby ci się ktoś do rozgrzewki? - napomknęła znacząco.

-Obawiam się, moja droga, że jestem za stary, by skorzystać z tej miłej propozycji - odparł obywatel Julien.

Niezrażona kobieta nadal deptała im po piętach. Tym razem utkwiała wzrok w Jacqueline.

-Ładny chłopak! - zauważyła.

Jacqueline wpatrywała się w rozczochraną perukę ulicznicy i przesadny makijaż, który ją postarzał.

- Robieś to już kiedyś, mały? - spytała ladacznica, chwytając brudną ręką Jacqueline i przyciskając ją do swego obfitego biustu.

Ze zdławionym okrzykiem Jacqueline wyrwała dłoń. Poczowała, że obywatel Julien obejmuje ją mocniej ramieniem. prostytutka się roześmiała.

-Ale nieśmiały, co? - zachichotała. - Kiepsko dziś idą interesy. Zajmę się chłopakiem za pół ceny.

-To niezwykle wspaniałomyślna oferta - przyznał obywatel Julien - ale bardzo nam spieszno i nie możemy tracić ani chwili. Może innym razem - zakończył, przeciskając się przez hałaśliwy tłum.

- Idźcie do diabła! - warknęła kobieta, wyraźnie urażona.

Odwróciła się z głośnym szelestem zmiętej satyny i odpłynęła w obłoku tandetnych perfum.

Dwaj mężczyźni, którzy przysłuchiwali się tej wymianie zdań, ruszyli za Julienem i Jacqueline. Jeden z nich miał w ręku opróżnioną do połowy butelkę wódki, z której pociągał co kilka kroków. Drugi przedrzeźniał zgarbionego i człapiącego obywatela Juliana, ku wielkiej radości przyglądających się im kobiet. Dla Jacqueline nie ulegało wątpliwości, że podpici mężczyźni mają ochotę zabawić się ich kosztem. Starzec nie zwracał na nich uwagi i spokojnie prowadził ją dalej. Mężczyźni i kobiety stojący przed kafejką zaczęli coś pokrzykiwać i śmiali się serdecznie z błazeństw obu potężnych drabów. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Jacqueline. Pijakom wkrótce znudzą się żarty i zapragną czegoś bardziej podniecającego. Gdyby ich zaatakowali... obywatel Julien był zbyt stary i słaby, żeby stawić im czoło; ona też nie obroniłaby się przed dwoma mężczyznami. Gdyby zaś wyszło na jaw, że jest uciekającą z więzienia arystokratką... lepiej nie myśleć, jak obszedłby się z nią tłum.

Obywatel Julien zdawał się nie dostrzegać dążących za nim dwóch pijanych osiłków. Człapał dalej wolnym, ale równomiernym krokiem, trzymając Jacqueline za ramię i opierając się całym ciężarem na lasce. Dotarli do końca ulicy i skręcili w pustą alejkę. Mężczyźni nadal szli za nimi. Jacqueline dziwiło, że jej towarzysz nie widział zagrożenia.

-Obywatelu Julien - szepnęła nerwowo, pochylając się ku niemu - ciągle idą za nami!
-Co? Co takiego? Kto za nami idzie? - zawołał głośno, rozglądając się z wyraźnym pomieszeniem. Odwrócił się, obejrzał obu mężczyzn i się uśmiechnął. - Dobry wieczór, obywatelu - zagadnął uprzejmie. - Idziemy w tę samą stronę?

Jeden z pijaków wysunął się do przodu. Pociągnął z butelki i zanim coś powiedział, otarł usta rękawem poplamionej kurtki.

-Coś mi się zdaje, że i ty, i ten chłopak zrobiliście przykrość Lucille - wycodził. - Co o tym myślisz, Georges?

-Widziałem na własne oczy - przytaknął drugi bełkotliwym, pijackim głosem. - Bardzo się zmartwiła!

-Zacni obywatele, nie mieliśmy złych intencji, zapewniam - wychrypiał pośpiesznie obywatel Julien. Puścił ramię Jacqueline i powolutku przesunął się do przodu, zasłaniając sobą dziewczynę. -Jeśli któregoś z was uraziłem, przyjmijcie moje najszczerze przeprosiny! - zakończył pokornie.

Georges wybuchnął śmiechem.

- Przeprosiny? - Uśmiechnął się, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom, i z

groźną miną postąpił jeszcze o krok. -Wiesz, co ci powiem, stary? Oddaj nam swoje grosze, a zapomnimy o wszystkim!

Obywatel Julien zastanowił się przez chwilę i westchnął.

- Okres wielkich przemian nie jest łatwy dla nikogo – zauważył ze współczuciem.
-Jak mógłbym się nie podzielić moim skromnym majątkiem z rodakiem w potrzebie?

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl niewielką, podniszczoną skórzaną sakiewkę. Otworzył ją i ze stoickim spokojem wyjął kilka banknotów.

- Dawaj wszystko! - rozkazał mężczyzna z butelką.

Obywatel Julien przez chwilę spoglądał z żalem na swoją sakiewkę, a potem upuścił ją na ziemię. Padła u nóg mężczyzny imieniem Georges. Ten schylił się i chwycił ją łąpczywie, by zbadać jej zawartość.

- Mam nadzieję, że teraz już możemy odejść? - spytał obywatel Julien. Stał nieporuszony, opierając się ciężko na lasce.

-Chwileczkę! - powiedział mężczyzna z butelką. Przyjrzał się uważnie Julienowi. -

To całkiem porządna kapota, obywatelu. Ściągaj ją!

-Przecież on zamarznie! - zaprotestowała Jacqueline, oburzona tym żądaniem.

Pijak wzruszył ramionami.

- To już jego sprawa, nie moja. - Podeszedł do niej i splunął na ziemię. - I ty dawaj swoją kurtkę, smarkaczu. I buty!

Jacqueline się zawahała. Nie wiedziała, jak daleko jeszcze będą musieli iść, ale ani ona bez butów, ani obywatel Julien bez płaszcza w mroźną listopadową noc nie dotrą chyba do celu.

- Powiedziałem, dawaj, i to już! - powtórzył groźnie zbir.

- Nie! - warknęła z sercem pełnym trwogi i wściekłości.

Zrozumiała, że nie ma już wyboru. Będzie się musiała zmierzyć z obu mężczyznami. Rozejrzała się za czymś, co mogłoby posłużyć jej za broń.

- No, no, Jacques, nie powinniśmy być samolubni - odezwał się obywatel Julien z łagodnym wyrzutem. - To zachowanie niegodne dobrego obywatela.

Jacqueline spoglądała na niego z niedowierzaniem. Chyba był bardziej przejęty jej egoizmem niż tym, że obrabowano ich z pieniędzy i odzieży. Może z racji późnego wieku słabował już na umyśle?...

- Widzisz przecież, że ci ludzie są bardziej w potrzebie niż my. Musimy im pomóc - uspokajał ją, rozpinając powoli guziki płaszcza. - W końcu, czym jest płaszcz albo para butów

wobec braterstwa synów rewolucji? - spytał filozoficznie.

- Przestań gadać i się pospiesz! - warknął Georges.

Obywatel Julien miał wyraźne kłopoty z rozpinaniem guzików.

- Moje stare palce nie poradzą sobie z dolnymi guzikami- wymamrotał przeproszająco. - Zechcesz mi pomóc, przyjacielu? – spytał mężczyznę z butelką.

Pijak podszedł do niego, nachylił się i zaczął mocować z ostatnimi kilkoma guzikami. Ledwie się do tego zabrał, obywatel Julien uniósł do góry swoją laskę i spuścił ją z rozmachem na ciemną opryszkę. Ten jęknął i osunął się na ziemię.

- Co u diabła?! - wrzasnął wściekle jego kompan i rzucił się na starca.

Jacqueline schyliła się i chwyciła butelkę, którą opryszek upuścił, padając. Gdy obywatel Julien zamachnął się wyblakłą pięścią, by trzasnąć w twarz napastnika, dziewczyna uniosła swą broń wysoko i zdzieliła nią draba po głowie. Butelka pękła, krew wsiąkała w czerwoną wełnę czapki, a osilek bez jęku zwałił się na ziemię obok swego kompana. Obywatel Julien z pięścią nadal wzniesioną do góry patrzył na Jacqueline osłupiały.

- Teraz już nie wątpię w to, że rzuciłaś się z nocnikiem na kapitana Gwardii Narodowej! - stwierdził ubawiony.

Jacqueline przewróciła Georges'a na wznak i go obszukała. Wyjęła sakiewkę obywatela Juliana, wetknęła mu ją do kieszeni i szybko pozapinała guziki jego płaszcza.

- Chodźmy! - powiedziała, ujmując go za ramię, by mógł się na niej oprzeć. - Może mieli kompanów, którzy zaczną ich szukać.

Pospieszyli ciemną alejką, a potem przemierzali wiele innych ulic. Nikt ich nie gonił. Przewędrowali tak wiele kilometrów, przynajmniej tak się zdawało Jacqueline. Już miała zapytać obywatela Juliana, czy przypadkiem nie zbłądził, gdy ten zatrzymał się przed frontem wąskiego, zniszczonego domu. Kamienne ściany były poszczerbione, dom chylił się ku ziemi, okiennice zwiślały krzywo. Szyld świadczył o tym, że mieści się tu gospoda, choć Jacqueline nigdy by nie uwierzyła, że ktoś gotów jest zapłacić za przebywanie w tym budynku. Obywatel Julien uderzył kołatką w popękane drewniane drzwi. Po kilku minutach pojawił się chudy, niski, niesympatyczny człowieczek. Przez chwilę spoglądał na nich podejrzliwie lśnięcymi jak dwa czarne paciorki oczami. W końcu rozpogodził się trochę, poznał obywatela Juliana.

- Wreszcie wróciliście! - burknął gniewnie, wpuszczając ich do wnętrza.

- Niestety, obywatelu Dufresne, robota, którą znalazł mój wnuk, zajęła nam więcej czasu, niż sądziliśmy - usprawiedliwił się obywatel Julien.

Podeszli za oberżystą do niewielkiego sekretarzyka. Dufresne otworzył szufladę i wyjął jeden z kluczy.

- Macie na górze wodę, o którą żeście prosili, ale do tej pory wystygła.

Mówiąc to, gospodarz wzruszył ramionami. Z jego tonu wyraźnie wynikało, że ani mu się śni podgrzewać wodę po raz drugi.

- Nic nie szkodzi - odparł obywatel Julien i kiwnął głową. Chudy właściciel oberży poprowadził ich schodami na górę, unosząc wysoko świecę.

-Słyszeliście, ile głów dzisiaj poleciało? - spytał.

-Nie-odparł obywatel Julien.

-Trzydzieści dwie - obwieścił z satysfakcją obywatel Dufresne. - Trzydzieści dwie głowy w ciągu zaledwie dwudziestu pięciu minut! Nasza narodowa brzytwa z dnia na dzień jest wydajniejsza.

-Na to wygląda - przytaknął obywatel Julien.

Oberżysta otworzył drzwi, wszedł do pokoju i zapalił świecę na stoliku koło łóżka.

- Moja żona poszła na to popatrzeć. Wspaniałe widowisko! Przywieziono całą rodzinę jakichś arystokratów. Męża, żonę i wszystkie ich bachory. Podobno matka uprosiła, by dzieciaki stracono pierwej, żeby nie musiały patrzeć na śmierć rodziców. Sanson nie pozwolił jej wejść razem z nimi na platformę, stała na schodkach i śpiewała dla nich. - Oberżysta aż się zatrząsł ze śmiechu. - Możecie to sobie wyobrazić?!

- Nie - wyszeptwała ze zgrozą Jacqueline.

Dufresne spojrział na nią z rozbawieniem.

-Powinniście wybrać się tam któregoś dnia z chłopakiem - powiedział do Juliana, zmierzając do drzwi. - Niech się zahartuje!

-Zrobię tak - zapewnił go obywatel Julien. - Dobrej nocy, obywatelu.

Zamknął za nim drzwi na klucz.

- Nie zostanę tu! - oznajmiła Jacqueline, gdy tylko zostali sami. - Nie będę spać pod jednym dachem z tym okropnym człowiekiem i jego podłą żoną!

Obywatel Julien powoli zawrócił od drzwi, ciężko opierając się na lasce.

-Nie mamy innego wyboru - oświadczył spokojnie.

-Wolałabym spać na ulicy! - zaprotestowała.

-Wątpię - stwierdził obywatel Julien, wymijając ją.

Położył laskę na krześle koło łóżka i zdjął czarny pilśniowy kapelusz.

-Na ulicy przynajmniej można walczyć z wrogiem! - Jacqueline z gniewem krążyła

po niewielkim pokoju. - Sami widzieliście, że potrafię się obronić! - pochwaliła się, wspomniawszy utarczkę z pijakami.

-Za to nie bardzo się udała ta obrona przed trybunałem. - Obywatel Julien zabrał się do rozpinania ciężkiego płaszcza. - Zapadł wyrok śmierci, jeśli mnie pamięć nie myli.

-To co innego! To wynik rozkładu i zwyrodnienia sądu. Wyrok zapadł, zanim jeszcze weszłam na salę sądową! Widzicie chyba, że to nie to samo co bójka uliczna!

-Mademoiselle de Lambert. - Obywatel Julien użył jej dawnego, od trzech lat zabronionego tytułu. -Widzę przede wszystkim dach nad głową i łóżko ze stosunkowo czystą pościelą. A na umywalce dzban z wodą i miednicę, w której można się umyć. Pobyt w tym pokoju został opłacony z góry, a jedyną alternatywą byłby dla nas nocleg na ulicy. Chyba więc lepiej zostać tu, nieprawdaż?

Nie czekając na odpowiedź, zaczął rozpinąć żakiet i rozwiązywać fular pod szyją.

- Może macie słuszość - przyznała Jacqueline, spoglądając tęsknie na miednicę i dzbanek z wodą.

Na umywalce znajdował się również wytarty ręcznik i mikroskopijny kawałeczek mydła. Przypomniała sobie nagle, że jest pokryta więziennym brudem i perspektywa pozbycia się go wydała się jej nad wyraz pociągająca.

- Oczywiście to wy położycie się na łóżku - zaproponowała wielkodusznie, nalewając wody do miednicy, przekonana, że starzec nigdy nie przystanie na taką ofiarę z jej strony.

-Jeśli pani tak łaskawa... - zgodził się obywatel Julien i siadł na materacu, by zdjąć buty. Podniósł wzrok i ujrzał Jacqueline zastygłą z dzbanem w ręku, spoglądającą na niego z najwyższym zdumieniem. -Ale oczywiście zmieścimy się oboje - poprawił się. - Proszę się nie obawiać zmyzy na honorze, nikt prócz nas dwojga nie będzie wiedział, w jakich warunkach spędziliśmy tę noc.

Upuścił ciężki but na podłogę.

- Niech i tak będzie - odpowiedziała Jacqueline po namyśle i się odwróciła.

Nie spodobał się jej pomysł spania we wspólnym łóżku, ale na gołej podłodze byłoby jej zimno i twardo. Uznała, że w tak niezwykłych okolicznościach nie można trzymać się kurczowo konwenansów. Zresztą obywatel Julien był stary i schorowany, i doprawdy trudno było wymagać, by spał na podłodze. Oboje pozostaną przecież w ubraniach i nie będzie w tym absolutnie nic zdrożnego! Uspokojona tym rozumowaniem Jacqueline zdjęła

welnianą czapkę i kurtkę, podwinęła rękawy koszuli i zabrała się do mycia.

-Chciałabym wam bardzo podziękować za wyswobodzenie mnie z La Conciergerie - powiedziała do starca, mydląc jednocześnie twarz i szyję ostro pachnącym kawałeczkiem mydła. - Nie marzyłam nawet o tym, że ktoś pospieszy mi z pomocą.

-Na szczęście zjawiłem się w samą porę - stwierdził obywatel Julien.

Zapewne miał na myśli zaloty Nicolasa, ale była zbyt zażenowana tym wydarzeniem, by o tym rozmawiać. Obmyła się w zimnej wodzie, a potem znów namydliła skórę w przekonaniu, że jednorazowe mycie nie usunie obrzydliwego zapachu.

- Oczywiście wiem, obywatelu Julien, że macie już opracowany z góry plan, ale jeśli spodziewacie się, że bezzwłocznie opuszczę Paryż, uprzedzam, że jest coś, co muszę zrobić przedtem. Wiecie zapewne, że mój brat został aresztowany wraz ze mną. Nie wyjadę, póki się nie dowiem, czy Antoine żyje, czy nie. - Po raz drugi splukała mydło i zaczęła się energicznie wycierać szorstkim ręcznikiem. -Jeśli żyje, mam zamiar go uratować. Nie oczekuję, rzecz jasna, że powtórnie będziecie narażać dla mnie życie! Choć dziś się wam udało, zgodzicie się chyba, bez urazy! - że podeszły wiek nie pozwala...

Urwała nagle zdumiona tym, co działo się na jej oczach.

Obywatel Julien pozbył się siwej peruki i przeczesał palcami włosy, w których nie znalazłbyś ani jednej srebrnej nitki. Były jasne, mieniły się złotem, brązem, niekiedy także miedzią. Stał odwrócony do niej plecami i Jacqueline zauważyła, że ani trochę się nie garbi. W rzeczywistości był wysoki i barczysty. Gdy zdjął żakiet i kamizelkę i został tylko w koszuli i spodniach, widać było wyraźnie, że jest szczupły w pasie i ma długie, silne nogi. Nie zdając sobie sprawy z tego, że Jacqueline go obserwuje, masował zmęczony kark i obracał głową na wszystkie strony, aż kości trzeszczały. Potem rozpiął koszulę i zaczął ją ściągać, odsłaniając muskularne, opalone plecy i ramiona, których barwa w niczym nie przypominała koloru wyblakłych, pokrytych plamami dłoni.

Odwrócił się raptownie, być może zdziwiony ciszą, która zapanowała nagle w pokoju, i zobaczył, że Jacqueline wpatruje się w niego oczyma wielkimi jak spodki.

- Może nie jestem aż tak stary, jak się pani wydawało - zauważył.

Dostrzegła w jego oczach cień rozbawienia, gdy ich spojrzenia się spotkały. Skończył zdejmować koszulę.

- Kim pan jest?- wyjąkała.

W jej głowie panował zamęt. Twarz mężczyzny była wciąż pomarszczona i równie blada jak dłonie, ale ta twarz nie pasowała już do reszty ciała. Poza tym zmienił się jej wyraz,

jakoś złagodniała. Oczy wydawały się większe, głębokie bruzdy wokół nich i na czole były jedynie charakterystyczną, wizją odległej przyszłości.

Nie odpowiedział na pytanie i wyminął ją, kierując się do umywalki. Wylał przez okno zawartość miednicy, napełnił ją czystą wodą z dzbanka i pochylił się, by umyć twarz, szyję i ręce. Nie spieszył się z tym, starannie namydlił skórę od linii włosów aż po obojczyki. Kiedy się w końcu umył i stanął wyprostowany, wycierając się ręcznikiem, Jacqueline zobaczyła zdumiewającą przemianę, jaka w nim nastąpiła.

Zniknął słabowity starzec o wyblakłej, pomarszczonej skórze, siwy, zgarbiony, powłóczyący nogami. Jego miejsce zajął piękny mężczyzna, pełen sił i witalności. Znacznie przewyższał ją wzrostem, a wibrująca w nim, choć starannie kontrolowana, energia zdawała się rozsądzać niewielki pokój.

Miał oczy w trudnym do określenia kolorze... może niebieskim, a może zielonym? Rysy twarzy były wyraziste: wydatne kości policzkowe, prosty nos, mocno zarysowana kwadratowa broda. Cieniutkie zmarszczki wokół oczu i na czole mogły pochodzić od częstego śmiechu, jednak coś w intensywności jego spojrzenia podszeptęło Jacqueline, że raczej wyrzeźbił je gniew i ból. Potężna klatka piersiowa i smukła talia, wyraźnie zarysowane mięśnie, ramiona tak silne, że mógłby zgnieść kogoś w uścisku...

Nie zwracając uwagi na wpatrzoną w niego Jacqueline, podszedł do łóżka i odwinął przykrywający je koc.

- Kim pan jest? — spytała ponownie, opanowawszy zdumienie.

Wzruszył potężnymi ramionami.

- Dzisiaj jestem obywatelem Julienem, i to na razie musi pani wystarczyć.

Położył się na łóżku, okrył kocem i przymknął oczy, uznawszy widocznie rozmowę za zakończoną.

-Czemu pan mnie uratował? -Jacqueline nie dawała za wygraną.

-Bo pani tego potrzebowała - odparł obojętnie i odwrócił się twarzą do ściany.

Jacqueline była skonsternowana. Jak mogła nie spostrzec, że nie był tym, kogo udawał? I w celi, i na dworze panowały egipskie ciemności, a jego głos i zachowanie były niesłychanie przekonujące. Ale kiedy wędrowali razem ulicami Paryża, jak mogła nie zauważyć, że jego krok, choć irytująco powolny i człapiący, był zawsze pewny, uścisk ręki trzymającej ją za ramię mocny, że „starzec” nigdy się nie potykał ani nie przystawał, żeby odpocząć? A przede wszystkim, jak mogła jej nie zdziwić siła, z jaką spuścił laskę na głowę opryszka, który chciał ich obrabować, czy też lekkość i pewność ręki uniesionej, by uderzyć

jego kompana? To nie było zachowanie schorowanego starca, lecz młodego, silnego mężczyzny w niezwykle pomysłowym przebraniu! Kogoś, kto poruszał się swobodnie po terenie więzienia, kto był za pan brat ze strażnikami i mógł im okazać dokumenty wyglądające jak prawdziwe. Kogoś, kto narażał własne życie, by ocalić skazanych na śmierć arystokratów. Nagłe zrozumienie poraziło ją jak grom.

- Pan jest Czarnym Księciem! - zawołała półgłosem. - Słyszałam, jak o panu mówili i strażnicy, i więźniowie. To pan potrafi sprzątnąć przed nosa Gwardii Narodowej i Komitetowi Ocalenia Publicznego prześladowanych arystokratów i ich rodziny i przeszmygować ich przez granicę! Władze nie dysponują pańskim rysopisem, bo za każdym razem występuje pan w innym przebraniu. Pańskie wyczyny są owiane legendą... Powiadają nawet, że jest pan spokrewniony z samym królem Ludwikiem XVI!

Odwrócił się do niej, niedbale oparty na łokciu. W oczach znów błysnęło mu rozbawienie.

- Pochlebia mi pani, mademoiselle. Niestety, nie jestem tym Czarnym Księciem, którego pani tak podziwia. - Urwał i powoli zmierzył Jacqueline wzrokiem od stóp do głów, jakby próbował ją sobie wyobrazić bez zbyt obszernego, brudnego ubrania. - Chętnie bym się przekonał, jak taka dumna arystokratka potrafi okazać wdzięczność nieskazitelnemu i szlachetnemu bohaterowi!

Jego ton był obrzydliwie sarkastyczny, a lubieżny sposób, w jaki na nią zerkał, wprawiał ją w niepokój, żenował, zmuszał do osłonięcia piersi skrzyżowanymi ramionami. Musiała się pomylić! Czarny Książę był -jak powiadano - dalekim krewnym rodziny królewskiej, jeśli zaś nie księciem, to z pewnością markizem. A dżentelmen szlachetnej krwi nigdy by się w ten sposób nie odezwał do damy i nie spoglądałby na nią takim wzrokiem! Uniosła dumnie głowę i rzuciła mu wyniosłe spojrzenie. Już ona pokaże temu prostakowi, gdzie jego miejsce!

- Jeśli nie jest pan Czarnym Księciem, to kim pan jest i dlaczego tak się pan narażał, żeby mnie ocalić? - spytała lodowato uprzejmym tonem.

Widocznie zdudziło mu się już oglądanie jej, bo opadł na poduszki i przymknął oczy ze znużeniem.

-Niestety, mademoiselle, jestem po prostu człowiekiem interesu, bez rojalistycznych sympatii i błękitnej krwi w żyłach, która popychałaby mnie do rycerskich czynów. Uratowanie pani jest dla mnie dobrym interesem.

-Co pan mówi? - Jacqueline nie spodziewała się tego. - Nieruchomości i kapitały

mojego ojca zostały skonfiskowane przez rząd rewolucyjny, kiedy skazano go na śmierć. Niczego już nie mam, jakim więc cudem uratowanie mnie może się panu opłacić?

Ziewnął i po prostaku odwrócił się od niej.

-A jednak dzięki pani ubiję dobry interes - powtórzył ze zniecierpliwieniem. - Jest pani czymś w rodzaju paczki, którą zgodziłem się dostarczyć.

-Paczki? - powtórzyła zmieszana Jacqueline. I nagle ją olśniło.

- Chce pan powiedzieć, że ratuje mnie pan, bo ktoś panu za to zapłacił?!

Jej wyniosły ton wskazywał wyraźnie, co o tym myśli.

- Dla pani nie jest to szlachetne, prawda? - wycodził ironicznie. - Dziwne! Na pani miejscu cieszyłbym się tym, że mam nadal głowę na karku!

-Naturalnie jestem panu wdzięczna za pańskie usługi - przyznała Jacqueline. - Ale zbijania majątku na cudzej niedoli i cierpieniu nie nazwałabym szacowną profesją.

-No cóż, równie dobrze można by powiedzieć, że zarabiam, uwalniając bliźnich od niedoli i cierpienia, i że jest to o całe niebo szlachetniejszy sposób niż ściąganie czynszu od ciężko pracujących, zagłodzonych chłopów, żeby samemu żyć w przepychu, jak to robiliście pani i jej rodzina.

Jacqueline aż sapnęła z oburzenia na tę bezczelną uwagę.

- Tak nakazywał system obowiązujący od setek lat, system dany od Boga! - krzyknęła zapalczywie.

Zmierzył ją wzrokiem.

- Znakomicie się złożyło - wycodził - dla takich jak pani.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie. Ten człowiek ośmiela się krytykować arystokrację w obliczu tej diabelskiej rewolucji, w dniu, który miał być ostatnim dniem jej życia! To wprost niewiarygodne! Najwyraźniej nie sprzyja kontrewolucjonistom ani rojalistom, a to w pojęciu Jacqueline czyniło go niebezpiecznym. Skoro udziela jej pomocy tylko dla pieniędzy (z pewnością wynajął go sir Edward Harrington, angielski przyjaciel ojca, któremu oddała pod opiekę swoje siostrzyczki), to przecież można go z łatwością skłonić do wydania jej z powrotem w ręce rządu rewolucyjnego za odpowiednio wysoką cenę. Popsułoby mu to opinię u przyszłych klientów... ale mógł się okazać wystarczająco sprytny, żeby przeinaczyć fakty i zapewnić, że Jacqueline została pojmana podczas próby ucieczki z Paryża. Ciekawe, czy sir Edward był na tyle głupi, że zapłacił mu z góry?

-Nie kładzie się pani do łóżka? - spytał nieznajomy ze zniecierpliwieniem.

-Nie spodziewa się pan chyba, że będę spała z panem w jednym łóżku!

-Jak sobie pani życzy. -Wzruszył ramionami. - Nie sądzę jednak, by spanie na podłodze przypadło pani do gustu.

Podniósł się, zdmuchnął świecę i pokój pogrążył się w ciemności.

- Moim zdaniem dobre maniery nakazują, żebym to ja spała w łóżku, a pan na podłodze - stwierdziła Jacqueline, postanawiając nie martwić się z góry jego ewentualną zdradą.

Była bardzo zmęczona, a on przecież nie wyda jej niezwłocznie. Musi się najpierw dowiedzieć, ile mu za to proponują.

- A moim zdaniem rozum dyktuje, że jeśli łóżko jest wystarczająco duże, pomieścimy się w nim oboje - odparł szorstko.

To nie do pomyślenia! Nawet spanie obok słabego, schorowanego i niezdolnego do wyrządzenia jej krzywdy starca było niestosowne. O wyciągnięciu się na łóżku u boku silnego, pełnego życia mężczyzny, który niewątpliwie miewa te same nieokiełznane, zwierzęce porywy co Nicolas, nie było mowy! Mógłby to uznać za zgodę na jego awanse.

-Nie będę spała z panem w jednym łóżku!

-Nie to nie - odparł z całkowitą obojętnością.

Jacqueline patrzyła ze złością, jak układa się na łóżku. Wiedziała, że od chwili wybuchu rewolucji dobre maniery uchodziły za podejrzane albo przestarzałe, ale myśl, że człowiek, któremu zapłacono za jej uratowanie i który wobec tego powinien dbać o jej wygodę, nie chce jej ustąpić łóżka, doprowadzała ją do szału. Pogodziwszy się w końcu z koniecznością spędzenia nocy na krześle, postanowiła usiąść, ale krzyknęła, gdy jej łydka zderzyła się gwałtownie z twardą drewnianą nogą mebla.

- Cicho! - rozległo się senne burknięcie.

Rozzłoszczona w najwyższym stopniu i na gburę, i na irytujące krzesło, zrzuciła na podłogę leżące na nim ubranie i laskę, która upadła z łoskotem i potoczyła się na drugi koniec izby, czyniąc mnóstwo hałasu.

-Może się pani uspokoić? - wymamrotał nieznajomy, unosząc się na łokciu. - Niektórzy z nas potrzebują odrobiny snu! - mruknął, opadając znów na poduszkę.

-Proszę mi wybaczyć! - syknęła Jacqueline, sadowiąc się na krześle.

Było ono twarde i wyjątkowo niewygodne, wierciła się więc, szukając wygodniejszej pozycji. Bezskutecznie. W końcu odchyliła się do tyłu, skrzyżowała ramiona na piersi, zacisnęła zęby i postanowiła twardo, że zaśnie bez względu na to, czy jest jej wygodnie, czy

nie. Po kilku minutach zaczęła drżeć z zimna, bowiem gdy przestała się kręcić, uświadomiła sobie, że w pokoju panuje nieznośny chłód. Znowu musi podreptać w ciemnościach na poszukiwanie kapoty, która w dodatku jest szorstka, brudna i strasznie śmierdzi.

Od strony łóżka dolatywało głośnie chrapanie. Nie ulegało wątpliwości, że obywatel Julien, czy jak tam się nazywał, nie miał najmniejszych trudności z zaśnięciem. Choć zdjął koszulę, było mu ciepło i wygodnie. Nic dziwnego, miał przecież koc!

Jacqueline wysunęła stopy z drewnianych sabotów i bezszelestnie podkradła się do łóżka. Obywatel Julien ani drgnął, głębokie, równe chrapanie nie ustawało. Leżał na boku, potężnym ramieniem przyciskając koc. Sięgnęła ostrożnie i uchwyciwszy koc, powoli zaczęła zsuwać ze śpiącego przykrycie. Zdziwiła się i ucieszyła, gdy spostrzegła, że pled zachował ciepło ciała Juliana. Widocznie miał w sobie bardzo dużo naturalnego ciepłika i pewnie nawet nie zauważył braku koca. Zsunęła go prawie do pasa, gdy nagle śpiący przewrócił się na plecy, wydał gniewny pomruk i podciągnął koc z powrotem do góry. Jacqueline skamieniała ze strachu, że zostanie przyłapana. Ale się nie obudził. Znow rozlegało się chrapanie. Odetchnęła z ulgą.

Kłopot polegał na tym, że teraz ścisnął koc w dłoni. Musi coś zrobić, żeby go puścił. Przynęła się bliżej i nachyliwszy się, dmuchnęła mu w ucho. Kosmyk włosów Juliana, uniesiony powiewem, podskakiwał, łaskocząc małżowinę. Z początku śpiący tylko zmarszczył brwi. Dmuknęła mocniej i ku jej radości dłoń puściła przykrycie i uniosła się, by podrapać swędzące ucho. Błyskawicznym ruchem Jacqueline ściągnęła koc i przytuliła go do piersi. Śpiący podrapał się i westchnął rozkosznie. Ramię wróciło na dawne miejsce.

Zadowolona z siebie zabrała koc, by się owinąć.

Silne ręce zacisnęły się nagle wokół jej talii i zanim zorientowała się, co jej grozi, wylądowała wraz z kocem na materacu obok obywatela Juliana. Przytrzymał dziewczynę jedną ręką i spoglądał na nią z rozbawieniem.

-Tej nocy miałaś okazję nauczyć się dwóch rzeczy, moja panno! - zauważył. - Po pierwsze, nigdy nie zakładaj, że twój przeciwnik śpi, chyba że sama go ogłuszyłaś albo zaaplikowałaś mu środek nasenny. Po drugie, postaraj się w nocy porządnie wyspać, jeśli to tylko możliwe. - Odebrał jej koc i rozłożył go tak, że okrywał ich oboje. Potem położył się, niby od niechcienia przerzucając ramię przez Jacqueline, co skutecznie przygwoździło ją do materaca. - A teraz pokaż mi, jak skorzystałaś z drugiej lekcji! - zakończył tonem, jakim mówi się do niegrzecznego dziecka.

-Puść mnie! - syknęła Jacqueline, starając się zrzucić przygniatające ramię i usiąść na łóżku.

W odpowiedzi wzmocnił uścisk i przyciągnął ją bliżej siebie.

- Chciałaś się ogrzać, prawda? - spytał. - Tracisz tylko energię i okazję do snu. Przed nami jeszcze daleka droga, zanim naprawdę będziesz bezpieczna. Leż spokojnie i śpij!

Uznał widocznie sprawę za załatwioną, bo zamknął oczy.

Kilka sekund później poczuł ostry ból w ramieniu. Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że Jacqueline wpiła w nie zęby.

Zakławszy z cicha, chwycił ją za krótkie włosy i szarpnął tak, że puściła jego ramię. Krzyknęła z bólu i spojrzała na niego z wściekłością.

- Aż tak ci zależy na tym, by spać na krześle? - spytał, z trudem panując nad głosem.

- Nie zależy mi na krześle. Nie chcę spać z tobą! - syknęła.

Oczy łzawiły jej z bólu, gdyż nadal z całej siły trzymał ją za włosy.

Milczał przez chwilę, jakby zdumiał go te słowa. Nagle puścił ją i odsunął się od niej jak najdalej.

-Mademoiselle - spytał tonem pełnym niedowierzania - kiedy ostatnio się pani kąpała?

-Jak śmiesz! -wykrztusiła uwolniona wreszcie Jacqueline i siadła wyprostowana na łóżku.

-Nie chciałem pani obrazić - zastrzegł pospiesznie. -Ale ponieważ tak się pani lęka o swą bezcenną cnotę, chciałem panią uspokoić. Mam upodobanie do kobiet, które się często kąpią, a przynajmniej kąpały się w niezbyt odległej przeszłości. Wiem, że przyjaciel, który odwiedził panią przede mną, nie był pod tym względem wybredny, być może to właśnie jego zachowanie wywołało u pani niepokój. - Odsunął się od niej i podciągnął swoją połówkę koca. - Może pani dzielić ze mną to łóżko bez najmniejszej obawy. Nawet gdyby była pani naga i chętna, wcale nie miałbym ochoty pani wykorzystać.

Mieszanina upokorzenia i wściekłości wrzała w Jacqueline.

To prawda, nie kąpałam się od Bóg wie kiedy! Ale cóż... obsługa w La Conciergerie nie przewiduje gorącej wody ani pokojówki, myślała z gorzką ironią. Jak ten nieokrzesany, wulgarny gbur śmie robić uwagi na temat mojej czystości?! I bez ogródek twierdzić, że nigdy by się na mnie nie połakomił! Co za brak dobrego wychowania!

Musiała jednak przyznać, że dzięki temu poczuła się bezpieczna. Być może w obecnym stanie budzi w mężczyznach tylko odrazę. Jeśli tak, to odpowiadało jej to całkowicie!

- Proszę się posunąć! - rzuciła ostro i z całej siły uderzyła pięścią w poduszkę po

swojej stronie łóżka.

Westchnął z irytacją, ale posunął się nieco, robiąc jej miejsce. Jacqueline położyła się i skromnie podciągnęła koc pod brodę. Część łóżka, którą jej odstąpił, została już przez niego wygrzana. Po kilku minutach poczuła, że ciepło promieniuje na nią również przez tę niewielką przestrzeń, która ich dzieliła. Przenikało przez szorstki materiał jej koszuli i spodni i rozgrzewało zmarznięte ciało. Od dawna nie było jej tak ciepło!

Podczas długich nocy w Conciergerie starała się bez skutku opanować dreszcze, wstrząsające nią za każdym razem, gdy wczółgiwała się na swoją chwiejną pryczę w ubraniu i okrywała jedynym cienkim kocem. Nieznane uczucie ciepła było takie miłe! Poczua się bardzo senna. Wydała cichy pomruk satysfakcji i bezwiednie przysunęła się bliżej źródła ciepła.

- Dobrej nocy, mademoiselle!

Te nieoczekiwane słowa podziałały jak uderzenie gromu: w jednej chwili ocknęła się całkowicie. Z cichym jękiem przetoczyła się po pościeli, odsuwając od niego tak daleko, jak tylko mogła.

Rozdział 3

Kiedy zbudziła się następnego ranka, było jej zimno. Pokój tonął w posępnym, szarym świetle, które przenikało przez szpary w drewnianych okiennicach przesłaniających okno. Drobinki kurzu wirowały leniwie w snopie bladych promieni, padających na gołe deski podłogi. Jacqueline przymknęła oczy i ukryła twarz w poduszce, zastanawiając się sennie, gdzie też się znajduje i skąd się tu wzięła. Była sama.

Gdy sobie to uświadomiła, otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Ani śladu jej towarzysza. Jego ubranie, kapelusz, wielki, gruby płaszcz, laska - dosłownie wszystko związane z nim - zniknęły. Obywatel Julien odszedł.

Odrzuciła przykrycie i wyskoczyła z łóżka, mówiąc sobie, że to niemożliwe. Przeszukała cały pokój w poszukiwaniu jakiegoś liściku, kilku słów wyjaśnienia, że wyszedł tylko na chwilę, niech więc Jacqueline się nie denerwuje, bo zaraz do niej wróci. Niczego nie było. Zaniepokoiła się. Po raz pierwszy w życiu poczuła się absolutnie sama. Przecież wiedział, że nie ma pieniędzy, jedzenia, dokumentów! Jak odnajdzie Antoine'a i ocali go,

skoro nawet nie potrafi zdobyć dla siebie żywności?... I dlaczego obywatel Julien, czy jak tam się nazywa, opuścił ją bez słowa, skoro naraził się na tak ogromne ryzyko, żeby ją uratować? Z pewnością podjął się nie tylko wyciągnąć ją z więzienia, ale też odwieźć w jakieś konkretne miejsce. Sir Edward niewątpliwie życzył sobie, by schroniła się u krewnych czy przyjaciół w odległym zakątku Francji, póki sytuacja polityczna się nie unormuje. Znowu przemknęło jej przez myśl podejrzenie, że obywatel Julien ją zdradził. Może naprawdę zamierzał odstawić ją do Conciergerie?... Może właśnie w tej chwili uzgadnia wysokość nagrody z Komitetem Bezpieczeństwa Publicznego? Gdyby ją ponownie aresztowano, zostałaaby stracona przed końcem dnia. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Motłoch przyglądający się codziennym egzekucjom miałby nie lada uciechę, gdyby niedoszła uciekinierka musiała wytknąć głowę przez republikańskie okienko!

Chwyliła leżącą na krześle kapotę i czerwoną wełnianą czapkę. Jej palce znieruchomiały, gdy dotknęła postrzępionych kosmyków - resztek tego, co uważano niegdyś za jej największą ozdobę. Włosy były zawsze wyjątkowo gęste i długie. Od dzieciństwa wychwalano ich niezwykłą bujność i połysk, gdy spływały jej po plecach miodowo-złotym płaszczem. Teraz żalosne strzępy ledwie sięgały ramion. Mogli ci obciąć głowę! - ofuknęła się w duchu, ze zniecierpliwieniem naciągając wełnianą czapkę nisko na czoło. Włosy odrosną, byłeś tego dożyła!

Chciała otworzyć drzwi, ale przekonała się, że są zamknięte na klucz. Poruszyła klamką kilkakrotnie, żeby się upewnić. Obywatel Julien ją uwięził, co potwierdzało jej podejrzenia. Gdyby chciał jej naprawdę pomóc, po cóż zamykałby drzwi? I czemu by zniknął bez wyjaśnienia, dokąd idzie? Może korzystając z jej snu, miał zamiar wezwać Gwardię Narodową? Pewnie są już w drodze i spodziewają się, że zaskoczą ją w łóżku. No, to się rozczarują!

Najpierw postanowiła walić w drzwi i wrzeszczeć, póki oberżysta jej nie wypuści, lecz szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, bo Dufresne zacząłby się zastanawiać, czemu „dziadek” (czy za kogo się tam obywatel Julien podawał) zamknął chłopaka przed wyjściem z domu. Nie chciała, by ktoś ją zatrzymywał swoimi wścibskimi pytaniami.

Podbiegła do okna, otworzyła je z rozmachem i rozsunęła okiennice. Do pokoju wpadło lodowate powietrze. Jacqueline spojrzała w dół na niewielką ogrodzoną przestrzeń - ongiś zapewne dziedziniec, teraz wysypisko śmieci. Między domami przeciągnięto sznury, krzyżujące się w powietrzu. Wisiało na nich nędzne, pozostawione na całą noc pranie, które

zesztywniało na mrozie. Pokój Jacqueline znajdował się niewysoko, na pierwszym piętrze, ale i tak do ziemi było stąd daleko. Dziewczyna wychyliła się, by popatrzeć na sąsiedni parterowy budynek, którego dach stykał się niemal z boczną ścianą gospody. Pod oknem znajdował się występ, rodzaj wąskiej półeczki, biegnącej aż do węgła. Jacqueline uznała, że może po nim przejść bez większego ryzyka i zsunąć się na sąsiedni dach. Stamtąd jakoś dostanie się na ziemię. Sprawdziła też, czy będzie miała za co chwycić podczas tej wędrówki. Wszystkie okna były zasłonięte okiennicami, które - choć podniszczone - wyglądały całkiem solidnie. Wsparła się więc rękoma o parapet i odetchnąwszy głęboko już miała przrzucić przez niego nogę...

- Uważa pani, że jest tu zbyt gorąco?

Z okrzykiem zdumienia odskoczyła od okna i odwróciła się błyskawicznie. Obywatel Julien wrócił! Stał w drzwiach, patrząc na nią groźnie. Znowu wyglądał jak starzec. Zamknął drzwi na klucz i powoli wyprostował zgiętą postać. Jacqueline pomyślała, że takie garbienie się przez kilka godzin musi być męczące. Rozruszał mięśnie szyi i ramion, zanim zwrócił się do niej.

-Wyszedłem po zakupy - oznajmił szorstko, jakby wiedział, że jego zniknięcie wydało się Jacqueline podejrzanym, i miał o to do niej pretensję.

-Czemu mnie pan nie obudził? - spytała, zamykając okno.

-Potrzebowała pani snu. - Wyłożył na łóżko kilka zawiniątek. -Pomyślałem, że wypoczynek lepiej pani zrobi, niż dreptanie za mną.

Zaczął rozwijać jeden ze sprawunków.

Jacqueline podeszła do łóżka, żeby zobaczyć, co kupił. Jego wyjaśnienie nie uspokoiło jej. Nie można nikomu wierzyć! - powtarzała w myślach. Poczowała jednak wyraźne wyrzuty sumienia z powodu swych podejrzeń, gdy zobaczyła, co jej przyniósł.

Na kocu leżał bochenek razowego chleba, duży kawał sera, pokrojona w plastry wołowina na zimno, kilka jabłek i gruszek i dwa świeżutkie ciastka z morelami ozdobione lśniącym lukrem. Wiedząc, jak trudno w mieście o chleb i mięso, Jacqueline nie pojmowała, jakim cudem zdobył te frykasy. Ileż musiał za nie zapłacić! Dołożył do stosu wiktuałów butelkę wina i drugą napełnioną przezroczystym płynem, zapewne mocniejszym trunkiem. Potem odpakował i ułożył osobno skromną suknię z granatowej wełny, komplet damskiej bielizny i ciepły szary płaszcz z kapelusikiem pod kolor. Ubranie było proste, nieprzybrane najmniejszą falbanką ani ozdobą, ale uszyte z tkanin miękkich i solidnych. Będzie z pewnością o wiele cieplejsze i wygodniejsze od szorstkiej koszuli i spodni, które miała na

sobie. Obok położył parę damskich butów z ciemnej skóry, kostkę różanego mydła i jakąś książkę.

- Nie miałem pewności, czy wszystko to będzie na panią pasować - powiedział z wahaniem, widząc, jak Jacqueline w milczeniu wpatruje się w zakupy. - Nie są to stroje, do jakich pani przywykła, ale bardziej wykwintne zwróciłyby uwagę, a tego musimy uniknąć za wszelką cenę.

Jacqueline przesunęła dłonią po ciepłym płaszczu. Był z grubej, miękkiej wełny na popielatej satynowej podszewce. Potem wzięła do ręki gładką kostkę mydła i podniósłszy ją do nosa, wdychała słodki zapach. Przymknęła powieki i przez chwilę zdawało się jej, że jest znów w Château de Lambert i rozkoszuje się długą kąpielą. Otworzyła oczy i spostrzegła, że obywatel Julien przygląda się jej.

-Zrobi pan coś dla mnie? - spytała. Zawahał się przez chwilę.

-Jeśli będę mógł - powiedział ostrożnie.

Spojrzała na stos podarków na łóżku. Domaganie się w tej chwili czegoś więcej graniczyło z niewdzięcznością. Ale musiała go o to poprosić.

- Następnym razem, gdy będzie pan wychodził, proszę zostawić dla mnie wiadomość, gdybym spała - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią z niekłamanym zdumieniem.

- Myślała pani, że nie wrócę, mademoiselle?

Słowa zawisły w powietrzu. Spojrzała na niego zmieszana szczerą troską malującą się na jego twarzy. Po raz pierwszy zauważyła, że jego oczy mienia się błękitem, zielenią i szarością, przybierając coraz to inną barwę. Dostrzegła w nich skupienie, bystrość i czujność świadczącą o tym, że nie ufał nikomu. W jego zawodzie były to, oczywiście, niezbędne zalety. Co też go skłoniło do wyboru tak niebezpiecznego zajęcia? Każde zadanie, którego się podejmował, mógł przypłacić głową!

Bez przebrania był przystojnym mężczyzną. Czy miał żonę albo kochankę, która czeka na jego powrót, niespokojnie licząc godziny i drżąc ze strachu na myśl o niebezpieczeństwach, na jakie się naraża? Jakaż kobieta mogłaby znieść nieustanny lęk, za każdym razem obawiając się, że ukochany nie wróci?...

Spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem. Zmieszana, odwróciła się.

- O, wiedziałam, że pan wróci - powiedziała lekko. - Podjął się pan przecież uratować mnie, a nie porzucić bez pieniędzy i jedzenia w zakazanej dzielnicy!

Zaśmiała się nieco sztucznie, jakby podobne podejrzenie było wręcz niedorzeczne.

Na chwilę zapadła cisza, ale Jacqueline czuła na sobie jego spojrzenie. Chciała powiedzieć coś więcej, przekonać go, że nie martwiła się ani trochę, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

- Może pani być pewna, że zawsze wrócę.

Słowa Julienu zabrzmiały jak uroczysta przysięga, a nie zdawkowa pociecha. Wiedziała, że jest dla niego tylko przesyłką, którą musi dostarczyć bez szwanku, bo nie otrzyma pieniędzy. Zwykła transakcja handlowa. Ale mimo to jego przyrzeczenie ogromnie ją uspokoiło. Miała wrażenie, że nieznośny ciężar zelżał i przez krótką chwilę czuła się bezpieczna i spokojna.

Julien odchrząknął i czar przysł.

-Jak pani sama stwierdziła, zobowiązałem się dostarczyć panią na miejsce zdrową i całą - stwierdził rzeczowo. - Ponieważ jednak moja nieobecność wyraźnie panią zaniepokoiła, następnym razem nie zapomnę zostawić dla pani wiadomości.

-Dziękuję!

Lekko skłonił głowę i wskazał gestem rozłożone na kocu wiktuały.

- Proszę coś zjeść!

Nie potrzebowała dalszej zachęty. Zasiadła do uczyty i natychmiast wgrzyła się w ciemny chleb, wpychając do ust wielkie kęsy, co trudno nazwać zachowaniem godnym damy. Ale nic jej to nie obchodziło! Powściągliwe maniery przy stole na nic się tu zdały. Strawa w La Conciergerie była niejadalna, a od wczoraj w ogóle nic nie miała w ustach. Umierała wprost z głodu! Usiłowała właśnie wsunąć równocześnie do ust wielki kawał chleba, plaster wołowiny i ser, gdy dostrzegła, że obywatel Julien zmierza ku drzwiom.

-Dokąd pan idzie? - spytała z pełnymi ustami.

-Mam pewną sprawę do załatwienia, zanim będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę - odparł wymijająco. - Wrócę mniej więcej za godzinę. Proszę zjeść tyle, ile pani zdoła, a potem spakować wszystko, włącznie z nowym ubraniem. Opuści pani ten zajazd jako chłopiec.

-Ale dokąd się wybieramy?

To, że nadal nie mówi jej o swoich planach, wcale się jej nie podobało.

Obywatel Julien westchnął.

- Mademoiselle, nie mogę pani podać dokładnej marszruty, podobnie jak nie zdradzę pani swego nazwiska. Im mniej będzie pani wiedziała, tym lepiej w razie, gdyby została pani schwytana.

Jacqueline się nastroszyła.

- Przede wszystkim, nie dam się złapać - oświadczyła stanowczo. - Ale nawet gdybym została ponownie aresztowana, pójdę na gilotynę bez względu na to, co wiem, a czego nie wiem. Cóż więc szkodzi, że mnie pan wtajemniczy w swoje plany?

- Nie myślałem o pani bezpieczeństwie - wyjaśnił - tylko o swoim.

Niezbyt to było rycerskie z jego strony, ale musiała przyznać, że rozsądne. Gdyby ją przesłuchiowano, nie mogłaby udzielić żadnych informacji o człowieku, o którym w gruncie rzeczy nic nie wiedziała. Co się zaś tyczy innych, którzy pomagali w ucieczce, jak choćby chłopak imieniem Denis, to oczywiście nie chciała ich narażać na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Martwiło ją jednak, że inni decydują o jej losie, a ona nie ma nic do powiedzenia. Przez ostatnich kilka tygodni najbardziej dręczyło ją poczucie bezsilności i przysięgła sobie, że dłużej nie będzie tego znosić.

- Z pewnością nic się nie stanie, jeśli mi pan powie, dokąd zmierzamy - nalegała. - Gdyby coś się panu przytrafiło albo gdyby nas rozłączono, powinnam chyba wiedzieć, jaki jest cel mojej podróży.

Wahał się przez chwilę, rozważając jej słowa. W końcu ustąpił.

- Mam panią zawieźć do Anglii, do sióstr, które są pod opieką sir Edwarda Harringtona.

Spojrzała na niego z konsternacją.

- Ależ nie mogę pojechać do Anglii! - zaprotestowała. - Za nic nie opuszczę Francji! Jeszcze nie teraz! Najpierw muszę się dowiedzieć, co z Antoine'em. Jeśli żyje, a jestem tego pewna, nie wyjadę z Paryża bez niego. Musimy go odnaleźć i uwolnić! Mówiłam panu o tym zeszłej nocy.

Zabrała się znów do jedzenia, przekonana, że obywatel Julien zacznie się z nią sprzeczać. Najwyraźniej nie przejmował się losem Antoine'a i nie miał ochoty zmieniać planów. Oczekiwała więc, że zacznie wyliczać wszelkie powody, dla których powinni niezwłocznie uciekać, nie próbując nawet ratować Antoine'a. Ale obywatel Julien nic nie mówił. I nagle zrozumiała, co znaczy to milczenie.

- Nie! - wyszeptała, podnosząc na niego oczy.

Potrząsała przecząco głową, czując, że ogarniają ją przerażenie i ból.

- Mademoiselle... - zaczął Julien łagodnym, niepewnym głosem.

Ukląkł obok niej i chciał ją wziąć za rękę.

- Nie! - krzyknęła gwałtownie, zrywając się z łóżka, i podbiegła do okna.

Wpatrywała się w zamrzniętą szybę niewidzącym wzrokiem.

Julien podszedł i stanął tuż za nią.

Drżała gwałtownie, usiłując zapanować nad lękiem, a równocześnie bojąc się zadać straszne pytanie. Patrzyła przez koronkowe wzory na zamrzniętej szybie na szare, zeszywniałe na mrozie pranie i zlodowaciałą stertę śmieci na ziemi. Było tak zimno! To dlatego nie może opanować drżenia. To w końcu listopad... nigdy jeszcze nie widziała równie zimnego i szarego jak ten.

Gdyby była w domu, kazałaby dorzucić drewno do ognia. W każdej komnacie Château de Lambert był imponujący kominek z obramowaniem z włoskiego marmuru. Czasem widniał na nim herb Lambertów, czasem amorki z girlandami kwiatów... W tym pokoju kominek był mały i czarny, pełen szarego, zimnego popiołu... W jej celi też było bardzo zimno... Czy Antoine, taki chory, bardzo marzył w Conciergerie?...

Z jej ust wyrwał się jęk głębokiej, najszczerzej rozpacz.

Wyczuła, że ręka Juliana zbliża się do jej ręki.

- Nie! - wykrztusiła. - Nie chcę, żeby mnie ktoś dotykał!

Cofnął rękę i odsunął się w milczeniu. Jacqueline nadal wpatrywała się w okno. Nie była w stanie płakać. Pragnęła tego. Ale coś w jej wnętrzu nie pozwalało płynąć łzom. Coś twardego i mrocznego, co napełniało ją bólem i rozpaczą tak straszliwą, że niemal ją rozdzierała... Zaciśnęła zęby i wychudzoną, drżącą ręką dotknęła lodowej koronki na szybie. Przejmująco zimne szkło zmroziło jej palce, zapiekło jak ogniem. Ale pod ciepłym dotykiem szron stopniał i pozostało pięć maleńkich, przejrzystych owali na ziarnistej bieli.

- Ścieli mu głowę? - spytała w końcu ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Nie zdążyli.

Wpatrywała się pustym wzrokiem w zamrznięte pranie, czekając, aż znaczenie tych słów w pełni do niej dotrze. Antoine był ciężko chory, zbyt chory, by znieść lodowate zimno w celi i straszne pożywienie. W dodatku żołnierze Gwardii Narodowej poturbowali go ciężko podczas aresztowania. Może zmarł na skutek wewnętrznych obrażeń. Nie miało to zresztą znaczenia. Tak czy inaczej, był martwy. Równie martwy, jakby stracono go na gilotynie. I za tę śmierć był odpowiedzialny Nicolas.

- Czemu nie powiedział mi pan o tym ubiegłej nocy? - spytała nagle, odwracając się, by spojrzeć na Juliana.

Ze spokojem wytrzymał to spojrzenie.

- Była pani całkiem wyczerpana. Chciałem, żeby się pani choć trochę przespala.

Prosta, rozsądna odpowiedź. Trudno mieć mu za złe, że myślał o sprawach praktycznych. Należało to do jego obowiązków.

- Nie można go było uratować? - spytała cicho, z trudem panując nad głosem.

Obywatel Julien westchnął ciężko.

-Z początku, kiedy sir Edward powiedział mi o aresztowaniu pani i pani brata, zamierzałem uratować was oboje. Panią odnalazłem stosunkowo łatwo, ale w żaden sposób nie mogłem się dowiedzieć, gdzie przebywa Antoine. Był wprawdzie protokół jego aresztowania, ale nikt nie miał pojęcia, gdzie został uwięziony. Akta sądowe republiki pozostawiają wiele do życzenia, a przy takim nawale aresztowań w ciągu ostatnich kilku miesięcy trudno dotrzeć do właściwej dokumentacji - wyjaśnił z rozgoryczeniem.

-...Właściwej dokumentacji - powtórzyła niezbyt przytomnie, jakby te słowa były zaklęciem, które pomoże jej zrozumieć tajemnicę śmierci Antoine'a.

Julien zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

-Było dla mnie jasne, że nie stanął przed sądem. Ponieważ był chory, gdy go aresztowano, pomyślałem, że może odesłano go do więziennego szpitala albo przynajmniej do zakładu karnego o rygorze nieco łagodniejszym niż Conciergerie. Sprawdziłem listy we wszystkich szpitalach i więzieniach, i w końcu znalazłem kogoś o nazwisku Lambert. Kiedy jednak poszedłem go odwiedzić, okazało się, że to stary człowiek, zwykły fałszerz, który naprawdę nazywa się Lavert, nie Lambert. W spisach często się zdarzają takie błędy ortograficzne.

-Błędy ortograficzne - powtórzyła, kiwając głową, jakby to wyjaśniało wszystko.

-Wkrótce potem wcieliłem się w obywatela Julienu i w tej postaci zacząłem odwiedzać Conciergerie, by od niechcenia popytać to tego, to innego więźnia, czy nie wie przypadkiem czegoś o pani bracie. Doszedłem do wniosku, że jeśli panią tam uwięziono, to możliwe, że i Antoine'a, choć nie było go w spisie więźniów. Po kilku dniach natrafiłem wreszcie na kogoś, kto zapamiętał młodzieńca, którego trzeba było wnieść do celi, bo o własnych siłach nie mógł tam dojść. Zdarzyło się to w dniu waszego aresztowania.

Jacqueline tak zacisnęła dłonie, że paznokcie wbiły się jej w ciało.

- Co się z nim stało? - szepnęła.

Przestał chodzić i znów spojrzał na nią uważnie.

- Zmarł tej samej nocy. Następnego dnia pochowano go we wspólnym grobie.

Mówił łagodnie, przepraszająco, jakby czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za tę śmierć. Jacqueline pokręciła głową.

- To jeszcze nie dowód, że chodziło o Antoine'a – powiedziała stanowczo. - To mógł być ktoś inny!

Po tym zaprzeczeniu poczuła się lepiej. Jeśli jest choć cień nadziei, że brat żyje, odnajdzie go!

- Mademoiselle - powiedział cicho obywatel Julien - to był on. Więzień słyszał, jak dozorca, który go strzegł, chwalił się pięknym pierścieniem. Ściągnął go z palca zmarłego, nim zabrano zwłoki. Złoty sygnet z wizerunkiem lwa, lisa i ptaka.

Ostatnia iskierka nadziei zgasła. Julien opisał herb Lambertów.

- Ten ptak to gołąb - szepnęła. - Nasza dewiza brzmiała: „Obyś władał z mocą, mądrością i w pokoju”.

Znów się odwróciła do okna i oparła czoło o zimną szybę, starając się pogodzić z tym, co jej powiedział. Antoine nie żył. Jej cudowny, piękny, mądry brat, taki łagodny i dobry, nawet w dzieciństwie, kiedy płatali sobie niemądre psikusy... Nie żył. Nic już nie miało sensu...

Próbowała skupić myśli na czymś prostym i konkretnym.

- To pierścień mojego ojca - powiedziała cicho. - Podczas pobytu w więzieniu powierzył go Antoine'owi. Powiedział, żeby go strzegł, póki on sam nie wyjdzie na wolność.

Wypowiedziała te słowa spokojnie, jakby opowiadała o czymś, co przydarzyło się obcym ludziom.

Przycisnęła czoło mocniej do szyby i próbowała pojąć, co się stało z jej życiem. Antoine nie żył. Ojciec nie żył. Ona sama też miała umrzeć, ale nie umarła. Suzanne i Seraphine były bezpieczne w odległej Anglii, krainie dalekiej od rzezi i zbrodni, które niosła ze sobą znienawidzona rewolucja. Jacqueline okazała się na tyle przewidująca, że wysłała tam siostry zaraz po aresztowaniu ojca, choć było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Château de Lambert wraz ze znajdującymi się w nim dziełami sztuki i cennymi meblami przeszedł na własność państwa, podobnie jak kapitał i konta bankowe jej ojca. Nie posiadała już nic, ale to nie miało znaczenia. Udało jej się zachować życie. Teraz musi tylko podjąć decyzję, jak je wykorzysta.

Odpowiedź sama się nasuwała.

- Chcę, żeby mi pan pomógł kogoś zabić - oświadczyła ze spokojem.

Popatrzył na nią z mieszaniną zdumienia i litości.

- Jest pani wytrącona z równowagi, mademoiselle – powiedział spokojnym, kojącym tonem. - Musi pani zrozumieć, że w pojedynkę nie da się zdławić rewolucji. Morderstwo polityczne otoczy pani ofiarę nimbem męczennika, a panią pošlą na gilotynę.

Niecierpliwie pokręciła głową.

-Nie chcę zasztyletować Robespierre'a - odparła, mając na myśli wybitnego przedstawiciela Komitetu Ocalenia Publicznego, głównego twórcę idei „oczyszczania Francji z wrogów” za pomocą terroru i rzezi. - Choć przyznam, że zrobiłabym to z prawdziwą przyjemnością! Moja zemsta ma bardziej osobisty charakter.

-O kogo więc chodzi? - spytał zaciekawiony.

-Człowiek ten nazywa się Nicolas Bourdon.

Wymówiła to nazwisko twardo, z goryczą, jakby paliło jej język.

- To ten, który napastował panią w celi?

Przytaknęła i znów utkwiała wzrok w oknie.

-Był przyjacielem mojego ojca - syknęła przez zęby, z najwyższą odrazą w głosie. - A raczej udawał przyjaciela. Pochodził z gminu. Musiał sobie gratulować sprytu, gdy wkradł się w łaski kogoś tak potężnego jak książę de Lambert!

-To właśnie liczy się dla pani, mademoiselle? - zapytał Julien. - Pochodzenie, środowisko, z którego ktoś się wywodzi?

-Zanim mój ojciec zajął się filozofią i polityką, nie myślałam o tym wiele - poinformowała go szorstko. - Obowiązywał system dany przez Boga i każdy znał w nim swoje miejsce. To nie moja wina, że los uczynił mnie córką księcia. A już z pewnością nie odpowiadam za nędzę ludu!

Wiedziała, że mówi arogancko, ale miała już dość rewolucyjnej retoryki i nie zamierzała kajać się ustawicznie z racji swego arystokratycznego pochodzenia.

-Zetknęła się pani kiedyś z chłopami?

-Oczywiście! A kto według pana pilnował mnie w więzieniu, jak nie te podłe świny?

-Przed rewolucją- uściślił. - Czy zapuściła się pani kiedyś poza dworski park, żeby zobaczyć, jak żyją dzierżawcy pani ojca?

W jego głosie nie było oskarżenia, raczej szczerze współczucie. Zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba nie - stwierdziła obojętnie. - Raz do roku ojciec urządzał zabawę dla okolicznych włościan. Schodzili się całymi rodzinami, z żonami i dziećmi. Jedli, pili i

świętowali nadejście wiosny. Czasem też galopowaliśmy z Antoine'em po polach i mijaliśmy po drodze ich chaty. Ale przeważnie zbyt się nam spieszyło, by zatrzymywać się na pogawędki.

-Czy w trakcie tych miłych przejażdżek po polach zastanowiła się pani kiedyś, że konie tratują w pędzie zasiewy i mogą zniszczyć zbiory? - spytał.

-To były pola mojego ojca - rzuciła wyzywająco - a właściciel ziemi ma prawo po niej jeździć, kiedy mu się podoba! Po drugie, pola rozciągały się na wiele kilometrów dokoła, cóż więc znaczyły te niewielkie straty? Chłopom i tak pozostawało więcej niż trzeba.

Pokręcił głową.

-Myli się pani, mademoiselle! Nie pozostawało im „więcej niż trzeba”. Kaprysy pogody, prymitywna uprawa roli i stale rosące czynsze, daniny, podatki i dziesięciny, ściągane przez waszą rodzinę, Kościół i państwo zabierały chłopu dzierżawcy tyle, że ledwie mu starczało na nędzne utrzymanie i przyszłoroczny siew.

-Nie ja stworzyłam ten system - stwierdziła z goryczą. - Przecież funkcjonował całkiem dobrze przez setki lat.

-Z punktu widzenia arystokracji zapewne tak - przytaknął z jawnym sarkazmem.

-Obywatelu Julien! Został pan wynajęty przez przyjaciela mojego ojca tylko po to, żeby wyciągnąć mnie z opresji. Nie zniosę, by najemny pracownik prawił mi kazania na temat rzekomych zbrodni mojego stanu!

Zacisnął zęby, twarz mu spochmurniała. Widać było, że jej słowa przyjął jak zniewagę, ale nie przejęła się tym. Przez chwilę panowało napięte milczenie. Jacqueline czuła, że Julien stara się opanować, zanim się odezwie. W końcu zdołał tego dokonać, gdyż twarz mu się wypogodziła, a całe ciało odprężyło.

- W takim razie, mademoiselle, pozwoli pani, że ją opuszczę i zajmę się zadaniem, do którego zostałem wynajęty.

I ruszył ku drzwiom.

- Proszę zaczekać! - rzuciła rozkazującym tonem.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

- Jeszcze się nie dowiedziałam, czy pomoże mi pan zabić Nicolasa - przypomniała.

Tym razem odwrócił się bez pośpiechu.

-Nie - odparł cicho. - Nie pomogę.

-Zostanie pan wynagrodzony za swe usługi - zapewniła go spieszenie.

Popatrzył na nią z rozbawieniem.

- A więc teraz pani, mademoiselle, chce mnie wynająć? Interesujące! - Milczał przez chwilę, jakby rozważał nowy obrót sprawy. - A z jakich funduszków, jeśli wolno spytać, zamierza mnie pani opłacić?

Jego ton był nieznośnie ironiczny.

Jacqueline się zastanowiła. Nie miała dosłownie ani grosza. Cały majątek jej ojca przypadł. Przezornie ukryła w zamku resztę rodzinnych klejnotów i sreber, dobrze wiedząc, że jeśli Gwardia Narodowa złoży im wizytę, żołnierze rozgrabią, co im wpadnie w oko. A teraz bez wątpienia czają się w pobliżu zamku, by ją aresztować, gdy tylko się tam zjawi.

-No? - ponaglił ją obywatel Julien.

-Nie mam w tej chwili gotówki, by zapłacić panu od ręki - przyznała Jacqueline. - Ale gdy dotrzemy do Anglii, podejmę pieniądze z funduszu, który powierzyłam sir Edwardowi na koszty utrzymania moich sióstr. Jeśli nie zażąda pan jakiejś nieprawdopodobnej sumy, będę mogła panu zapłacić zaraz po przybyciu na miejsce.

Jego twarz nie wyrażała już rozbawienia, tylko niedowierzenie.

- No, no, mademoiselle! Z pewnością stać panią na lepszy pomysł. Czy naprawdę sądzi pani, że z narażeniem własnego życia zamorduję człowieka, który mi w niczym nie wadzi, za mglistą obietnicę, że jeśli wyjdę cało z tej awantury i uda mi się wrócić do Anglii, to otrzymam zapłatę z funduszu na utrzymanie dzieci, o ile coś jeszcze z niego pozostało?

Ku wielkiej irytacji Jacqueline zaczął się śmiać.

- Dlaczegoż by nie? - spytała zapalczywie. - Zawsze dotrzymuję słowa. Jeśli mówię, że zapłacę, to zapłacę!

- O, z pewnością - przytaknął z udaną powagą. - Jeśli tylko oboje ujdziemy z życiem i zdołamy dotrzeć do Anglii. - Pokręcił głową. - Przykro mi, mademoiselle, zawsze żądam zapłaty z góry.

Jacqueline spojrzała na niego z niesmakiem.

- To doprawdy nierozsądne wymagania! A jeśli pańska misja się nie powiedzie?

Wzruszył ramionami.

- Wtedy będzie po mnie. - Ponownie skierował się w stronę drzwi. - Wrócę mniej więcej za godzinę. Niech pani będzie gotowa do drogi.

Jacqueline wyprostowała się dumnie.

- Nigdzie z panem nie jadę - oświadczyła.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

Skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na niego z satysfakcją i stanowczo.

- Nie pojedę z panem - powtórzyła. - Nie zamierzam opuszczać mego kraju i uciekać do Anglii. Muszę najpierw pomścić śmierć mego ojca i brata. Nicolas Bourdon spowodował ich aresztowanie, postaram się, żeby zapłacił za to życiem!

Na Julienie ta brawura nie zrobiła większego wrażenia.

- Niczego pani nie dokona - powiedział ostro. - I tak już pozostaliśmy tu niebezpiecznie długo. Bez pomocy nie znajdzie pani nawet schronienia.

Najwyraźniej uznał temat za wyczerpany.

Jacqueline ubodło jego jawne lekceważenie. Czy naprawdę myślał, że tak łatwo skłoni ją do zmiany decyzji?

- Mam przyjaciół, u których mogę się zatrzymać. I kilkoro wiernych służących, chętnie udzielą mi pomocy! - zaprotestowała.

Jego cierpliwość wyraźnie się wyczerpała.

- Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że co najmniej cztery oddziały Gwardii Narodowej zawzięcie pani szukają? - spytał z naciskiem. - Przetrzęsnęli już od góry do dołu pani ukochany Château, a teraz zabierają się do przesłuchiwania wszystkich krewnych, przyjaciół i służących, którzy mogli dopomóc pani w ucieczce. Kontaktując się z kimkolwiek z nich, podpisze pani na niego wyrok śmierci. Czy tego właśnie pani chce? - spytał szorstko.

Zawahała się. Musiała przyznać, że nie myślała dotąd ani o swoim, ani o cudzym bezpieczeństwie. Nie dbała o to, co się z nią stanie, kiedy zabije Nicolasa. Ale nie miała prawa dla prywatnej zemsty narażać innych! Pojęła, że musi sobie radzić sama.

- Wobec tego nie zwrócę się do nikogo z przyjaciół - ustąpiła. - Będę po prostu zatrzymywać się w zajazdach takich jak ten.

O tym, jak zdoła zapłacić za nocleg, nie miała zielonego pojęcia.

- Znakomity plan! - zauważył sucho. - Tyle tylko, że rozesłano już pani dokładny rysopis i wyznaczono pokaźną nagrodę. Jaki oberżysta, kupiec czy uliczny sprzedawca oprze się pokusie spełnienia obywatelskiego obowiązku i wzbogacenia się przy okazji o okrągłą sumkę?

Jacqueline zacisnęła pięści.

- Czego właściwie pan ode mnie oczekuje? - spytała z gniewem. - Ze zapomnę o strasznej krzywdzie, jaką Nicolas wyrządził mnie i mojej rodzinie? Ze ucieknę do Anglii, kiedy on i jemu podobni mordują niewinnych ludzi i niszczą mój kraj?

- Tak- odparł ze spokojem. - Mam nadzieję, że pani stąd wyjedzie, wyrzekłszy się

zemsty i nienawiści. Ze popłynie pani ze mną do Anglii i zbuduje tam nowe życie dla siebie i swoich sióstr. Czym te biedne dzieci zawiniły, że mają stracić ostatnią z najbliższych osób w imię choćby nie wiem jak słusznej sprawy? Zaslugują na to, by mieć przy sobie kogoś dobrze znanego i kochanego, kto pomoże im uporać się z tym wszystkim, co do tej pory musiały znieść!

Nie chciała, by przypominał jej o siostrach. Myśli o nich łagodziły jej gniew i utrudniały skupienie się na czekającym ją zadaniu.

-Moje siostry obejdą się doskonale beze mnie - zapewniła. -A sir Edward i jego żona byli w młodości dobrymi przyjaciółmi moich rodziców. Jestem pewna, że są też dobrymi i czułymi opiekunami.

-Niewątpliwie - przyznał. - Ale czy nie uważa pani, że Suzanne i Seraphine powinny mieć przy sobie kogoś bliższego niż pełni nawet najlepszych chęci opiekunowie, którzy mówią złą francuszczyzną i nie rozumieją ani wartości tego, co pani siostrzyczki utraciły, ani rozmiarów tragedii, jaką przeżyły?

- Są jeszcze małe. Nauczą się angielskiego i zapomną o przeszłości.

Myśl ta jednocześnie sprawiła jej ulgę i napełniła bólem. Julien popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Czy pani wie, mademoiselle, że Seraphine od trzech miesięcy nie powiedziała ani jednego słowa?

Spojrzała na niego przerażona. Trzy miesiące temu powiadomiła dziewczynki o śmierci ojca.

-Nie - wyszeptała. - Nie miałam o tym pojęcia...

-Kiedy dowiedziała się o śmierci ojca, przez trzy dni płakała w swoim pokoju - mówił dalej zniżonym głosem. - Nikt nie mógł jej przekonać, by stamtąd wyszła. Przynoszono jej posiłki na tacy, ale ich nie tknęła. Suzanne i lady Harrington przez długie godziny starały się przemówić jej do rozumu. Wreszcie zdołały ją skłonić do opuszczenia pokoju. Ale mimo wszelkich starań Seraphine nadal milczy.

-Nie wiedziałam... - powtórzyła Jacqueline słabym głosem. - Nikt mi o tym nie napisał!

Wzbierały w niej gniew i ból. Jej siostry cierpiały znacznie bardziej, niż sądziła. Wysłała je do Anglii, żeby były bezpieczne, ale nie mogła uchronić ich od bólu, jaki odczuły na wieść o śmierci ojca. Tak samo jak nie mogła powstrzymać jego egzekucji ani nie mogła obronić Antoine'a.

- Powinna pani przede wszystkim myśleć teraz o siostrach – mówił z przekonaniem

obywatel Julien. - Niechże więc pani zapomni o zemście i skoncentruje wszystkie siły na tym, by dotrzeć zdrowo i cało do Anglii. Tam jest pani najbardziej potrzebna, mademoiselle!

Pokiwała głową z roztargnieniem i przysiadła na krześle. Obywatel Julien podszedł do drzwi.

- Wrócę, kiedy tylko będę mógł. Proszę, by pani pod żadnym pozorem nie opuszczała pokoju i była gotowa do drogi, gdy tylko się zjawię.

Raz jeszcze kiwnęła głową, ale nadal wpatrywała się martwym wzrokiem w przestrzeń. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, zazgrzytał klucz w zamku. Powolne, człapiące kroki obywatela Julienu cichły w oddali.

Przez długi czas siedziała wpatrzona w nicłość. Ojciec i brat nie żyli. Siostry wciąż boleją nad śmiercią ojca. Ich rodzinny dom i majątek przepadły. Cały świat się rozpadł i nic go już nie przywróci do dawnego stanu.

Żądza zemsty znów chwyciła ją za gardło.

Posuwał się naprzód powoli, ale wytrwale; nie odważył się przyspieszyć kroku, bo nie licowało to z jego rzekomą starością. Miał ochotę wynająć powóz, ale to by z pewnością zwróciło uwagę; teraz prawie każdy wędrował na piechotę, z wyjątkiem - rzecz jasna - przedstawicieli rządu rewolucyjnego. Toteż nawet ci, których nadal stać było na powóz, woleli kupić parę mocnych, wygodnych butów i razem z resztą obywateli korzystać z własnych nóg.

Przechodnie spoglądali na niego z niewielkim zainteresowaniem. Był po prostu jednym z wielu zgarbionych starych ludzi, człapiących po ulicach Paryża. Obywatel Julien idealnie wtapiał się w tłum. Mimo to trzeba będzie niebawem pożegnać się z tym wcieleniem. Wieść o starcu, który pomógł młodej arystokratce w przebraniu chłopca uciec z Conciergerie, krążyła już po mieście. Wczesnym rankiem opublikowano raport o ucieczce więźniarki i wyznaczono nagrodę dla tego, kto pomoże ją schwytać. Ciekawe, ilu wyrostków i starców zaciągną do więzienia na przesłuchanie!... Julien wolał o tym nie myśleć.

Szedł wytrwale krętymi, wąskimi ulicami, rozpatrując w myśli swój plan, oceniając ryzyko, doszukując się słabych punktów. Możliwości klęski było mnóstwo. Zazwyczaj takie analizowanie zagrożeń i obmyślanie środków zaradczych wyostrzało jego przenikliwość i czujność. Dziś jednak po prostu go irytowało; chciał jak najprędzej wykonać swe zadanie i wrócić do mademoiselle de Lambert. Przekonawszy się tego ranka, jak dalece Jacqueline nie dba o to, co się z nią stanie, wolał mieć ją stale na oku. Choć był niemal pewny, że ją

przekonał, by wyrzekła się samobójczych myśli o zemście, wrzały w niej gniew i ból, a taka kombinacja mogła okazać się niebezpieczna dla nich obojga.

Większość ludzi, których ratował z opresji, sparaliżowana strachem, chętnie słuchała jego wskazówek. Zdumieni i wdzięczni za udzielenie im pomocy darzyli go absolutnym zaufaniem, co znacznie ułatwiało mu potajemne wywiezienie ich z Francji.

Mademoiselle de Lambert nie była jednak skłonna do uległości. Wieść o śmierci brata wstrząsnęła nią do głębi, ale jej spokojne i rzeczowe stwierdzenie, że nie opuści Paryża, gdyż musi zabić swego wroga, świadczyło o sile jej charakteru i niezłomnej woli. Różniła się bardzo od dobrze wychowanych panienek, nieznających świata, skłonnych do łez i omdleń... choć w przeszłości należała może do ich grona. W kobiecie, którą chciał ocalić, pod maską opanowania wrzały gorycz i straszliwy gniew. To właśnie ten gniew popchnął ją do zadania ciosu kapitanowi Gwardii Narodowej i wybicia mu zębów, a także do roztrzaskania butelki na głowie pijanego draba, dwa razy większego od niej. Wściekły gniew, zrodzony z bólu i poczucia bezsilności. Julien doskonale ją rozumiał. Niestety, gniew sprawiał też, że zachowanie dziewczyny było nieprzewidywalne, a to mogło się okazać groźne dla obojga.

Pośpiesznie sprawdził przez okno, czy w sklepiku ze świecami nie jest zbyt tłoczno. Właściciel sklepu kończył właśnie obsługiwać jedyną klientkę. Obywatel Julien pochylił się nad ladą i udawał, że podziwia leżące na niej świece, póki młoda dziewczyna nie wyszła ze swoim sprawunkiem.

-Mam nadzieję, obywatelu, że już wykonaliście dla mnie to specjalne zamówienie? - spytał chrapliwym głosem, gdy drzwi zamknęły się za klientką.

-Właśnie dziś rano je ukończyłem - odparł obywatel Gadbois, zamykając drzwi i umieszczając w oknie wywieszkę „Zamknięte”. - Chodźmy na zaplecze.

Obywatel Julien poczłapał za nim za ladę i przez tylne drzwi do warsztatu. Pachniało tu roztopionym woskiem, a jego okruchy i strzępki knota wały się po podłodze. Gadbois zdjął z półki ukryte za stosem świec pudełko. Postawił je na warsztacie i otworzył. W środku były dwie identyczne, żółte, tanie świece.

- Dokumenty są w środku, zawinięte w sztywny papier - powiedział cicho.

-Wystarczy obciąć koniec świecy, wysuną się bez trudu.

Zaczął pakować sprawunek.

Obywatel Julien sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył niewielką skórzaną sakiewkę. Gdy upuścił ją na warsztat, brzęknęła obiecująco.

- W srebrze, jak się umówiliśmy - powiedział do obywatela Gadbois. - Możecie

przeliczyć, jeśli chcecie.

Gadbois spiesznie upewnił się, że otrzymał całą kwotę, zanim wręczył klientowi świece.

- Ufam wam, obywatelu - usprawiedliwił się - ale czasy są ciężkie...

Włożył sakiewkę do szuflady i zamknął ją na klucz.

Obywatel Julien skłonił głowę, ani trochę nieurazony ostrożnością świecarza.

- Słyszeliście jakieś nowiny, obywatelu? - spytał.

Obywatel Gadbois rozejrzał się niespokojnie, jakby się spodziewał, że za chwilę ktoś wtargnie ze sklepu albo wyskoczy ze ściany.

-Opowiadają o ucieczce z Conciergerie zeszłej nocy - szepnął. - Córka byłego księcia de Lambert! Podobno pomagał jej jakiś staruszek. Jedni mówią, że to wierny sługa, inni, że to robota Czarnego Księcia.

-A co na to Gwardia Narodowa? - zagadnął obojętnie obywatel Julien.

Gadbois się uśmiechnął.

-Wolą myśleć, że to wierny sługa. Podobno dozorca zaklina się, że stary odwiedził ją w celi tuż przed jej zniknięciem. A oskarżyciel publiczny stara się udowodnić, że dozorca był w zмовie.

-Może i był - stwierdził obywatel Julien i odwrócił się, żeby wyjść.

-Jeszcze słówko, obywatelu! - zatrzymał go Gadbois. - Podobno specjalnie im zależy na tej arystokratce. Gadają, że to szpieg i że chce wywieźć do Anglii tajemnice wojskowe. Jak się Anglicy dowiedzą, wymordują tysiące lojalnych obywateli francuskich!

-Doprawdy? - zdziwił się obywatel Julien. -I wy w to wierzycie?

W jego głosie brzmiało rozbawienie.

Gadbois wzruszył ramionami.

- To nie moja sprawa - odparł obojętnie. -Wiem tylko tyle, że nagroda za złapanie dziewczyny jest wysoka. Gwardia Narodowa już jej szuka. A każdego, kto by chciał opuścić Paryż, wymagają przy bramie jak się patrzy! - Spojrzał na Juliena wymownym wzrokiem. - I dziewczyna, i ten, kto jej pomaga, powinni się mieć na baczności!

Obywatel Julien poważnie pokiwał głową.

- Dziękuję za świece, obywatelu - powiedział i wyszedł.

Jacqueline leżała na łóżku, wpatrując się w niezliczone rysy na suficie. Spakowała

już jedzenie i podarki, które jej przyniósł obywatel Julien. To na chwilę oderwało ją od dręczących myśli. Kiedy jednak uporała się z pakowaniem, nie znalazła niczego innego, czym mogłaby się zająć. Położyła się więc na łóżku, by rozważyć zmiany, jakie zaszły w jej sytuacji, i możliwości, jakie się przed nią otwierały.

Miała do wyboru dwie drogi: udać się z obywatelem Julienem do Anglii i mieszkać z siostrami albo pozostać w Paryżu i dopilnować, by Nicolasa Bourdona spotkała zasłużona kara.

Perspektywa ponownego zobaczenia Suzanne i Seraphine była niezwykle kusząca. Nie widziała ich od pięciu miesięcy. Jakże chętnie objęłaby je ramionami i przytuliła z całej siły! Kiedy je wysyłała z domu, myślała tylko o ich bezpieczeństwie. Nie chciały odjeżdżać. Obie płakały i rozpaczliwie protestowały. Mówiły, że nie chcą rozstawać się z ojcem, bratem i siostrą, bo się boją, że już nigdy ich nie zobaczą. Jacqueline uspokajała je i bagatelizowała ich obawy. Obiecywała, że za miesiąc lub dwa, kiedy papa zostanie wypuszczony z więzienia i życie we Francji stanie się normalne, będą mogły wrócić. Dziesięcioletnia Suzanne spytała, czy źli ludzie, którzy uwięzili papę, chcą go zabić. Jacqueline wylażała ją i zabroniła nawet myśleć o takich okropieństwach. Wszystko będzie dobrze! Papa na pewno zostanie uwolniony i wszyscy znów będą razem. Obiecała im to solennie.

Nie mogła jednak dotrzymać obietnicy. Ojciec został skazany na śmierć i wyrok wykonano tego samego dnia. Ani jej, ani Antoine'owi nie pozwolono się z nim zobaczyć przed egzekucją. Ojciec zdążył jednak napisać do nich pożegnalny list. Prosił, by przebaczyli jego wrogom, tak jak on im przebaczył. Nie wątpił, że kierowała nimi szczerą troską o zachowanie nowego ładu we Francji, a on nie ma prawa osądzać ich gorliwego działania. Tylko Bóg może ich osądzić. Prosił swe dzieci, by mimo bólu nie poddawały się rozpaczom i nie zniżały do nienawiści.

Tej ostatniej prośby Jacqueline nie potrafiła spełnić.

Ojciec i Antoine nie żyli. Tego nic nie mogło już zmienić. Siostry były teraz sierotami, zagubionymi i samotnymi w obcym kraju. Potrzebowały pomocy, by pogodzić się z utratą rodziny i przywyknąć do nowego życia. Jacqueline bardzo pragnęła otoczyć je miłością, cierpliwie im pomagać, przywrócić wiarę w ludzką dobroć i sprawić, by witały każdy dzień z nadzieją, a nie z bólem. W głębi serca wiedziała jednak, że nie jest do tego zdolna. Rósł w niej mroczny, bolesny, trujący gniew. Potężniał z każdym oddechem. Przytłaczał jej ciało i jej ducha. Od śmierci ojca nie mogła nawet płakać.

Gdyby pojechała z obywatelem Julienem do Anglii, jakiej pomocy udzieli swoim siostrzyczkom? Jak mogła je namawiać, by zapomniały o przeszłości i rozpoczęły nowe

życie, skoro sama tego nie zrobiła?

Suzanne i Seraphine były jeszcze małe - miały sześć i dziesięć lat. Wszyscy wiedzą, że dziecięce rany łatwo się goją. Pozostaną oczywiście blizny, ale i one z czasem zbledną. Postacie ojca i brata staną się zamglone i odległe, a wspomnienia z Château de Lambert ograniczą się do kilku miłych, niewiele znaczących momentów.

Jacqueline przekonała się o tym po śmierci matki, która zmarła, wydając na świat Seraphine. Choć często o niej rozmawiała z Suzanne, wspomnienia dziewczynki coraz bardziej się rozwiewały. A nawet nie-gasnący ból najstarszej córki z czasem osłabł.

Tak, Suzanne i Seraphine otrząsną się z bólu. Ale nie ona. Tym razem była już dorosła, a przyczyną jej cierpienia nie była tragiczna śmierć kogoś bliskiego, lecz zagłada całej rodziny, zniszczonej przez triumfujące zło i niesprawiedliwość. Takiego bólu nie uleczy nic, nawet czas.

Podjęła już decyzję. Nie ucieknie do Anglii. Zbyt była przeżarta nienawiścią i gniewem, by pomóc siostrze; nie spotka się więc z nimi. Czegoś jednak dokona: zabije Nicolasa Bourdona. Może właśnie dlatego los pozwolił jej na krótką chwilę wymknąć się śmierci? Po popełnieniu tego morderstwa z pewnością zostanie schwytana i stracona, ale to nie miało już znaczenia. Musi tylko zabić swego wroga, nie zależy jej na ocaleniu.

Głośny stukot ciężkich buciorów, dolatujący z dołu, przerwał jej rozmyślenia. Jakiś głos, ostry i rozkazujący, rozlegał się gromkim echem w całej gospodzie. Jacqueline nadstawiła ucha, lecz nie mogła zrozumieć słów. Odpowiedział mu inny, przyciszony głos, zapewne należący do oberżysty. Jacqueline zerwała się z łóżka, podbiegła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Nie słyszała wyraźnie słów. Poruszyła klamką... zamknięte na klucz. Nie miała drugiego klucza, żeby się stąd wydostać. Obywatel Julien znów zamknął ją w pokoju. Zapewne chciał jej w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo, ale właściciel gospody miał prawdopodobnie zapasowy komplet kluczy. A jeśli nie, wystarczy wyważyć drzwi. Obywatel Dufresne i ten drugi mężczyzna chyba się sprzeczali?... Jacqueline usłyszała łoskot przewracanych mebli i otwieranych kopniakiem drzwi. Serce zamarło jej w piersi, gdy na schodach zadudniły ciężkie kroki.

Na kilka sekund ogarnęła ją taka panika, że nie była w stanie się ruszyć. Znaleźli ją! Zaraz zostanie pojmana i od razu zabiorą ją na stracenie. Jakże to niesprawiedliwe, że udało jej się wyrwać śmierci na głupie kilka godzin! Mimo wszystko nie dokona zemsty. Nicolas będzie żył, a ona umrze. Tak, na świecie nie ma sprawiedliwości!

Odwróciła się raptownie, czując nagłą potrzebę działania. Musi się jakoś uratować!... Nie bardzo wiedziała jak. Wzrok jej spoczął na oszronionej szybie.

Jednym szarpnięciem otworzyła okno. Przerzuciła nogi przez parapet, a potem zawisała na rękach. Poczuła, że jej stopy dotykają wąskiej półeczki poniżej okna. Z wahaniem oderwała rękę od parapetu i uchwyciła się okiennicy, niepewna, czy gzyms wytrzyma jej ciężar. Wytrzymał! W drewnianych, niezgrabnych sabotach trudno było stąpać po wąskim występie, toteż bardzo powoli przesuwała się w stronę następnego okna. Trzymała się pierwszej okiennicy kurczowo lewą ręką, póki palce prawej nie dosięgnęły drugiej. Drzazgi z wyschniętego i połamanego drewna wbiły się jej w palce. Zacisnęła zęby i z determinacją sunęła od okiennicy do okiennicy. Poruszała się tak szybko, jak tylko mogła, mimo obawy, że straci równowagę. W końcu dotarła do węgła. Niski dach sąsiedniego budynku znajdował się bardzo blisko, musiała się jednak zdobyć na ogromny wysiłek woli, by puścić okiennicę i skoczyć w dół. Wylądowała na czworakach, zerwała się i przemknęła po dachu w stronę, gdzie z góry spostrzegła stertę śmieci. Wyrwał się jej okrzyk trwogi, gdy zeskokczywszy z dachu, wylądowała na twardej, oblodzonej górze, a nie na miękkiej poduszce, jak się spodziewała. Odkryła też, że utyka, ale pobiegła dokoła budynku, a potem ciemnym, wąskim zaułkiem wychodzącym prosto na ulicę.

Przed wejściem do gospody stał tłum gapiów, którzy rzucili wszystko, by podziwiać, jak oddział Gwardii Narodowej dokonuje aresztowania. Jacqueline pospiesznie zsunęła czapkę na czoło, osłoniła twarz, podnosząc kołnierz kapoty i spokojnym krokiem wyszła na ulicę, by zmieszać się z tłumem ciekawskich. Osiem koni czekało cierpliwie przy drzwiach zajazdu. Pilnował ich jeden żołnierz, a zatem aż siedmiu zuchów weszło do środka, by ją aresztować! Niewątpliwie słyszeli o jej poprzednim spotkaniu z Gwardią Narodową. Rozejrzała się ukradkiem, by sprawdzić, czy ktoś się na nią nie patrzy. Na ulicy pełno było chłopaków i mężczyzn w różnym wieku, ubranych podobnie do niej, toteż nie rzucała się w oczy. Obywatel Julien mądrze obmyślił jej przebranie!

Zaczęła się powoli przesuwać do tyłu, by dołączyć do wartkiego strumienia przechodniów nieciekawych lub nieświadomych tego, co się dzieje w zajęzdzie. Zatrzymała się na widok powozu, wyjeżdżającego właśnie zza zakrętu. Pędził z niebezpieczną szybkością po wąskiej, zatłoczonej ulicy, zmuszając zbitą ciżbę, by się rozstąpiła. Na szczęście ludzka fala uniosła Jacqueline na przeciwległą stronę ulicy. Powóz zatrzymał się z turkotem przed wejściem do oberży. Drzwiczki się otwały i z powozu wysiadł Nicolas Bourdon.

Na jego widok ogarnęła Jacqueline nienawiść tak gwałtowna, że zrobiło jej się słabo. Nicolas zatrzymał się na chwilę, by zamienić kilka słów z żołnierzem stojącym przed drzwiami oberży, po czym wszedł do gospody. Instynkt nakazywał Jacqueline uciekać jak najprędzej, ale zamiast tego stała jak skamieniała, słuchając wrzasków tłumu, który czekał

niecierpliwie na powrót gwardzistów prowadzących więźnia.

Po kilku minutach w drzwiach gospody stanął Nicolas. Na jego twarzy malowały się wściekłość i niesmak. Za nim dreptał oberżysta Dufresne, załamując ręce i tłumacząc się gęsto. Potem jeden za drugim wyszło siedmiu gwardzistów z nietęgimi minami. Pospiesznie dosiedli koni i odjechali, wyraźnie zakłopotani tym, że akcja się nie powiodła. Nicolas ruszył do powozu, ale zanim wsiadł, zaczął się bacznie rozglądać wśród tłumu. Zupełnie jakby odgadł, że Jacqueline jest w pobliżu albo poczuł na sobie jej wzrok. Jeśli postoi dłużej, z pewnością ją zobaczy i rozpozna, mimo przebrania! Ogarnęła ją panika. Skuliła się i niby przypadkiem stanęła za zwałistym drabem, który skutecznie chronił ją przed wzrokiem Nicolasa.

Okrzyki z tłumu, domagające się wyprowadzenia więźnia, zmieniły się w uszczypliwe uwagi pod adresem Gwardii Narodowej. Nicolas zmierzył wszystkich groźnym spojrzeniem, uciszając skutecznie tych, co stali najbliżej; przelękli się zapewne, że w gniewie może nakazać, by ich aresztowano. Bourdon, zadowolony tym, że potrafi zmusić do uległości przynajmniej część zgromadzonych, szarpnął drzwiczki powozu i wsiadł do środka. Jacqueline odetchnęła z ulgą, gdy pojazd ruszył.

Nie mogła wprost uwierzyć we własne szczęście: nie tylko nie została zdemaskowana, ale los wprost wydał wroga w jej ręce! Zaczęła się spieszyć przepychać przez tłum, chcąc podążyć za powozem inspektora do jego domu. Podniecenie ją uskrzydliło. Kiedy będzie już wiedziała, gdzie mieszka Bourdon, wróci tam wieczorem i jakoś dostanie się do środka. Przekona Nicolasa, że jest sama, przerażona i rozpaczliwie pragnie, by ją gdzieś ukrył. Powie mu, że w zamian za udzieloną pomoc gotowa jest zostać jego kochanką. Bez względu na to, czy Nicolas przystanie na ten układ, czy nie, niewątpliwie zapragnie mieć ją zaraz, natychmiast, dla zademonstrowania swej władzy. Jej zaś wystarczy kilka sekund sam na sam, by zatopić mu nóż w sercu, gdy pożądanie osłabi nieco jego czujność. Jeśli nie padnie pod pierwszym uderzeniem, ugodzi go po raz drugi. Pierwszy cios za ojca, drugi za Antoine'a. Obaj zostaną pomśczeni! Uśmiechnęła się do tej myśli.

- Uważaj, gdzie leziesz, smarku! - warknął jakiś głos.

Jacqueline spojrzała na wysokiego, chudego wyrostka, na którego niechcący wpadła.

- Najmocniej przepraszam! - powiedziała pokornie. - Tak się spieszę, że zupełnie was nie zauważyłem, obywatelu!

Przeprosiwszy, jak należy, zamierzała ruszyć w dalszą drogę. Za nic nie chciała stracić z oczu powozu Nicolasa!

Dwie brudne łapy chwyciły ją za ramiona. Spojrzała z oburzeniem na chłopaka.

Uśmiechał się złośliwie, ukazując zepsute zęby, z których co najmniej trzy stracił już w jakiejś bójce. Kościste paluchy wpijały się boleśnie w jej ciało, gdy spoglądał na nią z niedowierzaniem i rozbawieniem.

-Ale ma gadane, co? - rzucił w stronę swoich sześciu kompanów, którzy obścibali ich kołem.

-No! - przytaknął jeden z nich, uderzając Jacqueline boleśnie w tył głowy. - Ej, mały! Gdzieś się nauczył tak gadać?

-Puść mnie! - zażądała Jacqueline stanowczo, wyrывая się z uścisku napastnika.

Słyszała, jak turkot powozu Nicolasa cichnie w dali. Za wszelką cenę musi go dogonić!

- Rozkazywać mi tu będziesz, co? - zagadnął chudy wyrostek z szyderczym grymasem.

Puścił ją raptownie i pchnął z całej siły tak, że poleciała do tyłu, na innych chłopaków. Potknęła się jednak, zanim na nich wpadła. Kilka par rąk wyciągnęło się ku niej. Odrzucili ją z powrotem do głównego dręczyciela, który ryknął śmiechem, gdy zwała mu się na pierś.

- Nawet chodzić nie umie! Trzeba ci dać dobrą szkołę, smarku - warknął, chwytając ją znów za ramiona. - Twoje szczęście, że jak raz mamy trochę czasu!

Jacqueline wyrwała się rozpaczliwie, usiłując uwolnić z jego uścisku.

-Puść mnie, ty brudna świnio, bo...

-Pierwsza lekcja: nie wyzywaj pana nauczyciela od brudnych świń! - zadrwił młokos i uderzył ją z rozmachem w twarz.

Zatoczyła się pod ciosem, banda chłopaków zawyla z radości. Poczula, że coś ciepłego sączy się jej z ust. Dotknęła warg palcem i ku swemu przerażeniu ujrzała krew.

Tłący się w jej wnętrzu gniew wybuchnął z niezwykłą siłą. Nie panowała już nad sobą. Jak te andrusy z rynsztoka śmiały rzucać się całą bandą na słabszego i znęcać się nad nim?! Przez nich nie znajdzie dziś mieszkania Nicolasa!

Rzuciła się na chudzielca z pazurami i paskudnie porała mu twarz.

Jej furia nie była skierowana wyłącznie przeciw temu młokosowi, lecz przeciw całemu światu, niesprawiedliwemu, szalonemu światu, z którym chciała wyrównać rachunki. A jeśli nie z całym, to przynajmniej z jakąś jego częścią!

- Ściągnijcie ze mnie tego drania! - ryknął wyrostek, bezskutecznie usiłując osłonić twarz i szyję przed bezlitosnym atakiem Jacqueline.

Sześć par rąk wczepiło się w nią i oderwało ją od niego. Jacqueline krzyknęła i zaprzestała walki, gdy poczuła, że ktoś złapał ją za pierś.

- O rany! To dziewczucha! - wyjąkał jeden z chłopaków ze zdumieniem.

Dwaj inni chwycili ją za ramiona i unieruchomili.

Prowodyr, który wszczął całą awanturę, spoglądał na Jacqueline z konsternacją, ostrożnie pocierając policzek, na którym widać było smugę głębokich zadrapań. Podszedł do Jacqueline i ściągnął jej czapkę z głowy. Nierówno ucięte kosmyki jasnych włosów opadły na ramiona. Najwidoczniej chłopak nadal nie był przekonany, bo wyciągnął rękę ku jej piersi. Ścisnął ją boleśnie. Jacqueline krzyknęła i nie przebierając w słowach, wyjawiała mu, co o nim myśli. Na podrapanej twarzy młokosa znów pojawił się szeroki uśmiech, ukazujący zepsute zęby. Po chwili obstał ich tłum. Ludzie popychali się, bili i klęli, byle tylko rzucić okiem na arystokratkę, co uciekła z więzienia, o czym zapewniał z triumfem wrzaskliwy młokos.

Rozdział 4

Owładnęła nią lodowata trwoga, tak straszna, że nie była już w stanie walczyć, krzyczeć, poruszać się. Zostanie zmasakrowana przez rozwścieczony tłum! Była tego pewna.

Dobrze znano krwiożerczość paryskiego motłochu. We wrześniu 1792 roku kipiący gniewem obywatele bestialsko zamordowali ponad tysiąc czterystu więźniów różnych paryskich więzień. Mężczyźni, kobiety i dzieci padali pod bezlitosnymi ciosami siekier, toporów, szabli, noży i pik. Księżnę de Lamballe, uwięzioną w La Force, postawiono najpierw przed samozwańczym sądem, a potem brutalnie zarąbano, zdzierając z niej odzienie i groteskowo kalecząc jej ciało. Później kaci ucięli swej ofierze głowę i zatknęli ją na ostrzu piki ponieśli w triumfie ulicami Paryża aż do Świątyni Rozumu, by tam wręczyć ją przyjaciółce zabitej, Marii Antoninie. Żaden ze sprawców wrześniowej masakry nie był ścigany ani nie został ukarany. Rząd rewolucyjny, choć oficjalnie nie aprobował takich potworności, uznał je za „godne pożałowania, ale całkowicie zrozumiałe”. Przesłanie było wyraźne: obywatel, który w nich bierze udział, nie musi obawiać się kary.

-Na gilotynę z nią! Sanson już na nią czeka!

-A co z nagrodą?!

-Nie ma co się oglądać na brzytwę! Zabijmy toto od razu!

-Ona jest moja! Jaja pierwszy przyuważyłem!

-Jaśniepańska dziwka!

Cizba tłoczyła się wokół Jacqueline, szarpiąc ją za włosy, chwytając za ramiona i piersi. Próbowwała osłonić głowę rękami, ale młodzi bandyci trzymali ją mocno, toteż nie upadła, gdy tłum ludzi o twarzach wykrzywionych nienawiścią napierał na nią, popychał we wszystkie strony i bił, gdzie popadło. Zupełnie jakby wierzyli, że ona i tylko ona jest sprawczynią wszystkich nieszczęść, a gdy ją zatłuką, skończą się raz na zawsze ich cierpienia. Mówiła sobie, że nie boi się śmierci, ale teraz jej trwoga przekraczała wszelkie wyobrażenia. Zwiesiła głowę i krzyczała ze strachu, modląc się, by jak najszybciej było po wszystkim.

Rozległ się ogłuszający wystrzał z broni palnej. Ryk rozwścieczonej tłuszczy zamilkł jak nożem uciął. Zaskoczeni, zastygli ze wzniesionymi pięściami; tylko oczy biegały, szukając tego, kto strzelił, i tego, kto został zabity.

- Odsunąć się!

Groźna pewność siebie, z jaką wydano rozkaz, nie uszła uwagi tłumowi. Wzniesione ręce opadły, na wykrzywionych nienawiścią twarzach pojawiła się niepewność.

- Cofnąć się, i to już!

Niektórzy jeszcze się wahali, rozdarci między mściwością a lękiem. Rozglądali się, by widzieć, kto wydaje te rozkazy, jakby od jego wyglądu zależało, czy ich posłuchają. A potem, bardzo wolno, zaczęli się cofać.

Chłopcy, którzy trzymali Jacqueline, nie rozluźnili bolesnego chwytu, ale większość gapiów cofnęła się, pozostawiając wolną przestrzeń wokół niej. Dziewczyna, choć niesłychanie wzburzona, usiłowała się opanować. I ona podniosła głowę, by zobaczyć, kto zdołał ujarzmić rozwścieczony tłum.

Imponujący kapitan Gwardii Narodowej na wspaniałym karym koniu trzymał w ręku pistolet, gotów strzelać do każdego, kto ośmieli się zakwestionować jego rozkaz. Jego mundur, składający się ze spodni z lampasami i błękitnej kurtki o przybrudzonych białych wyłogach i z wystrzępionymi epoletami, był podniszczony i źle dopasowany, co się zresztą często zdarzało i w niczym nie umniejszało wspaniałej postawy i siły przystojnego wojaka.

Kapitanem tym był obywatel Julien.

Jego wzrok zważył się z oczyma Jacqueline, przekazując jej bezgłośny rozkaz: Nie odzywaj się! Błyskawicznie zmierzył ją spojrzeniem. Muszę wyglądać jak straszdyło z tą krwawiącą wargą i w poszarpanym ubraniu! - pomyślała. Cień gniewu przemknął po jego twarzy, by zaraz zniknąć pod maską obojętności. Nikt prócz Jacqueline nie dostrzegł tego.

Spoglądał na nią beznamiętnie, doskonale opanowany, a nawet pogodny, jakby sytuacja była incydentem bez znaczenia, który przydarzył mu się podczas codziennych zajęć. Potem przeniósł wzrok na trzech wyrostków trzymających dziewczynę.

- Puśćcie ją.

Zawahali się i wymienili między sobą niespokojne spojrzenia.

- To myśmy ją złapali - zaprotestował prowodyr. - To ta arystokratka, co umknęła z więzienia. Należy się nam nagroda.

Powiedział to stanowczym tonem, choć kryła się w nim nutka niepewności. Było jasne, że lepiej nie zadzierać z kapitanem Gwardii Narodowej.

- Puśćcie ją - powtórzył obywatel Julien, nie podnosząc głosu – bo każę was aresztować za przeszkadzanie wymiarowi sprawiedliwości.

Chłopcy niechętnie puścili Jacqueline.

- Podejdźcie do mnie, obywatelko!

Z wahaniem postąpiła o krok naprzód. Przyglądał się jej przez chwilę.

- Jesteście Jacqueline Doucette, dawniej zwana Mademoiselle Jacqueline de Lambert, która uciekła zeszłej nocy z La Conciergerie? - spytał dobitnie.

Wpatrywał się w nią z natężeniem.

- Nie -odparła.

Była niemal pewna, że życzył sobie takiej właśnie odpowiedzi.

-Jasne, że tak! - wrzasnął ktoś z tłumu.

-Nazywam się Louise Fournier - podała spiesznie pierwsze lepsze nazwisko.

Obywatel Julien spojrzał na nią z powątpiewaniem.

-Macie jakieś dokumenty? Jacqueline się zawahała.

-Nie.

-Czy jest tu ktoś, kto może potwierdzić waszą tożsamość? - podpowiedział.

-Nie.

Obywatel Julien westchnął.

- W takim razie muszę was poinformować, że jesteście aresztowana, obywatelko. Zostaniecie bezzwłocznie przewieziona do La Conciergerie i pozostaniecie tam, póki się nie wyjaśni, czy jesteście uciekinierką, której szukamy.

- A co z moją nagrodą? - krzyknął natarczywie młokos.

Wyraźnie było mu nie w smak, że majątek umyka mu sprzed nosa.

Obywatel Julien spojrzał na niego ze zniecierpliwieniem.

- Jeśli jest tą zbiegłą arystokratką, nagroda cię nie minie. Jak się nazywasz, chłopcze?

Wyrostek wyprostował się i zadarł głowę do góry, wyraźnie urażony, że nazwano go „chłopcem”.

-Marc Gauthier - odparł sztywno.

-W porządku, obywatelu Gauthier - powiedział Julien. - Stawcie się w Conciergerie dziś o szóstej wieczór. Spytajcie o inspektora Nicolasa Bourdona. Wyjaśnijcie, że przyszlście się dowiedzieć, czy przywieziona tam kobieta to obywatelka Doucette. Zostawię słówko dla inspektora z wyjaśnieniem, że to wyją rozpoznaliście, a potem przekazaliście mnie. Bez wątpienia inspektor Bourdon zechce osobiście udzielić wam pochwały.

Chłopak ochoczo kiwnął głową. Jacqueline niemal poczuła litość dla niego. Nicolas nie będzie zachwycony, dowiedziawszy się, że uciekła mu po raz drugi i z pewnością wyrze złość na głupim młokosie, który ją schwytał i pozwolił, by mu się wymknęła. Sądząc ze spojrzenia, jakim obywatel Julien mierzył wyrostka, odsyłał go do Nicolasa, licząc na takie właśnie zakończenie.

- Pojedziecie ze mną, obywatelko - zwrócił się kapitan do niej.

Podeszła jeszcze bliżej, a on pochylił się i płynnym ruchem uniósł ją i posadził przed sobą na siodle. Poczwała na plecach dotyk solidnej klatki piersiowej, gdy poprawiał cugle. Zdumiewające, jakie poczucie bezpieczeństwa czerpała z samej jego bliskości i niewiarygodnej pewności siebie, z jaką odgrywał komedię na oczach oszukanego tłumu. Ci ludzie jeszcze przed chwilą byli gotowi rozszarpać ją na sztuki, teraz zaś ze spokojem przekazywali ją nieznanomemu, którego wzięli za ważną figurę tylko dlatego, że nosił mundur i miał władcą postawę.

- Wracajcie do swoich zajęć! - rzucił ostro obywatel Julien, bo ciżba nadal się nie rozchodziła.

Tłum zaczął się powoli rozpraszać, wyraźnie zawiedziony, że wszystko zakończyło się tak spokojnie. Obywatel Julien zawrócił konia i ruszyli w dół ulicy, nie zważając na obelgi i wyzwiska, jakimi zasypywano odjeżdżającą Jacqueline.

-Przyjdziem popatrzeć, jak ci łeb utną, ty ladaco!

-Spróbuj znowu uciekać, to tak cię oporzędzimy, że będziesz się dopraszać o gilotynę!

-Zdradzieckie ścierwo!

-Dziwka!

Krzyki były donośne i pełne nienawiści. Jacqueline zmusiła się do tego, by siedzieć prosto, z dumnie podniesioną głową. Nie pokaże tej hołocie, że się jej boi! Nawet nie wiedzieli, czy jest poszukiwaną uciekinierką... Ale była podejrzana, a to w nowej republice wystarczało, by skazać ją na śmierć - czy to w sądzie, czy na ulicy. Nienawidziła ich! Przygryzła mocno dolną wargę, żeby nie drżała.

Przejechali z pół tuzina ulic, zanim resztkę motłochu przestała wreszcie biec za nimi. Teraz przechodnie spoglądali na nich bez zainteresowania. Nikt nawet nie podejrzewał, że kapitan Gwardii Narodowej odstawia aresztantkę do więzienia. Wyglądało raczej na to, że ocalił mizernego wyrostka podczas ulicznej bójki i odwozi go teraz do domu. Z początku skierowali się w stronę Conciergerie, ale gdy obywatel Julien upewnił się, że nie towarzyszy im już żaden z prześladowców, zmienił kierunek

-Dokąd jedziemy?

-Proszę się nie gapić i siedzieć cicho! - warknął.

Uznała tę odpowiedź za oburzającą i grubiańską, ale nie ośmieliła się wytknąć mu tego. Kiedy zostaną sami, powie mu jasno i dobitnie, że nie życzy sobie, by kondotier tak się do niej odzywał!

Jechali może pół godziny, krążąc po wąskich, cichych uliczkach, które w końcu zawiodły ich na północ, do dzielnicy zwanej Montmartre. Dotarli na rue de Vent, uliczkę niemal całkiem opustoszałą, pełną nędznych, wałących się domów. Obywatel Julien skierował konia wąską dróżką do niewielkiej stajni na tyłach jednego z budynków. Wprowadził konia do pustego boksu, a potem wraz z Jacqueline ruszył ku kuchennym drzwiom domu.

Obywatel Julien zastukał do nich w umówiony sposób: trzy razy szybko, dwa razy powoli. Po chwili drzwi się uchyliły. Przystojny młody człowiek o kręconych jasnych włosach i niezwykle zielonych oczach zdumiał się na ich widok i bez zwłoki wprowadził ich do niewielkiej kuchni. Pospiesznie zamknął drzwi na klucz i spojrzał z niepokojem na obywatela Juliana.

- Nie spodziewałem się ciebie. Wszystko w porządku? - dopytywał się.

Obywatel Julien kiwnął głową potakująco.

- Oczywiście.

Młodzieniec przeniósł wzrok na Jacqueline.

- A z nim?

Obywatel Julien zerknął na dziewczynę i na ułamek sekundy twarz mu

spochmurniała.

-Z nim też wszystko w porządku - odparł. - Musi się tylko trochę umyć.

-Nie oczekują was dziś wieczorem...? - spytał jasnowłosy młodzieniec.

Wyraźnie mu ulżyło, że pomoc lekarska nie jest potrzebna.

- Tak - potwierdził obywatel Julien. - Ale, niestety, nastąpiło pewne opóźnienie.

- Co wam będzie potrzebne? - zapytał młodzieniec z powagą.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, Jacqueline zorientowała się, że gotów jest zrobić dla obywatela Juliana wszystko.

- Na razie tylko pusty pokój. Muszę pogadać przez chwilę w cztery oczy z tym chłopakiem.

- Tędy, przyjacielu! Czujcie się tutaj jak u siebie w domu.

Odwrócił się i z kuchni poprowadził ich do sali, a potem wąskimi schodami na górę. Otworzył drzwi niewielkiej sypialni i odsunął się na bok, by Julien i Jacqueline mogli wejść.

- Zagrzeję trochę wody, żebyście się trochę umyli. I przygotuję coś do jedzenia. Zawołaj mnie, kiedy trzeba będzie przynieść wodę.

Wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Obywatel Julien zdjął wojskowy kapelusz i rzucił go na łóżko. Stał w rozkroku, skrzyżował ramiona i spojrzał niechętnie na Jacqueline.

- Prosiłem, żeby się pani nie ruszała z pokoju, prawda?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czyżby chciał powiedzieć, że znalazła się w rękach rozwścieczonego tłumu wyłącznie z własnej winy, gdyż nie posłuchała jego rozkazu?! Znów zapłonął w niej gniew, wypierając strach i napięcie, które nie opuszczały jej od kilku godzin.

- Nie wiecie tego, obywatelu, mówię więc wam, że po waszym wyjściu Gwardia Narodowa postanowiła złożyć wizytę w tamtej oberży. Miałam szczęście, że zdążyłam im się wymknąć – powiadomiła go z gniewem. - Byli tuż za drzwiami, gdy wychodziłam przez okno. I gdyby nie to, że nie lękam się wysokości, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy, gdyż moja głowa rozstałaby się z ciałem! - wybuchnęła.

Popatrzył na nią ze zdumieniem. Nic nie wiedział o przybyciu Gwardii Narodowej do gospody. Aż do tej chwili sądził, że Jacqueline opuściła izbę dla własnego kaprysu, narażając ich oboje na pewną śmierć, ponieważ koniecznie chciała się zemścić na Nicolasiem Bourdon. Był tak wściekły, że miał ochotę machnąć na nią ręką - do diabła, niech sobie robi, co chce! Nie zamierzał poświęcać życia dla rozpieszczonej arystokratki, której się życie

znudziło! Zbyt wielu było takich, co rozpaczliwie pragnęli żyć i potrzebowali jego pomocy. Spoglądał teraz na nią podejrzliwie, nie całkiem pewny, czy mówi prawdę.

- Kiedy się zjawiała Gwardia Narodowa? - spytał.

- Jakąś godzinę po pana wyjściu - odparła nadąsana Jacqueline.

Jeśli ten człowiek miał być jej obrońcą, czemu na tak długo zostawił ją samą? To, że podczas jego nieobecności postanowiła, iż nie pojedzie z nim do Anglii, oraz to, że - być może - wyszłaby przez okno nawet wówczas, gdyby Gwardia Narodowa się nie zjawiała, jakoś jej uleciało z pamięci.

- Ilu ich było? - pytał dalej, nadal niepewny, czy dziewczyna go okłamuje, czy nie.

- Ośmiu - odparła. - Kiedy wydostałam się przez okno i udało mi się zejść na ziemię, okrążyłam budynek i znalazłam się przed frontem oberży. Widziałam, jak odjeżdżają. Pomyślałam, że mniej się będę rzucała w oczy, jeśli się zmieszam z tłumem.

Poczuła się trochę niezręcznie, mówiąc te słowa. Jej plan spalił na panewce, mówiąc oględnie.

- Powinna pani zostać w pokoju - burknął. - Gdyby panią aresztowali, wiedziałbym przynajmniej, gdzie pani szukać, i postarałbym się panią stamtąd wyciągnąć. Jakie miałem szanse odnalezienia pani na ulicach Paryża?!

- Skąd mam to wiedzieć? - odparła z gniewem. - To przecież pan potrafi ratować z opresji, nie ja!

Ich spojrzenia zwarły się jak szpady w pojedynku. Zauważyła, że gdy jest zły, oczy zmieniają mu się w połyskliwe ścinki srebra. Całkiem znika z nich błękit i zieleń. Zafascynowana tym odkryciem wpatrywała się w pełne napięcia srebrne szparki... i całkiem zapomniała, o co się sprzeczali.

- Ma pani rację. - Poddał się w końcu.

Z wyraźnym wysiłkiem oderwał od niej wzrok. Nie wiedzieć czemu jej spojrzenie złagodniało, było teraz ciekawe, pytające. Jasnoszare oczy stały się młodsze, bardziej naiwne... Oczy dziewczyny nieskażonej nienawiścią. Widok tego drugiego oblicza Jacqueline wzbudził w nim niepokój. Wolał mieć do czynienia ze złością!

- Nie powinienem zostawiać pani na tak długo bez opieki - przyznał. - Może pani być pewna, że to się więcej nie powtórzy!

Zabrzmiało to raczej jak groźba niż pocieszające zapewnienie.

- Nie jestem dzieckiem, którego trzeba nieustannie pilnować! - rzuciła opryskliwie.

Jak mogła widzieć coś interesującego w tych zimnych, twardych oczach? Najwyższy czas przypomnieć mu znowu, gdzie jest jego miejsce. Przybrała lodowaty wyraz twarzy. - To, że za pieniądze podjął się pan wyciągnąć mnie z więzienia, nie oznacza wcale, że mam być pod pańską kuratelą!

- Jest pani w błędzie, mademoiselle - odparł ze spokojem. - To, że z narażeniem życia ratuję panią raz po raz z opresji, oznacza, że jest pani moją podopieczną i lepiej, żeby pani o tym pamiętała!

Uznała to za grubiaństwo, ale pomyślała, że nie pozostanie już zbyt długo w jego towarzystwie. Chyba najlepiej będzie - na ten krótki czas, zanim ich drogi się rozejdą - przymknąć oczy na jego niewątpliwy brak wychowania. Popatrzyła z ciekawością na jego strój.

- Dlaczego zdecydował się pan na takie przebranie?

Zerknął z irytacją na podniszczony mundur.

- Bo miałem zamiar zjawić się w gospodzie i osobiście panią aresztować - rzekł sucho. - Uznałem to za najmniej ryzykowny sposób wydostania pani stamtąd.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jakie to szczęście, że nie wtajemniczył mnie pan w swój plan! Siedziałabym z założonymi rękami i spokojnie czekała na pańskie pojawienie się wraz z tymi siedmioma, którzy przybyli, by mnie aresztować.

- Żaden z nich nie znał pani, nie mógł więc pani rozpoznać - zauważył. - Musieliby zaprowadzić panią do Conciergerie, a ja znów wyciągnąłbym panią stamtąd.

Wypowiedział ostatnie słowa z taką pewnością, że uwierzyła mu bez zastrzeżeń.

- Był z nimi Nicolas. - Przypomniała sobie nagle. - On mógłby mnie wskazać i powędrowałabym prosto na gilotynę!

Na myśl o Nicolasie znów ogarnął ją gniew. Obywatel Julien pokręcił głową.

- Nie, mademoiselle. Najpierw wzięliby panią na przesłuchanie. Jestem pewien, że bardzo chcieliby się dowiedzieć, kto pomagał pani w ucieczce.

- Niechby pytali! I tak nic bym im nie powiedziała - zapewniła go buńczucznie.

- Być może. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, na razie nie miałyby im pani wiele do powiedzenia o mnie. - Zaczął odpinać zmatowiałe guziki mundurowej kurtki. - Tym razem nie dopuszczę do tego, by znów ktoś pani zagroził. Dziś w nocy wyruszamy na wybrzeże. Powinniśmy dotrzeć do Boulogne jutro wieczorem i jeśli wiatry będą pomyślne, następnego dnia staniemy na angielskiej ziemi. A tam będzie już pani bezpieczna.

Nadszedł czas, by mu wyjaśnić, jakie ma zamiary.

- Obywatelu Julien, nie pojedę z panem do Anglii - powiedziała stanowczo.

Oczy pociemniały mu z irytacji.

-Już mówiliśmy o tym, mademoiselle! - rzucił niecierpliwie. - Nie mam czasu więcej z panią dyskutować. Jedzie pani ze mną i basta!

-Nie jestem pańską własnością, obywatelu Julien! Ocalił mi pan życie i za to jestem wdzięczna. Ale to ja będę zdecydować, jak wykorzystam tę drugą szansę, którą mi pan dał. I dokonałam już wyboru!

-W takim razie dokonała pani marnego wyboru - powiedział z niechęcią. - Znacznie sensowniej byłoby pomóc rodzonym siostrom wrócić do normalnego życia, niż składać własne życie na ołtarzu jałowej zemsty.

-Nie wie pan nie, czym jest strata, jaką poniosłam! - wybuchnęła gniewnie. - Proszę zrozumieć, że nie zostało we mnie nic prócz bólu, gniewu i nienawiści! Cóż mogłabym zaofiarować moim siostrom, jak mogłabym mieć na nie dobry wpływ?!

-Być może one - powiedział cicho - mogłyby mieć dobry wpływ na panią?

-Wcale mi na tym nie zależy! Chcę tylko jednego: zabić Nicolasa Bourdona, a potem niech się dzieje, co chce!

Spojrzał na nią uważnie i pojął, że nie odstąpi od swego postanowienia. A to czyniło jego zadanie jeszcze trudniejszym.

-Dam panu list do sir Edwarda. Powiadomię go, że wydobył mnie pan z więzienia i że należy się panu cała zapłata. - Zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. -Wyjaśnię mu, że pozostałam w Paryżu wyłącznie z własnej woli... a pan może mu powiedzieć, że nie chciałam opuszczać przyjaciół. Nie musi wiedzieć o moich zamiarach.

-Zginie pani.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego ze spokojem.

- Wiem.

Może spokojna pewność jej słów-jakby ta perspektywa ją cieszyła -a może jej postawa, gdy tak stała przed nim wyprostowana, z podniesioną głową, sprawiły, że nagle wyobraził ją sobie taką, jaka była w dawnym świecie: w pięknej jedwabnej sukni, z kwiatami we włosach. Nawet teraz widać było, że nie jest byle kim, mimo podartego ubrania, nierówno obciętych włosów i spuchniętych, krwawiących ust. Jej stanowczość, siłę ducha i śmiałość wychwalano by jako „nieustraszoną postawę"... gdyby była mężczyzną, a ponieważ jednak była kobietą, ta żądza zemsty wydawała się sprzeczna z naturą, zuchwała, desperacka. Nie

wątpił, że nie zawaha się zabić człowieka, na którym skupił się jej gniew. Wiedział też, że niezależnie od tego, czyjej plan się powiedzie, czy nie, zostanie pojmana i stracona. Nie mógł pozwolić, by do tego doszło! Nie po to ratował jej życie z narażeniem własnego, by odrzucała jego dar prosto w paszczę śmierci! Podjął się ją ocalić i, do wszystkich diabłów, ocali ją, czyjej się to podoba, czy nie!

-Proszę ze mną, mademoiselle! - powiedział stanowczo i pociągnął Jacqueline ku drzwiom.

-Dokąd mnie pan zabiera? - wyjąkała, zbita z tropu.

Nie odpowiedział, tylko chwycił ją jeszcze mocniej za ramię, sprowadzając po schodach na dół.

-Justin! - zawołał, gdy dotarli na parter.

-Proszę mnie natychmiast puścić, obywatelu! -Jacqueline usiłowała się wyrwać.

Odpowiedział uściskiem ręki tak mocnym, że aż zabołał.

- Justin! - zawołał jeszcze głośniej.

Młody człowiek, który wpuścił ich do domu, przybiegł z kuchni, wycierając ręce.

-Właśnie szykowałem jedzenie...

-Którędy schodzi się do piwnicy? - przerwał mu obywatel Julien.

Justin spojrział na niego zdeorientowany.

-Przez kuchnię.

-Piwnica ma tylko jedno wejście?

-Tak- odparł Justin, niczego nie rozumiejąc.

- Są tam jakieś okna?

Młodzieniec pokręcił głową.

-Znakomicie! - Odrzekł obywatel Julien. - Zaprowadzisz nas tam.

-Nie możecie zamykać mnie w piwnicy! - zaprotestowała Jacqueline, patrząc z przerażeniem na Juliana.

-Tylko do mojego powrotu - odparł ze spokojem.

-Nie! - krzyknęła, gdy Justin otworzył drzwi. - Nie możecie tego robić! Nie macie prawa!

Jak szalona zaczęła się wrywać z uścisku Juliana.

- Wiesz co, Justin? Chyba przyda nam się świeca – powiedział obywatel Julien i mocno uchwyciwszy założone do tyłu ręce Jacqueline zmusił ją, by zeszła przed nim po ciemnych schodach.

Powietrze w piwnicy było zatechłe i wilgotne, ale nie tak cuchnące jak w Conciergerie. Julien nie rozluźnił chwytu, czekając, aż Justin przyniesie świecę. Jacqueline przestała się szamotać i spróbowała pomówić z nim rozsądnie.

-Nie możecie mnie tu wiecznie trzymać... - zaczęła.

-Oczywiście! - przytaknął uprzejmie. - To tylko niemiły, ale niezbędny środek ostrożności: chcę mieć pewność, że zastanę tu panią po moim powrocie.

-I tak nie pojedę do Anglii!

-No cóż... Mamy w tej materii całkiem odmienne zdanie. Twierdzę, że pojedzie pani ze mną, czy tego chce, czy nie.

-Dobrze! - zgodziła się pospiesznie. - Pojadę z panem do Anglii. Czy teraz możemy wrócić na górę? - spytała słodko.

-No, no! Musi się pani lepiej postarać, mademoiselle! - powiedział z rozbawieniem. - Żeby zmylić przeciwnika, trzeba łąać przekonująco, a nie wyklepać to, co on chciałby usłyszeć.

-Nie kłamię, słowo daję! - protestowała, chcąc go przekonać. - To, co pan powiedział, jest słuszne. Powinam być razem z siostrami. One mnie potrzebują. Pojadę z panem do Anglii.

Była przekonana, że zabrzmiało to szczerze.

-Miło mi to słyszeć, mademoiselle - odparł sucho.

-.. .A poza tym wątpię, by mój plan się powiódł - ciągnęła dalej, próbując udawać bezradną kobietkę. - Chyba nie potrafiłabym zabić nikogo... Prędzej bym zemdlą!

Głos załamał się wzruszająco. Nigdy dotąd nie zemdlą, ale wiedziała, że mnóstwo kobiet mdleje... a przynajmniej udaje omdlenie.

- To było doprawdy znakomite! - pochwalił. - Sę w tym, mademoiselle, że byłem na pani procesie i słyszałem, jak potraktowała pani kapitana Gwardii Narodowej. - Poczul, że zeszywniała mu w uścisku. Z trudem powstrzymał się od śmiechu. -A podczas naszej bójki z pijakami widziałem na własne oczy, jak rozbiła pani butelkę na głowie biedaka, i wcale nie wyglądało, że zaraz pani zemdleje! O, jest już Justin ze świecą.

Młody człowiek zszedł po schodach z lichtarzem i postawił go na odwróconej skrzynce.

- Może jeszcze coś? - spytał Julienu, unikając wzroku Jacqueline. Obywatel Julien puścił dziewczynę i stanął pomiędzy nią a schodami.

- Nie, już nic - odpowiedział na pytanie Justina. - Chłopak może teraz spokojnie

posiedzieć tu do mego powrotu.

Dał młodzieńcowi znak, by wszedł pierwszy na schody.

- Nie zostanę tu! – krzyknęła Jacqueline. - Nie macie prawa mnie zamykać! Nie jestem waszym więźniem, obywatelu Julien!

Nie zwracając uwagi na krzyki, Julien zamknął drzwi. Tylko słaby płomyk świecy błyszczał w ciemnościach.

- Wracajcie!... Zaczekajcie! – krzyczała Jacqueline.

Szarpnęła klamkę u drzwi. Były już zamknięte na klucz. Zaczęła walić w nie pięściami.

- Nie otwieraj tych drzwi pod żadnym pozorem! – powiedział głośno obywatel Julien do Justina. - Jeśli chłopak nie uspokoi się w ciągu pięciu minut, po moim powrocie będziesz mógł go wyłoić kijem. Masz na to moje zezwolenie.

Jacqueline usłyszała oddalające się kroki i trzask zamykanych drzwi.

-Justin, musisz mnie stąd wypuścić! - zaczęła błagać. - Popelniasz straszny błąd! Obywatel Julien mnie porwał! Zaklinam cię, wypuść mnie stąd!

-Daj temu spokój, mały! - odparł Justin. - Robię wszystko, co mi każe. Nie hałasuj po próżnicy.

Usłyszała, że i on odchodzi.

- Jeśli mnie wypuścisz, dopilnuję, by cię nie ominęła nagroda! - zawołała w rozpaczy. Kroki się zatrzymały. - Mam ukryte kosztowności. Jeśli mi pomożesz, będą twoje.

Nie myślała o tym, jak zdoła wydobyć je z kryjówki, istotne było tylko jedno: wynieść się stąd, zanim wróci obywatel Julien.

- Nie słuchałeś, co mówiłem. Wypełniam tylko jego instrukcje. A on powiedział, że masz tu zostać.

I odszedł do innej części domu. Kroki ucichły.

Chwilowo pokonana Jacqueline powoli zeszła ze schodków. Starła rękawem kurz ze starego kufra, ale szybko doszła do wniosku, że jej ubranie jest tak brudne, iż trochę kurzu mu nie zaszkodzi. Opadła ciężko na płaskie wieko, skrzyżowała ramiona i zapatrzyła się w słaby płomyk świecy.

To tylko opóźni moje plany, nic więcej! - powiedziała sobie stanowczo. Bez względu na to, co zaplanował sobie obywatel Julien, dwie rzeczy nie ulegały wątpliwości: ona nie popłynie do Anglii, a Nicolas Bourdon umrze!

Świeczka prawie się już dopaliła, gdy Jacqueline usłyszała, że drzwi u szczytu schodów się otwierają. Rozespana i zeszywniała otworzyła oczy i ujrzała w drzwiach wysoką,

ciemną sylwetkę obywatela Julienu.

- Idziemy, mademoiselle! - zawołał. - Robi się późno, a mamy sporo do zrobienia, nim wyruszymy w drogę.

Z cichym jękiem, powoli uniosła się i siadła na kufrze, rozcierając bolący kark. Nie zamierzała wcale spać! Przez długi czas nasłuchiwała odgłosów z wnętrza domu. Czekala, aż Justin wróci do kuchni, by znowu namawiać go do otwarcia drzwi. Justin jednak wcale tam nie wrócił, a ona w końcu zwinęła się w kłębek na kufrze i zamknęła oczy. Wydarzenia ostatnich dwóch dni wyczerpały ją bardziej, niż przypuszczała.

- Proszę się pospieszyć, mademoiselle! Nie mamy wiele czasu - poganiał zniecierpliwiony Julien.

- Już idę - burknęła niechętnie i powlokła się schodami na górę.

Musiała zmrużyć oczy, gdy weszła do kuchni zalanej słońcem. Było już późne popołudnie. Sądziła, że Julienu nie będzie najwyżej dwie, trzy godziny i teraz miała wielką ochotę zwymyślać go za to, że na tak długo zamknął ją w zimnej, wilgotnej piwnicy.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by całkiem zapomniała o swoich żalach.

Zniknął gdzieś przystojny i postawny kapitan Gwardii Narodowej, który sam jeden wyrwał ją z rąk krwiożerczej tłuszczy. Obywatel Julien tym razem przeistoczył się w niechlujnego, podstarzałego wieśniaka. Włosy, umiejętnie przypudrowane, zszarzały. Staranna charakterystyka sprawiła, że miał teraz rumianą, spaloną słońcem twarz, pokrytą smugami brudu uwydatniającego zmarszczki. Ubrany był w obszerną koszulę z szorstkiej wełny, połataną spodnie, podniszczoną niebieską kurtkę i brudną czerwoną czapkę nasuniętą nisko na czoło. Uśmiechnął się, pokazując zepsute i niekompletne uzębienie. Było to doprawdy dzieło sztuki!

- Dlaczego akurat takie przebranie? - spytała ciekawie Jacqueline.

- Każdego wieczoru u bram Paryża widuje się chłopów, którzy w dzień sprzedawali w mieście swoje plony, a przed nocą wracają do swoich chat. Każdemu z nich strażnicy zadają przy bramie mnóstwo pytań, niektóre furmanki są przeszukiwane... Ale jeśli dobrze odegramy swoje role, powinniśmy wydostać się z miasta bez kłopotu - wyjaśnił.

- A jaką rolę ja mam odegrać? - dopytywała się. - Będę pana synem?

- To by było zbyt łatwe do przewidzenia - odpowiedział i pokręcił głową. - Władze już wiedzą, że uciekła pani w przebraniu chłopca, będą więc spoglądać podejrzliwym okiem na każdego wyrostka, który chce wyjechać z Paryża. Trzeba było wymyślić coś bardziej oryginalnego.

- Uśmiechnął się. - Przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie pani, mademoiselle, wieśniaczką.

Brał po kolei do ręki wiszące na oparciu krzesła części garderoby: brązową suknię z szorstkiej tkaniny, poóółkłą ze starości bluzkę i bezkształtną halkę, i przykładał do piersi i pasa, udając, że chce przymierzyć. Suknia wydawała się dwa razy za duża, nawet na niego.

-To będzie na mnie wisieć jak na kołku! - protestowała Jacqueline.

-Nie będzie, kiedy trochę podwatujemy - zapewnił. - No, bierzmy się do roboty!

Otworzył drzwi na korytarz i dał Jacqueline znak, by wyszła pierwsza.

Przez chwilę miała ochotę podbiec do tylnych drzwi i spróbować ucieczki. Ale strój młodego sankiuloty nie był już bezpiecznym przebraniem. Doszła więc do wniosku, że warto poczekać, aż obywatel Julien zmieni jej wygląd. A potem, gdy opuszczą dom i skierują się ku pilnie strzeżonym bramom miasta, znajdzie jakiś sposób, żeby mu się wymknąć.

- Idziemy, mademoiselle? - spytał, unosząc brwi.

Wzdrygnęła się lekko, wróciła do rzeczywistości i ruszyła przodem. Wspięła się po schodach na górę, wkroczyła do sypialni i wyciągnęła rękę po strój wieśniaczki. Miała zamiar zamknąć się na klucz i przebrać w spokoju. Ku jej zaskoczeniu obywatel Julien wszedł za nią do pokoju, zamknął drzwi, a następnie wręczył jej ubranie, jakby się spodziewał, że zacznie się przebierać na jego oczach!

- Ależ obywatelu, chciałabym się przebrać na osobności.

-Będzie ją pani miała - zapewnił uprzejmie. -Wystarczy się odwrócić, a zobaczy pani, że Justin wstawił tu parawan, by wszystkie wymogi przyzwoitości zostały zachowane. Diabelnie długo musiałem go przekonywać, że jest pani kobietą!

-A czy musi pan przebywać w tym samym pokoju co ja? - spytała zawiedziona.

Dostrzegła dzbanek z parującą wodą na ustawionej w kącie umywalce i marzyła o tym, by umyć się znacznie gruntowniej niż zeszłej nocy.

Julien westchnął i podszedł do umywalki, by przyjrzeć się bacznie zawartości mniejszego dzbanka stojącego obok miednicy.

- Niestety, mademoiselle, biorąc pod uwagę pani niecodzienny talent do wymykania się przez okno, uznałem, że w tej trudnej sytuacji nie mogę tracić pani z oczu.

Wziął dzbanek do ręki i powąchał jego zawartość, po czym zamieszał leżącą obok łyżką.

- Przecież powiedziałam, że jadę z panem do Anglii! - zaprotestowała Jacqueline, starając się ukryć niepokój.

Jeśli obywatel Julien nie zostawi jej samej ani na minutę, jak zdoła mu się wymknąć, zanim wyjadą z Paryża?

Odstawił dzbanek i popatrzył na nią z powagą.

-Nie, mademoiselle, to ja dałem pani jasno do zrozumienia, że pojedzie pani ze mną do Anglii. Pani natomiast próbowała mnie okłamać, a potem za moimi plecami przekupić biednego Justina i omamić go wyssaną z palca bajeczką o rzekomym porwaniu. Muszę powiedzieć, że Justin bardzo się zdenerwował pani oskarżeniami. - Podszedł do łóżka i wyciągnął się na nim; materac ugiął się pod jego ciężarem. Splótł ręce na karku i przymknął oczy. - Chyba powinna go pani przeprosić przed wyjazdem. Justin bardzo sobie bierze do serca wszelkie krytyczne uwagi pod moim adresem.

-On kłamie! - odparła Jacqueline z oburzeniem. - Nic podobnego nie zrobiłam!

Musi koniecznie przekonać obywatela Julienu, że można jej ufać. Nie będzie wtedy ciągle miał się na baczności, a ona zdoła uciec.

Ku jej zdumieniu zerwał się z łóżka błyskawicznie. Zacisnął ręce na jej ramionach jak stalowe kajdany. Obrócił ją ku sobie z taką siłą, że zęby jej zaszczekały.

- Nie pozwolę oczerniać nikogo, komu ufam! - ostrzegł ją cichym, groźnym głosem. - Zapamiętaj to!

Potrząsnął nią z całej siły.

Chciała obstawać przy tym, że wcale nie skłamała, ale pełne gwałtownej pasji spojrzenie Julienu sprawiło, że zrezygnowała z tego.

- Tak - wyjąkała. - Rozumiem.

Puścił ją natychmiast.

- To dobrze - odparł krótko. - A teraz niech się pani przebiera!

Rozmasowała ramiona, które tak brutalnie ścisnął. Wzięła z umywalki dzbanek i miednicę i zaniósła je za parawan.

Dość długo trwało, nim się umyła dokładnie i włożyła swój nowy chłopski strój. Suknia i bluzka okazały się jeszcze bardziej grube i szorstkie (o ile to było możliwe) niż jej chłopięce przebranie.

W końcu wyszła zza parawanu.

- O wiele lepiej - stwierdził obywatel Julien, przyjrzawszy się jej krytycznie. Zdjął kurtkę i podwinął rękawy koszuli. - Proszę tu usiąść.

Wskazał jej krzesło stojące pośrodku pokoju.

Jacqueline posłusznie usiadła, oczekując, że obywatel Julien zacznie ją charakteryzować kosmetykami, które leżały na umywalce. Zamiast tego stanął za nią i poczuła, jak zęby grzebienia przedzierają się przez rozczochrane kosmyki jej włosów.

- Szkoda, że nie mogę ich umyć - powiedziała z żalem.

Obywatel Julien uniósł pasmo włosów do góry i zaczął je starannie rozczesywać.

-Niestety, nie ma na to czasu - odparł. - Ale kiedy znajdziemy się już na pokładzie „Angelique”, każę przygotować dla pani gorącą kąpiel, o ile nie będzie pani zbyt zmęczona.

-Na pokładzie „Angelique”? - powtórzyła Jacqueline.

-To statek, na którym przepłyniemy kanał La Manche.

-Należy do sir Edwarda?

-Nie - odparł. - Do mnie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

-Ma pan własny statek?

W jego oczach pojawił się leciutki błysk rozbawienia.

- Tak to panią dziwi, mademoiselle? - spytał z kpiną w głosie.

- Raczej tak - przyznała. -Widzę, że ratowanie ludzi opłaciło się panu! - zauważyła sucho.

Szarpnął ją za włosy tak boleśnie, że krzyknęła.

- O, przepraszam - powiedział, ale w jego głosie nie było słyhać skruchy.

Biedził się nad jej włosami jeszcze przez kilka minut, zanim zostały porządnie rozczesane. Potem uniósł je do góry i owinał jej ramiona ręcznikiem.

-Co pan robi? - spytała, gdy podszedł do umywalki i wziął stamtąd mniejszy z dzbanków.

-Zmieniam pani kolor włosów - wyjaśnił i zamieszał zawartość.

-Na jaki? - spytała z niepokojem.

Wcale jej się nie podobał ten pomysł! Azją to zdziwiło. Nie pożyje już długo, a jakie w końcu znaczenie ma kolor włosów?

- Ciemnobrązowy. - Zaczął ostrożnie polewać jej głowę cieczą z dzbanka. -Władze poszukują kobiety z krótkimi, jasnymi włosami. Musimy zrobić, co w naszej mocy, by ten opis nie pasował do pani. - Wcierał jej we włosy niemiłe pachnący roztwór. - Nie musi się pani martwić, kolor zmyje się podczas jutrzejszej kąpeli.

Kąpieli, która ją ominie, ponieważ nie popłynie razem z nim na „Angelique”. I nagle wbrew sobie uznała to za krzyczącą niesprawiedliwość. Z powodu Nicolasa przypadnie jej

ostatnia w życiu kąpiel! Dodała jeszcze i to do listy krzywd, jakich od niego doznała.

- Niech się teraz utrwali, a ja zajmę się pani twarzą – powiedział obywatel Julien, odstawiając dzbanek. Zmył z rąk ciemną farbę i sięgnął po niewielki słoiczek i gąbkę.

Przez następnych piętnaście minut zwilżał, malował, mieszał farby i przypudrowywał, mierząc krytycznym wzrokiem twarz Jacqueline, ilekroć odstawiał jeden słoiczek i brał do ręki drugi. Od czasu do czasu kazał jej się uśmiechać, podnosić brwi czy marszczyć czoło i podkreślał cieniutkim pędzelkiem zmarszczki. Jacqueline była coraz bardziej ciekawa swojego nowego wyglądu. Sądząc z tego, jak potrafił zmienić siebie, był mistrzem charakteryzacji!

-Skąd tak dobrze zna się pan na kosmetykach? Poglębiał właśnie cienie wokół jej oka.

-Ktoś z moich przyjaciół mnie nauczył - odparł wymijająco.

-Czy to był aktor? - spytała.

-Aktorka - poprawił. - Proszę zamknąć oczy.

Jacqueline posłuchała i poczuła na powiece łaskotanie malutkiego pędzelka. Nie przywykła do tego, by jakkolwiek mężczyzna stał blisko niej, spełniając tak intymne czynności. Gdy się nad nią pochylał, wydał się jej nagle zbyt męski, zanadto poufały. Poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Proszę się nie wiercić - upomniął ją i uchwyciwszy za brodę, ustawił jej twarz pod właściwym kątem, po czym wrócił do delikatnego podmalowywania powieki.

-Czy to była Angelique? - spytała bez zastanowienia. Pędzelek znieruchomiał.

-Kto taki?

- Ta aktorka - odparła, żałując już, że zadała to pytanie. Było stanowczo zbyt osobiste, jakby ją ciekawiło, czyim imieniem nazwał swój statek. A przecież wcale jej to nie obchodziło!

Nie odpowiedział, wiedziała jednak, że patrzył na nią, czuła to, choć oczy miała nadal zamknięte.

- Nie - odezwał się po chwili. - To nie ona.

Z tonu jego głosu poznała, że nie życzy sobie dalszej rozmowy na ten temat.

Żadne z nich nie odezwało się więcej. Uporawszy się z twarzą, szyją i rękami, Julien przetarł jej włosy ręcznikiem, usuwając nadmiar farby, i rozczochrał znów włosy. Następnie przyczesał je, nakrył niezdarnym czepkiem i odsunął się nieco, by ocenić całość dzieła.

-No więc? - dopytywała się ciekawie. -Jak wyglądam? Uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

-Proszę samej zobaczyć.

Podeszła do wiszącego nad umywalką lustro. Na widok odbicia zaparło jej dech ze zdumienia.

Wszystko w niej uległo zmianie. Jasna, przezroczysta skóra stała się szorstka i zaczerwieniona, z mnóstwem zmarszczek, świadczących o ciężkiej pracy przy każdej pogodzie. Oczy wydawały się bliżej osadzone, jedno z nich było podbite. Pełne i kształtne wargi zrobiły się blade i wąskie. Pozbawiona wyrazu twarz była zmęczona, zniszczona i zwiotczała. Przyciemnione włosy zwisały w niechlujnych strąkach spod brudnego czepek. Sprawiały wrażenie nigdy niemytych i nieczesanych. Wyglądała naprawdę okropnie! Okręciła się w kółko z wielkiej radości.

-Nawet Nicolas mnie teraz nie pozna! - zawołała z entuzjazmem.

-Nie będzie miał okazji - zauważył obywatel Julien. W jego głosie brzmiała zawołana groźba. Podał Jacqueline niewielki garnuszek. - Ma pani zbyt białe zęby. Proszę je tym przyciemnić.

Wzięła garnuszek i zaczęła nacierać zęby jakimś paskudnym płynem, obywatel Julien chował tymczasem stojące na umywalce słóiczki do skórzanej torby. Potem wziął z łóżka jedną z poduszek. Wyciągnąwszy zza pasa nóż, zrobił nacięcie w każdym jej rogu i przewłócił przez te otwory szarfę.

-Proszę się tym owinąć w pasie pod halką! - polecił, wręczając Jacqueline poduszkę.

-Czy naprawdę muszę spodziewać się dziecka? - zaoponowała, gdyż pomysł wydał się jej odrażający.

-Chłopka prawie zawsze chodzi z brzuchem - wyjaśnił rzeczowo. - A poza tym obywatelka spodziewająca się dziecka budzi szacunek jako matka przyszłego pokolenia wolnych obywateli. To się może okazać przydatne, gdyby nas zatrzymano po drodze.

Jacqueline westchnęła i schowała się za parawanem, by owinąć w pasie poduszkę. Po kilku minutach jej szczupła sylwetka uległa całkowitemu przeobrażeniu.

- No i jak? - spytała.

Czuła się niepewnie pod przenikliwym wzrokiem obywatela Julienu.

- Proszę się nie poruszać zbyt żywo. Takie brzemię przytłacza i utrudnia ruchy.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała i zachowywała się jej matka przed urodzeniem Seraphine, wygięła nieco plecy i ociężale podreptała przez pokój.

- O wiele lepiej! - pochwalił obywatel Julien. - Nazywa się pani teraz Therese

Poitier, ma dziewiętnaście lat i oczekuje trzeciego dziecka. Ja jestem Jean, pani mąż. Spędziliśmy cały dzień w Paryżu, starając się sprzedać resztki rzepy i ziemniaków, jakie nam zostały. Teraz wracamy do domu. Ja mam przy sobie nasze dokumenty. Proszę się nie odzywać do gwardzistów, kiedy nas zatrzymają, chyba że zwrócą się bezpośrednio do pani. Czy to jasne? - spytał.

Kiwnęła głową, zastanawiając się, jak daleko jest do bramy miejskiej. Musi mu się wymknąć, zanim znajdą się w zasięgu wzroku strażników.

- To dobrze. - Otworzył przed nią drzwi. - Idź przodem, żono!

Justin pakował jedzenie do koszyka. Gdy Jacqueline weszła do kuchni, przerwał tę czynność i zagapił się na nią, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Naprawdę jesteś kobietą?! - wyjąkał ze zdumieniem.

- Oczywiście, że jestem kobietą! - burknęła nieco urażona, że nie domyślił się tego mimo męskiego przebrania. Przywykła raczej do tego, że olśniewa mężczyzn kobiecym wdziękiem, gdy wejdzie do pokoju, a nie do tego, by gapili się na nią, jakby była jakimś dziwolągiem.

Obywatel Julien rzucił jej stary płaszcz i szal.

- Niech pani to założy! - polecił.

Sam też narzucił połataną okrycie i zatknął ciężki pistolet za pasek spodni.

- Jestem ci ogromnie wdzięczny - powiedział do Justina cicho, z przekonaniem.

- Nie ma o czym gadać - odparł Justin i chwycił go za rękę. - To ja będę ci wdzięczny do końca życia!

W jego głosie słysząc było wzruszenie.

Ich spojrzenia świadczyły o wzajemnym porozumieniu, o więzi, która ich łączyła w niebezpiecznej grze, jaką prowadzili. Gdyby na Justina padło podejrzenie, że dopomógł w ucieczce jakiemuś więźniowi, zostałby niechybnie stracony. Co skłoniło młodzieńca, by z narażeniem życia pomagał obywatelowi Julienowi? - zastanawiała się Jacqueline. Pieniądze?... Chyba nie. Przypomniało się jej, jaki Julien był wściekły, gdy usiłowała mu wmówić, że Justin go okłamał. „Nie pozwolę oczerniać nikogo, komu ufam!” - powiedział. W swym niebezpiecznym fachu zapewne niewielu obdarzał zaufaniem. To była kwestia życia i śmierci. Ci dwaj mężczyźni musieli przejść wspólnie jakąś ciężką próbę, która usprawiedliwiała to niezachwiane zaufanie. Jacqueline zrobiło się nagle wstyd, że próbowała skrzywdzić Justina.

- Furmanka czeka na tyłach domu - oznajmił Justin, podając Julienowi ciężki koszyk,

który właśnie spakował. Potem zwrócił się do Jacqueline. - Życzę bezpiecznej podróży, obywatelko!

Pochylił się i pocałował ją w rękę. Był to przejaw galanterii niemal całkiem zapomniany za republiki. Podobne grzeczności uchodziły za „arystokratyczne”, a zatem podejrzane.

- Dziękuję, obywatelu - odpowiedziała. - Zachowam wasze dobre życzenia we wdzięcznej pamięci.

Bez względu na to, czy pojedę do Anglii, czy nie! - dodała w duchu.

- W drogę, mademoiselle! -ponaglił obywatel Julien. Skłonił się przesadnie nisko i wielkopańskim gestem wskazał na drzwi. – Pani karetka czeka.

Wyszła za nim na podwórze. Po ołowianym niebie płynęły czarne chmury, okrywając żalobnym kirem kończący się dzień. Stara siwa szkapa z wystającymi żebrami i sparszywią sierścią cierpliwie czekała, zaprzężona do chłopskiej fury, w jednej trzeciej zapelnionej rozlatującymi się koszami pleśniejącej rzepy i ziemniaków.

Obywatel Julien podszedł do wozu, postawił koszyk zjedzeniem i usiadł na ławeczce. Wziął do ręki lejce i spojrzał na Jacqueline.

-Wsiadasz czy nie? - spytał obcesowo. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

-Nie pomoże mi pan?

- Jesteś teraz wiejską babą, Therese Poitier- przypomniał. – Ona włązi na wóz bez pomocy.

Jacqueline tupnęła nogą.

- Lada chwila mam urodzić dziecko! - powiedziała z oburzeniem. - Każdy dżentelmen zaoferowałby swoją pomoc, a już mąż z pewnością!

Wzruszył ramionami i splunął na ziemię.

- Twój mąż to prosty chłop, nie dżentelmen. I czeka, aż się wgramolisz na furmankę. No, już!

Sapnęła z oburzenia, ale podeszła bliżej i niezgrabnie wspięła się na wóz.

-Tak lepiej - pochwalił. -A teraz proszę posłuchać, mademoiselle: od tej chwili aż do Boulogne ma się pani zachowywać tak, jak zachowywałyby się Therese Poitier! Czy to jasne? - spytał z naciskiem.

-Jak słońce - odparła, pocieszając się myślą, że już niebawem uwolni się od jego towarzystwa.

-To dobrze.

Trzepnął lejcami i koń ruszył bez pośpiechu.

Przez jakiś czas żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Jacqueline czekała na odpowiednią chwilę, żeby uciec, ale okazja jakoś się nie nadarzała. Furmanka sunęła powoli ulicami, nie zwracając niczyjej uwagi. Dziewczyna dobrze wiedziała, że jeśli zeskoczy z wozu i pobiegnie, obywatel Julien zatrzyma konia i dogoni ją. Nie, to nie miało sensu! Nic by też nie dało udawanie, że nagle musi zrobić siusiu. Na ulicy, gdzie roilo się od przechodniów?!

Zanim się spostrzegła, byli już w pobliżu bramy. Może z tuzin innych wozów czekało na pozwolenie wyjazdu. Kilku żołnierzy Gwardii Narodowej przeszukiwało je pod czujnym okiem sierżanta. Wypytywali jadących na wozach mężczyzn i kobiety, zazwyczaj żądali otwarcia beczek i skrzyń albo wywracali kosze, by upewnić się, że nie ma w nich ani zbiegów, ani przemyczanych skarbów. Na widok gwardzistów Jacqueline poczuła dreszcz strachu. Może powinna zmienić zdanie, poniechać zemsty i zdecydować się na ucieczkę do Anglii?... A jeśli zostanie pojmana przy bramie i aresztowana?... Wówczas wyląduje w Conciergerie. Nicolas dowie się o jej aresztowaniu i ani chybi odwiedzi ją tej nocy, by zaspokoić swą żądzę... Zostanie więc zhańbiona i zamordowana, a on nadal będzie cieszył się życiem! To nie do pomyślenia! Ogarnęła ją panika. Nie może ryzykować zdemaskowania! Nie może zbliżyć się do bramy!

-Obywatelu Julien! - wyszeptała rozpaczliwie.

-Nie nazywaj mnie tak! - syknął przez zaciśnięte zęby.

Jeśli ta głupia dziewczyna znów się przejęzyczy, a jakiś żołnierz będzie w pobliżu, zapłacą za to głową! Powinien wywieźć ją w beczce, najlepiej związaną i zakneblowaną!

- Jean... - odezwała się niepewnie, uświadomiwszy sobie pomyłkę.

Spojrzał na nią. Była straszliwie zdenerwowana, widać bała się rewizji przy bramie. Zdumiał go ten nagły atak strachu, przejawiała dotąd tyle odwagi... Ale była w końcu kobietą, pod pozorami brawury równie bezbronną jak inne. Wyciągnął rękę i ujął jej szczupłą dłoń. Palce miała zimne jak lód. Że też nie pomyślał o ciepłych rękawiczkach dla niej!

- Proszę się nie obawiać, mademoiselle - powiedział ledwie dosłyszalnym szeptem.

-Jeśli dobrze odegramy swoje role, wydostaniemy się stąd. Troszkę więcej wiary!

Uścisnął lekko jej rękę. Wyrwała mu ją i pokręciła głową.

- Nie wyjeżdżam! - stwierdziła nagle. - Nie mogę opuścić Paryża!

Postanowiła zeskoczyć z wozu, nim zwróci na nią uwagę któryś z gwardzistów. Była pewna, że Julien nie ośmieli się łapać jej w pobliżu bramy. Nie będzie jej zatrzymywał.

Myliła się. Chwycił ją mocno za nadgarstek i zmusił, by znów siadła na ławeczce.

- Nigdzie nie pójdziesz! - rzucił szorstko.

Objął Jacqueline brutalnie w pasie, przyciskając ją do swego boku. Jak mógł przypuścić, że dojrzał trwogę w lśniących szarych oczach?! Ta przeklęta dziewczucha była zbyt głupia, by czegokolwiek się obawiać! Może tylko jednego: że nie zdoła zamordować tego drania, który i tak z pewnością obaliłby ją na ziemię i zadarł jej spódnice, zanim by się spostrzegła.

Jacqueline usiłowała odepchnąć trzymające ją ramię.

- Puszczaj! - syknęła. - Nie będzie pan decydował, co zrobię ze swoim życiem!

Trzymał w talii, ale jego uścisk był nadal mocny i pewny.

- Gdyby nie ja, już by pani nie żyła! - syknął groźnie. - Siedź spokojnie i cicho, bo nas aresztują. A ja nie mam zamiaru umierać!

Objął ją jeszcze mocniej, tak że niemal nie mogła oddychać, a co dopiero uciekać!

- Nie wolno panu mnie zmuszać! - Uderzyła go z całej siły w żebra.

Kłykcie omal jej nie pękły. Dreszcz bólu przeleciał przez ramię. Obywatel Justin puścił lejce i wolną ręką uniósł jej brodę.

-Jeszcze raz tak zrobisz...

-Nie, nie! Błagam was, to jakaś pomyłka!

Czyjś rozpaczliwy krzyk przeszył powietrze i Julien nie dokończył groźby.

Nadal mocno obejmował Jacqueline, ale zaprzestali kłótni, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Starszy człowiek, którego wóz właśnie przeszukiwano, załamując ręce, błagał jednego z gwardzistów, który najwidoczniej odkrył coś w beczce z winem.

- Wyłaż stamtąd, i to już! - warknął sierżant w mroczną głębię beczki.

Z beczki wynurzył się młody mężczyzna i stanął w butnej postawie przed gwardzistą.

- No, przyjacielu, czemuż to zachciało ci się podróżować w beczce? - wycedził ironicznie sierżant.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

-Lubię spokój i ciszę - odparł kpiąco.

-Dobrze się składa - zauważył sierżant, któremu nie imponował stoicki spokój młodzieńca. - Tego ci z pewnością nie zabraknie!

Mężczyzna skwitował tę groźbę lekkim pochyleniem głowy.

- Woźnica nie wie o niczym - powiedział. - To lojalny obywatel republiki, nie ponosi żadnej winy!

Sierżant skinął na dwóch żołnierzy. Odeszli od wozów, które właśnie przeszukiwali i pojмали starca z wyraźną uciechą.

- Musi dowieść swej niewinności - oświadczył sierżant. - Do tego czasu i on posiedzi w więzieniu. Zabrać ich! Weź siekierę i porąb pozostałe beczki! - rzucił ostatniemu z gwardzistów.

- Nie! - krzyknęli jednocześnie obaj aresztowani.

Sierżant popatrzył na nich i uśmiechnął się z triumfem.

- Może mi wskażecie, do których jeszcze beczek powinienem zajrzeć?

Młody człowiek z pobladłą twarzą wystąpił naprzód i przesunawszy kilka beczek, otworzył jedną, mniej więcej pośrodku wozu.

- Nie ma rady, najmiłsza, musisz wyjść - powiedział łagodnie i wyciągnął rękę, by pomóc komuś przy wychodzeniu.

Z czarnej czeluści wynurzyła się przerażona dwudziestoparoletnia kobieta. Młody człowiek objął ją opiekuńczo ramionami, ona zaś przytuliła się do niego i ukryła twarz na jego piersi.

-To nie będzie takie straszne - szepnęła uspokajająco. - Zaufaj Bogu i bądź dzielna!

-Boga już nie ma, obywatelu! - roześmiał się sierżant. - Nie słyszeliście o tym? - Splunął na ziemię. - Zabrać ich!

Jacqueline patrzyła na aresztowaną, która wtuliła się w ramiona męża. Delikatna twarz była śmiertelnie blada ze strachu i rozpacz. Kobieta wiedziała, że nie ma dla nich ratunku. Próbowali uciec, ale się nie udało. Popatrzyła na męża i zdobyła się na uśmiech. Jacqueline poczuła, że coś ją ściska w piersi. Wspólne życie małżonków dobiegło końca. Zaraz zostaną rozdzieleni, uwięzieni, w końcu straceni. Zwykła historia.

-Zrób coś! - szepnęła nagle do Julienu. Przyglądał się, jak żołnierze wyprowadzają trójkę biednych uciekinierów. I nim miotał gniew i poczucie bezsilności, zdołał jednak zachować obojętny wyraz twarzy, jakby to wydarzenie wcale go nie obeszło.

-A cóż mam zrobić według pani, mademoiselle? - szepnęła zjadliwie. - Podejść do sierżanta i zapewnić go, że to pomyłka? A może zaoferować mu panią zamiast nich? Czy też rzucić się na gwardzistów, wybić ich do nogi na oczach wszystkich, a potem odjechać w świetlaną przyszłość z czwórką uciekinierów? - Odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. - Który wariant ma największe szanse powodzenia? - spytał

ironicznie.

-Nie możemy siedzieć beczynnie! - protestowała w bezsilnym gniewie. - Przecież oni zginą!

-A tak - przytaknął. - Zginą. A my nic na to nie poradzimy. -Jego ramię zacisnęło się mocno wokół Jacqueline, skutecznie unieruchamiając ją u jego boku. - Ale pani będzie żyć, czy tego chce, czy nie, proszę więc zamilknąć i mówienie pozostawić mnie!

Trzepnął lejcami po zadzie starą szkapę i furmanka potoczyła się naprzód, by zająć miejsce w kolejce oczekujących na wyjazd.

Zwykły strach (wcale przecież nie zaniechała zemsty na Nicolasio!) sprawił, że Jacqueline posłuchała rozkazu. Widok aresztowanych skłonił ją do chwilowej uległości. Pojęła, że zbyt długo zwlekała z ucieczką. Teraz nie wolno jej zrobić nic, co przyciągnęłoby uwagę żołnierzy. Pragnęła zabić Nicolasa bardziej niż kiedykolwiek, ale żeby tego dokonać, musi być żywa i wolna.

- Wasze dokumenty, obywatelu - zażądał gwardzista, który podszedł, by przeszukać ich furmankę.

Obywatel Julien puścił „żonę” i sięgnął po ukryte w zanadrzu papiery.

-Kiedy przyjechaliście do Paryża, obywatelu Poitier? - spytał strażnik, sprawdzając dokumenty.

-O świcie - burknął obywatel Julien. - Ale nie sprzedaliśmy tyle, ileśmy chcieli.

Gwardzista obszedł wóz i bez większego zainteresowania zajrzał do kilku koszy z jarzynami, ustawionych w tylnej części furmanki. Uniósł bagnet i dźgnął kilkakrotnie zawartość jednego kosza, niszcząc część towaru. Przekonany, że nie znajdzie tu nic prócz ziemniaków i rzepy, zwrócił dokumenty Julienowi.

-Ale się nam przed chwilą udało, co? - zagadnął z nutką dumy; widać było, że wciąż myśli o niedawnym aresztowaniu i oczekuje gratulacji.

-Ano prawda! - przytaknął z entuzjazmem obywatel Julien. -Przekłęci arystokraci! Nic, tylko by uciekali, jak się ino da, co nie?

Splunął na ziemię dla podkreślenia pogardy

-Żaden z nich nie wymknął się przez naszą bramę - przechwalał się żołnierz. - Mamy do nich nosa! Starczy rzucić okiem na woźnicę i od razu widać, że coś tu nie tak! W zeszłym tygodniu złapaliśmy hrabiego Roubourdin z całą rodziną. I on, i jego żona próbowali nam wmówić, że są prostymi służącymi i jadą z dziećmi szukać pracy na

provincji.

-A po czym poznaliście, że to nie służący? - zaciekawiał się obywatel Julien.

-Nie wyglądali na prostych ludzi - wyjaśnił żołnierz. - Ubrania mieli w sam raz, ale te białe rączki! Od razu widać, że nie zaznały ciężkiej pracy. - Zmierzył wzrokiem Jacqueline. - Wasza żona to co innego! Widać, że się naharowała w życiu - pochwalił z miną znawcy

Obywatel Julien zerknął na żonę bez większego zainteresowania.

- Przykłada się do roboty, nie powiem, ale jakoś nie wydoli pracować teraz za dwoje!
- zażartował głupio. - A powinna, no nie?

Poklepał Jacqueline familiarnie po brzuchu. Zapomniawszy na chwilę o ostrożności, rzuciła mu mordercze spojrzenie.

Żołnierz parsknął śmiechem.

- Lepiej już jedźcie, obywatelu Poitier, żebym nie musiał słuchać, jak wam naurąga!
Ruchem ręki dał im znak, żeby ruszali.

- Jak sobie życzycie, obywatelu - odparł Julien i westchnął męczeńsko.

Trzepnął konia po kościstym zadzie i furmanka w żółwym tempie wyjechała za pilnie strzeżoną bramę miasta.

Jacqueline odsunęła się od „męża” tak daleko, jak tylko pozwalała ławeczka, i przygryzła mocno wargi. Jeszcze tu wróć! - mówiła w duchu, patrząc, jak światła stolicy nikały w dali.

Jej zemsta trochę się opóźni, ale nie zrezygnuje z niej. Za nic!

Rozdział 5

Jacqueline czuła, że spada w przepaść tak szybko i tak głęboko, jakby ktoś zepchnął ją z nadbrzeżnej skały... I nagle jej policzek spoczął na czymś ciepłym. Westchnęła i wtuliła twarz w to, co osłabiło jej upadek. Głowa tak jej ciążyła! Uniosła rękę, by poprawić tajemniczą poduszkę, dzięki której doznała rozkosznej ulgi.

I nagle usiadła sztywno wyprostowana, uświadomiwszy sobie, że opiera się o ramię obywatela Juliana. Przetarła oczy i odsunęła się jak najdalej od niego.

-Przed nami jeszcze kilka godzin jazdy. Powinna się pani zdrzemnąć - mruknął.

-Nie jestem ani trochę zmęczona - oświadczyła Jacqueline.

W rzeczywistości była wyczerpana do cna, ale nie chciała się do tego przyznać. Tym bardziej że obywatel Julien nie okazywał najmniejszego zmęczenia.

Spojrzał z niedowierzaniem na ciemne kręgi pod jej oczami. Wiedział, że podróżują w tempie przekraczającym ich siły, ale musieli dotrzeć na wybrzeże jak najszybciej. Nie chciał jednak, by przy powitaniu z sir Edwardem Jacqueline zemdlała z wyczerpania.

-Proszę oprzeć mi głowę na ramieniu - zaproponował.

-Nie, dziękuję! - odparła sztywno.

Wbiła wzrok w rozciągającą się przed nimi drogę, która zdawała się nie mieć końca, i siłą woli walczyła z ogarniającą ją sennością.

Było popołudnie drugiego dnia podróży. Kiedy ruszyli w drogę, Jacqueline sądziła, że będą jechać przez kilka godzin, po czym zatrzymają się gdzieś na noc. Wówczas zdoła się wymknąć obywatelowi Julienowi, kiedy się zdrzemnie. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu rychło przekonała się, że jej towarzysz postanowił dojechać na wybrzeże bez postoju. Oddalili się może szesnaście kilometrów od Paryża, kiedy z ciemności wyłonił się jeździec prowadzący dwa potężne luzaki. Stara szkapa została odprężona, nowe konie błyskawicznie zajęły jej miejsce. Obywatel Julien okazał się znakomitym woźnicą; z zadziwiającą zręcznością wymijał po ciemku głębokie koleiny i wyboje. Gdy konie się zmęczyły, a Jacqueline była pewna, że lada chwila zatrzymają się w jakimś zajeździe na resztę nocy, następny tajemniczy jeździec wychynął zza drzew z dwoma świeżymi końmi. I tak powtarzało się za każdym razem: obywatel Julien bez wytchnienia pędził do Boulogne, a co kilka godzin nieznanymi z nowymi końmi spotykali się z nimi w umówionych miejscach.

Kiedy Jacqueline poskarżyła się, że jest głodna, obywatel Julien sięgnął po przygotowany przez Justina koszyk. Były w nim kurczęta na zimno, wołowina, ser, chleb, owoce, dwie butelki wina i trzy napełnione bezbarwnym, przezroczystym płynem. Ilekroć Jacqueline pytała, czy mogłby się zatrzymać, bo chciałyby pójść na stronę, obywatel Julien z całym spokojem schodził z wozu i prowadził ją do lasu. Wskazywał jej następnie, pod którym drzewem może zażyć samotności, i czekał cierpliwie, aż się zza niego wyłoni. Zawsze wybierał takie, które rosło na uboczu, toteż nie mogła zniknąć w głębi lasu tak, by tego nie zauważył. Z każdą godziną oddalała się coraz bardziej od Nicolasa, z każdą godziną rósł jej niepokój i utwierdzała się w postanowieniu ucieczki. Obawiała się tego, że gdy spotka się znów z siostrami i znajdzie pod troskliwą opieką sir Edwarda, trudniej jej będzie porzucić bezpieczne schronienie i wrócić do Francji, by dokonać zemsty. Lękała się, że jej nienawiść

osłabnie z czasem, a gniew z powodu straszliwych krzywd wyrządzonych jej rodzinie przygaśnie wobec uroków nowego, spokojnego życia. Nie może dopuścić, by do tego doszło! Śmierć ojca i brata wymagała pomsty. Zagłada dawnego świata nie może ujść bezkarnie! Wiedziała, że nie jest w stanie sama zdławić rewolucji ani odwrócić zła, które spadło na jej ojczyznę i rodaków. Mogła jednak zabić Nicolasa. Ten stosunkowo prosty czyn zaspokoiłby jej pragnienie zemsty. Musi wrócić do Paryża!

- Obywatelu Julien, proszę się zatrzymać na chwilę!

Westchnął i ściągnął cugle. Zeskoczył z wozu i poczekał, aż Jacqueline zejdzie, i ruszył z nią na poszukiwanie odpowiedniego drzewa. Las, przez który właśnie jechali, był wyjątkowo gęsty i trudno w nim było znaleźć samotne drzewo. Jacqueline czekała cierpliwie, aż obywatel Julien zdecyduje się na któreś.

- Proszę sobie znaleźć jakieś miejsce, o tam! - Machnął ręką bez większego przekonania. - I proszę nie marudzić!

Usiadł pod drzewem i oparł się o pień, czekając na powrót Jacqueline.

Ruszyła w las, mierząc krytycznym spojrzeniem różne drzewa, zanim w końcu przystanęła za takim, które było rozłożyste i znajdowało się dość daleko od miejsca, gdzie czekał Julien. Tuż za tym drzewem rosły dwa bujne jałowce. Wystarczyło kilka spiesznych kroków, by za nimi zniknąć. Prawie pewna, że Julien jej nie znajdzie, zagłębiała się coraz bardziej w las. Serce biło jej jak szalone, gdy przedzierała się przez gęste zarośla. Za kilka minut jej stróż zawoła, żeby się pospieszyła. Będzie się spodziewał jakiejś odpowiedzi. Zrozumiawszy, że nie zdoła uciec daleko w ciągu kilku minut, zdecydowała, że ukryje się w gęstym lesie. Ponieważ obywatel Julien nie wiedział, w jakim kierunku poszła, nie znajdzie jej z pewnością. Ograniczony czasem, będzie musiał w końcu zaniechać dalszych poszukiwań i udać się dalej sam do Boulogne. Ona zaś poczeka cierpliwie, aż nabierze całkowitej pewności, że odjechał. Wówczas zawróci do drogi i ruszy z powrotem do Paryża. Prędzej czy później będzie przejeżdżał jakiś powóz czy furmanka i podwiezie ją. Nikt nie powinien żywić podejrzeń co do młodej wieśniaczki, zmierzającej do stolicy w poszukiwaniu pracy. A już z pewnością nikt nie rozpozna w niej zbiegłej z więzienia arystokratki! Nie zastanawiała się nad tym, co będzie jeść i gdzie będzie spać. Chodziło tylko o to, by wrócić do Paryża i zabić Nicolasa. Nic innego nie miało znaczenia.

Krażyła nadal po lesie, zastanawiając się, ile minut upłynęło od rozstania z Julienem. Na chwilę zatrzymała się, ukryła za jakimś drzewem i z bijącym sercem nasłuchiwała, czy nie usłyszy jego wołania. W lesie było jednak cicho, tylko od czasu do czasu odzywał się jakiś ptak. Nic nie wskazywało na to, że obywatel Julien zauważył jej zniknięcie. Może zasnął pod

drzewem, czekając na nią? Jeśli tak, tym lepiej! Będzie mogła zaszyć się głębiej w lesie, Julien na pewno jej nie odnajdzie! Nie kryjąc podniecenia, rozejrzała się dokoła, rozmyślając, w jakim kierunku teraz powędruje.

- Zgubiła się pani w lesie, mademoiselle? - rozległ się gdzieś w górze ironiczny głos.

Z okrzykiem zdumienia uniosła głowę i zobaczyła obywatela Julie-na huśtającego się na gałęzi. Zeskoczył, lądując zgrabnie tuż przed jej nosem. Stał w rozkroku, z rękoma na biodrach. Wyraz jego twarzy świadczył niezbicie o tym, że jest wściekły.

-Jakie to szczęście, że pan mnie odnalazł - wymamrotała niezręcznie i cofnęła się o kilka kroków. Wyglądał na tak rozjuszonego, że mógłby ją udusić, instynkt samozachowawczy podszeptał jej więc, że lepiej trzymać się od niego z daleka. - Usiłowałam wrócić, ale ten las jest taki gęsty, że...

-Kłamczucha z pani, w dodatku jak zwykle nieudolna! - przerwał jej cichym, pełnym wściekłości głosem. - Ale pani upośledzenie pod tym względem to fraszka wobec niepojętej pogardy dla własnego życia! - Chwyił ją brutalnie za ramię i przyciągnął do siebie. - Dobrze by pani zrobiło, gdybym ją przerzucił przez kolano i okrężną drogą wbił pani trochę rozumu do głowy... albo przynajmniej zmusił, by zastanowiła się pani przez chwilę, zanim spróbuje znów się wymknąć!

Zacięte ponuro usta były najlepszym dowodem, że nie żartował.

- Nie waż się mnie tknąć! - parsknęła gniewnie Jacqueline.

W jej sercu trwoga zmagala się ze świętym oburzeniem.

Puścił ten okrzyk mimo uszu i zacisnął ogromne ręce na jej ramionach. Zabolało. Unieruchomiwszy ją w ten sposób, spojrzał w szare oczy, które płonęły buntem i wściekłością dorównującą jego furii.

-Staralem się być cierpliwy, mademoiselle - zaczął powoli, z rozważą, jakby głośno zastanawiał się, jak ma postąpić. -Wiem, że pani postępowanie jest skutkiem nieszczęść, jakie na panią spadły. Pojmuję pani ból po śmierci ojca i brata i rozumiem pragnienie zemsty...

-Niczego pan nie rozumie! - wybuchnęła, wrywając się z bolesnego uścisku. - Nie jest pan przecież jednym z nas, tylko kupczykiem przewożącym na statku ludzi zamiast towary! Bogaci się pan kosztem niewinnie uwięzionych, ratując tylko tych, których rodzinę lub przyjaciół stać na opłacenie pańskich usług! Co pan może wiedzieć o honorze, poczuciu obowiązku, potrzebie pomszczenia najbliższych?

Jej głos był pełen nienawiści i pogardy. Julien spojrzał na nią twardym wzrokiem.

- Nic pani o mnie nie wie, mademoiselle - rzucił przez zaciśnięte zęby. - I nie ma pani prawa mnie osądzać!

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu. Oczy miał zamglone, jakby jakieś bolesne wspomnienie przebiło się przez barierę jego gniewu i starał się zdławić je całą siłą woli. Jacqueline obserwowała tę wewnętrzną walkę i dostrzegła chwilę, w której zdołał ujarzmić dręczącą myśl. Poczula, że cała jego uwaga znów skupia się na niej.

- Ale mówiliśmy o pani, mademoiselle - powiedział, spoglądając na nią z nowym zainteresowaniem.

Uniósł dłoń zaciśniętą dotąd na ramieniu dziewczyny i powiódł nią lekko po jej policzku. Choć dzień był zimny, jego dotyk wydawał się ciepły, a brutalna siła ustąpiła miejsca łagodności.

- Taka delikatna, arystokratyczna szyjka - powiedział miękko. Palce znaczyły płomienną ścieżkę od szczęki do nasady szyi, gdzie biło tętno. - Cóż by to była za szkoda, gdyby przecięło ją ostrze gilotyny!

Palce Julienu nadal sunęły pieszczotliwie po jej skórze, powodując przyjemne mrowienie. Jacqueline poczuła, że dreszcz przeleciał jej po plecach. Powiedziała sobie, że to z powodu zimna.

- Całkiem możliwe - ciągnął dalej, głaszcząc w roztargnieniu jej policzek - że zostanie pani ujęta, zanim dotrze pani do Paryża. - Uniósł do góry drugą dłoń, którą dotąd ścisnął jej ramię, i dotknął obu policzków. Unieruchomił jej twarz i spoglądał na nią z góry oczyma o barwie lata: zieleni pól zmieszanej z błękitem nieba. - Czy pani wie, co by się stało, gdyby schwytano panią gdzieś na wsi? - spytał cicho, sunąc leciutko kciukami po policzkach, zaróżowionych nie wiadomo czemu pod tym łagodnym dotykiem. - Uwięziliby panią i dalejże uradzać, czy opłaca im się jechać do Paryża. Taki szmat drogi! - mówił głębkim, urzekającym głosem. - Całkiem możliwe, mademoiselle, że strzegący pani mężczyźni dostrzegliby pod maską farby i brudu ukryte piękno...

Jego słowa były dziwnie stłumione, jakby dochodziły z bardzo daleka. Wpatrywał się w nią z przejęciem i trzymał ją na uwięzi łagodnym dotykiem palców i gardłowym brzmieniem głosu. Jacqueline nie odrywała od niego oczu, wsłuchana w rytm jego słów, wchłaniając cudowne ciepło dotyku, "wrogość gdzieś znikła czy raczej straciła sens, stała się czymś dalekim, nieuchwytnym i nieistotnym.

Spoglądała w jego błękitno-zielone oczy, płonące żarliwością, i odkryła, że nie może się poruszyć, wydobyć głosu ani zrozumieć, co do niej mówi. Liczyło się tylko to, że byli razem, sami, w głębi lasu, gdzie nie miał znaczenia czas, miejsce, a nawet ich tożsamość.

- Widziałem twój portret, Jacqueline - szeptął, wplątując dłoń w jej włosy na karku.

Wymówił jej imię powoli, zmysłowo, jakby to była fraza muzyczna, której nie godzi się kaleczyć. Uprzytomniła sobie, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Napęliło ją to nieznaną dotąd, gorącą radością.

- Ciekaw jestem - szeptął, pochylając ku niej głowę - czy pozostało jeszcze coś z tamtej niewinnej dziewczeczki z portretu?...

Poczuła na swych wargach jego wargi. Były ciepłe, mocne i łagodne; raczej pieszczotliwie namawiały, niż się domagały; nieciły w jej krwi nieznaną żar, budziły chęć odwzajemnienia pieszczoty. Nie ośmieliła się na to, ale wstrzymała dech i pozwoliła jego ustom zakosztować swoich. Poruszały się powoli, sennie, napęliając ją miłym odrętwieniem, tak że nie mogła zebrać myśli. Westchnęła i przycisnęła wargi do jego warg, radując się ciepłem i siłą, jaka z nich emanowała. Objął ją ramionami i musnął dolną wargę końcem języka.

Ogarnął ją nagle przejmujący do głębi paniczny strach. Julien znajdował się zbyt blisko, był zbyt silny, osaczał ją jak Nicolas, przypierający ją do ściany celi. Poczucie jego męskości i lęk przed nią wyrwały ją z letargu i zniweczyły czar, który ją pętał. Kierując się pierwotnym instynktem, zacisnęła rękę w pięść i uderzyła go z całej siły w szczękę, aż stęknął z bólu i zatoczył się do tyłu.

Popatrzył na nią z niekłamanym zdumieniem, podnosząc rękę do twarzy. Odwzajemniła się wyzywającym spojrzeniem, nadal zacisnięta pięść gotowa była do zadania kolejnego ciosu.

- Nie waż się nigdy więcej mnie tknąć - powiedziała z trudem, cichym i drżącym głosem - bo zatopię ci nóż w sercu!

Patrzył na nią przez chwilę, trzymając się za obolałą od jej ciosu szczękę. Ależ ta dziewczyna ma siłę! - pomyślał trzeźwo. Nie pojmował, co go podkusiło, by ją całować! Z brudną, wynędzniałą twarzą, zmierzwionymi włosami i figurą matrony w zaawansowanej ciąży, na dodatek w łachmanach, nie była doprawdy ideałem piękna... nawet jeśli nakładał mu się na to jej obraz z zapamiętanego jak przez mgłę portretu, z pewnością pochlebionego! Poza tym nie miał zwyczaju umizgiwać się do niewiast znajdujących się pod jego opieką. Od dawna nie zażywał rozkoszy z kobietą, ale owych ślubów czystości, które sam sobie narzucił ponad rok temu, nietrudno mu było dochować... aż do dziś. Niecierpliwie odpędził od siebie tę myśl. Co za bzdury! - mówił sobie z gniewem. Miał przewieźć do Anglii kolejną arystokratkę, a traci cenny czas na zalecanki w lesie!

- Dzięki za ostrzeżenie, mademoiselle - powiedział z lekkim, nieco ironicznym pochYLENIEM głowy. - Może pani być pewna, że jej więcej nie tknę, chyba że mnie pani sprowokuje do posiniaczenia swojej arystokratycznej pupci kijem, jeśli spróbuje pani znowu uciec. A teraz, jeśli ma już pani dość błędzenia po lesie, proponuję, byśmy wrócili do wozu.

Wskazał ręką właściwy kierunek i zmusił Jacqueline, by szła przed nim.

Przez resztę drogi żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Przygnębiona nieudaną próbą ucieczki i świadomością, że z każdym obrotem kół wymarzona zemsta coraz bardziej się oddala, Jacqueline zapadła w kamienne, chmurne milczenie. Nie chciała nawet patrzeć na obywatela Juliana. Utkwiła wzrok w rozciągającej się przed nimi drodze i otaczających ją polach. Oszronione rzyska i posępne, ołowiane niebo wydawały się idealnym odbiciem jej nastroju. Wdychała głęboko lodowate powietrze, choć mroziło jej płuca. Rada była z bólu, gdyż uprzytamniał jej, że jeszcze żyje; póki żyła, mogła wrócić do Paryża. Do tej zaś chwili pragnęła zapamiętać każde przemarznięte źdźbło, mroczne niebo, drzewa, skały i nędzne chłopskie chaty - bo to właśnie była Francja. Jej ojczyzna. Chciała to wszystko zachować w pamięci, gdyż rozpamiętywanie sprawiało ból i nie pozwalało zapomnieć o przeszłości.

Godziny mijały, droga nadal wiała się przed nimi... I wreszcie, znużona ponad ludzką miarę, Jacqueline przymknęła oczy i zapadła w sen.

Obudziła ją cisza. Ciężki tętent końskich kopyt i nieustanne poskrzypywanie kół uśpiły ją rytmiczną kołysanką. Gdy dźwięki te umilkły, a wóz przestał się kołysać, Jacqueline ze znużeniem otworzyła oczy. Noc była czarna jak smoła. Na ciemnym aksamicie nieba nie lśniła ani jedna gwiazda. Mrok otulał ją zewsząd jak obszerna czarna peleryna. W nozdrza uderzyła ją woń soli - czysta, ostra i niejasno kojarząca się z rybami. Nigdy nie wdychała jeszcze tego zapachu, ale domyśliła się, co oznacza: dotarli do wybrzeża.

Wygramoliła się z wozu i rozejrzała wokół. Gdzież się podział obywatel Julien? Zobaczyła go: stał w pewnej odległości od niej, odwrócony tyłem i wpatrywał się w przestwór czarnego jak atrament oceanu, który kłębił się u jego stóp. Ruszyła ku niemu, chcąc zapytać, która teraz godzina, czy morze bardzo wzburzone i gdzie jest statek, który miał na nich czekać. Kiedy jednak podeszła bliżej, coś ją powstrzymało; zaniechała pytań i po prostu patrzyła na niego.

Stał z rękami zaciśniętymi w pięści, ale cała jego postawa świadczyła nie tyle o gniewie, ile o sile i niezłomnej determinacji. Miało się wrażenie, że Julien wchłania w siebie

niezmierną, groźną potęgę morza, która go wzmacnia, przenikając przez skórę i mięśnie do kości i do duszy. Jacqueline obserwowała go w milczeniu, czując się jak intruz śledzący z ukrycia jakąś intymną scenę. Ale coś ją korciło, by nie zdradzać jeszcze swej obecności. Po raz pierwszy widziała go bez maski. Nie wiedział, że ktoś na niego patrzy i nie musiał grać żadnej roli.

Lodowaty wiatr od morza atakował go, targał za okrycie, wicherzył włosy.

Kim naprawdę jest ten mężczyzna, który z taką łatwością przybiera coraz to nowy wygląd i osobowość i odgrywa swą rolę z niebudzącą niczyich podejrzeń zręcznością? Co go skłoniło do podejmowania takiego ryzyka, ustawicznego przebywania w kręgu wrogów, zuchwałego wyzywania losu, grożącego utratą wolności i życia? Mówiła sobie, że to dla niego zyskowny interes... ale czy naprawdę narażał się nieustannie tylko z chciwości? Jakież człowiek tak nisko ceni własne życie?... I czy nie miał nikogo, kto by martwił się o niego i liczył dni do jego powrotu z obawą i tęsknotą? Bez przebrania był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Czy ta kobieta, Angelique, wiedziała o jego ryzykownym fachu i pragnęła, by wyrzekł się go dla niej? Te pytania plątały się jej po głowie, gdy nagle odwrócił się błyskawicznie i wycelował pistolet prosto w jej pierś.

Jacqueline wydała okrzyk przerażenia. Złękła się, że ją zabije, nim rozpozna, kim jest. Patrzył na nią przez chwilę pustym wzrokiem, potem opuścił broń.

-Nigdy się do mnie nie podkradaj! - mruknął z irytacją, wtykając pistolet za pas.

-Przepraszam... - bąknęła Jacqueline, próbując uspokoić rozszalałe serce. - Nie chciałam pana przestraszyć!

Znow odwrócił się ku morzu, a Jacqueline stanęła obok niego. Mrużyła oczy, wypatrując „Angelique” na wzburzonym, czarnym oceanie. Ani śladu!

- Gdzie jest pański statek? - spytała.

Czyżby się spóźniał z powodu sztormu? Jeśli tak, może znow nadarzy się okazja do ucieczki?

-„Angelique” jest ukryta w małej zatoczce po przeciwnej stronie cypla - wyjaśnił, wskazując ręką przylądek.

-Jak tam dotrzemy? - zapytała ze strachem, że usłyszy: „Wpław!”

-Moi ludzie przybiją tu za kilka minut - odparł, znowu wskazując coś niewidocznego w ciemności.

Jacqueline spojrzała w tamtą stronę i po chwili zauważyła dwóch ludzi w niewielkiej łódce, wiosłujących co sił przez wzburzone fale. Obywatel Julien podał Jacqueline rękę.

- Jeśli pani gotowa, mademoiselle, pomogę pani zejść na plażę - zaproponował grzecznie.

- A co będzie z furmanką? - spytała, ogarnięta nagłą paniką.

Godzina wybiła! Statek już czekał, ta łódź ma ich dowieźć do niego... A więc naprawdę opuszczała Francję!

Obywatel Julien spojrział na nią z rozbawieniem.

- Niech się tym pani nie kłopotczy, mademoiselle! Furmankę zabiorą moi pomocnicy w ciągu pół godziny.

Oczywiście! Przecież nie zapomni o żadnym szczególe!

-Czy morze nie jest dziś zanadto wzburzone na przeprawę przez kanał La Manche? - pytała, szukając pretekstu do opóźnienia rozstania z Francją.

-Owszem, jest wzburzone - przyznał. - Ale moja załoga to doświadczeni marynarze, którzy żeglowali po znacznie groźniejszych wodach. Chodźmy!

Znów wyciągnął ku niej ramię.

- Zapominacie, obywatelu Poitier, że potrafię się obyć bez waszej pomocy! - przypomniała oziębłym tonem. Dobrze pamiętała, że ani razu nie pomógł jej przy wchodzeniu na wóz i schodzeniu z niego. - Wolałabym utrzymać ten stan rzeczy.

Uniosła dumnie głowę, zebrała zgrzebne spódnice i wyminęła go z godnością królowej, niezdarnie schodząc po skalistym stoku na plażę.

Było to niełatwe zejście, mówiąc ogólnie, toteż zanim, potykając się, dotarła na plażę, łódź już do niej przybiła.

- Dobry wieczór, kapitanie - odezwał się jeden z majtków.

Był to starszy już mężczyzna o twarzy sympatycznej, choć w znacznej części przesłoniętej gęstą, siwiejącą brodą.

-Dobry wieczór, Sidney - odparł obywatel Julien i kiwnął głową. - A, to ty, John - powitał drugiego majtka. Potem zwrócił się znów do starszego. - Były jakieś kłopoty?

-Nic, o czym by warto mówić - odparł Sidney, wzruszając ramionami. - Kiedy nie zjawiliś się o ustalonej porze, kapitanie, ukryliśmy się za cyplem i wysłaliśmy kilku ludzi do wsi, przekonać się, że nie zdarzyło się coś niedobrego. Ale wszędzie było spokojnie, a wwiezieniu pusto, pomyśleliśmy więc, że tylko coś zatrzymało kapitana, i tyle.

-Rzeczywiście, mademoiselle de Lambert i ja mieliśmy małe opóźnienie - odparł

obywatel Julien. - Bardzo proszę, mademoiselle!

Dał jej znak, że może już wsiąść do łodzi.

Bez entuzjazmu brnęła po mokrym piachu. Marynarz o imieniu John przytrzymał łódź, żeby się nie chybotwała, a Sidney podał pannie ramię przy wsiadaniu, co przyjęła nad wyraz wdzięcznie.

-Serdeczne dzięki - odezwała się słodko. -Jest pan prawdziwym dżentelmenem!

-Nie możemy pozwolić, żeby małej coś się stało - odparł Sidney z uśmiechem.

Obywatel Julien roześmiał się głośno. Jacqueline spojrzała nań z niesmakiem. Całkiem zapomniała o swej powierzchowności i o tym, że wygląda, jakby miała lada chwila urodzić dziecko.

Obywatel Julien, zanurzony po pas w lodowatej wodzie, wraz z pozostałymi mężczyzmi odepchnął łódź od brzegu. Potem wszyscy trzej przeskoczyli przez burtę do środka, opryskując przy tym Jacqueline rześystym deszczem zimnych kropli.

Piętrzące się czarne fale miały łodzią, jakby to była dziecięca zabawka, ale obaj marynarze wiosłowali w szybkim, niesłabnącym rytmie i w końcu dotarli do statku. Jacqueline była szczęśliwa, że nie siedzi już w miotanej falami łupince, tylko czuje pod nogami solidny pokład. Jej radość mąciło jednak przemoczone ubranie i wstrząsające nią dreszcze.

-Sidney, zaprowadź mademoiselle de Lambert pod pokład, do mojej kajuty. I dopilnuj, żeby miała wszystko, co trzeba, z gorącą kąpielą włącznie! - rozkazał obywatel Julien.

-Jeszcze nie! - zawołała Jacqueline.

Julien spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem. Nikt nie ośmielał się kwestionować jego poleceń, zwłaszcza tu, w obecności załogi. Im prędzej kłopotliwa dama nauczy się posłuchu, tym lepiej!

-Chce pani już na początku podróży zadrzeć z kapitanem, mademoiselle? - spytał tonem, który nie wróżył nic dobrego.

-Chciałabym pozostać jeszcze na pokładzie i popatrzeć na brzeg, kiedy będziemy odpływali - wyjaśniła.

-Jest pani zmęczona i zmarznięta - próbował ją przekonać obywatel Julien. - Nie chcę, żeby się pani zaziębiła pod moją opieką.

Dał znak Sidneyowi, by ją wyprowadził.

- Proszę! - szepnęła Jacqueline, podchodząc do kapitana, by marynarze, którzy

przyglądali się jej z ciekawością, nie mogli usłyszeć ich rozmowy. - Zabiera mnie pan tak daleko od ojczyzny, domu, wszystkiego, co jest mi bliskie i drogie... Błagam, niech mi pan pozwoli po raz ostatni popatrzeć na Francję!

Zdumiał go szczyry ból w jej głosie. Popatrzył w jej błagalne oczy i gotów był przysiąc, że dziewczyna nie gra w tej chwili komedii. Ale jej sztuczki i kłamstwa kazały mu mieć się na baczności. Może to jeszcze jedna próba ucieczki, zanim rozwiną żagle?... Nie zdziwiłoby go, gdyby rzuciła się za burtę, a nie miał specjalnej ochoty skakać za nią. Mierzył ją badawczym wzrokiem, usiłując dociec, czy tym razem można jej zaufać.

- Niech ktoś przyniesie koc! - zawołał wreszcie, nadal nie spuszczać z niej oczu. - Sidney, zostaniesz z mademoiselle de Lambert. Nie pozwól jej zbliżyć się do burty i dopilnuj, żeby za cztery minuty znalazła się w mojej kajucie, bo będzie z tobą źle!

-Tak jest, kapitanie! - odparł Sidney, wyraźnie ubawiony pasją, z jaką rozkaz został wydany.

-Dziękuję! - szepnęła Jacqueline.

W jej spojrzeniu wdzięczność mieszała się z bólem, który go zaniepokoił.

- Proszę nie sprawiać Sidneyowi żadnych kłopotów! - zapowiedział stanowczo. - Bo postaram się, żeby pani przez miesiąc nie mogła usiąść!

Ból w jej oczach zastąpiło zniecierpliwienie.

- Cóż takiego pańskim zdaniem mogłabym wymyślić? Nie mam najmniejszego zamiaru rzucać się do morza! Nie umiem pływać.

Poczuł ulgę: odzyskała nieco dawnej zuchwałości!

-Miło mi to słyszeć, mademoiselle - odparł uprzejmie. -Ale znając pani skłonność do tego, by najpierw działać, a dopiero potem myśleć, nie zdziwiłbym się, gdyby pani jednak skoczyła w nadziei, że już w wodzie nauczy się pływania!

-Czy ktoś panu powiedział, że jest pan niewybaczalnie grubiański? - spytała z oburzeniem, nie dbając o to, czy słyszy ją załoga, która nie odrywała od niej oczu.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

-Ma pani cztery minuty, mademoiselle! Potem radzę zejść do mojej kajuty. - Rozejrzał się niecierpliwie dokoła. - Gdzie, u diabła, jest ten koc?!

-Tutaj, kapitanie! - zameldował młody majtek, nieśmiało podając Julienowi koc.

-Nareszcie! - burknął, wyjmując pled z rąk zdenerwowanego chłopaka.

Rozłożył wełniane okrycie i troskliwie otoczył nim Jacqueline tak, że tylko twarz pozostała na wierzchu. Wstrzymała dech, gdy ją otulał, jak zawsze zaniepokojona jego

bliskością, dotykiem silnych rąk i ciepłem, które emanowało z całej jego postaci. Zadrżała i cofnęła się o krok.

-Jeśli się pani przeziębi - powiedział dziwnie głuchym głosem - będę naprawdę zły!

Odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Stała okryta kocem ze wzrokiem utkwionym w mały, ciemny skrawek łądu, który powoli oddalał się od nich. „Angelique” ruszyła w drogę. Brzeg tonął w ciemności, tylko gdzieś błyskało światło w oknie domu, gdzie ktoś wcześniej wstawał, lub tam, gdzie pozostawiono płonąca latarnię dla kogoś, kto jeszcze nie wrócił pod swój dach. Pierzasty baldachim liści na tle nocnego nieba był coraz mniejszy i mniejszy, w miarę jak statek uwoził ją coraz dalej od ziemi, którą kochała.

-Zegnaj na razie, mój rodzinny kraju! Mój domu, moje życie... - szeptała cicho. - Nie opuszczam cię na zawsze! Ty teraz krwawisz i ja krwawię... Ale nie bój się, nie zapomnę! Powrócę, choćby nie wiem co! A Nicolas poniesie słuszną karę. Przysięgam!

-Kapitan kazał, żeby zeszła pani na dół, mademoiselle! - odezwał się Sidney, przerywając te rozmyślania.

Westchnęła i poszła za nim do kapitańskiej kajuty.

Przyjemnie schronić się pod pokładem, z dala od zimna i lodowatego pyłu wodnego! W kajucie, ogrzewanej niewielkim czarnym piecem stojącym w kącie, było sucho i ciepło. Pokój wydał się jej wprawdzie zbyt mały jak na kwatery kapitana... ale w końcu niewiele się na tym znała. Nigdy przedtem nie płynęła statkiem, nie mogła więc porównać tej kajuty kapitańskiej z innymi. Pokój obito ciemną, odporną na wodę boazerią; mebli było niewiele: łoże, biurko, stół i dwa krzesła, marynarska skrzynia, komoda. Wszystkie z połyskliwego mahoni, ale choć elegancko wykonane, o wdzięcznych liniach, pozbawione wszelkich ornamentów i pozłoty, zgoła niepodobne do bogatego wyposażenia komnat w Château de Lambert. Tutaj dominowała męska prostota, nadając wnętrzu jasność i przestronność, choć pomieszczenie nie należało do obszernych.

Sidney prosił, by czuła się jak u siebie w domu, wyjaśnił, że leżące na łóżku odzienie jest przeznaczone dla niej, a kąpiel zaraz będzie gotowa. Kapitan powiedział, żeby sama poszukała w skrzyni mydła i ręczników.

Wkrótce po wyjściu Sidneya rozległo się stukanie do drzwi i dwóch mężczyzn wniosło ciężką miedzianą wannę. Odsunęli na bok stół i krzesła, i ustawili wannę pośrodku pokoju. Następnie zjawiała się procesja majtków z wiadrami pełnymi gorącej wody, którą poty wlewali do wanny, póki się nie napełniła.

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Jacqueline podbiegła do skrzyni i bez skrupułów przerzucała jej zawartość, póki nie natrafiła na bezcenne mydło i ręczniki. Dokonawszy tego, ściągnęła z siebie zgrzebny i brudny chłopski przyodziewek razem z poduszką i rzuciła na podłogę. Z westchnieniem rozkoszy weszła do wanny i zanurzyła się z głową w ciepłej wodzie.

Nigdy jeszcze kąpiel nie wydała się jej tak cudowna. Namydliła się od stóp do głów pachnącym mydłem i spłukawszy mydlaną pianę, powtórzyła to po raz wtóry. Umyła bardzo starannie włosy, usuwając z nich wszelki ślad cuchnącej farby. Żeby zaś pozbyć się kosmetyków, które czyniły ją brzydką i starą, szorowała twarz ręcznikiem z taką energią, że policzki poczerwieniały i zaczęły piec. Dopiero wówczas, gdy woda wystygła, a palce stały się blade i pomarszczone jak u praczki, niechętnie wynurzyła się z kąpeli i opłukała całe ciało czystą wodą z ostatniego wiadra, które jeden z marynarzy przezornie postawił obok wanny.

Pospiesznie ubrała się w białą nocną koszulę i szlafrok, które wyłożono dla niej w nogach łóżka. Ciekawe, do kogo należały te stroje? Jeśli Angeliqne była kochanką obywatela Juliena, zapewne od czasu do czasu towarzyszyła mu na statku, który nosił jej imię. Korzystali wtedy wspólnie z tej kajuty. Gorący rumieniec oblał policzki Jacqueline, gdy spoglądała na łóżko, rozważając tę możliwość. To nie moja sprawa! - powiedziała do siebie stanowczo i podeszła do skrzyni, by poszukać w niej grzebienia.

Ubrania, które bezceremonialnie odrzuciła na bok w poszukiwaniu mydła, okazały się koszulami obywatela Juliena. Gdy je teraz wyglądała i składała, jak należy, zdumiewała się ich jakością. Były doskonale uszyte i skrojone z kosztownych materiałów. Pod koszulami leżało kilka par równie dobrze skrojonych bryczesów i wspaniałe frak grafitowej barwy, co prawda prosty w linii i pozbawiony ozdób, ale świetnie uszyty i wytworny w swej prostocie. Nie ulegało wątpliwości, że obywatel Julien, choć w jego żyłach nie płynęła błękitna krew, obdarzony był dobrym gustem, a jego dochody pozwalały mu otaczać się kosztownymi przedmiotami, choć trudno je nazwać olśniewającymi. Dalej grzebała w skrzyni, uspokajając sumienie wymówką, że po prostu szuka grzebienia czy szczotki do włosów. Zresztą obywatel Julien pozwolił jej przeszukać skrzynię, gdyby czegoś potrzebowała. Dzięki tym wykrętom sumienie niezbyt jej dokuczało nawet wówczas, gdy znalazłszy już szczotkę i grzebień, odkryła na samym dnie kufra niewielką lakierowaną szkatułkę. Nie mogąc pohamować ciekawości, uniosła wieczko, by przekonać się, jakie skarby ukrywa w niej obywatel Julien.

Zwój atlasowych wstążek, różowych, kremowych i jasnoniebieskich, a pod nim śnieżnobiały kwadracik - cienkie płótno obrzeżone koronką. Jacqueline wzięła je do ręki.

Była to damska chusteczka z monogramem ASJ, misternie wyhaftowanym w rogu srebrną nicią. Obracała w palcach delikatną materię z takim skupieniem, jakby mogła zdradzić najtajniejsze sekrety obywatela Juliana.

Litera A oznaczała zapewne Angélique, i to chyba właśnie ona ofiarowała Julienowi w dowód miłości koronkową chusteczkę. Jacqueline podniosła ją do nosa, ciekawa, czy pozostał na niej zapach perfum, ale poczuła tylko korzenną woń egzotycznego drewna, z którego zrobiono szkatułkę. Zdziwiło ją trochę, że człowiek pokroju Juliana przechowywał taką pamiątkę... ale cóż właściwie o nim wiedziała?

I nie chcę nic wiedzieć! - powiedziała sobie twardo, staranie układając chusteczkę na dnie szkatułki i nakrywając ją zwojem wstążek.

Schowała wszystko z powrotem do skrzyni i zamknęła wieko, a potem zabrała się do rozczesywania włosów. Teraz, gdy były czyste, znów pożałowała, że musiała je obciąć. Przez całe życie miała długie włosy, a dziś sięgały tylko do ramion... Mogli ci ściąć głowę! - upomniała się ze zniecierpliwieniem. Warto było poświęcić włosy, by zyskać szansę powrotu i dopełnienia zemsty!

Zauważyła, że po obcięciu włosy układały się w lekkie fale... może więc nie są takie okropne, jak sądziła?

Rozmyślenia przerwał jej chlupot wody przelewającej się przez brzegi wanny. Statek - a więc i cała kajuta - to podnosił się do góry, to opadał, kołysząc się rytmicznie. Na szczęście meble okazały się stateczne i nie przejmowały się huśtawką, ale Jacqueline nie była przyzwyczajona do tak gwałtownych zmian położenia. Próbowała wstać, lecz nagle zakołysanie statku odrzuciło ją z powrotem na krzesło. Zacisnęła zęby, wstała raz jeszcze i podeszła do drzwi, zdecydowana ostro rozmówić się z obywatelem Julienem i zażądać, by uważniej kierował swoim statkiem. Zdołała jednak zrobić zaledwie parę kroków, gdy kajuta zawirowała wokół, a kolana ugięły się pod nią.

Z trudem podniosła się z podłogi. Nie czuła się już na siłach, by wszczynać ostrą dyskusję z obywatelem Julienem. Lepiej chyba znowu usiąść na krześle... tyle że w obecnym położeniu łóżko wydało się jej znacznie bardziej atrakcyjne. Toteż potykając się, ruszyła ku niemu, przekonana, że po krótkim wypoczynku dojdzie do siebie.

Ale już po chwili dostała najstraszliwszych w swym życiu torsji. Jęknęła z rozpacz, gdy obrzydliwa przypadłość pokonała ją całkowicie.

-Już się tam urządziła, miło i wygodnie, jak zarządziłeś, kapitanie - zameldował

Sidney po angielsku, przyłączywszy się do kapitana na pokładzie.

-To dobrze - odparłem z roztargnieniem. Wpatrywał się w ciemność, oceniając siłę wiatru i wysokość fal oraz ich wpływ na szybkość statku. - Miałem nadzieję, że pogoda bardziej nam dopisze!

Sidney spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Pływaliśmy w dziesięć razy gorszej pogodzie - zauważył ze śmiechem. - Cóż z tego, jeśli przeprawa potrwa trochę dłużej?

Armand się skrzywił.

- Im wcześniej dotrzemy do Anglii, tym prędzej się jej pozbędę.

Sidney roześmiał się i pogładził brodę.

- Dała ci się nieźle we znaki, prawda?

-Od początku dokucza mi jak cierń w boku! - burknął z irytacją Armand.

Założył ręce do tyłu i wdychał łąpczywie wilgotne, słone powietrze. Jak to przyjemnie znajdować się na własnym statku, mieć na sobie własne ubranie, posługiwać się własnym nazwiskiem i znów mówić po angielsku!

Gdy „Angelique” biła od brzegu, zszedł pod pokład, by zrzucić z siebie łąchy Jeana Poitiera i zmyć charakteryzację. Wyszorował się i ogolił, zanim włożył czystą białą koszulę, płowe bryczesy i narzucił ciężki czarny płaszcz. Był zmęczony, gdyż od dwóch dni nie spał. Pragnienie znalezienia się jak najszybciej na pokładzie „Angelique” i nacieszenia się w pełni świadomością, że ocalił kolejną ofiarę od gilotyny i sam znów wyszedł z tego cało, było silniejsze od potrzeby snu.

W Paryżu słyszał plotki krążące na jego temat. Czarny Książę, jak go teraz nazywano, uchodził za groźnego wroga republiki. Choć nie brak mu chytryści - mawiano - nie jest aż tak sprytny, by w nieskończoność mógł wymykać się gilotynie! Przypuszczenia na jego temat były liczne i sprzeczne ze sobą. To mówiono, że działa w pojedynkę, to znów, że stoi na czele całej siatki kontrrewolucjonistów. Bajano, że jest arystokratą, może nawet spokrewnionym z rodziną królewską, inni spierali się zażarcie, że to tylko chciwy mieszczuch, co wszystko robi dla pieniędzy. Zgadzano się przeważnie co do tego, że jest Francuzem, gdyż w jego wypowiedziach nigdy nie dostrzeżono nawet cienia cudzoziemskiego akcentu. Znał natomiast doskonale różne dialekty, dzięki czemu mógł równie dobrze grać rolę prostego wieśniaka z północy, jak i paryskiego urzędnika na posadzie rządowej. Wszyscy zaś twierdzili, że ma wyjątkowe szczęście, gdyż tylko ulubieniec losu mógł podejmować takie ryzyko jak Czarny Książę i wychodzić z tego cało. Szczęście! -

pomyślał gorzko. O tak, jestem wyjątkowym szczęściarzem!

- Może byś zszedł pod pokład i trochę się przespał, chłopcze? - Sidney przerwał te rozmyślenia. - Nie dzieje się tu nic takiego, z czym sam bym sobie nie poradził. Przeprowa przeciągnie się co najmniej o kilka godzin, jeśli pogoda się nie poprawi. Możesz spokojnie odpocząć.

Oderwał wzrok od morza i spojrzał na swego przyjaciela. Znali się od czasów, kiedy Armand był jeszcze chłopcem, a Sidney pracował w towarzystwie okrętowym jego ojca. Zawsze był pierwszorzędnym żeglarzem i Armand wiedział, że bez obawy może mu powierzyć statek i życie. Choć teraz był już dorosłym mężczyzną i kapitanem „Angelique”, Sidney nadal odnosił się do niego tak, jakby był chłopcem, któremu trzeba wytłumaczyć, co będzie dla niego najlepsze. Co prawda, nigdy nie pozwalał sobie na taką poufałość w obecności majtków.

- Może masz słuszość - przytaknął Armand ze znużeniem. - Chyba położę się na chwilkę.

Zszedł pod pokład, planując w duchu, że zajrzy do niej tylko na chwilę, żeby się upewnić, że ma wszystko, co trzeba, i że jej wygodnie w jego kajucie. Wszystko zapewne wydawało się jej szczytem luksusu po kilku tygodniach spędzonych w Conciergerie! - pomyślał ze złością. Gdy po raz pierwszy wszedł tam jako obywatel Julien i ujrzał ją, brutalnie przypartą do ściany, ze spódnicą podkasaną do pasa, gwałconą przez tego łotra, omal nie stracił nad sobą panowania. Zatlukłby kanałię, a to oczywiście oznaczałoby koniec przebieranki i pewną śmierć, ale w tamtej chwili sądził, że byłoby warto! A jednak coś kazało mu zacisnąć zęby i zmusić się do udawania. To widok tej dziewczyny, stokroć piękniejszej niż na portrecie, olśniewającej na tle otaczającego ją brudu, smrodu i zgnilizny. Ale nie sama jej piękność skłoniła go do grania farsy. Nie, to coś w jej pełnej godności postawie sprawiło, że postanowił ocalić ją za wszelką cenę, wyciągnąć z więzienia i z kraju, którym owładnęło szaleństwo, gdzie każdy był jej wrogiem. A więc jąkał się, przeproszał, kaszlał i rzeził... grał swoją rolę tak, jak to zaplanował. Ale jego bystrym oczom nie umknęła ani godność, z jaką odsunęła się od napastnika i zebrała podartą suknię, ani pogarda, z jaką traktowała wszystkich wokół siebie, nie wyłączając jego. Uwięzili ją, próbowali zastraszyć, zabili jej ojca i brata, pozbawili rodzinnego domu i całego mienia, a teraz jeszcze mieli odebrać życie - a jednak nie zdołali jej złamać. Była silna. Podziwiał ją.

Zastukał do drzwi.

- To ja, mademoiselle - powiedział po francusku. - Chciałem się dowiedzieć, czy

czegoś pani nie potrzeba?

Nie było odpowiedzi. Pomyślał, że pewnie zasnęła i już miał odejść, ale w szparze pod drzwiami dostrzegł światło. Jeśli śpi, widać zapomniała zgasić świece, a to mogło źle się skończyć. Pożar na statku to nie przelewki! Zastukał więc ponownie.

- Śpi pani, mademoiselle? Zostawiła pani zapalone świece - powiedział srogo i głośniej niż poprzednio.

Tym razem odpowiedział mu słaby jęk. Otworzył drzwi z impetem i wkroczył do kajuty.

Przejął go lodowaty strach, gdy ujrzał ją, leżącą na podłodze - bladą, osłabioną, prawie bez tchu, z twarzą wykrzywioną bólem. Powieki jej zatrzepotały. Spojrzała na niego i jęknęła żałośnie.

- Umieram, obywatelu... -szepnęła.

A potem z wielkim wysiłkiem pochyliła się nad stojącym obok nocnikiem i zaczęła gwałtownie wymiotować.

Chwytał ręcznik, rozwieszony na bocznej ścianie wanny, zanurzył róg w zimnej wodzie i ukląkł przy Jacqueline. Kiedy wymioty ustały, oparł jej głowę o swoje kolana i obmył twarz.

- Coś ty ze sobą zrobiła, na litość boską?! - spytał cichym, drżącym głosem.

Oczy miała zamknięte, w panice zaczął więc nią potrząsać, aż uniosła powieki i spojrzała na niego ze znużeniem. Zaprotestowała jękiem przeciw tak brutalnemu traktowaniu, ale on szalał z niepokoju i nie zamierzał być łagodny.

- Powiedz mi, Jacqueline, bo, jak Bóg na niebie, wytrzęsę z ciebie prawdę! Jaką truciznę połknęłaś?! - nalegał, chwytając ją za ramiona i zmuszając, by siadła.

Spoglądała na niego pustym wzrokiem. Oszołomienie i mdłości sprawiały, że widziała jak przez mgłę. W pierwszej chwili go nie poznała. Nie był to obywatel Julien ani kapitan Gwardii Narodowej, ani wieśniak Jean Poitier. Bez charakteryzacji stał się znów nieznanym mężczyzną, z którym spała w jednym łóżku w walącej się paryskiej oberży. Ale kim właściwie był? I dlaczego tak się na nią złościł? Przecież nie próbowała uciekać. Umierała. Czy nie mógł okazać umierającej trochę względów?... Podniosła rękę i próbowała go odepchnąć.

- Ja umieram... - protestowała bezradnie. - Czemu tak mnie dręczysz? - Przymknęła oczy i oparła się znów o jego ramię, nie zważając na to, że nadal usiłował zmusić ją, żeby usiadła. - Myślisz, że sama się otrujęm?!

Odetchnął głęboko, gdy dotarło do niego znaczenie jej słów. Nie próbowała popełnić samobójstwa! Jej ból z powodu opuszczenia kraju i poniesienia zemsty nie był aż tak wielki! Armand nie miał pojęcia, czemu wyciągnął tak pochopny wniosek, ale nie zamierzał tracić czasu na rozważania. Teraz, kiedy już wiedział, że dziewczyna nie umiera, pragnął czym prędzej ulżyć jej w cierpieniu.

Uniósł ją i przygarnął do piersi. Była taka lekka... Zbyt lekka jak na kobietę jej wzrostu! - pomyślał gniewnie. Całe tygodnie spędzone w ohydnych więzieniu, a przedtem wiele miesięcy głodowania w państwie, które nie mogło wyżywić swej ludności, doprowadziły ją do takiego stanu.

Wstał z klęczek i poprawił pościel na łóżku, nim ostrożnie położył na nim dziewczynę. Twarz miała równie białą jak poduszka. Troskliwie okrył ją kołdrą.

Podszedł do drzwi, by przywołać kogoś do pomocy, i ujrzał przechodzącego korytarzem majtka, który przyniósł koc dla Jacqueline.

-Hej, ty tam! Przynieś mi puste wiadro i drugie z czystą, ciepłą wodą. A prócz tego zimnej wody do picia i kilka sucharów - zawołał ostro. -I pospiesz się!

-Tak jest, panie kapitanie! Już się robi, panie kapitanie! - odpowiedział chłopak z zapalem i pomknął korytarzem.

Wrócił po kilku minutach ze wszystkim, czego sobie życzył. Armand wręczył mu w zamian nocnik, każąc wylać zawartość za burtę, a naczynie wypłukać, zanim je przyniesie z powrotem. Potem zamknął drzwi i zajął się wyłącznie Jacqueline.

Zdjął ciężki płaszcz i podwinąwszy rękawy koszuli, przyciągnął do łóżka krzesło i usadowił się na nim. Potem zanurzył czysty ręcznik w wiadrze z wodą i delikatnie umył chorej twarz, pocieszając się myślą, że Jacqueline nie ma gorączki. Po chwili otworzyła oczy. Spojrzenie miała zamglone, jakby nieobecne.

- Umieram, obywatelu - powiedziała słabym głosem.

Pokręcił głową.

- Nie, Jacqueline. Nie pozwolę, żebyś umarła, kiedy jesteś pod moją opieką. Popsułoby mi to interesy!

Uśmiechnął się do niej, nadal obmywając delikatnie jej twarz.

- To czemu tak źle się czuję, na litość boską?! -jęknęła żałośnie i znów zwymiotowała do pustego wiadra, które jej podsunął.

Zaczekał, aż atak się skończy, otarł jej twarz i przytknął do ust szklanekę z wodą.

- Weź trochę wody do ust, popłucz i wypłuj - polecił. - Od razu poczujesz się lepiej!

Posłuchała rady, wdzięczna za pomoc, a równocześnie upokorzona, że widzi ją w tak haniebnym stanie. Pomógł jej położyć się na poduszce, zaraz potem poczuła, że znów przeciera jej twarz wilgotnym ręcznikiem. Kajuta nadal unosiła się i opadała albo wirowała wokół niej, co doprowadzało dziewczynę do rozpacz.

-Obywatelu Julien... - wyszeptała słabym głosem.

-Nazywam się Armand - odpowiedział. - Armand St. James.

Milczała, póki te słowa nie dotarły do niej. Oczywiście! Zapowiedział przecież, że nie wyjawia swego nazwiska, póki są w niebezpieczeństwie. Teraz byli już bezpieczni, płynęli do Anglii. Ale ona tam nie dopłynie, bo lada chwila umrze. Wydało jej się to okropnie niesprawiedliwe, że umrze, nie zobaczywszy się z siostrami... nie mówiąc już o tym, że nie będzie mogła zabić Nicolasa... ale to nie miało znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Pragnęła tylko jednego: żeby statek przestał się kołysać! Wtedy będzie mogła umrzeć w spokoju.

- Monsieur St. James... - odezwała się znowu, słabym i drżącym głosem. - Czy mógłby pan jakoś uspokoić swój statek, żeby się tak nie kolebał i nie dygotał? Bardzo proszę!

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Była taka pewna, że kapitan jest w stanie dokonać takiego wyczynu! Widocznie nigdy dotąd nie pływała statkiem i nie wiedziała, jak uciążliwa bywa niekiedy morska podróż. On sam przywykł od dawna do wzburzonego morza i nie przejmował się kołysaniem ani szarpnięciami statku, które doprowadziły Jacqueline do tak opłakanego stanu.

-Gdyby to było w mojej mocy, mademoiselle, zatrzymałbym niebo i ziemię dla twej wygody... ale niestety, to, o *co* prosisz, przekracza moje siły.

-Aleja umieram, a to nieustanne chybotanie zatruwa mi ostatnie chwile! - zaprotestowała z rozpaczą.

Odgarnął jej wilgotne włosy z czoła i łagodnie pogładził po bladym policzku.

- Nie, Jacqueline. Już mówiłem, nie pozwolę, żebyś umarła, póki jesteś pod moją opieką. To tylko wzburzone fale i kołysanie statku sprawiają, że tak źle się czujesz. Ale wszystko niebawem minie, zaufaj mi!

Znów otworzyła oczy. Jej żołądek buntował się i w każdej chwili mogło dojść do kolejnej katastrofy.

- Naprawdę? - spytała.

Wola życia walczyła w niej z przemożnym w tej chwili pragnieniem śmierci.

- Naprawdę - odparł i pokiwał głową. - Jak się uporasz z mdłościami, dam ci trochę

wody do picia, a potem spróbujemy wmusić w ciebie kawałek suchara. Jest wysuszony i bez smaku, ale powinien uśmierzyć burzę w twoim żołądku. Jutro rano poczujesz się znacznie lepiej, słowo honoru!

Raz jeszcze uniosła powieki i przyjrzała mu się uważnie, „wydawał się szczery. Błękitno-zielone oczy patrzyły przenikliwie, duże, silne ręce tak delikatnie ocierały jej twarz... Była zażenowana, że mężczyzna widzi ją w tak poniżającej sytuacji, a jednak jego obecność podnosiła ją na duchu. Tak troskliwie się nią opiekował, a pewność, że nie jest śmiertelnie chora, pozwalała jej uwierzyć, że wkrótce wyzdrowieje. W tej chwili życie nie wydawało się jej specjalnie pociągające, ale on upewnił ją, że jutro rano poczuje się lepiej, z pewnością więc tak będzie!

Westchnęła i przymknęła oczy.

Przez chwilę siedział z nią w milczeniu, potem sądząc, że zapadła w sen, wyplukał ręcznik w wiadrze z wodą i wstał z krzesła. Chciał znaleźć chłopaka i kazać mu przynieść nocnik na wypadek, gdyby Jacqueline znów dostała torsji. Drugie wiadro też należałoby opróżnić. W kajucie zrobiło się chłodno, trzeba dołożyć do ognia. Może zamówić herbatę dla Jacqueline? Nie za mocną!

Właśnie wstał, by zająć się tym wszystkim, ale chora z trudem podniosła rękę, chwyciła jego dłoń i przytrzymała.

- Nie odchódź! - poprosiła cichutko.

W jej oczach czaił się lęk. Trzymała go za rękę słabo, ale z uporem.

-Zaraz wrócę - powiedział.

-Nie odchódź! - powtórzyła, kręcąc głową.

Ta prośba wzruszyła go: w złej godzinie chciała go mieć przy sobie. Nie mógł jej udzielić konkretnej pomocy, ale jego obecność przynosiła jej ukojenie. Nie wiedział, czemu tak było, ale sprawiło mu to przyjemność.

- Dobrze, Jacqueline - powiedział miękko. - Nie odejdę. Odetchnęła z ulgą. Była tak wyczerpana, że oczy same się jej zamykały.

Ponieważ obiecał, że zostanie, usadowił się znów na krześle przy łóżku, by czuwać nad nią przez resztę nocy.

Rozdział 6

Nazajutrz po południu wylądowali w Dover. Jacqueline czuła się już nieco lepiej, choć nie całkiem jeszcze wydobrzała. Na prośbę Armanda, a raczej monsieur St. Jamesa, jak wołała się do niego zwracając po przebudzeniu, zdołała zjeść kilka kęsów suchara, popijając je herbatą Armand, rad, że najgorsze minęło, polecił jej, by do końca podróży leżała w kajucie i odpoczywała, sam zaś wrócił do swych zwykłych obowiązków na statku. Początkowo dziewczyna z przyjemnością zastosowała się do zaleceń, ale gdy statek dobijał do portu, jej stan tak się już poprawił, że nie mogła usiedzieć na miejscu i chciała czym prędzej się wyrwać z ciasnej kajuty. Właśnie spoglądała smętnie na chłopskie przebranie, które wczoraj cisnęła ze wzdrganiem na podłogę, gdy zjawił się Armand z naręczem jedwabiu i koronek.

Suknia w kolorze lawendy, którą jej przyniósł, była suto przybrana koronką, spódnica wydymała się imponująco na licznych halkach, ukazując w rozcięciu jasnyniebieską tunikę. Toaleta prezentowałaby się wspaniale na nieco tęższej damie, ale na wychudzonej Jacqueline wisiała bez szyku. Sytuację poprawiła zwiewna szarfa z gazy, którą dziewczyna skrzyżowała z przodu i związała na wielką kokardę z tyłu. Gdy na koniec ukryła obcięte włosy pod kapeluszem z niebieskiego atlasu z puszystym szarym piórem i narzuciła na ramiona pelerynkę identycznej barwy z lawendowym przybraniem, doszła do wniosku, że wygląda, jeśli nie pięknie, to przynajmniej przyzwoicie. To jej wystarczyło. Minęły bezpowrotnie dni, gdy godzinami tkwiła przed lustrem, zastanawiając się nad najmodniejszym uczesaniem, przybraniem sukni lub nad tym, czyjej pantofelki pasują do reszty stroju. Tamta płocho dziewczyna przepadła bez śladu, jakby jej życie zakończyło ostrze gilotyny. Nowa Jacqueline obojętnie przyglądała się własnej twarzy w lusterku do golenia, które odkryła w skrzyni Armanda. Z chłodną rezerwą patrzyła na blade, chude odbicie, a ono odplacało jej równym brakiem zainteresowania.

Kiedy wyszła na pokład, członkowie załogi zapomnieli o swych obowiązkach i gapili się na nią oniemiałi. Gdy przeszła obok nich, oprzytomnieli nieco, grzecznie się kłaniając. I choć Jacqueline zdawała sobie z tego sprawę, że zdumiewali się, ponieważ poprzedniego dnia wyglądała jak brudne czupiradło, ich podziw wprowadził ją w lepszy humor. Może nie zbrzydła aż tak, jak jej się zdawało?

- Wygląda pani jak marzenie, słowo daję! - ucieszył się Sidney. Z niskim ukłonem podał jej ramię. - Chodźmy do kapitana!

Zaprowadził ją na dziób statku, skąd Armand kierował cumowaniem. Zmierzył Jacqueline wzrokiem od stóp do głów, jakby nie mógł się zdecydować, czy mu ten widok odpowiada, czy nie.

-Lepiej się pani czuje? - spytał szorstko i bezosobowo.

-O wiele lepiej, bardzo dziękuję - odparła Jacqueline.

Zauważyła, że przebrał się w nienagannie czyste, popielate spodnie do kolan, dobrany kolorem frak o barwie grafitu i białą koszulę. Na szyi miał starannie związany fular. Obszerny czarny płaszcz, narzucony na ramiona, podkreślał jego imponujący wzrost i barczystą sylwetkę. Złotobrzowe włosy odgarnął do tyłu i związał czarną aksamitką, ale kilka kosmyków z przodu wymknęło się i powiewało na zimnym wietrze. Gdy tak oceniał jej wygląd, wszystko w nim świadczyło o sile, pewności siebie i opanowaniu. Cechowała go dyskretna elegancja, a postawę można było z powodzeniem nazwać pańską i szlachezną, choć nie należał do arystokracji. Nagle poczuła się nieswojo w jego towarzystwie; peszyło ją wspomnienie nocnych przypadłości.

- To dobrze.

Odwrócił się raptownie, skupiony znów na cumowaniu. A Jacqueline, zamiast zirytować się tym grubiaństwem, poczuła ulgę, że nie zwraca już na nią uwagi.

Sidney zaprowadził ją na miejsce przy relingu, skąd mogła wszystko obserwować, nikomu nie przeszkadzając. Statek został przycumowany, jak należy, przerzucono masywny trap, który połączył pokład „Angelique” z nieznaną ziemią, Anglią. Kapitan podszedł do Jacqueline.

- Chodźmy, mademoiselle - powiedział, podając jej ramię. – Na nabrzeżu czeka już powóz, by zawieźć panią do jej nowego domu.

Spojrzała na niego i zdecydowanie pokręciła głową.

- To nie mój dom, monsieur St. James, i nigdy nim nie będzie. To schronienie dla uciekinierki, bo przecież nią właśnie jestem, prawda? - Odwróciła wzrok. - Porzuciłam ojczyznę, zbroczoną krwią i uciemieżoną, dla spokoju i bezpieczeństwa w obcej ziemi - w jej głosie zabrzmiała gorycz i wzdarda dla siebie samej.

Przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu.

- Przecież pani wcale nie uciekała - przypomniał. — To wbrew pani woli, przywiozłem panią tutaj. Ale gdybym tego nie zrobił, mademoiselle, zginęłaby pani na gilotynie. Nie pojmuję doprawdy, czemu śmierć we Francji miałaby być lepsza od życia w Anglii. To nie dezercja, mademoiselle, to woła przetrwania. A to, że pani nadal żyje, jest

policzkiem dla nowej republiki!

Zacisnęła pięści w poczuciu własnej bezsilności.

- To, że przeżyłam, jest bez znaczenia... chyba że przyczynię się do obalenia tyranii niszczącej Francję. Tylko to nadałoby sens mojemu życiu. Czy potrafi pan to zrozumieć?

Zmrużył oczy i zrobił krok w jej stronę.

- Jeśli wyobrażasz sobie, moja panno, że pozwolę ci się mieszać w jakieś knowania kontrewolucjonistów, grubo się mylisz!

Wzrok Jacqueline zwarł się z jego oczyma.

- Wybaczy pan, monsieur St. James, nie wiedziałam, że potrzebuję pańskiej zgody na wszystko, czym będę się zajmować w Anglii! Chyba kiedy mnie pan przekaże pod opiekę sir Edwarda, nie będzie już pan ponosił za mnie odpowiedzialności? - spytała zimno.

Patrzył przez chwilę w srebrnoszare oczy, podziwiając błyszczący w nich upór. Jacqueline miała oczywiście słuszość. Jego opieka nad nią skończy się w chwili, gdy powierzy ją sir Edwardowi. Stanie się po prostu jedną z ocalonych przez niego ofiar terroru. Zawdzięczała mu życie, ale nie miał zwyczaju domagać się za to zapłaty. Nie zwykł też wtrącać się w dalsze poczynania swych klientów, gdy wylądowali bezpiecznie na angielskiej ziemi. Wymagał od nich tylko tego, by nigdy i nikomu nie zdradzili osoby swego wybawcy. Jeśli spełnili to skromne życzenie, mogli robić, co chcą. Skoro mieli ochotę wspierać kontrewolucję, była to ich sprawa, nie jego. Czemu teraz miałyby być inaczej?

- Ma pani rację - przyznał szorstko. - Od chwili, gdy znajdzie się pani pod dachem sir Edwarda, będzie pani jego podopieczną, nie moją.

Cóż to będzie za ulga! - dodał w myślach i znów podał jej ramię.

Oparła się na nim z przymusem i pozwoliła, by pomógł jej zejść na ląd i podprowadził do eleganckiego czarnego powozu, który na nich czekał. Podróż do rezydencji sir Edwarda trwała kilka godzin, ale większość drogi odbyli w milczeniu. Armand usadowił się wygodnie i zamknął oczy; widocznie postanowił nadrobić braki snu. Jacqueline spoglądała przez okno na roztaczający się przed nią mroźny pejzaż, rozmyślając o prześladowaniach i rzeziach, które pozostawiała za sobą. Po pewnym czasie odsunęła jednak od siebie myśli o śmierci i ludzkiej krzywdzie i zaczęła sobie wyobrazać niedalekie już spotkanie z siostrami. Ciekawe, czy bardzo się zmieniły w ciągu pięciu miesięcy rozłąki?... Monsieur St. James powiedział, że Seraphine nie odezwała się ani razu od śmierci ojca. Może widok starszej siostry coś w tym względzie zmieni? Ogarnęło ją podniecenie radosnego oczekiwania, jakiego nie zaznała od wielu miesięcy.

- Po raz pierwszy się pani uśmiechnęła!

Zaskoczona spojrzała na niego. A więc nie spał! I wyglądało na to, że obserwował ją od dłuższego czasu.

- Myślałam o siostrach - wyjaśniła pośpiesznie.

Zabrzmiało to tak, jakby się usprawiedliwiała z jakiejś słabości.

- Uśmiech to nic złego, mademoiselle - zauważył nieco ironicznie. - Sam sobie nieraz pozwalałam na taki luksus!

Zmieszana odwróciła się znów do okna, choć zapadł już zmrok i nic nie było widać.

- Muszę panią o coś prosić, mademoiselle.

- Cóż to takiego? - spytała, nadal wpatrując się w okno.

Pochylił się ku niej, domagając się całej jej uwagi. Poruszyła się nerwowo, osaczona jego bliskością i siłą, która emanowała zeń nawet wtedy, gdy siedział bez ruchu. Czowała jego zapach - czysty, męski, nieco cierpki, odmienny od zapachu innych mężczyzn. Przemknęło jej przez myśl wspomnienie François-Louisa i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że z wyjątkiem jednej krótkiej chwili na sali sądowej nie pomyślała o narzeczonym ani razu w ciągu ostatnich czterech dni. Nie spodziewała się tego po nim, że z narażeniem życia wystąpi w jej obronie podczas procesu; nie oczekiwała zresztą, by ktokolwiek pośpieszył jej z pomocą. Ich małżeństwo zostało zaaranżowane przez obu ojców, a ona i François-Louis nie znali się nawzajem dość dobrze, by żywić do siebie jakieś głębsze uczucia. Kiedy Jacqueline przywoływała wspomnienie nielicznych spędzonych razem chwil i kilku skradzionych całusów, wszystko w narzeczonym zdawało się jej przepojone słodkawym zapachem zbyt mocnych perfum - poczynając od obficie pudrowanej peruki po koronkową chusteczkę, ukrytą za przesadnie strojnym mankietem. Upodobanie do ciężkich perfum nie było rzadkością wśród francuskich dżentelmenów. Ale czysty, świeży zapach monsieur St. Jamesa (oczywiście w chwili, gdy nie grał żadnej ze swoich ról) był zdecydowanie przyjemniejszy od woni kosztownych perfum, jakimi oblewali się francuscy arystokraci.

- Muszę panią prosić, by nie zdradziła nikomu, że to ja pomogłem pani uciec z Conciergerie - powiedział Armand bardzo poważnie.

-Sir Edward i jego rodzina są przekonani, że użyłem moich znajomości, by przywieziono panią do Boulogne, a stamtąd przyłynęliśmy razem bezpiecznie do Anglii. Nie wiedzą nic o tym, co robię we Francji, musi to pozostać absolutną tajemnicą. Czy pani to rozumie? - spytał dobitnie.

-Po cóż te sekrety? - Jacqueline była zdezorientowana. - Przecież sir Edward to

przyjaciel mojego ojca! Jest wrogiem rewolucji tak samo jak ja! Anglia prowadzi wojnę z Republiką Francuską! Czemu pańskie działania muszą być tutaj okryte tajemnicą?!

-Ponieważ, mademoiselle, wszędzie mogą być szpiegzy - wyjaśnił spokojnie. - Gdyby rząd rewolucyjny zorientował się, że to ja wywożę potajemnie z Francji skazanych lub podejrzanych arystokratów, śledzono by każdy mój ruch i zastawiano na mnie pułapki. A gdybym został schwytany, stracono by mnie natychmiast. Póki jednak nikt nie wie o tym, co robię, nikt mnie nie obserwuje i mogę względnie swobodnie przebywać kanał La Manche w obie strony.

-Jak często odwiedza pan Francję? - spytała ciekawie.

Armand poprawił się na siedzeniu.

-Dość często.

Poczuła ogarniające ją podniecenie.

-Kiedy się pan znowu tam wybiera? Spojrzał na nią podejrzliwie.

-Czemu pani o to pyta?

Jacqueline się zawahała. Gdyby wyznała bez ogródek, że chce wrócić do Francji razem z nim, z pewnością usłyszałaby „nie”. Ale jeśli będzie wiedziała, kiedy się tam wybiera, może zdoła dostać się na pokład bez jego wiedzy? Taka możliwość zasługiwała na rozważenie. Musi być jednak ostrożna, by nie wzbudzić podejrzeń!

-Bez powodu - odparła z nonszalancją. - Byłam po prostu ciekawa, jak często musi pan ryzykować życie, by zarobić na utrzymanie. - Od niechcienia powiodła palcem po pluszowym, szkarłatnym obiciu. - Sądząc po wyglądzie statku i tego powozu, często odbywa pan swe ryzykowne wyprawy, by żyć w luksusie!

-Pani troska o moje warunki życia jest doprawdy wzruszająca. Ale ponieważ nadal nie potrafi pani kłamać, postawmy sprawę jasno: nic mnie nie skłoni do zabrania pani z powrotem do Francji, by mogła się pani zemścić na Nicolasie Bourdonie. Nie uszłoby to pani na sucho, a wrogowie nie zawahaliby się użyć najbardziej bolesnych i poniżających metod, by wyciągnąć od pani informacje o człowieku, który pomógł jej uciec z więzienia. A zatem, mademoiselle, naraziłaby pani nie tylko własne, ale i moje życie. Ja zaś, jeśli mam już umrzeć, wolę to zrobić z własnego popędu.

Przyciągnął ją bliżej do siebie i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie, Jacqueline - powiedział cicho. - Porzuć fantazje o powrocie do Francji i rozpocznij nowe życie. Musisz je sobie tu zbudować. Czy mam do tego

prawo, czy nie, nigdy nie pozwolę ci wrócić! Rozumiesz? - spytał szorstko.

Próbowała się wyrwać z jego uścisku, lecz trzymał ją mocno.

-Doskonale rozumiem! - syknęła przez zaciśnięte zęby. Puścił ją tak nagle, że opadła z impetem na swoje miejsce.

-To dobrze.

Uznawszy sprawę za załatwioną, przymknął oczy i znów udał, że śpi.

Było już bardzo późno, gdy powóz skręcił w prywatną drogę, wiodącą do dworu sir Edwarda. Jacqueline wyjrzała przez okno i w blasku księżyca zobaczyła wielki, ciemny budynek. Tylko w kilku oknach na parterze paliło się światło. Powóz stanął, Armand otworzył drzwiczki, wyskoczył i odwrócił się z wyciągniętym ramieniem, by pomóc Jacqueline przy wysiadaniu.

- Oto pani nowy dom, mademoiselle - powiedział dobitnie.

Z samego tonu wynikało niezbiecie, że nie życzy sobie żadnych protestów.

Jacqueline bez słowa przyjęła jego pomoc. Była kompletnie wyczerpana po kilkudniowej męczącej podróży i marzyła o tym, by czym prędzej położyć się do łóżka i spać choćby tydzień. Ale równocześnie rosło w niej podniecenie: nareszcie ujrzy Suzanne i Seraphine! Podchodząc do frontowych drzwi, nie mogła się powstrzymać i nerwowo ścisnęła Armanda za ramię. Opiekuńczym gestem nakrył dłonią jej dłoń i na chwilę napięcie między nimi znikło.

Ciężkie dębowe drzwi otwarły się i starszy majordomus zaprosił ich do wnętrza.

-Dobry wieczór, panie St. James - odezwał się oficjalnym tonem.

-Dobry wieczór, Cranfield. Czy sir Edward i lady Harrington nie udali się jeszcze na spoczynek?

-Mieli nadzieję, że zjawią się państwo jeszcze dziś, i czekają w salonie - odparł Cranfield. - Proszę za mną.

Zaprowadził ich do wielkiego pokoju, którego ściany pokrywało mnóstwo rubinowych aksamitnych draperii i ciemnych olejnych malowideł. Dwoje pulchnych uśmiechniętych starsuszków pospieszyło im na spotkanie.

- Armandzie, dokonałeś tego! - wykrzyknął z entuzjazmem sir Edward.

Był to tęgi mężczyzna, dobrze po pięćdziesiątce, z błyszczącą łysiną, otoczoną wianuszkami siwych włosów. Rumiane policzki i nos świadczyły o upodobaniu do trunków. W brązowych oczach tliły się prawdziwe ciepło i życzliwość. Chwyił Jacqueline za rękę i podniósł ją do ust.

- Witaj, moja droga Jacklyn, witaj! - mówił rozpromieniony. - Nie mogliśmy się doczekać twego przyjazdu! Bardzo się niepokoiiliśmy z lady Harrington w ciągu tych ostatnich tygodni, że coś może pójść nie tak albo że przeklęte zabójcy zrobiły ci coś złego i wszelkie nasze starania są spóźnione... Powiadam ci, kiedy St. James nie zjawił się dziś rano wraz z tobą, tak jak obiecał, szaleliśmy po prostu z niepokoju...

- Kochane biedactwo, musisz być zupełnie wycieńczona tymi strasznymi przeżyciami! - przerwała mu lady Harrington.

Podbiegła do Jacqueline i ucałowała ją serdecznie. Nie ulegało wątpliwości, że - podobnie jak mąż - lubi sobie dobrze podjąć i nie zażywa zbyt wiele ruchu. Poruszała się jednak z gracją w przepięknej sukni z chabrowego brokatu, idealnie dobranego kolorem do szafirów, spoczywających na jej pulchnym dekoldzie.

- Ale teraz już się niczym nie martw! Jesteś tu bezpieczna i możesz zapomnieć o koszmarnych przejściach! Jeśli sobie tego życzysz, możemy o tym w ogóle nie wspominać. Dopilnujemy, by nikt cię nie wypytywał o okropności, które musiałaś znieść! Moje biedne dziecko! Jesteś chuda jak patyk, i nic dziwnego, na pewno cię głodzili w tym strasznym więzieniu. Ale to nietrudno będzie naprawić: Każemy kucharce przygotować wszystkie dania, które najbardziej lubisz! A może byś teraz coś zjadła?

Jacqueline spoglądała na nich w osłupieniu. Nie rozumiała ani słowa z tego, co mówili. Odwróciła się bezradnie do Armanda, który obserwował całą scenę z niepokojem. Nie wiedział, że dziewczyna w ogóle nie zna angielskiego!

- *Pardonnez-moi* - zaczęła z wahaniem, w nadziei że któreś z Harringtonów liźnęło choć trochę francuszczyzny. Z pewnością sir Edward, dobry przyjaciel papy, musiał rozmawiać z nim po francusku! Popatrzyła więc na niego. - *Je ne peux pas parler anglais. Parlez-vous français?* (Bardzo przepraszam... Nie mówię po angielsku. Czy zna pan francuski?) - spytała z nadzieją w głosie.

Sir Edward spojrzał na nią ze zdumieniem.

-Mademoiselle de Lambert nie mówi po angielsku - wtrącił Armand, przeklinając się w duchu. Powinien uprzedzić Jacqueline, że Harringtonowie znają zaledwie kilka słów po francusku.

-Kochane biedactwo, nie mówi po angielsku! - Lady Harrington cmoknęła z ubolewaniem, jakby nieznamość angielskiego wynikała z czyjegoś karygodnego zaniedbania. - Co by tu... Aha, Jacklyn, *avez-vous faim?* (Jesteś głodna?) - wymówiła z trudem.

Jacqueline pokręciła głową, ponieważ patrzyli na nią wyczekująco. Poczuli się naraz

straszliwie samotna i zagubiona.

-Może mademoiselle de Lambert mogłaby się przywitać ze swymi siostrzyczkami? -
podsunął Armand, wyczuwając rozpacz dziewczyny i pragnąc ulżyć jej w cierpieniu.

-Doskonały pomysł! - przytaknęła lady Harrington. - Cranfield, powiadom pannę
Lindsay, żeby obudziła dziewczynki i zaraz tu z nimi zesła!

- Jak pani sobie życzy, lady Harrington - odparł majordomus. Skłonił się i wyszedł z
pokoju.

-No, no! Że też mój stary przyjaciel Charles-Alexandre nie pomyślał o tym, że warto
nauczyć córki angielskiego! - niezbyt taktownie zauważył sir Edward. - Ale nic nie
szkodzi! Zaangażowaliśmy wspaniałą guwernantkę dla dziewczynek i Suzanne robi
naprawdę wielkie postępy. Seraphine oczywiście uczestniczy we wszystkich
lekcjach, ale że nadal nie mówi, trudno dojść, ile się nauczyła. Powiedz Jacklyn, mój
chłopcze, że za miesiąc będzie już paplać po angielsku jak każde z nas.

-Sir Edwardzie, panna de Lambert ma na imię Jacqueline, nie Jacklyn - zwrócił mu
uwagę Armand, głowiąc się, czemu ta angielska wersja tak go irytuje. Przekręcanie
francuskich imion było w Anglii powszechne i nikt się tym nie gorszył. Podobnie
było przecież z jego imieniem. Aż dziw, że teraz złościło go takie głupstwo!

Sir Edward spojrzał na niego ze zdumieniem.

-Ależ oczywiście! - przytaknął. - Żak.. .el.. .iini - powtórzył wolno, tym razem rąbiąc
brutalnie imię dziewczyny na trzy sylaby.

-Może będziemy ją nazywali „Jackie”? To znacznie łatwiejsze do wymówienia -
zapropozowała z ożywieniem lady Harrington.

- Nie! - sprzeciwił się stanowczo Armand.

Małżonkowie spojrzeli na niego, zaskoczeni gwałtownością jej reakcji. Poczuli się
niezręcznie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że z pewnością nauczą się państwo właściwie
wymawiać to piękne imię - wyjaśnił ze skruchą.

Jacqueline w milczeniu obserwowała tę rozmowę. Pojęła, że chodzi o niewłaściwą
wymowę jej imienia. Czemu nie przyszło jej do głowy, że Harringtonowie mogą nie znać
francuskiego? Ojciec był bardzo wykształcony i wiele podróżował. Mówił płynnie kilkoma
językami. Widocznie ze swym przyjacielem, sir Edwardem, porozumiewał się wyłącznie w
jego języku. Książę nalegał, by jego syn, markiz, również uczył się obcych języków. (Biedny
Antoine, który nie odziedziczył po ojcu zdolności lingwistycznych, bardzo na to narzekał).
Ojciec uważał jednak, że znajomość języków nie jest potrzebna paniom, toteż Jacqueline i

jej siostrzyczki znały tylko francuski. Jak się czuły Suzanne i Seraphine w obcym domu, z którego mieszkańcami mogły porozumiewać się jedynie za pomocą najprostszych zwrotów?... Serce Jacqueline krwawiło na myśl o ich niedoli.

- Jacqueline!

Odwróciła się, słysząc dziecinny głosik. Zdążyła tylko przyklęknąć na ziemi, a już dwie dziecinne rączki zacisnęły się wokół jej szyi, a mała, jasna, kędzierzawa główka przyłgnęła do piersi.

- Suzanne, moje kochanie, moja gołąbeczko, jak to dobrze znów cię zobaczyć! - zawołała, całując dziecinną buzię, przytuloną do jej twarzy.

Spojrzała w stronę Seraphine, drobniejszej i jeszcze bardziej jasnowłosej niż Suzanne. Sześciolatka, blada i poważna, niepewnie stała w drzwiach.

- Seraphine, mój aniołku! Chodź tu do mnie, żebym i ciebie mogła ucałować! - zawołała wesoło Jacqueline, wyciągając do niej rękę.

Dziewczynka w dalszym ciągu stała jak wryta, spoglądając na nią pustymi, szarymi oczyma, jakby była kimś obcym.

- Siostrzyczko, to ja, Jacqueline! - przemawiała pieszczotliwie.

Czyżby naprawdę aż tak się zmieniła?... Ściągnęła z głowy wielki kapelusz z niebieskiego atlasu, by Seraphine mogła lepiej zobaczyć jej twarz.

- Och, Jacqueline! - jęknęła Suzanne. - Gdzie się podziały twoje piękne włosy?

Wyciągnęła rączkę i dotknęła krótkich, postrzępionych kosmyków.

- Ja... Ja je obciąłam - wyjąkała Jacqueline, pojmując poniewczasie, że zdjęcie kapelusza nie było najlepszym pomysłem. Seraphine nadal patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem. - Tyle było z nimi kłopotu! Ciągle tylko mycie, szczotkowanie i upinanie! Odważyłam się więc i wprowadziłam nową modę - paplała coraz bardziej nerwowo, siłąc się na wesołość. - Prawda, monsieur St. James?

- O tak! - potwierdził Armand. - Damy w całej Francji chwytają za nożyczki i obcinają sobie włosy, żeby mieć fryzurę w najnowszym stylu „de Lambert”.

Suzanne spojrzała na Jacqueline z powątpiewaniem.

- Zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy - odezwał się po angielsku miękki, melodyjny głos.

Ładna młoda kobieta z kasztanowymi włosami, odziana tylko w jasnoblękitną nocną koszulę i zwiewny szlafroczek tej samej barwy, wpłynęła do salonu.

- Ach, Armandzie, jak wspaniale wyglądasz po tej nowej przeprawie przez kanał La

Manche! - zawołała, podchodząc do niego. - Umieram z ciekawości i chcę usłyszeć absolutnie wszystko o tej nowej przygodzie!

Obdarzyła go czarującym uśmiechem.

Wejście nieznajomej oderwało na moment uwagę Jacqueline od młodszej siostrzyczki. Nie rozumiała ani słowa, ale nie ulegało wątpliwości, że angielska pannica zawzięcie kokietuje Armanda. Jacqueline poczuła, że ogarniają irytacja.

-A to z pewnością Jacklyn! - powiedziała słodko panienska, jakby dopiero teraz dostrzegła obecność Jacqueline.

-Jacklyn nie mówi po angielsku. A ty, Lauro, nie powinnaś w takim stroju pokazywać się w męskim towarzystwie! - ofuknął ją surowo sir Edward.

-Ależ papciu! O tej porze to bardzo stosowny strój, a Armand należy prawie do rodziny! - zaprotestowała Laura, rzucając Armandowi porozumiewawczy uśmiech. Skwitowawszy w ten sposób uwagę ojca, zwróciła się do Jacqueline, mówiąc powoli i z angielskim akcentem. - Witaj, Jacklyn! Mam na imię Laura i potrafię mówić po francusku!

-Bardzo mi miło, mademoiselle Lauro - odpowiedziała grzecznie Jacqueline.

Spełniwszy w ten sposób obowiązek towarzyski, Laura znów skupiła całą uwagę na St. Jamesie.

-A teraz, Armandzie, opowiedz mi dokładnie, jak udało ci się ocalić tę biedaczkę od okropnych francuskich morderców! Byłeś w wielkim niebezpieczeństwie? Obstawili swoimi okrętami całe wybrzeże? Czy któryś z twoich pomocników zginął, pomagając Jacklyn przemknąć na wasz statek? A może ty musiałeś kogoś zgładzić?

-Dość tego, Lauro! - zbesztła córkę lady Harrington. - Nasi goście są z pewnością wyczerpani po ciężkich przejściach. Jestem pewna, że biedny Armand nie ma wcale ochoty opowiadać ci ze szczegółami o przeprawie przez kanał La Manche! Dowiesz się wszystkiego jutro rano. W tej chwili oboje marzą zapewne o tym, by znaleźć się w swoich pokojach i odpocząć!

-Bardzo mi przykro, lady Harrington, ale nie mogę zostać na noc - powiedział Armand.

-Ależ musisz zostać! - błagała go Laura, krzywiąc żałośnie usteczka. - Naprawdę umrę z ciekawości, jeśli mi nie opowiesz o tej przeprawie... a tego byś chyba nie chciał, prawda?

Jacqueline zauważyła, że dziewczyna stoi bardzo blisko Armanda. Co prawda

jeszcze go nie dotyka, ale w każdej chwili może odrzucić resztki przyzwoitości i przykleić się do niego całym skąpo odzianym ciałem!... Kusiło ją, by odciągnąć głupią dziewczynę od Armanda i dać jej porządnego klapsa.

- Możesz zapytać o to mademoiselle de Lambert i przy okazji podszlifować swój francuski - wykręcił się gładko Armand. – Zbyt długo bawiłem poza domem, muszę teraz wracać, "wygląda na to, mademoiselle de Lambert, że nadeszła pora rozstania - powiedział cicho po francusku do Jacqueline, która nadal obejmowała małą Suzanne.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Już teraz? - wyszeptała martwym głosem.

Nie wiedzieć czemu czuła się tak, jakby ją porzucił. Ostatecznie wypełnił swe zadanie: ocalił jej życie i przywiózł do domu sir Edwarda, tak jak się do tego zobowiązał. To prawda, że zmusił ją wbrew jej woli do opuszczenia kraju, że był despotyczny i grubiański, że nie chciał spełniać jej życzeń... Ale pod jego opieką nie spotkało jej nic złego. A kiedy była taka strasznie chora, że chciała umrzeć, został przy niej i troszczył się o nią. Wiele razem przeżyli w ciągu tych kilku dni... Mówiła sobie, że będzie rada, kiedy się go wreszcie pozbędzie, ale teraz, gdy nadeszła chwila rozstania, odkryła, że wcale nie ma ochoty się pożegnać.

- Myślałam, że zostanie pan jakiś czas... - zaczęła z wahaniem.

Zdziwił się, słysząc szczery żal w jej głosie, ale nie okazał tego po sobie. Wiedział, że Jacqueline czuje się nieco zagubiona, ale zdawał sobie sprawę, że przede wszystkim nadal pragnie go namówić, by zabrał ją z powrotem do Francji. O nie! Jego opieka nad nią dobiegła końca, czas wracać do domu! Dziewczynie nic już nie grozi. Jest znów ze swymi siostrami, a sir Edward i lady Harrington troskliwie się nią zaopiekują. Z początku będzie jej trudno przywyknąć do nowych warunków, ale w końcu nauczy się angielskiego i dostosuje do tutejszych zwyczajów. Jej gniew i żądza zemsty stopniowo osłabną, zacznie znów myśleć o nowych, strojnych sukniach, wesołych spotkaniach towarzyskich i roju wielbicieli, którzy bez wątpienia zaczną jej asystować. Była bardzo pociągająca, a jako córka księcia de Lambert stanowiła dobrą partię. Co prawda nie miała już ogromnego majątku, który przed rewolucją należał do jej rodziny, ale sir Edward wyposaży ją z pewnością w sposób, który większość arystokratycznych kawalerów uzna za wart zachodu.

Powrócił myślą do tamtej chwili w lesie, kiedy Jacqueline uderzyła go pięścią, gdy próbował ją pocałować... Uśmiechnął się. Niech Bóg ma w swej opiece głupca, który uzna, że to panna w sam raz dla niego!

-Niestety, mademoiselle, nie mam wiele czasu i muszę jak najszybciej wracać do domu - powiedział. - Jestem pewien, że pani to rozumie.

-Oczywiście - odparła sztywno.

Wykonał zadanie, a zatem mimo wyczerpującego tempa, w jakim przejechali ostatni odcinek drogi, mimo że jest środek nocy, monsieur St. James rwie się do domu; bez wątpienia prosto w kochające ramiona swojej Angelique!

W myśli zobaczyła maleńką koronkową chusteczkę, starannie ukrytą na dnie skrzyni w kapitańskiej kajucie. Srebrny monogram ASJ. Z wyraźnymi oporami rozum podsunął jej, jakże oczywiste, rozwiązanie zagadki: Angelique St. James. Jak mogła nie domyślić się tego wcześniej? Czyżby był żonaty!

- Za nic nie chciałabym zatrzymywać pana z dala od bliskich, czekających niecierpliwie pańskiego powrotu - powiedziała chłodno. -Jeszcze raz dziękuję za pańską pomoc, choć nie zawsze było to w zgodzie z moimi życzeniami, i życzę panu szczęśliwej podróży!

Odprawivszy w ten sposób St. Jamesa, objęła mocniej Suzanne i spojrzała na Seraphine, która nie odrywała od niej oczu.

Armand nie bardzo rozumiał, co spowodowało nagły chłód w jej głosie, ale nie miało to przecież znaczenia. Jego zadanie było zakończone.

Życzył Harringtonom dobrej nocy, pożegnał się też z dziewczynkami. Suzanne z całą powagą podziękowała mu za przywiezienie siostry do Anglii, a Seraphine nie odsunęła się, gdy pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha kilka słów, których Jacqueline nie mogła usłyszeć.

A potem odjechał.

Powiedziała sobie, że wcale o to nie dba, że cieszy się, iż wyrwała się wreszcie kontroli i uwolniła od jego towarzystwa. Seraphine nadal stała w drzwiach, wpatrując się w nią. Jacqueline nie miała pojęcia, co się dzieje w małej główce i czemu dziecko trzyma się od niej z daleka. Cierpliwości! - pomyślała. Trzeba działać powoli, nie ponaglać jej, by mnie uściskała!

- No cóż... Chyba powinniśmy wszyscy położyć się wreszcie do łóżek - stwierdziła lady Harrington.

Nie zważając na jej słowa, Suzanne przestała ścisnąć siostrę za szyję i spojrzała jej prosto w oczy.

- A gdzie jest Antoine? - spytała z niepokojem po francusku.

Zaskoczona tym pytaniem Jacqueline się zawahała. Dziewczynki najwyraźniej nie wiedzą jeszcze o śmierci brata. Nie była wcale pewna, czy właśnie teraz powinna je powiadomić o kolejnym nieszczęściu. Ponieważ wieść o śmierci ojca tak bardzo wstrząsnęła Seraphine, postanowiła nie obarczać na razie uczuć siostrzyczek.

- Antoine został aresztowany i jest w więzieniu - skłamała.

Suzanne spojrzała na nią zbita z tropu.

-Dlaczego nikt go stamtąd nie wyprowadził, żeby monsieur St. James mógł przywieźć was oboje?

-Nie tak łatwo wydostać się z więzienia - tłumaczyła Jacqueline. - Ale przed wyjazdem dostałam od niego list. Jest zdrowy, w dobrym nastroju i przesyła wam obu całusy - improwizowała, mając nadzieję, że brzmi to przekonująco.

-Chyba im właśnie opowiada o śmierci brata - odezwała się Laura do rodziców, którzy nie rozumieli rozmowy.

-Nie wiem, czy wybrała najodpowiedniejszą porę - zaniepokoiła się lady Harrington i pokręciła głową. -Ale w końcu jest ich siostrą. Jeśli uznała, że powinny o tym wiedzieć, pewnie ma rację.

Suzanne spojrzała z przerażeniem na lady Harrington, która odpowiedziała jej spojrzeniem pełnym współczucia. Błękitne oczy dziewczynki napęłniły się łzami.

- Kłamiesz! - krzyknęła oskarżająco do Jacqueline. - Okłamujesz nas!

Łzy popłynęły po zmartwiałej twarzyczce. Nie dając starszej siostrze czasu na odpowiedź, odwróciła się i wybiegła z pokoju. Jej płacz odbijał się echem od ścian korytarza.

Nie wiedząc, co począć, Jacqueline odwróciła się do Seraphine. Ona nie mogła zrozumieć. Seraphine odpowiedziała jej spojrzeniem, które nie było już puste, lecz twarde i zimne, zbyt dojrzałe u sześciolatniego dziecka. Potem również ona odwróciła się i uciekła, a jej uparte milczenie było bardziej przerażające niż bolesny płacz Suzanne.

Rozdział 7

Minęło kilka tygodni, bardzo uciążliwych dla Jacqueline.

Choć była wdzięczna losowi za to, że żyje i że znów może być razem z siostrami, nie żywiła żadnych ciepłych uczuć do Anglii. To tylko czasowe schronienie, nie miała więc ochoty dostosowywać się do miejscowych zwyczajów. Lordowi Edwardowi i lady Harrington bardzo zależało na tym, by ich nowa podopieczna zapomniała o przeszłości i poczuła się członkiem rodziny, chcieli więc, by jak najprędzej nauczyła się angielskiego. Każdego ranka Jacqueline miała lekcje tego języka, ale brak zainteresowania sprawiał, że zarówno jej, jak i nauczycielce trzy godziny wlokły się nieznośnie.

Popołudnia spędzała z siostrzyczkami. Chociaż Suzanne pogodziła się ze śmiercią brata i wybaczyła Jacqueline jej miłosierne kłamstwo, uczucia Seraphine nadal były wielką niewiadomą, gdyż dziecko w dalszym ciągu trzymało się na uboczu i nie mówiło. Jacqueline doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie zwracać uwagi na milczenie Seraphine, i zachowywała się tak, jakby go nie dostrzegała. Każdego popołudnia czytała siostrzyczkom po francusku i rozmawiała z nimi w tym języku. Odpowiadała tylko Suzanne, ale Jacqueline poświęcała każdej z dziewczynek tyle samo uwagi. Zdumiewała ją troska i cierpliwość, jakie Suzanne okazywała młodszej siostrze. Ciągle z nią rozmawiała, pytała, czego Seraphine sobie życzy, i starała się wyczytać odpowiedź z jej oczu. Utrata rodzinnego domu i śmierć najbliższych wzmocniły więzi łączące dziewczynki; Suzanne odgrywała rolę opiekuńczej mamusi, a milcząca Seraphine towarzyszyła jej wszędzie jak cień.

Lady Harrington i Laura zatroszczyły się o nowe, bogate stroje dla Jacqueline. Dziewczyna protestowała, gdyż suma, którą przesłała na utrzymanie sióstr, nie była zbyt wielka. Nie może marnować tych pieniędzy na niepotrzebne fatalaszki! Lady Harrington uparła się jednak, że sprawi jej w prezencie nową garderobę. Zarówno ona, jak i jej córka bawiły się znakomicie podczas przymiarek, obsypując Jacqueline uśmiechami i komplementami; zachowywały się jak dzieci ubierające nową lalkę. Nie zwracały uwagi na protesty Jacqueline, która w łamanej angielszczyźnie usiłowała im wytłumaczyć, że suknie wieczorowe są jej absolutnie niepotrzebne, bo nie zamierza uczestniczyć w żadnych balach. Nie rozumiały też jej upodobania do czerni, która odpowiadała stanowi jej ducha i była jak

najbardziej odpowiednia w okresie żałoby. W końcu jednak lady Harrington ustąpiła i zgodziła się na dwie suknie w tym ponurym kolorze: codzienną i wieczorową, którą kazała szczerze ozdobić błyszczącymi dżetami.

Troskliwość lady Harrington wyrażała się również w tym, że zatrudniła francuską pokojówkę, ładniutką dziewczynę o imieniu Charlotte. Wyjechała ona z Francji na początku rewolucji wraz z bogatą rodziną, która postanowiła przeczekać najgorsze w Anglii i powrócić do ojczyzny, gdy sytuacja się uspokoi. Kiedy rząd rewolucyjny zagroził emigrantom konfiskatą dóbr, chlebodawcy Charlotte wrócili do kraju. Dziewczyna jednak obawiała się panującego we Francji zamętu i postanowiła zostać na obczyźnie.

Ujrawszy włosy nowej pani, Charlotte od razu chwyciła za nożyczki i przycięła je fachowo. Znikły bez śladu postrzępione, nierówne końce. Potem zaczęła eksperymentować z długimi do ramion lokami i ostatecznie wymyśliła prostą fryzurę, która stanowiła wdzięczne obramowanie twarzy i nie wymagała mnóstwa szpilek i pomady, by utrzymać się na głowie.

Jacqueline odkryła, że własny wygląd niewiele ją teraz obchodzi, i pozostawiła pokojówce wolną rękę co do uczesania oraz wyboru sukni. Na szczęście Charlotte bardzo poważnie traktowała obowiązki i miała znakomity gust, toteż Jacqueline - mimo absolutnego braku zainteresowania fatalaszkami - wyglądała zawsze prześlicznie.

Kilka dni po jej przybyciu do domu Harringtonów zaczęły nadchodzić zaproszenia także i dla niej. Wszyscy chcieli gościć u siebie młodą francuską arystokratkę, która cudem uniknęła śmierci na gilotynie. Zapraszano ją więc na różne spotkania towarzyskie - od hucznych balów po herbatki w domowym gronie. Jacqueline odrzucała każde z nich. Choć tłumaczyła się przed lady Harrington, że to za wcześnie po niedawnej śmierci Antoine'a i że jej znajomość angielskiego jest zbyt nikła, by mogła brać czynny udział w zebraniach towarzyskich, w gruncie rzeczy po prostu nie miała na nie ochoty. Nie chciała ani się bawić, ani zawierać przyjaźni w tym dziwnym, obcym kraju.

Pragnęła jedynie spędzić jak najwięcej czasu z siostrami przed powrotem do Francji. Świadomość, że każdego dnia morduje się tam niewinnych ludzi, a Nicolas cieszy się życiem i pieniędzmi, które zdobył za denuncjację jej ojca i brata, doskwierała jej coraz bardziej.

Podsycala tę nienawiść, zmuszając się do myślenia o swym wrogu. Przypominała sobie, jak zasiadał z nimi do stołu w Château de Lambert jako mile widziany gość. Jak odgrywał przed jej ojcem rolę młodego mieszcza idealisty, perorującego o prawach człowieka. Jak doradzał księciu w sprawach finansowych... Ojciec od początku był oczarowany jego inteligencją i zapalem. Jacqueline jednak zawsze coś odstręczało od tego

człowieka. Był przystojny, ujmujący, oczytany, miał doskonałe maniery... ale nieraz widziała, jak z drugiego końca stołu wpatruje się w nią bacznie. Niepokoilo ją to.

Kiedy ojciec odrzucił - ku ogromnej uldze Jacqueline - zuchwałą prośbę Nicolasa ojej rękę i niemal natychmiast zaręczył córkę z markizem de Biret, dostrzegła subtelną zmianę w zachowaniu młodzieńca. Pozornie nadal był uroczy i przyjacielski, zapewniał ojca, że rozumie jego decyzję, ale gdy spoglądał na nią, w jego oczach było jakieś zimne zdecydowanie, jakby mówił: „Nie zrezygnuję z ciebie, będziesz w końcu należeć do mnie!” I omal do tego nie doszło. Zmuszała się do wspominania tamtej poniżającej, haniebnej sceny - udaremnionego w ostatniej chwili gwałtu w więziennej celi. Rozpamiętywała okrucieństwo Nicolasa i przysięgała sobie, że śmierć, jaką mu zada, będzie powolna i bolesna.

- Jak myślisz, mamó, co powinnam włożyć na dzisiejszy bal u Fleetwoodów: jedwabną brzoskwińnię czy lilaróż z atlasu?

Wyraz twarzy Laury był tak poważny, jakby od tej decyzji zależała przyszłość Imperium Brytyjskiego.

Lady Harrington podniosła oczy znad haftu.

- Moim zdaniem ani jedną, ani drugą. To przecież bal na Boże Narodzenie! Wszystkie damy zjawiają się w żywszych, intensywnych kolorach. Któraś z twoich aksamitnych sukien, szmaragdowa albo rubinowa, byłaby bardziej stosowna. Pomyśl, jak ładnie będziesz się w niej prezentować na tle czerwono-zielono-złoty ch świątecznych dekoracji!

- Sama mówisz, że wszystkie przyjdą w tych kolorach! - zaprotestowała Laura. -A poza tym pastelowe odcienie znacznie lepiej pasują do mojej cery! A ty, co o tym myślisz, Jacklyn? Brzoskwińnię suknia jest przybrana od góry do dołu małutkimi, puszystymi kwiatkami z jedwabiu - opisywała po angielsku z zachwytem. -Wygląda rozkosznie, jeszcze ani razu nie miałam jej na sobie! Z kolei na tej lilaróż są całe kilometry marszczonych koronek: przy rękawach, wokół dekoltu i na samym dole... po prostu oczu nie można oderwać! Jak myślisz, którą powinnam włożyć?

Wyrwana ze swych rozmyślań Jacqueline zamknęła gramatykę angielską, którą pozornie studiowała. Choć nie przykładała się do nauki, z każdym tygodniem coraz lepiej rozumiała, o czym rozmawiano w jej obecności, zwłaszcza jeśli mówiono niezbyt szybko. Potrafiła też odpowiedzieć na zadane jej pytanie. Teraz zorientowała się, że ta niezwykle ważka dyskusja dotyczy gwiazdkowego balu, na który wszystkie zostały zaproszone, oraz tego, w co się Laura ubierze. (Jacqueline już wcześniej oznajmiła, że na bal nie pojedzie. Choć obie damy z początku usiłowały ją przekonać, że będzie to wspaniała zabawa,

ostatecznie lady Harrington pogodziła się z decyzją swej podopiecznej). Jacqueline przyjrzała się uważnie twarzy Laury, która niecierpliwie czekała na odpowiedź, i mimo woli poczuła irytację. Czy to możliwe, by sama do niedawna była równie niemądra, pusta i próżna jak ta dziewczyna? Czy warto aż tak zaprzętać sobie głowę sukniami? Jak w ogóle można myśleć o balach, gdy Anglia prowadzi wojnę, a we Francji morduje się niewinnych obywateli?!

- Ja myśli... ty włożysz te zoskwinię - poradziła bardzo niepewną angielszczyzną. - Ty być... - zawahała się na sekundę - *comme une fleur du printemps*, jak wiosenny kwiat... na Boże Narodzenie.

- O, jaka śliczna myśl! - zagruchała uszczęśliwiona Laura. - A jeszcze ładniej brzmi, kiedy ty to mówisz, Jacklyn, tym swoim słodkim, zabawnym akcentem!

-Jacklyn, moja droga! Twój angielski jest coraz lepszy - pochwaliła ją lady Harrington. - Naprawdę powinnaś się namyślić i pojechać z nami na ten bal. Musisz obracać się między ludźmi. Jestem pewna, że gdybyś tam pojechała i potańczyła sobie, od razu by cię to podniosło na duchu!

-Pani bar-zo dobra, lady Harrington, ale ten raz ja siecieć domu. Z ziewszynkami. Mała kolacja, a potem spać!

-Niezbýt pociągająca perspektywa! - oświadczyła Laura. - Doprawdy, Jacklyn, nie możesz wiecznie siedzieć w domu! Musisz wreszcie wyjść do ludzi!

-Laura ma słuszość, moja droga - przytaknęła lady Harrington. - Naprawdę najwyższy czas, żeby cię wprowadzić do naszego towarzystwa. Wiem, że przeszłaś niewysłowione męki, ale ostatecznie życie toczy się dalej, prawda?

W drzwiach salonu pojawił się Cranfield.

-Proszę wybaczyć, lady Harrington, ale przybył posłaniec z listem do lady Jacklyn.

-A widzisz?! -wykrzyknęła Laura z triumfem. -Jeszcze jedno zaproszenie! Wszyscy chcą cię wreszcie poznać, Jacklyn. Koniecznie musisz pojechać dziś razem z nami i zaspokoić ich ciekawość!

-Dziękuję, Cranfield. Przynieś nam ten list - poleciła lady Harrington.

Cranfield pokręcił głową.

- Ten dżentelmen powiada, że kazano mu oddać list do rąk własnych mademoiselle de Lambert-wyjaśnił z przymusem, najwyraźniej urażony takim brakiem zaufania do jego szacownej osoby.

Mówili zbyt szybko i Jacqueline rozumiała tylko piąte przez dziesiąte, pojęła jednak, że przybył ktoś do niej i coś jej przywiózł. Ponieważ jedyną osobą, jaką znała w Anglii

oprócz Harringtonów, był Armand, serce zatrzepotało jej z podniecenia.

Nie widziała go ani nie miała od niego żadnej wieści od tamtej nocy, gdy ją tu przywiózł. I choć mówiła sobie, że wcale jej to nie obchodzi, zastanawiała się, czemu nie przesłał jej choć kilku słów z uprzejmym zapytaniem, jak się miewa? Szybko zorientowała się, że - wbrew jej domysłom - nie był żonaty. Z każdego spotkania towarzyskiego Laura wracała rozczarowana, że Armand się nie zjawił. Było jasne, że przypadł jej do serca. Ciekawe, czy wiedziała o tajemniczej Angeli, która zapewne była jego kochanką?... Co prawda utrzymywanie kochanki przez bogatego dżentelmena było w Anglii, podobnie jak we Francji, zjawiskiem często spotykanym. Nie można przecież wymagać od mężczyzn, by powściągali swe żądze i żyli w czystości aż do ślubu! Jacqueline wróciła myślą do tamtej chwili w lesie, gdy Armand chciał ją pocałować. Poczula, że pieką ją policzki. Nie żałowała tego, że poczęstowała go wówczas pięścią, ale czasami, leżąc w łóżku, zastanawiała się, jakby to było, gdyby nie ukróciła jego zalotów?...

- Dobrze, Cranfield. Przyślij zatem tu tego dżentelmena! - poleciła lady Harrington.

W chwilę później do salonu wszedł młody człowiek, grubo okutany z racji mrozu, z ośnieżoną czapką w ręku.

- Ja jestem mademoiselle de Lambert - oznajmiła Jacqueline, wstając z krzesła. - Jest coś dla mnie?

Posłaniec wydobyl spomiędzy grubych fałd wełnianego płaszcza kremową kopertę z czerwoną pieczęcią.

- W Dover ktoś oddał mi ten list i kazał oddać tylko pani, do rąk własnych - wyjaśnił młodzieniec z całą powagą, wręczając jej przesyłkę. - To był Francuz. I powiedział, że to sprawa życia i śmierci - zakończył, najwyraźniej przekonany, że spełnia niezwykle ważną misję.

Jacqueline wzięła list drżącą ręką, głowiąc się, kto wiedział, gdzie można ją znaleźć. Na kopercie widniało jej nazwisko, wypisane wytwornym charakterem pisma. Przyjrzała się umieszczonej na odwrocie pieczęci. Poznała ją od razu: to pieczęć markiza de Biret. List pochodził od François-Louisa.

- Cranfield, zaprowadź tego młodzieńca do kuchni, gdzie może zaczekać, i kaź, by mu dano coś gorącego do zjedzenia - poleciła lady Harrington.

Jacqueline złamała pieczęć i otworzyła list. Ciekawe, jakie wieści zawiera? Może François-Louis uciekł z Francji i zawiadamiają, że jest bezpieczny i działa na rzecz kontrewolucji? A może ma dla niej jakieś wieści o Antoinie, który wcale nie zmarł w więzieniu?... W szalonym pośpiechu przebiegła wzrokiem gęsto zapisany arkusz papieru.

Ukochana Jacqueline!

Cóż to za męka pisać tak do Ciebie, potajemnie skrobiąc piórem przy słabym blasku nędznej świeczki, która rozświetla mroki mej celi! Albowiem, wystaw sobie, najdroższa, wkrótce po Twym cudownym ocaleniu zostałem aresztowany pod zarzutem, że dopomogłem Ci w tej śmiałej ucieczce, dzięki której, jak tuszę, możesz wieść nowe życie w nowym kraju. Oczywiście, jak wiesz, nie przyłożyłem ręki do sprawy, o którą mnie oskarżają, gdyż nie miałem pojęcia o planach tej niewiarygodnej ucieczki, o której do dziś rozprawiają nieszczęśnicy uwięzieni w Conciergerie. Powszechnie uważa się, że sam Czarny Ksiązę pospieszył Ci z pomocą, bo któż inny poważiłby się na tak nieprawdopodobny wyczyn? Gdybym to ja miał takiego jak on anioła stróża, który wydobyłby mnie z żelaznej klatki, z koszmaru, który muszę znosić! Ale nie piszę do Ciebie, by wzbudzić w Tobie litość, ani nie po to, by wzywać Twej pomocy. Pragnę Cię tylko powiadomić o moim srogim losie i zbieram resztki sił, by pożegnać się z Tobą.

Jak gorzka jest dla mnie świadomość, że to, co winno należeć do mnie, nigdy moim nie będzie! Mogę już tylko hołubić czule wspomnienia Twej piękności, Twego wdzięku, Twego młodzieńczego czaru... To wszystko za zgodą Twojego ojca miało być na zawsze moim najcenniejszym skarbem. Niekiedy, gdy pełen rozpaczyleżę w mej celi, wyobrażam sobie nasze wspólne życie. Jakież byłoby doskonałe!... Należymy, Jacqueline, do tego samego świata. Opiekowałbym się Tobą i kochał Cię z całą czułością i oddaniem, jakiej wymaga tak rzadki i kruchy kwiatek jak Ty. Panowałabyś jak udzielna monarchini w moim château, a ja niespiesznie i delikatnie wprowadzałbym Cię w arkana miłości... O, gdy piszę o tym, co nigdy się nie spełni, serce mi się rozdziera!...

Cóż mi zatem pozostało prócz pożegnania? To najstraszniejsza, najboleśniejsza z moich życiowych prób. Poddalem się słabości i łzy spływają mi po twarzy, gdy żegnam się z Tobą, Jacqueline! O moja słodka, moja najdroższa dziewczyno, serce mojego serca, wiedz, że całe me przyszłe życie budowałem na Twym fundamencie! A teraz leżę złamany nie bliskością mej śmierci, acz przedwczesnej, niezawinionej i okrutnej, ale świadomością, że nigdy już nie ujrzę Twej niezrównanie pięknej twarzy, nie obejmę Twej wdzięcznej kibici, nie dotknę w czułym pocałunku Twych cudownych ust. Nigdy już nie podniosę na Ciebie oczu i serce nie zabije mi radosną pewnością, żeś moja i tylko moja!

Żegnaj, moja najdroższa, żegnaj!

Jesteś aniołem, którego wspomnienie broniło mnie od szaleństwa w tej straszliwej

próbie. Chętnie zginąłbym po tysiackroć, gdybym wiedział, że to Ci zapewni bezpieczeństwo od wroga! Jakie to smutne, że nigdy się nie połączymy, że żaden anioł stróż mnie stąd nie wyzwoli... Codziennie ludzę się, że stanie przede mną, a ja nie zawaham się natychmiast za nim podążyć. Ale on nie przybywa, a mnie sądono widać zginąć. Umrę więc bez szemrania - za Ciebie i za Francję.

Bądź szczęśliwa, Jacqueline, moja najdroższa, moja wymarzona przyszła żono! Zapomnij o gniewie, nie żyw w sercu nienawiści nawet dla katów, którzy chcą wytracić całą francuską arystokrację. Modlę się, by jak najrychlej nasz wielki kraj wyzwolił się spod jarzma morderców... O, jakże bym pragnął dożyć tego szczęsnego dnia i z Tobą u mego boku radować się wolnością!

Twój wierny aż do śmierci sługa

François-Louis

Ze swej celi w Palais de Luxembourg

- Jacklyn, kochanie, od kogo ten list? - nalegała zaniepokojona lady Harrington.

Pobladła i drżąca Jacqueline odłożyła pismo.

-To *mój... fiancé* - odparła z trudem. - Markiz de Biret. On... w więzieniu.

-Twój narzeczony! -jęknęła Laura. - Och, Jacklyn, to okropne! Mieliście się pobrać?

Jacqueline zaprzeczyła. W jej umyśle panował zamęt, wywołany treścią listu. François-Louis został aresztowany i bez wątpienia będzie stracony z powodu jej ucieczki. Był niewinny, ale to nie miało żadnego znaczenia. Republice nie zależało na uniewinnianiu oskarżonych. Wymknęła im się z rąk jedna arystokratka, postanowili więc nadrobić tę stratę, aresztując kogoś w zamian. Nie wątpiła, że Nicolas przyczynił się również do uwięzienia François-Louisa; pamiętała, jaki był oburzony, gdy jej ojciec przedłożył de Bireta nad niego. Była więc moralnie odpowiedzialna za aresztowanie markiza. Rozsądny, ostrożny François-Louis nigdy by nie zrobił ani nie powiedział nic takiego, co mogłoby rzucić na niego choćby cień podejrzenia! Dlatego właśnie nie pojawił się na jej procesie, nie napisał do niej, nie odwiedził jej w więzieniu. Po prostu chciał żyć. A teraz umrze tylko dlatego, że kiedyś się z nią zaręczył... Będzie go miała na sumieniu.

- My... Nasz ślub odwołany, jak papa w więzieniu – wyjaśniała mozolnie, zmagając się ze słowami i z gramatyką. - A jak papa już nie ma, ja nie myślę o ślubie. François-Louis rozumie; on zgodny czekać.

- Co za straszna tragedia! - westchnęła Laura ze współczuciem. - Młoda para, taka

zakochana, rozdzielona przez tę okropną rewolucję!

Jacqueline spojrzała na nią ze zmieszaniem. Wcale nie mówiła, że jest zakochana we François-Louisie! Małżeństwo zostało zaaranżowane przez jej ojca, a ona nie protestowała, bo to była dobra partia. Oboje wywodzili się z najstarszej i najczcigodniejszej arystokracji francuskiej, *noblesse d'éée* (szlachty miecza, czyli znamienitych rodów rycerskich). Tytuły były nadane ich rodom przed wiekami, a przodkowie brali udział w wyprawach krzyżowych. François-Louis miał prześliczny zamek w pobliżu Château de Lambert, a zatem i po ślubie mogła często widywać się z rodziną. Był sympatyczny i dobrze wychowany. A poza tym młody i silny, co stanowiło dodatkowy plus, na jaki przeważnie nie można było liczyć w wypadku małżeństw traktowanych jako sojusz dwóch arystokratycznych rodzin. Ale właściwie -jeśli nie liczyć paru spotkań i kilku niezbyt podniecających całusów - prawie go nie znała. Namiętny styl pożegnalnego listu był nieco przesadny, ale François-Louis miał zawsze skłonność do patosu, kwiecisty zaś styl wynurzeń miłosnych ceniono we Francji niezmiernie. Zresztą, choć w Palais de Luxembourg żyło się znacznie wygodniej niż w Conciergerie, utrata wolności, przymusowa bezczynność i pełne napięcia oczekiwanie na śmierć mogły każdego skłonić do górnolotnych słów i przesadnych reakcji uczuciowych.

- Jacklyn, kochanie! Widzę, że jesteś bardzo przejęta – zauważyła lady Harrington. -
Może pójdziesz na górę i się położysz?

Jacqueline pokręciła głową. Prawie nie słyszała, co się do niej mówi, a François-Louis miał umrzeć... Była w pewnym sensie odpowiedzialna za jego śmierć. Czy miała w tej sytuacji siedzieć z założonymi rękami?! Może mogłaby jakoś mu pomóc?... Przemknęła jej przez głowę myśl o Armandzie. Wyrwał ją z rąk oprawców, a czy nie mógłby ocalić również François-Louisa? Nie wiedziała, ile zażąda pieniędzy za takie zlecenie... ani jak zdobyć te pieniądze. Ale musi go przynajmniej spytać! Może go nawet przekona, że powinien zabrać ją ze sobą? Albo zawrze taki warunek w umowie! Ta myśl wprawiła ją w podniecenie. Kiedy Armand będzie ratował François-Louisa, ona dopadnie Nicolasa i zatopi mu nóż w piersi!

-Szy monsieur St. James jest już na balu? - spytała nagle.

-Z pewnością dostał zaproszenie - odparła Laura. - Ale on prawie nie bywa na balach i przyjęciach.

W jej głosie brzmiało wyraźne rozczarowanie.

- Tym razem chyba się zjawi - wtrąciła lady Harrington. – To w końcu bal na Boże Narodzenie! Któż chciałby spędzać święta w samotności?

Jacqueline zastanowiła się przez chwilę. Jeżeli Armand nie zjawi się na balu, cała

wyprawa będzie tylko stratą czasu. Ale jeśli jest choćby niewielka szansa, że go tam spotka, trzeba ją wykorzystać! Musi się z nim rozmówić jak najszybciej! François-Louis może w każdej chwili stanąć przed trybunałem... jeśli sąd nad nim jeszcze się nie odbył. List był datowany na dwudziesty frimaire'a, czyli dziesiąty grudnia. Dziś już osiemnasty... Cały tydzień stracony!

Wstała pospiesznie, rozpierała ją żądza czynu.

- Ja myśli, lady Harrington: idę z wami! - obwieściła.

Sala balowa była udekorowana prześlicznie i stosownie do okazji. Ogromne, pachnące girlandy splecione z gałązek sosnowych i świerkowych zwisały od sufitu, podtrzymywane ogromnymi kokardami z mięsistego, szkarłatnego aksamitu. Całe tuziny wysokich, gęstych choinek ustawiono wzdłuż bocznych ścian i udekorowano srebrnymi i złotymi cackami i mnóstwem połyskliwych wstążek. Na szczycie każdego drzewka umieszczono wspaniałą, skrzącą się od klejnotów gwiazdę, która jaśniała blaskiem odbijających się w niej migotliwych płomyczków. W całej sali płonęły tysiące świec. Przygrywała niewielka orkiestra umieszczona na galerii, wysoko nad tłumem tancerzy. Większość z nich - zgodnie z przewidywaniami lady Harrington - miała stroje w świątecznych barwach rubinu, szmaragdu i złota. Niegdyś Jacqueline zachwyciłaby się tym widokiem i podziwiała pomysłowość i pracowitość, które przeistoczyły wielką salę w idealną scenerię dla świątecznej uroczystości. Tego wieczoru jednak jej umysł był zaprzątnięty bez reszty niedolą François-Louisa i żądzą zemsty na Nicolasie. Obiegała więc - po raz już chyba tysięczny - byстрыm wzrokiem tłum tancerzy, wypatrując Armanda wśród setek barwnie odzianych mężczyzn, zgrabnie uwijających się ze swymi partnerkami po parkiecie.

- Jacklyn, kochanie, nie możesz stać tu przez cały wieczór. Musimy poszukać ci partnera do tańca - stwierdziła lady Harrington. Już udało się jej wynaleźć dla Laury nieśmiałego młodego człowieka, który - jak poinformowała swą podopieczną konspiracyjnym szeptem - był jedynym synem hrabiego Melfort. Jacqueline pomyślała, że młodzian odziedziczy zapewne pokaźną fortunę. Wątpiła jednak, by swą wstydlivością i nieporadnością zdołał pozyskać serce Laury. Ciekawe, czy lady Harrington zauważyła wyraźne zainteresowanie córki Armandem St. Jamesem? Może i tak, ale wątpliwe, by ona i sir Edward pochwalali taki związek; Armand nie mógł się poszczycić żadnym tytułem i miał dość osobliwy sposób zarabiania na życie.

Lady Harrington przestała na chwilę rozglądać się po sali.

- Edwardzie, zatańcz na razie z Jacklyn, zanim znajdę jakiegoś miłego młodego człowieka, którego warto by jej przedstawić - zwróciła się do męża.

Nim Jacqueline zdążyła zaprotestować, sir Edward stanął przed nią i skłonił się lekko.

- Wyświadczyć mi ten zaszczyt, moja droga, jeśli nie wstydzisz się pokazać na parkiecie z takim starszakiem jak ja... choć kroków tanecznych jeszcze nie zapomniałem! - powiedział, podając jej ramię.

Jacqueline miała ochotę odmówić, ale odrzucenie zaproszenia pana domu, w którym tak gościnnie została przyjęta, byłoby dowodem złego wychowania. Uśmiechnęła się więc uprzejmie i złożyła dłoń na rękawie jego szafirowego fraka.

- Ja bar-zo rada zatańszyc z panem, sir Edouard! - odparła z wdziękiem, choć angielskie słowa były trochę nieporadne, akcent zaś cudzoziemski.

Sir Edward puszył się z dumy, wiodąc ją do tańca. Jacqueline odkryła, że był całkiem dobrym tancerzem, mogła więc odprężyć się w jego objęciu i przyglądać pozostałym parom, nadal wypatrując Armanda. Zauważyła, że kilka osób dyskretnie odwraca się w jej stronę i coś do siebie szepcze. Zapewne snują jakieś przypuszczenia na temat księżęcej córki, która cudem uniknęła śmierci i mieszka teraz u Harringtonów. Była rada, że - mimo protestów lady Harrington - włożyła czarną suknię wieczorową. Posępna barwa stroju świadczyła wyraźnie o jej żałobie i mogła odstraszyć niejednego z mężczyzn, pragnących zaprosić ją do tańca.

- Jacklyn, moja droga, jesteś doskonałą tancerką! Ale czegoż innego mógłbym się spodziewać po córce Charles'a-Alexandre'a? - komplementował ją z zapalem sir Edward. - W latach naszej młodości w Londynie twój papa umiał się zakręcić koło dam... i nie tylko na parkiecie!

Wzmianka o ojcu oderwała Jacqueline od poszukiwań.

-Papa nalegał uszyć nas tańszyc jak my jesze małe dzieci: ja sześć lat, Antoine siedem lat - wyjaśniła powoli, tłumacząc mozolnie w duchu każde słowo na angielski. Dzięki temu uniknęła nadmiernego wzruszenia, mówiąc dalej: - Kilka lat po śmierci mamana papa znów prosi gości. Wtedy ja... pani na château. Ona musi tańszyc z gośćmi.

-Jakże piękną kobietą była twoja matka!... - westchnął z prawdziwym smutkiem sir Edward.

-O tak! - potwierdziła Jacqueline.

Ogarnęło ją nagle poczucie bezmiernej straty. Matka była piękną kobietą, kochającą żoną i wzorową matką... ale kto o niej pamięta? Seraphine wychowała się bez niej, Suzanne znają raczej z opowiadań starszej siostry niż z własnych wspomnień... Kiedy ona, Jacqueline, umrze - a pewnie stanie się to niebawem - nikt już nie będzie pamiętał, jaką cudowną, pełną miłości osobą była księżna de Lambert. Serce ją zabolęło na tę myśl.

-Proszę wybaczyć, sir Edwardzie, ale lady Harrington zapewniała mnie, że nie obrazi się pan, gdy go zastąpię - odezwał się przystojny młodzieniec o włosach równie jasnych jak loki Jacqueline i niebieskich oczach, skrzącących się wesołością.

-Oczywiście - zgodził się dobrodusznie sir Edward i odsunął od swej partnerki.

-Jacqueline, czy mogę ci przedstawić wicehrabiego Prestona? Ta młoda dama, milordzie, to córka mego nieodżałowanego przyjaciela, najmilszy gość w naszym domu, lady Jacklyn de Lambert.

- Pani najpokorniejszy sługa, lady Jacklyn - oświadczył wicehrabia, składając dworny ukłon.

Był barwnie odziany w szkarłatny atłasowy frak i pokrytą misternym haftem złocistą kamizelkę. Jasne włosy spływały po bokach twarzy w dwóch rzędach loków, lekko przysypanych pudrem. Ta nowa moda ostatnimi czasy wypierała noszone dotąd w Anglii peruki.

Młodzieniec podszedł do Jacqueline i bezceremonialnie objął ją, mówiąc:

-Czy mogę panią prosić?

-*Mais oui* - wyjąkała, żałując, że sir Edward rzucił ją niemal dosłownie w ramiona nieznajomego.

-A więc to pani jest tajemniczą francuską arystokratką, o której wszyscy mówią! - zauważył nowy tancerz, krążąc z nią wdzięcznie po parkiecie. - Proszę mi powiedzieć, bo strasznie jestem ciekaw, jak udało się pani uciec z Francji w tych okropnych czasach?!

-To było... *difficile* - odparła Jacqueline wymijająco, wcale nie mając ochoty omawiać swej ucieczki z owym obcym mężczyzną.

Uśmiechnął się tak, jakby udzieliła mu niezwykle inteligentnej odpowiedzi.

-Jestem pewien, że to ekscytująca historia! - zachęcił.

-*Non!* - zaprzeczyła gwałtownie. - Wcale nie!

-Niech się pani nie wzdraga, lady Jacklyn - nalegał. - Powiadają, że więzili panią w jednym z najstraszliwszych paryskich więzień i że wieźli już panią na szafot, gdy

zjawił się Czarny Książę we własnej osobie i wykradł panią sprzed nosa okrutnym zabojadom! Czy to prawda?

Jacqueline nie wiedziała, co bardziej ją irytowało: traktowanie jej uwięzienia i wyroku śmierci jako tematu sensacyjnych ploteczek, czy świadomość, że angielscy plotkarze znają historię jej ucieczki. Każda podana przez nią informacja, choćby najmniej istotna, mogła utrudnić Armandowi jego następne zadania. Nie, tego ryzyka nie wolno jej było podejmować! Spojrzała więc na swego przystojnego partnera, zmarszczyła brwi i pokręciła głową z udanym zmieszaniem.

- *Je regrette, Monsieur, mais mon anglais n'est pas très bon, et je ne comprends pas ce que vous dites* (Bardzo mi przykro, ale nie znam dobrze angielskiego i nie rozumiem, co pan mówi) - mruknęła przeproszającym tonem.

To powinno ukrócić jego natarczywe pytania! Wicehrabia Preston spojrzał na nią zbity z tropu.

-Bardzo przepraszam, nie całkiem zrozumiałem...

-Mademoiselle powiedziała, że bardzo jej przykro, ale przypomniała sobie, że przyrzekła już ten taniec mnie - ozwał się niski, zdecydowany głos.

Jacqueline podniosła wzrok i ponad ramieniem wicehrabiego Prestona ujrzała Armanda, który znacznie przewyższał go wzrostem. Zapało jej dech.

Był jeszcze potężniejszy, niż zapamiętała. Prezentował się wspaniale w wyjątkowo prostym wizytowym stroju: czarny, idealnie dopasowany frak, biała kamizelka, białe obcisłe spodnie do kolan. Żadnych falbanek, błyskotek, wymyślnych haftów-jedynie związany elegancko fular i naturalność ruchów wskazywały człowieka, który czuje się równie swobodnie w wytwornym stroju wieczorowym, jak i w łachmanach ubogiego wieśniaka. Włosy miał niepudrowane, związane z tyłu czarną aksamitką. Łagodne, migotliwe światło płonących na sali balowej świec nieciło w nich miedziane i złote iskry. Błękitno-zielone oczy spoglądały prosto na nią - dociekliwe, natarczywe, niedostrzegające nikogo i niczego prócz niej. I oto na krótką chwilę wszystko zamarło i znikło. Pozostało na ogromnej sali tylko ich dwoje i echo jakiejś niezmiernie odległej muzyki. Jacqueline poczuła cudowną ulgę, jakby ktoś zdjął jej nieznośny ciężar z ramion, a równocześnie ogarnął ją niewytłumaczalny niepokój.

Armand pierwszy przełamał więżący ich czar. Uśmiechnął się lekko i trochę ironicznie, gdy skłonił przed nią głowę.

- Proszę wybaczyć, mademoiselle de Lambert, ale to mój taniec.

Serce jej się rozszalało zupełnie bez powodu, lecz na dźwięk niskiego, aksamitnego głosu uprzytomniła sobie, że nie są sami. Zerknęła na wicehrabiego Prestona, który z kolei spoglądał na Armanda z gniewem i ledwo skrywaną pogardą.

- Nie spodziewałem się, St. James, że się spotkamy - wycedził. - Cóż cię tu sprowadza? Cni ci się samemu w święta? A może zabrakło wina w twojej piwniczce?

Jego głos ociekał sarkazmem. Armand oderwał wzrok od Jacqueline.

- Zdumiewające! Nie sądziłem, Preston, że moje życie towarzyskie tak cię interesuje.

Jego ton był uprzejmy, twarz doskonale obojętna, ale Jacqueline wyczuwała pod tym pozornym spokojem wzbierającą furję. Obaj mężczyźni z trudem powściągali wzajemną wrogość, która z pewnością nie była wynikiem obecnej niezręcznej sytuacji.

- *Pardonnez-moi, monsieur*, ale monsieur St. James naprawdę ma ode mnie ten taniec - wtrąciła ze srebrzystym śmiechem Jacqueline. - Pan mi wybaszy, prawda?

Spojrzała na Prestona tak, jakby za nic w świecie nie chciała zranić jego uczuć. Zdumiała się, jak łatwo jej to idzie. Od dawna nie próbowała nikogo oczarować, ale teraz musiała to zrobić, by okiełznać wzajemną wrogość obu mężczyzn.

Wicehrabia oderwał wzrok od Armanda i spojrzał na Jacqueline ze zdumieniem, jakby dopiero teraz ją zauważył. Pogardliwy wyraz twarzy rozplynął się w czarującym uśmiechu. Skłonił się dwornie i podniósł jej rękę do ust.

- Jestem głęboko zraniony, lady Jacklyn, ale jeśli obieca mi pani, że znów ze mną zatańczy, może zdołam się jakoś podnieść... choćby po to, by znów poczuć panią w mych ramionach.

Przyciskał wargi do jej białej dłoni odrobinę dłużej, niż wypadało.

- Bar-zo proszę - odparła łaskawie Jacqueline, przyjąwszy perlistym śmiechem jego oburzający komplement. - Już tego szekam!

I spojrzała na niego spod rzęs.

Wicehrabia Preston uśmiechnął się, potem niedbale kiwnął głową Armandowi i odszedł.

-Jeśli sobie tego życzysz, zaraz przywołam go z powrotem! - burknął Armand z ponurą miną.

-Niech pan nie będzie głupi! - syknęła Jacqueline po francusku. - Wolałabym tańczyć nago *Marsylianę* pod samym nosem Robespierre'a, niż męczyć się z tym wścibskim, nadętym grubianinem, żalostną imitacją mężczyzny! - oświadczyła porywczo.

Armand spojrział na nią zaskoczony. A potem stało się coś, co nie zdarzyło mu się od bardzo dawna: odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że ją tu spotka. Choć sam zwykle nie bywał na przyjęciach, wiedział już od swojej siostry Madeleine, że Harringtonowie pojawiają się w towarzystwie bez swego tajemniczego gościa z Francji; nawet ją to dziwiło. Zazwyczaj francuscy emigranci rwali się do życia towarzyskiego. Armand wcale nie był zdziwiony tym, że Jacqueline nie bywa w towarzystwie. Wiedział, że nie chce zawierać nowych przyjaźni ani przywiązać się do nowej ojczyzny. I że nie zrezygnowała z powrotu do Francji i swej zemsty na Nicolasie Bourdonie.

- Monsieur St. James, luzie się gapią! - ofuknęła go po angielsku zniecierpliwiona Jacqueline.

Armand się uśmiechnął.

- Chyba ma pani rację - odparł po francusku. - Ale do czasu, gdy dała pani to przedstawienie wobec Prestona, nie wiedziałem, jaka z pani wspaniała oszustka! Zawsze uważałem panią za nieudolną kłamczuchę. Teraz widzę, jak bardzo się myliłem!

Spojrzała na niego niepewna, czy uznać te słowa za zniewagę, czy za komplement.

Była o wiele piękniejsza, niż zapamiętał. Liki o barwie miodu lśniły szczerem złotem w blasku świec. Miała na sobie suknię z czarnego jedwabiu - cóż za kontrast z barwnymi kreacjami reszty dam na sali balowej! Jeżeli wybrała ten smutny kolor, by nie zwracać na siebie uwagi, zawiodła się całkowicie: uderzająca prostota stroju podkreślała jeszcze jej urodę. Głęboki dekolt sukni pozwalał dostrzec biel piersi i wdzięczną krągłość ramion. Dopasowany stanik uwydatniał smukłą talię, choć Armand zauważył z przyjemnością, że nieco przytyła od ich ostatniego spotkania. Nie miała na sobie biżuterii, ale stanik i dół sukni ozdobiony był dżetami, które błyszczały i sypały iskry niczym czarne diamenty. Wpatrywała się w niego wielkimi, szarymi oczami; ich barwa kojarzyła się Armandowi z morzem o świcie - głębokim, tajemniczym, niezgłębionym...

Objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

-Monsieur St. James, zbyt mocno mnie pan przyciska! - zaprotestowała.

-Być może - przyznał, wzruszając ramionami. - Ale pokażmy im, moja panno, że nadal potrafimy radować się życiem. Niech mają o czym mówić!

Zanim zdążyła go spytać, co znaczą te słowa, ruszyli w tany. Sunęli lekko po parkiecie, jakby byli jedyną parą w tej zatłoczonej sali balowej.

-Dobrze się pani czuje u Harringtonów?

-Sir Edward i lady Harrington są dla mnie niezwykle dobrzy -odparła Jacqueline. - A poza tym, oczywiście, cieszę się, że jestem znów razem z siostrami.

Pokiwał głową z satysfakcją. Powoli przyzwyczajają się do nowego życia, jak przewidywał.

-Czy Seraphine zaczęła znów mówić?

-Nie - odparła ze smutkiem. - Poświęcam jej tyle czasu każdego dnia, ale ona widać nie pragnie rozmowy. Pozwala, by Suzanne odpowiadała za nią.

Armand zastanowił się przez chwilę.

- Może trzeba je rozdzielić? - podsunął. - Zmusić ją, żeby mówiła za siebie!

Jacqueline pokręciła głową.

- Myślałam już o tym, ale sądzę, że Seraphine jeszcze bardziej zamknęłaby się w sobie. Jest na mnie zła, bo zmusiłam ją do wyjazdu z domu i nie zdołałam ustrzec od złego naszego ojca i Antoine'a. Rozłączenie jej z Suzanne nie uśmierzy jej gniewu! Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Dlaczego miałyby panią obwiniać o śmierć ojca i brata?

Jacqueline westchnęła.

- Kiedy wysyłałam Suzanne i Seraphine do Anglii, obiecałam im, że wrócą do château, wszystko się dobrze zakończy i wszyscy będziemy razem. I oczywiście nie dotrzymałam tego przyrzeczenia. Najpierw dowiedziały się o egzekucji ojca, a potem zjawiłam się sama, bez Antoine'a. Widać Seraphine uważa, że zawiodłam jej zaufanie. Wśród tych tragicznych wydarzeń pozostała jej tylko jedna, niezmienna ostoja, Suzanne. Gdybym pozbawiła ją i tej podpory, cierpiałaby jeszcze bardziej, a tego bym nie zniosła!

W jej głosie brzmiały poczucie winy i rozpacz.

- Niech jej pani da trochę czasu - perswadował łagodnie Armand. - Przecież ma zaledwie sześć lat! Obie macie przed sobą wiele lat życia. Zdążycie wyleczyć rany i zapomnieć.

Jacqueline odwróciła wzrok. Nie miała przed sobą wielu lat życia; najwyżej kilka tygodni, jeśli Armand zgodzi się spełnić jej żądanie. Z trudem przełknęła ślinę. Musi pomówić z nim bez świadków, zanim odprowadzi ją do sir Edwarda i lady Harrington.

- Monsieur St. James, mam dla pana pewną propozycję... - zaczęła z wahaniem.

Spojrzał na nią wyraźnie zaciekawiony.

-Naprawdę?

-Ale nie chcę o tym mówić w tym tłumie - dodała pośpiesznie.

- Myśli pan, że znajdzie się tu jakiś kącik, gdzie moglibyśmy spokojnie omówić sprawę?

Wargi Armanda wygięły się w uśmiechu. Nie wiedział, co Jacqueline chce z nim omawiać, ale perspektywa pozostania z nią sam na sam ogromnie mu odpowiadała.

- Myślę, że uda się go znaleźć, mademoiselle!

Przyciągnął ją jeszcze bardziej do siebie i nie przerywając tańca, skierował się w stronę najodleglejszego końca sali. Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, że zaraz znikną z parkietu. W tanecznym piruecie zniknął wraz z Jacqueline za olbrzymią choinką, potem ujął partnerkę pod ramię i wyprowadził przez najbliższe drzwi na korytarz. Niezauważeni przez nikogo dotarli do drzwi biblioteki. Wówczas dał znak Jacqueline, żeby weszła pierwsza, i wślizgnąwszy się za nią, zamknął drzwi.

- A zatem, mademoiselle, jaką propozycję chce mi pani przedstawić? - spytał wesoło.

Jacqueline podeszła do kominka.

- Czy znalazłoby się tu... coś do picia?

Musiała jakoś uspokoić nerwy, zanim wystąpi ze swoim planem. Armand rozejrzał się po pokoju i zobaczył na stole pod ścianą srebrną tacę, a na niej karafki.

- Kieliszek wina? - spytał.

-Koniaku! - odparła bez namysłu. Spojrzał na nią z rozbawieniem.

-O! To musi być niełatwa sprawa!

Wybrał karafkę, nalał bursztynowego płynu do kryształowego kieliszka i podszedł z nim do Jacqueline.

- Służę!

Przyjęła z wdzięcznością.

-A pan się nie napije?

-Nie.

Uniosła kieliszek do ust i wypła spory łyk. Trunek sparzył jej gardło, rozgrzał pierś i wzmocnił postanowienie.

- Czy dotarły do pana jakieś nowiny z Francji? - spytała nieoczekiwanie.

Przyglądał się jej, jak przyciska kieliszek do piersi, i głowił się, o czym też chciała z nim mówić. Cokolwiek to było, najwidoczniej potrzebowała trochę czasu, by się na to odważyć. Wzruszył ramionami i usiadł na sofie na wprost kominka, wyciągając przed siebie długie nogi. Zapatrzył się w płomienie.

- Rząd rewolucyjny zaczął zamykać kościoły w Paryżu i w jego najbliższej okolicy,

wiedziony umiłowaniem rozumu. Wiara weń niezadługo stanie się jedyną religią, jaką obywatelom wolno będzie wyznawać - zaczął cichym, pełnym powagi głosem. - Donoszenie na rodaków pozostaje nadal patriotycznym obowiązkiem każdego Francuza i na skutek tego paryskie więzienia pękają w szwach. Stłoczono w nich ponad siedem tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy żyjąc w koszmarnych warunkach, czekają na proces. Trybunał nie nadaża z podpisywaniem wyroków śmierci, a gilotyna z obcinaniem głów. A jednak mimo tych wszystkich aresztowań i egzekucji rzekomych wrogów, ludzie nadal głodują, a wartość pieniądza spada.

- Lud francuski ma, czego tak gorąco pragnął - szepnęła z goryczą i wypła kolejny łyk koniaku.

Armand potrząsnął głową.

- Nie, mademoiselle, lud francuski wcale nie tego pragnął. Niektórzy arystokraci, na przykład pani ojciec, marzyli o „nowym ładzie”, w myśl którego władza zostanie sprawiedliwie podzielona pomiędzy nich i panującego monarchę. Może nawet książe podzielał poglądy filozofów i bogatego mieszczaństwa, że zarówno przywileje, jak i ograniczenia związane z urodzeniem powinny zostać zniesione, by zapanowała równość, a ludzi należy oceniać według ich charakteru i zdolności, a nie rodowodu. To było szlachetne marzenie. Oczekiwania chłopów były znacznie prostsze: chcieli mieć chleb na stole i odzienie na grzbiecie. I pragnęli, aby upadł system, który odzierał ich ze wszystkiego, prócz zawziętej woli przetrwania. Ale obecny rząd niewiele ma wspólnego z marzeniami i żądaniami, które wyrażono w 1789 roku. Rewolucja zoczyła z wytyczonego kursu, a wszyscy jej początkowi przywódcy zostali oskarżeni i skazani na śmierć. System feudalny zniszczono, monarchię obalono, arystokrację i bogate mieszczaństwo obarczono całą winą za nieszczęścia kraju i przystąpiono do wytępienia wrogów. A jednak naród nadal głoduje, a nowi przywódcy zaczynają się naprawdę bać.

Jacqueline odchyliła głowę do tyłu i wypła resztkę koniaku.

- I słusznie! - oświadczyła gorzko.

Spojrzał na nią, urzeczony jej pięknnością. Stała przed kominkiem, wpatrując się w płomienie, które barwiły złotem i różem jej kremową cerę. Pasemko miodowo-złotych włosów przylgnęło do policzka i Armand zapragnął dotknąć tych jedwabistych nitek i aksamitnej skóry. Przypomnił sobie, jak charakteryzował jej twarz, by stała się stara, brudna i wynędzniała. Nie pojmował teraz, jak zdołał ją zeszpecić. Te wysokie kości policzkowe, delikatna broda, doskonale kształtny nos... Te usta jędrne i pełne, o barwie dojrzałych poziomek... Nie mógł sobie nawet wyobrazić, by jakiś mężczyzna, ujrzawszy to wszystko, nie

zapraǳnął jej od pierwszej chwili!

Ta myśl wcale mu się nie spodobała.

-Monsieur St. James, chciałabym skorzystać z pańskich usług - powiedziała bez wstępów.

-Doprawdy?

Odstawiła pusty kieliszek na gzyms kominka i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

- Otrzymałam dziś wiadomość, że pewien mój przyjaciel został w Paryżu aresztowany i uwięziony. Oskarżono go o udzielenie mi pomocy podczas ucieczki. Całkiem niesłusznie, ale niewinność nie uratuje go od gilotyny.

Zatrzymała się i spojrzała na Armanda.

-Jeśli dotąd nie został jeszcze stracony, chcę, żeby pan go ocalił! Przyjaciel... co to właściwie miało znaczyć?

-Rozumiem - odparł obojętnie.

Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, Jacqueline nie mogła więc odgadnąć, czy jest zainteresowany jej propozycją, czy nie. Nie odmówił wyraźnie, ale nie zadawał żadnych pytań, a to nie był najlepszy znak.

- Oczywiście zapłacę panu! - zapewniła go pospiesznie, żeby nie myślał, że żąda darmowej przysługi.

Uniósł sceptycznie brwi.

- A skąd weźmie pani na to pieniądze, mademoiselle? Czyżby sir Edward przeznaczył do pani dyspozycji jakąś niebagatelną sumkę? Czy też wracamy do starego pomysłu czerpania z funduszu na potrzeby Suzanne i Seraphine?

Była to aluzja do jej poprzedniej oferty, gdy prosiła go o pomoc w zgładzeniu Nicolasa. Odmówił jej wówczas. Nie chciała, by odmówił i teraz!

- Ani jedno, ani drugie - odpowiedziała. - Choć tutaj moje zasoby finansowe są niezwykle ograniczone, mam we Francji nieco walorów.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

-Ależ mademoiselle! Wie pani, że cały majątek de Lambertów został skonfiskowany, włącznie z zamkiem i wszystkim, co się w nim znajduje.

-To prawda - przyznała. - Ale ponieważ teraz nikt we Francji nie dysponuje większą gotówką, a choćby i dysponował, nie ośmieli się wydać jej na coś tak imponującego i... antyrewolucyjnego jak Château de Lambert, mało prawdopodobne, by rząd znalazł kupca na nasz zamek.

Nadal nie rozumiał, do czego zmierza.

- I co z tego?

Usiadła na sofie obok niego.

- Czy pamięta pan, jak podczas procesu oskarżyciel publiczny chciał się koniecznie dowiedzieć, co się stało z klejnotami de Lambertów?

Przytaknął.

Jacqueline uśmiechnęła się z zadowoleniem.

-To jedyny skarb, którego nie zdołali dostać w swoje brudne, zakrwawione łapy! Bardzo im zależało na tym, bo klejnoty de Lambertów warte są fortunę! Wiedzieli też, że bez trudu zdołają je sprzedać poza granicami Francji, za prawdziwe pieniądze, nie te śmieci, którymi zasypują kraj.

-O ile pamiętam, powiedziała pani Fouquier-Tinville'owi, że sprzedała wszystkie klejnoty.

-Skłamałam.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Chce pani powiedzieć, że są tu, w Anglii?

- Nie - odparła. - Ukryłam je w zamku. Ale kiedy tam wrócę, wydobędę je z ukrycia.

Turkusowe oczy Armanda spochmurniały, pełne gniewu, a zarazem niedowierzania, gdy zrozumiał, do czego Jacqueline zmierza.

- A więc o to tylko chodzi! - sarknął. Głos miał cichy, pełen napięcia. - Myśl o zemście w dalszym ciągu zatruwa każdą pani myśl, nie pozwala pogodzić się z nowym życiem!

Wstał i oparłszy ramię o gzyms kominka, wbił wzrok w płomienie, usiłując zapanować nad ogarniającą go wściekłością.

- Pańska misja nie ma nic wspólnego z moją zemstą! - wybuchnęła zaperzona. - François-Louis potrzebuje pańskiej pomocy! Nie oczekuję, że będzie się pan poświęcał za darmo, toteż muszę pojechać z panem i wydobyć ze schowka te klejnoty. Kiedy już będą w moim posiadaniu, gotowa jestem czekać na pana w dowolnym miejscu. Ani myślę zbliżyć się do Nicolasa!

Było to oczywiście kłamstwo, ale wypowiedziała je z pozorną szczerością.

- Bierze mnie pani za ostatniego głupca, mademoiselle? Oboje doskonale wiemy, że ma pani obsesję na punkcie zemsty! A to, że chce pani ze mną pojechać, jest najlepszym dowodem, że ma pani za nic własne życie, choć powinna się pani poczuwać do odpowiedzialności za siostry! - Odwrócił się od niej z niesmakiem. - Ależ z pani egoistka!

Głos ociekał mu pogardą,

- Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób! - Zerwała się z sofy i stanęła przed nim.
- Gotowa jestem zapłacić panu każdą cenę za uratowanie François-Louisa! Gotowa jestem nawet zaryzykować własne życie, byle go uwolnić, a pan śmie nazywać to egoizmem?! Pan, kupczyk, dla którego ludzkie istoty, ich przerażenie i niedola to tylko towar do przewiezienia? Pan, który nie zrobi nic, żeby komuś pomóc, jeśli zapłata wyda się panu zbyt niska? Pan ma czelność nazywać mnie egoistką?!

Głos jej trząśnięty z gniewu.

Przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Powiedz mi, Jacqueline, kim jest dla ciebie ten mężczyzna, którego życie tak wysoko cenisz, że gotowa jesteś okupić je własną śmiercią? - spytał wreszcie.

-To... przyjaciel - wyjąkała, nie bardzo wiedząc, czemu użyła tego określenia. François-Louis był przecież jej narzeczonym, człowiekiem, z którym miała spędzić całe życie. Ale ponieważ nie pożyje zapewne tak długo, by zdążyć za niego wyjść, określenie łączących ich więzi nie miało większego znaczenia.

-Przyjaciel... Czy zamierzasz wrócić do Francji i uratować wszystkich twoich przyjaciół, którzy zostali aresztowani? - spytał z ironią.

-Oczywiście że nie! - zapewniła go. - Ale François-Louisa fałszywie oskarżono o współudział w przygotowaniu mojej ucieczki i honor nakazuje udzielić mu pomocy. Pan oczywiście nie może tego pojąć. Zapomniałam, że ludzie z pańskiej sfery nie muszą przestrzegać kodeksu honorowego!

Poczuł się tak, jakby dała mu w twarz. Zacisnął ręce na jej ramionach i obrócił ją ku sobie błyskawicznie, aż dech jej zapało z oburzenia.

- Ostrzegam, moja wyniosła arystokratko - wycodził półgłosem, nadal trzymając ją w bolesnym uścisku. - Nie puszczam płazem zniewag pod moim adresem! A jeśli chcesz mnie krytykować, to krytykuj moje czyny, a nie pochodzenie!

Rzuciła mu mordercze spojrzenie. Ciemnoszare oczy miały barwę sztormowej fali, podnoszącej się groźnie na oceanie. Piersi gwałtownie falowały z gniewu i oburzenia. Prężyły się pod czarnym jedwabiem stanika, budząc w Armandzie nagle, gwałtowne pożądanie. Jeszcze jeden pukiel włosów wymknął się z upięcia i opadł na obojczyk. Policzki i szyję miała zarumienione od ognia, a może z gniewu? Wilgotne wargi rozchyliły się lekko; zaraz z nich padnie rozkaz: „Puść mnie natychmiast!”... Ale była taka ciepła, miękka i pełna życia, że wbrew rozsądkowi, który wielkim głosem nawoływał, by ją puścił, Armand nie mógł się

oprzeć pokusie. Nachylił się i mocno pocałował ją w usta.

W pierwszej chwili chciała walczyć, przeciwstawić się tej kolejnej napaści ze wszystkich sił. Zesztywniała i próbowała się wyrwać. Ale wargi Armanda muskały delikatnie jej usta, były takie ciepłe, silne i kuszące, że ośwładnęła ją dziwna słabość, uniemożliwiająca dalszy opór. I choć zamierzała go odepchnąć, ręce odmówiły jej posłuszeństwa i spoczęły na jego piersi. Pod coraz bardziej natarczywym pocałunkiem jej usta rozchyliły się i język Armanda wślizgnął się do ich ciepłego, wilgotnego wnętrza, zaskakując ją, mącąc myśli, sprawiając jej rozkosz.

Puścił jej ramiona, jedną ręką pogładził Jacqueline delikatnie po policzku, a drugą zacisnął zaborczo na jej talii, przyciągając dziewczynę bliżej. Drobne, smukłe ciało Jacqueline przyłgnęło do jego potężnej postaci, czuł wyraźnie każdą miękką wypukłość. Zaczęła reagować na jego pieszczoty z zapalem dorównującym jego pożądliwości. Zarzuciła mu rękę na szyję i przytuliła się tak, że zapomniał o wszystkim prócz pragnienia tej bliskości, coraz większej... zupełnej. Jego dłoń zsunęła się po jasnej kolumnie szyi, by spocząć na pełnej piersi. Pieścił miękkie wzgórek i sutek sprężył się pod jego dotykiem, a Jacqueline jęknęła i przywarła do niego jeszcze mocniej. Pożądanie mąciło mu rozum, przepęniało namiętnością, która -jak sądził - dawno w nim wygasła. Woń jej ciała była subtelna i świeża, przywodziła na myśl wiejskie powietrze w letni dzień - słodkie, upajające, cudownie czyste. Pragnął dotykać jej całej, poznać smak każdej cząstki jej ciała, czuć pod sobą jej nagość, zanurzyć ręce w grzywie jasnych włosów...

Do tej pory ani razu nie pomyślał o tym, żeby ją posiadać; teraz nie mógł znieść myśli, że mogłaby należeć do innego.

Kiedy tamtej nocy, po wypełnieniu swego zadania pozostawił ją u Harringtonów, miał wrażenie, że ją niecznie porzuca. Wydawała się taka zagubiona, że przez chwilę miał ochotę zabrać ją z powrotem do powozu i zawieźć do siebie. Przez kilka następnych tygodni starał się o niej nie myśleć, ale wspomnienie dziewczyny prześladowało go od rana do nocy. Gdy ujrzał ją na balu, jasną, królewską i piękną w ramionach Prestona, porwał go gniew tak gwałtowny, że wstrząsnął nim całym.

A teraz trzymał ją w ramionach, odpowiadała na każde jego dotknięcie, budziła w nim uczucia, jakich nie doznawał od lat. Nie powinien jej dotykać, wiedział o tym. Nie miał jej nic do zaoferowania. Nie był utytułowany. A zresztą, choćby nawet był, nie ożeniłby się z nią. Przecież każda z jego wypraw do Francji mogła się zakończyć tragicznie. Sam zdecydował się na te igraszki ze śmiercią... i nie mógł wymagać od żadnej kobiety, by żyła w

nieustannym strachu. Powinien dać temu spokój, nim posunie się za daleko... ale nie mógł. Przygarnął ją do siebie i przycisnął znów usta do jej ust, rozkoszując się jej namiętnością jak umierający z pragnienia, przed którym postawiono kubek kryształowo czystej wody.

Ciche skrzypnięcie drzwi przywróciło go do przytomności. Puścił Jacqueline i stanął przed nią, osłaniając przed ciekawskimi spojrzeniami. Popatrzyła na niego ze zmieszaniem, oczy miała pełne niepokoju, usta zaczerwienione i obrzmiałe od pocałunków.

- A, tutaj jesteś, Armandzie! - odezwał się melodyjny głosik Laury. - Szukam cię przez cały wieczór. Czemuś tu się schował?

Armand odetchnął głęboko i przybrał znudzoną minę. Odwrócił się do Laury i obdarzył ją radosnym uśmiechem.

- Właśnie omawialiśmy z mademoiselle de Lambert obecną sytuację we Francji - wycedził takim tonem, jakby uważał temat za wyjątkowo nudny.

Laura zdumiała się na widok Jacqueline. Była przekonana, że Armand jest sam.

- To ty, Jacklyn? Szukaliśmy cię wszędzie! - zauważyła dość sztywno. - Opowiadałaś Armandowi o nieszczęściu, jakie spotkało twego narzeczonego?

Twarz St. Jamesa spochmurniała.

-Nie przypominam sobie, by coś o tym mówiła.

-To naprawdę okropne! - zapewniła go Laura. - Narzeczonego Jacklyn, markiz de Biret, został aresztowany i czeka na egzekucję w paryskim więzieniu. Jacklyn strasznie się tym gryzła przez cały dzień. Prawda, moja droga?

Jacqueline wyczuwała gniew Armanda, ale nie mogła go uśmierzyć, póki była z nimi Laura. Chciała coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

- To doprawdy przykra wiadomość - rzucił współczującym tonem. - Wybacz, Lauro, ale jest pewna sprawa, którą muszę omówić z mademoiselle de Lambert bez świadków...

Laura już miała zaprotestować; wcale jej się nie uśmiechała myśl o pozostawieniu tych dwojga sam na sam.

- ...ale nie oddalaj się zbyt daleko, bo zamierzam za dziesięć minut poprosić cię do tańca - dodał Armand czułym głosem.

Wziął ją za rękę i złożył na niej przeciągły pocałunek.

- Dobrze już, dobrze - westchnęła Laura, uroczo nadąsana. - Za dziesięć minut!

Uśmiechnęła się do niego i wyszła z biblioteki. Ledwie drzwi się za nią zamknęły, Armand zwrócił się szorstkim tonem do Jacqueline.

- Jak zwykle, mademoiselle, nie doceniłem pani talentów! To czarujące

przedstawienie godne było wytrawnej kurtyzany!

Jego głos ociekał sarkazmem.

-Jak pan śmie tak do mnie mówić? - wykrztusiła.

-Niechże pani da spokój, mademoiselle - odparował Armand, wściekły na własną głupotę.

Jak mógł uwierzyć, że była to naprawdę szczerą namiętność? Widać roczny celibat przyćmił mu bystrość widzenia, jeśli chodzi o kobiety. Ta dziewczyna próbowała go uwieść, by zapewnić sobie jego pomoc. Incydent byłby nawet zabawny, gdyby nie to, że dał się tak haniebnie oszukać.

- Proszę się nie silić na święte oburzenie. Niech mi pani lepiej powie, kiedy zamierzała oświecić mnie, że ów „przyjaciel” jest w rzeczywistości pani narzeczoną?

Zmagały się w niej upokorzenie i gniew. Przyrównał ją do kurtyzany, prościej mówiąc, do dziwki. A to nie była prawda! Nie pojmowała, czemu tak przejmują ją jego dotyk, ale nie miało to nic wspólnego z chęcią ocalenia François-Louisa.

- To nie pańska sprawa, kim on jest dla mnie - odparła lodowatym tonem.

- Ależ mademoiselle! Żądała pani, bym go ocalił z narażeniem własnego życia - przypomniał. -A zatem wszystko, co go dotyczy, to jak najbardziej moja sprawa! Ponieważ jednak nie zamierzam mu pomagać, chyba istotnie nie ma to już znaczenia. Proszę wybaczyć.

Sklonił się zdawkowo i ruszył w stronę drzwi.

-Niech pan zaczeka!

Zatrzymał się i odwrócił.

-Czy doprawdy mamy jeszcze coś do omówienia?

- Monsieur St. James, przedstawiłam panu poważną propozycję - zaczęła, starając się za wszelką cenę opanować. Jeśli Armand nie udzieli jej pomocy, François-Louis zginie, a ona będzie po dwakroć winna jego śmierci!

- Istotnie - przytaknął. - A ja tę propozycję odrzuciłem.

Ujął za klamkę.

- Dlaczego?! Bo proszę pana o uratowanie człowieka, którego mam poślubić?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie - stwierdził. - Odmawiam, mademoiselle, ponieważ znowu nie ma pani czym zapłacić za moje usługi.

- Przecież zaoferowałam panu klejnoty de Lambertów!

Spojrzał na nią wyraźnie ubawiony.

-Zapomina pani, mademoiselle, że zawsze żądam zapłaty z góry. Chce mi pani

zapłacić czymś, czego na razie nie ma. Któż rozsądny przyjąłby taką ofertę?

-Zaofiarowałam się, że sama tam pojedę i odnajdę klejnoty, ale pan nie wyraża na to zgody. Zaproponowałam pieniądze z funduszu dla Suzanne i Seraphine, ale i tego nie chce pan przyjąć. Co jeszcze mogłabym panu zaproponować? Czego pan pragnie?

Spojrzał na nią uważnie.

- Ciebie - powiedział szczerze.

Nie wiedział, czemu to zrobił, ale nie dbał o to.

Zmarszczyła brwi, kompletnie zdezorientowana.

- Co takiego?

- Pragnę ciebie - powtórzył. - Chcę, żebyś była ze mną. Przez jedną noc.

Po chwili dotarło do niej znaczenie tych słów.

- Pan chyba oszalał! - wybuchnęła, nie wierząc własnym uszom.

Wzruszył ramionami.

- Być może - przyznał. - Nikt zdrowy na umyśle nie uznałby, że za jedną noc z kobietą warto zapłacić życiem. Ale taka jest moja cena, mademoiselle. Jedna wspólna noc, nim wyruszę ratować nieszczęsnego markiza. To moja ostateczna decyzja.

Zawisło nad nimi milczenie pełne napięcia. Spoglądał ze spokojem w jej szare oczy, pełne wściekłości i czekał, aż mu powie: „Idź do diabła!”

- Pańska propozycja jest nie do przyjęcia - stwierdziła oficjalnym tonem.

- Doprawdy? - zauważył z ironią, odczuwając przy tym przewrotną radość: narzeczony nie był jej aż tak drogi, by chciała wszystko dlań poświęcić. - Biedny markiz nie ma szczęścia!

Ruszył znów ku drzwiom.

- Chwileczkę! - zawołała, rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu, by skłonić go do zmiany warunków umowy.

Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

- Chciałaby pani jeszcze coś ze mną omówić, mademoiselle?

Zawahała się. Może zdoła przekonać go, że owa wspólna noc powinna się odbyć po uratowaniu François-Louisa? Gdy narzeczony znajdzie się bezpiecznie w Anglii, ona będzie już w drodze do Francji. Wiedziała, że to niehonorowo zawierać umowę, wiedząc z góry, że nie dopełni się jej warunków... ale biorąc pod uwagę to, czego domagał się St. James, nie czuła się winna. Zamknęła oczy i westchnęła ciężko, jakby podejmowała wyjątkowo trudną decyzję.

- Niech będzie, monsieur St. James - szepnęła ze znużeniem. - Przyjmuję pańskie

warunki.

Nie wierzył własnym uszom.

- Jak to? - wyjąkał zdumiony.

- Powiedziałam, że zgadzam się na pańskie warunki. Spędzę z panem jedną noc, jeśli pojedzie pan do Francji i ocali markiza de Biret.

Nie wiedział, co budzi w nim większy niesmak- to, że potraktował ją jak dziwkę, czy łatwość, z jaką zgodziła się na jego warunek.

- Ale - dodała od niechcienia - nie sądzę, bym musiała wywiązać się z obietnicy, zanim François-Louis znajdzie się poza wszelkim niebezpieczeństwem. A nuż nie uda się panu go ocalić?

Poczuł równocześnie ulgę i zniecierpliwienie, gdy przejrzał jej grę. Nie miała najmniejszego zamiaru mu ulec! Znowu go oszukiwała, by za darmo ocalił jej wykwintnego kochanka. Kiedy dostarczy markiza zdrowo i cało, usłyszy tylko: „Bardzo panu dziękuję!” i będzie po wszystkim. Uśmiechnął się ironicznie.

-Mówiłem wyraźnie, mademoiselle, że żądam zapłaty z góry - oświadczył. -Jeśli moja misja się nie powiedzie, stracę życie. - Powoli zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, zatrzymując wzrok nieco dłużej na głębokim dekolcie. - A jeśli mam przyplacić to zadanie życiem, chciałbym przynajmniej wiedzieć, że nie oddałem go za darmo - wycedził słodko.

-To niemożliwe! - wybuchnęła, dziwnie rozgorączkowana pod jego badawczym spojrzeniem.

Zamrugał oczyma, udając zdziwienie.

-Ależ dlaczego? Co to za różnica, kiedy spłaci pani dług? -Urwał i zmarszczył czoło.

- Chyba że nie zamierzała pani dotrzymać słowa.

-Monsieur St. James, pański warunek jest po prostu nie do przyjęcia! - zawołała z żalem, rozpaczliwie usiłując obmyślić jakiś inny rodzaj zapłaty.

-Szkoda! - zauważył i wruszył obojętnie ramionami. - W takim razie, skoro skończyliśmy już rozmowę, pozwoli pani, że ją opuszczę.

Irytowała ją ta kpiarska, bezczelna postawa. François-Louis umrze, gdyż ona nie godziła się na tę transakcję, a bez zapłaty Armand nie zrobi nic! Ratował przecież więźniów wyłącznie dla zysku.

- Proszę iść - odparła przez zaciśnięte zęby, obawiając się, że zaraz zacznie krzyczeć.

- Niech pan nie każe Laurze czekać!

Zauważył gniewne napięcie w jej głosie, ale je zignorował. Skłonił się lekko i wyszedł z pokoju.

Jacqueline opadła na sofę i zakryła twarz rękami. Poniosła klęskę. Nie zdołała namówić Armanda, by uratował biednego François-Louisa. Teraz nic go już nie ocali. Na jej barki spadnie jeszcze jeden straszliwy ciężar...

Jej czystość - za jego życie.

Przygryzła mocno wargę, zmagając się ze straszliwym poczuciem winy.

Jak zniesie ból, gdy dotrze do niej w końcu okropna wieść o śmierci François-Louisa?...

Rozdział 8

Stukanie do drzwi było delikatne, ale uporczywe.

- Jacklyn, kochanie! Nie zejdziesz na obiad? - wołała zza drzwi lady Harrington.

Jacqueline westchnęła i podniosła się z łóżka.

- Bardzo szepaszam, lady Harrington! - usprawiedliwiała się, otwierając drzwi. - Ja się nie mam za dobrze... Byłam powinna posłać Charlotte do pani...

Lady Harrington spojrzała na nią z niepokojem.

- Jesteś chora, drogie dziecko? Może wezwać doktora?

Jacqueline pokręciła głową.

- To nic dużego. Tylko nie mam *l'appetit*, nic a nic! - odparła niezręcznie, walcząc z angielską gramatyką i składnią.

Ale nie rozwiązała niepokoju lady Harrington.

-Od dwóch dni prawie nic nie jesz. Trzeba posłać po doktora!

-*Non!* - zaprotestowała gwałtownie Jacqueline. - Nie szeba doktora!

-Martwisz się o narzeczonego, kochanie? - spytała ze współczuciem starsza dama.

Jacqueline kiwnęła głową potakująco.

- Przestań o nim myśleć. Sądzisz, że to niemożliwe, ale musisz spróbować! - przekonywała. - Przecież nic nie możemy dla niego zrobić, Jacklyn!

Czyżby? - pomyślała Jacqueline z goryczą. Armand mógłby go ocalić. Była tego pewna! Ale on nie zrobi tego, jeśli ona nie przystanie na jego haniebną propozycję.

-Powiem, żeby Charlotte przyniosła ci obiad na górę - mówiła dalej lady Harrington.

- Musisz mi obiecać, że zjesz choć trochę!

-Ja nie głodna! - zaprotestowała Jacqueline

-Mimo to powinnaś coś zjeść - powiedziała lady Harrington z naciskiem.

Jacqueline westchnęła. Wiedziała, że przez jej opiekunkę przemawia iście macierzyńska troska. Była nawet wzruszona tą dobrocią...

- Ja zjem - zgodziła się ze znużeniem.

Lady Harrington uśmiechnęła się z aprobatą i wyszła z pokoju z głośnym szelestem wieczorowej sukni z fioletowego jedwabiu.

Jacqueline zamknęła drzwi i ciężko się o nie oparła. Uporczywy ból głowy, który trapił ją od dwóch dni, po spotkaniu z Armandem, rozsadzał skronie. Zaczęła je masować, choć wiedziała, że to nie pomoże. Osłabiona bólem i nękana wyrzutami sumienia dowlokła się do łóżka i upadła na nie. Jak długo wytrzyma te męki?

François-Louis z pewnością zginie. To nie ulegało wątpliwości. Gdyby nie jej brawurowa ucieczka z Conciergerie, nie siedziałby w więzieniu, czekając na egzekucję. Karę za coś, czego nie popełnił. To okropna niesprawiedliwość!

Usiłowała wymyślić jakiś inny sposób ocalenia go, ale jedyną osobą, która mogła jej pomóc, był Armand.

Jak można zgodzić się na podobne żądanie?! - myślała z rozpaczą. Było w najwyższym stopniu wstrętne i podłe. Gdyby na nie przystała, postąpiłaby jak ladacznica. Ale czy przedkładanie własnej cnoty nad czyjeś życie jest takie moralne? Czy po otrzymaniu wieści o śmierci narzeczonego będzie dumna ze swej nienaruszonej cnoty? Dobrze wiedziała, że nie! Tragiczna śmierć François-Louisa okryje żałobnym kirem resztę jej życia.

Zacisnęła mocno powieki i odwróciła się na bok.

...Może kupczenie własnym ciałem to nie grzech w podobnych okolicznościach? Zwłaszcza że chodzi o życie przyjaciela! Ostatecznie, dopuści się tego grzechu tylko jeden, jedyny raz. To nie potrwa zapewne zbyt długo... i nikt prócz Armanda nigdy się o tym nie dowie! A kiedy spełni jego warunek, on natychmiast wyruszy do Paryża. Za kilka tygodni François-Louis może już będzie w Anglii! Mimo haniebnej propozycji, jaką jej złożył, Jacqueline nie wątpiła, że Armand wywiąże się ze swojej części umowy. Był w końcu człowiekiem interesu i zależało mu na dobrej opinii! Zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby jego misja zakończyła się sukcesem. François-Louis będzie żywy i bezpieczny! A koszt tego przedsięwzięcia był w gruncie rzeczy niewielki: utrata cnoty.

Usiadła wyprostowana na łóżku i z mocno bijącym sercem podjęła decyzję. Jej dziewictwo nie miało większego znaczenia. Ważne było tylko ocalenie François-Louisa.

Podeszła szybko do biurka i napisała krótki list do Armanda St. Jamesa. Poinformowała go zwięzle, że zgadza się na jego warunki, i prosi, by poczynił niezbędne przygotowania. Im szybciej wywiąże się z umowy, tym szybciej on wyruszy do Francji, mówiła sobie w duchu.

O tym, że Armand mógłby ponieść porażkę, a François-Louis nie uniknie gilotyny, zanim przystąpią do działania, wołała nie myśleć.

Jacqueline spoglądała z okna powozu na imponującą rezydencję ze srebrnoszarego kamienia. Wielki budynek jarzył się światłem w mroku nocy. Z każdego okna bił blask, jak niegdyś w Château de Lambert, gdy jej rodzice wydawali wystawne przyjęcia. W pierwszej chwili pomyślała, że trafili pod zły adres. Nie przypuszczała, że Armand pomagając zrozpaczonemu arystokratom w ucieczce, mógł dorobić się tak wspaniałego domu. Wiedziała, że statek też wiele go kosztował... ale był nieodzowną pomocą przy wypełnianiu zadań, których się podejmował. Kupno zaś i utrzymanie rezydencji tak imponującej jak ta, znacznie obszerniejszej i o wiele wspanialszej od siedziby Harringtonów, wymagało nieprawdopodobnych sum! Armand nie należał do arystokracji, nie mógł więc dysponować rodzowym majątkiem, gromadzonym przez przodków w ciągu wielu stuleci. Jakim cudem doszedł do takiego bogactwa?!

Stangret otworzył drzwiczki powozu i pomógł jej zejść po schodkach. Jacqueline podniosła kołnierz płaszcza, by osłonić się przed lodowatym grudniowym wiatrem. Stała przed frontem ogromnego domu. Nie był wdzięczny, wymyślny i ozdobny jak Château de Lambert, ale wytworna prostota tej budowli miała w sobie wiele piękna. Trzy kondygnacje wielkich okien zdobiły front budynku. W dzień wszystkie wnętrza muszą być dosłownie zalane słońcem! - pomyślała. Bardzo jej go brakowało w mrocznym domu Harringtonów.

Siedzibę Armanda otaczał park, rozległy i troskliwie pielęgnowany, pełen drzew iglastych i krzewów starannie przystrzyżonych oraz kamiennych rzeźb pokrytych teraz śniegiem. Rezydencja świadczyła o bogactwie i wysokiej pozycji oraz dobrym guście właściciela. Ten sam dyskretny umiar i prostotę linii Jacqueline dostrzegła w sposobie ubierania się Armanda i w umeblowaniu kapitańskiej kajuty. Fasadę domu zdobiły cztery kolumny korynckie, stanowiące obramowanie wielkich, dębowych drzwi frontowych. Cała budowla była ucieleśnieniem klasycznej prostoty i ponadczasowego piękna. Choć całkiem

różniła się stylem od jej rodzinnej siedziby, nie wydawała się surowa i pozbawiona wdzięku, ale pełna kojącego spokoju. Gdy tak patrzyła na fasadę, frontowe drzwi otwały się i stanęła w nich potężna, wysoka postać, przesłaniając oświetlone wnętrze.

- Dobry wieczór, mademoiselle - powitał ją przyjaźnie Armand w jej ojczystym języku. - Wejdzie pani do środka, czy wolałaby rozważyć jeszcze naszą umowę? Gdyby się pani rozmyśliła, każę Tomowi odwieźć ją do domu.

Jacqueline zeszywniała, słysząc tak bezceremonialną wzmiankę o ich umowie w obecności służącego. Odwróciła się, by spojrzeć na stangreta, który cierpliwie stał przy koniach, czekając na dalsze polecenia. Woźnica kiwnął głową i uśmiechnął się do niej, co jeszcze bardziej ją zażenowało. Zdecydowana nie dopuścić do tego, by stangret był świadkiem jej poniżenia i mógł o tym plotkować z resztą służby, wyprostowała się dumnie i ruszyła po frontowych schodach do drzwi.

- Proszę zapowiedzieć stangretowi, by powóz i konie były w pogotowiu - poinstruowała Armanda lodowatym tonem. - Mam nadzieję, że ta sprawa nie zajmie nam zbyt wiele czasu.

Prawdę mówiąc, wcale nie wiedziała, jak długo może trwać akt miłosny, ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Wyminęła Armanda i weszła do holu, zachowując się jak ktoś, kto przypominał sobie o niezbyt istotnym zobowiązaniu i chce się z niego czym prędzej wywiązać, by zająć się czymś ważniejszym.

Armand kiwnięciem głowy odprawił stangreta i zamknął drzwi. Nie wiedział, co w nim bierze górę: oburzenie czy poczucie ulgi. Przysięgł sobie, że da Jacqueline możliwość wycofania się ze wszystkiego, zanim wejdzie do domu. Uważał, że tak będzie sprawiedliwie. Właściwie wcale się nie spodziewał, że dziewczyna przyjedzie. Kiedy otrzymał od niej liścik z wiadomością, że przyjmuje jego warunki, był po prostu zdumiony. Pospieszył oczywiście z odpowiedzią, że z największą radością oczekuje jej odwiedzin. Obiecał przysłać po nią powóz już następnego wieczoru; doradził, by pod pozorem migreny wcześniej udała się na spoczynek, a potem niepostrzeżenie wyślizgnęła się z domu. Był przekonany, że Jacqueline po przemyśleniu sprawy dojdzie do rozumu i uświadomi sobie, że omal nie zachowała się jak zwykła nierządnicą. Przypuszczał, że stangret wróci z następnym listem od niej, w którym panna albo pośle go do wszystkich diabłów, albo będzie błagać o zmianę warunków. A jednak Jacqueline zjawiła się w jego domu. Stała w holu, zdejmując kapelusz i ściągając energicznie rękawiczki. Usiłowała ukryć zdenerwowanie pod maską ożywienia i rzeczowości. Był wściekły na nią za jej głupotę; miał ochotę zaciągnąć ją do biblioteki i wypalić dwugodzinne kazanie na temat przyzwoitego zachowania, po czym odesłać do Harringtonów.

Ale jakaś cząstka jego istoty, głęboko ukryta i mniej mu znana, upajała się myślą, że oto Jacqueline jest tutaj, w jego domu, gotowa mu się oddać! Nie zapomniał jeszcze gwałtownego požądania, jakie w nim obudziła tamtej nocy na balu. Ani tego, że odpowiedziała na jego pieszczoty z namiętnością dorównującą jego żądzy.

Wiedział, że stało się to wbrew jej woli, gdyż uważała go za kogoś niższego od siebie. Była zaręczona z bogatym markizem, pochodzącym ze starożytnego rodu. Z pewnością nigdy nie skalał rąk uczciwą pracą. Jak można rywalizować z takim ideałem?

Zresztą pogardzała nim, gdyż sądziła, że bogaci się na ludzkim nieszczęściu, a on nigdy nie wyprowadził jej z błędu. A oprócz tego dobrze wiedział, że jest na niego zła, bo ocalił jej życie, ale nie pozwolił decydować o własnym losie, zmusił do opuszczenia ojczyzny, którą tak kochała, i udaremnił wszelkie próby ucieczki i zemsty. Mógł zrozumieć ten gniew. A nawet wzgardę, wynik wyznawanych przez wiele stuleci zasad, które głosiły, że człowiek bez tytułu nie jest odpowiednim towarzyszem dla arystokratki.

Wobec takiej wrogości przybycie Jacqueline wydawało mu się niemal cudem.

- Musiał pan wspominać o naszej umowie w obecności woźnicy? - prychnęła Jacqueline jak rozwścieczona kotka, mocując się z guzikami płaszcza. - Może dla pana dyskrecja niewiele znaczy, aleja wolę, by ten brudny incydent pozostał wyłącznie naszą tajemnicą!

Określenie „brudny incydent”, odnoszące się do ich dzisiejszego spotkania, uprzytomniło Armandowi z całą siłą, że to on zmusił Jacqueline do przyjścia. Znów ogarnął go wstręt do samego siebie.

- Obawia się pani, że jaśnie pan markiz nie potrafi docenić ofiary, jaką zgodziła się pani ponieść dla jego dobra?

Pogarda w jego głosie nie była przeznaczona wyłącznie dla Jacqueline. Żywił ją przede wszystkim do siebie.

Popatrzyła na niego twardym wzrokiem, w którym błyskała z trudem powstrzymywana furia.

- Chyba mało kto nazwałby cenę, jaką każe mi pan płacić, uczciwą czy przyzwoitą - odpowiedziała zwięźle. - Ale ponieważ się na nią zgodziłam, nie widzę powodu, by dłużej się nad tym rozwodzić. Nie uważam jednak za mądre ani potrzebne informowanie o naszym układzie całego świata. A pan?

Armand westchnął. Nie chciał, by ich wspólny wieczór zaczął się od sprzeczeki.

- Nie musi się pani tego obawiać, mademoiselle - zapewnił ją. - Tom pracuje u mnie

od wielu lat, a dyskrecja jest zaletą niezbędną u stangreta. Proszę mi zaufać: nie piśnie ani słowa!

Kiwnęła głową z zadowoleniem i zaczęła się rozglądać dokoła, niepewna, co robić dalej. Armand podszedł do niej i pomógł jej zdjąć płaszcz. Miała na sobie czarną jedwabną suknię bez wycięcia i z długimi rękawami, pozbawioną wszelkich ozdób. Nie mogła ona zniweczyć jej urody, ale nie ulegało wątpliwości, że chciała mu się wydać jak najmniej atrakcyjna. Uśmiechnął się mimo woli.

- Kazałem przygotować lekką kolację w salonie – powiedział i poprowadził ją przez frontowy hol do wielkich podwójnych drzwi, które przed nią otworzył.

W pokoju panowało miłe ciepło: suty ogień buzował na kominku. Naprzeciw kominka stały dwa krzesła obite pasiastym jedwabiem i niewielki owalny stolik, zastawiony najcenniejszą porcelaną i kryształami. Półmiski osłonięto srebrnymi pokrywami. Smakowita woń kurcząt w winnym sosie mile łechtła nozdrza. Jacqueline przez cały dzień była tak zdenerwowana, że nie zjadła ani kęsa i teraz poczuła głód.

- Posiłek jest skromny, ale ze względu na dyskrecję kazałem służbie przygotować wszystko zawczasu i dałem im wychodne na cały wieczór -wyjaśnił Armand, podchodząc do stołu i odsuwając krzesło, na którym chciał posadzić swego gościa. - Pani pozwoli, mademoiselle?

Spojrzała na niego zbita z tropu. Była wzruszona jego troskliwością: zamówił posiłek i postanowił jej oszczędzić ciekawskich oczu służby i ewentualnych plotek. Pragnął ją mieć, ale nie chciał jej upokorzyć. Ale wspólna kolacja, nieprzewidziana w umowie, nadawała spotkaniu jakiś intymny charakter, zbyt przyjacielski, jakby przyszła tu z własnej woli! Nie obawiała się, że Armand posunie się do brutalnej przemocy jak Nicolas tamtej straszliwej nocy w więziennej celi. Nie! Czymkolwiek okaże się ich spotkanie, z pewnością nie będzie gwałtem. Ale stawiając przed nią ultimatum: jej cnota za życie François-Louisa, Armand nic pozostawił jej żadnego wyjścia... a to w jej pojęciu było równoznaczne ze zniewoleniem. Musiała przyjąć tę propozycję, prawda?

- Mademoiselle?

Spojrzał na nią pytająco, unosząc jedną brew. Mimo zdenerwowania zauważyła, że wyglądał tego wieczoru niezwykle przystojnie. Czarny obcisły zakiet przylegał do barczystej postaci jak druga skóra, kremowe spodnie do kolan podkreślały siłę i smukłość nóg: same mięśnie ani śladu zbędnego tłuszczu! Miedzianozłote włosy były starannie związane czarną aksamitką, twarz o wyrazistych rysach świeżo wygolona. W tym wytwornym stroju i w eleganckim wnętrzu poruszał się z całą swobodą i naturalnością, podobnie jak w roli

zgarbionego obywatela Julienu krzątał się w mrocznej, smrodliwej celi, a jako kapitan „Angelique” stał w szerokim rozkroku na pokładzie statku, śledząc wzrokiem piętrzące się i opadające fale.

To naprawdę niezwykły człowiek! - pomyślała i wcale jej to nie ucieszyło. Jak kameleon potrafił przystosować się do każdego warunków, zmieniając wymowę i sposób bycia równie szybko i bez wysiłku, jak zwykły zmieniać przebranie. Intrygowała ją ta łatwość wcielania się w kogoś, kim wcale nie był, i odgrywania swej roli w sposób niesłychanie przekonujący. Przecież i ją omamił! Tak niewiele o nim wiedziała... co wcale nie znaczy, że chciała wiedzieć więcej! - zastrzegła się w myśli. Łączyły ich tylko interesy. Ocalił jej życie, ale nie ze współczucia, tylko dlatego, że mu za to zapłacono. Ona też znalazła się tu nie dlatego, że chciała zjeść z nim kolację we dwoje, tylko dlatego, że oddając mu się, mogła uratować François-Louisa. Nagle z całą mocą uderzyła ją wulgarność i nikczemność ich umowy. Aż się wzdrygnęła.

-Mademoiselle - powtórzył miękko, nieco zaniepokojony tym, że wzbraniała się nawet podejść do niego. - Proszę spocząć i coś zjeść!

-Nie jestem głodna! - zaprotestowała Jacqueline tak gwałtownie, jakby poczęstował ją trutką na szczury. Po namyśle dodała: - Jadłam przed wyjazdem z domu.

Nagle zaburczało jej tak głośno w brzuchu, jakby żołądek protestował przeciw temu bezczelnemu kłamstwu. Oblała się szkarłatnym rumieńcem. Armand spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Może nie całkiem zaspokoila pani apetyt - odpowiedział wesoło. Zdjął jedną ze srebrnych pokryw i z owalnego półmiska wionął ku nim smakowity zapach. - Kurczęta w winnym sosie, moja ulubiona potrawa - mruknął z aprobatą. - Co tu jeszcze mamy? - Unosił po kolei pokrywę, wyliczając, co przygotowano na ich małą ucztę. - Cielęcina zapiekana w cieście, przepiórki, bulion i jajka w koszulkach, jarzyny duszone w maśle... a na deser rozmaite ciastka, sery i konfitury. - Spojrzał na Jacqueline. - To niezbyt wyszukany posiłek, ale zapewniam panią, że smaczny - zapewnił.

Jacqueline była tego pewna, bo wszystko wyglądało i pachniało nader zachęcająco. Powiedziała sobie jednak stanowczo, że nie przyszła się tu objadać. Chciała uporać się jak najszybciej z ciężką próbą.

- Monsieur St. James, dobrze pan wie, że nie przyjechałam tu na obiad, tylko...

W zenujący sposób zabrakło jej słów. Urwała i spojrzała na niego bezradnym wzrokiem.

Armand powstrzymał się od uśmiechu.

- Tylko...? - podsunął z niewinną miną, jakby naprawdę chciał jej pomóc.

Czuając, że jej rozmówca świetnie bawi się jej kosztem, posłała mu mordercze spojrzenie.

- Chciałam powiedzieć - zaczęła raz jeszcze, dobitnie i z godnością - że mieliśmy tego wieczoru odbyć spotkanie w interesach. Nic więcej. Jeśli to panu odpowiada, wolałabym załatwić to jak najprędzej.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Mademoiselle, proszę mi wybaczyć karygodną bezmyślność! - kajał się. Zakrył półmisek pokrywą i pospiesznie przysunął do stołu krzesło przeznaczone dla Jacqueline. - Nie zdawałem sobie sprawy, że tak pani spieszo do tego, by spocząć nago w mych ramionach! Pochlebia mi to oczywiście i jestem zachwycony takim entuzjazmem. Ponieważ obiecała mi pani wyraźnie, że spędzi ze mną całą noc, im prędzej zaczniemy, tym dłużej będę mógł, bez zbytniego pośpiechu, poznawać tajniki pani czarującego ciała. - Błysnął olśniewającym uśmiechem i z wdziękiem podał jej ramię. - Idziemy na górę do mojej sypialni?

Te słowa podziałały na nią jak przysłowiowy kubeł zimnej wody. Cała noc. Wielki Boże! Istotnie, zgodziła się spędzić z nim jedną noc. Jak mogła być taka głupia?! Nie wiedzieć czemu wydawało jej się, że oznacza to jedno pospieszne zbliżenie, co zajęłoby jej kilka minut, w najgorszym wypadku godzinę. Nie zamierzała w jakikolwiek sposób być mu chętna i postanowiła, że zdejmie jak najmniej ubrania. A on beztriosko gawędzi o leżeniu nago w jego ramionach i poznawaniu tajników jej ciała! Poczowała mdłości. Może zemdleje?

- Czy coś pani dolega, mademoiselle? Tak pani zbladła...

Lekko rozbawiony głos Armanda przerwał ponure rozmyślenia.

- Ja... chyba jednak coś przegryzę - wyjąkała Jacqueline i pospiesznie cofnęła się ku stołowi. - Prawdę mówiąc, jestem głodna jak wilk!

Armand z trudem powstrzymał się od śmiechu i ruszył w jej ślady.

- Jak pani sobie życzy-powtórzył, przysuwając jej krzesło. - Może wino przywróci pani rumieńce?

Napełnił jej kieliszek rubinowym trunkiem.

Jacqueline przyszło nagle do głowy, że gdyby udało się jej spoić Armanda, pewnie znalazłszy się w łóżku, natychmiast by zasnął. Pomogłaby mu zdjąć ubranie i okryła kołdrą. I tyle. Po obudzeniu nie pamiętałby, co się wydarzyło w nocy, a ona zostawiłaby mu liścik, że dopełniła warunków umowy i spodziewa się, że i on postąpi tak samo. François-Louis byłby ocalony, a jej cnota nietknięta. Doskonały plan! Uśmiechnęła się promiennie.

Armand odstawił butelkę i usiadł przy stole.

- A pan nie napije się wina? - spytała słodko Jacqueline.

-Nie - odparł. - Nie napiję się. Jej uśmiech zgasł.

-Dlaczego?

Zdjął jedną z pokryw.

- Ponieważ nie piję, mademoiselle. Może kurczaka? - zaproponował, biorąc jej talerz.

-Jak to? Niczego pan nie pije?

-Nie piję alkoholu - wyjaśnił. Położył na jej talerzu porcję kurczaka. - Cielęciny?

Kiwnęła machinalnie głową, rozważając to, co przed chwilą usłyszała. Może cierpiał na jakąś chorobę żołądka?... To jednak, ze względu na jego krzepę, wydawało się mało prawdopodobne. W takim razie dlaczego nie pił? Zupełnie tego nie pojmowała. Wiedziała, że wścibstwo jest w złym tonie, ale nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Czemu pan stroni od alkoholu?

Armand niedbale wzruszył ramionami i ze skupieniem nałożył jej na talerz potężną porcję cielęciny.

- Ponieważ tak sobie postanowiłem - powiedział po prostu. – Ma pani ochotę na przepiórkę?

Pojęła, że to dla niego drażliwy temat, i jej ciekawość jeszcze wzrosła. Wróciła myślą do ich ucieczki z Francji. Z pewnością przynajmniej raz musiała go widzieć pijącego wino! Przypomniała sobie jednak, że gdy podczas jego ataku kaszlu w celi prosiła dozorcę, by przyniósł mu trochę wina, Armand wystękał, że prosi o wodę. Podczas długiej jazdy na wybrzeże niejednokrotnie popijał z butelki zawierającej jakiś bezbarwny, przezroczysty płyn... Sądziła, że to wódka, mocniejsza od wina. Ale widocznie to była zwykła woda. Nawet podczas balu u Fleetwoodów nie wyczuła najlżejszego śladu alkoholu, gdy ją całował. Wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni -jej ojciec i François-Louis - lubią dobre wino i przedni koniak. Nawet ona wołała wino niż wodę do obiadu. Powstrzymywanie się od alkoholu było, co tu ukrywać, dziwactwem. Przyglądała się Armandowi ze zdumieniem.

-Czyżby mi wyrosła druga głowa? - burknął z irytacją, podając jej napełniony talerz.

-Przepraszam pana - usprawiedliwiła się - ale nigdy jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który by stronił od alkoholu.

Zażenowana swym nietaktem wbiła wzrok w talerz.

Nabrał także dla siebie różnych frykasów i oboje zaczęli jeść. Zapanowało

niezręczne milczenie. Armand przeklinał w duchu swój porywczy temperament. Ciekawość Jacqueline była zupełnie zrozumiała. Me jego duchowa rana, przyczyna rezygnacji z alkoholu, nadal przysparzała mu cierpień, toteż wolał o tym nie myśleć. Skąd jednak miała o tym wiedzieć? Przyglądał się jej spod oka. Była zdenerwowana i tylko udawała, że je.

A przede wszystkim - co tu kryć? - była wyjątkowo piękna. Nieprawdopodobnie piękna. Choć zrobiła, co mogła, by wydać się jak najmniej atrakcyjna w sukni odpowiedniej tylko na pogrzeb, niezwykła prostota stroju nie przyćmiła jej uroku. Lśniące jasne włosy, zebrane na karku w luźny węzeł, były jeszcze za krótkie do takiej fryzury i poszczególne pasemka wymykały się z upięcia, tworząc na skroniach niesforne loczki. Świetlista cera przypominała biały lśniący jedwab, stwarzała wrażenie delikatnej kruchości, tak niezwykłej w porównaniu z niezaprzeczalną siłą jej ducha.

Grzebała widelcem w stercie smakołyków, które nieopatrznie spiętrzył na jej talerzu. Szare jak dym oczy przesłoniła ciemnymi rzęsami. Armand patrzył na nią zachłannie, jakby nigdy jeszcze nie widział pięknej kobiety. Co prawda upłynęło wiele czasu, odkąd sam na sam jadł obiad z damą. Od dawna też żadna nie wzbudziła w nim takiego pożądania.

Obserwował ją uważnie. Nadal nie odrywała wzroku od talerza i była wyraźnie zmieszana. Zapragnął nagle zrobić coś, żeby przestała się denerwować. Wiedział, że nie przyszła tu z własnej woli. Nie zmusił jej co prawda, ale wykorzystał niebezpieczeństwo grożące jej narzeczonemu, dobrze wiedząc, że Jacqueline niczym innym nie może zapłacić mu za pomoc. Nie spodziewał się jednak, że przyjmie jego warunki, i nie wiedzieć czemu zirytowało go to. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo jej zależy na markizie... a to nie poprawiło Armandowi humoru. Przypomniawszy sobie pocałunki Jacqueline tamtej nocy na balu. Próbowana go uwieść, skłonić podstępem do udzielenia pomocy jej „przyjacielowi”. Zaproponował więc, by poszła z nim do łóżka. Ostatecznie była to logiczna kontynuacja gry, którą sama rozpoczęła. A choć wiedział, że tak być nie powinno, pragnął jej. Nie był jednak wcale pewny, czy i ona go pragnie. Jeśli w końcu Jacqueline dojdzie do wniosku, że nie zdobędzie się na to, postanowił jej nie zmuszać. Cokolwiek zajdzie tej nocy między nimi, nie chciał, żeby to była dla niej ciężka próba. Dość ich już przeszła w życiu!

- Piłem kiedyś zbyt dużo - odezwał się półgłosem, starając się przełamać mur milczenia, który wyrósł między nimi. - Wydawało mi się to zabawne. I byłem pewny, że nadal panuję nad sytuacją.

W jego głosie, pełnym napięcia, nie było ani skruchy, ani chępliwości. Zrozumiała, że dobrowolne poruszenie tego tematu jest z jego strony wyciągnięciem ręki do zgody. Po

chwili podniosła wzrok znad talerza.

-Uważałem się za niezwykłego - ciągnął dalej, odwzajemniając ze spokojem jej spojrzenie. - W końcu miałem wszystko, czego młody człowiek może pragnąć. Ojciec pozostawił mi pokaźny majątek, starałem się więc zawsze być trzeźwy, gdy zajmowałem się interesami. Z początku nie było w tym nic trudnego. Potem, gdy bywałem znacznie częściej pijany niż trzeźwy, popełniłem parę głupich pomyłek i straciłem mnóstwo pieniędzy. Zamiast potraktować to jako ostrzeżenie, uznałem te pomyłki za zabawne,

-Jak można uznać taką stratę za zabawną? - spytała Jacqueline, której nie mieściło się to w głowie.

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Pieniądzy było zawsze tak wiele, napływały z różnych źródeł - wyjaśnił. - Inwestowałem w cukier, tytoń, herbatę, bawełnę, jedwab... We wszystko, na co na rynku europejskim jest zawsze popyt. Kiedy lokuje się w ten sposób pieniądze, jedna czy druga strata nie ma znaczenia. Należy się z nią liczyć, i tyle. Toteż moje pomyłki, spowodowane nadużyciem alkoholu, nie odstręczyły mnie od tego nałogu.

Umilkł na chwilę.

Jacqueline z niecierpliwością oczekiwała dalszego ciągu. Nie ulegało wątpliwości, że trudno mu o tym mówić. Przypomniała sobie zjadliwą uwagę Prestona, gdy Armand przerwał im taniec: „Nie spodziewałem się, St. James, że się spotkamy. Cóż cię tu sprowadza? Cni ci się samemu w święta? A może zabrakło wina w twojej piwniczce?” Widocznie jego pijaństwo było ogólnie znane, a on stał się pośmiewiskiem.. . Ogarnął ją gniew. Gdyby jeszcze ktoś odważył się na równie obrzydliwą uwagę w jej obecności, zaatakowałaby go tak gwałtownie, że niewiele by z niego zostało.

- Co sprawiło, że przestał pan pić? - spytała, wyczuwając jego niechęć do kontynuowania tej rozmowy i chcąc ją zakończyć.

Armand zmagął się przez chwilę ze sobą, zanim jej odpowiedział. Nie taką rozmowę pragnął toczyć przy obiedzie z Jacqueline, ale skoro temat sam wypłynął, nie miał wyboru. Było to bardzo osobiste zwierzenie, ale w końcu i tak wszyscy o tym szeptali. Prędzej czy później dowiedziałyby się i ona, choć z pewnością nie od Harringtonów. Sir Edward od lat był bliskim przyjacielem jego ojca, ze względu więc na jego pamięć, a także ze szczerą sympatii dla Armanda, oświadczył mu kiedyś: „Co było, to było. Nie mówmy o tym więcej”.

- Kilka osób straciło życie z mojej winy - rzucił szorstko, jakby chłostał się tymi

słowami. - Byłem na jednej z moich pijackich eskapad i nie mogłem zapobiec nieszczęściu. - Urwał, jakby czekał, żeby jego słowa w pełni do niej dotarły. -1 wówczas, mademoiselle, przysięgłem sobie, że więcej nie będę pił.

Zrozumiała, że nie doda już ani słowa. Wydawał się spokojny i opanowany, tylko prawie niewidoczne zaciśnięcie szczęk zdradzało, jak trudne to było wyznanie. Jacqueline żałowała, że poruszyła bolesny temat. Odezwało się w niej współczucie, co było jej zdecydowanie nie na rękę. Powiedziała sobie stanowczo, że łączą ich tylko interesy. Ocalił ją, bo mu za to zapłacono. A teraz przyrzekł uratować François-Louisa w zamian za jedną noc z nią. Dla niego wszystko sprowadzało się do wytargowania czegoś za coś. Kupczył swą niezwykłą umiejętnością wyciągania ludzi z opresji. Było to w gruncie rzeczy wstrętne i nikczemne... ale czego można się spodziewać po człowieku z gminu? Jemu nikt nie wpajał od dzieciństwa szlacheckich zasad i ideałów, może więc nie była to wyłącznie jego wina?...

- Jak pani idzie z angielskim? - spytał, przerywając jej rozmyślenia.

- Nie najlepiej - przyznała, rada ze zmiany tematu. - Chyba nie mam zdolności do języków. Zmarszczył się.

- Pani po prostu wcale na tym nie zależy - powiedział oskarżycielskim tonem. - Powinna się pani do tego przyłożyć, mademoiselle! Nie można mieszkać w Anglii i nie znać angielskiego.

Ponieważ nie miała zamiaru pozostać w Anglii, nie przejęła się tym ostrzeżeniem. Choćby nawet Armand nie wziął jej ze sobą, wyruszając na ratunek François-Louisowi, znajdzie jakiś sposób, by wrócić do Francji, skoro tylko upewni się, że narzeczony dotarł szczęśliwie do Anglii. Nicolas musi umrzeć. Już ona tego dopilnuje!

-Jak to się dzieje, że mówi pan tak dobrze po francusku? - spytała, by zmienić temat.

-Moja matka była Francuzką - wyjaśnił i uśmiechnął się na widok jej zdumienia. - Choć zadomowiła się w Anglii, od chwili, gdy przyszedł na świat, moja siostra Madeleine i ja, nalegała, żebyśmy mieli francuskie nianie. Uważała, że jej ojczysty język jest o wiele piękniejszy od angielskiego, i chciała, żebyśmy podczas podróży do Francji nie byli uważani za cudzoziemców. W końcu nie tylko tam podróżowałem, ale i studiowałem. Spędziłem we Francji kilka lat przed wybuchem rewolucji i stąd znam dobrze sprawy, które przyczyniły się do upadku monarchii i systemu feudalnego.

-Dlaczego pańska matka opuściła Francję? - spytała Jacqueline, zdumiewając się, że ktoś mógł porzucić uroczą i wytworną Francję, by zamieszkać w Anglii.

Armand znów się uśmiechnął i Jacqueline była urzeczona; jakże piękniała mu twarz, gdy się uśmiechał!

-Zakochała się do szaleństwa w moim ojcu, który był Anglikiem, i nie wyobrażała już sobie życia bez niego. Poznali się podczas jego podróży po Francji. Kiedy nadeszła chwila powrotu do Anglii, matka zgodziła się wyjść za niego potajemnie za mąż i odpłynąć razem z nim.

-Dlaczego poślubiła go potajemnie? - spytała Jacqueline. - Czy dlatego, że pański ojciec był cudzoziemcem i chciał ją wywieźć z kraju?

Była pewna, że również jej ojciec nigdy nie wyraziłby zgody na małżeństwo z cudzoziemcem. Z trudem pogodził się z myślą, że po ślubie z François-Louisem - córka będzie mieszkać w Château de Biret, choć włości markiza leżały w pobliżu ich siedziby.

- Nie, mademoiselle, nie chodziło o narodowość ojca. Matka była najstarszą córką markiza des Valentès, a on uważał, że popełniłaby straszliwy mezalians, poślubiając pochodzącego z gminu człowieka interesu... drzewo genealogiczne rodu sięgało XIV wieku. A przede wszystkim jakież miałby pożytek z takiego małżeństwa córki? Jakież marne potomstwo byłoby owocem takiego związku?!

Głos Armanda pełen był sarkazmu i pogardy.

Jacqueline poruszyła się niespokojnie na krześle, wyczuwając, że jego złość jest także skierowana przeciwko niej. Zdawała sobie sprawę, że pod opinią jego dziadka podpisaliby się wszyscy arystokratyczni ojcowie niezamężnych córek- z jej papą włącznie. Miłość... a nawet zwykłe przywiązanie i szacunek były rzadkością w aranżowanych przez rodzinę związkach. Jeśli dwoje młodych ludzi z arystokratycznych rodów pokochało się i pragnęło pobrać, był to jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności. Większość młodych par nie miała takiego szczęścia. Arystokraci uważali za niezwykle ważne utrzymanie ciągłości rodu i czystości błękitnej krwi. Wszyscy to rozumieli, włącznie z bogatym mieszczaństwem, które sarkano na niesprawiedliwość systemu, a równocześnie robiło, co mogło, by wżenić się w jakąś zubożałą arystokratyczną rodzinę dla podniesienia swej pozycji społecznej.

- Kiedy ojciec przybył do markiza, by poprosić o rękę mojej matki, dziadek wpadł w furję. Wyrzucił ojca z domu i zabronił mu podnosić wzrok na jego córkę. Potem zapowiedział matce, że jeśli ośmieli się spotkać z tym parweniuszem, zostanie wyklęta i wydziedziczona.

Zamilkł i spojrzał na Jacqueline tak, jakby potępiał ją za to, że należy do swojego twardogłowego stanu.

-Jak widać, pańska matka nie zlekła się tych gróźb - zauważyła Jacqueline.

-Uciekła z domu tej samej nocy. Pobrali się i niemal natychmiast odpłynęli do Anglii.

-A co z jej ojcem? - spytała ciekawie. - Spełnił swą pogroźkę?

-Doszedł do wniosku, że to małżeństwo długo nie potrwa, i postanowił dać córce jeszcze jedną szansę. Odczekał trzy miesiące, przeświadczony, że matka żyje w nędzy i że zrozumiała już własną omyłkę, po czym napisał do niej, by natychmiast wracała. On załatwił po cichu anulowanie małżeństwa i wszystko zostanie jej wybaczone. Miał nawet upatrzonego męża dla niej: młodego hrabiego, który nie będzie jej wytykał, że nie jest już dziewczicą.

Wzmianka o dziewictwie wprawiła Jacqueline w chwilowe zakłopotanie, nie z nadmiaru skromności, lecz dlatego, że i ona wkrótce miała utracić ów skarb. Zdecydowanie odsunęła od siebie tę myśl i ciekawa dalszego ciągu opowieści o rodzicach Armanda spytała:

- I co zrobiła pańska matka?

Armand poprawił się na krześle i uśmiechnął.

-Odpisała dziadkowi, że ani myśli opuszczać męża i jest szczęśliwa jak nigdy dotąd. A jeśli on nie może się pogodzić z jej małżeństwem, to ona wyrzeka się tytułu i zrywa wszelkie więzi z rodziną des Valentés.

-I co? Pański dziadek zrezygnował z walki?

-Ależ skąd! To była nieugięta bestia! Po kilku tygodniach znów napisał do matki, że jest śmiertelnie chory. Prosił, by wróciła do domu, żeby mógł się z nią pożegnać. Zaznaczył jednak wyraźnie, że ojciec nie może jej towarzyszyć. Ojciec, rzecz jasna, nie chciał jej puścić. Pokłócili się ze sobą i ostatecznie matka wbrew jego woli pojechała do rodzinnego domu, gdzie przekonała się, że papa jest zdrów jak koń. Markiz uwięził ją i pospiesznie starał się unieważnić jej małżeństwo, zamierzając zmusić córkę do poślubienia hrabiego, zanim mój ojciec nabierze podejrzeń i przyjedzie po żonę. Na szczęście ojciec wyruszył do Francji już następnego dnia. Kiedy się zjawiał w zamku, dziadek nie pozwolił mu zobaczyć się z żoną i oznajmił, że jego córka zmieniła zdanie i nie chce go już nigdy w życiu oglądać.

-Uwierzył mu?

-Nie. Wyciągnął pistolet i zapowiedział teściowi, że jeśli natychmiast nie odda mu żony, będzie miał zgrabną dziurkę w piersi. Ale dziadek nie wierzył ani trochę, by ojciec zdobył się na coś takiego, i wybuchnął śmiechem.

Armand przerwał i napił się wody.

- I co? Co było dalej? - nalegała Jacqueline.

Westchnął.

-Niestety, dziadek miał rację. Mój ojciec był wprawdzie rozwścieczonym, zdeterminowanym młodym mężem, ale nie miał zadatków na mordercę. Ponieważ nie mógł wbiec do zamku, wywlec stamtąd matki i uciec z nią, bo cała służba miała zapowiedziane, że musi powstrzymać go od tego, po prostu zatknął pistolet za pas i odszedł.

-Odszedł?! -Jacqueline nie wierzyła własnym uszom. - Po prostu odszedł?

Armand się uśmiechnął.

- Nie zaszedł daleko. Wyprowadził ze stajni ulubionego konia markiza. Potem krzyknął do dziadka, że jeśli nie chce mieć końskiego trupa przed pałacem na trawniku, niech lepiej każe córce wyjść przed dom, zanim doliczy do dziesięciu.

Jacqueline pokiwała głową ze zrozumieniem, uznawszy to posunięcie za bardzo sprytne.

-I co zrobił pana dziadek?

-No cóż... Był wyjątkowo przywiązany do tego konia. A choć nie wierzył ani trochę, że ojciec poważałby się strzelać do niego, nie miał takiej pewności, gdy chodziło o konia. Tymczasem ojciec trzymał pistolet przy końskiej głowie i liczył powoli do dziesięciu. W końcu ze strachu o życie ukochanego konia dziadek ustąpił i pozwolił matce wrócić do męża. Po tej awanturze matka ostatecznie zerwała z rodziną i przysięgła sobie, że jej noga nie postanie więcej na francuskiej ziemi.

Jacqueline spojrzała na niego z niedowierzaniem.

-Chce pan powiedzieć, że markiz, który zwabił córkę do domu, uwięził ją, znalazł dla niej następnego męża, a nawet sam naraził się na utratę życia, odstąpił ją za konia?!

-Chyba wolał go od swej pierworodnej, nieprawda? - zauważył Armand.

-A czy pański ojciec zabiłby tego konia? - spytała z ciekawością.

-Armand spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Ależ skąd! Potem przekomarzał się z matką, że gdyby nie zjawiała się w porę, zabrałby go do Anglii. Mówił, że to było bardzo piękne zwierzę!

Jacqueline wybuchnęła śmiechem. Kaskada srebrzystych dźwięków zdumiała go i uradowała. Po raz pierwszy słyszał jej szczery śmiech. Był tak słodki i melodyjny, że Armand odchylił się do tyłu na krześle i rozkoszował obecnością dziewczyny, która wniosła w jego

dom tyle życia.

Opanowawszy się, Jacqueline wypła potężny łyk wina.

- Widzę, że wywożenie z Francji więźniów to wasza rodzinna tradycja! - powiedziała, obracając kieliszek w palcach.

Znów łyknęła wina, uradowana swobodnym nastrojem, jaki zapanował między nimi. Od dawna nie miała okazji do śmiechu... a teraz było jej tak lekko na sercu, jakby nic w świecie nie miało znaczenia prócz tej pogodnej chwili i radosnego nastroju. Gdy znów podniosła kieliszek do ust, stwierdziła ze zdumieniem, że jest już pusty.

-Jeszcze trochę wina? - zaproponował Armand.

-O tak, proszę! - odparła. Nie powinna tak dużo pić... ale wino było wyborne i dzięki niemu trochę się odprężyła. - Niech mi pan powie - zagadnęła lekkim tonem - w jaki sposób zamierza uwolnić François-Louisa?

Jego spojrzenie znów stało się nieodgadnione.

-Nigdy z nikim nie omawiam swoich planów - oświadczył stanowczo. - To zbyt niebezpieczne, zarówno dla osoby, którą mam ocalić, jak i dla mnie.

-No tak... Oczywiście... -szepnęła Jacqueline.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, potem Armand zagadnął od niechcenia:

- Jaki on jest?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Czemu pan o to pyta?

Wzruszył ramionami.

- Można by to nazwać ciekawością zawodową. Lubię coś wiedzieć o ludziach, których ratuję. Zacznijmy od jego powierzchowności.

-Jest wysoki... - zaczęła.

-Wyższy ode mnie?

Nie wiadomo dlaczego miał nadzieję, że markiz nie jest od niego wyższy. Jakież to głupie!

- Nie jest taki wysoki, jak pan - odpowiedziała i zastanowiła się przez moment. - Ani tak silnie zbudowany... ale to wcale nie znaczy, że brak mu siły! - dodała pośpiesznie, żeby nie pomyślał, iż zaręczyła się z jakimś słabeuszem.

Armand rozważył jej słowa, zanim zadał następne pytanie.

-Jakie ma włosy, ciemne czy jasne?

-Doprawdy... nie jestem pewna - wyjąkała. - Zawsze widywałam go w peruce... Nosi

wyjątkowo piękne peruki - dodała takim tonem, jakby go broniła. - Nie miałam okazji oglądać go bez nich.

Wiadomość, że nigdy nie widziała narzeczonego bez peruki, ogromnie ucieszyła Armanda.

-Ma bardzo ładne oczy - zaczęła znów Jacqueline.

-Jakiego koloru?

- Niebieskie - odparła, tym razem prawie bez wahania.

Była niemal pewna, że miał niebieskie oczy.

- Jasnoniebieskie czy ciemnoniebieskie? - dopytywał się Armand, dostrzegając jej niepewność i ciesząc się nią.

Jacqueline pomyślała chwilę.

-Ciemnoniebieskie. Wyjątkowo intensywny błękit! - oświadczyła z przekonaniem.

-Bardzo w to wątpię - prychnął. - Gdyby były takie wyjątkowe, nie musiałaby się pani zastanawiać!

Spojrzała na niego z urazą.

-Monsieur St. James, poprawia pan mój opis wyglądu narzeczonego, choć go pan nigdy nie widział?

-Przepraszam. - W jego głosie nie było specjalnej skruchy. - Proszę mówić dalej. Co jeszcze może pani o nim powiedzieć?

Jacqueline zastanowiła się przez chwilę, zaskoczona, że tak mało wie o François-Louisie.

-No cóż... W przeciwieństwie do pana kocha piękne stroje...

-Co takiego?!

Spojrzał na nią, marszcząc brwi. Zaczerwieniła się z zakłopotania.

-Chodzi mi o to, że François-Louis lubi stroje barwne i bardzo ozdobne...

-To znak rozpoznawczy francuskiej arystokracji - przerwał jej Armand ironicznie.

-Chyba tak - przyznała Jacqueline. - Choć od wybuchu rewolucji moda się zmieniła. Większość arystokratów nosi teraz stroje mniej rzucające się w oczy... ale François-Louis nie potrafi się obejść bez falbanek i koronek.

-Godna podziwu stałość poglądów - zauważył sucho Armand. - Dziwne - powiedział w zadumie - ale nie zauważyłem takiego strojnisia na sali sądowej. Czyżby ten jeden raz odstąpił od swych zasad i ubrał się skromniej?

- Nie - odparła. - Nie było go na moim procesie.

Spojrzał na nią, nie wierząc własnym uszom.

- Jego przyszłą żonę skazują na ścięcie, a on się nie zjawił? Dlaczego, do wszystkich diabłów?!

Jacqueline westchnęła.

-Z wyjątkiem spraw mody François-Louis jest zawsze rozsądny do przesady! Właśnie dlatego ani razu do mnie nie napisał, kiedy byłam w więzieniu, ani mnie tam nie odwiedził. Z tej samej przyczyny nie zjawił się na procesie. Uznał, że to byłoby zbyt ryzykowne.

-Ach tak? - mruknął Armand. Ten typak coraz mniej mu się podobał! - Nie pospieszył z pomocą, gdy była pani w opresji, ale oczekuje, że pani mu pomoże, gdy sam znalazł się w podobnym położeniu!

-Niczego nie oczekuje! - zaprotestowała Jacqueline. - Zawiadomił mnie tylko, że został uwięziony, a poza tym chciał się ze mną pożegnać. Chyba to całkiem zrozumiałe dla kogoś, kto czeka na egzekucję!

-Doprawdy? - wycedził Armand. -Jakie to wzruszające! Czy pani również wysłała mu list pożegnalny ze swej celi?

-Nie - przyznała.

-Czemu nie?

Jacqueline się zawahała. Nie bardzo wiedziała, czemu tego nie zrobiła. Może miała zbyt wiele spraw na głowie?... Niepokoiła się przecież o brata! I martwiła o siostry. I była wściekła, że rewolucja zniszczyła rodzinę i całe jej życie. Po prostu François-Louis nie należał do osób najbliższych. Nie chciała jednak zdradzić tego Armandowi. Mógłby pomyśleć, że jego życie nie ma dla niej wielkiej wartości, i wycofać się z umowy!

-Nie napisałam, żeby nie ściągać na niego podejrzeń.

-Gdzie jest ten list od niego? - spytał.

-W moim płaszczu... Wzięłam go ze sobą na wypadek, gdyby pan chciał go przeczytać.

-Później. - Przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu. - Proszę mi powiedzieć, mademoiselle: czy to pani upodobała sobie markiza, czy też wybrał go pani ojciec?

-To był wybór mojego ojca - przyznała Jacqueline.

-A pani ten wybór odpowiadał?

Zawahała się na ułamek sekundy.

-Oczywiście!

Pauza była minimalna, ale Armand i tak ją zauważył. Odchylił się na oparcie krzesła i rzucił niby to od niechcienia:

- A zatem pani go kocha?

Jacqueline westchnęła.

-W styczniu tego roku Nicolas Bourdon przyszedł do mego ojca i oświadczył się o moją rękę. Ludwikowi XVI ścięto właśnie głowę, monarchia została obalona, stary porządek przestał istnieć. Nicolas, który od wielu lat był przyjacielem i doradcą finansowym ojca, uznał widocznie, że jest mu teraz równy i ma prawo ubiegać się o jego córkę.

-Ale pani ojciec był odmiennego zdania - wtrącił Armand.

-Tak. Ja również. Nicolas zaprzyjaźnił się z moim ojcem na rok przed rewolucją. Miałam zaledwie piętnaście lat, gdy zaczął nas odwiedzać. Zawsze czułam się dziwnie nieswojo w jego towarzystwie. Właściwie nie wiadomo czemu, gdyż był uprzedzająco grzeczny. Mój ojciec cenił go bardzo ze względu na jego odczytanie i nowoczesne, bardzo śmiałe poglądy na temat wolności, praw człowieka i nowego ładu społecznego. Nicolas znał się też na finansach, a papie zależało na tym, by powiększyć rodzinny majątek, zwłaszcza odkąd zabroniono ściągania czynszu od chłopów, co od wieków było głównym źródłem naszych dochodów. Jak większość arystokratów mój ojciec nie popierał tego dekretu, ale wiedział, że trzeba się pogodzić z nieuchronnym. Martwił się jednak o rodzinny majątek i postanowił zainwestować swoje pieniądze jak najkorzystniej. Nicolas często przychodził do château i udzielał ojcu rad... jako przyjaciel, a nie płatny doradca. Ja jednak widywałam go rzadko, przeważnie podczas posiłków. Zawsze miałam wrażenie, że mnie obserwuje, a czasem wyglądał tak... - wzdrygnęła się -jakby chciał mnie pożreć!

Armand patrzył na nią w milczeniu. Doskonale rozumiał, czemu mężczyzna taki jak Bourdon mógł pożądać jej tak gwałtownie.

- I w końcu postanowił poprosić o pani rękę?

Kiwnęła głową potakująco.

-Pewnie sądził, że już nie musi dłużej czekać. Skończyłam właśnie dziewiętnasty rok życia, a ojciec nie wybrał jeszcze męża dla mnie. Nicolas uznał widać, że doskonale się do tej roli nadaje. Uważał się za przyjaciela rodziny, papa go wyróżniał, a on nie miał nic przeciwko temu, by zamieszkać razem z nami w Château de Lambert.

-A jednak pani ojciec odrzucił jego oświadczenia, gdyż Nicholas nie miał tytułu i pochodził z gminu.

-Po części chodziło o to – przyznała Jacqueline. -Jak większość arystokratów mój ojciec uważał równość wszystkich ludzi za odległy ideał, który uda się zrealizować może za sto lat... tymczasem usiłowano wepchnąć nam tę równość natychmiast do gardła... i do codziennego życia. Wyrzekliśmy się tytułów i herbów, ale nie da się jednym dekretem zniszczyć wielowiekowej tradycji i zmienić głęboko zakorzenionych poglądów. Mój ojciec lubił Nicolasa i cenił jego talenty, lecz nie widział w nim męża odpowiedniego dla mnie. A ja byłam z tego bardzo rada, bo nie znosiłam Nicolasa!

-Jak się zachował Bourdon, gdy dostał kosza?

-Z początku wydawało się, że zniósł to bardzo dobrze. Pozostał doradcą finansowym ojca i nadal nas odwiedzał. Ale jego zuchwałe oświadczenia otworzyły ojcu oczy. Zdał sobie sprawę, że nie jestem już dzieckiem, i kto wiejący inni kandydaci zaczną niebawem ubiegać się o moją rękę. Wobec tego szybko zaręczył mnie z markizem de Biret. François-Louis pochodził z doskonałej rodziny, był dość młody, zdrowy i, co miało dla ojca największe znaczenie, jego majątek znajdował się w pobliżu Château de Lambert, dzięki czemu mogłam i po ślubie często widywać się z rodziną.

-Dobrze się znaliście?

-Nie - zaprzeczyła Jacqueline. - Czasem spotykaliśmy się na różnych balach, ale nie było między nami nic prócz przyjaźni.

Choć Armand mówił sobie, że to nie jego sprawa, musiał zadać jej to pytanie.

- Proszę mi powiedzieć, mademoiselle... - zaczął z lekkim wahaniem. - Jeśli go ocalę i przywiozę do Anglii, czy wyjdzie pani za niego?

To pytanie zupełnie ją zaskoczyło. Prawdę mówiąc, nie zastanawiała się w ogóle nad swym narzeczeństwem. Myślała tylko o tym, by pojechać do Francji i zabić Nicolasa. A ponieważ nie wierzyła, że zdoła potem uciec i wrócić do Anglii, małżeństwo z François-Louisem w ogóle nie wchodziło w grę. Nie chciała jednak, by Armand domyślił się jej zamiarów, bo zrobiłby wszystko, by je udaremnić. Lepiej niech myśli, że planuje nowe życie w Anglii z François-Louisem!

- Ojciec mi go wybrał. Jest Francuzem, katolikiem i ma tytuł markiza. Należy do mojego świata. Bylibyśmy bez wątplenia dobranym małżeństwem. Zresztą, jak mogłabym nie uszanować woli ojca?

Nie było to wyraźne potwierdzenie, ale coś bardzo zbliżonego.

- Istotnie.

Przewidywał, że dostanie taką odpowiedź, a mimo wszystko zabolą go. Czego się spodziewał, do wszystkich diabłów?! I co go to obchodzi, czy Jacqueline wyjdzie w końcu za tego fircyka, czy nie? W tej chwili ważne było tylko to, że tej nocy należała do niego. Wstał nagle z krzesła.

- Chyba już czas, żebyśmy poszli na górę.

Nagła zmiana w jego zachowaniu zaniepokoiła Jacqueline. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Już? - spytała cienkim, pełnym napięcia głosem. – Chciałam się jeszcze napić wina...

Ociągała się, usiłowała odwlec sprawę, by przygotować się do tego, co miało nastąpić.

- Mam wino na górze - powiedział szorstko.

Spostrzegł, że Jacqueline nie ma ochoty iść tam razem z nim, i ogarnął go jeszcze większy wstręt do samego siebie. Żył ponad rok w celibacie, a teraz niemal przemocą wlecze do łóżka przestraszoną, niedoświadczoną dziewczynę! Co się z nim dzieje, u diabła?!

- Może zmieniła pani zdanie, mademoiselle? - spytał otwarcie.

Jeśli dziewczyna się rozmyśliła, nie będzie jej namawiał. Nie palił się do ratowania tego typka. Miałby ryzykować głowę, by przywieźć tę paryską lalę do Anglii? Po co? Żeby Jacqueline mogła go poślubić?! Jej szare oczy były pełne nadziei.

-Jeśli nawet nie pójde z panem, uratuje pan François-Louisa, prawda? - spytała błagalnie.

-Nie - odparł zwięźle, czując się jak ostatni łajdak. - Nie będę go ratował.

Zawahała się. Dawał jej ostatnią szansę wycofania się z umowy. Mogła mu podziękować za obiad, wziąć płaszcz i wyjść. Wszyscy w domu Harringtonów byli przekonani, że odsypia migrenę. Bez trudu wślizgnie się do domu i nikt - prócz stangreta - nigdy się nie dowie, że tutaj była. A jutro obudzi się nietknięta, tak samo jak dziś...

Za to ze świadomością, że nic już nie uratuje François-Louisa, gdyż nie dotrzymała warunków umowy.

Przygryzła wargę, nie wiedząc, co czynić. Może to nie będzie takie straszne?... Wiedziała tylko tyle, że Armand wykorzysta jej ciało dla własnej przyjemności. Przypomniała sobie Nicolasa przypierającego ją brutalnie do ściany celi i się wzdrygnęła. Gdy już będzie po

wszystkim, nigdy więcej czegoś takiego nie zrobi! A ponieważ nie miała zamiaru poślubić François-Louisa przed powrotem do Francji i zabiciem Nicolasa, utrata dziewictwa nie miała dla niej większego znaczenia. Podniosła oczy na Armanda. Twarz miał zupełnie obojętną, jakby go wcale nie obchodziło, jaką podejmie decyzję. Bez względu na to, co sprawiło, że zaproponował jej tę haniebną umowę, nie zrobił tego z niepohamowanej żądz! Bardzo jej to odpowiadało. Może dzięki temu ciężka próba pręcej się zakończy.

Uniosła dumnie głowę i zdołała zapanować nad głosem.

- Chodźmy więc na górę.

Armand wypuścił z płuc powietrze, które dotąd wstrzymywał, i pomógł jej wstać od stołu. Potem podał jej ramię i w milczeniu opuścili salon. Serce waliło mu w piersi, gdy bez pośpiechu wchodzili na pierwsze piętro. Gdy stanęli przed drzwiami sypialni, czuł się niezręczny i nerwowy jak uczeń.

Nie bądź śmieszny! - powiedział sobie twardo. Weź się w garść.

Otworzył drzwi.

Jacqueline weszła do ciepłego pokoju, oświetlonego łagodnym blaskiem dogasającego ognia. Stała pośrodku sypialni z nerwowo zaciśniętymi rękami i rozglądała się po ciemnym, typowo męskim wnętrzu, bez wątpienia urządzonej według gustu Armanda. Na podłodze leżał puszysty perski dywan w kolorze czerwonego wina, ozdobiony zawiłym wzorem. W jednym kącie stała masywna komoda, w drugim biurko, niezarzucone papierzyskami. Oba meble były proste, pozbawione ozdób, o lśniącej powierzchni. Zauważyła kątem oka, że Armand podszedł do kominka i dokładał drewno do ognia. Skierowała wzrok w stronę łóżka. Było z ciemnego, połyskliwego mahoni. Jeszcze nigdzie nie widziała tak wielkiego i szerokiego łóżka. Z trudem przełknęła ślinę.

- Może trochę koniaku?

Oderwała spojrzenie od łóżka i kiwnęła niepewnie głową, przyglądając się, jak Armand napełnia kieliszek bursztynowym płynem.

Nalewał koniak powoli, zastanawiając się, jak uśmierzyć niepokój Jacqueline. Szkoda, że sam nie może się napić! Pospiesznie odsunął od siebie tę myśl i wręczył kieliszek dziewczynie.

Wzięła go do ręki i nie namyślając się, pociągnęła zdrowy łyk. Trunek zapiekł ją w gardle i rozlał błogim ciepłem w piersi. Westchnęła i napiła się znowu w nadziei, że koniak doda jej sił.

- Pomogło? - spytał od niechcienia Armand.

Bez pośpiechu zapalał wszystkie świece w pokoju i zachowywał się tak, jakby mu

się wcale do niej nie spieszyło.

- Tak...

Tuląc kieliszek do piersi, obserwowała krzątającego się po pokoju Armanda. Odwrócony do niej tyłem i zajęty zapalaniem świateł wydawał się znacznie mniej drapieżny i groźny. Nie wiedziała, co uczyni, gdy pokój będzie już jasno oświetlony, postanowiła więc wykorzystać moment wytchnienia, by postawić sprawę jasno.

- Monsieur St. James, jest coś, o czym pan powinien wiedzieć... - zaczęła i zdumiała się, że jej głos jest taki głuchy i pełen napięcia.

Zamilkła w nadziei, że Armand powie coś, co zachęci ją do dalszego mówienia. Nie powiedział nic. Wypiła więc kolejny łyk koniaku i spróbowała raz jeszcze.

- Nigdy dotąd... nie robiłam nic podobnego...

- Wiem.

Kiedy cały pokój był już zalany łagodnym światłem, Armand wrócił do kominka i dorzucił polano do ognia. Widział przestach Jacqueline i wymyślał sobie w duchu od ostatnich. Jedynym doświadczeniem tej dziewczyny był (na szczęście udaremiony) gwałt w więziennej celi. Bóg wie, o jakie zamiary go teraz posądzała! Przysiągł sobie, że tym razem jej doznania będą całkiem odmienne. Ale nie wolno mu jej ponaglać!

Poprawił pogrzebaczem płonące szczapy, które wcale nie potrzebowały takich zabiegów.

Czekała w napięciu, co teraz zrobi. A może to ona powinna coś zrobić?... Nie była pewna. Widać nie zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Przełknęła resztę dumy i wyznała bez ogródek:

- Monsieur St. James, nie mam pojęcia, co robić. Czego by pan chciał?

Był odwrócony do niej plecami i nie mogła dostrzec jego uśmiechu.

- Jacqueline - powiedział cicho i łagodnie - bardzo bym chciał, żebyś mówiła mi po imieniu.

Teraz dopiero odwrócił się do niej. Jego twarz, oświetlona różano-złotym blaskiem ognia, była w tym momencie niewiarygodnie piękna. Wyraziste rysy miały doskonałość marmurowej rzeźby. Włosy lśniły miedzią i złotem. Oczy mu pociemniały, wydawały się teraz szmaragdowe. Płonęło w nich z niezwykłą intensywnością coś, czego dotąd nie spostrzegła: pożądanie, dojmujące jak wściekły głód. To jej tak pożądał! Jego pragnienie było tak silne, że docierało do niej z drugiego końca pokoju, budziło w niej moc osobliwych doznań, mąciło jasność myśli.

- Jacqueline! - wezwał ją półgłosem Armand, bardzo łagodnie. - Chodź do mnie!

Urzeczona aksamitnym brzmieniem jego głosu posłusznie ruszyła ku niemu przez cały pokój i stanęła przed nim, z oczyma utkwionymi w jego oczach. Krew tętniła jej w żyłach. Oczekiwała, że pochwyci ją i przyciągnie z całej siły do siebie albo popchnie na ścianę i zadrze jej spódnicę do pasa, albo zanieśie do łóżka jak cenną zdobycz, pożądane trofeum...

- Chciałbym, żebyś mi zdjęła żakiet - powiedział po prostu.

Spojrzała na niego z najwyższym zdumieniem, całkiem zbita z tropu. Twarz miał spokojną i opanowaną. Poczowała ogromną ulgę. Nie zamierzała kwestionować jego poleceń. Ujęła żakiet za klapy i powoli zsunawszy go z potężnych ramion, pozwoliła, by opadł na ziemię. Uporawszy się z tym, spojrzała na Armanda, czekając na dalsze instrukcje.

- A teraz kamizelkę.

Jej palce posłusznie zajęły się rozpinaniem błyszczących złotych guzików. Gdy wszystkie zostały już odpięte, zręcznie ściągnęła mu kamizelkę, pozwalając i jej spaść na podłogę.

- I koszulę.

Jacqueline zorientowała się, że będzie to wymagało większego wysiłku. Przyjrzała się uważnie chustce pod szyją, zanim pociągnęła za właściwy róg i uradowała się, gdy śnieżnobiałe płótno rozwiązało się bez trudu. Wyjęła zapinki z mankietów i odłożyła je na biurko. Dopiero gdy zaczęła rozpinać koszulę, jej palce zadrżały i stały się mniej zwinne. Guziki ustępowały jeden po drugim i koszula rozchyliła się, ukazując muskularną pierś. Jacqueline powiedziała sobie stanowczo, że to nic takiego: widziała go już obnażonego do pasa tamtej nocy, gdy spali razem nie tylko w jednej izdebce, ale i w jednym łóżku w paryskiej walącej się gospodzie. Szarpnęła energicznie za przód koszuli, by wyciągnąć jej poły, wetknięte w spodnie, a potem odpięła ostatni guzik. Czowała gorąco promieniujące z ciała Armanda. Przyszła jej nagle do głowy dziwna zachcianka, żeby przytknąć palec do mięśni na jego piersi. Kiedy zdała sobie sprawę, że pragnie po prostu go dotykać, pohamowała się.

Armand czuł, że za chwilę straci panowanie nad sobą, które - o dziwo - zdołał zachować do tej pory. Pragnął utulić Jacqueline w ramionach i obsypać pocałunkami, zedrzeć z niej ubranie, dotykać jej i pieścić, aż zapłonie cała, będzie krzyczeć i tracić zmysły z rozkoszy. Najłżejsze muśnięcie jej delikatnych rąk, lekki zapach lśniących włosów, cichy szelest jedwabnej sukni - wszystko to budziło w nim szaleńcze pożądanie. Wiedział jednak, że Jacqueline się boi, i postanowił rozproszyć jej obawy. Nie ponagłając dziewczyny,

pozwalając jej nadawać tempo, czynił ją równoprawną uczestniczką wyprawy w nieznanne. Wierzył, że to osłabi jej strach, a być może rozbudzi w niej namiętność. Miał tylko nadzieję, że zdoła zapanować nad sobą.

- Jacqueline - szepnął chrapliwie - chciałbym, żebyś ściągnęła ze mnie koszulę.

Głos miał wysilony, drżący, jakby był chory. Popatrzyła mu w oczy i się zmieszała. Ujrzała w nich znowu jawne, z trudem powstrzymywane, płomienne pożądanie. Jego ciało było napięte do ostatnich granic, oczy utkwione w niej... a jednak nie sięgał po nią, nie zbliżał się do niej, nie czynił nic, co by ją trwożyło lub przytłaczało.

I nagle zrozumiała. Nie chciał jej wykorzystać dla własnej rozkoszy jak Nicolas. Nie chciał jej zmusić, by mu tę rozkosz dała. Nie chciał jej złamać ani poniżyć. Pragnął czegoś więcej, znacznie więcej!

Chciał, by to ona zapragnęła jego.

- Dlaczego? - spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

Armand spojrzał w jej oczy, szare jak sztormowe chmury nad morzem. Popatrzył na jej wargi, drżące jak płatki maków w ciepłym powiewie wiatru. Zrozumiał, że Jacqueline nie pyta o to, czemu ma ściągnąć koszulę, lecz o to, czemu tak jej pragnie i dlaczego chce, by i ona go zapragnęła. Tego nie było w umowie, to nie było konieczne. A jednak dla niego miało to ogromne znaczenie. Wiedział, że mógłby pochwycić ją w ramiona i sprawić swymi pocałunkami i pieszczotami, by jej ciało wymknęło się spod kontroli rozumu i wszelki opór znikł. Wydarzyło się to już tamtej nocy na balu i Bóg wie, czym by się skończyło, gdyby Laura Harrington nie weszła do pokoju. Ale jemu nie wystarczało już uwiedzenie Jacqueline. Chciał mieć pewność, od samego początku, że jeśli nie ona cała, to przynajmniej jakaś część jej istoty pragnie go równie mocno, jak on pragnął jej.

- Nie wiem - przyznał cicho. - Czy to ważne?

Przyglądała mu się przez chwilę; w jej myślach panował zamęt. Zgodziła się oddać mu swe ciało. Na jedną noc. Ale nie obiecywała, że będzie się tym rozkoszować! Nie była wcale pewna, czy tak się stanie. A jednak coś między nimi się zmieniło, choć nie wiedziała, kiedy i jak do tego doszło. Czuła do niego pociąg. Nie mogła temu zaprzeczyć. Był taki przystojny, pewny siebie, inteligentny! Ocalił jej życie. Zrobił to oczywiście dla pieniędzy, ale i tak wymagało to niemałej odwagi. Pochodził z gminu. Nie był jej godny. Pogardzał ludźmi należącymi do jej stanu i jej światem. Ale bronił jej, gdy była w niebezpieczeństwie i troszczył się o nią, gdy była chora. Zmusił ją do zawarcia tego układu. A może nie zmusił? Nie była już tego pewna. Chciał, by go pragnęła. Dlaczego? Jakie to miało dla niego

znaczenie? Szalała w niej burza uczuć. Jego koszula... Chciał, żeby ściągnęła z niego koszulę. A co więcej, ona sama miała ochotę to zrobić i oprzeć ręce na jego ciepłej skórze... Dalej wolała nie sięgać myślą.

Wyciągnęła drżące dłonie i położyła je na jego potężnej, muskularnej piersi. Był taki ciepły pod dotykiem jej lodowatych palców! Ciepły, gładki i twardy jak stal. Niepewnie powiodła dłońmi po jego piersi, zafascynowana porastającymi ją płowymi włoskami. Jej palce musnęły leciutko sutek, który natychmiast się sprężył. Zaintrygowana, pogłaskała delikatnie drugi i usłyszała, jak Armand wciąga gwałtownie powietrze. Spojrzała na niego z zakłopotaniem i spostrzegła, że wpatruje się w nią, oczy mu błyszczą pożądaniem, wargi ma zaciśnięte... Ośmielona tym, że ma nad nim taką władzę, śmiało złapała za koszulę i ściągnęła mu ją z ramion. Koszula spadła na podłogę, obok żakietu i kamizelki.

Skóra Armanda w blasku ognia była złotobrunatna; wyglądała na przepojoną słonecznym ciepłem i taka właśnie była w dotyku. Jacqueline powiodła palcami po szerokich barkach i potężnej klatce piersiowej, aż do płaskiego brzucha. Poznawała dotykiem twarde mięśnie, przężące się pod aksamitną skórą. Armand stał bez ruchu, pozwalając jej poznawać jego ciało, które wcale nie okazało się straszne, tylko gładkie, potężne i podniecające. Jej dotyk stawał się coraz śmielszy, pewniejszy. Ona także oczekiwała jakiejś zachęty z jego strony, ale Armand zwiesił sztywno ramiona i nie wyciągał ich do niej. W Jacqueline walczyły sprzeczne uczucia: chciała mu okazać, że to nie ona go pragnie, że została do tego zmuszona... a równocześnie marzyła o tym, by z całej siły ją objął. Nie wiedziała, co począć. Spojrzała na niego, wargi jej lekko drżały, w oczach malowała się rozterka.

Armand zapatrzył się w cudowne głębie jej srebrzystych oczu. Widział jej niepewność. Pragnie czegoś więcej, ale nie chce zrobić pierwszego kroku. Zbliżył więc powoli, bardzo powoli usta do jej ust, starając się jej nie spłoszyć i nie stracić panowania nad sobą. Obawiał się, że w chwili, gdy zakosztuje słodyczy jej ust, przygarnie ją do siebie z całej siły i nagle Jacqueline sama zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągając jego głowę do siebie i tuląc smukłe ciało do jego nagiej piersi z taką żarliwością, że nie ulegało wątpliwości, iż czyni to z własnego popędu, a nie z przymusu. Jęknęła cichutko, rozchylając wargi pod naporem jego ust... i Armand postradał do reszty rozum. Nie obchodziło go już nic prócz tego, że ona jest z nim i ofiarowuje mu siebie.

Objął ją, przygarnął mocno i spadł ustami na jej usta. Wtargnął językiem do ich ciepłego wnętrza, a Jacqueline cichutko westchnęła, bezwiednie przężąc się ku niemu. Jej język ocknął się i trochę jeszcze nieporadnie zaczął badać wnętrze jego ust. Zapach jej ciała odurzył go; była to woń cytrusów i róż, równie świeża i lekka jak aromat rozkwitających

sadów. Dotknął ręką miękkiej skóry, przesunął po atlasowym policzku, delikatnym łuku szczęki, rozkosznej muszelce ucha... a potem zanurzył palce w jedwabistej gęstwie jasnych włosów, wytrząsając z nich wszystkie szpilki, które utrzymywały je w karności. Nie były długie, ale cudownie bujne i gęste. Przeczesał je palcami z zachwytem, wspominając chwilę, gdy rozpuściła je w celi, on zaś ściał je z prawdziwym bólem. Ryzykował życie, by ją ocalić, i zrobiłby to raz jeszcze, bez wahania, bo nie mógł znieść myśli, że stałoby się jej coś złego. Była przecież jego! Gdyby nie on, już by nie żyła. Ta myśl obudziła w nim drapieżny instynkt posiadania. Wypuścił z ręki jej włosy i zaczął badać pieścotliwym dotykiem delikatne krągłości jej ciała.

Jacqueline tuliła się do Armanda, dotykała go koniuszkiem języka, pocierała palcem szorstką powierzchnię szczęki, przesuwiała ustami po jego ciele. Rozwiązała aksamitkę i zanurzyła ręce w miedzianych lokach, które opadły mu swobodnie na ramiona; rozkoszowała się tym, że poznaje go w taki sam sposób, jak on ją. Armand jedną ręką pieścił jej pierś przez materiał sukni, drugą objął jej biodra i przyciągnął do swego pobudzonego ciała. Jacqueline nie była przestraszona; instynktownie zaczęła się ocierać o niego. W odpowiedzi na to zuchwalstwo Armand jęknął i zaatakował zapięcie jej sukni, radząc z nim sobie w sposób znamionujący dużą wprawę. Może to powinno było odstraszyć Jacqueline, ale ona pragnęła tylko być jak najbliżej niego, chciała, żeby ją pieścił, by nic ich nie dzieliło. I oto suknia zsunęła się jej z ramion, tasiemki halek zostały rozwiązane, a ona cofnąwszy się nieco, pozwoliła, by Armand zsunął je z niej przez biodra. Opadły z szelestem jedwabiu do jej stóp.

Stała teraz przed nim w białej koszulce i pończochach. Jasna skóra w blasku ognia nabrała brzoskwiniowego zabarwienia, złote loki spływały na ramiona. Zażenowana cienkością bielizny chciała osłonić się ramionami, ale Armand chwycił ją za przeguby, nie dopuszczając do tego.

- O Boże! - szepnął chrapliwie. - Jakaś ty piękna!

Pochylił głowę i znów całował jej usta, pijąc z nich słodycz. Jacqueline drżała lekko, pomyślał więc, że zziębła. Wziął ją na ręce i przytulił do gorącej piersi. Pantofelki spadły na podłogę, gdy niósł ją do łóżka, nie odrywając się od jej ust. Jednym szybkim ruchem ściągnął przykrycie i położył Jacqueline na chłodnej pościeli, a sam, zrzuciwszy trzewiki, legł obok niej i okrył ich oboje.

Osunął się na nią, ogrzewając ją ciepłem swego ciała, i zaczął znów całować, najpierw delikatnie, potem z coraz większą namiętnością. Jego ręka wślizgnęła się pod koszulę Jacqueline i sunęła powoli ku górze, przez jedwabisty płaski brzuch, po kruchych łukach żeber, aż zatrzymała się na wypukłości piersi, chłodnej, pełnej i jędrnej. Pieścił

delikatnie koniuszek piersi, aż się wyprężył, a wówczas, nie mogąc dłużej czekać, oderwał usta od jej ust i objął wargami rozkoszny pączek. Jacqueline jęknęła i wygięła się łukiem ku niemu, potem zaś wczepiła palce w jego włosy, przyciskając go do swej piersi i zachęcając, by ją ssał. Wydała lekki okrzyk rozczarowania, gdy uniósł na chwilę głowę, ale on zajął się drugą pierśią i pieścił ją równie czule. Gdy znów się odsunął, by zsunąć z niej koszulę, nie tylko nie protestowała, lecz pomagała mu gorliwie. Przytulił się do niej mocno, by poczuć dotyk delikatnej skóry na swym gorącym ciele, i zaczął ją gorąco całować. Jego ręka tymczasem powędrowała w dół, by zdjąć jej pończochy. Uda miała aksamitne, nogi długie i silne. Zsunąwszy z nich pończochy, pospiesznie pozbył się spodni, rzucając je na podłogę i położył się tuż obok niej.

Jacqueline sunęła dłońmi po jego napiętej, rozpalonej skórze, zapoznając się z powierzchnią muskularnych pleców, ramion, piersi... nie mogła się tym nacieszyć, chciała wiedzieć wszystko o jego ciele. Odrzuciła głowę do tyłu, by mógł znaczyć zachłannymi pocałunkami jej szyję, ucho, obojczyk... potem zaś przyciągnęła jego głowę, by znów całować go w usta, badając ich wnętrze z nową zuchwałością. Jej ręce błądziły po całym ciele kochanka.

Uświadamiała sobie niejasno, że jego ręka sunie znowu w dół, muskając jej piersi, gładząc brzuch i biodra. Zaskoczyło ją, gdy zatrzymała się na wewnętrznej stronie uda. Jego palce przemykały lekko po wrażliwej skórze, w górę i w dół. Ciało Jacqueline stało się dziwnie ociężałe, z rozkoszą poddawało się pieszczocie. Palce Armanda dotarły wyżej i delikatnie pieściły najtajniejszy zakątek jej ciała. Miejsce to było obolałe z pożądania, spragnione czegoś, o czym Jacqueline nic nie wiedziała. Nim zdążyła zaprotestować, palce wślizgnęły się do wnętrza; poruszały się leniwie, rytmicznie, darząc ją rozkoszą tak cudowną i intensywną, że omal nie postradała zmysłów. Całowała żarliwie Armanda, wijąc się i tuląc do niego. Czuła, jak ogarnia ją płomienne pożądanie.

Jego usta oderwały się od jej ust i wędrowały szlakiem pocałunków przez piersi i brzuch aż do jedwabistego trójkąta, gdzie jego ręka wyczyniała rozkoszne czary. Kiedy poczuła wewnątrz siebie dotknięcie jego języka, krzyknęła bezwiednie.

-Proszę, monsieur St, ...

-Mam na imię Armand - odparł szorstko i stanowczo.

-Błagam cię, Armandzie!... Dłużej tego nie zniosę!

Zawahał się, a potem przesunął się w górę, by znowu całować ją w usta. Pragnął dać jej rozkosz, porwać ją ku gwiazdom i bezpiecznie sprowadzić z powrotem na ziemię. Pragnął napelnić ją takim pożądaniem i dać jej tak cudowne spełnienie, że już na zawsze będzie

należec do niego, choćby nigdy więcej nie tknął jej po tej jednej nocy. Była piękna aż do bólu i bardzo zmysłowa... nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła się powstrzymać. Od tak dawna nie był z kobietą... Powoli! - mówił sobie jednak. Przecież to dziewczyna!

Nakrył ją sobą i całował czule, równocześnie rozchylając kolanem jej nogi. Gdy skłonił ją, by je rozsunęła, zaczął ją delikatnie pieścić. Westchnęła i zamknęła oczy, poddając się od razu jego czułym, badawczym dotknięciom. A gdy już pojękiwała i wiała się pod nim, wilgotna i rozpalona, tak bardzo zapragnął zanurzyć się w niej, że był pewien, iż nie wytrzyma ani chwili dłużej. A jednak wytrzymywał, gdyż za żadne skarby świata nie chciał jej wyrządzić krzywdy. Powoli! - powtarzał sobie, zaciskając zęby. Powoli!

Jacqueline nie mogła pojąć, na co on czeka? Rósł w niej głęboki, rozkoszny ból i wiedziała, że nie pozbędzie się go, dopóki nie poczuje w sobie Armanda. Uniosła biodra, by go do tego zachęcić, i wówczas powoli, ostrożnie wsunął się, by zaraz się wycofać. Powtarzało się to wielokrotnie i za każdym razem wnikał nieco głębiej. W końcu pozostał w niej trochę dłużej, by przywykła do jego obecności.

- Popatrz na mnie, Jacqueline! - szepnął chrapliwie.

Otworzyła oczy, by na niego spojrzeć, i pojęła, że umyślnie się powstrzymuje, bo nie chce sprawić jej bólu. Wzruszona jego troską, nie dbała już o nic i zapragnęła poczuć go w sobie natychmiast. Chwyliła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Dotknęła jego policzka i wyszeptała jego imię.

Dalszej zachęty nie potrzebował. Zatonął w migotliwych jeziorkach jej oczu, pełnych ufności i pożądania, i pojął, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Szepnął: „Jacqueline...” i w jednym ekstatycznym porywie zagłębił się w niej całkowicie.

Poczuł, jak jej ciało zaciska się wokół niego, i pomyślał, że zaraz umrze. Zamknął oczy i trwał w bezruchu, siłą woli zmuszając się do opanowania. A potem uniósł powieki i popatrzył na Jacqueline. Twarz miała ściągniętą i bladą, na rzęsach wisały łzy. Serce mu się ścisnęło na widok jej cierpienia. Nachylił się więc i ucałował jej powieki.

- Uspokój się, kochanie - szepnął łagodnie. - Ból zaraz minie, przysięgam!

Jacqueline, która dotąd wstrzymywała dech, odetchnęła głęboko; napięcie powoli ją opuszczało. I wówczas Armand zaczął poruszać się wewnątrz niej - ostrożnie, powoli, aż buchnęło znów płomieniem pożądania, które ledwie się w niej tliło. Całował ją, najpierw delikatnie, potem gorąco i natarczywie. Oszałamiał ją doznaniem, które były cudowne i straszne zarazem. W gwałtownym przypływie namiętności pragnęła wciąż więcej i więcej.

Całowała go jak szalona, kołysała się w jego rytmie, wciągała go coraz głębiej w siebie. Wiedziała, że daje mu rozkosz. Poznawała to po jego sprężonym ciele, zaciśniętej szczęce, gwałtownych ruchach, gdy wnikał w nią raz za razem. Świadomość, że czerpią tę niezwykłą rozkosz z siebie nawzajem, roznamiętniała ją jeszcze bardziej. Pojękiwała cichutko, płonął w niej coraz silniejszy ogień.

Armand nadal głaskał ją i całował, szepcząc słowa pochwały i zachęty, których nie rozumiała i prawie nie słyszała, tak głośny i chrapliwy stał się jej oddech.

Była napięta do ostatnich granic i skoncentrowana tylko na jednym: pragnęła więcej, wciąż więcej! Niezwykłe doznania następowały po sobie coraz szybciej i szybciej, i jeszcze szybciej... aż wreszcie poczuła, że szybuje przez powietrze na zawrotne wyżyny. Przez cudowną chwilę wszystko było samym światłem i najwyższą rozkoszą. Krzyknęła z zachwytu i ze szczęścia.

Armand przywarł ustami do jej ust i krzyk Jacqueline rozbrzmiewał w nim, gdy wnikał w nią raz za razem, upajając się jej ekstazą. Pragnął zatracić się w niej bez reszty. Chciał zawsze już czuć przy sobie jej jedwabistą rozpaloną skórę, wdychać delikatny zapach jej włosów, pić słodycz z jej ust i wiedzieć, że jest jego na wieki. Pragnął jej do szaleństwa i czuł przeszywający ból, gdyż Jacqueline należała do niego tylko przez tę krótką słodko-gorzka chwilę, a on chciał, by trwało to wiecznie. Utracił kontrolę nad sobą. Wołał jej imię z pożądaniem i z rozpaczą, całował ją namiętnie. A potem wbił się gwałtownie i spłynął w nią żywotnym sokiem, gdy opłotła go ramionami i tuliła do siebie.

Leżeli tak przez chwilę, serca im waliły, oddychali gorączkowo. Jacqueline obejmowała go kurczowo, nie bardzo pojmując, co się im przydarzyło. Nie była przygotowana na tak cudowne przeżycie ani na własną namiętność. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewała!

Armand ocknął się pierwszy. Obawiając się, że zbyt ją przygniata ciężarem, objął ją i przetoczył się wraz z nią na bok. Potem przyciągnął ją bliżej i przytulił, wdychając słodki zapach jej włosów.

Leżąc obok niego i czując tuż przy sobie jego gorące, potężne ciało, Jacqueline poczuła się nagle niezręcznie i niepewnie. Szalały w niej sprzeczne uczucia, niepokojąc ją i mącąc jasność myśli.

- Powinam już wracać - szepnęła z wahaniem.

Jej słowa zniweczyły pogodny spokój Armanda. Chciała odejść? Ale on nie chciał, żeby go opuszczała! Pragnął leżeć tak bez końca, trzymać ją w objęciach i łudzić się, że

należy do niego, zasnąć z uczuciem, że ma jeszcze na tym świecie coś, dla czego warto żyć. Po raz pierwszy od ponad roku marzył, by zasnąć i zamiast przeżywać koszmary, w których jawiły mu się dawne winy, dręcząc go co noc, marzyć o szczęśliwej przyszłości, która go czeka. Przyszłości, niebędącej wyłącznie pokutą za grzechy. Jacqueline mogła sprawić, by z czasem zapomniał o przeszłości. Ale nie mieli czasu. Człowiek, którego pragnęła ocalić, tkwił w więzieniu, trzeba więc będzie wrócić do Francji i ryzykować własną głowę, żeby niejaki François-Louis mógł dotrzeć szczęśliwie do Anglii i poślubić jego Jacqueline!

- Muszę wrócić, nim się służba obudzi - nalegała Jacqueline.

Była onieśmielona, skrzepowana i nie mogła zrozumieć, czemu Armand nie chce jej puścić.

A on przytulił ją jeszcze mocniej i odgarnął jej jedwabisty kosmyk z policzka. Ucieszyło go, że Jacqueline się nie opiera i pozwala mu się dotykać, jakby miał do tego prawo. Bez względu na to, co czeka ich w przyszłości, w tej chwili należała do niego. Nie mógł dopuścić, by ta chwila już się skończyła!

- Odpocznij jeszcze trochę, Jacqueline - przekonywał ją ledwie dosłyszalnym szeptem. - Nie jest tak późno! Dopilnuję, żebyś obudziła się w porę i zdążyła na czas do Harringtonów.

Jacqueline się zawahała. Było jej tak dobrze i ciepło w ramionach Armanda... I miała ochotę się zdrzemnąć. Myśl o podróży w zimnym powozie nie była wcale zachęcająca. I Armand chciał, żeby została... Ogarnęło ją błogie uczucie zadowolenia. Ziewnęła.

- Jesteś pewien, że zdążę na czas? - mruknęła, zamykając oczy i tuląc się instynktownie do niego.

Armand uśmiechnął się i przeciągnął pieszczotliwie palcami po jej atlasowym policzku.

- Na pewno zdążysz!

Obudziło ją lekkie stukanie do drzwi. Była w łóżku sama. Usiadła prosto, starając się przypomnieć sobie, gdzie się znajduje... i ku swemu przerażeniu odkryła, że jest naga! Podciągnęła przykrycie pod szyję i obiegnęła wzrokiem pokój, w którym było ciemno i zimno, szukając czegoś, co by świadczyło o obecności Armanda, ale nic nie znalazła. Stukanie nie ustawało.

- Mademoiselle de Lambert, obudziła się pani? - zawołał cicho po francusku jakiś kobiecy głos.

Drzwi skrzypaneły i otworzyły się powoli, wpuszczając trochę światła z korytarza. Kobieta w średnim wieku, odziana w białą nocną koszulę i szlafrok, stanęła przed nią ze świecznikiem w ręku.

- Monsieur St. James prosił, bym obudziła panią o drugiej w nocy - wyjaśniła przyciszonym głosem, zamykając drzwi. – Powóz już na panią czeka, a ja pomogę przy ubieraniu.

Podeszła do ognia, przegarnęła tłące się węgielki i dołożyła dREW.

Jacqueline, wstając z łóżka, owinęła się pledem, starając się osłonić przed zimnem, które panowało teraz w pokoju. Była wdzięczna Armandowi, że przysłał służącą, by ją obudziła. Oszczędziło im to ambarasującego spotkania. Gdyby wychodząc, natknęła się na niego, doprawdy nie wiedziałyby, co powiedzieć.

- Proszę podejść do ognia. Tam będzie cieplej! - poradziła służąca, zbierając rzeczy Jacqueline z podłogi.

Jacqueline posłusznie podeszła do kominka, na którym płonął już jasno ogień. Zaczekała, aż kobieta poda jej ubranie, po czym odrzuciła pled i zaczęła się ubierać.

- I gotowe! - oznajmiła służąca, zapiawszy ostatnią haftkę. Była niemłoda, miła i macierzyńska. Jej towarzystwo działało na Jacqueline kojąco. - A teraz proszę tu usiąść. Zobaczymy, co się da zrobić z włosami.

Jacqueline usiadła na krześle, a służąca szybko wyszczotkowała jej włosy i upięła w luźny węzeł. W pokoju nie było lustra i Jacqueline nie mogła się przejrzeć, ale ruchy służącej były tak szybkie i fachowe, że uczesanie na pewno było bez zarzutu. Gdyby ktoś ją spostrzegł, nim znajdzie się w swoim pokoju u Harringtonów, z pewnością nie pomyśli: od razu widać, że wraca od kochanka!

- Dziękuję za pomoc! - powiedziała, gdy ostatnia szpilka znalazła się na właściwym miejscu. - Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa?

Niemłoda kobieta się uśmiechnęła.

- Jestem madame Bonnard.

Jacqueline przyjrzała się jej uważniej. Delikatne rysy, życzliwe zielone oczy, wijące się jasne włosy, gdzieniegdzie przyprószone siwizną... W wyglądzie tej kobiety było coś znajomego, choć mogłaby przysiąc, że nigdy dotąd się nie spotkały.

- Chodźmy, mademoiselle - powiedziała madame Bonnard, otwierając drzwi. - Powóz już czeka.

Jacqueline zeszła za nią po schodach do holu. Tutaj przewodniczka zostawiła ją na chwilę i poszła po płaszcz. Jacqueline rozejrzała się niespokojnie dokoła, zastanawiając się,

gdzie może być Armand. Obawiała się spotkania z nim.

Krążyła nerwowo po holu, modląc się, by madame Bonnard wróciła jak najszybciej, a ona mogła odjechać.

I wówczas dostrzegła list.

Koperta była oparta o wąski kryształowy flakon, w którym stała samotna szkarłatna róża. Na kopercie śmiałym, wyrobionym pismem skreślono jej imię. Z pewnością uczyniła to ręka Armanda. Zdumiona, że do niej napisał, zamiast pożegnać się osobiście, wzięła do rąk kremową kopertę i złamała pieczęć.

Jacqueline,

Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by Twój narzeczony dotarł do Ciebie zdrowo i cało.

Gdybym nie wrócił, pamiętaj, że uratowanie Ciebie było jednym z moich największych osiągnięć. Nie zmarnuj go na coś równie bezsensownego jak zemsta.

Armand

Ogarnął ją zimny, mroczny strach, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów. Wyruszył ocalić François-Louisa. Ale jak mógł tak wyjechać w środku nocy? Z pewnością jeszcze tu jest! Podniosła wzrok znad listu, gdyż wróciła madame Bonnard z płaszczem.

-Gdzie jest monsieur St. James? - spytała Jacqueline drżącym nieco głosem.

-Wyjechał, mademoiselle!

-Wyjechał? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Dokąd?

-Miał jakieś sprawy do załatwienia w jednym ze swych majątków na północy - stwierdziła madame Bonnard. - Powiedział, że wróci mniej więcej za dwa tygodnie.

Jacqueline pozwoliła, by sympatyczna służąca otuliła ją płaszczem, ona zaś rozważała wszystkie te wiadomości. List od Armanda nadal zaciskała w ręce.

Gdy madame Bonnard otworzyła frontowe drzwi, Jacqueline poczuła na twarzy lodowaty podmuch. Na podjeździe czekał już stangret Tom. Z jego pomocą wsiadła do powozu. W środku było ciepło, gdyż umieszczono tu rozgrzane cegły, owinięte w koc; Jacqueline miała jednak wrażenie, że przemarzła do szpiku kości.

Powóz ruszył.

W głowie jej się kręciło i dygotała ze strachu, wpatrując się w ciemność za oknem.

Armand był już w drodze do Francji. Spełniła postawiony przez niego warunek, teraz on musiał wywiązać się z umowy.

Rozdział 9

Cały Paryż był okryty całunem białego, puszystego śniegu. Leciutkie, niezliczone płatki zbierały się na szczytach strzelistych wież, na kopułach, na krytych łupkiem dachach, na balkonach, pokrywając wszystko dekoracyjnym zimowym lukrem. Gromadziły się we wnękach między maskaronami na Notre Dame, katedrze wzniesionej w samym sercu miasta. Zbudowana w 1163 roku z rozkazu biskupa Maurice'a de Sully'ego katedra nie była już chrześcijańską świątynią. Na rozkaz rządu republikańskiego, zgodnie z nową polityką dechrystianizacji, ten majestatyczny gmach, odarty z przedmiotów kultu, został przemieniony w Świątynię Rozumu. Ale bez względu na to, kogo lub co w niej czczono, śnieg padał na nią tak samo, jak w ciągu kilkuset poprzednich zim. Zbierał się na szerokich balustradach mostów, spinających łukiem oba brzegi Sekwany. Zasypywał ulice, przykrywając litośnie sterty śmieci i nieczystości - niezbite świadectwo przeludnienia i braku urządzeń sanitarnych. Padał na mieszkańców miasta, którzy krzątali się wokół swoich codziennych spraw, sypiąc bez różnicy na czerwone wełniane czapki, sztywne kapelusze wojskowych, ozdobne czepeczki i gołe głowy. Trafił nawet na plac Rewolucji i polatywał nad trudzącą się do siódmego potu gilotyną, by wreszcie wylądować na przesiąkniętej krwią ziemi. Niektóre płatki topniały natychmiast w kałużach gorącej jeszcze posoki, inne padając na ziemię, tworzyły zaspę o szkarłatnym zabarwieniu od krwawych zewłoków, które jeszcze przed chwilą były żywymi ludźmi, podziwiającymi taniec śniegowych gwiazdeczek na tle szarego jak popiół nieba.

Armand poprawił szorstki kołnierz wełnianego płaszcza i podmuchał na sztywne od mrozu palce. Niby bezmyślnie gapił się na fasadę Palais de Luxembourg, oceniając wielkość okien i ich odległość od ziemi. Jego zachowanie nikogo nie dziwiło. Dla każdego z przechodniów był tylko jednym z wielu strudzonych i zmarzniętych przekupniów, starających się rozpaczliwie zarobić kilka liwrów na sprzedaży butelek taniego wina, cienkusza domowej roboty. Jeśli ktoś nie mógł sobie pozwolić na zakupy u kupca winnego po zawrotnie wysokiej cenie, miał na ulicy szansę zdobycia znacznie tańszego wina, o ile nie zrażało go to, że było kwaśne jak ocet i zawsze bolała po nim głowa.

Od sześciu dni Armand sprzedawał wino w tym właśnie punkcie miasta, nie budząc większej ciekawości niż każdy inny brudny, starszy, zropaczony handlarz uliczny. W tym przebraniu wystawał godzinami na mrozie, dzięki czemu zapoznał się dokładnie (co prawda

tylko od zewnątrz) z więzieniem, w którym przebywał François-Louis, a także - co jeszcze ważniejsze - stał się jednym ze stałych elementów tutejszego krajobrazu.

Palais de Luxembourg został zbudowany przez królową Marię Medycejską, żonę Henryka IV, która po śmierci męża nie chciała dłużej mieszkać w Luwrze. W 1615 roku poleciła więc Salomonowi de Brosse wznieść pałac, który przypominałby jej architekturę włoską, a zwłaszcza florencką, do jakiej przywykła przed przyjazdem do Francji. Tak powstał Pałac Luksemburski, wytworna budowla o wielkich oknach, wzniesiona z nieociosanego kamienia. Składała się z głównego pawilonu, krytego kopułą i otoczonego podwójnym pierścieniem kolumn, oraz dwóch innych pawilonów, połączonych z głównym za pomocą galerii. Pałac został przejęty przez rząd rewolucyjny i przekształcony w więzienie. Ale nawet okropny użytek, jaki zrobiono z tej budowli, nie zdołał zniweczyć jej uroku architektonicznego ani walorów przestronnego, zalanego światłem wnętrza, ani piękna otaczających pałac ogrodów. Luxembourg był powszechnie uważany za najbardziej komfortowe ze wszystkich paryskich więzień. Jego pensjonariusze zaliczali się w ogromnej większości do byłej arystokracji, toteż czuli się swojsko w ozdobnych, złożonych wnętrzach, nawet jeśli trzymano ich tu pod kluczem.

Armanda mimo woli złościło to, że François-Louis przebywa w luksusowym więzieniu, podczas gdy Jacqueline i Antoine'a zesłano do przedsionka piekieł, La Conciergerie. Ogólnie było wiadome, że więzieni w Palais de Luxembourg arystokraci starali się za wszelką cenę zachowywać tak, jakby bawili tam z przydługą wizytą. Wypełniali sobie dni spotkaniami towarzyskimi i grą w karty. Recytowano wiersze, wykonywano utwory muzyczne, plotkowano, a nawet urządzano przedstawienia amatorskie. Choć warunki życia nie były tu zbyt dobre, a od czasu do czasu zabierano kogoś, stawiano przed trybunałem i skracano o głowę, generalnie rzecz biorąc, mieszkańcy Pałacu Luksemburskiego nie musieli wegetować w wiecznym brudzie, w ciągłym lęku przed zarazą, a nade wszystko w nieustannej trwodze - co w większości innych paryskich więzień było chlebem powszednim.

W Luxembourggu przeważnie panował spokój. W początku tygodnia sprowadzano zazwyczaj kilku nowych więźniów, ale poza tym -jak zaobserwował Armand - regularnie odwiedzali więzienie tylko dostawcy żywności, posłańcy z listami i osoby zaopatrujące w przedmioty osobistego użytku zarówno strażników, jak i uwięzionych. Z kilku słów, jakie wymieniali między sobą strzegący obiektu gwardziści, Armand zorientował się, że są znudzeni i zziębnięci. Było mu to bardzo na rękę i zamierzał to wykorzystać w swoich planach. Z rozsądną cierpliwością człowieka, który wie, że nie należy się spieszyć, tylko wypatrywać stosownej chwili, chuchał w dłoń, przytupywał i czekał schyłku dnia, kiedy

zapadnie mrok i zrobi się jeszcze zimniej.

Choć usiłował z tym walczyć, jego myśli wciąż biegły do Jacqueline. Przez cały ubiegły tydzień jawiła mu się często w marzeniach, mimo że starał się skupić uwagę na czekającym go zadaniu. W nocy, gdy sen nie nadchodził, przestawał się wreszcie pilnować i myślał już tylko o niej. Jawiła mu się w przeróżnych wcieleniach: nieugięta więźniarka w podartej sukni, brudny mały ulicznik, niezgrabna chłopka w zaawansowanej ciąży... Na koniec widział ją w roli, do jakiej była stworzona: wspaniała, królewska i wyniosła arystokratka, która nigdy nie uwierzy w to, że wszyscy ludzie są równi. Najczęściej jednak powracał obraz pięknej aż do bólu kobiety, stojącej przy kominku w samej tylko koszuli. Spoglądała na niego z pożądaniem i niepewnością, a blask ognia oblewał różowozłotą luną jej białe ciało.

Pragnął jej tamtej nocy jak nigdy jeszcze nie pragnął żadnej kobiety; siła tego pożądania trwożyła go. Zamierzał ją wziąć jeden jedyny raz, by udowodnić, że jest dla niej więcej niż równym partnerem, i na krótko zapomnieć o własnym bólu i swojej winie. Myślał też, że ugasi w ten sposób pragnienie, które rosło w nim od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Lecz zamiast ugasić, ta noc wzmogła je tysiącrotnie, pozostawiając go pełnym goryczy, niespokojnym i nienasyconym. Wiedział, że Jacqueline przyszła do niego, gdyż takiej ceny zażądał za uratowanie François-Louisa, ale coś mówiło mu, że nie był to jedyny powód. Może podszeptowała to intuicja, a może jedynie męska próżność, ale nie mieściło mu się w głowie, by mogła reagować z tak płomienną namiętnością, gdyby jej choć trochę nie pociągał.

To nie ma znaczenia! - mówił sobie ze zniecierpliwieniem. Jacqueline nie należała do niego i nigdy nie miała należeć. Była zaręczona z kimś innym, jego zaś uważała za gorszego od siebie i wcale się z tym nie kryła. Jej przeświadczenie o własnej wyższości z racji arystokratycznego pochodzenia doprowadzało Armanda do szalu! Zresztą, choćby nawet okazali się równi, w jego życiu nie było miejsca dla kobiety. Częste wyprawy do Francji stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Gdzież tu miejsce na życie prywatne? Co prawda zawsze był ostrożny, ale i tak dobrze wiedział, że to tylko kwestia czasu: szczęście prędzej czy później go opuści. Wiedział o tym od samego początku, kiedy to nieustanne zagrożenie i bliskość śmierci stanowiły dlań największą ponętę.

Sama śmierć nie była mu straszna.

Zdołał ocalić dziesiątki osób, ale jakież to miało znaczenie wobec śmierci tych trzech istot, których nie uratował? Ból i poczucie winy nadal go dręczyły, dzień w dzień rozdzierając mu duszę. Nie był już w stanie tego znieść!... A jednak to znosił i nie ustawał w działaniu,

gdyż żyć w wiecznym pijackim zamroczeniu i zapieć się w końcu na śmierć byłoby aż nazbyt łatwo, on zaś miał już dość tego, co łatwe.

Jakaś krzepka jejmość ze skwaszoną gębą podeszła do niego. Chciała kupić wino, ale cena wydawała się jej wygórowana. Przerwała Armandowi rozmyślenia, zmuszając go do powrotu do chwili obecnej. Po zawziętych i głośnych targach ostatecznie kupiła dwie butelki. Kiedy się oddaliła, Armand doszedł do wniosku, że strzegący bram więzienia gwardziści wystarczająco już znudzili się i przemarli; z pewnością marzą o jakimś urozmaiceniu. Poczł przyspieszone bicie serca, krew szybciej zatętniła mu w żyłach. Najwyższa pora urzeczywistnić plan! Zatarł dłonie, chwycił energicznie za drewniane rączki wózka i potoczył go bez zbytniego pośpiechu po śniegu w stronę głównego wejścia do Palais de Luxembourg.

-Dzień dobry, obywatele! - zawołał nieco piskliwym, skrzeczącym głosem, podchodząc do dwóch młodych gwardzistów, którzy stali przy drzwiach.

-Niewiele dziś utargowałeś, stary, co? - zauważył jeden ze strażników.

Armand zatrzymał wózek i wzruszył ramionami.

-Ano, niewiele - odparł. - To przez ten śnieg. Ludziom w nogi zimno, spieszno im do domu, mało kto się zatrzyma, żeby coś kupić. No i zostałem z prawie nietkniętym towarem i z paskudnym kłopotem na karku. - Odchylił brunatną płachtę, okrywającą butelki.

-A cóż to za kłopot? - spytał drugi z gwardzistów, spoglądając z zainteresowaniem na wino.

Armand przechylił głowę na bok i skrzywił się paskudnie.

- Moja stara - przyznał z irytacją.

Obaj żołnierze parsknęli śmiechem, ukazując szczerbate zęby.

- Dobrze wiem, co cię boli! - oświadczył żartobliwie jeden z nich. - Moja tak zrzędzi, że kiedyś zagada mnie na śmierć! Przynajmniej w grobie będzie miał człowiek trochę spokoju!

I znów się roześmiał.

Armand zawtórował mu i aż się zwinął w ataku kaszlu. Wyglądało na to, że zaraz się udusi. W końcu jednak odpluł flegmę na śnieg i spojrzał na swoich rozmówców, potrząsając głową z wyraźnym żalem.

- Stary już jestem, obywatele. Włóczę się po ulicach od świtu i przemarzłem na kość. Ale jakbym wrócił teraz do domu z całym tym winem, moja stara tak by rozdarła jadaczkę, że słyhać by ją było w całym Paryżu do białego rana! - Sięgnął do wózka i wyciągnął jedną z

butelek. - Chybabym tego, psiakrew, nie wytrzymał! I dlatego mam do was pokorną petycję. Jak wam przypadnie do gustu, to coś mi się widzi, że wieczór okaże się dla nas wszystkich bardziej udany niż dzień!

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

-Co to za propozycja? - spytał jeden z nich.

-Już prawie pora obiadu dla więźniów, no nie? - zagadnął Armand, podnosząc butelkę do ust i wyciągając korek zębami.

-A jakże - przytaknął gwardzista. - I co z tego?

-Może tych paru darmozjadów kupiłoby sobie butelczynę do obiadu albo do poduszki? - podsunął od niechcienia, podając wino bliżej stojącemu strażnikowi. - Gdybyście mi pozwolili wejść i pohandlować z nimi, za każdą sprzedaną butelkę jedną dałbym za darmo wam, gwardzistom. Wróciłbym do domu z ciężką sakiewką i z lekkim wózkiem, a moja stara nie miałaby na co utyskiwać. No, spróbujcie! - namawiał strażnika trzymającego wino. - Mojej roboty! Całkiem co innego niż te szczyzny, co to inni dzisiaj ludziom wtykają!

Gwardzista podniósł butelkę do warg i odchylił głowę do tyłu. Pił, aż wino pociekło mu po brodzie czerwonymi strużkami. Otarł ją brudnym rękawem i podał butelkę koledze.

- No i co? - dopytywał się Armand. -Jak się wam widzi?

-Dobre - przyznał gwardzista.

Armand z dumą pokiwał głową.

-A nie mówiłem?

- Takie dobre, że będziesz nam musiał dać za jedną sprzedaną butelkę aż dwie! - zakończył sprawę gwardzista.

Uśmiech Armanda zgasł.

- Obywatele! Nie mogę wam tyle oddać! - zaprotestował. - Nic bym na tym nie zarobił!

- Możesz policzyć więźniom drożej.

Strażnik obojętnie wzruszył ramionami.

-Nie tacy oni głupi! - tłumaczył Armand. -Wiedzą, ile się należy za butelkę. Jak cena będzie za wysoka, nic nie kupią!

-No to nie zdzieraj za dużo - burknął niecierpliwie gwardzista. - Dwie, powiedziałem, albo zmiataj stąd!

Armand udawał, że zastanawia się głęboko. W końcu załamał ręce.

- Niech będzie. Dwie butelki dla was za każdą sprzedaną więźniom.

- I dobrze! - mruknął strażnik z satysfakcją. - Muszę to jeszcze obgadać z obywatelem Benoit. To naczelnik więzienia. Dawaj swoje papiery i zaczekaj tu, stary!

Armand sięgnął do kieszeni płaszcza i przedstawił sfałszowane dokumenty na nazwisko obywatela Laurent, paryskiego winiarza. Gwardzista zabrał papiery i zniknął za wielkimi drzwiami, każąc Armandowi czekać na zimnie. Minęło piętnaście minut, które spędził na niezbyt ożywionej rozmowie z drugim strażnikiem. Już myślał, że nie udało się przekonać naczelnika więzienia i że trzeba będzie zastosować drugi wariant planu, gdy gwardzista wrócił z triumfalnym uśmiechem.

-W porządku, obywatelu Laurent! - oświadczył, zwracając mu papiery. - Żeby wam pomóc w sprzedaży, ogłosiliśmy więźniom, że nasz zapas wina się wyczerpał i każdy, kto chce się napić do obiadu, musi je kupić od was. Tylko nie sprzedajcie z rozędu tego, które się należy nam! - ostrzegł.

-Dziękuję, obywatelu! - wychrypiął Armand i zagarnął naręcze butelek.

Gwardzista wpuścił go do środka, gdzie inny żołnierz czekał już, by go zaprowadzić do więźniów. Z butelkami przyciśniętymi do piersi Armand przeszedł przez wielką sień, w duchu uśmiechając się z triumfem. Na razie wszystko szło jak po maśle!

Zaprowadzono go do dawnego salonu, który pełnił teraz funkcję sali ogólnej dla więźniów. Widok, jaki roztoczył się przed Armandem, był tak nieprawdopodobny, że na chwilę zwątpił, czy naprawdę znajduje się w więzieniu. Pełno tu było ludzi, mężczyzn i kobiet o pańskiej postawie, ubranych w eleganckie stroje. Na głowach mieli fryzowane peruki lub wymyślne uczesania. Wyglądali jak goście podczas przyjęcia i wszyscy doskonale się bawili. Niczego takiego nie widział w żadnym z pozostałych więzień, które dotąd odwiedził! I znów poczuł przyływ irytacji. Jacqueline i Antoine'a wpakowano do wilgotnej, cuchnącej, pełnej szczurów nory, w której biedny chłopak zmarł... a François-Louis trafił do ekskluzywnego klubu dla arystokratów!

Patrząc uważniej, zobaczyłby, że paradne suknie dam były wymięte i poplamione, a kosztowne męskie koszule i fraczki straciły fason i świeżość. Koafiury tylko na pierwszy rzut oka wyglądały imponująco; łatwo było dostrzec, że peruki nie zostały fachowo uczesane ani ufryzowane, włosy zaś są przetłuszczzone i brudne. W pokoju co prawda nie unosił się więzienny fetor, ale czuć było ciężki, kwaśny zapach stłoczonych, nie dość starannie wymytych ciał i od dawna niezmiętej bielizny.

Więźniowie wydawali się jednak w znakomitych humorach, jakby nie uświadamiali

sobie tego, że pozbawiono ich wolności, a ich życie zależy od kaprysu republikańskiego rządu.

W jednym kącie zebrała się grupka kobiet, roześmianych i gawędzących pogodnie nad haftem; w drugim końcu pokoju grupa mężczyzn - zapewne wyższych oficerów - wspominała głośno swe dawne przewagi. Przy jednym ze stołów grano z zapalem w karty, przy innym pisano listy. Perlisty kobiecy śmiech dolatywał od strony okna, gdzie grono uroczych młodych dam otaczało młodzieńca siedzącego w niedbałej pozie na parapecie okiennym. Bawił panie sprośnymi wierszykami i fragmentami niestosownych piosenek, one zaś były zachwycone; udawały święte oburzenie i zanosły się od śmiechu.

Całe zgromadzenie wydawało się aż nazbyt hałaśliwe i rozbrykane... a jednak była w tym śmiechu i gwarze jakaś nuta rozpacz, jakby każdy z nich silił się na wesołość.

Wszyscy używali dawnych tytułów i co chwila słychać było: „Wasza książęca moc...”, „Pani hrabino...”, „Książę pan pozwoli...” czy „Droga markizo...”.

Elitarne społeczeństwo, które tu stworzyli, stanowiło ich sposób walki z wrogiem. Nie byli bandą szczęśliwych głupców. Doskonale wiedzieli, gdzie są i co ich czeka. Ale stosując się ściśle do przepisów etykiety, której uczono ich od kolebki, okazywali otwarcie, że nie zniżą się do poziomu swych pogromców. Z pewnością bali się o siebie i swoich najbliższych, ale zdołali zachować poczucie własnej godności. Być może dzięki temu pozostali przy zdrowych zmysłach, choć świat wokół nich oszalał. Armand zastanawiał się, jak sam by się zachował na ich miejscu. Chyba nie umiałby znosić swego losu z taką dobrą miną i z takim wdziękiem!

- Słuchajcie no wszyscy! - ryknął gwardzista, który wprowadził go do pokoju.

Zapadła cisza. Całe zgromadzenie zwróciło oczy na mówiącego.

- Jak wiecie, nie mamy dziś do kolacji wina. Ale ten oto zacny obywatel zgodził się sprzedać wam trochę swojego. Kto chce kupić, niech wystąpi!

W pokoju znów podniósł się gwar, zaskrzypiały odsuwane krzesła. Więźniowie zbiegli się, by skorzystać z niespodziewanej okazji. Armand otoczył rój mężczyzn i kobiet, którzy, nie pytając o cenę, wtykali mu pieniądze i wyciągali ręce po butelki. Błyskawicznie rozeszły się te, które zabrał ze sobą. Musiał jeszcze dwukrotnie wracać do wózka. Nie zapomniał jednak o części należnej gwardzistom.

- Smacznego, obywatelu (albo obywatelko) - powtarzał chrapliwie, biorąc pieniądze i wręczając kolejną butelkę.

Przyglądał się baczniej, ilekroć klientem był młody mężczyzna, usiłując odgadnąć,

czy nie jest to François-Louis. Niewiele o nim wiedział poza tym, że jest wysoki, ma niebieskie oczy i lubi się stroić. Ta ostatnia informacja nie na wiele się zdała, gdyż wszyscy przebrali się do obiadu w najbardziej kolorowe i ozdobne stroje. Mógł więc tylko eliminować zbyt starych, za niskich oraz takich, którzy mieli oczy innej barwy. I oczywiście tych - bardzo nielicznych - którzy nie nosili peruk. Ale sprzedał już wino niemal każdemu i zaczął się poważnie obawiać, że markiza de Biret tu nie ma. Jeśli przeniesiono go do innego więzienia, odnalezienie go - biorąc pod uwagę bałagan w więziennych rejestrach - mogło potrwać całe tygodnie! A jeśli okaże się, że już został stracony...

- Powiedźcie, zacyzny obywatelu, czy wasze wino jest naprawdę warte tej ceny? - spytał wesoło jakiś głos, przerywając jego rozmyślenia. - Ta oto dama i ja pragniemy coś uczcić i mamy ochotę na zacyne wino!

Młody człowiek, który zabawiał grono dam wierszykami i piosenkami, podszedł do niego w towarzystwie ładniutkiej, ciemnowłosej dziewczyny uczepionej jego ramienia. Armand prawie nie zwrócił na nią uwagi, skoncentrował się wyłącznie na jej towarzyszu. Oczy niebieskie... co prawda do „wyjątkowo intensywnego błękitu” wiele im brakowało... ale jednak niebieskie. No i był wysoki. Nie tak wysoki jak Armand, jeśli nie garbił się zgodnie z rolą, ale zdecydowanie wyższy od współwięźniów. Miał srebrzystą perukę, starannie uczesaną i upudrowaną. Najbardziej jednak uderzył Armanda nieskazitelny stan jego garderoby: eleganckiego fraka ze szmaragdowego atłasu, bez jednej zmarszczki, bez najmniejszej plamki i śnieżnobiałej koszuli, jakby prosto od praczki, z koronkowym żabotem i koronkowymi mankietami, i obcisłych, krótkich spodni musztardowej barwy oraz jedwabnych pończoch w szmaragdowe i białe pasy. Istotnie, lubił stroje „barwne i eleganckie”, jak to określiła Jacqueline.

- Wino jest dobre - powiedział Armand, niemal pewny, że znalazł tego, kogo szukał. - A jak chcecie coś uczcić, szkoda by było nie wypić szklaneczki albo i dwóch, zwłaszcza w taką noc jak ta.

Strojnis zwrócił się do dziewczyny, uczepionej jego ramienia.

- Jak myślisz, moja śliczna Lucile? Kupimy butelkę i wypijemy na podziękowanie bogom, którzy dali nam spędzić razem kolejny dzień? - rzucił jej przeciągłe, intymne spojrzenie i dodał żartobliwym szeptem: - ...a może i noc?

Dziewczyna uroczo się zarumieniła i spojrzała na niego z widocznym uwielbieniem.

- Och, François-Louis! Nie powinienes mówić takich okropnych rzeczy przy ludziach! - ofuknęła go, udając święte oburzenie.

Dziewczyna zwróciła się do swego towarzysza po imieniu i Armand ledwie zdołał ukryć gwałtowne emocje. Najpierw ogarnęło go zwykle zadowolenie: znalazł przedmiot swych poszukiwań i mógł dalej działać zgodnie z planem. A potem odezwała się chyba zazdrość, dotąd całkiem mu nieznaną. Oto stał przed nim mężczyzna, którego Jacqueline miała poślubić. Razem zbudują sobie nowe życie, razem będą spędzać noce, razem spłodzią dzieci.

François-Louis niewątpliwie podobał się kobietom. Był całkiem przystojny. Zabawny. Czarujący. I bez wątpienia sypiał z dziewczyną, która tak zaborczo wczepiła się w ałłasowy rękaw szmaragdowego fraka. Trudno było wyobrazić sobie romans w więzieniu... ale zapewne strażników wszędzie można przekupić. Armand czuł, że nie ma prawa potępiać François-Louisa za cielesne grzeszki z atrakcyjną kobietą. On sam grzeszył niegdyś bardziej od markiza, ulegając pijaństwu i rozpuście. Kiedy jednak przypomniał mu się namiętny list do Jacqueline, w którym de Biret ubolewał nad ich bolesną rozłąką, żalił się na straszliwe więzienne katusze i wyraźnie błagał narzeczoną, by postarała się go uwolnić, ogarnęło go takie obrzydzenie wobec dwulicowości Francuza, że miał ochotę zostawić hipokrytę własnemu losowi.

- Znakomicie, obywatelu! Dajcie nam zatem butelkę tego przedniego trunku - wykrzyknął z entuzjazmem markiz i sięgnął po sakiewkę.

Armand wybrał tę, którą odłożył specjalnie dla François-Louisa.

-Macie, obywatelu - powiedział, wręczając ją markizowi i odbierając zapłatę. - Smacznego!

-Dzięki, zacny obywatelu - odparł François-Louis. - Z pewnością będzie nam smakowało!

Odwrócił się i odszedł z butelką pod pachą i dziewczyną uczeploną jego ramienia, na poprzednie miejsce pod oknem.

Pozostało już tylko kilku amatorów wina. Prawie każdy z więźniów kupił od Armanda butelkę, a ci, którzy nie kupili, z pewnością także się nim uraczą. Gdy nic już nie zostało do sprzedania, gwardzista odprowadził go do drzwi, za którymi czekał wózek.

-Jak poszło? - zagadnął jeden z pilnujących wejścia gwardzistów.

-Tym razem moja stara nie będzie się miała na co uskarżać! - wychrypiął Armand z satysfakcją. -A teraz, dobrzy obywatele, wasza zapłata!

Podniósł płachtę osłaniającą butelki i odliczył ich tyle, ile należało się gwardzistom, podając jedną po drugiej, aż została tylko ostatnia.

- A to dodatkowy prezent dla ciebie, mój dobroczyńco - powiedział, wręczając butelkę strażnikowi, który obgadał sprawę z naczelnikiem więzienia i uzyskał pozwolenie na handel w Pałacu Luksemburskim. - Nieprędko zapomnę o życzliwości dla marznącego na zimnie starucha!

-Opłaca się ubić z wami interes, obywatelu Laurent - odparł gwardzista. - Kto wie, może się jeszcze spotkamy!

-Życzę zdrowia, obywatelu! - odrzekł Armand.

Zatarł dłonie, zanim znów ujął rączki wózka. Oddalił się powoli, brnąc po świeżym śniegu, aż wreszcie zniknął w ciemności. Słyszał za sobą coraz dalsze śmiechy i gwar wesołych głosów; strażnicy opowiadali wesoło, jak to się im dziś poszczęściło. Potem zapadła cisza. Zabrali się do picia.

Na razie wszystko idzie dobrze! - pomyślał z zadowoleniem.

Była już prawie trzecia nad ranem, gdy wrócił pod Palais de Luxembourg. Śnieg przestał wreszcie padać i niebo wyglądało jak czarna aksamitna peleryna, nabijana brylantami. Od cienkiego sierpa księżyca padała na miasto mdła poświata; błyszcząły jednak zamrożone kryształki śniegu i było jaśniej, niżby Armand sobie życzył. Gdyby nie to, noc idealnie nadawałaby się na ucieczkę.

Stary obywatel Laurent przepadł bez śladu. Tej nocy Armand postanowił znów przywdziać strój gwardzisty. (W torbie miał drugi mundur dla markiza). Na wszelki wypadek, by nikt nie mógł podać dokładnego rysopisu, przemaalował sobie włosy na czarno, przybrudził twarz i pozostawił szerniałe zęby Laurenta, wzmacniając efekt szczerbą na samym przodzie.

W Pałacu Luksemburskim panowały niemal egipskie ciemności. To dobry znak. W ostatnim tygodniu odwiedził to miejsce kilkakrotnie o tej właśnie porze i zwykle widział płomyki świec płonących na korytarzach, gdzie pełniono wartę. Sam fakt, że pozwolono im wygasnąć, dobrze wróżył jego wyprawie.

Zbliżał się do pałacu bez pośpiechu, kryjąc się za drzewami i rzeźbami ogrodowymi. Choć miał niemal pewność, że do tej pory gwardziści przy drzwiach wejściowych są już pijani, postanowił skorzystać z wejścia dla dostawców. Na pewno co najmniej jedno z tylnych drzwi zostały otwarte. Im mniej strażników napotka po drodze, śpiących czy nie, tym lepiej. Dotarłszy do głównego budynku, przemknął się wzdłuż muru na tyły. Natrafił na jakieś drzwi i nasłuchiwał przez chwilę, zanim spróbował je otworzyć. Zamknięte. Przesunął się do następnych. To samo. Niezrażony próbował dalej, aż wreszcie któreś ustąpiły z lekkim

skrzygnięciem. Otworzył je po cichu, czujny na każdy szelest i obiegił wzrokiem słabo oświetloną kuchnię. Dwóch gwardzistów zważyło się na blat wielkiego dębowego stołu, trzeci spał wygodnie rozciągnięty na podłodze. Poskutkowało! Gwardziści i dozorczy więzienni upili się winem, które im ofiarował, było porządnie zakropione laudanum. W zależności od tego, ile kto wypił, będą spać do rana albo znacznie dłużej. Ponieważ także więźniowie - z wyjątkiem François-Louisa - dostali wino z laudanum, w Palais de Luxembourg powinna panować martwa cisza długo po tym, jak on i markiz de Biret umkną.

Pospiesznie wyszedł z kuchni na korytarz. Stojący na warcie gwardzista spał ze zwieszoną głową, oparty o ścianę i głośno chrapał. Armand obszedł go z daleka i ruszył w kierunku schodów. Kilka świec w ściennych kinkietach jeszcze się paliło i ta odrobina światła ułatwiała mu wędrówkę. Na piętrze znalazł następnego strażnika, smacznie śpiącego na podłodze. Przeszedł koło niego na palcach i pomaszerował na koniec korytarza, gdzie zaczął otwierać wszystkie drzwi po kolei.

W pierwszym pokoju spało dziesięć kobiet, skulonych na prostych łóżkach pod cienkimi kocami, maleńka częśćka paryskich więźniarek, przeważnie fałszywie oskarżonych lub zadenuncjowanych na podstawie donosu, listu albo ze względu na więzi łączące je z kimś, kto został uznany za wroga rewolucji. Rozłączone brutalnie z rodziną więźniarki z Luxembourgga codziennie z najwyższym wysiłkiem zdobywały się na dobry humor i przyjmowały swą sytuację oraz wiszącą nad nimi śmierć ze spokojem i wdziękiem, jakiego zawsze od nich oczekiwano. Armand spoglądał na śpiące postacie, czując bezsilny gniew. Pragnął ocalić je wszystkie, ułatwić im ucieczkę z kraju, który swe nowe ideały sprowadził do tak odrażającej postaci. Uratował już dziesiątki mężczyzn i kobiet, ale czym to było w porównaniu z tysiącami tych, którym nie był w stanie pomóc?... Teraz też mógł wybawić tylko jednego z wielu. Robił to dla Jacqueline. Powtarzał to sobie w duchu, gdy zamykał drzwi do pokoju więźniarek.

Po cichu wślizgnął się do następnego pomieszczenia. Tym razem znalazł w nim dziesięciu mężczyzn. Poruszając się w ciemności bezszelestnie, ze zręcznością kota, przechodził od łóżka do łóżka, usiłując w mdłym świetle dogasających świec stwierdzić, czy któryś ze śpiących jest François-Louisem. Nie było to łatwe, gdyż niektórzy spali z zakrytą głową lub wtuleni w poduszkę. Trzeba było czekać, aż się odwrócą lub ostrożnie zsuwać z nich okrycie. Przyjrawszy się czterem, z których żaden nie był markizem de Biret, Armand podszedł do kolejnego łóżka.

- Kogo szukacie, obywatelu? - rozległ się szept z przeciwległego końca pokoju.

Armand odwrócił się błyskawicznie i ujrzał, że jeden z więźniów siedzi na łóżku i

przygląda mu się bacznie. Nie odpowiadając, ruszył spiesznie ku niemu, by przekonać się, czy to François-Louis. Koloru oczu nie dostrzegł po ciemku, ale reszta się zgadzała. Z jednym wyjątkiem.

Markiz był niemal całkiem łysy.

Armand wiedział, że przyjemność, jaką w tej chwili odczuwał, jest małosłowna i niegodna, ale ucieszył się i już. Nic dziwnego, że narzeczony Jacqueline stale chodził w peruce! Pewnie by w niej spał, gdyby mógł. Ciekawe, czy zostawia ją na głowie, idąc do łóżka z kobietą? Przecież peruka może spaść w najbardziej nieodpowiedniej chwili... Ależ rozczarowana byłaby wybranka markiza!

To niewiarygodne, ale tylko takie myśli przelatowały mu przez głowę, gdy patrzył na człowieka, którego uratowanie mogło go kosztować życie.

François-Louis także przyglądał mu się ciekawie.

-Nie widziałem was tu wcześniej, obywatelu... Kim jesteście? Armand zignorował to pytanie i rzucił mu torbę z mundurem.

-Wkładaj! - rozkazał szorstko. - Zbieramy się stąd!

W bladych oczach François-Louisa błysnęło zrozumienie.

- Mój Boże! - szepnął, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. - Czarny Książę!

-Przykro mi, ale nie - odparł niecierpliwie Armand. -Ale i ja ci wystarczę. Ubieraj się!

-Czy to Jacqueline cię przysłała? - dopytywał się François-Louis, odrzucając koc i pośpiesznie wkładając przyniesiony przez Armanda mundur. - Czy to ty pomogłeś jej w ucieczce?

Armandowi nie podobało się to wypytywanie, zwłaszcza że nie opuścili jeszcze więzienia.

-Dość tych pytań, panie markizie. I pospiesz się!

-Dobrze już, dobrze... - bąkał François-Louis, mocując się z guzikami wojskowej kurtki.

Schylił się i wyciągnął schowaną pod łóżkiem perukę.

-Bez peruki! - oświadczył stanowczo Armand. - Za bardzo wpadałaby w oko. W twoim rysopisie na pewno o niej nie zapomnieli!

-Aleja muszę mieć perukę! - zaprotestował z oburzeniem François-Louis. - Nie ruszę się bez niej!

Kłótnia o takie głupstwo byłaby szczytem głupoty, toteż Armand ustąpił.

- Niech ci będzie. Włóż ją do torby i chodźmy!

Poruszając się zwinnie i cicho, wyprowadził François-Louisa z pokoju na słabo oświetlony korytarz. Markiz skamieniał na widok gwardzisty leżącego na podłodze.

- Nie bój się - uspokoił go Armand. - Z pewnością się nie obudzi, byłeś szedł po cichu.

Wyminął żywego nieboszczyka, a François-Louis poszedł za jego przykładem.

-Co mu się stało? - spytał z zainteresowaniem.

-Pewnie za dużo wypił - odparł Armand, wzruszając ramionami i ruszył po schodach na dół.

Przeszli przez parter, omijając jeszcze dwóch uśpionych gwardzistów. Armand kierował się do kuchni, by wyjść tymi samymi drzwiami, którymi wszedł.

- Dokumenty masz w kieszeni kurtki - powiedział do François-Louisa, idąc spieszenie w tamtą stronę. - Jeśli nas ktoś zatrzyma na ulicy, pamiętaj, że się nazywasz obywatel Claude Roucher. Pochodzisz z Reims, a w Gwardii Narodowej służysz od dwóch miesięcy. Ja jestem obywatel Michel Belanger. Byliśmy u kompana na małej popijawie. Będę gadał za nas obu, ale gdybyś musiał coś powiedzieć, mów jak najmniej i prostymi słowami!

-Dobrze - odparł François-Louis. - Rozumiem.

Armand zaprowadził go do kuchni na tyłach i dopilnował, by markiz nie potknął się o leżącego na podłodze strażnika. Ci z głowami opartymi o stół chrapali głośno i ani drgnęli. Muszę jeszcze kiedyś wykorzystać tę sztuczkę z winem, pomyślał Armand z satysfakcją. Podziałało fantastycznie!

Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Poczul na twarzy podmuch zimnego powietrza i wyszedł w mroźną noc. François-Louis deptał mu po piętach.

- No, no! - ozwał się szyderczo jakiś cichy głos, dobiegający z lodowatych ciemności. - Kogo my tu mamy?

Armand zawahał się przez chwilę. Krew w nim zakipiała. Zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Nie mógł dostrzec człowieka, który ich najwyraźniej przyłapał na gorącym uczynku. Postanowił nie strzelać, zanim się nie przekona, czy jest to strzegący więzienia gwardzista, czy jakiś ciekawski przechodzień. Zawsze lepiej wyłgać się z podobnej sytuacji niż łapać za broń. Przybierając ton zniecierpliwionego zwierzchnika, wbił wzrok w ciemność i warknął:

-Kto tam się płacze? Zabierać się stąd, no już!

-Znakomicie! - mruknął ten sam głos z ironią. - Gdybym był przechodniem, wziąłbym cię za kapitana gwardii. Masz pecha, że nie jestem taki głupi!

Tuzin zbrojnych gwardzistów wyłoniło się spod drzew, spoza posągów i zza drzwi. Otoczyli uciekinierów, uniemożliwiając im ucieczkę. Armand przyjrzał się uważnie twarzom żołnierzy i poznał dwóch, którzy pilnowali rano frontowych drzwi. To z nimi dobił targu.

Zasadzka!

Wszystko było ukartowaną z góry pułapką, a on wpakował się w nią jak ostatni dureń! Przeklinał w duchu własną głupotę.

Mężczyzna, który do niego przemawiał, wynurzył się z cienia i wszedł w krąg gwardzistów. Błada poświata księżyca oświetliła jego twarz, pełną nienawiści.

Armand zacisnął zęby i odpowiedział mu obojętnym spojrzeniem, nie zdradzając niczym, że go rozpoznał. Myślał jednak o Jacqueline i o tym, jak łatwo byłoby teraz spełnić jej najgorętsze życzenie i zabić tego człowieka. Zemsta zostałaby dokonana, a ona mogłaby już żyć w spokoju.

Mężczyzną, który zastawił pułapkę, był bowiem nie kto inny jak Nicolas Bourdon.

- Miło mi znów cię widzieć - zauważył ironicznie Bourdon, wpatrując się w Armanda przymrużonymi oczyma.

Armand spojrział na niego pustym wzrokiem. Nie miał pojęcia, ile Nicolas naprawdę wie, a co tylko podejrzewa. Im mniej mu powie, tym lepiej. Uniósł brwi w grymasie zdumienia i odezwał się uprzejmie:

- Bardzo przepraszam, ale sobie nie przypominam... Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali, obywatelu?

Nicolas bez słowa dał znak gwardzistom, by go rozbroili. Widząc, że nie ma sensu walczyć, bo wszystkich nie pokona, Armand spokojnie oddał gwardziście pistolet i nie protestował, gdy go zrewidowano i odebrano także drugi, schowany za pasem z tyłu, oraz nóż ukryty w bucie.

Gdy był już bezbronny, Nicolas podszedł do niego i się uśmiechnął. Potem uderzył Armanda pięścią prosto w twarz z taką siłą, że głowa odskoczyła mu do tyłu.

Potrząsnął nią, by nieco oprzytomnieć i poruszył zuchwą, żeby sprawdzić, czy nie jest złamana. Była cała. Zadowolony z tego odkrycia Armand spojrział na prześladowcę i też się uśmiechnął.

- Czym cię tak zirytowałem, obywatelu? - spytał uprzejmie.

Nicolas skrzywił się tylko i odsunął od niego, wyraźnie zirytowany spokojem obcego. Z kolei podszedł do François-Louisa.

- Czegoś się dowiedział? - spytał ostro. - Czy ona tu jest? To ona go przysłała?

-Nie chciał o tym mówić - odparł François-Louis. - Ale nie wyobrażam sobie, kto

inny mógłby go przysłać. Twierdzi, że nie jest Czarnym Księciem, ale nawet jeśli nie kłamie, to i tak zdobycz warta jest zachodu, nieprawda?

W głosie markiza słycać było napięcie, jakby zależało mu ogromnie na tym, by inspektor Bourdon przytaknął.

Nicolas odwrócił się i znów przez chwilę patrzył w milczeniu na Armanda; widać było, że głęboko rozważa swoją decyzję.

-Dał ci fałszywe dokumenty?

-Tak - odparł François-Louis.

Pospiesznie wyjął je z kieszeni munduru i podał inspektorowi. Nicolas przejrzał je i spochmurniał.

- Wyglądają jak prawdziwe - zauważył ze złością. Oddał papiery markizowi. - W porządku, obywatelu Roucher. Jesteście wolni. Powinniście bez przeszkód wydostać się z Paryża. Reszta zależy już od was.

Na twarzy François-Louisa odbiła się ogromna ulga. Wetknął z powrotem papiery do kieszeni kurtki. Spojrzał na Armanda.

- Bardzo mi przykro ale, jak pan z pewnością wie, nie miałem wyboru. Powiedzieli mi, że jeśli tylko pomogę im schwytać pana albo Jacqueline, darują mi życie i wypuszczą na wolność. Nie było innego wyjścia.

A więc to tak... myślał Armand. Nicolas posłużył się markizem de Biretem, by zwabić Jacqueline z powrotem do Francji... a ponieważ mu się to nie udało, musi się zadowolić jej pomocnikiem. A François-Louis, podły tchórz, oczywiście zgodził się na to! Ogarnęła go pogarda dla człowieka, którego chciał ocalić z narażeniem życia.

- Niezbyt to szlachetny postępek, prawda, panie markizie? - powiedział z niesmakiem.

François-Louis ze spokojem przyjął spojrzenie.

- Ciężkie mamy czasy - oświadczył, wzruszając ramionami. - Nie warto unosić się honorem, jeśli chce się przeżyć.

Dzięki za radę - wycedził Armand. - Będę to miał na uwadze.,

-Zabieraj się stąd, zanim się rozmyślę! - rzucił ostro Nicolas do markiza.

De Biret nie potrzebował dalszej zachęty. Odwrócił się na pięcie i skręcił w najbliższą uliczkę - było jak najdalej od Palais de Luxembourg!

- A co się tyczy ciebie, mój przyjacielu - ciągnął dalej Bourdon - zobaczymy, co masz nam do powiedzenia na temat swego bardzo interesującego zwyczaju uwalniania

niebezpiecznych wrogów republiki. Bez wątpienia zdążysz nam powiedzieć przed egzekucją o twoich fascynujących eskapadach!

- To była moja pierwsza próba - odparł niewinnie Armand.

Nicolas nie wyglądał na przekonanego.

-Doprawdy? W takim razie znajdziemy ci miłą, ciemną celę, żebyś w niej gnił, dopóki ci pamięć nie wróci.

-Jak sobie życzyacie, obywatelu. - Armand wzruszył ramionami. - Chyba w Luxembourg zwolniło się jedno miejsce.

- Co to, to nie, przyjacielu - warknął Nicolas. - Nie pasowałbyś do tej złotej klatki! Ale się nie martw. Z pewnością znajdziemy coś bardziej odpowiedniego. - Dał znak gwardzistom. Dwóch z nich chwyciło Armanda za ramiona. - Zabrać go do La Force! - rozkazał.

- Wszyscy pojedziecie jako eskorta. A ja za wami powozem.

Gwardziści rozstąpili się, przepuszczając Nicolasa, i otoczyli ciasnym kręgiem Armanda. Tak doprowadzili go do koni i, skrępowawszy mu następnie ręce na plecach, podsadzili na jednego z wierzchowców. Potem sami wsiedli na konie i ruszyli bez pośpiechu do więzienia La Force.

Armand pospiesznie dokonywał oceny sytuacji. Bourdon jest niewątpliwie przeświadczony, że złapał grubą rybę. Gdyby mógł udowodnić, że zdołał w końcu pojmać Czarnego Księcia, poszłoby w niepamięć publiczne upokorzenie, jakiego doznał w Conciergerie, gdy Armand sprzątnął mu Jacqueline sprzed nosa. Ale chyba nawet to nie osłodziłoby mu osobistego rozczarowania, że nie udało mu się schwytać Jacqueline. Być może Nicolas spróbuje w jakiś inny sposób zwabić ją do Francji. Oby tylko nie wpadł na pomysł wykorzystania go w roli przynęty!

Nieważne, co się z nim stanie. Był przygotowany na wszystko. Zawsze wiedział, że w końcu go złapią. Spoglądał ze spokojem w czerń paryskiej nocy, pogodzony z losem i ogromnie wdzięczny za to, że mimo wszelkich omyłek, jakie popełnił, nie doszło do najgorszego: nie zabrał ze sobą Jacqueline.

Rozdział 10

Londyn spoczywał pod okryciem tego samego śniegu, jaki leżał na ulicach Paryża, aczkolwiek londyńczycy za nic by nie przyznali, że mają coś wspólnego z żabojadami, choćby to była tylko pogoda.

Sir Edward i lady Harrington z powiększoną w ciągu ostatniego roku rodziną przenieśli się po Bożym Narodzeniu do stolicy, gdyż Laura ustawicznie narzekała, że na wsi nie ma co robić. W Londynie, twierdziła, mogłyby z Jacklyn odwiedzać przyjaciół, chodzić na zakupy i do teatru... To, że Jacqueline nie miała wcale ochoty na te rozrywki, zdawało się dodawać wagi jej argumentom, zamiast je osłabiać.

Po usilnych naleganiach, by zaczęła wreszcie wychodzić z domu i bawić się, Jacqueline ostatecznie uległa i pewnego wieczoru wybrała się z Harringtonami do teatru. Była to angielska komedia z wartkim dialogiem i po pięciu minutach Jacqueline pojęła, że nie jest w stanie nadażyć za treścią sztuki. Przez resztę przedstawienia wpatrywała się w scenę, udając, że przysłuchuje się uważnie, ale wszystkie jej myśli koncentrowały się na osobie Armanda, co zdarzało się bardzo często od jego wyjazdu. Zastanawiała się, gdzie teraz przebywa, jak postanowił uwolnić François-Louisa i czy już realizuje swój plan? A może wypełnił z powodzeniem zadanie i wraca do Anglii? W antrakcie rozglądała się dokoła, przypatrując się bacznie twarzom widzów, jakby miała nadzieję lada chwila ujrzeć Armanda, i z trudem ukrywała zawód, gdy nigdzie go nie było.

Po teatrze Harringtonowie z przyjaciółmi udali się do eleganckiej restauracji na późną kolację. Jacqueline siedziała obok wicehrabiego Prestona, który uparł się prawić jej dusery przez cały wieczór. Była dla niego uprzejma, lecz chłodna, i udawała, że nie rozumie, o co mu chodzi, gdy pod koniec posiłku pocałował ją w rękę i oświadczył, że pragnie złożyć jej wizytę. Zachwyty wicehrabiego nie uszedł bystrym oczom Laury. W drodze powrotnej do domu rozwodziła się na temat zalet Prestona, zapewniając Jacqueline, że to doskonała partia i że powinna koniecznie schwytać tak cenną zdobycz. Francuzka podziękowała jej za radę, ale grzecznie przypomniała, że nadal jest zaręczona z markizem de Biret, który w paryskim więzieniu oczekuje na proces. Powiedziała też, że nie ma zamiaru chytać żadnej zdobyczy, choćby nie wiem jak cennej. Miała nadzieję, że to uspokoiło Laurę, której nagle zainteresowanie planami matrymonialnymi Jacqueline datowało się od balu u Fleetwoodów, kiedy przyłapała Jacqueline sam na sam Armandem.

Madame Bonnard mówiła, że St. James wróci mniej więcej za dwa tygodnie. Kiedy drugi tydzień zbliżał się do końca, Jacqueline z coraz większym niepokojem oczekiwała jego powrotu. Nie chciała opuszczać domu w obawie, że przybędzie razem z François-Louisem i nie zastanie jej w domu. Ilekroć Cranfield zjawiał się, by zaanonsować nowego gościa, Jacqueline z napięciem oczekiwała, że padnie nazwisko St. James. Majordomus nigdy jednak go nie wymówił.

Drugi tydzień dobiegł końca, rozpoczął się trzeci, a od Armanda nadal nie było żadnej wieści. Jacqueline powtarzała sobie, że nie ma powodu do niepokoju; nieraz przecież wyprawy trwały dłużej, niż przewidywał. Czyż nie opowiadał jej, ile czasu kosztowało go uzyskanie informacji na temat Antoine'a? Kilka dni opóźnienia to nic wielkiego. Pewnie jest już na pokładzie „Angelique” i może jutro tu będzie!

I tak czekała - dzień po dniu, godzina po godzinie... aż skończył się trzeci tydzień i rozpoczął czwarty. A Jacqueline ciągle sobie powtarzała: na pewno wszystko z nim w porządku! Robił to już wiele razy. Czeką po prostu na odpowiedni moment, zjawi się tu lada chwila. Popatrzy na mnie i powie szyderczo, jak to on: Myślała pani, że już nie wrócę, mademoiselle?

Pewnej nocy leżała w łóżku, pocieszając się w myśli, i nagle uświadomiła sobie, że ani razu nie zatroszczyła się o bezpieczeństwo François-Louisa, choć był przecież jej narzeczonym, i to dla niego ubłagała Armanda, żeby znów udał się do Francji. To odkrycie tak ją wstrząsnęło, że zwinęła się w kłębek, ukryła twarz w poduszce i z trudem powstrzymywała łkanie. Gdyby pozwoliła sobie choćby na jedną łzę, nie byłaby w stanie opanować ich potoków. Oplakiwałyby ojca i Antoine'a. Płakałaby nad siostrzyczkami, które tak starały się dostosować do nowego życia, że prędzej czy później zapomną o ojcu i bracie... A przede wszystkim płakałaby ze strachu, bo Armand powinien do tej pory wrócić... a gdyby coś mu się stało, nigdy, nigdy by sobie nie wybaczyła tego, że wysłała go do Francji!

Następnego ranka nie zeszła na śniadanie, wyczerpana po nieprzespanej nocy. Kiedy w końcu zjawiała się na dole, dowiedziała się od majordomusa, że Suzanne i Seraphine mają już lekcje na górze, sir Edward udał się do swego klubu, a lady Harrington i Laura wyruszyły na zakupy. Zachwycona perspektywą kilku godzin samotności kazała sobie przynieść kawę i rogalik do małego, jasnego saloniku obok pokoju muzycznego. Nie zdążyła jednak posiedzieć w spokoju dłużej niż pięć minut, gdy znów pojawił się majordomus i zaanonsował, że lady Fairfax pragnie się z nią widzieć.

- Ale... ja nie wiem... kto to lady Fairfax - zaprotestowała Jacqueline, dobierając z trudem angielskie słowa. Nie miała ochoty na rozmowę z jakąś ciekawską kobietą, która z

pewnością będzie zasypywać pytaniami niedoszlą ofiarę rewolucji. - Może ona wróci... jak lady Harrington i panna Laura będą w domu? - podsunęła z nadzieją w głosie.

Cranfield pokręcił głową.

- Nie pytała o lady Harrington ani o pannę Laure. Chce się specjalnie widzieć z panią, lady Jacklyn. Kazała pani powtórzyć, że jest siostrą pana Armanda St. Jamesa.

Jacqueline zerwała się z krzesła. Siostra Armanda tutaj?! Bez wątpienia ma jej przekazać jakąś wiadomość od niego!

- Szyślij ją tu *immediatement* (natychmiast)! - zawołała pewna, że ta wizyta oznacza, iż Armand wrócił zdrowy i cały.

Kobieta, która po kilku minutach weszła do salonu, tak przypominała Armanda, że w pierwszej chwili Jacqueline po prostu osłupiała. Była bardzo ładna, nie miała jeszcze trzydziestu lat. Włosy tej samej miedzianozłotej barwy co u brata opadały kaskadą gęstych loków spod eleganckiego kapelusika ze szmaragdowego aksamitu, idealnie dobranego odcieniem do zielonego płaszcza. Również jej oczy w pierwszej chwili wydawały się szmaragdowe, ale przyjrząwszy się im bliżej, Jacqueline przekonała się, że mienia się aż trzema kolorami: zielenią, błękitem i szarością, i nieustannie zmieniają barwę. (Była to zapewne cecha rodzinna, pomocna przy przebierankach Armanda). Lady Fairfax była równie drobna i filigranowa, jak jej brat wysoki i postawny, ale oboje cechowała ta sama pewność siebie i stanowczość w dążeniu do celu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam pani, mademoiselle de Lambert, ale muszę z panią pomówić w pewnej pilnej sprawie - wyjaśniła piękna dama po francusku.

Głos miała wysoki i melodyjny, ale pobrzmiwał w nim niepokój.

- Proszę usiąść, lady Fairfax - odparła Jacqueline w tym samym języku. - Napije się pani herbaty?

- Nie, dziękuję bardzo - odparła przybyła, siadając na niewielkiej sofce naprzeciw niej.

- Czy przynosi mi pani jakieś wieści od Armanda? - spytała Jacqueline z nadzieją w głosie.

Lady Fairfax pokręciła głową.

- Obawiam się, że przyszłam tu raczej prosić o wieści, niż je przekazywać. Jestem bardzo zaniepokojona, mój brat zniknął i obawiam się, że spotkało go jakieś nieszczęście.

Jacqueline starała się zachować spokojny wyraz twarzy. Nie wiedziała, jak dalece lady Fairfax była wtajemniczona w to, co robił jej brat we Francji. Armand prosił ją, by

nikomu nie wyjawiała, że to on pomógł jej uciec z Conciergerie. Ostrzegał, że gdyby wiadomość o tym dotarła do niepowołanej osoby, mogłaby stanowić dla niego źródło zagrożenia. Nawet sir Edward, który przecież zlecił mu uwolnienie Jacqueline, sądził, że Armand użył jedynie znajomości i wpływów, a jego osobisty udział ograniczył się do przewiezienia uciekinierki przez kanał La Manche na pokładzie „Angelique”. A zatem, choć lady Fairfax była siostrą, mógł i przed nią trzymać wszystko w tajemnicy. Jacqueline powinna być bardzo ostrożna i nie zdradzać jego sekretów.

-Dlaczego pani sądzi, że Armandowi coś się stało? - spytała lekkim tonem.

-Wiadomo mi, mademoiselle de Lambert, że orientuje się pani, jakiego rodzaju interesy prowadzi mój brat we Francji - zaczęła lady Fairfax. - Wiem także, że to on wyciągnął panią z ciężkiego więzienia i przywiózł tu zdrową i całą. Musi mi pani zaufać, gdyż mam na celu jedynie dobro Armanda. Nie wiem tylko, czy i ja mogę pani zaufać?

Spojrzała na nią bacznie, jakby rozważała, czyjej przybycie nie było pomyłką.

- Tak! - zapewniła ją pospiesznie Jacqueline, coraz bardziej niespokojna o los Armanda.

Lady Fairfax zastanawiała się przez chwilę. Potem doszła widać do wniosku, że nie ma rady, musi jej zaufać. Mówiła więc dalej.

- Wczoraj zjawił się u mnie pierwszy oficer na statku mojego brata, pan Sidney Langdon. Powiadomił mnie, że Armand cztery tygodnie temu popłynął do Francji, ale nie wrócił na „Angelique” w umówionym terminie. Początkowo pan Langdon zbyt się tym nie przejmował, ponieważ brat często musi zmieniać plany z uwagi na nieprzewidziane okoliczności. Jego ludzie wiedzą, że zawsze trzeba się liczyć z dwudziestoczworgodzinnym opóźnieniem. Jednak po dwóch dniach bez żadnej wieści od Armanda pan Langdon wysłał trzech ludzi na brzeg, by dowiedzieli się, czego tylko zdołają. To nie było łatwe, gdyż Armand nikogo nie wtajemnicza w swoje plany, ze względu na bezpieczeństwo i ich, i własne. Dowiedzieli się tylko, że nie kontaktował się ze swymi współpracownikami poza Paryżem. Wygląda więc na to, że nie opuścił miasta. Ponieważ nie znali celu jego podróży i nie ukazały się ogłoszenia o jego pojmaniu, nie wiedzieli, gdzie go szukać. Kilka dni węszyli w Paryżu, jednak nie dowiedzieli się niczego więcej i zgodnie z wyraźnymi rozkazami Armanda, po tygodniu bez żadnych wieści od niego, popłynęli z powrotem do Anglii.

-Zostawili go tam samego? -Jacqueline nie mogła w to uwierzyć. - Nie wiedząc nawet, czy jeszcze żyje, czy zginął?!

-Spełnili tylko jego rozkaz - powtórzyła lady Fairfax. - Armand zawsze ogromnie dba o bezpieczeństwo statku i załogi. Nie chciał, by pozostawali na francuskim wybrzeżu dłużej, niż to było konieczne. Panu Langdonowi wpadło do głowy, że gdyby ze mną pomówił, może dowiedziałby się czegoś o celu jego ostatniej wyprawy, a wówczas łatwiej by mu było odnaleźć Armanda. Niestety, brat rzadko informuje mnie o swoich zamiarach, wiedząc, jak bardzo się tym przejmuję. Wczoraj wieczorem zjawiliśmy się u niego w domu w nadziei, że odnajdziemy jakąś notatkę albo coś innego, co rzuciłoby nieco światła na tę ostatnią wyprawę. Oczywiście nic nie znaleźliśmy. Armand nie byłby aż tak lekkomyślny, by zostawiać jakiegokolwiek zapiski, mogące zdradzić jego plany. I wówczas postanowiliśmy poprosić służbę... a to doprowadziło nas do pani.

Jacqueline lekko się zarumieniła.

Jeśli nawet lady Fairfax zauważyła jej zażenowanie, nie dała tego poznać po sobie.

- Służba Armanda jest do niego bardzo przywiązana i początkowo nikt nie powiedział ani słowa o pani wizycie, zgodnie z instrukcjami. Kiedy jednak wyjaśniłam madame Bonnard, czemu szukam wszelkich informacji związanych z jego wyjazdem do Francji, powiedziała w końcu, że Armand ostatniego wieczoru przed wyjazdem przyjął u siebie na obiedzie jakąś Francuzkę. Na podstawie jej opisu Sidney doszedł do wniosku, że chodzi o panią, ale dopiero stangret ostatecznie to potwierdził i podał nam adres. Tak więc przybywam do pani i błagam, by podzieliła się pani ze mną wszystkim, co mogłoby pomóc w odnalezieniu mojego brata. - Spojrzała badawczo na Jacqueline, błękitno-zielone oczy pełne były nadziei. - Czy wie pani, kogo Armand zamierzał ocalić?

Jacqueline słyszała pytanie, ale dotarło ono do niej jakby z oddali. W uszach jej szumiało. Pokój wirował wokół niej. Przymknęła oczy i starała się zrozumieć, co lady Fairfax do niej mówi. Armand zaginął. Coś się nie udało. Może został pojmany. Albo zabity. Na tę myśl poczuła nagle, że stalowa obręcz zaciska się jej wokół piersi, uniemożliwia oddychanie...

- Mademoiselle de Lambert, nic pani nie jest? - Dotarł do niej zatroskany głos.

To jej wina! Ryzykował życie, by ją ocalić, a ona poty go błagała i namawiała, aż wrócił do Francji, by uratować jej narzeczonego. Myślała, że nigdy się nie uwolni od wyrzutów sumienia po śmierci François-Louisa. Ale tamto poczucie winy było niczym w porównaniu z panicznym strachem i przerażeniem, które ją teraz ogarnęły.

- To ja wysłałam go do Francji! - wyszeptała, głowiąc się, jak mogła sobie nie uświadamiać grożącego mu niebezpieczeństwa.

Lady Fairfax spojrzała na nią zaskoczona.

- Jak to pani go wysłała?

Jacqueline podniosła na nią oczy.

- Wynajęłam go, żeby kogoś uratował - wyjaśniła głosem pełnym poczucia winy.

Lady Fairfax osłupiała.

- Pani go wynajęła?!

Jacqueline kiwnęła głową z żalem.

- Z początku nie chciałam się tego podjąć. Nie miałam dość pieniędzy. .. ale w końcu zawarliśmy umowę ku zadowoleniu obu stron.

Nie powinna zgodzić się na jego warunki! Z początku cena wydawała się jej wygórowana. Teraz jednak pojęła, że była to absolutnie niewystarczająca rekompensata. Jej cnota w zamian za jego życie. Ze też nie przyszło to jej od razu do głowy!

Lady Fairfax zmarszczyła czoło, usiłując zebrać myśli.

- To takie niepodobne do Armanda! - powiedziała, kręcąc głową. - Zawsze czynił to najzupełniej bezinteresownie, z chęci niesienia pomocy... A poza tym była to jego prywatna wojna z rewolucyjnym rządem francuskim... Nigdy nie słyszałam, by żądał od kogoś zapłaty!

-Przecież sir Edward wynajął go, by mnie uratował! Lady Fairfax wydawała się wstrząśnięta.

-Wie pani o tym od sir Edwarda? - spytała.

-Nie – przyznała Jacqueline. Nie była już taka pewna, czy Armand zrobił to dla pieniędzy.

Wróciła myślą do tamtej pierwszej nocy, gdy spali w jednym pokoju i w jednym łóżku w niewielkiej paryskiej oberży.

- Kiedy Armand pomógł mi uciec z Conciergerie, spytałam go, czy jest Czarnym Księciem - wyjaśniła - a on odpowiedział, że jest zwykłym człowiekiem interesu, a ja przesyłką, którą zgodził się dostarczyć. Wcale się z tym nie krył - zakończyła rzeczowo.

Lady Fairfax uśmiechnęła się; wyjaśnienie Jacqueline wyraźnie ją uspokoiło.

- A czy pani sądzi, mademoiselle de Lambert, że człowiek, który pani ocalił życie, gdyby naprawdę był Czarnym Księciem, okazałby aż taką lekkomyślność, by się do tego przyznać nieznajomej, przerażonej dziewczynie... zwłaszcza że obojgu w każdej chwili groziło aresztowanie?

Jacqueline spoglądała na nią z niedowierzaniem. Armand miałby być Czarnym Księciem? Niemożliwe! Od pierwszej chwili dawał jej jasno do zrozumienia, że jest tylko towarem, jaki zobowiązał się dostarczyć, niczym więcej. A już z pewnością nie żywił

sympatii do francuskiej arystokracji! Jeśli opowiadał się po czyjejs stronie, to raczej żadnych krwi rewolucjonistów. Nieraz bronił ich racji. Po cóż więc miałby ratować życie francuskim arystokratom, jeśli nie dla pieniędzy?

- Dał mi bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie ma ochoty jechać do Francji i ratować mego narzeczonego, markiza de Biret, który został fałszywie oskarżony i uwięziony. Czarny Książę ocalił dziesiątki francuskich mężczyzn, kobiet i dzieci i nigdy nie robił tego dla pieniędzy! Wielu ocalonych nie miało ani grosza; nie mogliby mu zapłacić, choćby nie wiem, jak chcieli! Armand zażądał ode mnie zapłaty, i to z góry. Czy tak wygląda postępowanie Czarnego Księcia?

-Nie mam pojęcia, czemu zażądał od pani zapłaty - stwierdziła lady Fairfax. - Ale Armand jest obdarzony wyjątkową intuicją, jeśli chodzi o inwestycje finansowe. I bawiąc w jego domu, musiała pani zauważyć, jak ogromny jest jego majątek. Mogę jednak zrozumieć, czemu nie miał ochoty ratować pani przyszłego męża - dodała, bacznie obserwując Jacqueline.

-Dlaczego?

Lady Fairfax się uśmiechnęła.

- Chyba wie pani o tym lepiej ode mnie!

Gorący rumieniec oblał policzki Jacqueline.

-Nie rozumiem, o czym pani mówi, lady Fairfax - wyjąkała, wyraźnie speszona kierunkiem, w jakim potoczyła się rozmowa. - Moje stosunki z pani bratem ograniczały się wyłącznie do interesów!

-Byłabym bardzo rada, gdybyś zechciała mi mówić po imieniu. Jestem Madeleine - powiedziała ciepło siostra Armanda, najwyraźniej nieprzekonana jej słowami. - I czułabym się zaszczycona, mogąc nazywać cię Jacqueline.

Jacqueline w milczeniu skłoniła głowę. Madeleine wymawiała jej imię niemal równie delikatnie jak Armand, rozciągając lekko sylaby, jakby to była piękna fraza muzyczna. Ogarnęła ją nagle bolesna tęsknota. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła znów usłyszeć swoje imię z ust Armanda.

-Uważasz więc, że mój brat naraża życie, ratując nieznajomych dla pieniędzy - podsumowała Madeleine. Z jej tonu wyraźnie wynikało, jakie to absurdałne przypuszczenie. -Armand nie opowiedział ci o swej przeszłości?

-Opowiadał mi o swoich rodzicach i o tym, jak dziadek wzgardził waszym ojcem, co zmusiło matkę do wyrzeczenia się tytułu i zerwania wszelkich więzi z rodziną we

Francji - odpowiedziała Jacqueline. - Chyba to tłumaczy pogardę Armanda dla francuskiej arystokracji i jego sympatie dla ideałów republikańskich - dodała po namyśle, zdumiona, że wcześniej na to nie wpadła.

-Ale czy mówił coś o sobie? - nalegała Madeleine.

-Powiedział mi, że kiedyś pił bez umiarkowania - odparła Jacqueline rzeczowym tonem, starając się nie okazać, że ma to dla niej jakieś znaczenie. - Za to teraz nie pije w ogóle alkoholu.

-A powiedział, czemu tak się stało?

-Tak- odparła Jacqueline. - Przestał pić, bo zginęli jacyś ludzie i Armand czyni sobie wyrzuty z tego powodu. Ale ja nie mogę uwierzyć, że to on był temu winien!

Madeleine uśmiechnęła się smutno.

-Czy wiesz, Jacqueline, co to byli za ludzie?

-Nie. Ale to nie ma znaczenia. Cokolwiek się wydarzyło, Armand nie mógł być za to odpowiedzialny.

-Armand był żonaty - zaczęła Madeleine cicho - i jego żona została zabita.

-Żonaty? - powtórzyła z niedowierzaniem Jacqueline.

Madeleine kiwnęła głową.

W ciszy, jaka zapadła, Jacqueline usiłowała przetrwać uzyskane wiadomości. Armand był żonaty... Oczywiście! Był przecież przystojny i bogaty. Z pewnością otaczało go wiele pięknych kobiet... z Laurą Harrington włącznie. Jedna z nich zdobyła widać jego serce i się z nią ożenił.

-Musiał ją bardzo kochać - zauważyła cichym, bezdźwięcznym głosem. - Inaczej nie nazwałby statku jej imieniem...

-Chyba rzeczywiście bardzo kochał Lucette - odparła Madeleine.

-Lucette? - powtórzyła zdziwiona Jacqueline. - Zatem kim jest Angélique?

-Angélique była jego córką - odparła Madeleine. - Ona też została zabita.

-Córką? - szepnęła ledwie dosłyszalnie Jacqueline.

Wróciła myślą do nocy spędzonej w kapitańskiej kajucie. Przypomniała sobie, jak grzebała w skrzyni Armanda, niby to w poszukiwaniu grzebienia... W gruncie rzeczy szukała czegoś, co pozwoliłoby jej lepiej go poznać. I nagle przypomniała sobie szkatułkę z laki, ukrytą na samym dnie skrzyni. Jej jedyną zawartość stanowił zwitek atlasowych wstążek i mała chusteczka z monogramem ASJ. Początkowo sądziła, że to sentymentalny podarek od kochanki i dziwiła się, gdyż taka czułość nie pasowała do niezłomnego, impetycznego

i rzeczowego „obywatela Juliana”. Niebieskie, kremowe i różowe kawałki wstążki okazały się kokardami małej dziewczynki. Chusteczka też była mniejsza od damskiej... Te śliczne gałganki należały do małej Angélique St. James. Armand ochrzcił swój statek imieniem córeczki. I czuł się odpowiedzialny za jej śmierć.

-Co się z nimi stało? - spytała szeptem.

-Zostały we Francji aresztowane razem z moją matką. Oskarżono je o to, że są emigrantkami, szpiegami i wrogami republiki - odpowiedziała z trudem Madeleine. - I zginęły na gilotynie.

-O mój Boże! - jęknęła Jacqueline, nie mogąc ukryć przerażenia. Potem zaś, nie zdając sobie sprawy, jak oskarżające były jej słowa, zawołała: -Jak Armand mógł na to pozwolić?!

-Zdumiewające - zauważyła Madeleine - że to samo pytanie zadało i zadaje do dziś całe londyńskie towarzystwo! Jakby Armand był w stanie powstrzymać machinę francuskiej „sprawiedliwości”! On sam też sobie ciągle zadaje to pytanie i traktuje je tak poważnie, że musi nieustannie mścić się za śmierć swoich ukochanych i udowadniać, że uratowałby je, gdyby tylko mógł, choćby z narażeniem własnego życia.

-Przepraszam! - Jacqueline pojęła, jak nieczułe i bezmyślne było jej pytanie. - Nie chciałam przez to powiedzieć, że Armand ponosi odpowiedzialność za ich śmierć!

Przypomniał się jej wicehrabia Preston i jawna pogarda, jaką okazywał Armandowi na balu u Fleetwoodów. Widać nie brakowało takich, którzy obwiniali go o to nieszczęście i nie kryli tej opinii.

Madeleine westchnęła.

- Największy kłopot z tym, że on sam czuje się winny. Właśnie dlatego odbywa niebezpieczne wyprawy. Ale jest w tym również chęć samounicestwienia. Armand uważa, że skoro nie mógł ocalić rodziny, powinien być umrzeć wraz z nią. Jest mu teraz naprawdę obojętne, czy będzie żył, czy umrze. Z początku chyba mu to pomagało, umożliwiając podejmowanie niezwykle ryzykownych działań. Wszystkie, na szczęście, zostały uwieńczone sukcesem.

-Czemu od razu nie udał się do Francji i nie próbował im pomóc? - spytała Jacqueline.

-Bo nie wiedział, że tam są - odparła dobitnie Madeleine.

- Jak mógł nie wiedzieć, gdzie jest jego żona i dziecko?

Madeleine westchnęła.

- Choć Armand kochał Lucette, jego żona nie zaznała z nim szczęścia. We wczesnej młodości Armand był nie lada hulaką. Chciał się bawić za wszelką cenę. Pił jak gąbka, co doprowadzało naszego ojca do furii, a matkę ogromnie niepokoiło. Jakby za nic nie chciał dorosnąć i się ustatkować! Nawet po śmierci ojca, gdy zarządzanie rodzinnym majątkiem przeszło w jego ręce, Armand nie potraktował tego serio. Ubóstwiał podróże, hulanki, hazard i kobiety, i żadne perswazje nie mogły go przekonać.

Jacqueline słuchała tego, nie wierząc własnym uszom. Ten nieodpowiedzialny, beztroski Armand, o którym mówiła jego siostra, w niczym nie przypominał Armanda, jakiego znała.

- Poznał Lucette w czasie podróży po Francji; był wtedy tuż przed trzydziestką - ciągnęła Madeleine. - Pochodziła z bogatej, choć pozbawionej tytułu rodziny. Była córką kupca, dostawcy jedwabiu na dwór królewski w Wersalu. Miała urodę i mnóstwo wdzięku, a Armand lubił zawracać w głowie ładnym dziewczynom. Po kilku miesiącach pobrali się i brat wrócił do Anglii z żoną. Przedstawiając ją matce, poinformował, że Lucette spodziewa się dziecka. Nasza matka bardzo się ucieszyła, że Armand ożenił się z Francuzką, która sprawi, że się ustatkuje, będzie wzorowym mężem i ojcem.

- Czy tak się stało?

Madeleine westchnęła.

- Początkowo Armand starał się być kochającym i oddanym mężem. Lucette mówiła mi, że był dla niej bardzo dobry i chętnie zostawał razem z nią w domu. Ale gdy urodziła się Angelique, Armand nie mógł już usiedzieć w domowym zaciszu. Wróciło zamiłowanie do hulanki w gronie przyjaciół, do gry w karty i picia do rana. Jak to młoda matka, Lucette często bywała zmęczona, a przede wszystkim uważała, że powinna przebywać w domu z dzieckiem. Armand pogodził się z tym, ale jemu takie życie nie odpowiadało. Wkrótce wrócił do kawalerskich obyczajów i zniknął z domu, nieraz na wiele dni. Lucette musiała radzić sobie sama z prowadzeniem gospodarstwa, zabawianiem gości, wychowywaniem dziecka.

Jacqueline pokręciła głową ze smutkiem. Takie małżeństwa nie należały do rzadkości wśród arystokracji. Mężczyźni byli przeważnie zdania, że człowiek się żeni, żeby sobie zapewnić dziedzicę i zyskać dobrą panią domu. Do wierności małżeńskiej nikt nie czuł się zobowiązany.

- Czemu Lucette wróciła do Francji?

- Jej ojciec, jak wielu przedstawicieli bogatego mieszczaństwa, starał się ułatwić i

umilić życie uwięzionym członkom rodziny królewskiej. Ktoś go zadenuncjował i późną jesienią 1792 roku został aresztowany-wyjaśniła Madeleine. - Choć nie należał do arystokracji ani szlachty, uznano go za rojalistę i wroga ojczyzny, gdyż córka mieszkała za granicą. Kiedy Lucette dowiedziała się o uwięzieniu ojca, Armand był na jednej ze swych pijackich eskapad. Nie wiedziała, gdzie szukać męża ani z kim się teraz zabawia. Armand nigdy się jej nie zwierzał, ona zaś nie zadawała pytań. Myśl o uwięzionym ojcu przerażała ją, a zarazem wprawiała we wściekłość. Postanowiła działać, nie czekając na powrót Armanda. Porozumiała się z teściową i powiadomiła ją, że jedzie do Francji, by dopomóc ojcu. Nasza matka, w błędnym przekonaniu, że może pomóc synowej ze względu na swe znamienite pochodzenie, zaofiarowała się jej towarzyszyć. W ostatniej chwili Lucette postanowiła zabrać ze sobą również czteroletnią Angelią, która bardzo prosiła, żeby nie zostawiać jej samej ze służbą.

-O mój Boże! - wyszeptała przerażona Jacqueline. - Jak mogły być takie niemądre?!

-Ani Lucette, ani nasza matka nie wiedziały, jak niebezpiecznie jest teraz we Francji - odparła Madeleine. - Matka nie była tam od lat, a bratowa opuściła ojczyznę wraz z mężem przed rewolucją. Wiadomości docierające stamtąd do Anglii bywały często niepełne, a nawet sprzeczne ze sobą... Nic więc dziwnego, że matka i Lucette nie podejrzewały, iż grozi im niebezpieczeństwo. Moja bratowa wierzyła, że rewolucja sprzyja takim ludziom jak jej ojciec, na co z początku rzeczywiście się zanosilo. Przede wszystkim jednak myślała o tym, że ojciec jej potrzebuje i że go ucieszy widok jedynej wnuczki. Chyba nie przyszło im do głowy, że dwie kobiety podróżujące z małą dziewczynką zostaną uznane za zagrożenie dla republiki!

Pewnie, że nie! - pomyślała Jacqueline. Jeśli wierzyły, że świat jest dobry i sprawiedliwy, a prawo istnieje po to, by chronić ludzi, i że Bóg nad nimi czuwa, czemu nie miałyby wrócić do ojczyzny?

Serce się jej ścisnęło.

-Kiedy je aresztowano?

-Pierwszego dnia po przybyciu - odparła Madeleine. - Kilku nieokrzesanych gburów zatrzymało ich powóz i zażądało okazania dokumentów. Ponieważ obie kobiety były emigrantkami, i to bogatymi, zostały wzięte na przesłuchanie. Lucette wpadła w złość i oświadczyła, że jej teściowa jest córką nieżyjącego już markiza des Valentes, ona żoną jego wnuka, a dziecko prawnuczką markiza... co oczywiście było najgorszą

rzeczą, jaką mogła zrobić. Dziadek pozostał do śmierci nieugiętym rojalistą, toteż emigrantki powołujące się na pokrewieństwo z nim zostały natychmiast uznane za kontrewolucjonistki i wrogów republiki. Bezwłocznie je oskarżono, uwięziono i z niezwykłym pośpiechem już następnego dnia postawiono przed trybunałem i posłano na gilotynę. Zanim Armand wrócił do domu i przekonał się, że ich nie ma, było po wszystkim.

Jacqueline zacisnęła ręce na poręczach krzesła z taką siłą, że omal nie połamała sobie palców. To straszne! Pomyśleć tylko, że mężczyzna może opuścić dom na kilka dni i po powrocie dowiedzieć się, że jego rodzina została wymordowana... Siła takiego wstrząsu musiała być nie do zniesienia. Ojciec i brat Jacqueline zostali zabici, dobrze więc wiedziała, czym jest ból po stracie bliskich. Ale jej ojciec przed procesem przebywał kilka miesięcy w więzieniu i choć Jacqueline starała się w to nie wierzyć, od samego początku wiedziała, czym się to może skończyć. Gdy zaś chodzi o śmierć Antoine'a, Jacqueline od czasu kзни ojca przewidywała, co im wszystkim grozi. Dlatego właśnie wysłała Suzanne i Seraphine do Anglii. Francja oszalała i w tym szalonym świecie Antoine i ona mogli liczyć tylko na siebie. Kiedy gwardziści wtargnęli do domu, by aresztować brata, Jacqueline walczyła z nimi ze wszystkich sił, wiedząc, że Antoine jest zbyt chory, by znieść pobyt w więzieniu. A gdyby nawet dożył do procesu, niechybnie poślą go na ścięcie.

Ale Armand przebywał poza domem, pił, grał w karty i zalecał się do jakiejś damulki, nie wiedząc, w jakim niebezpieczeństwie znajdują się jego matka, żona i córka. A kiedy wrócił do domu, spodziewając się, że śliczna Lucette i maleńka Angeliq̄ue czekają tam na niego jak zawsze, dowiedział się, że pojechały do Francji razem z jego matką i wszystkie trzy zginęły na gilotynie. Jak można pogodzić się z tragedią tak przytłaczającą, brutalną i niespodziewaną?

-Jak Armand to przyjął? - spytała szeptem.

-Oszalał z gniewu - odparła Madeleine. - Początkowo nie chciał w to uwierzyć. Otrzymaliśmy list, który matka skreśliła pospiesznie, zanim wyprowadzono je na ścięcie. Wyjaśniła, co się stało, i zaklinała nas, żebyśmy nie wracali do Francji, póki w niej nie zapanuje porządek. Armand rwał się do wyjazdu, był pewien, że odnajdzie je żywe, że zaszła jakaś pomyłka. Ja i mój mąż musieliśmy nieustannie czuwać nad nim i powstrzymywać go od opuszczenia domu. Baliśmy się, że wyruszy na kontynent i zginie tak jak one.

Jacqueline dobrze rozumiała to, że Armand nie mógł usiedzieć beczynn timer. Gdyby

jednak pojechał tam i przekonał się, że naprawdę nie żyją, nie wróciłby spokojnie do domu. Łaknąłby zemsty.

- Początkowo walczył z nami jak szalony, zdecydowany pędzić co tchu do Francji i je odnaleźć. A gdy wreszcie pojął, że zostałby tylko kolejną ofiarą rządu republikańskiego, całkiem odgrodził się od nas. Zamknął się w swoim gabinecie i upijał do nieprzytomności. Przez trzy tygodnie nie chciał nikogo widzieć. Błagałam go, żeby wpuścił przynajmniej mnie, ale drzwi otwierał tylko swemu słudze, który przynosił mu jedzenie i niezliczone butelki alkoholu. Walczyłam z tym człowiekiem. Zabroniłam mu dawać Armandowi jakiegokolwiek trunki. Ale służba mego brata jest wobec niego bardzo lojalna i majordomus odmówił wykonania moich rozkazów. Teraz wiem, że powodowało nim współczucie. Uważał, że dla Armanda będzie lepiej, jeśli zapije się na śmierć, niż gdyby musiał spojrzeć w oczy straszliwej prawdzie.

- Jakim cudem z tego wyszedł?

Madeleine zmarszczyła delikatne brwi.

- Nie wiem. Po prostu któregoś dnia zastukał do moich drzwi, wykąpany, ogolony i zupełnie trzeźwy. Powiedział mi, że czuje się już dobrze, nie muszę się więc o niego martwić. I że wyjeżdża na kilka tygodni do jednej ze swych posiadłości na północy. Nie ulegało wątpliwości, że nadal czuje ból, ale robił wrażenie rozsądnego i opanowanego i kamień spadł mi z serca. Kiedy po czterech tygodniach wrócił ze swej wyprawy, wydawał się odrodzony, jakby znalazł sobie nowy cel w życiu. Z początku myślałam, że poznał jakąś kobietę, która pomoże mu otrząsnąć się z nieszczęścia. Potem dowiedziałam się, że był we Francji i po raz pierwszy ocalił komuś życie.

Jacqueline w milczeniu słuchała wyjaśnień. A więc tak to było w rzeczywistości! Armand nie był łasym na pieniądze kupczykiem, gotowym ponieść ryzyko dla uratowania francuskiego arystokraty, byle tylko zapłacił wymaganą kwotę. Nie był też znudzonym, ekscentrycznym poszukiwaczem mocnych wrażeń, podróżującym po Francji dla sportu i uprawiającym skazańców, by poczuć dreszczyk emocji. Ten człowiek, dręczony straszliwym bólem i wyrzutami sumienia, prowadził swoją prywatną wojnę z państwem, które brutalnie wymordowało mu rodzinę. I właśnie z powodu tego bólu, nienawiści i żądzy zemsty zaczął pomagać ludziom pozbawionym nadziei. Ludziom takim jak jego żona, matka i córeczka, które z pewnością oczekiwały z drzeniem kaźni i dałyby wszystko, by jej uniknąć. I ludziom takim jak Jacqueline, do tego stopnia rozgoryczonym i gniewnym, że zobojętnieli na własną śmierć.

- To ja go tam posłałam! - szepnęła ledwo dosłyszalnie, jeszcze bardziej przerażona

tym, co uczyniła.

Armand nie chciał wyjeżdżać. Może był zmęczony i potrzebował odpoczynku, może chciał zapomnieć na chwilę o niebezpieczeństwie... A może przeczuwał, że ta wyprawa nie zakończy się zwycięstwem. Ona jednak zmusiła go, przystając na warunki, których -jak teraz pojmowała - nie traktował poważnie. Rzuciła mu wyzwanie, oddając mu swe ciało. W zamian za to on wyruszył do Francji, by ocalić człowieka, który nawet nie próbował jej pomóc, kiedy tkwiła w więzieniu. Ani razu jej nie odwiedził, żeby się nie narazić! I próbując uratować od gilotyny takiego człowieka, Armand został pojmany...

-Czemu, na litość boską, prosiłam go, żeby tam wrócił?!

-Nie rób sobie wyrzutów, Jacqueline - uspokajała ją Madeleine. - Nikomu jeszcze nie udało się zmusić Armanda do zrobienia czegoś, na co nie miał ochoty! Jeśli został schwytany i nadal żyje, jego ludzie z pewnością znajdą jakiś sposób i go uwolnią. Teraz przynajmniej wiemy, po co tam wyruszył. To z pewnością pomoże w zdobyciu dalszych informacji. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie go więżą, jakoś byśmy go stamtąd wyciągnęli!

Jacqueline wstała z krzesła i podeszła do okna. Poczula nagle, że musi coś robić, planować, działać! Armand powiedział jej kiedyś, że jeśli nie powróci, to znaczy, że jest martwy. Jacqueline nie przyjęła tego do wiadomości. Był zbyt sprytny i obrotny! Potrafił zmienić się nie do poznania. Nie, ktoś taki po prostu nie może umrzeć! Może go osaczyli, może nawet aresztowali i uwięzili, ale nie zabili! To nieprawdopodobne!

- W samym Paryżu jest ponad pięćdziesiąt więzień... – powiedziała półprzyciemnie, spoglądając na śnieg, który znów zaczął prószyć. - Armand umiał się dostać do każdego z nich. Gdzie mamy go szukać?

Madeleine podniosła się z krzesła.

- Podsunę panu Langdonowi, żeby ze swymi ludźmi zaczął od Luxembourg - oświadczyła. - Nawet jeśli nie jest tam uwięziony, powinni coś o nim wiedzieć. Jeżeli go schwytano, gdy próbował uwolnić twego narzeczonego, z pewnością ktoś będzie wiedział, co się dalej z nim stało.

Jacqueline kiwnęła głową.

- Więźniowie w Palais de Luxembourg nie mieszkają w zamkniętych celach - powiedziała, wracając myślą do czasów, gdy przebywał tam jej ojciec. - I wszyscy strasznie tam plotkują. O próbie ucieczki z pewnością rozprawiano przez całe tygodnie! Jeśli ktoś z jego ludzi dostanie się tam i weźmie na spytki jakiegoś więźnia czy strażnika, na pewno

dowie się czegoś o aresztowaniu Armanda!

Po kolejnej nieprzespanej nocy Jacqueline wstała i siłą przyzwyczajenia wykonywała codzienne czynności. Zasiadła do śniadania o ósmej, spotkała się ze swą nauczycielką angielskiego o dziewiątej, zjadła lunch o pierwszej, a potem udała się z siostrzyczkami do pokoju muzycznego, by posłuchać, jak Suzanne gra na fortepianie. Uzgodniły z Madeleine, że nie należy mówić sir Edwardowi ani lady Harrington o zniknięciu Armanda, tym bardziej że żadne z nich w niczym nie mogłoby mu pomóc. Zresztą Armand z pewnością życzyłby sobie, żeby jego działalność we Francji nadal była otoczona tajemnicą. Być może ci, którzy go uwięzili, nie zdawali sobie sprawy z tego, kim jest? Prawie na pewno Armand był w przebraniu. Jeśli tak, to nie wolno w żaden sposób zdradzić jego imienia. Madeleine miała polecić Sidneyowi, by zasięgnął języka w Pałacu Luksemburskim. Obiecała też powiadomić niezwłocznie Jacqueline, gdyby dotarły do niej nowe wieści. Poza tym nie pozostawało im nic innego, jak cierpliwie czekać i udawać, że wszystko jest w porządku.

Okazało się to prawie niewykonalne.

Jak mogła siedzieć spokojnie i mówić jak zwykle: „Tak, poproszę herbaty” i „Nie mam ochoty iść na zakupy” oraz „Doskonale ci idzie, Suzanne”, gdy coś krzyczało w niej wielkim głosem: Gdzie jesteś? Co oni ci zrobili? Błagam, wybaczone, to wszystko przeze mnie!

To było nie do wytrzymania!

Koło trzeciej straszliwie rozboleła ją głowa, odesłała więc dziewczynki do guwernantki i schroniła się na górę do swego pokoju, nie mogąc dłużej grać tej komedii. Zaciągnęła kotary i pokój pograżył się w gęstym, szarym mroku, co tylko zwiększyło jej przygnębienie.

Leżąc w łóżku, dostrzegła cieniutki promień słońca, przebijający się przez szparkę między zasłonami. Powróciło wspomnienie poranka sprzed kilku tygodni, gdy w nędznym, zimnym pokoiku taniej paryskiej oberży zbudziły ją inne promyki słońca, przedostające się przez szpary okiennicy. Przez krótką chwilę czuła się bezpieczna i spokojna, a potem nagle zobaczyła, że jest sama: Armand (którego wtedy nazywała „obywatelem Julien”) opuścił ją! Ogarnęła ją panika, była przekonana, że nie tylko opuścił, ale też zdradził. A jednak wrócił, ciemny, chmurny, potężny, wypełniający cały pokój swoją obecnością, i spytał: „Myślała pani, że już nie wrócę?” takim tonem, jakby podobne podejrzenie było obraźliwe, śmieszne, nie do pomyślenia. Kiedy zaś przekonał się, że naprawdę się bała, że ją opuścił, powiedział uroczyście: „Może pani być pewna, że zawsze wrócę”. Takie proste słowa. Takie

uspokajające!...

Ocalił ją od gwałtu. Wykradł sprzed nosa oprawcom. Wyrwał z rąk żadnego krwi motłochu. Wywiózł szczęśliwie z Paryża. To prawda, że zatrzymał ją, gdy usiłowała uciec, zmusił do opuszczenia ukochanego kraju, ale też troszczył się o nią, gdy na morzu była tak chora, że marzyła o śmierci, i nie odstępował ani na chwilę przez całą noc. Dotrzymał danego słowa. Nie opuścił jej, póki nie znalazła bezpiecznego schronienia w domu Harringtonów. Nie uratował jej dla pieniędzy, jak sądziła. Zrobił to dlatego, że pragnął, by żyła. Jej przetrwanie stanowiło policzek dla rządu republikańskiego, a ocalone życie było promykiem światła w otaczającym go nieustannie mroku.

Nie powinna go prosić, by wrócił do Francji. Ale myślała, że po prostu wynajmuje jego usługi, ot, zwykła transakcja handlowa. Powinna być mądrzejsza! Jaki człowiek interesu zaproponuje kobiecie, żeby mu się oddała, i w zamian za to będzie gotów poświęcić życie?... A gdy wracała myślą do ich wspólnej nocy, pełnej różano-złotego blasku, płynnego ognia i słodkiej, aż bolesnej czułości, czuła przy sobie jego gładkie, twarde, gorące ciało, pełne siły. Łzy napłynęły jej do oczu. Pojęła, jak bardzo się zmieniła pod jego wpływem. Sięgnął do wnętrza jej duszy i nauczył ją uczuć tak mocnych, jakich wcale nie pragnęła.

- Niech cię diabli! - szepnęła w ciemność. Łzy wymknęły się jej spod powiek i potoczyły po policzkach. - Niech cię wszyscy diabli!

Obudziło ją stukanie do drzwi.

- Jacklyn! - zawołał podniecony głos. - Obudź się!

Powoli otworzyła oczy. W pokoju panowała ciemność, była już noc. Ileż to godzin przespała? Powieki miała obolałe i spuchnięte. Głowa nadal ją bolała, ale był to tępy, stłumiony ból, jak zawsze po niespokojnym, dręczącym śnie. Uniosła się na łóżku i zobaczyła, że jest całkowicie ubrana; leżała na kapie, a nie w pościeli. Nieco zeszywniała usiadła prosto, z nogami spuszczoneymi z łóżka.

Drzwi otworzyły się z impetem i ukazała się w nich Laura, ubrana w powłóczystrą suknię cytrynowej barwy; jej głowę otaczał gąszcz ciemnych, sprężystych loków, ozdobionych jasnożółtymi wstążkami. W ręku trzymała potrójny świecznik, od którego padał na nią złotawy blask.

-Jacklyn, nigdy nie zgadniesz, co się stało! - piszczała z podniecenia. - On ocalał! Jest zdrów i cały! W tej chwili rozmawia w bibliotece z ojcem!

-On tu jest? - powtórzyła półprzyciennie Jacqueline, nie mogąc uwierzyć, że Laura

mówi prawdę.

-Tak! - krzyknęła radośnie panna Harrington, nieprzytomna z podniecenia.

Jacqueline zamrugła oczami i odetchnęła głęboko, usiłując ogarnąć rozumem wszystko, co mówiła Laura.

Armand tu jest? Teraz? To niewiarygodne.... To cudowne!

-Ale jak on...

-Zejdź na dół, sam ci wszystko opowie - przerwała jej Laura i pokręciła energicznie głową, aż wszystkie loki się zakołysały. - Przeżył koszmar, a potem ta śmiała ucieczka... Powiada, że tylko myśl o tobie pomagała mu wytrwać... Jakie to romantyczne, prawda?

Jacqueline popatrzyła na nią ze zdumieniem.

-Powiedział, że o mnie myślał? - powtórzyła półprzytomnie.

-Tak! - pisnęła znów Laura tak cienko i przenikliwie, że Jacqueline miała ochotę zatkać uszy. - Zejdź na dół, sama to usłyszysz!

Jacqueline nie potrzebowała dalszej zachęty. Całkiem już oprzytomniała i drżąc z podniecenia, zeskoczyła z łóżka, wybiegła na korytarz i popędziła po schodach, nie czekając na Laurę. Fałdy sukni objęły się jej o nogi. Zapomniała włożyć pantofle, potargane włosy opadały jej na ramiona skłębionym gąszczem. Armand wrócił! To wydawało się cudem... a jednak okazało się prawdą! Był żywy, bezpieczny, nareszcie wrócił! I przyszedł do niej!

Pędziła korytarzem prowadzącym do biblioteki niemal bez tchu, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć go, dotknąć, usłyszeć niski, aksamitny głos. Otworzyła z impetem drzwi i wpadła do pokoju, zdyszana ze zmęczenia i podniecenia. Jej zgłodniałe spojrzenie spoczęło od razu na odwróconym do niej tyłem mężczyźnie, który rozmawiał z sir Edwardem i śmiał się właśnie z jakiegoś żartu gospodarza.

Nagle rozczarowanie podziało na nią jak kubeł lodowatej wody, odbierając jej mowę. Spoglądała martwym wzrokiem na stojącą przed nią imponującą postać we fraku z turkusowego aksamitu ze srebrnym haftem. Z rękawów wystawały wspaniałe koronkowe mankiety, spodnie do kolan ze śnieżnobiałego atłasu były równie nieskalane, jak białe pończochy, a pantofle z cieniutkiej czarnej skóry pyszniły się brylantowymi klamrami. Mężczyzna nosił wspaniałą, srebrzystobiałą perukę, a w smukłej ręce trzymał kryształowy kieliszek koniaku.

I w tej właśnie chwili markiz de Biret odwrócił się twarzą do niej.

Na szczęście od dzieciństwa uczono Jacqueline panowania nad sobą, toteż

przygryzła drżącą wargę i zdołała z pozornym spokojem odwzajemnić spojrzenie narzeczonego, zamiast krzyknąć: Gdzie jest Armand? Czemu nie przyszedł z tobą?!

François-Louis w pierwszej chwili wydawał się zaskoczony, jakby wygląd narzeczonej nie spełnił jego oczekiwań. Krytycznie dostrzegł wszystko: krótkie, rozczochrane włosy, zmiętą czarną suknię, pobladłą, ściągniętą twarz i spuchnięte, zaczerwienione oczy. Cóż za odmiana od ostatniego spotkania! Miało ono miejsce pół roku temu - przypomniawszy sobie z goryczą - tuż przed procesem jej ojca. Przyjęła wówczas narzeczonego w ogrodzie Château de Lambert ubrana w ciemnozieloną suknię w bladożółte paski i elegancki jedwabny, przybrany koronką, czepeczek. Ścinała właśnie róże i układała je w wielkim koszu. Już wcześniej uzgodnili z François-Louise, że poczekają ze ślubem do chwili, gdy ojciec wyjdzie z więzienia. Teraz naręczony przybył, by powiadomić ją, że - niestety - przez najbliższych kilka miesięcy będzie niezwykle zajęty, toteż nie ma mowy o częstych odwiedzinach u niej, choć bardzo by tego pragnął. Jacqueline zrozumiała go i, prawdę mówiąc, niezbyt się tym zmartwiła. Ciągłe odwiedziny u ojca i zarządzanie Château de Lambert wypełniały jej cały czas i wszystkie myśli.

Po egzekucji księcia de Lambert markiz nie pojawił się natychmiast-jak powinien - u boku narzeczonej, tylko przysłał jej starannie wykaligrafowany wonny liścik. Nie szczędząc pięknych słów i ubolewań nad jej losem, zachęcał Jacqueline, by była dzielna, i usprawiedliwiał swą nieobecność uciążliwą chorobą, która przykuła go do łoża boleści.

-*Jacqueline, mon amour* - szepnął teraz, chyląc się przed nią w niskim ukłonie i przyciskając usta do jej dłoni. Wlepił w nią oczy, które wcale nie były wyraziście błękitne, tylko blade i wodniste, i zmarszczył czoło z wyraźną troską. - *Etes-vous malade?* (Czy jesteś chora?) - spytał z niepokojem.

-*Non* - odparła Jacqueline, rozpaczliwie usiłując ujarzmić szalejącą w niej burzę emocji.

Opanuj się! - powtarzała sobie. Może postanowili wracać oddzielnie. Może Armand jest już w drodze! Wszystko było możliwe.

- Oddycham z ulgą - odparł François-Louis płynną angielszczyzną, ale z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. - Sir Edward i lady Harrington zapewniali mnie, że miewasz się dobrze, tylko od kilku tygodni zamartwiasz się o mnie. Mam nadzieję, że mój powrót uśmierzy wszystkie twe niepokoje.

Uśmiechnął się do niej z zadowoleniem, przeświadczony, że sama jego obecność zaradzi wszelkiemu złu.

- Bar-zo się cieszę, że jesteś już bezpieczny - odparła Jacqueline po angielsku, z

całkowitą szczerością.

Tylko gdzie jest Armand?!

- A teraz - zawołał wesoło sir Edward — usiądźmy wszyscy wygodnie, a markiz opowie nam dokładnie, jak udało mu się wyrwać ze szponów tych krwiożerczych bestii, rewolucjonistów. Siadaj tu, Jacklyn! -Wskazał jej niskie, wygodne krzesło obok lady Harrington.

François-Louis stanął w malowniczej pozie przed kominkiem, opierając się od niechcenia o jego obramowanie, wcale niespeszony chłonącym każde jego słowo audytorium.

-Jak wszyscy państwo wiecie, zostałem aresztowany wkrótce po ucieczce Jacqueline i fałszywie oskarżony o udział w spisku. Uwięziono mnie w Palais de Luxembourg. Był to niewyobrażalny koszmar: zostałem pozbawiony wszelkich praw i zatrzymany wbrew mej woli. Pocieszałem się jednak myślą, że przynajmniej Jacqueline i jej siostry są bezpieczne. Wiedziałem, że moje dni są policzone, zostaną postawiony przed trybunałem i skazany na śmierć. Byłem jednak w zgodzie z Bogiem i własnym sumieniem, i pogodziłem się ze swoim losem.

Przerwał i wypił łyżeczek koniaku.

- Jaki pan dzielny! - westchnęła zachwycona Laura.

Jacqueline odwróciła głowę i spojrzała na nią. Laura przycupnęła jak ptaszek na brzegu krzesła i spoglądała z uwielbieniem na François-Louisa.

On jej się podoba! - pomyślała Jacqueline z większym zdumieniem niż irytacją.

Markiz obdarzył Laurę wyrozumiałym uśmiechem.

- Była głęboka noc - opowiadał dalej ściszym głosem. - Leżałem na twardym więziennym łożu i nagle dostrzegłem, że jakaś ciemna postać krąży po celi. Natychmiast siadłem na łóżku i spytałem, kim ów człowiek, u diabła, jest i co tu robi w środku nocy. Myślałem, że to jeden ze strażników okrada więźniów podczas snu. Takie kradzieże często się zdarzają, aleja nie miałem zamiaru pozwolić, żeby okradał mnie albo moich towarzyszy niedoli. Choć mężczyzna miał na sobie mundur gwardzisty, nie był żadnym ze znanych mi strażników. Zdumiał się, że nie śpię, ale szybko odzyskał kontenans i pyta mnie, który z więźniów to markiz de Biret? „To ja”, powiadam bez wahania. „Czego ode mnie chcesz?”

Jacqueline wydało się dziwne, że Armand prosił nieznanego więźnia o wskazanie mu osoby, której szukał, ale nic nie powiedziała.

- „Przybyłem, by cię ocalić, panie markizie”, on na to – ciągnął dalej François-Louis.

- „Doprawdy?”, pytam go rozbawiony. „A jak chcesz tego dokonać, poczciwy obywatelu?”

„Straże zostały uspijone”, powiada ten człowiek. „Niech pan wkłada mundur i wychodzimy stąd!”

- Tak łatwo wam to poszło? - zdumiała się Laura.

François-Louis uśmiechnął się do niej.

- Tak przynajmniej sądził ten biedak. W gruncie rzeczy jego plan nie był taki zły, miał tylko jedną wielką wadę.

Znów przerwał i w zadumie obracał w rękę kieliszek, aż bursztynowy trunek zawirował. Drażnił słuchaczy milczeniem, potęgując napięcie.

Jacqueline przygryzła z całej siły dolną wargę, by nie błagać go, żeby mówił dalej. François-Louis tego właśnie pragnął. Dla niego to tylko zabawa! - pomyślała z goryczą. Mówił przecież o wydarzeniach, które zaważyły na losie Armanda... Ale dla markiza de Biret, gdy już wylądował bezpiecznie na angielskiej ziemi, była to jedynie okazja do wywarcia wrażenia na innych, ciekawa historyjka, jaką będzie mógł nieraz powtarzać w najlepszym towarzystwie, póki wszystkim nie spowszednieje.

-No, mówże, człowieku! Nie trzymaj nas w niepewności! Co to za wada? - zniecierpliwził się sir Edward.

-Niestety, nie wszyscy wartownicy zostali uspijeni - odparł François-Louis. - Udało się nam wyjść z celi i dotrzeć więziennymi korytarzami do drzwi wyjściowych, ale za nimi czekało już na nas pół tuzina zbrojnych gwardzistów.

-O mój Boże! -jęknęła Laura, równocześnie przerażona i podekscytowana. -I coście wtedy zrobili?

-Musieliśmy się z nimi zmierzyć - odparł François-Louis takim tonem, jakby podobne utarczki były częścią jego codziennych zajęć. - Udało mi się unieszkodliwić czterech z nich i zabierałem się do piątego, gdy spostrzegłem, że memu towarzyszowi nie poszczęściło się tak jak mnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała ostro Jacqueline.

François-Louis zerknął na nią znad krawędzi kryształowego kielicha.

- Chcę powiedzieć, że porządnie oberwał - wyjaśnił.

Jacqueline zbladła.

-De Biret, chyba takie szczegóły nie są stosowne w towarzystwie dam - zmiłgował go sir Edward.

-Najmocniej przepraszam! - François-Louis skłonił się lekko narzeczonej.

-Zapominam, że nie jestem już we Francji, gdzie przemoc i rozlew krwi są

zjawiskiem powszednim, nawet dla dam.

Jacqueline odpowiedziała na te przeprosiny lodowatym spojrzeniem. Nikt jej nie musiał tłumaczyć, jak wygląda teraz życie we Francji. Dobry Boże! Czemu namawiała Armanda, żeby tam pojechał?!

- Oczywiście ruszyłem mu w sukurs i sytuacja nieco się poprawiła, dzięki czemu uwolnił się od przeciwnika i obaj rzuciliśmy się do ucieczki - mówił dalej. - Oddaliliśmy się już znacznie od gwardzistów, ale tereny otaczające więzienie są rozległe i trudno się tam ukryć. Gwardziści zaczęli do nas strzelać. Mnie żaden z nich nie trafił, ale mój kompan znowu miał pecha.

Jacqueline z całej siły zagryzła usta, żeby nie krzyknąć. Poczula na języku metaliczny smak ciepłej krwi.

-Oczywiście zatrzymałem się i próbowałem mu pomóc, ale trafili go w nogę, i to dość groźnie, tak że nie mogłem dalej biec. „Uciekaj beze mnie!”, zaklinał. „Niech chociaż jeden z nas się uratuje!” Tak więc, choć było to sprzeczne z zasadami honoru, których przestrzegam przez całe życie, postanowiłem się ratować, by jego śmierć nie była całkiem daremna. „Bóg niech cię ma w swej opiece, przyjacielu!” - powiedziałem. A potem popędziłem tak szybko, że sam diabeł by mnie nie dogonił. Następnie zaś...

-Zostawiłeś go tam?! - przerwała mu nagle Jacqueline po francusku, nie będąc w stanie dłużej się powstrzymać. - To nie może być prawda! François-Louis musiał coś pomylić! -Zostawiłeś go na śniegu, rannego i krwawiącego, na pastwę Gwardii Narodowej?!

-Nic nie mogłem dla niego zrobić - odparł markiz również po francusku, zdecydowanym tonem. - Uznałem, że będzie lepiej, jeśli przynajmniej jeden z nas ujdzie z życiem.

-Mogłeś chociaż spróbować - zawołała Jacqueline drżącym głosem. - Mogłeś go podnieść, podeprzeć i pociągnąć za sobą! Mogłeś rzucić się na gwardzistów i zdobyć jakąś broń! Albo wziąć jednego z nich jako zakładnika! Mogłeś wreszcie zostać razem z nim, dać się aresztować i spróbować ucieczki przy innej nadarzającej się okazji... - wyliczała jednym tchem po francusku wszystko, czego sama by spróbowała, zamiast opuszczać niedoszłego wybawcę. - Mogłeś zrobić wszystko jedno co, byle go nie zostawiać...

-Jacqueline! - przerwał jej stanowczo François-Louis, urażony do żywego. - Chcesz wyrokować o sprawach, o których nie masz pojęcia! Próbowałaś sama walczyć z

gwardzistami w obronie Antoine'a, i co to dało? Jego i tak aresztowali, a ciebie skazali na śmierć.

-Ale przynajmniej próbowałam mu pomóc! -Jacqueline załamał się głos. -
Przynajmniej nie patrzyłam z założonymi rękami, jak oprawcy go zabierają...

-Jacklyn, moja kochana, jesteś z pewnością bardzo zmęczona - wtrąciła lady Harrington, chociaż nie była w stanie zrozumieć ich sprzeczki. Podeszła do swej podopiecznej. - Chodź teraz ze mną na górę - powiedziała łagodnie, biorąc ją za rękę. - Markiz oczywiście przenocuje u nas. Będziesz mogła porozmawiać z nim jutro rano, kiedy poczujesz się lepiej.

Jacqueline spojrzała na lady Harrington zamglonym wzrokiem. Odruchowo ujęła wyciągniętą do niej rękę, czerpiąc pociechę z mocnego, opiekuńczego uścisku starszej kobiety.

- Proszę nam wybaczyć - powiedziała lady Harrington, pociągając Jacqueline w stronę drzwi. - I dobrej nocy!

Jacqueline nie odwróciła się, nie potrafiła spojrzeć na François-Louisa. Pozwoliła się wyprowadzić z pokoju, żałując z całej duszy, że tak jej zależało na tym, by markiz de Biret dotarł szczęśliwie do Anglii.

Rozdział 11

Cichy, uparty kobiecy płacz mącił ciszę lodowato zimnego poranka w La Force.

Armand nie próbował już zatykać uszu, aby odgrodzić się od tego łkania, jak to czynił zaraz po uwięzieniu. Przeciwnie, zmuszał się do wsłuchiwania w to żalosne skamlenie, by spotęgować gniew, który dodawał mu siłę, gdy mozolnie i wytrwale unosił się i opadał na zimne kamienie podłogi. Muskły ramion i piersi sztywniały i nabrzmiwały z wysiłku. Wiedział, że w nocy będzie miał zakwasy, ale zaciskał zęby i zmuszał się do zrobienia pięciu następnych ćwiczeń, a potem jeszcze pięciu... To dążenie do nieskomplikowanego celu sprawiało mu satysfakcję i na jakiś czas uwalniało od myśli, gdy tak zmuszał ciało do bezwzględnego posłuchu i skrajnego wysiłku. Jego ramiona drżały, buntując się przeciwko takiemu traktowaniu, toteż z pomrukiem zadowolenia rozluźnił w końcu mięśnie i opadł na podłogę, ciężko dysząc i przyciskając rozpalony policzek do brudnych, zimnych kamieni.

Potem przewrócił się na plecy i wyciągnął ręce jak najwyżej, by następnie powoli, płynnym ruchem opuszczać je na piersi i wznosić ku górze. Obracał nadgarstkami i zginał łokcie, starając się zapobiec sztywnieniu i przykurczom mięśni, by osłabić bóle, które niewątpliwie rozpoczną się wieczorem. Po chwili wstał i poświęcił równie wiele czasu na rozciąganie mięśni pleców, boków i nóg, łagodząc w ten sposób skutki dwóch godzin intensywnego ćwiczenia. Oddychał powoli i głęboko, zdumiewając się, że już bez oporów wdycha powietrze, które zaraz po przybyciu wydawało mu się tak gęste i cuchnące, iż omal się nim nie udusił. Myśl o tym, że przywykł wreszcie do tutejszych warunków, napęliła go odrazą.

Po zakończeniu ćwiczeń przeszedł w najdalszy kąt celi i spojrzał na równy rządka jaśniejszych nacięć na ścianie. Było ich dwadzieścia jeden, każde reprezentowało jeden wlokący się nieznośnie dzień w tej zapomnianej przez Boga i ludzi norze. Armand pochylił się, podniósł leżący w kącie niewielki kamień o ostrych krawędziach i cierpliwie wyżłobił na murze następny znak. Nie spieszył się z tym zadaniem, starając się, by kreska była tej samej długości i głębokości co poprzednie; zastanawiał się nawet, czy nie pogłębić wszystkich szczerb, by pozostały na ścianie, kiedy jego już tu nie będzie. Doszedł jednak do wniosku, że nic go to nie obchodzi, czy nacięcia przetrwają, czy nie. Na razie miał z nich pożytek: nie stracił rachuby dni. Zdawał sobie sprawę, że marnuje czas na bzdurne rozważania tylko dlatego, by czymś zapełnić beznadziejnie pusty dzień. To usiłowanie wydało mu się tak żalosne, że rozzłościł się na samego siebie. Cisnął kamieniem o ścianę z taką siłą, że pękł na trzy kawałki. Postanowił nie żałować pożytecznego narzędzia i nawet nie spojrzał na kamienne odłamki. Rzucił się na twarde łóżko, o wiele za krótkie dla niego, i usiłował skupić myśli na czymś przyjemnym. Przymknął oczy i próbował przywołać miłe wspomnienia. Żadne jednak nie napływały, nawet obraz małej córeczki. Poczł nagle, że przytłacza go rozpacz.

Ni stąd, ni zowąd strasznie mu się zachciało pić. Na ogół nie pozwalał sobie na to, ale teraz wydawało mu się, że gdyby mógł opróżnić butelczynę albo dwie, dokonałby Bóg wie czego! Były to oczywiście śmieszne urojenia, sprzeczne z prawidłami sztuki przetrwania, lecz w tym momencie nie miało to znaczenia. Pragnął alkoholu prawie tak bardzo, jak ujrzeć Jacqueline i poczuć jej kremowe, smukłe ciało w swoich ramionach, choćby jeden jedyny raz, zanim zetną mu głowę. Te zachcianki wydały mu się tak żalosne, a zarazem komiczne, że zaczął się śmiać. Głośny, szydery śmiech z pewnością wprawił w zdumienie strażników i towarzyszy niedoli. Dojdą niechybnie do wniosku, że zaczyna wariować! Kto wie, może tak jest, pomyślał posepnie.

Wiedział, że niebawem umrze. Był tego całkiem pewien, gdyż rozważył wszelkie

możliwości ocalenia i żadnej nie znalazł. Nie wątpił, że Sidney i jego ludzie szukali go, ale ponieważ nie wiedzieli, kogo i jak chce ocalić we Francji, szanse odnalezienia go w tym właśnie więzieniu były niewielkie. Aresztowano go pod nazwiskiem Michel Belanger, choćby więc nawet przejrzeni więzienne rejestry, nic im to nie da. Zgodnie z instrukcjami załoga „Angelique” miała popłynąć z powrotem do Anglii po tygodniu od umówionego spotkania, na które się nie stawił. Wiedział, że Sidney nie zaniecha sprawy i będzie rozpaczliwie starał się dowiedzieć, kogo Armand chciał uratować. Nie miał jednak zwyczaju robić notatek, toteż nie natrafi u niego w domu na żaden pożyteczny ślad. Jediną osobą, która mogła go o tym powiadomić, była Jacqueline, ale dlaczego Sidney miałby się zwracać właśnie do niej?

Ciekawe, czy ten jej lalusiowaty markiz dotarł już do Anglii? Pewnie tak, przy założeniu, że Bourdon dotrzymał warunków umowy: bezpieczny wyjazd z Francji w zamian za pomoc w pojmaniu wybawcy. A papiery, o które wystarał się dla François-Louisa, były naprawdę pierwszorzędne. Jeśli de Biret nie straci głowy, nikt nie powinien go zatrzymać w drodze na wybrzeże. A gdy się już tam znajdzie, z pewnością zdoła się przedostać do Anglii. Kontrrewolucjoniści byli wszędzie, a brytyjskie statki przemytnicze, chętne do przewozu pasażerów, grasowały w pobliżu brzegu.

Jakie powitanie zgotuje Jacqueline swemu cudem odzyskanemu narzeczonemu? - pomyślał ze wzgardą. Czy rzuci mu się w ramiona, obleje łzami, z piękną arystokratyczną twarzą pobladłą i ściągniętą z niepokoju? Nie, to mało prawdopodobne. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić Jacqueline roniącej łzy. Ani razu nie widział, jak płacze - ani wówczas, gdy została skazana na śmierć na gilotynie, ani wtedy, gdy zawiadomił ją o śmierci Antoine'a, ani nawet w tej chwili, gdy stała samotnie na pokładzie „Angelique”, wpatrując się w gasnące w oddali światła ukochanej Francji. Czuł, że Jacqueline za bardzo się zżyła z bólem, śmiercią i nienawiścią, by cokolwiek mogło doprowadzić ją do łez.

Strasznie praktyczna z niej osobka! Czyż nie zgodziła się na miłość z pozbawionym tytułu i honoru człowiekiem interesu, tylko po to, żeby ocalił jej szlachetnie urodzonego oblubieńca? A zdecydowawszy się na taki krok, postanowiła - rozsądna jak zawsze - nie odmawiać sobie odrobiny rozkoszy i zadowolenia. W końcu, czemu nie? Spróbowała po prostu tego, czego de Biret nie będzie jej szczędził przez wszystkie noce ich małżeńskiego pożycia... o ile ma dość rozumu i męskości, by zdać sobie sprawę, jaką kobietę zdobył.

Zacisnął pięści na myśl o pieścizotach markiza de Biret i jego małżonki. Ten drań nie miał do tego prawa! Pozbawiony charakteru fircyk, który nic dla niej nie zrobił, gdy gnęła w Conciergerie, nawet jej nie odwiedził, żeby zobaczyć, jak się miewa! A potem, kiedy to jemu chcieli ściąć głowę, przystał na nikczemny, tchórzliwy plan, by wydać wrogom

człowieka, który chce ocalić mu życie! Mactwa markiza napęłniały Armanda obrzydzeniem. Ten błazen nie był godny oddychać tym samym powietrzem co Jacqueline, a co dopiero dotykać jej, całować czy nazywać swoją żoną!

Poruszył się niespokojnie na łóżku i wbił wzrok w sufit.

Jacqueline nigdy się nie dowie, w jakich okolicznościach jej narzeczony odzyskał wolność - myślał pośępnie. De Biret z pewnością przedstawi się jako bohater, a ona nie będzie miała powodu, żeby w to wątpić. Może zmartwi się, że Armand nie wrócił, może nawet poczuje wyrzuty sumienia, ale z czasem przejdzie nad tym do porządku dziennego. Rewolucja zmusiła mademoiselle Jacqueline de Lambert do pogodzenia się z niejedną tragedią i stratą gorszą od śmierci. Ciekawe, czy od razu wyjdzie za swego markiza? Pewnie tak. Ostatecznie, czemu miałyby z tym zwlekać?

Westchnął z goryczą i zamknął oczy.

Na tę okazję nie będzie się mogła ubrać na czarno! Uśmiechnął się. Gdyby mu pozwolono zaprojektować dla niej ślubną toaletę, wybrałby błękitno-szary jedwab, przetykany srebrną nitką, pod kolor jej sypiących skry srebrzystych oczu. Włosy o barwie miodu powinna upiąć wysoko w fantazyjne loki, tylko kilka nieposłusznych kędziorków opadałoby na jedwabistą szyję. Gdyby to jego miała poślubić, obsypałby ją najrzadszymi i najjaśniejszymi brylantami, gdyż tylko brylantów nie zaćmiłby blask jej urody. A kiedy zostaliby wreszcie sami, powyciągałby wszystkie szpilki, jej włosy spłynęłyby płynnym złotem na ramiona, a potem delikatnie ująłby jej twarz w obie dłonie i dotknął wargami jej ust... Pieściłby ją i kusił, aż przytuliłaby się do niego z całą namiętnością, do jakiej była zdolna...

Jęknął w bezsilnym gniewie i zasłonił oczy ramieniem, starając się odpędzić ten obraz.

Nagle zaświtała mu nowa myśl. A jeśli podczas ich niewiarygodnej nocy miłosnej zostało poczęte dziecko? To mało prawdopodobne, ale możliwe. O dziwo, myśl o obdarzeniu Jacqueline dzieckiem nie była mu wcale przykra. Gdy sobie jednak uświadomił, że dziecko to wychowywałoby się jako syn lub córka markiza de Biret, ogarnął go mroczny, bolesny gniew. Ten słabeusz, pyszałek, egoista, tchórz! Jaki byłby z niego ojciec?! Co prawda on sam nie okazał się lepszym ojcem dla Angelique ani mężem dla Lucette - przypomniał sobie z goryczą. Kochał je obie ponad wszystko w świecie, a mimo to wołał uganiać się za rozkoszami życia, zamiast opiekować żoną i córką. Nie było go przy nich, gdy najbardziej tego potrzebowały. Zawiodły się na nim, podobnie jak matka. Jeśli zaś na skutek

przewrotności losu Jacqueline zaszła w ciążę, sprawi zawód również nienarodzonemu, umierając i pozostawiając je pod opieką tchórza, który dba o własną skórę bardziej niż o szczytne zasady, wdrażane mu od kolebki.

Dolatujące z korytarza głosy przerwały jego rozmyślania. Jeden z nich, szorstki i gardłowy, należał do dozorca - odrażającego brutala nazwiskiem Pinard, który nie przepuścił żadnej okazji, by połączyć pracę z przyjemnością. Jego rozmówca mówił krótko i dobitnie; głos miał niecierpliwy i władczy. Armand się uśmiechnął. Nicolas Bourdon złożył mu wreszcie wizytę. Dzień nie będzie tak nudny, jak się wydawało!

Za drzwiami rozległ się brzęk ciężkich kluczy. Armand z prawdziwym zainteresowaniem podniósł się z łóżka na powitanie gości. Drzwi skrzypnęły i się otwały. Najpierw ukazał się w nich niechlujny Pinard, potem nieskazitelnie wytworny Nicolas Bourdon.

- Inspektorze Bourdon, to zaszczyt witać takiego gościa w mej skromnej siedzibie - mruknął Armand i skłonił się lekko. - Proszę wybaczyć jej oplakany stan, ale tutejszy personel nie dba zbyt o schludność.

Pokręcił głową i westchnął teatralnie.

- Zostaw nas samych - warknął Nicolas do dozorca, ściągając grube skórzane rękawiczki.

Zaczekał, aż drzwi zamkną się za Pinardem.

- Proszę spocząć, inspektorze - zaproponował uprzejmie Armand, wskazując twarde drewniane krzesło.

-Nie! - odmówił kategorycznie Nicolas zimnym, nieugiętym głosem, jakby przyjęcie niewinnego zaproszenia równało się przyjęciu łapówki.

-Wobec tego ja usiądę - oświadczył Armand, siadając na krześle i wyciągając przed siebie długie nogi. Leniwie skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał kpiąco na Nicolasa. - Proszę mi powiedzieć, inspektorze, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Nicolas spochmurniał. Widać było, że uważa za niestosowne to, by więzień czuł się swobodnie w jego obecności.

-Mam nadzieję, że ci się już znudziła obecna siedziba - zaczął tonem pełnym ironii i pogardy.

-Chcecie, obywatelu, przemeblować to pomieszczenie? - spytał grzecznie Armand z taką miną, jakby pomysł ogromnie przypadł mu do gustu.

Nicolas zignorował tę uwagę.

- Zostałem upoważniony przez Komitet Bezpieczeństwa Publicznego do przedstawienia ci propozycji, którą uznasz chyba za godną uwagi.

Zamilkł, czekając na jakąś oznakę zainteresowania. Armand spoglądał na niego obojętnie i nic nie mówił.

Nicolas zaczął rytmicznie uderzać rękawiczkami o udo.

- Gdybyś był skłonny przyznać się do winy, można by ci zapewnić inne, znacznie lepsze warunki...

Armand spojrzał na niego zdumiony.

-Przyznać się? - powtórzył.

-Nie mogę ci obiecać ulaskawienia, to jasne - uściślił Nicolas. - Komitet Bezpieczeństwa Publicznego nie spogląda łaskawym okiem na spiskujących przeciw Republice Francuskiej. Mogę jednak zagwarantować, że nie stracisz życia, tylko spędzisz kilka lat w więzieniu. W zamian za oszczędzenie trybunałowi kosztownego i niepotrzebnego procesu, zostaniesz potraktowany wyjątkowo łagodnie. Podszepnę im, by skazano cię na deportację. Oczywiście wraz z przymusową pracą - przyznał - ale z pewnością nie będzie to dożywocie. Może dziesięć lat... najwyżej piętnaście. Podobno tropikalny klimat w koloniach jest całkiem przyjemny. Chyba przyznasz, że takie rozwiązanie byłoby korzystniejsze od zgnicia w tej celi albo od ostrza gilotyny.

Armand ściągnął brwi w zamyśleniu, udając, że zastanawia się nad słowami inspektora.

-I to wszystko? - spytał po chwili milczenia. W jego głosie brzmiała nutka podejrzliwości. - Mam się tylko przyznać do winy?

-Oczywiście na piśmie - wyjaśnił Nicolas. - Muszę mieć podpisane imieniem i nazwiskiem oświadczenie z dokładnym opisem twoich zbrodni przeciw Republice Francuskiej. Kiedy sporządzisz ten dokument, przedstawię go Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego. Wyrażając zgodę na współpracę, unikniesz kary śmierci.

-Z jakiej racji mieliby potraktować mnie łagodnie? - dopytywał się Armand, nadal nieprzekonany.

Nicolas znów trzepnął rękawiczkami o udo.

- Francuskie więzienia pękają w szwach. W samym tylko Paryżu mamy ponad siedem tysięcy więźniów oczekujących procesu i uparcie obstających przy swej niewinności. Gilotyna, acz niezwykle sprawna, już nie nadąża ze ścinaniem głów. Sam więc widzisz, że

każde dobrowolne przyznanie się do winy, ułatwiające pracę trybunałowi, jest mile widziane. Zwłaszcza - dodał z naciskiem - jeśli zawiera nazwiska pomocników i współników.

Armand spojrział na niego tępo.

-Jakich współników?

-Tych, którzy pomagają w zdobyciu fałszywych dokumentów, środków transportu, pożytecznych informacji i tak dalej - wyjaśnił Nicolas.

-A, to o takich chodzi? - spytał głupkowato Armand.

-I cóż ty na to? - dopytywał się niecierpliwie inspektor. - Chcesz z tego skorzystać?

Armand zawahał się przez chwilę; bawił się doskonale, trzymając Nicolasa w niepewności. Potem spojrział na niego rozjaśnionym wzrokiem.

- No pewnie! - wykrzyknął. - Byłbym głupi, gdybym z tego nie skorzystał!

-Mam przy sobie pióro i papier - oświadczył Nicolas i wyciągnął przybory z kieszeni ciepłego płaszcza.

-Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności - zauważył Armand. - Proszę mi je dać, a spiszę od ręki moje wyznanie.

Przysunął krzesło do niewielkiego stolika i czekał, aż Nicolas rozłoży na nim papier, pióro i niewielki kałamarz. Następnie wziął pióro do ręki, zanurzył w atramencie i zaczął pokrywać stronę śmiałym, zamaszystym pismem. Nicolas stał nad nim i przyglądał mu się z zadowoleniem. Widać było, iż jest ogromnie rad, że namówił go do złożenia zeznań. Po chwili Armand przerwał pisanie, przejrzał to, co napisał, i złożył podpis.

-Proszę bardzo - powiedział wesoło, wyciągając papier do Nicolasa.

-Już gotowe? - spytał zdumiony inspektor, odbierając od niego dokument.

Pospiesznie przeczytał to, co Armand napisał. Było to zwięzłe przyznanie się do tego, że przebrany w mundur Gwardii Narodowej usiłował bez powodzenia uwolnić markiza de Biret z więzienia luksemburskiego, czego szczerze teraz żałuje. Podpisał się jako obywatel Michel Belanger.

-Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło! - warknął Nicolas, czerwony z gniewu.

-Nie o to? - spytał Armand niewinnie.

-Nie waż się kpić ze mnie! - ostrzegł Nicolas cichym, groźnym głosem. -Wiesz równie dobrze jak ja, że nie jesteś Michelem Belangerem!

-Doprawdy? - spytał ubawiony Armand. - Zdumiewające! Nie trzymaj mnie w niepewności, inspektorze! Kim zatem jestem?

Nicolas uśmiechnął się ponuro.

-Zwą cię, przyjacielu, Czarnym Księciem.

-Czyżby? - odparł Armand protekcyjnym, z lekka ironicznym głosem.

Nicolas pokiwał głową.

-Jesteś tym samym człowiekiem, który sprzedał gwardzistom zaprawiony laudanum trunek, podając się za winiarza Laurenta.

-Naprawdę? -Armand odchylił się na krześle do tyłu i splótł ręce na karku. -
Interesujące! A czy gwardziści to potwierdzili?

-Nie - przyznał Nicolas, wyraźnie zirytowany. - Widać przebranie było naprawdę doskonałe, bo ci durnie nie wierzą, żebyś mógł być tamtym człowiekiem. - Podszedł bliżej do Armanda i zatoczył wokół niego krąg jak drapieżnik przysuwający się coraz bliżej swej ofiary. - Ale nie wiedzą, z jakim niezwykłym talentem odgrywasz każdą rolę - przyznał chmurnie. - Nie znają tak dobrze jak ja twojej kariery. - Zatrzymał się i zmierzył go twardym wzrokiem. - I nie mieli okazji oglądać cię dotąd w akcji. - Pochylił głowę tak, że znalazła się na wysokości głowy siedzącego Armanda. - Prawda... obywatelu Julien?

Armand spokojnie wytrzymał jego spojrzenie; wydawał się bardziej ubawiony niż zainteresowany. Nie mógł zdradzić przed Nicolasem, że jego podejrzenia są słuszne.

Od chwili aresztowania Armanda Nicolas za wszelką cenę starał się udowodnić, że pojmał Czarnego Księcia, i był wściekły, że François-Louis nie może tego potwierdzić. Armand podejrzewał, że inspektor zastawił na niego pułapkę przede wszystkim dla osobistej satysfakcji. Pewność, że schwytał człowieka, który wykradł mu sprzed nosa Jacqueline, miała posmak słodkiej zemsty. A poza tym tak niezwykły wyczyn jak złapanie Czarnego Księcia wywrze z pewnością wielkie wrażenie na Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego i niechybnie czeka go za to szcudra nagroda. Nicolasowi brakło jednak dowodów, że owego wyczynu dokonał. Markiz de Biret napisał co prawda list do narzeczonej, prosząc ją o pomoc, nic jednak nie świadczyło o tym, że obywatel Michel Belanger działał w imieniu Jacqueline de Lambert ani że był osławionym Czarnym Księciem. Myśl, że Nicolas tak rozpaczliwie chce udowodnić, iż schwytał groźnego przestępcę, i zyskać tytuł zbawcy republiki, dostarczała Armandowi przewrotnej radości, kiedy odmawiał potwierdzenia tych roszczeń. Bez względu na to, czy mu udowodnią, że jest Czarnym Księciem, czy nie, prędzej umrze, niż wyda tych, którzy dostarczyli mu istotnych wiadomości, fałszywych dokumentów czy powozów.

- Obawiam się, że jesteście w błędzie, obywatelu inspektorze - oświadczył

bezczelnie.

Nicolas nie zwrócił na to uwagi.

- Przez ostatni rok nękałeś republikę pod niejednym przebraniem - mówił, krążąc wciąż po celi. - Odgrywałeś młodzieńców i starców, a nawet kobiety. Nieustannie zmieniałeś wygląd, barwę włosów, sposób bycia i mowę. Byłeś groźnym przeciwnikiem, wyprzedzałeś zawsze o krok naszą rewolucyjną sprawiedliwość. - Zatrzymał się przed Armandem. - Ale dni twojej złej sławy dobiegły już końca, przyjacielu! - Uśmiechnął się triumfalnie, choć z domieszką goryczy. - Przypieczętowałeś swój los tego dnia, kiedy przeszkodziłeś mi w cieszeniu się tym, co było niezaprzeczalnie moje! Pamiętasz to wydarzenie, prawda? - spytał cicho, nachylając się jeszcze bardziej. - Przysięgłem sobie, że będę miał tę sukę, tak czy inaczej. Ale ty wszedłeś nam w paradę! A potem ją uprowadziłeś! - Wyprostował się i znów zaczął krążyć po celi. - Drogo za to zapłaciłem. Ja, naczelny inspektor, pozwoliłem, by Czarny Książę sprzątnął mi skazaną sprzed nosa! Grozili, że mnie aresztują. Mówili, że musiałem być w zмовie, gdyż znałem byłą mademoiselle de Lambert i jej rodzinę. - Pokręcił głową, jakby nie mógł w to uwierzyć. - Przecież to dzięki mnie aresztowano jej ojca i brata... a oni twierdzą, że pomogłem jej uciec! Cóż za ironia losu!

Armand udał, że dyskretnie ziewa i się przeciągnął.

- Wybaczcie, inspektorze. Twoja historyjka jest na pewno pouczająca, ale nie znam ludzi, o których mówisz, i niezbyt mnie obchodzą ich losy.

Twarz Nicolasa stężała. Przeobraziła się w maskę nienawiści i pogardy.

- No cóż, mój książę, może to, co teraz powiem, zainteresuje się bardziej - warknął. - Wiem, że jesteś Czarnym Księciem, i dopilnuję, żebyś został osądzony i skazany. Wszystko mi jedno, jak długo to potrwa, miesiące, lata czy resztę twego nędznego żywota, rozumiesz? Będziesz gnici w tej cuchnącej kloace bez końca, a w każdym razie do chwili, gdy znajdę niepodważalne dowody. Pomyśl jednak, ile cię będzie kosztowała ta powściągliwość w słowach - ostrzegł. - Najpierw stracisz zdrowie. Zepsute jedzenie, brak powietrza i ruchu, zimno, wilgoć... to wszystko niebawem podkopie twoje siły. W miarę upływu miesięcy i lat twoja młodość także cię opuści. Pozostaną ci tylko wspomnienia, coraz bardziej wyblakłe i dalekie. Na koniec zaczniesz tracić rozum i życie będzie już tylko łańcuchem pustych, pozbawionych sensu dni, godzin i minut, ciągnących się bez końca. Przemyśl to sobie, książę, i zawiadom mnie, kiedy będziesz gotów wszystko wyznać - dodał triumfalnie. - Możesz mieć szybki proces i zginąć z honorem albo przedłużysz tę niegodną człowieka egzystencję i umrzesz obrzydliwie powolną, ohydną, upokarzającą śmiercią.

Głośnie, miarowe chrapanie rozległo się gromko w malutkiej celi. Nicolas odwrócił

się i zobaczył, że jego rozmówca zasnął głęboko z głową wspartą na ramieniu i nogami wyciągniętymi daleko przed siebie. Minę miał pogodną, jakby nie był świadom straszliwych obrazów, jakie roztaczał przed nim inspektor. Nicolas zacisnął zęby w bezsilnym gniewie.

- Dozorca! - warknął przez kratkę w masywnych drewnianych drzwiach.

Czekając, aż Pinard go wypuści, odwrócił się raz jeszcze, by spojrzeć na Armanda.

- Jak sobie życzysz, przyjacielu! - syknął. - Zostań tu i gnij tak długo, jak tylko zechcesz!

Jacqueline spędziła rano w swoim pokoju, nie chcąc widzieć nikogo. Wiedziała, że w końcu musi zejść na dół i stawić czoło François-Louisowi, ale potrzebowała trochę czasu do namysłu.

Armand został schwytany. Jej najgorsze obawy się sprawdziły. Nie wiadomo, z jakiego powodu coś się nie powiodło. Gwardia Narodowa czekała już na niego. Może w jego plany wkraść się jakiś błąd... Albo po prostu szczęście go opuściło. Tak czy inaczej, był ranny, może nawet śmiertelnie, a François-Louis zostawił go na łaskę losu.

Teraz zrozumiała, że nie był to grzech nie do wybaczenia. W końcu Armand sam nalegał, by markiz uciekał bez niego. Jeśli czuł, że umiera, z pewnością nie chciał umrzeć nadaremno. Ale myśl o śmierci Armanda wydała się jej nie do przyjęcia... to po prostu niemożliwe! W końcu François-Louis widział tylko, jak go pojмали. Nie był świadkiem jego śmierci. Jeśli obrażenia Armanda były poważne, nie mógł długo wyżyć w brudzie paryskiego więzienia. Jednak między logiczną oceną sytuacji i prawdopodobieństwem spełnienia się tej prognozy istniała malutka, ale jasna iskierka nadziei, niewielka szansa, że Armand wylizał się z ran i nie został jeszcze stracony. Wydawało się to tak nieprawdopodobne, że Jacqueline prawie odrzuciła taką ewentualność... ale musiałaby wówczas przyjąć do wiadomości, że Armand nie żyje, a ona jest odpowiedzialna za jego śmierć. Było to przerażające. Uczepiła się kurczowo kruchej nadziei, że jednak wyżył. W tej sytuacji miała do wyboru dwie drogi: albo pozostać w Anglii i modlić się, by wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Armand zdołał się jakoś sam uwolnić, albo wyruszyć do Francji i spróbować mu w tym pomóc.

Zanim pokojówka zastukała do jej drzwi, zawiadamiając, że pan markiz chciałby się z nią widzieć i że czeka w muzycznym pokoju, Jacqueline podjęła decyzję. Schodziła ze schodów, widząc przed sobą jasno wytyczony cel i czerpiąc z tego pociechę i siłę. Nie było teraz czasu na bezradność, uzalanie się nad sobą i pretensje do Pana Boga, że zniszczył jej życie. Wszystko nagle stało się niewiarygodnie proste. Armand był w niebezpieczeństwie i

potrzebował pomocy. Pojedzie więc do Francji i spróbuje wydostać go z opałów. Nie wiedziała, jak tego dokonać i zdawała sobie sprawę, jak niewielkie szanse powodzenia ma jej wyprawa. Ale to było bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że Armand jej potrzebuje. Postara się go nie zawieść.

Z pokoju muzycznego dobiegała jakaś żywa melodia. Jacqueline ujrzała François-Louisa siedzącego przy fortepianie i grającego gawota. Przycupnięta na krzeselku Laura spoglądała nań wzrokiem pełnym uwielbienia. Prezentowała się całkiem ładnie w głęboko wyciętej pod szyją sukni z białego atłasu w różowe paski, przybranej bukietkami także różowych, atlasowych kwiatków. François-Louis wyglądał niemal równie malowniczo jak ona w swej srebrzystobiałej peruce, seledynowym surducie i jasnożółtej jedwabnej kamizelce, ozdobionej zielonym haftem. Obfite koronkowe mankiety wystawały z rękawów, wznosząc się i opadając na jego białe dłonie, które zwinnie tańczyły po klawiszach. To mój narzeczoney, pomyślała Jacqueline i zdumiała się, jak obca i dziwna wydaje się jej ta myśl. Przecież François-Louis należał do tego samego świata co ona! Wiedli podobne życie i mieli takie same poglądy, wychowani byli w identycznych zasadach. I oboje ponieśli ogromne straty na skutek rewolucji. W minionej epoce, w innym pokoju muzycznym to ona siedziałaby na wprost niego w ślicznej sukni, podziwiając jego muzyczną biegłość i wdzięczne ruchy. Utwór dobiegł końca i Laura zaczęła klaskać z zapalem.

- To było cudowne! - wykrzyknęła głosem wysokim i słodkim jak ptasi świergot. - Po prostu cudowne! Ale niech pan gra dalej, François-Louisie! Proszę mi zagrać coś, czego jeszcze nie słyszałam!

Markiz wstał i teatralnym gestem przyłożył rękę do serca.

- Mademoiselle Lauro, za promiennosc, jaką wnosi pani, wchodząc do pokoju z tym ślicznym uśmiechem, grałbym dla pani bez końca, wszystko, co mam w swym repertuarze... a potem, byle tylko zatrzymać panią przy sobie, przewertowałbym cały zbiór nut pani ojca.

Wstał od fortepianu i skłonił nisko przed swą słuchaczką, potem zaś ujął jej leżącą na podolku dłoń i przycisnął do ust w szarmanckim pocałunku. Laura uroczo westchnęła i rozjaśniła się w uśmiechu.

- Może ja... lepiej wróci potem? - wydukała po angielsku Jacqueline, czując się tu intruzem.

Zdziwiła się tylko, czemu scenka, której właśnie była świadkiem, nie budzi w niej gniewu, lecz wydaje się sztuczna i niemądra.

François-Louis wyprostował się i uśmiechnął, ani trochę niespieszony obecnością

Jacqueline. Laura wydawała się nieco bardziej zaskoczona, ale niezażenowana tym, że narzeczony przyjaciółki prawi jej dusery. Spojrzenie, jakie rzuciła Jacqueline, było triumfujące, jakby właśnie udało się jej czegoś dowieść.

- Jak miło cię widzieć, Jacqueline - Skłonił się grzecznie François-Louis. - Czujesz się dziś lepiej?

Uśmiechał się, ale oczy miał czujne, jakby nie wiedział, czy dobrze z nią postępuje.

- Znakomicie - odparła Jacqueline, urażona aluzją do jej wczorajszego zachowania, wywołanego jakoby złym samopoczuciem. - Chciałeś ze mną mówić? - spytała z przymusem.

Teraz, gdy już postanowiła, że pomoże Armandowi, każda chwila była cenna. Nie zamierzała tracić czasu na grę François-Louisa.

- Istotnie. - Zwrócił się do Laury. - Mademoiselle Lauro, muszę porozmawiać z Jacqueline po francusku, gdyż oboje lepiej władamy tym językiem. Proszę nie mieć nam tego za złe.

Laura uśmiechnęła się uroczo.

- Ależ oczywiście - odparła słodko. - Już zmykam!

Podniosła się z krzesła i wionęła przez pokój, pozostawiając za sobą zapach wody różanej.

François-Louis zaczekał, aż wyszła, podszedł do drzwi i je zamknął.

-Dawno nie mieliśmy okazji, Jacqueline - powiedział do narzeczonej - porozmawiać ze sobą w cztery oczy.

-Wyglądasz znakomicie - zauważyła. -Więzienie jakoś ci nie zaszkodziło.

Wzruszył ramionami.

- Potrafię się dostosować do każdych warunków - odparł z nonszalancją. -A poza tym jestem bądź co bądź markizem. Nie ośmielili się uwięzić mnie razem z jakimiś szumowinami!

Wyjął koronkową, perfumowaną chusteczkę i dyskretnie otarł czoło.

-...Na przykład w Conciergerie? - zapytała z gorzką ironią Jacqueline.

-Fatalnie się złożyło, że zabrali tam ciebie - zauważył. - To musiało być okropne dla was obojga.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Antoine nie przeżył tego - szepnęła.

Miało to zabrzmieć gniewnie, ale w jej głosie było zbyt wiele bólu.

Podszedł do niej i obiema rękami pochwycił jej dłoń.

- Gdybym mógł ci go przywrócić, moja słodka Jacqueline, zrobiłbym to, choćby z

narażeniem własnego życia!

Głos miał łagodny i przyjazny; przez chwilę czerpała z niego pociechę.

- Jednakowoż - ciągnął dalej - najlepiej uczymy pamięć twego ojca, Antoine'a i wszystkich ofiar tej krwawej rewolucji, mocno trwając przy życiu. Musimy pokazać tym brudnym prostakom, że nie można nas złamać i że nie pozwolimy okradać się z tego, co do nas prawnie należy!

Brudnym prostakom... W ten sposób François-Louis postrzegał wielu mieszkańców Francji. Kiedyś zgodziłaby się z jego oceną, teraz jednak drażniło ją takie lekceważące określenie większości rodaków. Wróciła myślami do swej sprzeczki z Armandem, kiedy tłumaczył jej, że chłopci głodują, uprawiając ziemię należącą do panów. Pańskie stoły ugięły się pod ciężarem zamorskich przysmaków, podawanych na cieniutkiej porcelanie i błyszczącym srebrze, a mężczyźni, kobiety i dzieci chłopskie, ci, którzy orali, siali, żęli i zbierali plony byli zmarznięci, brudni i głodni. Chyba rzeczywiście system, który powodował taką nędzę, nie był właściwy?

- Porzucam dziś gościnnie dom Harringtonów i przenoszę się do mego starego przyjaciela - mówił dalej François-Louis. - Przyjąłem wczoraj uprzejme zaproszenie na noc tylko dlatego, że zależało mi na rozmowie z tobą. Wybacz, ale znajduję się w kłopotliwej sytuacji i muszę prosić cię o przysługę.

- Jaką?

Puścił jej rękę i dyskretnie odkaszlnął.

- Nie mam pieniędzy - zaczął zażenowany. - Niestety, nie zadbałem o przelanie żadnych kwot na zagraniczne konto, kiedy było to jeszcze możliwe. Proszę więc, żebyś mi pożyczyła jakąś sumkę, póki nie wydobędę się z tej rozpaczliwej sytuacji.

- Oczywiście - odparła Jacqueline z wahaniem. - Przykro mi, ale nie mogę ci wiele użyczyć, bo sama prawie ich nie mam - usprawiedliwiła się. - Korzystam wraz z moimi siostrami ze szczodroblewości Harringtonów.

Choć przesłała sir Edwardowi fundusik na koszty utrzymania Suzanne i Seraphine, wiedziała, że opiekun wzbraniał się z niego czerpać. Kwota była niewielka, a żadnych innych pieniędzy dziewczęta nie miały.

-Będę ci niezwykle wdzięczny za każdą sumę - oświadczył gładko François-Louis.

-Poproszę sir Edwarda, by przeniósł na twój tutejszy rachunek bankowy pięćset funtów z naszego funduszu.

-Pięćset funtów? - powtórzył François-Louis, jakby sądził, że słuch go myli.

Jacqueline poczuła się jednocześnie upokorzona i zirytowana. Wiedziała, że

narzeczony przywykł do życia w wielkim stylu. Pięćset funtów było dla niego bagatelką niewartą wzmianki.

- To wszystko, na co mnie stać - powiedziała z przymusem.

Była pewna, że ubranie, które miał na sobie, kosztowało więcej. Ciekawe, jak zdołał za nie zapłacić?

- Doceniam twą wielkoduszność - odparł sztywno. - Jest jeszcze pewna sprawa, którą chciałbym z tobą omówić, nim odjadę.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

-Cóż to takiego?

-Kwestia... naszego narzeczeństwa. - Podeszedł do okna i wyjrzał przez nie. - Chciałbym znać twoje zdanie w tej materii. Sytuacja ogromnie się zmieniła od czasu, gdy omawialiśmy z twoim ojcem sprawę naszego kontraktu ślubnego. - Kaszlnął dyskretnie. - Prócz mego tytułu nie mam ci prawie nic do zaoferowania. Moja sytuacja finansowa jest... powiedzmy, dość niepewna. Ponieważ i tobie brak funduszków, potrafiłbym zrozumieć, gdybyś chciała wyjść za jakiegoś angielskiego arystokratę, który zapewniłby bezpieczną przyszłość tobie i twoim siostrze. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Krótko mówiąc, zwrócę ci słowo, jeśli ci to jest na rękę.

-Nie odpowiedziała od razu. Ofiarował jej drogę wyjścia, uwolnienia się od niewygodnego zobowiązania. Z drugiej jednak strony był tym, kogo sobie dla niej życzył ojciec. W dawnej Francji stanowił wspaniałą partię, a nawet teraz tworzyli dobraną parę. Znał jej ojca i brata, bywał w Chateau de Lambert. Doskonale rozumiał, co straciła. A gdy w końcu sytuacja we Francji się poprawi, z pewnością będzie chciał tam wrócić.

Teraz jednak małżeństwo nie było jej w głowie. Myślała tylko o tym, by wrócić do Francji i przyjść z pomocą Armandowi. Gdyby jej się to jakimś cudem udało, następnym celem byłoby zabicie Nicolasa. Poza tym nie miała innych planów. Ponieważ jednak nie zwierzyła się François-Louisowi ze swych zamiarów, nie mogła bez powodu zrywać zaręczyn; byłoby to dla niego ujmą. Pomyślałby, że go już nie chce, bo nie ma majątku. Nie zasługiwał na taką zniewagę.

- Nie musimy podejmować decyzji od razu - powiedziała rozsądnie. - Oboje znaleźliśmy się w obcym kraju, powinniśmy przystosować się do nowych warunków. Sprawa naszych zaręczyn to nic pilnego. Jeśli ci to odpowiada, odłóżmy ją na razie. Wrócimy do niej w przyszłości.

Skłonił się lekko, istny wzór dobrych manier.

- Jak sobie życzysz, Jacqueline - oświadczył z całą powagą. - Porozmawiamy o tym w późniejszym czasie.

Położył jej dłonie na ramionach i pochyliwszy głowę, pocałował ją w usta. Ten pocałunek zaskoczył ją, choć François-Louis miał przecież prawo ją ucałować. Ale był to tak powściągliwy, oficjalny, tak do przesady przyzwoity całus! Zupełnie nie przypominał pocałunków Armanda, które tak ją rozplómięły. Czy on zawsze mnie tak całował? - zastanawiała się, spoglądając w bladoniebieskie oczy markiza i czując mdląco słodki zapach jego perfum.

- Po południu udaję się do domu mojego przyjaciela - oświadczył. - Chciałbym odwiedzać cię raz w tygodniu, by upewnić się, że dobrze się miewasz. Zostawię także sir Edwardowi mój adres, żebyś mogła w razie czego napisać do mnie.

Za dzień lub dwa już mnie tu nie będzie, pomyślała. I może nigdy nie wrócę.

-Dziękuję - szepnęła miękko. Skłonił się i ruszył do drzwi.

-François-Louis! - zawołała.

Może powie jej coś więcej o Armandzie? Może zapewni ją, że Armand nie umarł? Może zaofiaruje swą pomoc? Spojrzał na nią pytająco.

- Słucham?

Popatrzyła na wdzięczną postać w barwach jasnej zieleni i bladej żółci, na śnieżnobiałe loki peruki. Oto człowiek, którego zamierzała poślubić. Oto powód, dla którego wysłała Armanda do Francji. Oto tchórz, który porzucił swojego wybawcę, rannego i broczącego krwią, by ratować własną skórę!

- Nie, nie... już nic-szepnęła.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jeszcze raz się skłonił i wyszedł z pokoju.

Odwróciła się do okna. Ze smutkiem, choć niezbyt dojmującym, pomyślała, że oto ważna część dawnego, szczęśliwego życia straciła dla niej nagle wszelką wartość.

Rozdział 12

Lodowato zimna morska bryza smagała poszarzałą twarz Jacqueline. Stojąc na pokładzie „Angelique”, przechylała się przez reling i modliła o rychłą śmierć. Wiedziała, że

morska choroba kiedyś minie, ale niewielka to była pociecha, gdy jej ciałem targały mdłości, a z gardła wydobywał się okropny charkot. W żołądku nie pozostało już nic, co mogłaby zwrócić, ale torsje nie ustawały, toteż nadal trwała przy burcie. Wpatrywała się posepnie w kadłub statku, który gwałtownie wznosił się i opadał na zimnych, czarnych falach. Z dwojga złego było to lepsze niż siedzieć w kajucie kapitana i patrzeć, jak wszystko wokół podskakuje.

Przytknęła czoło do lodowatego relingu i z trudem zaczerpnęła powietrza. Było słone, lecz czyste i poczuła się trochę lepiej. Zapomniała już, jaka okropna jest choroba morska! Ale nawet gdyby pamiętała, nie odstraszyłoby jej to od podróży. Armand był we Francji. Żeby tam dotrzeć, musiała przebyć kanał La Manche. Innej drogi nie było. Poza chorobą morską najtrudniejsze w tej wyprawie okazało się przekonanie Sidneya Langdona o słuszności rozwiązania, które proponowała.

Po odjeździe François-Louisa Jacqueline skreśliła kilka słów do siostry Armanda, Madeleine, prosząc, by ją odwiedziła. Madeleine zjawiła się jeszcze tego samego popołudnia i Jacqueline powiadomiła ją, że ma najnowsze wieści o tym, że Armand został ujęty i musi jak najszybciej zobaczyć się z panem Langdonem. Pod pretekstem wspólnej przejażdżki obie panie udały się do jego domu, gdzie Jacqueline oznajmiła, że wyrusza do Francji odszukać Armanda i bardzo prosi, by Sidney i cała załoga „Angelique”, jeśli chcą jej pomóc, popłynęli z nią do Calais. Z początku Sidney odmówił, twierdząc, że nie chce ponosić odpowiedzialności za jej śmierć. Jeśli dowiedziała się czegoś o Armandzie, powinna mu to powiedzieć, a on i cała załoga wezmą sprawę w swoje ręce. Jacqueline stwierdziła uprzejmie, że do Francji pojedzie i tak, z jego pomocą albo bez niej, a wszystko, co ma do powiedzenia na temat Armanda, powie dopiero wówczas, gdy dotrą do Calais.

Spór, który rozgorzał po tych słowach, był długi i żaarty, ale Jacqueline pozostała nieugięta i w końcu Sidney skapitulował. Nie ulegało wątpliwości, że jego lojalność względem Armanda i pragnienie ujrzenia go znów na wolności zatriumfowały nad troską o bezpieczeństwo Jacqueline. W ciągu dwudziestu czterech godzin zebrano całą załogę i przygotowano statek do drogi, Jacqueline wymknęła się z domu Harringtonów i była już z Sidneyem w drodze do Dover. Zostawiła krótki liścik do sir Edwarda i lady Harrington z wyjaśnieniem, że wyjeżdża w bardzo pilnej sprawie i powierza Suzanne i Seraphine ich pieczy aż do swego powrotu.

I tak oto znalazła się na statku. Stała teraz na pokładzie na niepewnych nogach i nie miała pojęcia, jak zdoła zejść na dół do kajuty, a *co* dopiero dotrzeć do Paryża, odnaleźć Armanda i wyciągnąć go z więzienia. Znow wstrząsnęły nią torsje, przechyliła się więc przez

reling i wymiotowała spowita oparami lodowatej, słonej mgiełki, unoszącej się nad oceanem. Chciało jej się płakać. Miała ochotę upaść na pokład i umrzeć. Ale nade wszystko pragnęła, by Armand wziął ją na ręce i zaniósł do kabiny, zapewniając, że nie pozwoli, by umarła, bo popsułoby mu to interesy.

Nie zauważyła, że Sidney Langdon podszedł do niej; poczuła tylko, że ktoś zarzucił jej na ramiona gruby, wełniany koc, odciągnął od relingu i poprowadził po śliskich deskach pokładu do schodków wiodących do kajut.

- Musi pani trochę odpocząć - tłumaczył Sidney po francusku, prowadząc ją do kajuty Armanda. Otworzył drzwi. - Dotrzemy do wybrzeża dopiero za kilka godzin. Proszę zdjąć przemoczone ubranie, położyć się i spróbować zasnąć. Zawiadomię panią, gdy będzie już widać brzeg.

- *Merci, monsieur Langdon* - zdołała wykrztusić.

Zęby jej szczękały. Otuliła się szczelnie kocem.

Sidney skłonił głowę i zamknął drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że nie cieszy się z jej obecności na pokładzie.

Jacqueline zdjęła przemoczone ubranie i rozwiesiła je przy palenisku, żeby wyschło. Chociaż wzięła ze sobą płócienną nocną koszulkę, w skrzyni Armanda poszukała męskiej bawełnianej koszuli. Włożyła ją przez głowę. Ciepła i miękka koszula sięgała jej poniżej kolan, rękawy były tak długie, że ukryła w nich dłonie. Najprzyjemniejsze było to, że bawełna wydzielala jeszcze słabą, korzenną woń, która kojarzyła się jej z Armandem. Jacqueline czuła się w nowym stroju wygodnie i bezpiecznie. Usadowiła się w łóżku z kolanami pod brodą. Była jeszcze słaba, ale mdłości przeszły. Przytuliła się do poduszki i powiedziała sobie po raz tysięczny, że Armand żyje. Musi go tylko odnaleźć!

Gdy kilka godzin później Sidney zastukał do drzwi, Jacqueline była już na nogach, ubrana w skromny, czarny kostium podróżny. Schowała resztę rzeczy do torby i raz jeszcze przejrzała fałszywe dokumenty, o które wystarał się Sidney. Zdobył je w nadzwyczaj krótkim czasie od jednego ze współpracowników Armanda w Londynie. Podczas tej wyprawy do Francji Jacqueline występowała jako obywatelka Pauline Duport, młoda wdowa z Blois. Jej zmarły mąż był stolarzem. Gdyby ktoś wypytywał, miała mówić, że spadła na niego deska i zmarł na skutek zakażenia rany w nodze. Wdowa postanowiła udać się do Paryża i zamieszkać razem z ciotką. Ta prosta historyjka powinna zaspokoić ciekawość towarzyszy podróży. Jako wdowa Jacqueline mogła nosić czarny kapelusz z woalką, która osłaniała jej twarz. Co prawda nie przypuszczała, by nadal poszukiwano skazanej na śmierć zdrajczyny

Republiki Francuskiej, obywatelki Jacqueline Doucette, dawnej mademoiselle de Lambert... ale młoda kobieta podróżująca samotnie zwykle przyciąga uwagę mężczyzn, którzy uważają się za nader pociągających i nie przepuszczają żadnej okazji, bo a nuż się uda?

Wyszła znów na pokład, wyglądając francuskiego brzegu, który wylaniał się z mroków przedświt. O dziwo, wszystko wyglądało prawie tak samo jak w chwili jej wyjazdu, niespełna trzy miesiące temu. Co prawda teraz pierzaste gałęzie sosen ugięły się pod ciężarem śniegu, a w nędznych domkach na wybrzeżu płonęło więcej świateł... Choć nie zajaśniały jeszcze zorze, wiele osób wstawało już z łóżek. Reszta widocznego skrawka ziemi była mroczna, dzika i piękna. Jacqueline poczuła ogromną ulgę i gorzką, bolesną miłość do ojczyzstego kraju, który jawił się coraz bliżej i bliżej. Nie został jeszcze spustoszony ogniem przez rozjuszoną tłuszczę ani zatopiony w morzu przez rozgniewanego Boga z powodu win jego mieszkańców. Francja nadal tu była, czekała na powrót swoich dzieci, cierpliwie znosiła okrucieństwo i terror, które się przez nią przetaczały i leniwie rozciągnięta u boku morza zapewniała bezgłośnie: Za sto lat to wszystko przeminie, śladu po tym nie zostanie - a ja nadal będę trwała!

„Angelique” nie podpływała do brzegu, ślizgając się bezszelestnie po wodzie, by uniknąć ciekawskich oczu, wtopiona w miękką aksamitną czerń nocnego nieba. Łódź ukryto za skalnym cyplem. Na wzburzone, zimne fale spuszczone szalupę i nim Jacqueline się obejrzała, Sidney znosił jej torbę po sznurowym trapie zwisającym z burty. Już czas!

-No cóż, mademoiselle de Lambert, spełniłem pani życzenie. Przywiozłem panią do Calais. - Postawił torbę na pokładzie i spojrzał na Jacqueline: - Teraz pani kolej. Gdzie on jest?

-Został aresztowany - zaczęła Jacqueline, starając się nie patrzeć w dół, gdzie łódź mała jak dziecinna zabawka podskakiwała na falach, a znajdujący się w niej dwaj marynarze mocno trzymali koniec sznurowej drabinki, by ogromne fale nie uniosły ich z dala od macierzystego statku.

-Domyślałem się tego - odparł niecierpliwie Sidney. - Czego jeszcze się pani dowiedziała?

-Został aresztowany podczas nieudanej próby uratowania markiza de Biret z więzienia luksemburskiego. Członkowie Gwardii Narodowej czekali już na nich w ogrodzie otaczającym więzienie. Udało im się pojmać Armanda.

-Skąd pani o tym wie?

- Markiz zdołał uciec. Dowiedziałam się o tym od niego. Sidney zrobił sceptyczną minę.

-Powiada pani, że markiz uciekł, a Armandowi się nie udało? Jak to możliwe?

-Postrzelili go - wyjaśniła Jacqueline. - Nie mógł biec. Markiz musiał uciekać bez niego.

-Jak poważnie go ranili? - dopytywał się Sidney głosem pełnym napięcia.

-Nie wiem - przyznała Jacqueline. -Ale mam nadzieję, że nie była to ciężka rana i że już się goi.

Langdon milczał przez chwilę, rozważając to, co mu powiedziała.

- Może już nie żyje - stwierdził w końcu.

-Nie! - zaprotestowała gwałtownie Jacqueline. - To niemożliwe! Nie wyglądał na przekonanego.

-Skąd pani może to wiedzieć?

Jak miała mu wytłumaczyć?

- .. Bo to czuję, choć sama nie wiem jak... Bo w moim sercu nadal tli się światełko, taki nikły płomycek... Nie było go, zanim poznałam Armanda... Bo jeśli on żyje, to jest jeszcze na świecie sprawiedliwość i może nawet moje życie ma jakiś sens... A jeśli go już nie ma, to i mnie już nie ma. Została tylko pusta skorupa, w której zagnieżdżyły się ból, nienawiść i wyrzuty sumienia... I nigdy niczego nie da się już naprawić. Bo nie warto.

-Po prostu wiem - powiedziała na głos.

-Wie pani, gdzie on jest?

-Nie, tego nie wiem - przyznała. - Ale go znajdę!

Uniosła dumnie głowę i spojrzała na niego z niezłomnym przekonaniem, jakby rzucała mu wyzwanie.

-Będę go szukał razem z panią - postanowił.

-Nie! - oświadczyła Jacqueline stanowczo. - Byłby pan bardziej zaważą niż pomocą. Samotna kobieta poszukująca pracy, młoda wdowa jadąca do krewnych, wzbudzi sympatię i szacunek. Większość ludzi zostawi ją w spokoju. Ale kobieta podróżująca w towarzystwie postawnego, krzepkiego mężczyzny będzie podejrzana. Już sobie wyobrażam te pytania! Z czego żyjecie? Ja to możliwe, że stać was na taką podróż, do samego Paryża! Jesteście krewnymi? Bliskimi? Czemu on ma taki dziwny akcent? Skąd pochodzi? Gdzie są wasze dokumenty, obywatele? - Pokręciła głową. - Naprawdę w pojedynkę będę się czuć bezpieczniej. Chyba pan to rozumie, monsieur Langdon?

Nie był całkowicie przekonany.

-Armandowi to by się nie spodobało - stwierdził.

-Monsieur St. James nie byłby zadowolony, że tu jestem, choćby i z eskortą - zauważyła.

-To prawda - przyznał Sidney. Westchnął z rezygnacją. - No dobrze. Moi ludzie odstawią panią bezpiecznie na brzeg. Potem niech pani robi, co chce...

-*Merci!* - podziękowała.

-...Pod warunkiem że spotka się pani z nami w Boulogne dokładnie za osiem dni - dokończył.

-Za osiem dni?! -jęknęła Jacqueline.

Sidney kiwnął głową.

-Dwa dni na podróż dylizanssem do Paryża. Cztery na znalezienie Armanda i wyciągnięcie go z więzienia. I dwa na powrót z Paryża do Boulogne. Powinno pani starczyć czasu.

-Osiem dni! - powtórzyła Jacqueline, nie mogąc wręcz uwierzyć.

-Im dłużej tu pani zabawi, tym większe szanse, że panią złapią - zauważył. - Kiedy go pani znajdzie, proszę z nim od razu uciekać, żeby nie zdążyli posłać go na gilotynę, bydlaki!

-Ale jeśli go nie znajdę w ciągu czterech dni? - zaprotestowała.

- Wsiądzie pani sama do dylizansu do Boulogne. Czy to jasne?

Mowy nie ma! Ani myśli opuszczać Francję bez Armanda! Nie miała jednak zamiaru przyznawać się do tego Sidneyowi. Spojrzała na niego poważnie i kiwnęła głową.

- Rozumiem.

-To dobrze! Na wszelki wypadek będziemy mieli oko na wybrzeże, tam, skąd zabraliśmy panią i Armanda, o dzień wcześniej, gdybyście jakimś cudem uwinęli się szybciej. Trafi tam pani?

-Tak - skłamała Jacqueline.

Spała jak suseł, kiedy tam podjeżdżali, ale nic nie miało znaczenia. Armand będzie wiedział, jak trafić. A gdyby go nie było... nie w głowie jej będzie podróż morską.

- Ma więc pani osiem dni, mademoiselle de Lambert - przypomniał raz jeszcze Sidney. - Proszę się nie spóźnić!

Chwycił jej torbę i rzucił jednemu z marynarzy w łódce.

- Na pewno nie! - obiecała solennie Jacqueline.

Odwróciła się, westchnęła głęboko i zaczęła schodzić po sznurowej drabince.

Podróż dylizansem do Paryża była długa i męcząca; nerwy sprawiały, że Jacqueline mdliło niemal bez przerwy. Gdy po wylądowaniu znalazła się na brzegu, musiała brnąć ponad sześć kilometrów po zaśnieżonej drodze. W Calais miejscowy rybak powiedział jej, gdzie zatrzymuje się dylizans jadący do Paryża. Bez trudu znalazła miejsce. Z obawy, że woźnicy może się wydać dziwne, iż młoda kobieta podróżuje samotnie i że nikt jej nie odprowadza, opowiedziała mu o tym, jak przywiózł ją do Calais sąsiad, który nie mógł czekać na odjazd dylizansu. Woźnica wzruszył ramionami i burknął, że interesuje go tylko to, czy pasażerka zapłaci za przejazd. Reszta go nie obchodzi!

W trakcie dwudniowej podróży do Paryża dylizans kilkakrotnie zatrzymywały groźnie wyglądające oddziały Gwardii Narodowej, żądając okazania dokumentów. Jacqueline starała się być opanowana, posłusznie okazywała papiery i odpowiadała bez wahania na pytania gwardzistów. Za każdym razem miała wrażenie, że żołnierz spogląda na nią podejrzliwie. Dopiero na trzecim postoju zorientowała się, że gwardziści odnoszą się nieufnie do każdego. Wszyscy podróżni wyraźnie odetchnęli, gdy oddano im dokumenty i dylizans ruszył w dalszą drogę. Najwyraźniej podejrzliwość rządu budziła strach we wszystkich, bez względu na to, czy mieli coś na sumieniu, czy nie.

Późnym popołudniem drugiego dnia podróży dylizans dotarł wreszcie do celu. Jacqueline wysiadła powoli; plecy jej zeszywniały, stawy bolały, nogi ścierpły od siedzenia w ciasnocie i niewygodzie. Każdy z pasażerów, mruknąwszy szybkie „do widzenia!”, ruszył w swoją stronę. Nikt nie rozglądał się za mityczną ciotką, która miała czekać na Jacqueline na postoju. Nikogo to nie obchodzi! - pomyślała z ulgą i zdziwieniem. W obecnych czasach nikt nie troszczył się o bliźnich.

Trzymając kurczowo torbę, Jacqueline poszła odnaleźć Justina, przyjaciela Armanda. Przypomniała sobie, że mieszkał w dzielnicy zwanej Montmartre, w północnej części Paryża, przy rue de Vent. Gdyby udało jej się odnaleźć tę ulicę, z pewnością rozpoznałaby dom, a stanąwszy oko w oko z Justinem, poprosiłaby o pomoc w odnalezieniu Armanda. Pamiętała, jak wielkim szacunkiem i oddaniem darzyli się nawzajem obaj przyjaciele i nie miała wątpliwości, że Justin, dowiedziawszy się o uwięzieniu Armanda, natychmiast zaoferuje swą pomoc.

Szła może pół godziny z nadzieją, że zmierza we właściwym kierunku; uliczki były jednak kręte, a szarawe światło zimowego dnia szybko gasło. Zaczęła się niepokoić, że będzie musiała się zatrzymać i spytać kogoś o drogę, a tego wolałaby uniknąć. Kontakty z nieznanymi mogły okazać się fatalne w skutkach. Obywatele republiki prześcigali się w okazywaniu lojalności wobec rządu rewolucyjnego, czyli w składaniu donosów na każdego,

kto ubierał się zbyt wytwornie, mówił zbyt poprawnie lub nie pałał świętym gniewem, cechującym gorliwych rewolucjonistów. Ruszyła więc dalej, licząc na łut szczęścia, łudząc się, że w końcu dostrzeże w pobliżu coś znajomego.

Skreśliła w ulicę z mnóstwem straganów, wokół których tłoczyli się ludzie, targując się zawzięcie. Zorientowawszy się, że nie jest to ulica, której szukała, pospiesznie przeciskała się przez cizbę, starając się uniknąć szturchańców. Szczęśliwie usunęła się z drogi jakiejś rozpychającej się olbrzymce, gdy nagle coś uderzyło ją z całej siły w brzuch i żebra. Był to mały chłopiec, który pojawił się nie wiedzieć skąd i rozpaczliwie usiłował przedrzeć się przez tłum. Nagłe zderzenie zbiło Jacqueline z nóg. Chłopiec też się przewrócił, wypuszczając z rąk coś, co przyciskał do piersi.

- Jest tutaj! - ryknął wściekle jakiś mężczyzna. - Trzymać go!

Nim Jacqueline zdążyła zaczerpnąć tchu i usiąść, wokół niej i chłopca wyrósł mur ludzi. Chłopiec wstał i zacisnąwszy pięści, mierzył złym wzrokiem ludzi, jakby wyzywając śmiałka, który odważy się go zaatakować.

Ponieważ nikt nie wyciągnął ręki do Jacqueline, by pomóc jej wstać, podniosła się sama i przyjrzała z bliska małemu oberwańcowi. Wyglądał na jedenaście, najwyżej dwanaście lat. Gniewna twarzyczka była brudna, ciemne włosy zmierzwione. Ubranie - zniszczone, podarte, nigdy nieprane - nie chroniło go dostatecznie przed mrozem. Wytłuszczoną kurtkę związał kawałkiem wystrzępionego sznura. Spodnie, z których zapewne wyrósł, sięgały do połowy łydki. Odmrożone kościste nogi były gołe mimo srogiego mrozu. Popękane buciska wypchał kawałkami gazet, próbując bezskutecznie ochronić stopy przed wilgotnym śniegiem. U nóg chłopca leżał zapomniany bochenek razowego chleba, który trzymał oburącz uciekając.

- Przepuście mnie! - ryknął wściekłym głosem zwałisty mężczyzna, przedzierając się przez tłum.

Zobaczył, że chłopcu nie udało się umknąć, i uśmiechnął się tak złowieszczo, że Jacqueline zaparło dech. Rozpoznała okrutny, złośliwy uśmiech urodzonego sadysty i brutalą, który lubi karać bez litości, budzić przerażenie, zmuszać siłą do posłuchu.

- No i co? - zaczął groźnie, zbliżając się do chłopca. - Śmiesz mnie okradać, ty brudna świnió?!

Chłopiec zadrzał mimo woli, ale nie cofnął się i nadal trzymał wysoko zaciśnięte pięści.

-Pozwólcie, obywatelu... - zaczęła Jacqueline. Chciała zapłacić za chleb, łudząc się, że to zakończy sprawę.

-Pokażę ci, co czeka złodzieja, który poważył się mnie okraść! - wrzeszczał osiłek, w miarę jak zbliżał się do chłopca. - Najpierw połamię ci wszystkie kości. A jak z tobą skończę, Gwardia Narodowa zajmie się tym, co z ciebie zostanie! I co ty na to, sukinsynu?

Chłopiec wydał z siebie jakiś gniewny skrzek i rzucił się na prześladowcę, młóćąc pięściami, kopiąc i gryząc. Zaskoczony mężczyzna zaklął i próbował go odepchnąć. Wrzasnął z bólu, gdy chłopak zatopił mu zęby w nadgarstku.

- Cholerny bękart!

Uderzył z całej siły dziecko w twarz, ogłuszając je i odrzucając na kilka kroków do tyłu. Jacqueline krzyknęła, ale głos jej zginął w ryku rozentuzjasmowanego tłumu. Chłopiec przez chwilę stał jak skamieniały, potem pokręcił głową, jakby chciał zebrać myśli. Krew płynęła mu z nosa. Spojrzał podejrzliwie na przeciwnika i nagle skoczył znów ku niemu ze wściekłym pomrukiem. Walił go pięściami po piersi i brzuchu, nie mogąc dosięgnąć twarzy. Przez chwilę mężczyzna nie reagował, jakby bawiły go żałosne wysiłki chłopaka. Potem chwycił go za kołnierz na karku i zaczął tłuc po twarzy olbrzymią pięścią. Tłum wrzeszczał z radości i wiwatował, uznawszy bicie małego złodziejaska za doskonałą zabawę.

I tym razem głos Jacqueline zginął w hałasie. Chłopiec usiłował się wyrwać, lecz nie był równym przeciwnikiem dla potężnego draba, który trzymał go mocno i walił po twarzy i głowie. Dzieciak miał rozciętą wargę, ranę pod okiem i krew rozmazaną po całej twarzy.

Z dzikim okrzykiem gniewu Jacqueline rzuciła się na osiłka, który najwidoczniej miał zamiar zatłuc chłopca na śmierć. Szarpała go za włosy i drapała po twarzy.

- Puszczaj go, krwiożerczy bydlaku! - wrzeszczała, wrywając mu garść włosów.

Mężczyzna ryknął z bólu. Puścił chłopca i złapał się oburącz za głowę. Wtedy Jacqueline z całej siły uderzyła go łokciem w odsłonięte żebra. Osiłek ryknął z wściekłości i natarł na nią, zapominając o chłopcu, który - zamiast skorzystać z okazji i zwać - śledził ze zdumieniem dalszy rozwój wypadków.

-Przeklęty, podły sukinsynu! – wrzeszczała Jacqueline i wspiąwszy się na palce, uderzyła osiłka z całej siły po twarzy.

-Ten smarkacz mnie okradł! - wybełkotał mężczyzna, oszołomiony niespodziewanym atakiem. - Mam prawo bronić swojej własności!

-I katować głodujące dziecko?! - Jacqueline nie posiadała się z wściekłości. - Czy nowa republika daje prawo nędznym szumowinom takim jak ty tłuc bezbronnego chłopca?!

W tej chwili zrozumiała swój błąd. Dało o sobie znać jej arystokratyczne pochodzenie! Pospiesznie usiłowała zatuszować pomyłkę.

-Wybaczenie, obywatelu. Nie miałam zamiaru was obrażać, chcę tylko zapłacić za ten chleb...

-Coś mi się zdaje, że mamy tu wielką damę! - ryknął triumfalnie osiłek, patrząc groźnie na Jacqueline.

Tłum zdumiał się, ale zaszemrał potakująco.

-Nie, nie! Mylicie się - protestowała Jacqueline, ogarnięta paniką.

-To arystokratka, ani chybi! - wrzasnęła jakaś kobieta z tłumu.

-Od razu żem to zmiarkował - przyświadczył ktoś inny.

-Nie zrobiłam nic złego - usiłowała się bronić Jacqueline.

-Obraziłaś nasz rząd - upierał się gburowaty właściciel chleba. -A to podejrzana sprawa, no nie?

I uśmiechnął się zadowolony, że ma dobre, legalne podstawy do tego, by zemścić się na cholernej babie.

Chłopiec, który bacznie obserwował całą scenę, nie próbując uciec, zrobił nagle przerażoną minę.

- O rany! - jęknął. -Jaka tam z niej arystokratka! Przecież to Camille Dube! Ta, co jej mąż dopiero co zmarł na zarazę!

Przez tłum przeleciał jęk zgrozy.

Jacqueline spoglądała na chłopca, nic nie rozumiejąc.

- Zabierzcie ją stąd! - krzyczał dzieciak, cofając się w popłochu.

-Zamknijcie! Nie ma prawa chodzić po ulicach! Ona zatruwa powietrze!.. . O Boże święty! A was, obywatelu, nawet rękami dotykała!

-zwrócił się do człowieka, który go skatował.

Potem odwrócił się nagle i rzucił do ucieczki. Tłum zaczął się cofać, pozostawiając Jacqueline oko w oko z osiłkiem, który też odsunął się od niej.

-Co ten szczeniak gada? - spytał, mierząc podejrzliwym wzrokiem jej żalobny strój.

-Wasz mąż naprawdę zmarł na zarazę?

-No... tak - wyjąkała Jacqueline, która szybko pozbierawszy myśli, postanowiła skorzystać z podstępu wymyślonego przez chłopca. - Ale to było dwa tygodnie temu! Całe ciało miał w takich ropiejących wrzodach... Niektóre to nawet poczerniały z tej choroby!... Aleja nie mam ani znaku... tylko ten mały wrzodzik na ramieniu, będzie

już trzeci dzień.

Zacząła zawijać rękaw, jakby chciała zademonstrować mu wrzód.

- Precz ode mnie! - ryknął.

Oczy wyszły mu na wierzch z przerażenia. Zaczął gorączkowo wycierać dłonie o zakiet.

- Wynoś się z naszej ulicy! Nie potrzeba tu takich jak ty! No, wynocha!

Przerażony cofnął się jeszcze o kilka kroków.

Jacqueline rozejrzała się po tłumie. Ludzie patrzyli z lękiem i jakąś chorobliwą ciekawością, czekając, co zrobi teraz zapowietrzona. Podstęp małego chłopca okazał się skuteczny. Z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

- Dobrze, pójdę - odparła pokornie.

Podniosła torbę, którą upuściła podczas zderzenia z chłopcem. Tłum rozstępował się, pozostawiając jej szeroką drogę. Jacqueline obrzuciła ich żalonym spojrzeniem i powoli odeszła uliczką, starając się wyglądać na rozżaloną.

Błąkała się po ulicach Montmartre'u, zdecydowana odnaleźć bez niczyjej pomocy dom Justina. Po ostatniej przygodzie uznała, że z nikim nie zamieni ani słowa, chyba że będzie to konieczne. Wszyscy zbyt gorliwie pragnęli przysłużyć się rządowi! Po dwóch godzinach błądzenia na mrozie zdała sobie sprawę, że nie wie, dokąd iść. Była zmarznięta i wyczerpana, szybko zapadał zmrok. Zatrzymała się na rogu jakiejś ulicy, postawiła torbę na ziemi i zaczęła rozcierać zgrabiące ręce. I co dalej? - myślała pośepnie.

- Wiesz, obywatelko, że łazisz w kółko?

Odwróciła się zaskoczona. Za nią stał chłopiec, niedbale oparty o mur jednego z domów.

- Siedzisz mnie? - spytała oskarżycielskim tonem.

Wzruszył ramionami.

- E tam!... Chciałem tylko być pewny, że wyliziesz z tych zakamarków bez szwanku.

Jego odpowiedź tylko trochę ułagodziła Jacqueline. Nie chciała, żeby jej ktoś deptał po piętach. Wszystko jedno, z jakiego powodu!

- Dzięki za troskliwość - powiedziała niechętnie.

Zauważyła, że dzieciak stał krew z twarzy, ale ślady bicia nadal były widoczne. Lewe oko miał opuchnięte i podbite, pęknięta warga nabrzmiała, na policzkach pod bladą skórą widniały fioletowe siniaki.

-Zabiłabym bydlaka! - burknęła pod nosem.

-Głupia byłaś, żeś się w to wmieszała. Omal cię nie przyskrzynili!

-To ty byłeś głupi, żeś kradł - odparła gniewnie. - Omal cię nie zatłukli!

-A bo mi to pierwszozna? - Niedbale wzruszył ramionami. - Gdybym nie kradł, nie miałbym co jeść.

Prosta prawda tych słów powstrzymała Jacqueline od kazania na temat cudzej własności.

- Czy twoi rodzice wiedzą, że kradniesz? - spytała.

- Nie żyją - odparł obojętnym tonem.

-O!... - A więc nie mogła odesłać go do rodzicielskiego domu. - Kto się tobą opiekuje?

- Nikt - powiedział z irytacją. - Nie potrzeba mi opieki!

Wyprostował się i spojrzał na nią wyzywająco.

- Ach, tak...

Nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat. Przeraziła ją myśl o małym dziecku, które stara się utrzymać własnym przemysłem i musi kraść, by zaspokoić głód.

-Jak ci na imię?

-Philippe Mercier - powiedział. - A tobie?

-Pauline Duport - rzuciła bez wahania.

Przyglądał się jej przez chwilę.

-Nie jesteś z Paryża, prawda?

-Nie.

- Tak sobie myślałem - zauważył z zadowoleniem. - A gdzie chcesz dojść, jak tak chodzisz w kółko?

Jacqueline się zawahała. Chłopiec mógłby jej pomóc w odnalezieniu domu Justina, ale chyba lepiej, żeby nikt nie wiedział, dokąd się wybiera. Z drugiej strony nie miała pojęcia, jak zdoła tam trafić sama. Robiło się coraz ciemniej... Nie miała ochoty nocować na ulicy. Każda godzina była na wagę złota teraz, gdy życie Armanda wisiało na włosku. Musi jak najszybciej dotrzeć do Justina i oboje razem coś obmyślać!

-Szukam domu mojej ciotki, która mieszka przy rue de Vent. Wiesz, gdzie to jest? - spytała z nadzieją w głosie.

-Pewnie! Trzeba się cofnąć... Jakies pół godziny drogi.

-Mógłbyś mi wyjaśnić, jak tam trafić?

- Zaprowadzę.

Odwrócił się i ruszył w stronę, skąd dopiero co przyszła. Jacqueline znów się

zawahała.

- Nie musisz się sam trudzić - zaprotestowała. - Wystarczy, że mi wytłumaczysz...

- Nigdy byś tam nie trafiła! - stwierdził kategorycznie. - No i lepiej, żebym pod ręką... w razie jakichś kłopotów.

Mówiąc to, szedł dalej.

Jacqueline nie chciała mu wypominać, że jej kłopoty zaczęły się w chwili, gdy na nią wpadł. Stała przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna ruszyć za nim.

Philippe się zatrzymał.

- Idziesz czy nie? - spytał niecierpliwie.

Prawdę mówiąc, byłoby głupotą nie skorzystać z jego pomocy.

- Idę - ustąpiła.

Chwyliła torbę i pospieszyła za nim.

-Skąd jesteś? - dopytywał się Philippe, gdy brnęli przez zaśnieżone ulice.

-Z Blois - skłamała. - Mój mąż umarł niedawno, przyjechałam więc do ciotki.

-Bardzo mi przykro...

-A twoi rodzice? - spytała. -Jak umarli?

-Moja matka w więzieniu. W zeszłym roku - odparł rzeczowym tonem. - O ojcu nic nie wiem. Dla mnie już dawno nie żyje.

-Nie masz innej rodziny?

Strasznie było pomyśleć, że jest sam jak palec.

-Nie.

-A gdzie mieszkasz? Wzruszył ramionami.

- Gdzie się da - odparł, jakby to nie miało większego znaczenia. -Jak mamę aresztowali, jakiś czas mieszkałem w naszym wynajętym pokoju, bo myślałem, że wróci. Potem gospodyni powiedziała, że musi mnie wyrzucić, bo nie płacę czynszu. „Mógłbyś spać w kuchni - powiada - I do jedzenia też byś coś dostał, jakbyś mi przynosił to parę groszy, to jakiś drobiazg, co go można sprzedać". Zacząłem kraść i wszystko jej oddawałem. Przez jakiś czas nawet nieźle się nam układało. Ale zeszła się z takim jednym draniem. Jak tylko się wprowadził, zaczął się panoszyć i wszystkich rozstawiać po kątach. Jak sobie podpił, rzucał się na mnie z pięściami. Poskarżyłem się gospodyni, a ona na to: „Ojca chce ci zastąpić!”. „Niech to diabli! -ja na to. - Nie będę płacił za spanie na podłodze i żeby mi kto jeszcze boki obrabiał!" No i poszedłem sobie. Od tej pory jestem na swoim.

-Ale jak możesz tak żyć? - pytała ze zdumieniem Jacqueline. - Gdzie nocujesz?

-Gdzie popadnie. -Wzruszył ramionami. - Pewnie, że łatwiej żyć, kiedy jest ciepło. Ale w kościołach zawsze można się schronić przed zimnem... tylko że ostatnio zaczęli je zamykać. Kilku karczmarzy pozwala mi przespać się na podłodze, jak im pomogę w sprzątaniu. No i parę panienek, co u nich jestem na posyłki, przyjmie mnie czasem na noc, jak nie ma klientów.

Jacqueline zapało dech.

-Masz na myśli... prostytutki? Spojrzał na nią z rozbawieniem.

-Skądże! Siostrzyczki zakonne.

Wybuchnął cynicznym śmiechem, a ona pojęła, że w sprawach tego świata orientuje się nad wiek dobrze.

-Ile masz właściwie lat? - spytała podejrzliwie.

-Trzydzieści - odparł. - Ale w lecie będzie już czterdzieści.

Był mały jak na swój wiek z powodu niedożywienia i opłakanych warunków życia.

-To za mało - ofuknęła go - by spać z prostytutką! Znow wzruszył ramionami.

-Przynajmniej wtedy nie marznę. Na to już nie znalazła odpowiedzi.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Mrok rzucał stalowoszare cienie na pokryte śniegiem miasto, zmieniając wąskie uliczki w niebezpieczne wąwozy. Jacqueline zorientowała się, że bez pomocy Philippe'a nigdy by nie odnalazła domu Justina. Nikt nie zwracał na nich uwagi, choć stanowili osobliwą parę: kobieta w grubej żałobie i mały obdartus o spuchniętej i posiniaczonej twarzy. Ale Philippe poruszał się po mieście tak pewnie, jak po własnym domu. Jego swobodna beztroska dodawała Jacqueline ducha. Widać było od razu, że doskonale zna okolicę i dobrze wie, dokąd idzie. Takiej swobody i pewności Jacqueline musiała się nauczyć, jeśli chciała poruszać się po mieście, nie zwracając niczyjej uwagi.

- To tu! - powiedział w końcu chłopak, gdy skręcili w wąską uliczkę.

Jacqueline wpatrywała się w szereg nędznych domów, usiłując dopatrzeć się czegoś znajomego. Wróciła myślą do dnia, gdy Armand ją tu przywiózł, ocaliwszy z rąk groźnego motłochu. Posadził ją przed sobą na siodle i zapowiedział, by nie ważyła się odezwać. Przybyli tu w całkowitym milczeniu; Jacqueline układała sobie w myśli, co mu powie, gdy będą sami... Ruszyła powoli uliczką, starając się przypomnieć sobie, ile domów minęli, nim Armand skręcił na ścieżkę do stajni.

-Ciotka ci nie powiedziała, pod którym numerem mieszka? — spytał zdziwiony Philippe.

-Tak... - zmieszała się Jacqueline. -Ale... zgubiłam kartkę, na której to było zapisane.

Szła dalej, przyglądając się uważnie domom.

-Może zastukać do sąsiadów i zapytać, gdzie mieszka? - podsunął.

-Nie! - sprzeciwiła się gwałtownie Jacqueline.

Nie chciała za nic zwrócić niczyjej uwagi ani na Justina, ani na siebie. To mogłoby wzbudzić podejrzenia!

- Dlaczego? - dopytywał się Philippe.

Uznał, że jego towarzyszką zachowuje się jakoś dziwnie.

- Już późno - tłumaczyła Jacqueline. - Nie chcę nikomu przeszkadzać. Zresztą, na pewno sama ją znajdę!

I dalej przyglądała się domom.

-Daj spokój, Pauline...

-To chyba tu! - zawołała Jacqueline, zatrzymując się przed frontem domu, który wydał się jej znajomy. - Tak, jestem tego pewna! Bardzo ci dziękuję, Philippe, żeś mnie tu przyprowadził. Pozwól, że dam ci coś za fatygę...

- A nie mógłbym wejść do środka i trochę się ogrzać? - spytał.

Jacqueline się zawahała. Odmówić schronienia zziębniętemu i wygłodniałemu chłopcu wydało się jej okrucieństwem, zwłaszcza że odprowadził ją tak daleko. Nie chciała jednak wplątywać chłopca w spisek antyrządowy ani narażać Justina na niebezpieczeństwo, wprowadzając do jego domu obcego. Zagryzła mocno wargi.

-Ogromnie mi przykro, Philippe, ale chyba nie...

-Nie ruszę się stąd, póki nie będę pewny, żeś trafiła pod właściwy adres i że jesteś bezpieczna - powiedział z naciskiem. - Kubek czegoś gorącego też by mi dobrze zrobił - mruknął pod nosem.

I ruszył w stronę frontowych drzwi.

-Zaczekaj! - zawołała Jacqueline, biegnąc za nim. Skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią wyzywająco. Jacqueline westchnęła.

-No dobrze... - ustąpiła.

Zastukała do drzwi tak samo, jak to zrobił niegdyś Armand: trzy razy szybko i dwa - z większym odstępem.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Justin ze świecą w ręku. Spojrzał na nich podejrzliwie.

-Nie pamiętacie mnie, obywatelu Justin? - zaczęła Jacqueline, odrzucając woal, by

mógł przyjrzeć się lepiej jej twarzy.

-A spotkaliśmy się już kiedyś, obywatelko?

Jacqueline spoglądała na niego zaskoczona. Czemu nie poznał jej od razu?

-No, tak... - Uprzytomniła sobie. Gdy się u niego zjawili z Armandem, była przebrana za chłopca. A kiedy odjeżdżali, wyglądała jak brzemenna wiejska baba z ciemnymi włosami i pożółkłymi zębami. - Kilka miesięcy temu byłam tu przez jeden dzień - wyjaśniła pospiesznie - a jak wyjeżdżałam, spodziewałam się dziecka...

-Kuzynka Delphine! - zawołał nagle Justin i objął ją ramieniem. - I mały kuzynek Henri! - dodał, uśmiechając się do Philippe'a. -Wchodźcie do środka, musicie być strasznie zmęczeni po takiej długiej podróży! - Wpuścił ich do wnętrza i zamknął za nimi drzwi.

-Co mu się stało?! - spytał Philippe.

Patrzył ze zmarszczonymi brwiami na Justina, jakby ten był wariatem.

- Czy to Armand was przysłał? - spytał pospiesznie Justin, nie bawiąc się dłużej w uradowanego z wizyty krewnych; nikt ich już nie mógł podsłuchać.

-Niezupełnie... - odparła Jacqueline. - Ale jestem tutaj z powodu Armanda.

-Kim jest ten chłopak? - powiedział Justin, spoglądając na Philippe'a.

-To przyjaciel...

-Nazywam się Philippe Mercier. A wy kim jesteście, obywatelu? I gdzie się podziała ciotka Pauline? - dopytywał się mały.

-Kto?! - zdumiał się Justin.

-Musimy porozmawiać na osobności, Justinie - odparła Jacqueline, spoglądając wymownie na Philippe'a.

Justin się uśmiechnął.

- Z pewnością jesteś głodny, przyjacielu! Chodźmy do kuchni, dam ci coś do jedzenia.

Philippe nie dał się prosić. Bez słowa ruszył do kuchni za Justinem.

W niewielkim pokoju na końcu korytarza paliło się światło. Ja-cqueline weszła tam, by zaczekać na Justina. Po kilku minutach wrócił z zatroskaną miną.

- Ma porządnie pokiereszowaną twarz. Trzeba ją jak najprędzej przemyć! - Usiadł na krześle na wprost Jacqueline. -W czym mogę pomóc, obywatelko?

Jacqueline odetchnęła głęboko.

- Armand został aresztowany.

-A więc pogłoski okazały się prawdziwe - powiedział cicho. Spojrzała na niego, zbita z tropu.

-Jakie pogłoski?

- W całym Paryżu uciecha, bo Czarnego Księcia podobno wreszcie pojmano - wyjaśnił. - Został jakoby schwytyany w pułapkę, którą sprytnie obmyślił inspektor Bourdon z Komitetu Ocalenia Publicznego.

Cała krew odpłynęła Jacqueline z twarzy.

- Zastawiono na niego pułapkę? - powtórzyła, nie wierząc własnym uszom.

Justin kiwnął potakująco głową.

- Podobno został schwytyany, gdy pomagał markizowi de Biret uciec z luksemburskiego więzienia. Ten inspektor Bourdon jakoś się dowiedział o planowanej ucieczce i zdołał ją udaremnić, chwytając przy tym Czarnego Księcia.

- Ale przecież markizowi udało się uciec! - zawołała Jacqueline.

Justin pokręcił głową.

- Według oficjalnego raportu markiz został zastrzelony podczas próby ucieczki.

-To nieprawda! Zdołał uciec i dotarł do Anglii. Justin zmarszczył brwi.

-Skąd ta pewność?

- Widziałam go tam na własne oczy! - Spojrzała na Justina udręczonym wzrokiem. - Markiz to mój narzeczony. Sama prosiłam Armanda, by go ocalił!... Pewnie Komitet Ocalenia Publicznego nie chce się przyznać do tego, że więzień zbiegł.

Justin zastanowił się przez chwilę.

-To możliwe - przyznał. - W każdym razie, gdy usłyszałem te pogłoski, przestraszyłem się, że naprawdę pojмали Armanda. Nie wiedziałem, że jest znów we Francji... ale on powiadamia tylko tych, którzy są mu potrzebni do realizacji planu. Przeprowadziłem więc dyskretne śledztwo. Człowiek osadzony w La Force utrzymuje, że nazywa się Michel Belanger i że należał do Gwardii Narodowej. Zgadza się to z dokumentami, jakimi się legitymował... ale są podobno sfalszowane. Upiera się też, że działał w pojedynkę. Mogliby go oczywiście od razu posłać na gilotynę za to, że pomagał markizowi w ucieczce... ale woleli go zatrzymać pod kluczem, zanim ostatecznie ustalą, kim jest. Komitet liczy też pewnie na dalsze aresztowania, jeśli coś powie o swoich współnikach.

-Tego się nie doczekają! - stwierdziła Jacqueline z przekonaniem. - Armand nigdy nie wyda swoich pomocników!

-To prawda - zgodził się Justin. - Podobnie jak nikt z nas nie naraziłby go na niebezpieczeństwo.

A ja go naraziłam! - pomyślała z rozpaczą. Wiedziałam, jakie to ryzykowne, ale nalegałam, by ratował François-Louisa! Opadły ją straszliwe wyrzuty sumienia. Justin wstał z krzesła.

- Teraz, kiedy się potwierdziło, że to naprawdę Armand, mu simy opracować plan i znaleźć kogoś, kto go stamtąd wyciągnie - oświadczył.

- Ja to zrobię - stwierdziła Jacqueline.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- To śmieszne! Trzeba się znać na tych sprawach! Nie pomożesz Armandowi, a i tobie utną głowę!

Ta kategoryczna odmowa nie speszyła ani trochę Jacqueline.

-Dobrze znam więzienne życie - odparła spokojnie. - Spędziłam tam wiele czasu i jako odwiedzająca, i jako więźniarka.

-Znajomość więziennych warunków to jeszcze nie wszystko! - upierał się Justin. - Potrzebujemy kogoś nieulekłego, opanowanego, a na dodatek znakomitego aktora!

- Poradzę sobie z tym - zapewniła Jacqueline.

Popatrzył na nią sceptycznie.

-Proszę nie zapominać, że uczestniczyłam już w jednej ucieczce! Od początku do końca towarzyszyłam Armandowi - przekonywała. -Widziałam, co robi. Wiem, jak omija wszelkie niespodzianki. Znam jego przebrania, widziałam, jak zmieniał sposób mówienia i zachowanie...

-Potrafiłabyś zabić w razie potrzeby? - spytał szorstko.

-Tak! - odparła bez wahania.

Zastanawiał się przez chwilę, najwyraźniej nieprzekonany.

-Powiedz, kto może go uwolnić? - spytała Jacqueline. - Statek z załogą pływa teraz w pobliżu francuskiego brzegu, ale nie można się z nimi porozumieć. Jego paryscy pomocnicy mogą zostać rozpoznani nawet w przebraniu. Gdyby któregoś z nich schwytali, byłby to potężny cios dla całej siatki. Mnie tu nie znają i nawet gdy zostanę złapana, nikt na tym nie ucierpi.

-Mówisz tak, jakby twoje życie nie było nic warte - zauważył.

Jacqueline odwróciła wzrok i zapatrzyła się w ogień na kominku.

- Zanim monsieur St. James mnie ocalił, pogodziłam się z nadchodzącą śmiercią -

powiedziała cicho. - Całe moje życie legło w gruzach. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Ale Armand upierał się, że powinnam żyć, czy mam na to ochotę, czy nie. Gdyby nie to, że za wszelką cenę postanowił mnie ocalić, nie siedziałby teraz w La Force, a my nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. - Oderwała wzrok od ognia i popatrzyła na Justina. -Jeśli wydaje ci się, że moje życie wcale mnie nie obchodzi, nie masz racji. To nie jest pragnienie śmierci! Tylko, widzisz, jeśli Armand zginie dlatego, że niechcący wepchnęłam go w zasadzkę, ja nie mogę dłużej żyć!

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Wywarł ogromny wpływ na życie wielu ludzi – powiedział w końcu cicho.

Jacqueline spojrzała na niego zaintrygowana.

- Czy i ciebie ocalił?

Kiwnął głową potakująco.

- Mojej matce, siostrze i mnie groziło aresztowanie — powiedział. - Armand dowiedział się o tym i pomógł nam wymknąć się z domu przed przybyciem Gwardii Narodowej. Matkę i siostrę ukrył w prostych trumnach i przewiózł je tak przez strażę, tłumacząc, że wiezie gnijące już zwłoki.

- I strażnicy nie kazali mu otworzyć trumny?

Justin się uśmiechnął.

- Był środek lata, upał i duchota. Armand postawił na wierzchu jeszcze jedną trumnę, a w niej zepsute mięso i gnijące warzywa. Śmierdziało tak, że kiedy wartownicy podeszli do wozu, zatkali tylko nosy i pomachali mu na znak, żeby zabierał się jak najszybciej. Żaden z nich nie odważył się zajrzeć do środka!

Jacqueline się uśmiechnęła. Armand zawsze miał mnóstwo świetnych pomysłów!

- Gdzie są teraz twoja matka i siostra?

- Obie zabrał do Anglii. Sześć tygodni później moja siostrzyczka zakochała się jak szalona w pewnym kompozytorze i wyszła za niego. Oczekują teraz pierwszego dziecka.

-A matka?

-Ogromnie polubiła Armanda i gdy zaproponował jej pracę u siebie, przyjęła propozycję.

Jacqueline spojrzała na niego z niedowierzaniem.

-Twoja matka pracuje u Armanda?

-Jest jego gospodynią.

Jacqueline spojrzała na niego uważnie. Wijące się jasne włosy... zielone oczy...

-Madame Bonnard to twoja matka?! - zawołała, dostrzegając ogromne

podobieństwo.

-Tak.

-Kiedy ją zobaczyłam, wydała mi się dziwnie znajoma, choć nie wiedziałam czemu.

-Moja rodzina знаła Armanda od wielu lat, jeszcze w czasach, gdy jako chłopak podróżował po Francji przez długie miesiące - wyjaśnił Justin. - Ojciec już nie żyje, siostra i jej mąż gnieźdzą się w malutkim mieszkanku i matka nie miała się gdzie podziać. Wtedy Armand zaproponował jej posadę. Wiedział, że duma nie pozwoliłaby matce skorzystać z jego dobroczynności.

Jacqueline słuchała w milczeniu. A więc Justin znał Armanda od wielu lat! Zapewne poznał też jego żonę. Nie mogła powstrzymać ciekawości.

-Czy znałeś Lucette?

-Spotkałem ją kilka razy, ale w gruncie rzeczy mało ją znałem.

-Jaka była? - spytała, siląc się na obojętność.

-Naprawdę piękna i bardzo wesoła! Lubiła pobudzać ludzi do śmiechu.

-Ach, tak... - mruknęła niewyraźnie Jacqueline; nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć.

Patrzył na nią z zaciekawieniem.

- On znaczy dla ciebie bardzo wiele, prawda? - spytał w końcu.

Odwrociła się, nie mogąc znieść badawczego wzroku Justina.

-Ocalił mi życie - powiedziała. - Pragnę zrobić to samo dla niego. Milczał przez chwilę, potem westchnął.

-Masz jakieś pieniądze czy kosztowności?

- Mam trochę pieniędzy - odparła. - W dobrych starych liwrach, nie w asygnatach! - zapewniła, mając na myśli niemal bezwartościowe banknoty, wydawane przez nowy rząd.

Pokręcił głową.

- Za pomoc, która jest niezbędna, trzeba będzie dużo zapłacić. Cenne informacje, podrobione dokumenty, podwody... Armand zawsze płacił złotem albo srebrem. Tylko wtedy można liczyć na dobrą jakość i dyskrecję.

Jacqueline pomyślała o rodzinnych klejnotach, ukrytych w Chateau de Lambert. Zamek został z pewnością splądrowany, ale być może nikt nie odkrył kryjówek. Wyprawa do zamku była bardzo ryzykowna. Gdyby ją tam schwytano, nie mogłaby ocalić Armanda... Lepiej o tym nie myśleć.

-Wiem, gdzie można znaleźć nieco kosztowności - powiedziała tylko.

-W porządku. - Wstał z krzesła. - Teraz musisz coś zjeść, a potem odpocząć. Planować zaczniemy jutro rano.

Jacqueline najchętniej przystąpiłaby do opracowania planu, ale potulnie wstała i poszła za Justinem do kuchni, gdzie Philippe pożerał bochenek chleba i miskę mięsa. Justin podał jej talerz, a gdy się posiliła, zaprowadził ją i Philippe'a na pięterko. Jacqueline dostała ten sam pokój, w którym Armand przeistoczył ją z młodego rewolucjonisty w wiejską babę. Sypialnia Justina znajdowała się naprzeciwko, Philippe dostał pokój na końcu korytarza. Zmęczona długą drogą Jacqueline umyła się pospiesznie, włożyła nocną koszulę i wślizgnęła się do łóżka. Już miała zdmuchnąć świeczkę, gdy usłyszała jakiś ruch za drzwiami. Przekonana, że to Justin chce z nią coś omówić, podniosła się i poszła sprawdzić, o co mu chodzi.

Skulony na gołych deskach pod jej drzwiami leżał Philippe, nie-rozebrany i przykryty tylko cienkim kocem.

- Co ty tu robisz, na litość boską?! - spytała szeptem. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

-Pomyślałem, że lepiej się tu przeniosę ze spaniem na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy - oznajmił.

-Nie bądź śmieszny! - ofuknęła go. - Dlaczego miałabym wzywać pomocy o tej porze?! Wracaj do swego pokoju!

Philippe się nie ruszył. Spojrzał tylko znacząco na drzwi Justina po przeciwnej stronie korytarza.

- Lepiej tu będę spał - odparł. - Chyba ci to nie przeszkadza?

Ułożył się na podłodze i zamknął oczy.

Jacqueline spoglądała na niego ze zniecierpliwieniem. I nagle zrozumiała: Philippe obawiał się zakusów Justina na jej cnotę! Była wzruszona troskliwością chłopca, ale zdecydowanie nie życzyła sobie, by leżał na korytarzu przez całą noc. Nie chciała też kłócić się z nim, Justin mógłby ich usłyszeć i poczułby się urażony.

- Wejdz do mnie na chwilę, Philippe, omówimy to – poleciła szeptem i uchylila szerzej drzwi.

Popatrzył na nią podejrzliwie, ale wstał i wszedł do pokoju. Jacqueline zamknęła drzwi i spojrzała nań z odrobiną rozbawienia.

- Philippe, jestem bardzo wzruszona, że tak troszczysz się o mnie, ale zapewniam cię, że to zupełnie niepotrzebne. Nic niestosownego nie zdarzy się tej nocy. Proszę, wracaj do

swego pokoju i kładź się do łóżka!

Wzruszył ramionami, ani trochę nieprzekonany.

- Taka dama jak ty nic nie wie o mężczyznach - powiedział z powagą eksperta. -Ale ja ich znam i lepiej, jeśli zostanę tu pod drzwiami. Nie szkodzi, że na podłodze. Nie pierwszy raz.

-Nie możesz spać na korytarzu! - oświadczyła stanowczo. Po raz kolejny wzruszył ramionami.

-Nie możesz mi zabronić!

Jacqueline westchnęła. Opiekuńcza postawa chłopca wzruszyła ją, ale wcale go nie prosiła o pomoc! Ze strony Justina nic jej nie groziło... tylko jak to wytłumaczyć dziecku żyjącemu na ulicy, wśród pijaków, złodziei i dziwki? Nie chciała też przedłużać sporu. Marzyła tylko o tym, by położyć się do łóżka i choć trochę przespać.

- Niech tak będzie - ustąpiła. -Jeśli tak obawiasz się o moją cnotę, nie musisz wracać do siebie. Możesz zostać tu razem ze mną.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

-Nie pozwolę, żebyś znosił niewygodę na korytarzu, kiedy w moim łóżku dość jest miejsca dla nas obojga - powiedziała, odchylając przykrycie.

-Obywatelko Dupont, czy jak ci tam! Nie pójdę z tobą do łóżka! - oznajmił twardo.

Jacqueline z trudem powstrzymała się od śmiechu. Trzy miesiące temu tak samo broniła się przed Armandem, który był dla niej wówczas „obywatelem Julien”. Jakże istotne wydawały się jej wówczas względy przyzwoitości! Silniejsze od zdrowego rozsądku i własnej wygody.

-Sam rozum dyktuje, że jeśli łóżko jest duże, należy się nim podzielić - powiedziała, przypominając sobie to, co mówił Armand.

-Mowy nie ma! - powtórzył Philippe, wyraźnie tym zgorzony. - To nie wypada!

Jacqueline westchnęła. Najwyraźniej chłopak nie uważał się za dziecko, lecz za dorosłego mężczyznę. Gdyby chciała mu to wybić z głowy, uraziłaby jego dumę. Zdecydowała się więc na ustępstwo.

- Weź te poduszki i koc, i pościel sobie na podłodze! - powiedziała, oddając mu część pościeli.

To rozwiązanie chłopiec uznał za rozsądne. Szybko ułożył sobie legowisko. Już miał na nie opaść, gdy nagle Jacqueline coś się przypomniało.

-A co z myciem, Philippe? - spytała. Spojrzał na nią zbity z tropu.

-Z jakim znów myciem?

- Powinieneś się umyć - wyjaśniła. - Twarz, ręce, zęby... Czy w twoim pokoju nie było wody i mydła?

Wzruszył ramionami.

- Nie wzruszaj ciągle ramionami, Philippe, bo to niegrzeczne. Czy były tam woda i mydło?

- Może i były - odparł z absolutnym brakiem zainteresowania.

-Po to, żebyś się umył. Możesz teraz skorzystać z mojej umywalki. W dzbanku jest czysta woda. Wymyj porządnie twarz, szyję i ręce. I zęby!

Rzucił jej buntownicze spojrzenie.

-Jak wolisz, żebym spał na korytarzu... - zaczął tonem pogróżki.

-To nie będzie konieczne - odparła. - Na twoim miejscu umyłabym się, jeśli marzy ci się smaczne, obfite śniadanie. Ale może bardziej ci odpowiada letnia herbata i kleik. Wybieraj!

I uśmiechnęła się słodko.

Rzucił jej mordercze spojrzenie i wstał. Przez kilka następnych minut dochodził do niej plusk wody i coś, co podejrzenie przypominało stłumione przekleństwa. Starła się nie zwracać na to uwagi. Gdy w końcu Philippe powrócił, jego potłuczona i pokaleczona twarz była względnie czysta. Sapnął z oburzenia, rzucił się na swoje legowisko i otulił szczelnie kocem.

Jacqueline zdmuchnęła świecę. Leżała w milczeniu, czekając na sen, wkrótce jednak zrozumiała, że nie nadejdzie. Patrzyła więc w mrok i rozmyślała, jak wdrzeć się do La Force.

-Idę z tobą - odezwał się nagle Philippe, mącąc ciszę tym nieoczekiwanym oświadczeniem.

-O czym mówisz?

Uniósł się na łokciu i spojrzał na Jacqueline.

-Pomogę ci wyciągnąć tego człowieka z La Force - odparł z całą powagą.

-Podśluchiwałeś!

-Strasznie tu cienkie ściany - zaprotestował niewinnie.

-Kłamca! Podśluchiwałeś umyślnie - rzuciła oskarżycielsko Jacqueline.

-Czy to ma znaczenie? Chodzi o to, że pójdę z tobą.

-Nie zgadzam się.

-Przydam ci się na pewno - upierał się chłopak. - Wyglądam na maślaka młodszego,

niz jestem. Żyję na ulicy i nie mam powodu kochać arystokracji. Kto by mnie podejrzewał? Z tobą to co innego! Kiedy tylko otworzysz usta, każdy widzi, jaka z ciebie arystokratka. Pamiętasz, co było dzisiaj!

-To przypadek! - broniła się Jacqueline. - Nie wiedziałam przecież, że wpadniesz na mnie! I nie mogłam patrzeć, jak ta podła świnia chce cię zamordować. Z powodu głupiego kawałka chleba!

-Właśnie o tym mówię - stwierdził Philippe. - Nikogo innego nie obeszło, czy zdechnę, czy nie. Tylko ty się przejęłaś. Jesteś poryw-cza, tak jak ty, a nie jak osoba, którą odgrywasz.

-Nie popełnię więcej tego błędu - zapewniła solennie Jacqueline. - Będę bardzo ostrożna.

-Mogę ci się przydać - nie ustępował Philippe. - I chcę ci pomóc!

Jacqueline przetoczyła się na skraj łóżka i spojrzała na chłopca.

- Dlaczego? - spytała. - Czemu tak chcesz mi pomóc?

Nie widziała go wyraźnie w ciemności, ale mogłaby przysiąc, że wzruszył ramionami.

-Bo ty chciałaś mi pomóc - odparł z prostotą. - Nikt się dotąd za mną nie ujął.

-Ale potem, kiedy groziło mi aresztowanie, uratowałeś mnie bajeczką o zarazie. Jesteśmy kwita!

-Nie chcę ci pomóc dlatego, żeby się wypłacić! - obruszył się Philippe. - Chcę ci pomóc, bo mam ochotę, i już!

Jacqueline westchnęła. Nie zamierzała korzystać z jego pomocy, ale była zbyt zmęczona, żeby się kłócić. Chciała tylko spać.

- Zobaczymy - odparła wymijająco, odwróciła się i zamknęła oczy.

To widocznie zadowoliło chłopca. Umościł się znów na posłaniu i przez kilka minut żadne z nich się nie odzywało.

-Jak się naprawdę nazywasz? - spytał nagle Philippe.

-Przecież ci mówiłam - burknęła Pauline Duport.

-Nie o to pytam - był pewny, że skłamała. - Chcę znać twoje prawdziwe imię!

Ziewnęła. Chyba to nie zaszkodzi, jeśli mu powie?

- Jacqueline.

Milczał przez dłuższą chwilę i Jacqueline pomyślała, że wreszcie zasnął. Umościła się wygodnie w łóżku w nadziei, że i ją zmorzy sen.

- Dobranoc, Jacqueline.

Ocknęła się raptownie. Wypowiedział jej imię powoli, pieszczotliwie. Było w tym coś boleśnie znajomego. Zamrugła oczami zdezorientowana. Kiedy uprzytomniła sobie, że Armanda nie ma tu z całą pewnością, opadła znów na posłanie z sercem drżącym i pełnym tęsknoty.

Rozdział 13

Do Chateau de Lambert było z Paryża siedem godzin jazdy.

W przeszłości Jacqueline zawsze podróżowała jednym z ojcowskich powozów, obszernych i okazałych, dzięki czemu nie była to zbyt męcząca wyprawa. Teraz jednak, nie chcąc zwracać niczyjej uwagi, skorzystała z publicznego środka transportu - zatłoczonego dylizansu, który w dodatku docierał tylko do Orleanu. Justin błyskawicznie wystarał się dla niej o nowe dokumenty, tym razem na nazwisko Jeanne Vacquerie, pokojówki zatrudnionej w skromnym paryskim domu. Otrzymała właśnie wieść o śmierci ojca i wracała w rodzinne strony, by pocieszać zrozpaczoną matkę. W razie gdyby po drodze z Orleanu do Chateau de Lambert zatrzymano ją i spytano, dokąd się udaje, miała wyjaśnić, że chata jej rodziców leży na gruntach, które dawniej należały do przekłętego zdrajcy, księcia de Lambert. Z początku gwałtownie protestowała przeciw tej zniewadze, zgola jej zdaniem niepotrzebnej, w końcu jednak Justin przekonał ją, że im więcej okaże rewolucyjnego ducha, tym krócej będą ją wypytywać.

Wczesnym rankiem Philippe znów zaczął się napierać, że pomoże jej w uwolnieniu Armanda z więzienia. Jacqueline miała ogromne trudności z przekonaniem go, że to niemożliwe i że w żadnym wypadku nie pozwoli mu mieszać się w te sprawy. Sprzecjali się długo i zażarcie, w końcu Justin musiał ich uciszyć w obawie, że kłótnia zwróci uwagę sąsiadów i wyda im się podejrzana. Wreszcie Philippe skapitulował, choć widać było, jak niechętnie to czyni. Ogromne śniadanie przygotowane przez Justina zjadł w kamiennym milczeniu, rzucając od czasu do czasu ponure spojrzenia na Jacqueline. Przyjął następnie od Justina torbę zjedzeniem i ciepłym ubraniem, rzucił im obojgu krótkie „żegnajcie!” i wyszedł. Gdy zniknął z oczu, Jacqueline poczuła nagłe ukłucie żalu. Co się z nim stanie? - myślała niespokojnie. Jedzenia na długo mu nie wystarczy i znów będzie musiał kraść. Kiedy

następnym razem przyłapią go na gorącym uczynku, może nie znaleźć żadnego obrońcy.

Gdyby jej życie wyglądało tak jak dawniej, zatrzymałaby chłopca i dopilnowała, by zawsze już miał wygodny kąć do spania i porządne jedzenie. Zabrałaby go do Château de Lambert i wynalazłaby mu jakieś zajęcie. Teraz jednak nie miała możliwości opieki nad nim. Przybyła tu po to, by ratować Armandę, a choć Philippe mógłby okazać się pomocny, nie powinna go wciągać w to niebezpieczne przedsięwzięcie.

Późnym popołudniem przybyli wreszcie do Orleanu. Jacqueline wysiadła powoli z dylizansu; plecy jej zesztyniały, nogi ścierpły. Poprawiła czepek, chwyciła mocno torbę podróżną i ruszyła drogą prowadzącą do zamku. Miała nadzieję, że ktoś ją podwiezie choć kawałek. Torba nie ciążyła jej zbyt, ale było zimno i prószył śnieg, utrudniając wędrówkę.

- Daleko jeszcze? - spytał ktoś ciekawie.

Odwróciła się zdumiona i napotkała niewzruszone spojrzenie Philippe'a.

- Co ty tu robisz?! - wykrztusiła.

Wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że wyjadę na trochę z Paryża - odparł z niewinną miną.

- Jakżeś się tu dostał? - spytała już z gniewem.

- Tak samo jak ty - odparł - tylko ja jechałem z tyłu i na zewnątrz.

Zauważyła, że przebrał się w nowe ubranie od Justina, wełnianą czapkę i solidne skórzane buty. Miał przynajmniej jakąś osłonę przed zimnem podczas tej długiej podróży! - pomyślała.

- No to wracasz do Paryża - oświadczyła stanowczo. - Tym razem będziesz podróżował w środku. Zapłacę za przejazd.

- Nie - pokręcił głową. - Jeszcze trochę tu pobędę.

Westchnęła z irytacją. Nie mogła go zmusić do powrotu.

- Doskonale! - burknęła. - Rób, co chcesz. Ale masz się za mną nie włączyć. Rozumiesz?!

Wcale się nie przejął jej gniewem.

- Mów sobie, co chcesz, i tak wiem, że potrzebujesz pomocy. A ja ci chętnie pomogę. Czemu tak się przed tym wzdragasz?!

Mówił ze spokojną pewnością siebie, jak dorosły. Spojrzała na niego i zaczęła się wahać. Mógł rzeczywiście okazać się pomocny. Kobieta z małym chłopcem wydawała się znacznie mniej podejrzana... Mógłby stać na czatach, kiedy ona będzie wyjmować klejnoty ze skrytki... I - choć to może śmieszne - jego obecność dodawała jej odwagi. Zawsze był taki spokojny, pewny siebie... A poza tym nie chciała, by wracał do Paryża sam. Taki kawał

drogi... Może byłoby lepiej, gdyby trzymali się razem?

- No, dobrze! - westchnęła. - Możesz iść ze mną.

-Wiedziałem, że nabierzesz rozumu - zauważył pogodnie.

Ruszyła żwawym krokiem.

-Wiesz, po co tu przyjechaliśmy? - spytała cicho.

-Po pieniądze - odparł. - Ale nie mam pojęcia, skąd je weźmiesz.

-Idziemy do mojego dawnego domu - powiedziała. - I na razie to ci musi wystarczyć!

Było już prawie ciemno, kiedy wreszcie stanęli przed głównym wejściem do Château de Lambert. Na pierwszy rzut oka zamek wyglądał tak samo jak wtedy, gdy widziała go po raz ostatni - architektoniczne cacko z kremowymi wieżami, wielkimi oknami i połyskliwym dachem z błękitnawego łupku. Został zbudowany na początku XVI wieku, nie jako forteca, lecz rodzinna siedziba, wspaniały okaz renesansowej architektury, przykład harmonii i wdzięku. Nawet wieżyczki strzelnicze i machiuky były raczej dla dekoracji niż do obrony. W pogodne dni wewnątrz tonęło w słońcu, tyle tu było okien: od frontu, wokół wież, na ścianach bocznych... Wiele z nich powybijano i zabito deskami, co nadawało budowli opuszczony, zaniedbany wygląd. Idąc podjazdem do drzwi frontowych, Jacqueline i Philippe posuwali się między dwoma rzędami klasycznych posągów - greckich bogów i bogiń, którzy niegdyś witali przybywających gości pełnym wdzięku gestem i pogodnym uśmiechem kamiennych twarzy. Niektóre z posągów zostały strącone z postumentów i teraz stanowiły sterty mniejszych i większych odłamków. Inne pozbawiono tylko głów w porywie gwałtownej nienawiści do tych, co wiedli beztrudne życie w otoczeniu takiego piękna i zbytku. Dziesiątki parkowych drzew i krzewów wyrąbano, bez wątpienia na opał, niszcząc symetrię ogrodów, pielęgnowanych i upiększanych przez stulecia. Wielkie wazy z różowego marmuru, niegdyś pełne kwiatów, były porozbijane. Nawet wspaniały gołąb, który zdawał się ulatywać znad fontanny w centralnej części ogrodu, leżał z połamanymi skrzydłami i bez głowy w potrzaskanej, wyschniętej czaszy.

- No, no! To był twój dom? - szepnął Philippe z nabożnym zdumieniem.

Jacqueline kiwnęła tylko głową, wpatrzona w żaloszny, okaleczony zamek. Chciało się jej płakać, ale nie mogła sobie pozwolić na taką słabość. Wróciła do domu, choć tylko na chwilę... Cóż to szkodzi, że jest tak sponiewierany? Nadal stoi - i tylko to się liczy! Nie zdołali go zniszczyć, tak samo jak nie zdołali jej złamać.

Nie zostaną tu, pomyślała, ale pewnego dnia Suzanne i Seraphine wrócą tutaj i

doprowadzą zamek do dawnej świetności!

Podniesiona tą myślą na duchu zmusiła się, by iść dalej, przygotowując się na to, co zastanie we wnętrzu.

Dotarli do drzwi frontowych z polituowanego dębu, do których brutalnie przybito gwoździami wywieszkę. Jacqueline mocno przygryzła wargę i przeczytała: „Własność narodu. Republika jedyna i niepodzielna. Wolność, Równość, Braterstwo - albo śmierć!”

-Co tu pisze? - dopytywał się Philippe, spoglądając podejrzliwie na wywieszkę.

-Napisano tu, że to własność narodu - odparła Jacqueline z przymusem.

-Naprawdę? - zainteresował się Philippe. - To i ja mam tu swój kawałek?

-Niezupełnie - odparła. - To własność rządu. Wzruszył ramionami z niesmakiem.

-Co mi z tego przyjdzie?

-Nic. No chodź, musimy się dostać od tyłu. Odwróciła się od budzącej w niej najgorsze uczucia wywieszki,

powstrzymując się z trudem od zerwania jej z drzwi.

Brnąc w śniegu, przedostali się na tyły zamku. Jacqueline próbowała otworzyć kolejne drzwi, ale wszystkie były pozamykane. Philippe zaproponował, by po prostu wybić szybę w jednym z francuskich okien prowadzących na taras. Gotów był wleźć przez otwór i odemknąć je od środka. Choć Jacqueline nie chciała przyczyniać się do dalszej dewastacji ukochanego domu, pojęła, że to jedyny sposób dostania się do wnętrza. Philippe zaczął myszkować w ogrodzie na tyłach, szukając czegoś ciężkiego i zdecydował się na głowę jednego z rozbitych posągów. Z cichym stęknieniem uniósł ją w chudziutkich ramionach i wybił szybę. Potem prześlizgnął się przez poszarpaną dziurę i spiesznie odsunął zasuwkę, wpuszczając Jacqueline.

Weszła w zimny mrok biblioteki i rozejrzała się dokoła z przerażeniem. Zniszczenie elewacji budynku i parku było niczym w porównaniu ze spustoszeniem wnętrza. Obrazy, meble i dywany zostały albo rozkradzione, albo bestialsko zniszczone. Cała podłoga zarzucona była mnóstwem książek w cennych oprawkach, zbrukanych i podartych. Inne tomy wepchnięto do olbrzymiego kominka i spalono w dowód pogardy dla tych, co mieli czas i pieniądze na czytanie. Nieliczne meble, których nie rozkradziono, zostały złośliwie okaleczone; od wielkiej kanapy odrąbano nogi - być może na opał - a pokryte delikatnym haftem pokrycia wyściełanych krzeseł bezmyślnie porozcinano tak, że sterczało z nich włosie.

Jacqueline podkasała spódnicę i jakoś przebrnęła przez morze podartych książek,

starając się nie zwracać uwagi na zniszczenia. Kiedy jednak wyszedłszy na korytarz, ujrzała trzy cudowne obrazy olejne pocięte na paski, nie mogła już udawać obojętności. Szła w milczeniu korytarzem, zatrzymując się przy wejściu do każdego pokoju, dostrzegając najmniejszy nawet przejaw wandalizmu, zbyt wstrząśnięta, by powiedzieć choć słowo. Philippe szedł za nią, zaglądając do pokoiów przede wszystkim z ciekawości. Był jednak dość wrażliwy, by zrozumieć uczucia swej towarzyszk i powstrzymać się od komentarzy.

Jacqueline zamierzała od razu pójść na górę do swego pokoju po klejnoty. Był to w końcu jedyny powód, dla którego tu przybyli. Zaintrygowały ją jednak zamknięte drzwi gabinetu ojca, co stanowiło jaskrawy kontrast ze wszystkimi innymi, rozwartymi na oścież. Nacisnęła więc klamkę, a drzwi ustąpiły z przeciągłym skrzypnięciem.

Weszła do środka i rozejrzała się ze zdumieniem. W odróżnieniu od reszty domu gabinet księcia de Lambert był w doskonałym stanie, jakby ominęła go niszczycielska fala rewolucji. Całe umeblowanie pozostało nietknięte, poczynając od perskiego dywanu o skomplikowanym deseni w barwach rubinu i grafitowej czerni, aż do biurka księcia - z mahoniem inkrustowanego macicą perłową, ze złoceniami ze szczerzego kruszcu. Nigdzie ani źdźbła kurzu. Księgi i papiery księcia starannie poukładano na biurku. Srebrny przybór do pisania był wyczyszczony i lśniący. Wszystko w tym pokoju otoczono czułą troską - inaczej niż w reszcie splądrowanego zamku. Zdezorientowana panującym tu ładem Jacqueline odwróciła się, by wyjść z pokoju.

Nagle wyrwał się jej stłumiony okrzyk. Jej spojrzenie padło na wielki obraz, wiszący na ścianie na wprost ojcowskiego biurka. Był to portret całej rodziny, namalowany na zamówienie ojca w lecie 1789 roku, tuż przed zburzeniem Bastylii. Obraz przedstawiał księcia siedzącego na krześle pod starym dębem w otoczeniu czwórki kochających dzieci. Antoine, wysoki i pełen godności nawet w szesnastym roku życia, stał za krzesłem, Jacqueline obok ojca, opierając się na jego silnym ramieniu i czule trzymając za rączkę małą Suzanne. Seraphine, wówczas zaledwie dwulatka, bawiła się na trawie u stóp papy. Obraz był pełen piękna i spokoju: przystojny, kochający ojciec z gromadką uroczych dzieci. Idealna scenka familijna - jeśli nie liczyć rażącej nieobecności matki oraz cienia smutku w oczach wszystkich członków rodziny.

Niewinną, pogodną atmosferę malowidła niweczyły jednak bestialskie uszkodzenia obrazu. Nie zostały one dokonane w mściwym szale, w jakim unicestwiono pozostałe dzieła sztuki. Portret rodziny de Lambertów został zniszczony subtelnie i z rozmysłem. Płótno starannie poprzecinano, tak by głowy wszystkich, włącznie z malutką Seraphine, zostały odłączone od tułowia. Miejsce przecięcia maźnięto szkarłatną farbą, która ściekała po szyjach

i wytwornych strojach aż do stóp. Ostateczny efekt był tak straszliwy, że Jacqueline nie mogła oderwać oczu od przerażającego malowidła i stanęła jak wryta w obliczu maniackiego szaleńca, który emanował z okaleczonego płótna.

- To miałaś być ty? - spytał Philippe, wskazując na podobiznę Jacqueline.

Kiwnęła głową.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Już tak nie wyglądasz - orzekł po namyśle.

Jacqueline patrzyła na piętnastoletnią dziewczynkę z portretu. Śmierć matki boleśnie ją zraniła, ale nadal żyła w bezpiecznym zaciszu, z dala od okrutnego świata, który czaił się za progiem Château de Lambert. Wspierała się na silnym ramieniu ojca i trzymała za rączkę Suzanne, przyzwyczajona do matkowania małym siostrzyczkom. Życie wydawało się wówczas takie proste, zakres jej zajęć jasno wytyczony, przyszłość ustalona. Uważała się za doświadczoną i dojrzałą, ale jakim była niewiniątkiem! Nie wiedziała, co to głód, ubóstwo, niedola. Nie znała smaku gniewu ani nienawiści poza krótkotrwałym buntem przeciwko Bogu, który zabrał jej matkę.

- Nie jestem taka jak ona - powiedziała gorzko. - Tamtej dziewczynki już nie ma.

Odwróciła się raptownie i wyszła z pokoju, pozostawiając Philippe'a wpatrzonych w obraz.

Weszła na piętro i spiesznie dotarła korytarzem do swej sypialni, starając się nie dostrzegać widocznych na każdym kroku śladów dewastacji. Szybko się ściemniało; nie było czasu na gniew i rozczulanie się nad sobą.

Wszedłszy do swego pokoju, przekonała się, że jego także nie oszczędzono; wydawał się nawet bardziej zniszczony niż inne pomieszczenia. Materace i poduszki były rozprute i wypatroszone, obrazy zerwane ze ścian i pocięte, jej suknie rozkradzione, a szafa porąbana na opał. Nawet ścian nie oszczędzono. W wielu miejscach zdarto jasnożółtą tapetę, co kilkadziesiąt centymetrów wywiercono dziury. Jacqueline nie miała wątpliwości, że niszczyciel nie chciał tu wyładować kipiącego w nim gniewu, lecz z rozmysłem poszukiwał zaginionej biżuterii de Lambertów.

Podeszła szybko do kominka. Przyklękła i przesunęła ręką wzdłuż wewnętrznej ścianki, dotykając końcami palców każdej cegły. Dotarłszy do środkowej, obwiodła palcem jej kontur, a następnie chwyciła pogrzebacz i jego końcem wyłobiliła głęboką bruzdę wokół niej. Spiesznie wydłubywała piasek i popiół, które przed rokiem starannie tam ubijała, maskując szczeliny. Kiedy szpara była już dość głęboka, wetknęła w nią koniec pogrzebacza i zaczęła podważać cegłę to z jednej, to z drugiej strony. Wreszcie cegła się obluźowała i

Jacqueline mogła już uchwycić rękami brzegi i wyciągnąć ją z otworu. Położyła ją na palenisku i sięgnęła w głąb czarnej dziury. Poczula pod palcami czworokątny kształt i z westchnieniem ulgi wydobyła drewnianą rzeźbioną szkatułkę. Przysiadłszy na piętach, wytarła ubrudzone ręce w spódnicę i podniosła wieczko.

Na czarnej atlasowej wyściółce iskrzył się stos bezcennych klejnotów: kolie, kolczyki, bransolety, broszki, diademy-wszystko wysadzone drogimi kamieniami. Płonące zimnym ogniem brylanty, szafiry o barwie wieczornego nieba, zielone niczym morska toń szmaragdy, czerwone jak krew rubiny... Sznury świetlistych pereł. Prześliczne złote zegarki. Jacqueline zanurzyła rękę w tych klejnotach i wydobyła malusieńki woreczek z błękitnego aksamitu. Wytrząsnęła z niego na podstawioną dłoń pierścionek z ogromnym brylantem. Z cichutkim westchnieniem włożyła go na palec i uniosła ku światłu. Był to ulubiony pierścionek matki; otrzymała go po urodzeniu Antoine'a - pierworodnego synka, przyszłego księcia... Jacqueline wpatrywała się z zachwytem w klejnot, który płonął jak gwiazda przyczepiona do jej palca złotą nicią.

- Wiedziałem, że wrócisz.

Wydała zdławiony okrzyk i zerwała się na równe nogi, upuszczając szkatułkę z klejnotami na podłogę. Z sercem bijącym na trwogę odwróciła się powoli.

Potężna postać blokowała wyjście. Nie było mowy o tym, żeby się wymknąć. Nicolas miał płaszcz obsypany śniegiem i mokre buty. Nie ulegało wątpliwości, że dopiero co się tu zjawił. Spoglądał na nią z uśmiechem, który był raczej wyrazem triumfu niż radości.

-Jak to, Jacqueline? - spytał drwiąco. - Naprawdę wierzyłaś, że nigdy się już nie spotkamy?

-Nie - odparła głosem cichym i pełnym nienawiści. - Zawsze miałam nadzieję, że dojdzie do tego spotkania.

Zdawał się zaskoczony tą odpowiedzią, co ją ucieszyło. Przyglądał się jej przez chwilę, spostrzegł prosty ubiór, ubrudzoną spódnicę i powalane ręce.

- Kogóż to dziś udajesz? - spytał ciekawie. - Pomywaczkę?

Nie odpowiedziała.

- Nie jest to zbyt twarzowe przebranie - pokpiwał. - Choć może nieco lepsze od tego, w jakim wymknęłaś się z Conciergerie. Każdy strażnik, którego minęłaś po drodze, zaklinał się na wszystkie świętości, że widział tylko starucha z brudnym niedorostkiem. Nikt by nie uwierzył, że to była piękna córka księcia de Lambert! Tobie i twoim pomocnikom należą się brawa: znakomite przedstawienie!

Spoglądała na niego obojętnie, nie chcąc ani potwierdzać, ani odpiierać jego oskarżeń i rozpaczliwie poszukiwała jakiejś drogi ucieczki.

- Drogo zapłaciłem za tę twoją eskapadę! - mówił dalej z goryczą; wszedł do pokoju i zabierał się do ściągania rękawiczek. – Komitet Bezpieczeństwa Publicznego nie cieszy się, gdy skazaniec wyniknie się z więziennych murów! A ponieważ byłem twoim ostatnim gościem i niebacznie zostawiłem cię samą z Julienem, podejrzewano nawet, że pomagałem ci w ucieczce!

Rzucił rękawiczki na podłogę i zaczął rozpinać płaszcz.

- Cóż za fatalna omyłka! - skomentowała sarkastycznie Jacqueline.

Rozejrzała się, niby od niechcienia, po pokoju w poszukiwaniu jakiejś broni. Przeklinała w duchu własną głupotę. Ze też nie ukryła przynajmniej noża w bucie!

-Potem omal cię nie odnalazłem - ciągnął dalej, ignorując jej uwagę. - Gdy rozeszła się wieść, że poszukujemy chłopaka i starca, otrzymaliśmy dziesiątki donosów. Jeden z nich od oberżysty Dufresne'a. Mówił, że nie ma pewności, ale wnuk starego wyrażał się o egzekucjach z podejrzanym brakiem entuzjazmu. Udałem się tam najszybciej, jak mogłem, ale ty byłaś szybsza, co?

-Nie wiem, o czym mówisz - oświadczyła Jacqueline.

Nie miała pojęcia, co Nicolas wie o Armandzie i jego udziale w ucieczce. Im mniej będzie mówić, tym lepiej!

- Z pewnością rozumiesz! - zapewnił ją Nicolas. - Kiedy weszliśmy do pokoju, zobaczyliśmy, że kupił dla ciebie kobiece ubranie. To był wystarczający dowód, ale pachnące mydełko przekonało mnie ostatecznie. Biedna Jacqueline! Bardzo ci brakowało kąpieli przez te wszystkie tygodnie spędzone w więzieniu?

Wytrzymała spokojnie jego spojrzenie. W myślach szukała czegoś, czym mogłaby go zabić. Udawała jednak potulną i pogodzoną z losem.

- Aż dziw, że twój przyjaciel zdołał cię wyrwać z rąk tłumu. – Teraz Nicolas rzucił płaszcz na podłogę. - I jestem mu naprawdę wdzięczny za to, że przysłał do mnie tego wyrostka, domagającego się nagrody! Wtedy pojąłem, że to nie pierwszy lepszy, który pragnie ocalić twoją śliczną szyjkę od gilotyny. - Uśmiechnął się. - Zrozumiałem, że mam do czynienia z Czarnym Księciem. Tylko on mógł być tak zuchwały, by wyrwać uciekinierkę z rąk rozsierzonego paryskiego motłochu... i tak głupi, że pozwolił sobie na arogancki gest wobec mnie!

Jacqueline spoglądała na niego pustym wzrokiem, udając, że nic nie rozumie. Doszła

właśnie do wniosku, że najlepszy będzie mosiężny pogrzebacz, leżący koło kominka. Tylko jak po niego sięgnąć, by Nicolas nie zauważył tego i jej nie ubiegł?

-Od tej pory chciałem nie tylko odzyskać ciebie, ale też schwytać Czarnego Księcia - mówił dalej Bourdon. - Po kilku tygodniach bez żadnej wieści o tobie nabrałem pewności, że opuściłaś Francję. Znając twą miłość do sióstr, odgadłem, że udałaś się do Anglii. A potem, gdy wiedziałem już, gdzie cię szukać, wszystko poszło niesłychanie łatwo.

-Doprawdy? - spytała Jacqueline, udając, że rozgląda się po zdewastowanym pokoju, i przysuwając się coraz bliżej do kominka i pogrzebacza. - A mianowicie?

-Posłużyłem się twoim czarującym narzeczonym - odparł. - Pamiętasz chyba głupiego fircyka, którego twój ojciec uznał za odpowiedniejszego męża dla ciebie niż ja? Kazałem go aresztować pod pretekstem, że pomagał ci w ucieczce. Powiadam ci, nawet nie musiałem go specjalnie namawiać - szydził. - Nader chętnie poinformował mnie, gdzie dokładnie przebywają twoje siostry w Anglii. A potem skłoniłem go, by napisał do ciebie, prosząc o pomoc. Nie byłem pewny, czy przybędziesz sama, czy też przyślesz tu swego nowego przyjaciela... ale w każdym przypadku mogłem złapać przynajmniej jedno z was.

Jacqueline wciąż usiłowała panować nad sobą, choć wrzała w niej złość i odezwały się wyrzuty sumienia. Justin miał rację, to była zasadzka. .. a ona, głupia, posłała Armanda prosto w pułapkę!

- Kiedy twój przyjaciel spadł nam jak z nieba, żeby ratować jaśnie pana markiza, już na niego czekałem - przechwalał się Nicolas. - Ale ciebie, niestety, z nim nie było. Puściłem więc wolno utytułowanego gogusia w nadziei, że ci opowie, co się stało. Podejrzywałem, i słusznie, że twoja szlachetność i poczucie obowiązku każą ci pospieszyć do Francji na ratunek Czarnemu Księciu.

Nicolas był sprytny, trzeba mu to przyznać! Doskonale wszystko zaplanował i domyślił się, że nie pozostanie nieczuła na niedolę François-Louisa ani Armanda. Wieść o tym, że narzeczony przystał na współpracę z wrogiem za cenę odzyskania wolności, niemiłe ją zaskoczyła. .. ale w tej chwili była nieistotna. Teraz chciała jedynie zabić Nicolasa za wszystko, czego dopuścił się w stosunku do niej i jej rodziny. A potem uratować Armanda!

-Często tu przyjeżdżam, wiesz? - mówił Nicolas, rozglądając się po pokoju i rozpinając żakiet. - Ilekroć tylko zdołam oderwać się od pracy na dzień lub dwa. Osobiście przetrząsnąłem twój pokój, szukając klejnotów. Muszę przyznać, że nie

przyszło mi do głowy zaglądać do kominka. Ani rusz nie mogłem sobie wyobrazić, że zawsze nieskazitelnie czysta mademoiselle de Lambert ubrudzi sobie rączki, by ukryć rodzinny skarb!

-Dziwię się, że nie przetrząsnąłeś równie gruntownie gabinetu mojego ojca - zauważyła kwaśno Jacqueline, starając się zająć go rozmową. Sama, jakby przypadkiem, zbliżyła się o krok do kominka.

-Kazałem go oczywiście przeszukać - przyznał Nicholas - ale niezwykle delikatnie. Nie chciałem, żeby coś uległo zniszczeniu. Marzyłem o przejęciu tego pokoju od chwili, gdy oświadczyłem się o twoją rękę, Jacqueline, a książę mi jej odmówił. Jak pewnie zauważyłaś, utrzymuję gabinet w takim stanie jak wówczas, gdy twój ojciec jeszcze żył, a ja byłem tu mile widzianym gościem. Pamiętasz tamte czasy? Zapraszano mnie tutaj ze względu na moją rozległą wiedzę na temat finansów, której twojemu ojcu zdecydowanie brakowało. Po obaleniu feudalizmu cnotliwi arystokraci, tacy jak twój ojciec, którzy przedtem gardzili wszelkimi interesami, nagle stracili główne źródło dochodów. Gdyby nie moje porady dotyczące inwestowania w cukier, herbatę czy jedwab, twój brat odziedziczyłby tylko ten stary zamek i kupę długów. Ocaliłem was od kompletnej ruiny, rozumiesz? Twój ojciec miał wobec mnie ogromny dług wdzięczności! Nic dziwnego, że był to dla mnie cios, gdy odrzucił moje oświadczyzny! Wtedy zrozumiałem oczywiście, jakim był hipokrytą. On i ci jego szlachetni przyjaciele, którzy prezentowali liberalne poglądy podczas proszonych obiadów. Uznawali takich jak ja za równych sobie, ale tylko w teorii, nie w rzeczywistości!

-Nie miej złudzeń, Nicolasie - przerwała mu Jacqueline. – Ja nigdy nie uważałam, że jesteś mi równy, nawet w teorii.

Ta zniewaga go ubodła. W dwóch susach znalazł się przy niej i uderzył ją w twarz.

- Zastanów się lepiej, nim znowu zrobisz taką pożałowania godną uwagę - ostrzegł groźnie, chwytając ją mocno za ramiona. – Przykro by mi było, gdybyś poszła na gilotynę z posiniaczoną twarzą i podbitym okiem jak prosta wiejska baba!

Miała ochotę plunąć mu w twarz, ale jeśli chciała skorzystać z pogrzebacza, musiała przedtem jakoś wywinąć się z jego uścisku. Trzymała więc język za zębami i tylko przeszła go morderczym spojrzeniem. Nienawiść i wstręt były tak gwałtowne, że przyprawiły ją o mdłości.

-No i znów się kłócimy - powiedział z żalem, gładząc leciutko policzek, który przed chwilą uderzył. - Nie tak sobie wyobrażałem nasze spotkanie. Zapomnijmy o

wszystkim, co nas dzieli, na tę jedną noc. Jutro i tak nadejdzie zbyt wcześnie.

-Jutro? - powtórzyła nieufnie Jacqueline.

-Marzyłem o tym, by mieć cię przy sobie przez całe lata - mówił dalej Nicolas, rozwiązując bez pośpiechu wstążki jej czepka. - Najpierw pragnąłem, żebyś była moją żoną, a gdy twój ojciec mi odmówił, chciałem cię mieć za kochankę. - Zdjął jej czepek z głowy i rzucił go na podłogę. - Ale ty zawsze mną gardziłaś, prawda?

Przeciągnął palcem po jej policzku. Jacqueline wzdrygnęła się i usiłowała odsunąć, ale chwycił ją za szyję i przytrzymał.

-Fatalnie się złożyło, że aresztowano cię razem z twoim bratem - syknął. - Próbowałem ci wytłumaczyć, że nie tak to zaplanowałem. Antoine miał iść do więzienia, a ty zostałabyś sama, nie licząc kilku służących. Wtedy byś się przekonała, ile mógłbym dla ciebie zrobić... Oczywiście, gdybyś potrafiła okazać mi wdzięczność.

-Naprawdę, głupcze, myślisz, że zwróciłabym się do ciebie o pomoc? Nie wiem jak zdesperowana, nigdy nie wezwałabym ciebie na ratunek. Nigdy!

-To już nie ma znaczenia. - Westchnął i smutnie pokręcił głową. - Teraz nic cię nie uratuje, moja miła. Umknęłaś sprawiedliwości i zostałaś znów złapana. Moim obowiązkiem jest przekazać cię na przesłuchanie i stracenie. Szkoda, że tylko taka przyszłość nas czeka.

-O, ciebie czeka jeszcze nagroda za schwywanie mnie i odnalezienie klejnotów de Lambertów - odparła gorzko Jacqueline, myśląc tylko o tym, jak wymknąć się z uścisku, nie wzbudzając podejrzeń.

-Schwywanie cię i przekazanie trybunałowi pomoże mi odzyskać dobrą opinię, nadszarpniętą z powodu twojej ucieczki - przyznał Nicolas. - A co się tyczy klejnotów, to całkiem inna sprawa!

- Zatrzymasz je dla siebie? - spytała zdumiona.

Wzruszył ramionami i puścił ją.

-Ta niewielka fortunka, rozsypana na podłodze, nie wyciągnie naszego rządu z otchłani długów. A ja mogę odnieść konkretne korzyści z rozsądnego zainwestowania tych walorów.

-A więc zamierzasz oszukać i okraść rząd, który rzekomo popierasz? -judziła, odsuwając się powoli.

-Nader to ciekawy spór, ale już czas chyba przejść od słów do czynów - zirytował się Nicolas i niecierpliwie ruszył ku niej.

-Słusznie - odparła Jacqueline. Chwyliła leżący na podłodze pogrzebacz i zamachnęła się nim groźnie. -Jeszcze jeden krok, a rozwalę ci łeb! - ostrzegła.

Nicolas spojrział na nią z rozbawieniem i się roześmiał.

- Nie zawiodłem się na tobie, Jacqueline - powiedział. - Zawsze wiedziałem, że będziesz opierać się do końca! - Postąpił znów o krok, nic sobie nie robiąc z jej grózb. - To uczyni mój triumf jeszcze słodszy!

Zamachnęła się z całej siły pogrzebaczem, ale Nicolas chwycił ją za ramię i bez trudu wytrącił jej broń z ręki. Z okrzykiem wściekłości zaatakowała go pięściami, ale złapał ją za nadgarstki, unieruchamiając w ten sposób obie ręce.

-No i co? - spytał drwiąco. - Poddasz się wreszcie?

-Nigdy! - syknęła i uderzyła go kolanem w krocze.

Nicolas zdążył się lekko odwrócić. Coś kolanem trafiło go w udo. Skrzywił się.

- Ty suko! - warknął i uderzył ją z całej siły w twarz.

Głowa Jacqueline odskoczyła do tyłu i dziewczyna się zachwiała. Nicolas skorzystał z tej okazji, by podciąć jej nogi. Runęła na podłogę, ale od razu poderwała się, chcąc wstać. Teraz jednak Nicolas zwałił się na nią, przygniatając całym ciężarem.

-Nie dotykaj mnie, brudny łotrze! - krzyknęła, próbując go z siebie zrzucić.

-Milcz! - warknął i uderzył ją raz jeszcze w twarz.

Łzy bezsilnego gniewu i bólu napłynęły jej do oczu, gdy poczuła, jak brutalnie rozwiera kolanem jej nogi. Usiłowała zacisnąć uda, wyrwać się spod niego, waliła go pięściami po plecach i ramionach. Nicolas był jednak o wiele silniejszy. Wgniół ją niemal w dywan, jedną rękę zacisnął jej boleśnie na piersi, drugą podgarnął spódnicę i halki. Zaczęła na oślep macać po dywanie, ale natrafiała tylko na kępki włosów. I nagle wyczuła pod palcami coś chłodnego, gładkiego, z ostrym brzegiem... Nie patrząc na to, co zaciska w rękę, przeorała mu twarz porcelanową skorupą.

Nicolas zawył z bólu. Spojrział na nią całkowicie zdezorientowany. Z czerwonego półksiężycy krew sączyła się rubinowymi kroplami. Udało się jej przeciąć mu policzek od skroni aż do brody. Wyciągnęła rękę, by zadać następny cios, ale Nicolas był szybszy. Chwycił ją za nadgarstek i tłukł nim o podłogę, aż palce się rozchyliły i wypadł z nich odłamek porcelany. Nicolas odepchnął go poza zasięg ręki Jacqueline. Dotknął zranionego policzka i popatrzył na krew plamiącą mu palce.

- Ty przeklęta dziewczko! - warknął z nienawiścią.

Sięgnął zakrwawioną ręką do gardła Jacqueline.

Usiłowała rozewrzeć duszące ją palce, lecz Nicholas wzmocnił jeszcze chwyt.

Brakowało jej powietrza, a nie mogła go zaczerpnąć. Kaszłała i miotła rozpaczliwie głową, ale Nicolas trzymał ją mocno. Spoglądała na niego z wściekłością i rozpaczą, on zaś uśmiechał się mrocznym, dzikim, złym uśmiechem. Czowała, jak napiera na nią, usiłuje brutalnie wbić się w stawiające opór delikatne ciało.

Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu. Zamknęła więc oczy i szlochała bezgłośnie, targana żądzą mordy i pragnieniem śmierci.

Nagle usłyszała jakiś wstrętny, głuchy odgłos. Ciało Nicolasa zwiotczało i opadło bezwładnie. Już jej nie dusił ani nie gwałcił. Zakrztusiła się, ale zdołała zaczerpnąć nieco powietrza, zanim jeszcze otworzyła oczy i zobaczyła, co się stało.

Philippe stał nad nią roztrzęsiony, z wykrzywioną z gniewu twarzą. Trzymał oburącz ociekający krwią, ciężki, srebrny zegar znad kominka, gotów uderzyć nim po raz drugi, gdyby Nicolas się poruszył.

-Nic ci się nie stało? - spytał drżącym, pełnym napięcia głosem.

-Zdejmij go ze mnie - poprosiła słabo.

Philippe upuścił zegar, szarpnął Nicolasa za ramię i ściągnął go z Jacqueline. Obciągnęła spódnicę i wstała powoli z pomocą chłopca.

- O Jezu! Krew ci leci! - zawołał przerażony.

Ostrożnie dotknęła palcem kącika ust, z których pociekła strużka krwi, gdy Nicolas uderzył ją w twarz.

-To nic wielkiego - zapewniła.

-Nie tu, na szyi - uściślił Philippe. - Musiał cię zranić! Dotknęła ręką szyi. Na palcach pozostała krwawa smuga.

-To nie moja krew, tylko jego - szepnęła głucho.

Oboje spojrzeli na Nicolasa, który leżał bez ruchu, twarzą do podłogi. Krew ciekła z rany na głowie; duża ciemnoczerwona plama na dywanie stale się powiększała.

-Chyba go zabiłem - wyjąkał Philippe.

-To dobrze! - odparła lakonicznie Jacqueline.

Zbierało się jej na mdłości. Odwróciła się, pospiesznie zebrała klejnoty z podłogi i włożyła do szkatułki. Ręce jej drżały, więc nie bardzo jej to szło. Philippe nie zaoferował pomocy; stał bez ruchu, wpatrując się w Nicolasa.

- Chodźmy stąd! - ponagliła, chowając szkatułkę w podróźnej torbie pod ubraniami. Ruszyła do drzwi. - Idziesz, Philippe?

Oderwał wzrok od leżącego ciała. Miał wielkie, udręczone oczy i spojrzenie zbląkanego, przerażonego dziecka.

- Chyba go zabiłem - powtórzył ochryple.

Odstawiła torbę i podeszła do niego. Objęła go z całej siły.

- Uratowałeś mi życie - szepnęła, tuląc go do siebie. - Dziękuję, Philippe!

Stał sztywno, z rękami przyciśniętymi do boków, jakby nie umiał odwzajemnić uścisku. Nie wrywał się jednak i trwali tak przez chwilę, czerpiąc pociechę z wzajemnej bliskości. Nagle Jacqueline poczuła, że ręce chłopca obejmują ją w pasie.

- Wyjdźmy stąd - powiedział cicho.

Kiwnęła potakująco głową i oboje powoli podeszli do drzwi, zostawiając za sobą nieruchome, krwawiące ciało Nicolasa.

Rozdział 14

Naczelnik więzienia La Force oparł łokcie na stercie papierów zalegających biurko i ze znużeniem potarł skronie. Nie był to dla niego pomyślny dzień i wyglądało na to, że nieprędko się skończy. Znowu będzie tu siedział do późnej nocy! Więzienie było już wypełnione po brzegi, a oto znowu wyrósł przed nim stos nowych dokumentów, którymi musiał się niezwłocznie zająć. Otrzymał polecenie przyjęcia kolejnych piętnastu więźniów, których właśnie doprowadzono. Siedzieli teraz przed jego gabinetem, płacząc, krzycząc i donośnie zapewniając o swej niewinności. Gdzie ja ich umieszczę, na litość boską? - głowił się naczelnik. Wszystkie mniejsze cele i sale ogólne były pełne, mimo że dzień w dzień stawiano jego podopiecznych przed Trybunałem Rewolucyjnym, a dzięki staraniom umieszczonych w więzieniu szpicli dowodów obciążających nie brakowało. Zawsze można było posłać arystokratów prosto na gilotynę. Mimo to ani jedna prycza nie pozostawała wolna dłużej niż przez godzinę. Zaraz zajmował ją nowy więzień... Co oni sobie myślą? Jak ma utrzymać tych wszystkich ludzi?!

Zarządzanie La Force było niekończącym się zmaganiem z kilkoma setkami więźniów, których trzeba było nakarmić i dopilnować; w dodatku żądali bez przerwy a to lepszego wikt, to znowu czystej pościeli i większej ilości koców. Do tego wieczne zawracanie głowy z wysyłaniem listów oraz księgowaniem, a potem oddawaniem rodzinie drobiazgów osobistych! Nie mówiąc już o ustawicznych odwiedzinach mężów, żon, kochanek, współników, lekarzy, doradców prawnych.. Tłumy, które przewalały się przez La Force

każdego dnia, były wprost niewiarygodne! Jakże można było oczekiwać od niego efektywnego zarządzania placówką i wypełniania niezliczonej ilości papierków?! Oprócz dokumentów wystawianych za każdym razem, gdy przyjmowano nowego więźnia, było jeszcze codzienne sprawdzanie obecności z rejestrem więziennym, przy czym zawsze się coś nie zgadzało. Poza tym protokoły z przesłuchań więźniów, którzy utrzymywali, że zostali aresztowani przez pomyłkę, raporty na temat więźniów, których podejrzewano o działalność kontrrewolucyjną, a także tych, których akta gdzieś się zawieruszyły. Oprócz tego sprawozdania na temat dziennych kosztów utrzymania, z wyszczególnieniem ilości jedła i wina spożywanych podczas każdego posiłku, liczby zużytych świec, oliwy i słomy. Prócz tego listy płac gwardzistów i personelu więziennego oraz dokumenty niezbędne do przeniesienia pensjonariusza do innego więzienia... Nie było temu końca. Codziennie zasiadał za biurkiem już o świcie, a kończył pracę ciemną nocą. Zona skarżyła się, że nigdy nie ma go w domu, ale co mógł na to poradzić? Liczba aresztowań wciąż rosła, a trybunał nie mógł się uporać z oczekującymi na proces. A teraz jeszcze, nie wiedzieć jak i gdzie, musi znaleźć miejsce dla tych piętnastu zdrajców, którzy czekają pod drzwiami!

Nagły wybuch dziecięcego płaczu i rozpacz przerwał mu rozmyślenia. Naczelnik zmarszczył brwi. Nie był zwolennikiem aresztowania dzieci razem z rodzicami. Dzieci miały skłonność do chorowania i umierania w więzieniu, a to wyglądało paskudnie w więziennych raportach. W dodatku w żadnym z przysyłanych dokumentów nie było ani słowa o aresztowaniu jakiegoś dziecka. Płacz stawał się coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, dosłownie przewiercał mu mózg. Jak miał się skupić w takim hałasie?! Zerwał się z fotela i ruszył do drzwi zobaczyć, co się tam dzieje.

- Ja chcę tylko rzeczy mojej mamy! Nie możecie mi ich zabrać! - wrzeszczał mały, chudy chłopak, wrywając się jednemu z gwardzistów.

- O co tu chodzi? - zagrzemiał naczelnik więzienia.

Gwardzista spojrzał na niego przepaszająco.

-Wybaczcie, że wam przeszkadziliśmy, obywatelu naczelniku, ale ten chłopak powiada, że jego matkę stracono dziś rano i przyszedł po jej rzeczy.

-Więc czemu ich nie wydacie, żeby się wyniósł do wszystkich diabłów?!

Gwardzista miał głupią minę.

- Prawdę mówiąc, nie ma żadnego dowodu na to, że jego matka tu była - wyjaśnił.

Jak zwykle? - pomyślał z irytacją naczelnik.

- Jak się nazywała twoja matka, chłopcze?

Dzieciak spojrział na niego pełnymi łez oczyma. Twarz miał posiniaczoną tak bardzo, że naczelnik więzienia aż się wzdrygnął. Sam miał dwóch synków i nie żałował im od czasu do czasu porządnego lania, ale nie lubił znęcania się nad dziećmi.

- Ona się nazywa Claire Blanchard - odparł chłopiec drżącym głosem. - To znaczy nazywała się - poprawił i znów wybuchnął płaczem.

Naczelnikowi pękała głowa.

- Jesteś pewien, że została uwięziona właśnie tu? - spytał umęczonym głosem.

- Tak - odparł mały, a głos nadal mu się trząsał. - Ale była tu tylko trzy dni.

Trzy dni! Możliwe, że jej papiery leżą gdzieś na jego biurku. Mogła zostać przyjęta i zabrana tak, że on nawet nie miał o tym pojęcia. Teraz, po śmierci, chłopak miał prawo do listu, pukla włosów czy jakichś osobistych drobiazgów, które pozostawiła pod opieką strażnika. Naczelnik westchnął.

- Przestań się mazać i chodź do mnie - polecił szorstko.

Chłopak otarł nos rękawem, chwycił z podłogi torbę i wszedł do gabinetu.

Naczelnik zaczął przerzucać stertę papierów leżących na biurku. Po kilku minutach pojął, że to daremny trud. Były tam dziesiątki akt, których nie widział nigdy w życiu; widocznie dorzucono je do stosu podczas jednej z nielicznych chwil jego nieobecności.

- Może pójdziesz do domu, chłopcze, a ja zbadam sprawę? Daję słowo, że do jutra odnajdę rzeczy twojej matki.

Chłopiec spojrział na niego z przestrawieniem.

- Ojciec powiedział, że jak wrócę do domu bez jej rzeczy, spierze mnie jeszcze lepiej niż zeszłym razem - powiedział wyraźnie zatrwożony. - Bardzo proszę, obywatelu! On jest straszny, kiedy się rozeźli! Nie moglibyście popytać, gdzie są jej rzeczy?

Sądząc z posiniaczonej twarzy dziecka, jeśli okrutnik postara się lepiej, może zabić chłopaka. Naczelnik nie miał ochoty posyłać dziecka do domu na pewną śmierć. Zwłaszcza że jego matkę dopiero co stracono. Westchnął.

- Jak wyglądała twoja matka? - spytał z nadzieją w głosie.

Chłopiec zastanowił się przez chwilę.

- Była ładna - powiedział miękko. - Włosy miała ciemne, oczy też. Nie za wysoka ani za niska. Taka średnia. Rozumiecie, obywatelu? - spytał pełen nadziei.

A jakże! - pomyślał naczelnik. Wyglądała jak połowa naszych więźniarek.

- Może było w niej coś takiego, czym się wyróżniała? - spytał, z trudem starając się zachować cierpliwość.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Lubiła śpiewać - powiedział wreszcie, przekonany, że wyróżniała ją to spośród wszystkich.

Tutaj pewnie nie miała ochoty na śpiewanie, pomyślał naczelnik cierpko, ale nie powiedział tego głośno. Sprawa nie do rozwikłania!

- Słuchaj, chłopcze, naprawdę lepiej zaczekać do jutra...

Opanowanie chłopca prysło i znów zaczął głośno zawodzić. Ból głowy naczelnika nasilił się w dwójnasób. Miał wrażenie, że jakiś straszliwy młot rozbija mu czaszkę.

- Zaczekaj tu i niczego nie ruszaj! - burknął, wypadł z gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Zbada sprawę osobiście, byle tylko uwolnić się od tego płaczu i krzyku!

Wrócił mniej więcej po dwudziestu minutach. Nie udało mu się znaleźć gwardzisty, który pamiętałby Claire Blanchard, ale wielu z nich nie zawracało sobie głowy nazwiskami tych więźniów, którzy przebywali tu krócej niż tydzień. W każdym razie głowa mniej go teraz bolała, a to już coś! Otworzył drzwi gabinetu, przygotowując się na krzyk, jaki ten mały podniesie, gdy powie mu, że nic nie znalazł.

Ale chłopca nie było.

- Strażnik! - ryknął naczelnik. - Gdzie ten chłopak, który miał czekać w moim gabinecie?

Stojący w pobliżu gwardzista rozejrzał się w osłupieniu po pustym pokoju.

- Myślałem, że tam jest - powiedział tępo.

- Bo był! - burknął naczelnik. Głowa znów zaczęła go boleć. - Ale teraz go nie ma, prawda? Nie widziałeś, jak wychodził?

- Nie - odparł strażnik. - Może mu się sprzykrzyło czekać i wróci jutro.

Naczelnik przymknął oczy ze znużeniem.

- Wynoś się! - rozkazał.

Zamknął drzwi i podszedł do biurka. Pospiesznie obiegł je wzrokiem, potem przeszukał wszystkie szuflady, żeby sprawdzić, czy coś nie zginęło. Wszystko wydawało się nietknięte. Naczelnik westchnął.

Może chłopiec miał dosyć czekania i postanowił wrócić do domu. Pewnie jutro znów się zjawi. A on zmarnował już dość cennego czasu! Nadal miał pod drzwiami piętnastu nowych więźniów. Nie ulega wątpliwości, że dziś wyjdzie stąd bardzo późno. Uznał, że incydent z chłopcem nie jest wart dalszej uwagi, i wrócił do przerwanej pracy.

Armand leżał z zamkniętymi oczami na więziennym łóżku, wyobrażając sobie, że

płynie na pokładzie „Angelique”.

Przebywał w La Force od dwudziestu ośmiu dni. Odmawiano mu spełnienia najprostszych nawet życzeń, takich jak książka do czytania czy spacer na świeżym powietrzu. Nicolas Bourdon zapowiedział, że będzie to egzystencja jałowa i monotonna, w brudzie i poniżeniu - i dotrzymał słowa. Zęby nie oszaleć, Armand rozmyślał co najmniej przez godzinę rano, w południe i wieczorem o rzeczach pięknych i napędzających spokojem. Ten rytuał, w połączeniu z dwiema godzinami ćwiczeń fizycznych i nieustannymi marzeniami o Jacqueline, które stały się już czymś w rodzaju obsesji, pomagał mu znieść puste, beznadziejne życie.

Miał nadzieję, że niedługo go zabiją.

Teraz przebywał duchem z dala od murów więzienia i ciasnej, mrocznej, zimnej celi, do której dolatywał ohydny odór i odgłosy ludzkiej męki. Dzień był słoneczny i ciepły, wiatr - silny i stały - wydymał wielkie, białe żagle „Angelique”, która płynęła po wodzie wdzięcznie jak lecąca nisko mewa. Morze z płynnego szafiru iskrzyło się w blasku słońca, a fale rytmicznie uderzały o kadłub statku. Oparty o re-ling oddychał z rozkoszą kryształowo czystym powietrzem i czuł na skórze, włosach, ubraniu pył wodny, gdy tak żeglował po bezkresnym przestworze nasyconego światłem błękitu. Odwrócił się i ujrzał za sobą Jacqueline, ubraną w srebrzystą suknię jego pomysłu. Na silnym wietrze suknia przyłgnęła jej do ciała, uwydatniając jędrność piersi, wdzięczną smukłość talii, długość nóg... Rozwiane włosy spływały na ramiona, tańczyły na wietrze, jaśniały w słońcu, były koloru szampana i ognia. Szła ku niemu powoli, z gracją, z lekkim uśmiechem na ustach. Jej srebrnoszare oczy płonęły namiętnością... A teraz stała już przed nim, niemal go dotykając swym cudownym ciałem. Leniwym ruchem objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Jej usta były miękkie, rozchylone i drżące, gdy szeptała słodko:

- No, wreszcie zem cię przyłapała, ty cholerny oszuście! Ty sukinsynu!

Otworzył szeroko oczy.

Rzeczywiście stała przed nim jakaś kobieta. Nie widział jej twarzy z powodu ogromnego kapelusza i mroku panującego w celi. Miała na sobie poplamiony brązowy płaszcz, związany wystrzępionym sznurkiem wokół grubego pasa. Najpierw pomyślał, że jest wyjątkowo tęga; potem zrozumiał, że to zaawansowana ciąża. Odzienie miała nędzne i zbyt cienkie na tę porę: wypłowiałą żółtą bluzkę z bawełny i pocerowaną szarą spódnicę, zbryzganą błotem. Głowę osłaniał bezkształtny szary kapelusz, a rude, przetłuszczone włosy wymykały się z niedbale upiętego koka. Armand był pewien, że nigdy w życiu nie widział tej jędzy. Nie pojmował, czemu dozorca więzienny wpuścił ją do celi.

- Więc tu się przytałeś, rozpróżniaczony dupku? - pomstowała wściekle. - Wylegujesz się przez cały dzień, zarcie ci przynoszą do łóżka jak jakiemu królowi, a ja sobie urabiam ręce po łokcie, żeby ten twój bachor miał co zryć! Jeśli myślisz, że się uwolnisz od nas za kratkami, rusz lepiej głową, leniwy bydlaku! Wiem, żeś odłożył forszę i dopilnuję, żebyśmy oboje, ja i twój dzieciak, coś z tego mieli! Słyszysz?! Co z ciebie za chłop, że zostawiasz kobietę z dzieciakiem w drodze bez grosza przy duszy? Nie myśl sobie, że nas zostawisz na lodzie przez te twoje złodziejskie sztuczki, podły oszuście!

Armand mrugał oczami, wysłuchując tej histerycznej tyrady. Miał wrażenie, że traci rozum. Przecież niechlujna jędza w zaawansowanej ciąży, posługująca się rynsztokowym językiem, to z całą pewnością Jacqueline!

Co, rzecz jasna, było absolutnie niemożliwe. Widocznie ogarnął go chwilowy obłąd, spowodowany beznadziejną monotonią dni i nocy w ciasnej, mrocznej celi, gdzie myślał tylko o niej i miał nadzieję jedynie na szybką śmierć. Spoglądał jak urzeczony na dziwaczne widziadło; przecież to był jej podbródek... jej usta... jej mały, usmolony nosek!... Krążyła teraz niezgrabnie po celi i dziko wymachując rękami, pytała, jak on mógł tak podle zdradzić ją, tego dzieciaka, a nawet Francję?! Gdy zawróciła w drugą stronę, w świetle padającym z korytarza przez otwarte drzwi, w których stał dozorca, ujrzał jej srebrnoszare oczy. Gniewne. Zdeterminowane.

I pełne lęku.

Serce podskoczyło mu do gardła. To naprawdę była Jacqueline! Odgrywała w jego celi jakąś zwariowaną komedię! Ogarnęła go wściekłość i taka trwoga, że odebrało mu mowę. Co ona tu robi, na litość boską?... Wyobraża sobie, że ukryje go pod spódnicą?!

- Ma kobitka charakterek, co? - zażartował dozorca, który z uciechą obserwował Jacqueline. - Gdyby była moja, wytlukłbym z niej te głupoty! Ale z tobą będzie chyba miała ostatnie słowo, no nie? - zarechotał szyderczo.

Armand miał ochotę chwycić go za gardło, żeby się udławił tym śmiechem.

Musi przegonić stąd Jacqueline... i to zaraz, natychmiast, zanim narazi się na większe niebezpieczeństwo. Najwidoczniej liczyła na to, że wciągnie go w grę, zmusi, by przyznał, że jest jego kochanką. Nie zrobi tego!

- Obywatelu Pinard, nie znam tej kobiety - oświadczył stanowczo. - Proszę ją usunąć z mojej celi!

Jacqueline przerwała swoją tyradę i wybałuszyła ze zdumienia oczy. Co on wyprawia?! Czyżby jej do tej pory nie poznał?

- Ale z ciebie zgnilek, nawet nie chcesz się do mnie przyznać! - zaskrzeczała. -

Byłam porządną dziewczyną, zanim się zesłam z tym draniem - zwróciła się do dozorca. - Teraz jestem sama jak palec, a nowy obywatel w drodze... I żebym prosiła tego łachudrę o co wielkiego! Tyle, żebym miała na dziecko i mogła wrócić do sił, a potem na oddanie go do mamki, jak sobie znajdę jaką pracę! On ma dudki... a przecie tam, gdzie się wybiera, nie będą mu już potrzebne! I ciągiem nie chce się przyznać do dzieciaka! Jaki inny chłop tak by męczył porządną dziewczynę, pytam ja kogo?!

Zaczęła żałośnie szlochać.

Armand był pełen podziwu dla jej aktorstwa. Zrobiła ogromne postępy od czasu, gdy się spotkali. Nie zmieniło to jednak jego decyzji.

- Obywatelu Pinard, proszę usunąć tę wariatkę z mojej celi! - powtórzył stanowczo.

- Jasne, że chcesz, żebym ją usunął! - prychnął pogardliwie dozorca. - Wygodniej ci tak, co? Aleja ci w tym nie pomogę, podły kundlu! Masz z nią załatwić wszystko jak się patrzy, słyszysz?

Z tymi słowami zatrzasnął drzwi celi i obrócił klucz w zamku.

Armand odwrócił się do Jacqueline. W głowie czuł zamęt. Co to wszystko miało znaczyć, u diabła?! Jacqueline była tutaj, zamknięta w jego celi, w straszliwym niebezpieczeństwie... i uśmiechała się do niego!

- Co ty tu robisz?! - warknął cicho i groźnie.

Nie odpowiedziała. Po prostu stała jak wryta, zapatrzona w niego, z uśmiechem na ustach i ze łzami w oczach. I nagle zobaczył, jak bardzo jest przestraszona. Cały gniew z niego wyparował. Wyciągnął ku niej ramiona.

Ze zdławionym okrzykiem rzuciła mu się na szyję. Objął ją z całej siły i ucałował w usta brutalnie, rozpaczliwie, spragniony jej smaku, dotyku i zapachu. Nie mógł wprost uwierzyć, że jest tu naprawdę. Przywarła do niego, na ile pozwalał jej wywatowany brzusek i cichutko pojękując, całowała go ze zdumiewającą namiętnością. To było szaleństwo, wiedział o tym, ale w tej chwili nie miał nic przeciwko temu, by całkiem oszaleć, byle tylko czuć ją w swoich ramionach.

W końcu to Jacqueline przerwała pocałunek, odsuwając Armanda na odległość ramienia, by zebrać myśli.

-Możesz chodzić?

-Mogę - odparł ze zdumieniem.

Podkasła spódnicę, ukazując okazały tobołek, przywiązany w talii. Drżącymi palcami rozplątywała sznurek, aż zawiniątko opadło jej do stóp.

- Musimy się dalej klócić - szepnęła, rozwiązując tłumoczek. Odetchnęła głęboko, by

uspokoić nerwy. - Jak śmiałeś udawać, że mnie nie znasz, śmierdzielu?! - zaskrzeczała.

Armand przyglądał się z podziwem, jak pospiesznie wydobywa z zawiniątka pistolet, nóż i mundur strażnika więziennego. Jakim cudem udało się jej zdobyć to wszystko?

- Musisz zająć się dozorcą - szepnęła, podając mu broń i sznurek. Szybko ukryła mundur z powrotem pod spódnicą, wydała okrzyk bólu i upadła na podłogę. - O mój Boże! Popatrz, coś narobił! Rodzi się! Rodzi się! - zawodziła.

Armand spoglądał na nią w osłupieniu, gdy zwijała się na brudnej podłodze w ataku rzekomych bólów porodowych.

- Zawołaj dozorcę! - syknęła. - O mój Boże! Ze też na mnie akurat teraz przyszło! - zawołała głośno z rozpaczą.

Zebrał wreszcie myśli, wetknął nóż do buta, a pistolet za pasek spodni.

-Dozorca! - krzyknął. - Obywatelu Pinard! Szybko, szybko, na pomoc!

-Co to za hałasy? - burczał Pinard, zagłędając przez kratkę.

- Chyba zaczęła rodzić - odparł z niepokojem Armand.

Jacqueline wydała straszliwy, przesywający krzyk.

- No, no! Tu nie miejsce, żeby rodzić dzieci! - sapał dozorca, nie mogąc poradzić sobie z kluczem.

- Ooooch! - zawodziła Jacqueline, wijąc się po ziemi.

Drzwi otwarły się wreszcie i Pinard wkroczył do celi.

- Słuchajcie no, obywatelko! Nie możecie tu rodzić, powiadam! - Podszedł do leżącej. -Wstawaj i wynocha, słyszysz?!

Jacqueline wydała jeszcze jeden okrzyk bólu, a Armand uderzył dozorcę ciężkim pistoletem w głowę i podtrzymał padającego, by nie zwałił się na dziewczynę.

- Zabierz mu klucze i połóż go na łóżku - pouczyła Jacqueline.

Wstała i wyciągnęła mundur spod spódnicy.

Armand odczepił wielkie kółko z kluczami od pasa dozorczy i wciągnął nieprzytomnego na łóżko.

- Daj mi swoją kurtkę, a ty wkładaj mundur, szybko! – poleciła Jacqueline.

Zdjął pospiesznie kurtkę i podał jej. Z trudem wciągnęła ją na bezwładne ciało. Następnie przewróciła dozorcę na brzuch i związała mu ręce na plecach. Potem wepchnęła mu chustkę do ust i okryła kocem, odwracając go do ściany. Póki Pinard będzie leżeć spokojnie, póty na pierwszy rzut oka wszystko będzie wyglądało jak należy: obywatel Michel Belanger śpi spokojnie na swojej pryczy.

Jacqueline spojrzała na Armanda, który włożył już mundur więziennego strażnika. Był niestety za mały. Dziewczyna ukryła pod spódnicą zdjęte przez niego spodnie i koszulę i znów wyglądała na ciężarną.

- Musisz iść pochylony - powiedziała, patrząc na krótkie rękawy i z trudem dopięte guziki kurtki. - Jesteś o wiele wyższy od tego, na kogo to szyli!

Armand zgarbił się bez sprzeciwu.

- Gotowa?

Kiwnęła głową potakująco.

- No to krzycz! - szepnął, otwierając drzwi.

Jacqueline zaczęła skowyczeć z bólu. Armand wyprowadził idącą chwiejnym krokiem kobietę i zamknął drzwi celi. Ruszyli spiesznie korytarzem. Jacqueline chlipała, jęczała i słała się na nogach, trzymając się za wielki brzuch. Armand podtrzymywał ją ramieniem, nachylony tak, by nie było widać jego twarzy. Przez cały czas mamrotał gniewnie, że nie powinno się wychodzić z domu, kiedy się wie, że dzieciak lada chwila zjawi się na świecie.

Przeszli jeden korytarz, nie napotkawszy żadnego strażnika i skręcili w następny. Siedzący na stołku przy końcu korytarza dozorca zwrócił uwagę na zbliżającą się parę.

- Cóż to się dzieje? - spytał z zainteresowaniem.

- Dzieciak wybrał się na świat nie w porę - burknął z irytacją Armand, nie zwalniając kroku.

- Tutaj będzie rodziła? - spytał strażnik z niedowierzaniem.

- Zobaczymy, jak się będzie czuła, kiedy ją doprowadzę do głównego wyjścia - odparł Armand. - Jeśli bóle zelżeją, może zdąży wrócić do domu, zanim dziecko się urodzi.

I wyminął strażnika.

Zeszli na dół po ciemnych schodach i przebyli następny wilgotny korytarz, mijając szereg nędznych, cuchnących cel. Kilku strażników, których napotkali po drodze, widziało, jak przed godziną weszła Jacqueline; wiedzieli więc, że to nie uciekająca więźniarka i nie zwracali na nią uwagi. Niektórzy pozwalali sobie na grubiańskie żarty dotyczące jej stanu. Armand krzyczał na położnicę, zachowując się jak ktoś, kto ma ważniejsze sprawy na głowie niż opieka nad głupią babą, która ni stąd, ni zowąd zaczęła rodzić. Jacqueline podziwiała jego umiejętność wcielania się bez trudu w nową rolę. Zrozumiałe zniecierpliwienie Armanda i mundur mogły zwieść każdego, zwłaszcza w ciemnym korytarzu.

-No, ruszaj się! Nie mamy tu warunków do porodu, rozumiesz? - warknął, popychając Jacqueline.

-Tak-wysapała słabo, udając, że znowu chwycił ją ból.

- Co się stało? - odezwał się za nimi obcy głos.

Armand się nie zatrzymał.

-Ta obywatelka doszła do wniosku, że czas urodzić dzieciaka - rzucił przez ramię. - Prowadzę ją do wyjścia.

-Pomogę wam. - Strażnik pobiegł za nimi. - Nie powinniście... - urwał i spojrzał na Armanda ze zdumieniem. Jego twarz przybrała surowy wyraz. - Coś ty za jeden?

-Prawdę mówiąc, jestem tu nowy - wyjaśnił Armand z zimną krwią, puszczając Jacqueline. - Dopiero co mnie tu przenieśli z Abbaye.

Strażnik popatrzył na niego podejrzliwie.

-No to chodź ze mną do naczelnika, żeby to potwierdził!

-Bardzo chętnie - odparł uprzejmie Armand. - Odprowadzę tylko tę kobietę do głównego wyjścia i...

- Teraz! - przerwał mu strażnik. - Ona może poczekać.

Armand westchnął. Jacqueline chwyciła się za brzuch i krzyknęła boleśnie. Strażnik odruchowo spojrzał na nią, a wtedy Armand złapał go i uderzył nim o kamienną ścianę. Strażnik stracił przytomność i osunął się bezwładnie.

-Co to za hałasy? - utyskiwał jakiś więzień, przyciskając twarz do kratki w drzwiach.

-Znowu się upił - burknął Armand ze zniecierpliwieniem.

Zaciągnął nieprzytomnego strażnika do wnęki w murze i ułożył na podłodze.

-Wracajcie do łóżka, obywatelu - rzucił do ciekawskiego więźnia. Znow ruszyli z Jacqueline w stronę wyjścia.

-To już niedaleko, obywatelko - powiedział.

Jacqueline nie wiedziała, czy to kwestia z roli, czy rzeczywiście chce ją uspokoić.

Drzwi frontowych strzegło dwóch wysokich, krzepkich chłopów. Pilnowali, by nikt nie opuścił więzienia bez dopełnienia należnych formalności. Zbliżając się do nich, Armand ciągnął poirytowanym głosem swoją tyradę, upominając towarzyszkę, by czym prędzej wracała do domu, jeśli chce urodzić dzieciaka. Tu mają dość kłopotów i bez kobiet, które podczas odwiedzania więźnia dostają bólów porodowych. Jak się pospieszy, zdąży do domu na czas! Pochylał się nad nią, niby podtrzymując Jacqueline i kryjąc przy tym twarz. Dotarli wreszcie do strażników.

-Tak prędko nas opuszczacie, obywatelko? - rzucił kpiąco jeden z nich.

-Ooooch! -jęknęła Jacqueline, udając, że ból nie pozwala jej odpowiedzieć.

-Będzie miała pamiątkę z pobytu w La Force - zażartował drugi, otwierając przed nią drzwi.

-No, szybko, na pewno zdążycie, obywatelko! - popędzał ją niecierpliwie Armand i szedł razem z nią.

-A wy dokąd? - zdumiał się jeden ze strażników.

-Doprowadzę ją do ulicy - odparł Armand. - Potem musi sobie radzić sama.

-To zupełnie niepotrzebne - powiedział strażnik. - Wracajcie do środka!

Jacqueline z okrzykiem bólu chwyciła się za brzuch. Armand jej nie puścił.

- Potrzeba jej pomocy - tłumaczył. - Na ulicy przywoła dorożkę.

To potrwa najwyżej minutkę!

- To nie wasza sprawa, obywatelu - upomniał go strażnik. - Wracajcie do swoich obowiązków!

Armand stał, spoglądając nań ponuro i nie puszczał ręki Jacqueline.

Byli tak blisko celu! Jeszcze pół godziny temu sądził, że nie ma dla niego ratunku i pogodził się z tym. Ale od wyjścia z celi ocknęła się w nim nadzieja. Czuł niemal pod stopami pokład „Angelique”... Nie pozwoli jednak, by Jacqueline stało się coś złego. Mogli przecież aresztować ich oboje!

Spojrzał głęboko w srebrnoszare oczy, pełne lęku i nadziei. Zrób coś! - błagały go. Była taka ufna...

Tyle jeszcze chciał jej powiedzieć, a nigdy już nie powie... Spędzi resztę życia w tym przedsiönku piekła, samotny i zgorzkniały, wiedząc, że gdzieś tam daleko żyje jedyna istota, która mogła go ocalić... Zmusił się, by puścić jej rękę.

- Dobrze, obywatelu - powiedział.

Nie oglądając się, wszedł z powrotem w otwarte drzwi.

Jacqueline obserwowała go, zastanawiając się, jaki obmyślił podstęp. Czekala niecierpliwie na następny ruch. W chwili gdy dwaj strażnicy zamykali już drzwi, Armand odwrócił się i spojrzał na nią z bolesną czulością i żalem. I nagle zrozumiała: poświęcił własną szansę odzyskania wolności, by ona mogła bezpiecznie odejść!

- Nie! - krzyknęła, nie panując nad sobą. - Nie możesz mnie zostawić! Nie możesz!

Wbiegła za nim i chwyciła go za ramię, jakby chciała siłą wyciągnąć go na zewnątrz.

- Co tu się dzieje, do wszystkich diabłów?! - warknął jeden ze strażników.

Armand spojrzał na Jacqueline. Jej oczy były nieprzytomne i pełne łez.

- Nie możesz mnie opuścić - powtórzyła cicho, łamiącym się głosem.

Przycisnęła rękę Armanda do serca.

- Aresztować oboje! - rzucił jeden z gwardzistów do drugiego i skoczył na Armanda od tyłu.

Armand się wyprostował. Nogi strażnika oderwały się od ziemi. Potem błyskawicznie uderzył plecami o ścianę, rozbijając wczepionego weń przeciwnika o kamienny mur. Uderzał tak kilkakrotnie, aż uścisk tamtego zelżał, a ciało bezwładnie osunęło się na ziemię. Tymczasem Jacqueline zajęła się drugim strażnikiem, skoczyła mu na kark i sięgnęła zakrzywionymi palcami do oczu. Zdezorientowany, miotał się na oślep, usiłując ją strącić. Nie wiedział nawet, co się dzieje, kiedy Armand uderzył go w tył głowy ciężkim pistoletem.

- W nogi! - krzyknął, chwytając Jacqueline za rękę i wyciągając ją z budynku.

Pobiegli ścieżką prowadzącą z więzienia na ulicę. Słyszeli za sobą jakieś krzyki.

- Tędy! - przejęła komendę Jacqueline, gdy zmieszali się z tłumem przechodniów na ruchliwej rue Saint-Antoine.

Przeciskali się żwawo przez cizbę, nie biegli jednak, gdyż mogłoby to zwrócić uwagę. Armand zauważył, że Jacqueline zgubiła sztuczny brzuszek- być może wtedy, gdy skoczyła strażnikowi na plecy- mogła więc iść szybko, nie budząc zdumienia. Dał się jej prowadzić, widząc, że dziewczyna dobrze wie, dokąd zmierza. Skręciła w jedną przecznicę, potem w inną... Nikt nie zwracał na nich uwagi. Wreszcie dotarli do mrocznej ulicy, która robiła wrażenie opustoszałej. Na jej końcu stał ukryty w cieniu niewielki czarny powozik.

Na ich widok woźnica otworzył szeroko drzwiczki. Jacqueline wsiadła, Armand za nią. Gdy zamykał drzwi, powóz ruszył tak raptownie, że Armanda rzuciło na ławeczkę obok Jacqueline.

-Uff! Zejdź ze mnie! - poskarżył się czyjś zduszony głos.

-Bardzo przepraszam! - Armand przeniósł się na miejsce na wprost Jacqueline.

Zmrużył oczy i mimo ciemności dostrzegł chłopca na miejscu, gdzie przed chwilą siedział.

-Chyba się jeszcze nie znamy?

-Jestem Philippe Mercier. To ja ukradłem mundur! - wyjaśnił chłopiec z dumą.

-Tak? - odparł Armand. -Jestem ci wdzięczny, obywatelu Mercier. Bardzo mi się przydał.

Philippe wzruszył ramionami, jakby kradzież munduru była głupstwem niewartym

wzmianki.

-Jedziemy prosto na wybrzeże - powiedziała Jacqueline. Jej głos był pełen napięcia, musieli jeszcze wydostać się z miasta. - Dłuższy pobyt w Paryżu byłby ryzykowny; na pewno wyznaczą wysoką nagrodę za twoją głowę. A poza tym „Angelique” będzie na nas czekać tuż za Boulogne jutro w nocy.

-Masz dla nas dokumenty? - spytał.

-Tak! - odparła. -Justin się o nie wstarał. - Sięgnęła pod ławeczkę i wyciągnęła zwinięte ubranie i białą perukę. -Włóż to! Musisz pozbyć się munduru, nim dotrzemy do bramy. Philippe ci pomoże.

-Kim teraz jestem? - spytał, rozpinając kurtkę.

-Nazywasz się Roland Mougie - poinformowała go. -Jesteś księgowym z Amiens. Przybyłeś do Paryża na polecenie władz, by zeznawać przed trybunałem przeciwko Pierre'owi Lacombe, oskarżonemu o udział w spisku rojalistycznym. Zabrałeś ze sobą do Paryża dwóch synów, by zobaczyli miasto; ty również nigdy dotąd go nie widziałeś. Philippe to twój młodszy syn Georges, a starszy Bernard to ja. "wszyscy będą szukali mężczyzny i kobiety, a nie ojca z dwoma chłopcami.

Mówiąc to, Jacqueline też się przebierała: wciągnęła spodnie, wetknęła w nie zgrzebną koszulę i zamieniła wielki niekształtny kapelusze na wełnianą czapkę, pod którą ukryła kosmyki ciemno-rudych włosów. Armand przyglądał się jej z podziwem. Opracowała drobiazgowy plan ucieczki z więzienia i podróży do Anglii, jakby posługiwanie się fałszywymi dokumentami i zmylenie miejskich straży stanowiło dla niej chleb powszedni. Choć sytuacja była niebezpieczna, Armand uśmiechnął się mimo woli.

-Dobrześ się spisała, moja panno! - powiedział cicho.

Jacqueline przerwała zapinanie kurtki i popatrzyła na niego. Choć twarz miał ukrytą w cieniu, mogłaby przysiąc, że się uśmiecha. Nagle ogarnęło ją onieśmienie.

- Miałam znakomitego nauczyciela - szepnęła.

Skończyli się ubierać w milczeniu.

Piętnaście minut później dotarli do pilnie strzeżonej bramy. Armandowi przypadł obowiązek tłumaczenia się przed gwardzistami, którzy sprawdzali powóz. Oswoiwszy się już z nową rolą, rozmawiał z nimi dość swobodnie. Jacqueline miała rację: wieść o ucieczce Czarnego Księcia z La Force już się rozeszła. Ponieważ na wyjazd przez wschodnią bramę czekało tego wieczoru (jak zresztą zawsze) mnóstwo powozów i furmanek, gwardziści, choć starannie sprawdzali wszelkie dokumenty, nie poświęcili wiele uwagi starszemu mężczyźnie

podróżującemu w oficjalnej sprawie w towarzystwie dwóch niedoroslých synów. Zresztą nawet woźnica miał dokument stwierdzający, że przybywa z Amiens wraz z obywatelem Mougie, toteż przepuszczono ich szybko. Tuż za nimi jechała na wozie młoda para, która wydała się gwardzistom znacznie bardziej podejrzana.

Kiedy oddalili się mniej więcej o kilometr, Jacqueline odetchnęła.

-Udało się! - powiedziała, opierając się o ściankę powozu.

-Jak dotąd, tak - przyznał Armand.

Mieli przed sobą wiele godzin podróży, nim znajdą się bezpiecznie na pokładzie „Angelique”.

- Chyba możecie mnie już wypuścić - odezwał się niedbałym tonem Philippe.

-Wrócę na piechotę, to niedaleko.

- Chcesz wracać? - spytał go ze zdumieniem Armand.

Philippe wzruszył ramionami.

- Odwałem swoją robotę - oświadczył. - Obiecałem, że pomogę Jacqueline wyciągnąć cię z więzienia, no i pomogłem. - Zmierzył Armanda poważnym wzrokiem. - Teraz ty na nią uważaj!

Jacqueline się zawahała. Chociaż plan nie przewidywał dalszych zadań dla Philippe'a, o ile uda im się szczęśliwie wyjechać z miasta, teraz, gdy nadeszła chwila pożegnania, wcale nie miała ochoty rozstawać się z chłopcem. Co się z nim stanie, gdy wróci do Paryża? - myślała. Jak będzie wyglądało jego życie? Znow kradzieże, cięgi, przymieranie głodem... Mroźne noce spędzone na ulicy, jeśli zaprzyjaźnione prostytutki będą miały klientów?... Chłopiec dwukrotnie ocalił jej życie i pomógł w uratowaniu Armanda. Miała wobec niego wielki dług wdzięczności. Nie mogła tak po prostu powiedzieć „żegnaj!” i zostawić go własnemu losowi!

-Philippe, może jednak namyślisz się i pojedziesz z nami? - zaczęła niepewnie.

-Nie potrzebuję niczyjej łaski! - oświadczył stanowczo. - Potrafię sam zadbać o siebie!

Widząc posiniaczoną twarz chłopca, Armand nie bardzo mógł w to uwierzyć, ale nie powiedział ani słowa.

- Źle mnie zrozumiałeś - zaprotestowała pospiesznie Jacqueline. - Nie proszę, żebyś jechał do Anglii z litości! Bardzo byś mi się przydał.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

-W Anglii też chciałabyś kogoś wyciągnąć z więzienia? - spytał z niedowierzaniem.

-Nie - zapewniła go Jacqueline. - Ale Londyn to wielkie miasto i zupełnie go nie znam. Nigdy nie wychodzę sama, żeby nie zabłądzić.

Philippe zrobił sceptyczną minę.

-Ja też nie znam Londynu - uciął.

-Ale wszędzie trafisz! I dobrze wiesz, jak wygląda życie w wielkim mieście. Londyn to też wielkie miasto.

-Nie umiem mówić po angielsku - stwierdził.

-Ale możesz się nauczyć - przekonywała rozsądnie. -Ja też nie znałam ani słowa, kiedy przyjechałem po raz pierwszy do Anglii, a już po kilku tygodniach dużo rozumiałam i mogłam się dogadać.

Philippe się zawahał. Było widoczne, że oferta go zainteresowała.

- Miałbyś zawsze pod dostatkiem jedzenia i ciepłe ubranie – kusila dalej Jacqueline.

- I dach nad głową. Kiedy będziemy na wsi, a często tam jeździmy, nauczysz się jeździć konno!

Philippe pokręcił głową.

-Nie stać mnie na takie życie - oświadczył. - A niczyjej łaski nie chcę!

-Mógłbyś na to zarobić - podsunęła.

-Niby jak? Mam być paziem w cudackim ubranku?!

Prychnął pogardliwie na samą myśl o czymś podobnym.

-Mógłbyś pomagać w stajni - zauważył Armand. Philippe spojrzał na niego ze zdumieniem.

-Nie umiem jeździć konno!

- Nie miałem na myśli konnej jazdy - uśmiechnął się Armand. - Zacząłbyś od zamiatania boksów. Potem, gdybyś okazał się dobry i szybki, wzięliby cię do polerowania uprzęży. A gdybyś się naprawdę wyróżniał, może by ci pozwolili czyścić konie. Przez cały ten czas przyglądałbyś się, jak pracują inni, uczył od stajennych i brał lekcje konnej jazdy... aż pewnego dnia mógłbyś i ty układać konie. Oczywiście, tylko gdyby się okazało, że naprawdę masz do tego smykałkę. Nie każdy nadaje się do tego.

-Ja bym się nadał! - oświadczył Philippe z pewnością siebie. Armand przyglądał mu się przez chwilę.

-To możliwe - przyznał.

- Nauczyłbyś się też czytać i pisać - dodała Jacqueline, zdecydowana pchnąć go na prostą drogę nowego, szacownego życia. - Pracowałbyś i uczył się jednocześnie.

Philippe zastanowił się przez chwilę.

-Dobrze! - powiedział w końcu. -Jadę z wami.

-Bardzo ci dziękuję!

Jacqueline odetchnęła z ulgą. Obaj - Armand i Philippe - są bezpieczni i ona nie ma już nic więcej do zrobienia. Usadowiła się wygodnie i natychmiast zapadła w sen.

Armand stał z rękoma założonymi za plecy, patrząc na wzburzone czarne wody kanału La Manche. Powietrze było lodowato zimne, ostre i nasycone solą. Wciągał je potężnymi haustami, oczyszczając płuca z ohydnygo więziennego fetoru, którym musiał oddychać prawie przez miesiąc. Był wolny! Nie czuł się jednak całkiem bezpieczny poty, póki nie stanie na pokładzie „Angelique” i nie ujrzy niknącego w dali francuskiego wybrzeża. Na razie jednak musiała mu wystarczyć plaża, huk fal uderzających o skały, bezkresny przestwór morza.

- Gdzie oni są? - szepnęła niespokojnie Jacqueline. Stała obok niego i mrużąc oczy, wpatrywała się w ciemność.

W czasie podróży była po prostu kłębkim nerwów, a to, że „Angelique” nie czekała na nich, zwiększyło jeszcze jej obawy. Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Kontakty Justina i klejnoty Jacqueline zapewniły im nieodzowną pomoc. Świeże konie wraz z nowym woźnicą czekały w każdym z ustalonych miejsc, w dodatku z zapasem jedzenia i picia, by mogli jechać bez postojów. Dwukrotnie zostali zatrzymani przez zmarznięte oddziały Gwardii Narodowej; ich dokumenty zadowalały jednak w zupełności kontrolujących. Prawdę mówiąc, przebyli drogę na wybrzeże w wyjątkowo krótkim czasie. Może dlatego nie zastali tu jeszcze Sidneya i jego ludzi.

- Jesteś pewna, że Sidney miał tu być już dziś? - spytał Armand, odrywając wzrok od morza, by spojrzeć na swą towarzyszkę.

Jacqueline była nadal przebrana za chłopca, kosmyki włosów schowała pod wełnianą czapkę, a czarujące krągłości ukryła pod zgrzebnymi, workowatymi spodniami i zbyt obszerną kurtką. Nie przypominała w niczym urzekającej wizji, która jawiła się Armandowi w marzeniach, a jednak mógłby przysiąc, że nigdy dotąd nie widział piękniejszej kobiety.

-Ależ tak - odparła, lecz przez jej czoło przemknął cień niepokoju.

-W takim razie na pewno się tu zjawi - uspokoił ją. - Musimy po prostu cierpliwie czekać.

Pragnął chwycić ją w ramiona i pocałować, ale nie byli tu bezpieczni, nie należało

się rozpraszać. Znów spojrzął w stronę morza.

Jacqueline zadrżała i podniosła kołnierz kurtki. Miała nadzieję, że statek zaraz przybędzie. Była zmarznięta na kość.

Dowiózłszy ich na miejsce, woźnica zniknął wraz z powozem, nie miała więc gdzie usiąść ani schronić się przed nocnym chłodem. Ruszyła w stronę kępy drzew rosnących za plażą w poszukiwaniu ustronnego zakątka, gdzie mogłaby sobie ulżyć, nim przybędzie statek.

Ich wyprawa dobiegła już końca. Wkrótce opuści ukochaną Francję, tym razem na dobre. Nie pozostało tu nic, co by ją zatrzymywało. Rodzinny dom przestał istnieć, dawne życie legło w gruzach. Nicolas nie żył, tak więc i zemsta nie wzywała jej do powrotu. Z Francją nie łączyło jej nic prócz wspomnień - tych dobrych i tych straszliwie bolesnych. Starła się o nich nie myśleć.

Jej siostry były bezpieczne, Armand także. Nową częścią jej życia stał się Philippe, co cieszyło ją niezmiernie. Ze zdumieniem pokręciła głową: to przecież tylko mały umorusany ulicznik, zwykły złodziejaszek. Dawniej jako strzeżona przed brudami życia córka księcia de Lambert uznałaby zapewne, że nie jest godny czyścić jej bucików... Ale rewolucja zmusiła ją do zmiany zdania na temat tego, co czyni ludzi godnymi miłości i szacunku. Na pewno nie urodzenie i tytuły czy bogactwo! Zarówno Armand, jak i Philippe narażali dla niej życie, nie dla osobistej korzyści, ale zgodnie z poczuciem honoru, który nie pozwalał im stać z założonymi rękami, gdy komuś działo się krzywda.

Była pewna, że Philippe, właściwie prowadzony i zachęcany, wyrośnie na wspaniałego człowieka. Miała nadzieję, że w Anglii nie będą nim pogardzać z powodu niskiego pochodzenia i braku tytułu. Już ona dopilnuje, by otrzymał jak najlepsze wykształcenie! Poprosi też Armanda, by wprowadził go w tajniki prowadzenia interesów; dzięki temu Philippe zdobędzie majątek i będzie mógł posłać do diabła każdego, kto by się nad niego wywyższał!

Ona sama też powinna się tego nauczyć. Niemal cała biżuteria de Lambertów poszła na niezwykle wysokie łapówki oraz sówite opłaty za fałszywe dokumenty, niezbędne informacje i transport, dzięki czemu wszyscy troje dotarli tu szczęśliwie. W Anglii mogła korzystać ze swego dawnego nazwiska i ojcowskiego tytułu, ale bez pieniędzy czy kosztowności niewiele jej to dawało... chyba że ktoś ze złotej młodzieży zapragnąłby nagle pojąć za żonę cudem ocalałą francuską arystokratkę. Nie mogła wraz z siostrami wiecznie korzystać z gościnności Harringtonów. Powinna sama utrzymywać Suzanne i Seraphine, póki nie wyjdą za mąż. Philippe'a również. Westchnęła. Może Armand coś jej doradzi? Znał się doskonale na interesach.

- Naprawdę myślałaś, że mi się wymkniesz? - wycedził cierpko zniechęcony głos.

To niemożliwe! - pomyślała z rozpaczą i odwróciła się z trudem, zdrętwiała ze strachu.

Stał przed nią Nicolas, z twarzą wykrzywioną gniewem i nienawiścią. Spod kapelusza wystawał zakrwawiony bandaż, twarz od skroni aż po brodę znaczyła niedawno zasklepiona rana. Jacqueline otworzyła usta do krzyku, ale spadła na nie ciężka ręka w grubej rękawicy, zanim zdążyła wydobyć głos.

- Myślałaś, że ci pozwolę wymknąć się po raz drugi? - syknął, odwracając ją brutalnie i boleśnie wykręcając jej ramię do tyłu. - A może sądziłaś, że udało ci się mnie zabić? - pytał szyderczo, przysuwając twarz tak blisko do jej twarzy, że czuła na policzku jego oddech.

Usiłowała oswobodzić się z uścisku, ale on omal nie wyrwał jej ramienia. Krzyknęła z bólu, lecz nikt tego nie usłyszał, gdyż Nicolas nadal trzymał jej rękę na ustach.

- Jeśli będziesz się opierać, zrobię ci krzywdę, i to z prawdziwą przyjemnością - ostrzegł cicho. Puścił ramię Jacqueline i przyłożył jej do policzka zimne jak lód ostrze noża. - Możesz mi wierzyć, z radością napiętnuję cię podobnie, jak ty w swojej głupocie naznaczyłaś mnie! Jedno szybkie cięcie i twoja śliczna buzia stanie się odrażająca i spleynie krwią.

Jacqueline starała się opanować strach i zebrać myśli. Gdyby Nicolas był sam, z pewnością Armand zdołałby go przechytrzyć... Ale jeśli wykorzysta ją jako zakładniczkę, Armand nie zrobi nic, co mogłoby jej zaszkodzić. Będzie miał związane ręce.

- Wiedziałem, że pójdziesz do La Force, by uwolnić swego przyjaciela - szeptał jej do ucha Nicolas, nadal trzymając ją mocno. - Dotarłem tam zaraz po waszej ucieczce. Przewidziałem, że zechcecie jak najszybciej opuścić Francję, wziąłem więc ze sobą ośmiu ludzi i wyruszyłem z nimi od razu na wybrzeże. Kiedy już was dogoniliśmy, postanowiłem zaczekać, aż powóz odjedzie, żebyście byli zdani tylko na własne nogi. W tej chwili obaj twoi współnicy zostali otoczeni przez oddział Gwardii Narodowej. Miła niespodzianka dla Czarnego Księcia, prawda? - wycedził z ironią.

Jacqueline ogarnęła trwoga i poczucie klęski. Armand i Philippe w żaden sposób nie zdołają pokonać ośmiu gwardzistów! Zalała ją bezbrzeżna rozpacz.

- A teraz my się do nich przyłączymy - powiedział pogodnie, przesuwając ostrze noża z policzka na szyję. - Ostrzegam cię, Jacqueline: jeden okrzyk lub nieprzemyślany ruch i poderżnę ci gardło! Rozumiesz?

Jacqueline kiwnęła głową.

- Doskonale!

Zdjął jej rękę z ust i otoczył ją ramieniem, nadal dotykając ostrzem noża szyi. Wyszli spomiędzy drzew i zobaczyli Armanda i Philippe'a wpatrzonych w morze.

- Czarujący obrazek! Dwaj zdrajcy pogrążeni w myślach wypatrują statku - zadrwił Nicolas.

Armand odwrócił się i uniósł brwi ze zdumieniem.

- Inspektor Bourdon? Co za urocze spotkanie! – powiedział uprzejmie i zmarszczył czoło. - Mój Boże! Okropnie wyglądacie, obywatelu. Któż się ośmielił tak oszpecić szacowne oblicze?

Jacqueline poczuła, że ręka Nicolasa obejmuje ją jeszcze ciaśniej.

- To mała pamiątka od mademoiselle de Lambert - syknął inspektor, naciskając mocniej końcem noża na gardło dziewczyny. - Ale gdy rozprawię się z tobą i z tym chłopakiem, dopilnuję, by ładnie mnie za to przeprosiła przed powrotem na gilotynę.

- Doprawdy? - spytał Armand z uprzejmym zainteresowaniem.

Przez chwilę w milczeniu przyglądał się Nicolasowi, jakby chciał się upewnić, czy nie blaguje.

Bourdon uśmiechnął się z triumfem. W końcu zapędził przeciwników w kozi róg! Jacqueline z pewnością mu się nie wyrwie, jest zbyt przerażona. A Czarnego Księcia gwardziści trzymali na muszce; nie miał najmniejszych szans na ocalenie. Co za upojna chwila! Rozkoszował się nią w całej pełni.

- Powiadacie, obywatelu, że ta paskudna szrama to dzieło mademoiselle de Lambert? - spytał Armand, jakby nic go nie obchodziła reszta wypowiedzi.

-Zapomnij o tej ranie! -warknął Nicolas ze zniecierpliwieniem.

-Bardzo bym chciał, ale jest taka długa, głęboka i krwawa... Trudno o czymś takim zapomnieć. Sami musieliście się o tym przekonać. Wystarczy spojrzeć w lustro!

Pokiwał głową ze współczuciem.

Jacqueline patrzyła na Armanda, nie rozumiejąc go. Co on wyprawia? Tkwią w pułapce, „Angelique” ani śladu, a on drażni Nicolasa, zamiast z nim walczyć lub próbować ucieczki... Na co liczy, u Boga Ojca?!

-Niestety, obywatelu, chwila nie jest odpowiednia na pogawędkę - ciągnął Armand takim tonem, jakby przeproszał za jakiś nietakt. - Właśnie wybieramy się w podróż. Zaprosiłbym i was, ale mademoiselle de Lambert nie byłaby tym chyba zachwycona... trudno się dziwić, znając przebieg waszej znajomości.

-Owszem, wybieracie się, ale na gilotynę - oświadczył cierpko Nicolas.

-To kusząca propozycja, zwłaszcza że ostatnio trudno tam się dopchać - przyznał Armand z westchnieniem. - Niestety, muszę odmówić. Zechcicie puścić mademoiselle de Lambert, obywatelu inspektorze, bo pora w drogę.

Nicolas spiorunował go wzrokiem.

-Czyś ty rozum stracił, głupcze? - spytał. - Oddział Gwardii Narodowej trzyma was na muszce. Jesteście aresztowani!

-Czyżby? - spytał z niedowierzaniem Armand. - Proszę mi wybaczyć wątpliwości, inspektorze, ale czy moglibyśmy zobaczyć owych szacownych przedstawicieli Gwardii Narodowej?

-Pokażę ich wam z przyjemnością - odparł Nicolas. - Gwardziści do mnie! - huknął.

Minęła dłuższa chwila, ale nikt się nie pojawił. Armand mierzył przeciwnika obojętnym wzrokiem.

Bourdon rozejrzał się niepewnie dokoła.

- Gwardziści! - krzyknął jeszcze głośniej. - Do mnie, psiakrew!

Jacqueline popatrzyła na lasek za plażą pewna, że gwardziści się stamtąd wynurzą. Ale jakoś nikt nie wychodził. Nicolas przytrzymał ją jeszcze mocniej.

- Wychodzić! - wrzasnął, a w jego głosie słyhać było bezsilny gniew i lęk. - Podejść tu natychmiast!

Minęła kolejna minuta. Ani śladu gwardzistów.

-Widać są czymś zajęci - rzucił od niechcienia Armand. - Proszę więc puścić mademoiselle de Lambert...

-Nigdy! -warknął Nicolas, przytykając jej ostrze do gardła. - Ty i chłopak pójdziecie grzecznie ze mną, boją zabiję. Czy to jasne?

Armand westchnął z przesadą.

-Doprawdy, obywatelu Bourdon, porzućcie te mrzonki, bo straciecie do reszty rozum.

-Zabieram was do Boulogne, skąd zostaniecie odesłani do Paryża pod eskortą!

-Cóż za niezwykła troskliwość! - uśmiechnął się Armand. -Niestety, nie mamy czasu na podróż do Paryża. Nasz statek właśnie nadpływa, o tam!

Jacqueline wpatrzyła się w mrok. Ledwie widoczna sylwetka „Angelique” unosiła się wdzięcznie na czarnych falach. Poczowała ogromną ulgę.

- Nigdy do niego nie dotrzecie! - wrzeszczał Nicolas. – Albo idziecie za mną, albo zaraz poderżnę jej gardło!

Trzymał Jacqueline mocno, ostrze wpijało się boleśnie w delikatne ciało.

Twarz Armanda nie straciła wyrazu obojętnej uprzejmości; zauważyła jednak, że zacisnął zęby.

- Już mi się sprzykrzyły te wasze pogrożki i pozy, inspektorze - powiedział do Nicolasa. - Proszę natychmiast puścić mademoiselle de Lambert, bo nie odpowiadam za siebie.

Nicolas się roześmiał.

- Cóż możesz mi zrobić? - spytał drwiąco. - Jej życie spoczywa w moich rękach, a ty nie jesteś nawet uzbrojony!

- To prawda - przyznał uprzejmie Armand. Spojrzał na coś za plecami inspektora i kiwnął głową. -Ale jeśli jej natychmiast nie puścisz, będę musiał wydać rozkaz moim ludziom i twój mózg rozprysnie się po plaży. Myślę, że mademoiselle de Lambert spodobałby się ten widok, ale dla ciebie z pewnością nie będzie to przyjemne.

Nie puszczając Jacqueline, Nicolas podejrzliwie obejrzał się za siebie. Zawahał się przez chwilę i w końcu jego uścisk zelżał, a ostrze odsunęło się od gardła dziewczyny.

Nie sprawdzwszy nawet, co go tak przstraszyło, Jacqueline podbiegła do Armanda i Philippe'a. Ale on zdawał się jej nie dostrzegać; nie odrywał oczu od Nicolasa. Obejrzała się i zobaczyła tuzin majtków z załogi „Angelique”, stojących za plecami inspektora. Ich muszkiety były wycelowane w jego głowę. Sidney Langdon stał pośrodku tego groźnie wyglądającego oddziału. Miał taką minę, jakby nie mógł się doczekać, kiedy Armand wyda rozkaz: „Ognia!”

-Teraz, niestety, musimy związać cię i zostawić, inspektorze -westchnął Armand. - Poproszę jednak moich ludzi, by odprowadzili cię do twoich przyjaciół z Gwardii Narodowej, żebyś nie czuł się zbyt samotny tej nocy. Rano ktoś z pewnością zauważy wasze konie, biegające luzem, i przyjdzie wam z pomocą. Do tej pory postaraj się polubić ciemność i zimno. Poczujesz się tak, jakbyś spędził noc w La Force, choć powietrze jest tu bez porównania lepsze.

-Nie ujdzie ci to na sucho! - odgrażał się Nicolas wściekle, gdy Sidney podszedł do niego i bez ceremonii związał mu ręce na plecach. - Możesz być pewien, spryciarzu, że jeszcześmy ze sobą nie skończyli! Nie spocznę, póki nie zostaniesz osądzony i stracony za swoje zbrodnie wobec republiki. Dotrę nawet do Anglii, jeśli zajdzie potrzeba, byle cię odnaleźć. A gdy cię dopadnę, przywlokę cię tu na egzekucję albo zabiję własnymi rękami!

-Nikt nie może zabronić ci próbować - odparł pogodnie Armand. - Prawdę mówiąc, mam szczerą nadzieję, że wybierzesz się do Anglii. Z przyjemnością pokażę ci od środka angielskie więzienie. Przekonasz się, że nie jest tak zatłoczone jak te paryskie, ale do przyjemnych też nie należy.

-Zdaje ci się, że wygrałaś, ale zapewniam cię, że to jeszcze nie koniec, Jacqueline! - oświadczył Nicolas. -Wy, arystokraci, jesteście jak zaraza szerząca się na tej ziemi, ale zostanieie starci z jej powierzchni, słyszysz? Wybijemy was co do jednego, a wasza krew obmyje Francję z waszych zbrodni. Przysięgam ci, że do ostatniego tchu...

W tej chwili Sidney bez ceremonii wepchnął mu szmatę do ust i Jacqueline nie dowiedziała się, co chciał jej powiedzieć. Ale nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Uwolniła się od niego raz na zawsze. Z pewnością zostanie surowo ukarany za to, że dopuścił do ucieczki Czarnego Księcia i że mademoiselle de Lambert znów mu się wymknęła. Może nawet zapłaci za to głową? Powinno ją to cieszyć, ale czuła tylko wewnętrzną pustkę i smutek. Jej znów udała się ucieczka, ale tysiące takich jak ona zginą... Spojrzała na Armanda.

- Czy możemy już stąd iść?

Popatrzył na nią ze zdumieniem. Myślał, że zechce być świadkiem upokorzenia swego wroga, może nawet naurąga mu. Zamiast tego Jacqueline spoglądała nań smutnymi srebrnymi oczyma ze znużeniem i bólem. Armand zganił się w duchu za gruboskórność.

- Oczywiście, mademoiselle de Lambert - powiedział łagodnie i cicho, podając jej ramię.

Wsparała się na nim wdzięcznie i wyciągnęła drugą rękę do Philippe'a, który przyglądał się, jak ludzie Armanda podpływają w łodzi ukrytej za skalnym występem na plaży. Chłopiec miał taką minę, jakby już dawno wyrósł z trzymania za rączkę. Nie ujął dłoni Jacqueline, lecz - naśladując Armanda - podał jej ramię. Uśmiechnęła się i oparła na nim dłoń. Cała trójka powoli ruszyła w dół, nad wodę.

Jacqueline siedziała przed niewielkim paleniskiem w kajucie Armanda, starannie rozczesując mokre włosy grzebieniem z kości słoniowej. Morze było stosunkowo spokojne i „Angelique” sunęła łagodnie po jego powierzchni. Była z tego bardzo rada, gdyż mogła rozkoszować się bez przeszkód gorącą kąpielą, pozbywając się nie tylko grubej warstwy brudu, ale także zmęczenia. Mydliła i spłukiwała włosy aż trzy razy, by zmyć ciemnorudą farbę, którą nałożył na nie Justin; ciągle jednak nie była pewna, że całkiem ją spłukała.

Podniosła do oczu wilgotny lok i przyglądała mu się w pomarańczowym blasku świec. Zdawało się jej, że dostrzega rudawe błyski. Ale może to wina oświetlenia? Zabrała się energicznie do rozczesywania kolejnego splątanego pasma.

Nie wiedziała, gdzie się podziewa Armand.

Kiedy weszli na pokład „Angelique”, polecił Sidneyowi zaprowadzić ją do kapitańskiej kajuty, przygotować dla niej ubranie, jedzenie, gorącą kąpiel i wszystko, co by jeszcze chciała. Philippe ruszył za nią, lecz Armand kazał Johnowi zabrać chłopca do innej kajuty. Philippe zaprotestował, ale Jacqueline wyjaśniła mu, że tę noc powinni spędzić oddzielnie, gdyż zamierzała się wykąpać i miała nadzieję, że on zrobi to samo. Posprzecziali się o tę kąpiel, ale w końcu chłopak wzruszył ramionami i pozwolił się odprowadzić. Właśnie wtedy Armand zniknął, zapewne po to, by wydać załodze rozkazy przed udaniem się na spoczynek.

Gdy Jacqueline jadła, Sidney wrócił z jedwabną, ozdobioną koronkami nocną koszulą oraz piękną suknią i płaszczykiem na jutro. Przez dobrych kilka minut Jacqueline oglądała prześliczną nocną toaletę, zanim odrzuciła ją niedbale na krzesło i wydobyla ze skrzyni Armanda jedną z jego miękkich bawełnianych koszul. Nie miała ochoty spać w czymś, co należało do Lucette albo jednej z licznych kochanek Armanda. Jego koszule wydawały się znacznie wygodniejsze, a poza tym była to ostatnia okazja, by się w nie ubrać. W końcu rachunki między nimi zostały wyrównane: ocaliła go od śmierci, tak jak on przedtem uratował ją. Nie musiała już czynić sobie wyrzutów, że przez własną głupotę wciągnęła go w pułapkę. Nie mieli wobec siebie długów wdzięczności. Kiedy jutro dotrą do Anglii, każde z nich pójdzie własną drogą i na tym się skończy. Jacqueline westchnęła.

Gwar podniesionych głosów dolatujący z korytarza przerwał jej rozmyślenia. Zaciekawiona otuliła się kocem i podeszła do drzwi. Philippe stał tyłem do niej, podniósłszy się z legowiska, które sobie ułożył na jej progu. Armand stał na wprost niego; świeżo wykąpany i ubrany w luźną białą koszulę i grafitowe spodnie do kolan. Jego włosy, podobnie jak jej, zmieniły kolor. Nie były już czarne, lecz odzyskały naturalną brązowomiedzianozłotą barwę. W jednym ręku trzymał kryształową karafkę czerwonego wina, w drugim kieliszek. Wydawał się nieco zniecierpliwiony.

-Nie wolno jej przeszkadzać. Potrzebuje spokoju - stwierdził tonem nieznoszącym sprzeciwu Philippe, spoglądając groźnie na wyższego o dobre trzydzieści centymetrów Armanda, który z wyraźną irytacją zerknął na Jacqueline.

-Może lepiej spytajmy mademoiselle de Lambert, czy zgodzi się na moje odwiedziny
- podsunął dość łagodnie.

Zaskoczony Philippe odwrócił się błyskawicznie.

- Myślałem, że śpisz - wyjąkał. - Nie chciałem, żeby ktoś ci przeszkadzał.

Jacqueline się uśmiechnęła.

- Jesteś bardzo troskliwy, Philippe, ale jak widzisz, wcale nie śpię. Możesz wrócić do swojej kajuty.

Wzruszył ramionami.

- Chyba jednak zostanę tu na noc - oświadczył nonszalancko. - Na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała.

Spojrzał znacząco na Armanda.

Armand uniósł brew, słysząc bezczelny ton chłopaka, i spojrzał na Jacqueline ciekaw, jak się zachowa w tej sytuacji.

-Nie musisz się tak trudzić, Philippe - zapewniła go, nieco zakłopotana uporem, z jakim chłopiec bronił jej cnoty.

-Nie szkodzi - odparł gładko, zamierzając znów umościć się na górze koców.

Armand przyglądał się Jacqueline z mieszaniną ciekawości i rozbawienia. Poczula, że pieką ją policzki.

-Philippe, naprawdę bym wolała, żebyś spał w swojej kajucie - powiedziała lekkim tonem. - Powinieneś się dobrze wyspać, a na pewno nie wyśpisz się na podłodze w korytarzu.

-Sypiałem w gorszych miejscach - zbagatelizował sprawę Philippe. - Wcale mi to nie przeszkadza. - I zaczął strzepywać koce.

Jacqueline rzuciła Armandowi bezradne spojrzenie. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to jej sprawa i musi sama sobie z nim poradzić.

Owinęła się ciasniej kocem.

- Philippe, bardzo cię proszę, wróć do swojej kajuty - powiedziała niemal z błaganiem.

Przestał poprawiać posłanie.

-Nie chcesz, żebym tu był? - spytał z niedowierzaniem.

-Nie - odparła z twarzą zalaną rumieńcem. - Nie chcę.

Popatrzył na nią, potem na Armanda, który wcale się nie speszył tymi oględzinami.

- Dobrze - powiedział w końcu Philippe z zażenowaniem w głosie. - No to wracam do siebie.

Wziął koce i poduszkę i oddalił się pośpiesznie.

Czerwona ze wstydu Jacqueline odwróciła się i weszła z powrotem do kajuty. Armand wślizgnął się za nią i cicho zamknął drzwi.

W niewielkim pomieszczeniu zaległa niezręczna cisza. Armand podszedł do stołu stojącego pośrodku kajuty i postawił na nim karafkę. Potem nalał wina do kieliszka i podał go Jacqueline.

-Czy Sidney wystarał się o wszystko, czego chciałaś?

-Tak - odparła, biorąc kieliszek z jego rąk.

-To dobrze.

Nie miała pojęcia, o czym dalej mówić. Wypiła spory łyk wina w nadziei, że odpowiednie słowa same się nasuną.

Armand stał naprzeciwko niej i też zastanawiał się, co dalej.

Wiedział doskonale, na co miałby ochotę. Pragnął chwycić ją w ramiona, zanurzyć palce w jej włosach, całować jej usta, policzki, szyję i ramiona, zedrzeć z niej koc, zanieść ją na łóżko i pieścić całą dłońmi, wargami i językiem, aż zapragnie go tak rozpaczliwie, jak on jej pragnął. Zamiast tego jednak stał jak skamieniały, bojąc się zrobić cokolwiek, żeby jej nie przestraszyć.

Od wielu tygodni myślał o niej bez chwili przerwy, choć sądził, że nigdy już jej nie zobaczy. Myśl o niej była jedyną jego ucieczką, marzenia o niej przenosiły go z samotnej celi w świat pełen pokoju i radości. Jacqueline, sama o tym nie wiedząc, ocaliła go od szaleństwa. Gdyby go teraz odtrąciła, nie zdołałby tego znieść. Stał więc tylko, czując się jak niezgrabny, nerwowy wyrostek i korzył przed niewiarygodnie piękną kobietą, którą miał przed sobą.

Była po prostu doskonała. Pukle włosów o barwie szampana odcinały się złotem od intensywnego błękitu wełnianego pledu, którym osłaniała się niczym tarczą przed siłą jego pożądania. W pomieszczeniu wpatrywała się w rubinową zawartość kieliszka. Jej srebrnoszare oczy błyszczały jak promienie słońca na morzu, jedwabista skóra zaróżowiła się, rozgrzana winem... Wprawiała go w oszołomienie. Nie tylko swą urodą, choć wiedział, że jest piękna, od chwili, gdy ujrzał jej miniaturę w gabinecie sir Edwarda. Gdy usłyszał o jej aresztowaniu, poprzysiął sobie, że nie spocznie, póki nie wyrwie jej z rąk tych, którzy chcieli ją zniszczyć. Ale wówczas jeszcze jej nie znał. Myślał po prostu, że jest młoda, piękna i niewinna. I że tak urocze stworzenie nie powinno ginąć na gilotynie w imię fałszywie pojętej wolności. Podobnie jak o wszystkich innych ocalonych w jego prywatnej wojnie przeciw Republice Francuskiej, myślał o niej jak o cennym dziele sztuki, które należy uchronić przed bestialskim zniszczeniem. A przy okazji mógł oddać przysługę sir Edwardowi. Ale nic więcej.

Dopiero siedząc na sali sądowej w Palais de Justice, zdał sobie sprawę, jak niezwykle istotę ma uratować. Była nie tylko znacznie piękniejsza niż na portrecie, ale zadziwiła go swą odwagą, siłą i nie-złomnością. Mogli ją skazać na śmierć, ale nie zdołali jej złamać. Była taka silna, dzielna, uparta! Wychowywano ją na ciepłarniany kwiatek, na księżniczkę ukrytą w kryształowym pałacu... ale kiedy jej świat się rozpadł, okazało się, że jest wykuta ze stali. Pełna woli przetrwania.

A mimo to gotowa była oddać za niego życie! W Anglii nic jej nie groziło, otwierały się przed nią nowe perspektywy. Ona jednak wróciła do Francji i z narażeniem życia go uwolniła. Myślał, że motorem jej działania jest chęć zgładzenia wroga... Naznaczyła jego twarz, ale czym to jest w porównaniu ze śmiercią jej ojca i brata? Nie, jej powrót do Francji nie miał na celu zemsty. Wróciła tu ze względu na niego. Ogrom jej poświęcenia wydał mu się wprost niewiarygodny.

- Dlaczego tak się dla mnie narażałaś? - spytał cicho. Spojrzała na niego znad krawędzi kieliszka, zdumiona tym pytaniem.

- Bo... bo nie powinnam była namawiać cię, żebyś ratował François-Louisa. Byłam taka głupia! Nie domyśliłam się, że to zasadzka.

Wzmianka o narzeczonym zirytowała go, skaziła tę chwilę.

- Czy pan markiz dotarł do Anglii zdrowo i cało? - spytał oschle.

Jacqueline wzdrygnęła się, słysząc jego sarkastyczny ton.

-Tak. Odwiedził mnie u Harringtonów. To od niego dowiedziałam się, że zostałeś ujęty.

-Tak?...

Zastanawiał się, czy Jacqueline nadal zamierza poślubić tego głupca, ale nie chciał jej o to pytać. Gdyby potwierdziła, nie miałby nawet prawa pozostać z nią dłużej. Ciekawe, co jej naopowiadał ten tchórzliwy fircyk, by wyjaśnić, jakim sposobem on zdołał uciec, a jego wybawcę pojmano? Pragnął jej powiedzieć, że ten głupiec nie jest jej wart, że to słabeusz, egoista i tchórz, że zdradzał ją nawet w więzieniu... Albo przynajmniej wyjawić jej, że pod tą nieodłączną peruką de Biret jest łysy jak kolano! Ale nie powiedział nic.

-Kiedy dowiedziałam się o twoim aresztowaniu, zrozumiałam, że muszę coś zrobić - ciągnęła dalej, próbując wypełnić słowami niezręczną ciszę, jaka zaległa między nimi. - Przecież to ja cię tam wysłałam! Nie mogłam znieść myśli, że zginiesz przez moją głupotę! Ty ocaliłeś mi życie, a ja popchnęłam cię w zasadzkę!

-Wcale mnie nie wysłałaś - sprostował. - Zaproponowałaś mi tylko, żebym pojechał.

Nie musiałem się zgadzać. To była moja decyzja. - Przysunął się. - Zażądałem nawet, żebyś mi zapłaciła z góry - powiedział zdławionym szeptem. - Pamiętasz?

Poczuła nagłą falę gorąca. Wypuściła z ręki pled, który nerwowo ścisnęła, i na wspomnienie tamtej umowy w nerwowym podnieceniu upiła łyk wina.

- Pamiętam... - odpowiedziała równie cicho.

Wyjął jej kieliszek z ręki i odstawił na stół.

- Czy wiesz, ile razy wspominałem tamtą noc? - spytał pełnym napięcia głosem, nie odrywając od niej oczu.

Pokręciła głową, znów rozpaczliwie ściskając brzegi koca.

Wyciągnął rękę i leciutko pogładził ją po jedwabistym policzku. Nie odsunęła się. Spoglądała na niego błyszczącymi oczyma, pożądliwie i niepewnie.

- To dziwne - mówił, dotykając jej cudownego policzka – ale w więzieniu myśl o tobie ratowała mnie od szaleństwa... – Powoli pochylał głowę ku niej, coraz bliżej. - ...A teraz gdy jesteś tu, żywa i prawdziwa, odchodzę od zmysłów... -Jego usta niemal dotykały jej ust. -Jak to się dzieje, że masz taką władzę nade mną, Jacqueline?

Wypowiedział jej imię śpiewnie i czule jak zawsze, eksponując każdą zgłoskę, jakby była najcudowniejszą nutą. Tkliwość i pożądanie w jego głosie sprawiły, że zarzuciła mu rękę na szyję i dotknęła ustami jego ust.

Armand stracił panowanie nad sobą. Przycisnął ją do siebie i całował rozpaczliwie i zachłannie, tak jak tonący wciąga pierwszy łyk powietrza do płuc. Była taka słodka i pełna ognia... wino i miód. Jej skóra pachniała jak kwietny ogród. Zaczął ją pieścić zaborczo, dotykając całego jej ciała - pleców, bioder, piersi... Szafirowy koc opadł na podłogę i Armand przekonał się, że miała na sobie jedną z jego koszul, o wiele za dużą, opadała jej z ramion i sięgała za kolana, zakrywając wszystkie rozkoszne okrągłości... a jednak ten widok niesłychanie go podniecił. Nie wiedział, czemu Jacqueline ją włożyła, ale sprawiło mu radość, że miała na sobie jego ubranie. Drżała, tuląc się do niego, i odjąwszy ręce od jego szyi, zaczęła dotykać jego ciała, jakby biorąc je w posiadanie. Chwytała go za ramiona, ugniatała mięśnie jego pleców, zanurzała palce w długich włosach, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że pragnie zarówno pieścić, jak i być pieszczona. Nie spodziewał się, że będzie taka spragniona, myślał raczej, że okaże powściągliwość i obawę, ale gdy jęknęła i przywarła do jego pobudzonego ciała, zrozumiał, że przepadł z kretesem. Nie przerywając pocałunku, chwycił ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Miała wrażenie, że utonie w puchowym piernacie. Armand był ciężki, rozpalony i całował namiętnie. Czowała dotyk jego palców przez miękką bawełnę koszuli, gdy rozpinał jej

guziki. Poły się rozchyliły, odsłaniając nagą skórę. Nie poczuła jednak zimna, gdy usta Armanda pieściły jej policzek, ucho, szyję, powoli posuwając się w stronę piersi. Drażnił ją, zataczając językiem kręgi wokół aksamitnego sutka, zanim wciągnął go do gorącego wnętrza ust. "wydała urwany jęk i wpiła palce w twarde mięśnie jego pleców, szarpiąc w bezsilnym gniewie tkaninę, która nie pozwalała dotknąć jego skóry. Armand zdarł z siebie koszulę i rzucił ją na podłogę. Jacqueline westchnęła z zadowolenia. Kiedy jednak zaczął rytmicznie ssać jej pierś, pomruki Jacqueline stały się bardziej gardłowe i dzikie. Przesunął ręką po jej płaskim brzuchu, dotykając krzywizny biodra, a potem trójkątnej kępki kędzierzawych włosów - lekko, drażniąco, rozniecając w niej pragnienie. Kiedy zaś -nie przestając ssać jej piersi - zanurzył palce w jej zwilgotniałym nagle wnętrzu, Jacqueline bezwstydnie rozchyliła szerzej uda i wyla się pod jego dotknięciem, tuląc jego głowę do piersi, przebiegając palcami w miedzianych włosach, głaszcząc stalowe mięśnie pleców. Jego palce wniknęły jeszcze głębiej i poruszały się w tym samym rytmie, co ssące wargi, aż oddech Jacqueline stał się płytki i urwany. Armand oderwał się od jej piersi, gorące usta wędrowały po jej brzuchu, a oddech muskał wilgotny trójkąt włosów. Kiedy zaś poczuła delikatne dotknięcie jego języka, zapłonął w niej ogień i ogarnął całe jej ciało. I nagle zrobiło jej się zimno i samotnie, bo Armand wstał na chwilę, by pospiesznie zrzucić resztę ubrania.

Gdy znów nakrył ją swym wspaniałym ciałem, ujął jej twarz w obie ręce i całował oczy, nos i usta. Przyłgnęła do niego gwałtownie i otworzyła się przed nim, pragnąc poczuć go w sobie i odwzajemnić niezwykłą rozkosz, jaką jej dawał. Przez chwilę pochylał się nad nią, pełen pierwotnej siły i ognia, ona zaś, wstrzymując dech, patrzyła w jego szafirowozielone oczy, płonące namiętnością.

I nagle - nie wiedząc czemu - uświadomiła sobie cały jego ból po stracie matki, Lucette i małej Angelique. Wspomniała ukrytą na dnie skrzyni chusteczkę i kolorowe wstążki. Serce jej się ścisnęło i spod powieki wymknęła się łza. Armand zauważył to i się zaniepokoił. Czyżby sprawił jej ból?

- Jacqueline - wyszeptał. - Chcesz, żebym przestał?

Dotknęła czule ręką jego policzka, objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie, całując namiętnie w usta.

Poczuł niezwykłą rozkosz, zanurzając się w niej. Pragnął zostać tak na zawsze, zatracić się w słodczych Jacqueline, kosztować jej siły i słabości, korzystać z jej niezwykłego talentu przywracania mu radości życia. Zaczął poruszać się w niej powoli, ostrożnie... Chciał, by trwało to jak najdłużej, ale ona była zgłodniała i niecierpliwa. Uniosła ku niemu biodra, jej dłonie błądziły niespokojnie po jego ciele, ponaglały go. Objął ją więc ramionami, całując za

wszystkie tygodnie, miesiące i lata powściąganej namiętności i wnikając w nią tak głęboko, jakby chciał dotrzeć do samego serca. Oddech Jacqueline stał się płytki i urwany, jej ciało zacisnęło się wokół niego, a z gardła wydobył się zdławiony krzyk. Wygiął plecy w łuk i pogrzążył się w niej najgłębiej, jak to było możliwe, pozostawiając w jej ciele najistotniejszą treść swego pożądania. Wydał gardłowy jęk i wnikał w nią raz po raz, pragnąc, by trwało to bez końca. Wreszcie ciało odmówiło mu posłuszeństwa i osunął się na Jacqueline.

Przytulił twarz do jej szyi i wdychał zapach róż. Czuł, że jej ramiona zaciskają się wokół niego. W obawie, by jej nie przygnieść, objął ją i przetoczył się na plecy, tak że teraz ona leżała na nim.

Trwali tak przez dłuższą chwilę, wsłuchani we własne zdyszane oddechy i w plusk fal, uderzających o kadłub statku. Potem Armand podciągnął koce i okrył ich oboje. Jacqueline leżała z głową na jego piersi zachwycona, że czuje pod policzkiem bicie jego serca. Była równocześnie niezwykle ożywiona i mile wyczerpana. Czyjej rodzice przeżywali podobne uniesienia? Nie była tego pewna. Wiedziała za to z całą pewnością, że nie zaznałaby równie namiętnych porywów w objęciach François-Louisa. Zrozumiała, że nigdy w życiu go nie poślubi. Dwukrotnie już spędziła noc z mężczyzną, którego bliskość sprawiała, że krew zaczynała w niej szybciej krążyć. Potrafił ją rozplomienić jednym spojrzeniem. Jego dotyk unosił ją ku gwiazdom. Teraz już nikt inny nie zdołałby jej zaspokoić.

-Armandzie... - szepnęła cicho.

-Mmm?

-Co teraz zrobimy? - spytała niezręcznie i nieśmiało.

Objął ją ciaśniej ramionami. Oczy miał zamknięte.

-Będziemy spać - odparł niskim, sennym głosem.

-Nie o to pytam - zaprotestowała, muskając lekko jego pierś. - Co zrobimy, gdy będziemy już w Anglii?

-Wrócimy do domu - odparł takim tonem, jakby to rozumiało się samo przez się.

- Do domu? - powtórzyła Jacqueline z nadzieją w głosie.

Sennie przytaknął.

Nagła radość zalała jej serce. Pochyliła się i ucałowała go w usta.

- Nigdy tego nie pożałujesz! - przysięgła cicho. -Wszyscy będziemy tacy szczęśliwi! Jestem tego pewna. - Westchnęła i znów oparła głowę na jego piersi. - Ależ z nas będzie cudowna rodzina!

Armand otworzył oczy, nagle zakłopotany.

-O czym ty mówisz, Jacqueline?

-Mówię o tym, co będzie, jak się pobierzemy. Suzanne, Seraphine i Philippe zamieszkają, oczywiście, razem z nami.

Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

-Mamy się pobrać?

-Nie oczekujesz chyba, że będę żyła z tobą jako kochanka? - odparła nieco poirytowana.

-Oczywiście że nie! - zgodził się pospiesznie, czując, że ją dotknął. - Chodzi o to, że...

Urwał, całkiem zbity z tropu. Co takiego powiedział, że wywnioskowała, iż chce się z nią ożenić?! Przecież nie mógł się żenić. Raz już spróbował małżeństwa i doprowadził do nieszczęścia. Zresztą, dzieło Czarnego Księcia było zbyt niebezpieczne, by mógł się z kimś wiązać. Osierociłby tylko żonę i dzieci. Jacqueline rozumie to z pewnością!

- Kochanie - zaczął. - Nie mogę się z tobą...

- To nieważne, że nie masz tytułu - przerwała mu porywczo. - Zresztą według nowego francuskiego prawa ja też go nie mam, jesteśmy sobie równi!

Spoglądał na nią ze zdumieniem. Czy to ta arogancka córka księcia, która przed kilkoma miesiącami rozprawiała o wyższości arystokracji? Ta, która uważała go za najemnego sługę? I zaręczyła się, jak przystało, z potomkiem starego rodu? Był zdumiony zmianą, jaka w niej zaszła. Ale to nie brak tytułu sprawiał, że nie mógł się z nią ożenić.

- Nie o to chodzi, Jacqueline. Za kilka tygodni powrócę znów do swej działalności i wyjadę do Francji. Nie mogę od ciebie wymagać, byś wiecznie czekała, wrócę czy nie wrócę. A poza tym, gdybym miał żonę i dzieci, nie nadawałbym się do pełnienia swojej misji. Nie byłbym taki skłonny do podejmowania ryzyka, nie mógłbym się tak na tym skupić i w końcu przypląciłbym to życiem. - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. - Rozumiesz to, prawda?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Czy ty całkiem oszalałeś? - spytała wreszcie głosem drżącym z gniewu. Zsunęła się na posłanie i okryła kocem. -Jak w ogóle możesz myśleć o powrocie do Francji?!

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią poważnie.

-Jacqueline, terror z każdym dniem przybiera na sile. Robespierre i jego zwolennicy starają się brutalnie zgnieść wszelki opór. Kiedy byłem w La Force, chodziły słuchy o straszliwych rzeziach już nie tylko w Paryżu, ale w całej Francji. Tylko w grudniu ścięto dwa tysiące więźniów w Saint-Florent, a inni, wyciągnięci z więzień w Nantes i Angers, zostali zastrzeleni jak wściekłe psy. Podobno zginęło w ten sposób trzy czy

cztery tysiące ludzi!

-Nie możesz ocalić wszystkich! - zaprotestowała słabo.

-Obecny przedstawiciel rządu w Nantes szczególnie lubuje się w okrucieństwie - mówił Armand. - Nie wystarczy mu gilotyna, pakuje bezbronnych, związanych ludzi do dziurawych łodzi i spławia je z nurtem Loary. Tych, którzy próbują się ratować, gwardziści rąbią szablami.

Spoglądała na niego przerażona, niezdolna wymówić słowa. Przerwał, nie chcąc jej trwożyć jeszcze bardziej.

- Nie mogę nie wrócić - powiedział tylko.

-Nie zrobisz tego nawet dla mnie? - spytała cichym, błagalnym głosem.

Spojrzał na nią z całą powagą.

- Nie mogę - odparł. - Nawet dla ciebie.

Pokręciła głową, próbując go zrozumieć. Jej oczy zaszkliły się łzami.

- I tak los długo ci sprzyjał - powiedziała. - Ale teraz już wiesz, jak wyglądasz.

Prędzej czy później znów cię złapią. Twój powrót do Francji to samobójstwo!

Urwała, głos łamał się jej z gniewu i trwogi.

Wyciągnął rękę i delikatnie otarł łzę spływającą z jej policzka.

-Bo to od początku było samobójstwo, Jacqueline - powiedział cicho. -Ale przed śmiercią zdążę jeszcze zrobić coś dobrego. I każde ocalone przeze mnie życie jest jak cząstka pokuty za tych, których nie zdołałem ocalić. Rozumiesz?

-Wiem o twojej żonie, matce i Angelique - powiedziała ze łzami. -I uważam, że pokutowałeś już dłużej, niż trzeba, za coś, co nie było w końcu twoją winą! Przecież i tak nie mógłbyś im pomóc, nie rozumiesz tego?

Pokręcił głową.

-Mogłem tam być, żeby je powstrzymać - powiedział po prostu. - Albo wyruszyć zamiast nich.

-Wtedy zabiliby ciebie!

-To prawda - przytaknął. - Ale Angelique, Lucette i moja matka żyłyby do dziś.

-Tylko że wówczas nie ocaliłbyś tych wszystkich, którym przyszedłeś z pomocą! - zaprotestowała. - Nie rozumiesz tego, Armandzie? Zrobiłeś już dość. A z twojej śmierci nie będzie żadnego pożytku!

-Rachunki nie zostały jeszcze wyrównane, Jacqueline - odparł. - A póki żyję i mogę grać na nerwach Republice Francuskiej, będę to robił! Zabili mi rodzinę. Wtrącili mnie do ohydnej celi, ukradli mi miesiąc życia. A przede wszystkim nadal mordują

rodaków w imię tej nowej utopii, gdzie wszyscy są rzekomo wolni i równi. Nie mogę patrzeć na to z założonymi rękami, rozumiesz?

Pokręciła głową.

- Kiedyś powiedziałeś mi, że powinnam pozostawić przeszłość za sobą i budować nowe życie. Myślałam, że po prostu nie rozumiesz, co to ból i nienawiść. Teraz wiem, że je znasz. I proszę cię: zapomnij o przeszłości, stwórz sobie nowe życie! Proszę...

Z powagą spojrzał jej w oczy, które lśniły od łez. Jacqueline nie wiedziała, o co go prosi. Po prostu nie rozumiała.

- Nie mogę - odparł bezradnie.

Zaczęła drżeć z rozczarowania i ze strachu. Pochyliła głowę, by nie widział łez, spływających jej z oczu.

- Więc wynoś się stąd! - powiedziała nieoczekiwanie twardym głosem. - I to już!

Armand nie protestował. Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Zrobiłby wszystko, by ulżyć jej w cierpieniu. Wszystko... z wyjątkiem spełnienia tej prośby. Nie powinien tu przychodzić. Powodował nim czysty egoizm. Nie wiedział jednak, że Jacqueline chce, żeby się z nią ożenił. Skrzywdził ją straszliwie i nie był w stanie tego naprawić. Cokolwiek powie, sprawi jej jeszcze większy ból.

Wyszedł z kajuty, wymyślając sobie w duchu, a wtedy zza drzwi, które zamknął, dobiegł go stłumiony płacz.

Rozdział 15

Sta... statek... płynął... wz... wzd...

Philippe przerwał czytanie i spojrzał bezradnie na Jacqueline.

- Wzdłuż - odpowiedziała.

Philippe pochylił głowę i spojrzał zmrużonymi oczyma na czarne litery.

- ... Złóóó... - powtórzył powoli. - Złóż... brzegu.

Suzanne zerknęła znad swego kajetu. Zrobiła pogardliwą minę.

-Po co go uczysz angielskiego, przecież on nawet nie potrafi czytać po francusku - stwierdziła kąśliwie nienaganną angielszczyzną.

-Wkrótce nauczy się jednego i drugiego -wyjaśniła Jacqueline.

-... Statek płynął z pół brzegu - powtórzył z triumfem Philippe.

-*Très bien, Philippe* - pochwaliła go Jacqueline. - *Continue, s'il te plaît.* (Bardzo dobrze! Czytaj dalej, proszę).

Philippe pochylił głowę nad podręcznikiem i przyglądał się uważnie następnemu zdaniu.

- Kuń... bie... gał... po... łące.

-Koń - poprawiła Jacqueline. - Ko-o-oń! Philippe spojrzał na nią z niedowierzaniem.

-Ko-o-oń?

Jacqueline kiwnęła głową i uśmiechnęła się do niego.

- Nie rozumiem, na co mu czytanie i pisanie - wtrąciła Suzanne z rozdrażnieniem.

-W końcu to tylko chłopak stajenny!

Philippe oderwał wzrok od książki i spojrzał podejrzliwie na dziewczynkę.

- Co ty tam znowu wygadujesz na mnie? - rzucił z pogrózką w głosie po francusku.

Suzanne uśmiechnęła się słodko.

- Dobrze wiesz, Philippe, że podczas lekcji nie wolno mówić po francusku! - ofuknęła go w języku angielskim.

Chłopiec spojrzał na Jacqueline, jakby wzywał jej pomocy.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Philippe - poradziła. - Czytaj dalej.

Rzucił Suzanne mordercze spojrzenie i znowu pochylił się nad książką.

-Suzanne... to... głu... pia... su...

-Philippe! -ostrzegła go Jacqueline.

-Jak śmiesz! - krzyknęła Suzanne, zrywając się z miejsca.

-To po angielsku - odparł z niewinną miną.

-Nie będę się dłużej uczyć z tym grubianinem! - Suzanne wybiegła z pokoju pędem, tak że tylko powiewała za nią różowa sukienka i złote loki.

-To nie było dowcipne - zwróciła uwagę Jacqueline, przechodząc na francuski.

Philippe wzruszył ramionami.

- Ona uważa, że nie jestem dla niej dość dobry - odparł w tym samym języku.

- Nie starałeś się zbyttnio, by nabrała o tobie lepszego mniemania.

-Ty nigdy nie uważałaś mnie za gorszego - upierał się Philippe. - Ryzykowałaś dla mnie życie, a nawet mnie nie znałaś!

-To co innego! - stwierdziła Jacqueline. - Suzanne nie miała okazji wyzbyć się uprzedzeń, które jej wpajano od kolebki. Nie wysunęła noska poza Château de

Lambert do chwili, gdy aresztowano naszego ojca, a ja wysłałam ją i Seraphine do Anglii. Ponieważ nie potrafi zrozumieć tego, co się stało, ubzdurała sobie, że to ludzie tacy jak ty zabrali jej dom i zabili ojca i brata. A okazuje ci niechęć i pogardę nie tylko dlatego, że wbijano jej do główki, iż jest kimś lepszym od innych, ale i dlatego, że się ciebie boi.

Philippe spojrział na Jacqueline z powątpiewaniem; to wyjaśnienie niezbyt mu trafiło do przekonania.

- Chciałabym, żebyś jej pomógł przemoc strach, a nie zwiększał go!

Wzruszył ramionami.

-Wcale jej nie chcę straszyć.

-Wiem - odparła - ale tak się dzieje, czy tego chcesz, czy nie. Jest również zazdrosna o to, że się z tobą przyjaźnię. A to ja postaram się wybić jej z głowy. Należysz teraz do rodziny i Suzanne musi zrozumieć, że przez ciebie nie ubędzie jej mojej miłości. - Westchnęła. - Wiem, że minęło zaledwie kilka tygodni, ale wszyscy musimy sobie pomagać, bo z początku jest zawsze najtrudniej.

-Seraphine jakoś nie przeszkadzam - zauważył Philippe, spoglądając na najmłodszą z sióstr.

Siedziała spokojnie, rysując jakiś obrazek i nie zwracając uwagi na ich rozmowę. Philippe pomyślał, że wygląda jak śliczna lalka z porcelany z jasnymi lokami, spływającymi na koronkowy kołnierzyk niebieskiej sukienki.

-Seraphine ma zaledwie sześć lat, nie zna wielu uprzedzeń i obaw dorosłych - uśmiechnęła się Jacqueline.

-Może i tak - przyznał, podnosząc się z krzesła i podchodząc, żeby spojrzeć na rysunek Seraphine. -A może mnie po prostu lubi.

Zabrał jedną z leżących obok niej kolorowych pasteli, obejrzał i udał, że ją zjada, ku ogromnemu zdumieniu dziewczynki. Potem wziął następną i jeszcze jedną. Ostentacyjnie wsadzał je do ust i udawał, że delektuje się ich smakiem, a ukradkiem przekładał je do drugiej ręki i wsuwał do kieszeni swojej nowej kurtki. Kiedy ostatnia kredka znikła - pozornie w jego brzuchu - Philippe chwycił się za gardło, wydał straszliwy, zdławiony jęk i runął na podłogę.

Seraphine zsunęła się z krzeselka i podeszła do niego, nie tyle z obawy o jego życie, ile z ciekawości, gdzie schował jej kredki. Rozwarła mu palce jednej zaciśniętej dłoni... nic. Zabrała się do drugiej ręki i okazało się, że trzyma w niej złożoną kartkę papieru. Rozłożyła ją i zobaczyła kolorowy obrazek: kota goniącego za motylkiem. Uśmiechnęła się do

Philippe'a i wróciła na poprzednie miejsce ze swoim nowym skarbem. Philippe zerwał się z podłogi i położył wszystkie „zjedzone” kredki na stoliku przed nią.

- Jutro narysuję ci ślicznego konia - obiecał. - Chcesz, Seraphine?

Nie odpowiedziała na jego pytanie i kończyła rozpoczęty rysunek.

- Nie wiem, jakiego koloru ma być ten koń - zastanawiał się głośno. - Chyba jaskrawozielony.

Dziewczynka popatrzyła na niego i skrzywiła buzię, wyraźnie nie zgadzając się z jego decyzją.

- Nie? - zdziwił się Philippe. - No dobrze, nie zielony. To może niebieski, jak twoja sukienka?

Spojrzała na sukienkę, jakby chciała się upewnić. Potem zwróciła oczy na chłopca i potrząsnęła głową.

- Niebieski też ci się nie podoba? - Ściągnął brwi w głębokiej zadumie. - Już wiem! - stwierdził nagle. Przykucnął obok krzesła dziewczynki. - W stajni jest mały kucyk, jasnoszary, zupełnie jak twoje oczki. Może pójdziesz tam ze mną po południu i popatrzysz na niego? Jak ci się spodoba, namaluję ci konika właśnie w takim kolorze.

Seraphine energicznie pokiwała główką.

Jacqueline się uśmiechnęła. Philippe wspaniale sobie radził z Seraphine. Choć dziewczynka nadal nie mówiła, bez trudu potrafił się z nią dogadać i zawsze starał się ją zabawić. Urządzał dla niej całe przedstawienia i miał zawsze w zanadrzu jakiś specjalny podarek. Seraphine była jedyną osobą, z którą zaprzyjaźnił się w rezydencji Harringtonów, jeśli nie liczyć stajennych. Laura uważała go za zwykłego złodziejzka i czasem napomykała o jakimś zaginionym przedmiocie, spoglądając przy tym wymownie na Philippe'a. Sir Edward i lady Harrington z wielką rezerwą przyjęli pod swój dach tego „andrusa z ulicy” i często sugerowali, że najlepiej by było, gdyby przez cały dzień przebywał w stajni i tam też sypiał.

Jacqueline nie chciała nawet o tym słyszeć. Nie przywiozła Philippe'a do Anglii po to, by zrobić zeń chłopca stajennego! Wolno mu było pracować tam cztery godziny dziennie, ale dopiero po skończeniu lekcji z prywatnym nauczycielem. Resztę czasu spędzał razem z nią i dziewczynkami, ćwicząc się w angielskim i ucząc dobrych manier.

Po czterech tygodniach potrafił się już porozumiewać z otoczeniem, używając najprostszych zwrotów, i nabrał tyle ogłady, by nie robić Jacqueline wstydu. Dostał nowe ubranie i przyzwyczał się do stroju młodego dżentelmena. Przestrzegał też, acz bez zapału, reguł dotyczących mycia i kąpieli. Ciemne włosy zostały przystrzyżone i sięgały teraz do ramion. Nauczył się porządnie zaczesywać je do tyłu i związywać aksamitką. Na pierwszy

rzut oka wyglądał na chłopca z dobrej rodziny, ale nie czuł się jeszcze swobodnie w nowym otoczeniu. W obecności Harringtonów był milczący i chmurny, wyczuwając ich brak sympatii. On zresztą też za nimi nie przepadał. Ponieważ nikt dotąd nie uczył go dbałości o garderobę, nowe ubrania szybko się gniotły i brudziły. Miał też zwyczaj ustawicznego poprawiania fularu, jakby dusił go niczym stryczek. Codziennie brał też lekcje jazdy konnej i nauczyciel twierdził, że to urodzony jeździec. Jacqueline była zdania, że przystosował się do nowego życia nad podziw łatwo.

Szkoda, że nie mogła tego powiedzieć o sobie.

W ciągu ostatnich czterech tygodni nie miała żadnej wieści od Armanda. Nie wiedziała nawet, czy nadal przebywa w Anglii, czy też wyruszył już do Francji. Kilka razy korciło ją, by napisać do niego, ale szybko z tego rezygnowała. Nie miała mu przecież nic do powiedzenia, a on, jeśli nawet wybierał się do Francji, nigdy by się z tym przed nią (ani przed nikim) nie zdradził.

Wiedziała, że powinna zapomnieć o nim i zająć się swoim nowym życiem. Przywiozła z Francji resztkę rodzinnej biżuterii, zaszytą w halki. Były to cenne klejnoty, ale wystarczyłyby na utrzymanie jej, obu sióstr i Philippe'a najwyżej przez rok czy dwa lata. Zamierzała je sprzedać, a uzyskaną kwotę mądrze zainwestować, lecz bez pomocy Armanda nie wiedziała, jak to zrobić. Zastanawiała się, czy nie spytać sir Edwarda, ale on cały swój majątek odziedziczył po przodkach, nie znał się więc chyba na mnożeniu pieniędzy. Ona sama pewnie nie potrafiłaby nawet sprzedać biżuterii po godziwej cenie... a gdyby ją oszukano, cóż by to była za strata! Na razie nie robiła nic, korzystając ze szczodroblewości sir Edwarda i od czasu do czasu czerpiąc z mocno już uszczuplonego fundusiku dla dziewczynek.

-Proszę wybaczyć, milady, ale markiz de Biret jest w małym salonie i chciałby się z panią widzieć - obwieścił majordomus, przerywając jej rozmyślenia.

-*Merci, monsieur Cranfield* - odparła Jacqueline. - Proszę mu powiedzieć, że zaraz do niego zejdę.

Cranfield skłonił się lekko i wyszedł.

-*Qui est le marquis?* (Co to za markiz?) - spytał podejrzliwie Philippe.

-To mój narzeczony - odpowiedziała Jacqueline po angielsku. - To właśnie jego monsieur St. James usiłował ocalić, kiedy go schwytano.

-Czyli ten człowiek, który wciągnął go w pułapkę? - uściślił Philippe po francusku, nie kryjąc swej pogardy.

Jacqueline kiwnęła głową.

- Można i tak to określić - odparła. - Muszę do niego zejść, Philippe. Zostań tu z Seraphine.

Choć od powrotu nie widziała się z François-Louisem, nadal byli oficjalnie zaręczeni. Z jednej strony miała wygodę, gdyż łatwiej mogła się wymówić od wszelkich zaproszeń na przyjęcia i bale. Z drugiej jednak wiedziała, że nie wyjdzie za markiza de Biret i należało go o tym powiadomić. Ponieważ nie była już posażną panną, nie powinien się przejąć zerwaniem zaręczyn.

Zastała go w salonie; odwrócony do niej plecami stał przy oknie i spoglądał na ogród. Miał na sobie żakiet w żółte i zielone paski, musztardowe spodnie do kolan i śnieżnobiałą perukę, związaną z tyłu zieloną aksamitką. Z rękawów wyzierały imponujące koronkowe mankiety. Niegdyś uznałaby ten strój za modny i wytworny i byłaby rada, że jej narzeczony tak dba o swą powierzchowność. Dziś wydał się jej śmiesznym strojnisiem.

- *Bonjour, François-Louis* - powiedziała chłodno.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej.

-Jacqueline! Jak to cudownie, najdroższa, że wróciłaś zdrowo i cało! - powiedział z uniesieniem. Pochylił się nisko nad jej dłońią i wycisnął na niej przeciągły pocałunek. - Kiedy dowiedziałem się od sir Edwarda, że zniknęłaś, byłem dosłownie chory z niepokoju!

-Doprawdy? Jeśli aż tak niepokoiliś się o mnie, czemu zwlekałeś cały miesiąc ze złożeniem mi wizyty?

-Wybacz, że nie zjawiłem się wcześniej, ale bawiłem na wsi u przyjaciół i dopiero teraz dowiedziałem się o twoim powrocie - odparł gładko. - Przybyłem tu najszybciej, jak mogłem, najdroższa. Jak uroczo wyglądasz! - dodał, cofając się o krok, by mocją lepiej podziwiać.

-Musimy ze sobą pomówić - oświadczyła Jacqueline, odsuwając się od niego. Podeszła do okna.

-Oczywiście! - przytaknął, stając obok niej. - Rozmawiałem już z sir Edwardem, który powiedział mi, że udało ci się ocalić przyjaciela. Jesteś naprawdę niezrównana! Ciekawym - zagadnął mimochodem - czy dał jakiś konkretny wyraz wdzięczności za ocalenie życia?

Odwróciła się raptownie, oburzona pytaniem.

-To nie twoja sprawa, czy mi za to zapłacił!

-Wybacz! - odparł zdawkowo. - Jestem jednak twoim narzeczonym, mam więc prawo interesować się twoją sytuacją finansową.

-To ty wciągnąłeś go w zasadzkę!

Uniósł brwi ze zdumieniem.

-Jak możesz podejrzewać mnie o coś podobnego?!

- Nie próbuj się zapierać - odparła ponuro. - Wysłałeś do mnie list, dobrze wiedząc, że nie pozostanę obojętna na twą niedolę! Zawarłeś układ z Nicolasem Bourdonem. Obiecał ci wolność za wydanie w jego ręce człowieka, który przybył, by cię ratować! A potem zjawiłeś się u mnie z bajeczką o rzekomym postrzeleniu Armanda. - Spoglądała na niego z nieukrywaniem obrzydzeniem. - Postąpiłeś jak tchórz i nikczemnik!

Pokręcił głową.

- Słodka Jacqueline, tak więc na to patrzysz? - spytał z bólem i westchnął. - Przyznaję, zgodziłem się na żądanie Bourdona, ale tylko dlatego, by znów być z tobą. Szalałem z niepokoju o los twój i twoich sióstr. Chciałem żyć, to prawda, ale nie dla siebie, tylko dla was. We dnie i w nocy dręczyły mnie niespokojne myśli. Jawiłaś mi się złamana rozpaczą po śmierci ojca i Antoine'a, wyrwana ze znanego ci świata... Musiałem tu dotrzeć, by przekonać się na własne oczy, że wszystko jest dobrze... a gdyby tak nie było, chwycić cię w ramiona, osuszyć twoje łzy i choć trochę złagodzić twój straszliwy ból!

Objął ją istotnie i w namiętym uścisku przytulił do przybranego koronką gorsu koszuli. Poczowała mdląco słodki zapach perfum.

- Jesteś dla mnie wszystkim, Jacqueline - wyznał z patosem. - Moim życiem, moją duszą, moim sercem! Bez ciebie byłbym niczym. Jak możesz się gniewać, że nie przedłożyłem obcego człowieka nad możliwość połączenia się z tobą?! Kocham cię nad życie, moja najdroższa! Kiedy się pobierzemy, będę cię czcił jak boginię. Zrobię, co w mojej mocy, by cię uszczęśliwić!

Zanim zdążyła go powstrzymać, przycisnął usta do jej ust.

- Cóż za wzruszająca scena! - wycedził po angielsku pełen ironii głos.

Zaskoczona Jacqueline odsunęła się od François-Louisa. Armand stał w drzwiach, oparty o framugę, obserwując ich obojętnie, jakby byli parą aktorów popisujących się przed nim.

- Nie domyśliłem się, de Biret, że poświęciłeś mnie w tak szczytnym celu! Chyba powinienem czuć się zaszczycony?

François-Louis pochylił się w pełnym skruchy ukłonie.

- Muszę błagać pana o wybaczenie, monsieur St. James. Znalazł się pan z mojej winy w okropnym położeniu! Mam nadzieję, że zechce mi pan przebaczyć?

- Nie.

François-Louis westchnął.

- Rozumiem - odparł ze smutkiem. - Może kiedyś zdołam to panu jakoś wynagrodzić.

-Wątpię.

Armand przeniósł spojrzenie na Jacqueline, jakby markiz nie zasługiwał na dalszą uwagę. Wodził po całej jej postaci prowokująco władczy wzrokiem. Poczula, że pod jego wpływem robi się jej gorąco.

-Widzę, że miewa się pani dobrze.

-Markiz i ja prawie skończyliśmy rozmowę - bąkała nieporadnie, zarumieniona i zawstydzona. - Może zechciałby pan poczekać kilka minut w bibliotece...

-Nie przyszedłem z wizytą do pani - przerwał Armand. - Mam sprawę do załatwienia z sir Edwardem i zaraz potem wychodzę.

Zadrżała, słysząc jego wzdorczy ton.

-Rozumiem - powiedziała. - Może jednak znajdzie pan chwilę czasu dla Philippe'a? Usilnie pracował nad angielskim i jestem pewna, że zechce się tym pochwalić.

-Zajrzę do niego - odparł. - Proszę sobie nie przeszkadzać. Jeśli dobrze pamiętam, markiz obiecywał czcić panią po ślubie jak boginię. - Skłonił się dwornie. - *Mademoiselle...* - mruknął szyderczym tonem. Wyprostował się i spojrzał z jawnym obrzydzeniem na François-Louisa. - *Monsieur le Marquis* - dorzucił lekceważąco.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Cóż za grubianin! - stwierdził z niesmakiem François-Louis.

Jacqueline zawrzała gniewem.

-A czego się spodziewałaś? Ze za jedno twoje „przepraszam” zapomni, iż przez ciebie spędził cały miesiąc w La Force?! Ładnie mu się odwdzięczyłaś za to, że próbował ci pomóc! Omal przez ciebie nie zginął! Miał ci za to uścisnąć dłoń i grzecznie podziękować?

-Oczekiwałem, że zachowa się jak dżentelmen w obecności damy, Jacqueline - oświadczył markiz zdecydowanym tonem. - Dlaczego skierował gniew przeciw tobie? Nie zniosę grubiaństwa w stosunku do mojej przyszłej żony! Miał szczęście, że nie wyzwałem go za to prostackie zachowanie.

Jacqueline westchnęła.

- Nie musisz mnie przed nim bronić, François-Louis.

- Jesteś moją narzeczoną - obstawał przy swoim. - Córką księcia de Lambert, a

niebawem markizą de Biret. Oczekuję, że wszyscy będą cię traktować z należnym szacunkiem!

-Nie zostanę twoją żoną. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

-Chcesz zerwać nasze zaręczyny? Podeszła do sofy i opadła na nią ze znużeniem.

- Kiedy omawialiście tę sprawę z moim ojcem, nasz związek był dość rozsądny - zaczęła. - Ojcu zależało na znalezieniu dla mnie odpowiedniego konkurenta, a ty mieszkałeś w pobliżu i pochodziłeś ze znamienitego rodu. Dzięki nam miały połączyć się ze sobą rodziny de Biretów i de Lambertów, ich włości i fortuny. A my nie znaliśmy się zbyt dobrze, ale nie żywiliśmy do siebie wstrętu. Z czasem pewnie pojawiłoby się między nami przywiązanie, stosowne dla małżonków. - Wstała i zaczęła krążyć po salonie. - Ale teraz wszystko przedstawia się inaczej. Zostaliśmy pozbawieni naszych domów i włości, nie mamy już pieniędzy. Nie sądzę, by połączenie dwóch starych rodów było wystarczającym powodem do zawarcia małżeństwa... zwłaszcza że nasze koneksje niewiele znaczą w tym kraju.

Spojrzał na nią z konsternacją.

-Jacqueline, moje serce, nie mówisz chyba poważnie?

-Ależ tak - powiedziała z odrobiną smutku. -Jak najbardziej poważnie!

Nadal nie był przekonany,

-Naprawdę nie masz żadnych pieniędzy?

-Na litość boską, François-Louis! Jeśli tylko o to ci chodzi, znajdź sobie jakąś posażną Angielkę!

-To nie takie proste - zauważył z goryczą, podchodząc znów do okna. - Angielki są strasznie wyrachowane! Owszem, z początku imponują im tytuły i maniery, ale bardzo szybko chcą się dowiedzieć, czy przybyliśmy z Francji z pustymi rękami.

-Jak widzę, dokładnie zbadaleś sprawę - stwierdziła sucho Jacqueline.

-To były tylko nic nieznaczące flirty - zapewnił pośpiesznie.

-Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

Nie miała prawa go osądzać.

-Może i masz rację - westchnął François-Louis. - Biorąc pod uwagę mój stan majątkowy, zrobisz o wiele lepiej, poślubiając jakiegoś miłego, bogatego Anglika.

-Niespieszno mi do małżeństwa.

-W takim razie, co zamierzasz zrobić? - spytał ze zdziwieniem.

-Mam jeszcze resztkę gotówki. Spróbuję ją korzystnie zainwestować.

-Zainwestować? - powtórzył z niedowierzaniem. - Droga Jacqueline, przecież zupełnie się na tym nie znasz! Co będzie, jeśli stracisz wszystko?

-Nie zamierzam martwić się na zapas!

-Rozumiem. - Przez chwilę milczał, wyglądając w zadumie przez okno. - Zanim odejdę, jest jeszcze coś, o czym chyba powinienem ci powiedzieć - dodał na koniec, odwracając się do Jacqueline.

Patrzyła wyczekująco.

- Cóż takiego?

Usiadł obok niej na sofie.

- Nie bierz sobie tego zbyt do serca, gdyż wiadomość, którą chcę się z tobą podzielić, może być nieprawdziwa - powiedział z naciskiem. - Wahałem się nawet, czy ci ją przekazać. Pamiętaj, że pochodzi z niepewnego źródła i należy traktować ją sceptycznie. Rozumiesz?

Serce zabiło jej żywiej.

- Cóż to za wiadomość?

-Dotarły do mnie pogłoski, że twój brat Antoine żyje.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

-Co takiego?... - wykrztusiła.

-To może być kłamstwo, Jacqueline - powtórzył dobitnie. - Nie mamy żadnej pewności.

-Od kogo o tym usłyszałaś?

-Nawet tu, w Anglii, nie brak kontrrewolucjonistów - odparł. - W ubiegłym tygodniu otrzymałem tę wiadomość od kogoś, kto mi się nie przedstawił i nie chciał podać źródła informacji. Powiedział tylko, że markiz de Lambert żyje i ukrywa się u przyjaciół w małym gospodarstwie w pobliżu granicy z Austrią. Podobno był bardzo chory i tak słaby, że nie mogli go przewieźć w inne miejsce.

-O mój Boże! - szepnęła Jacqueline.

-To może być nieprawda - powtórzył raz jeszcze.

-Ale może być i prawda! - zaprotestowała, kurczowo czepiając się myśli, że Antoine żyje.

-W końcu nie ma to większego znaczenia - dodał François-Louis. - Skoro był aż tak chory, mało prawdopodobne, by wyżył.

Jacqueline poczuła, że ogarniają lodowata rozpacz.

-Mało prawdopodobne, by wyżył?... - powtórzyła martwym głosem. Objęła się ramionami, usiłując ogarnąć wszystko, co powiedział François-Louis. - Mówiono mi,

że zmarł w La Conciergerie - szepnęła.

-Dozorca był o tym przekonany - odparł markiz. - Ale podobno, gdy zdejmowano ciało z wozu, by je pogrzebać, Antoine jęknął. No cóż, chłopcy to zabobonna hołota! Głupcy, którzy go nieśli, byli przekonani, że to jakieś diabelskie sztuczki, i uciekli w popłochu. Dwóch sympatyków naszego ruchu, którym polecono odnotowywać liczbę grzebanych codziennie ofiar, śledziło z ukrycia tę scenkę. Zabrali Antoine'a do kryjówek, gdzie otoczono go troskliwą opieką. Przebywa tam podobno do dziś.

Jacqueline podniosła się nagle, gotowa do czynu.

- Jadę po niego! - oświadczyła stanowczo.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

-Ależ Jacqueline, nie możesz tego zrobić. Nie wiemy nawet, czy to prawda, a poza tym twój powrót do Francji byłby zbyt ryzykowny!

-Muszę się dowiedzieć, czy Antoine żyje. Jeśli tak, trzeba wywieźć go z Francji - powiedziała.

-Dopiero co wróciłaś z bardzo niebezpiecznej wyprawy. Nie możesz narażać życia dla niesprawdzonych plotek

-To mój brat! - odparła. -Jeśli żyje, muszę go odnaleźć.

-Nie mogę ci na to pozwolić - protestował markiz. - Czemu nie poprosisz, by monsieur St. James zbadał tę sprawę?

Jacqueline zastanowiła się przez chwilę. Sama prosiła Armanda, by nie wracał już do Francji, bo to zbyt niebezpieczne. Jak mogłaby teraz namawiać go do powrotu? Byłby to szczyt egoizmu i hipokryzji! Zupełnie jakby mu powiedziała: „Nie narażaj życia... chyba że dla mnie!” Nie potraktowałby poważnie takiej prośby. A poza tym, jeśli Antoine był nadal chory, sama pragnęła się nim opiekować. Postara się, żeby wrócił do sił, by można go było przewieźć. Gdyby to Armand wyruszył do Francji, nigdy by jej nie zabrał ze sobą i ominęłoby ją spotkanie z bratem; kto wie, może ostatnie...

- Pojadę sama - oświadczyła stanowczo. - Nie potrzebuję pomocy monsieur St. Jamesa!

François-Louis westchnął.

- Powiniennem wiedzieć, że tak postąpisz - powiedział. - Ponieważ nie mogę odwieść cię od tego zamiaru, pozwól, bym ci towarzyszył.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za twoją decyzję... Przecież to ode mnie dowiedziałaś się o całej sprawie - wyjaśnił.

- Gdyby ci się coś stało, a ja siedziałbym bezpiecznie w Anglii, nigdy bym sobie tego nie darował!

- François-Louis! Czy ty rozumiesz, w co się mieszasz? - spytała, nie wierząc własnym uszom. - To bardzo niebezpieczna wyprawa. Czy jesteś pewien, że chcesz w niej uczestniczyć?

Skłonił się z gracją.

-Jestem twoim oddanym sługą, Jacqueline - oświadczył rycersko. - Kiedy ruszamy?

-Musimy wynająć powóz, który zawiezie nas do Dover jeszcze dziś w nocy - odparła bez wahania. - Nikt nie może się dowiedzieć o naszych planach. Zostawię liścik do sir Edwarda. Napiszę, że otrzymałam zaproszenie do wiejskiej rezydencji twoich przyjaciół. Pewnie mu się nie spodoba, że wyruszyłam w podróż bez przyzwoitki, ale nie będzie podejrzewał czegoś gorszego. Jutro wsiądziemy na statek do Calais.

-Skontaktuję się z osobą, która przekazała mi tę wieść i dowiem, gdzie dokładnie przebywa Antoine - zaofiarował się François-Louis.

- Postaram się też o dokumenty podróżne. W trakcie mojej podróży z Paryża na wybrzeże zawarłem kilka pożytecznych znajomości. Chyba uda mi się zdobyć wszystko, co niezbędne.

- Nie potrzeba ci pieniędzy? - spytała Jacqueline, przypominając sobie, ile wydała we Francji na łapówki i fałszywe dokumenty.

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

- Wspomniałem mojej gospodyni, że spodziewam się pieniędzy w najbliższej przyszłości, była więc tak dobra i udzieliła mi pożyczki do tego czasu. Użyję tej gotówki na wszelkie niezbędne wydatki.

- Twoja gospodyni jest wyjątkowo hojna - zauważyła Jacqueline.

Wzruszył ramionami.

-A ja jestem wyjątkowo czarującym gościem. Ta dama ma powody, by okazać mi swą hojność.

-Będę gotowa o północy - stwierdziła Jacqueline, nieciekawa owych powodów. - Wszyscy będą już spali, nikt więc nie spostrzeże mego wyjazdu.

-Przybędę o tej porze kareta podróżną.

Skłonił się nisko, pocałował ją w rękę i ruszył ku drzwiom.

-François-Louis! Odwrócił się i spojrzał na nią.

-Dziękuję!

Markiz zawahał się przez chwilę. Potem obdarzył Jacqueline promiennym uśmiechem i wyszedł z pokoju.

Masywne dębowe drzwi otwarły się powoli i ukazał się siwowłosy majordomus. Spojrzał ze zdziwieniem na chłopca.

- Czego sobie życzysz? - spytał.

-Monsieur St. James? - wysapał Philippe, zdyszany po długiej jeździe.

-Pana St. Jamesa nie ma w domu - odparł sztywno lokaj.

-*Attendez!* (Proszę zaczekać!) - zawołał Philippe, blokując drzwi nogą.

Majordomus spojrzał na niego z góry i uniósł brwi.

-Jak jego nie ma, muszę czekać -wyjaśnił nieporadnie Philippe, borykając się z angielskimi słówkami. - On by chciał.

-Wróci dopiero nazajutrz - wyjaśnił majordomus, wyraźnie nie mając ochoty wpuścić chłopca.

Philippe ściągnął brwi. Nazajutrz. Nazajutrz... Co to znaczy „nazajutrz“?! Nie mógł sobie przypomnieć. Nazajutrz... Wszystko jedno!

-Muszę czekać - powtórzył z uporem. Majordomus westchnął.

-No dobrze - zgodził się bez entuzjazmu. Otworzył szerzej drzwi i odsunął się na bok.

-Wejdz! Philippe wszedł.

-Tędy - powiedział stary lokaj.

Wziął do ręki świecznik i ruszył przodem przez główny hol, a potem wielkimi schodami na górę. Weszli w mroczny korytarz i zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Majordomus otworzył je i gestem nakazał chłopcu, by wszedł do środka.

Philippe przyglądał się, jak jego przewodnik zapala stojące w pokoju świece. W ich blasku zobaczył, że to pokój sypialny.

- Prześpij się tutaj - powiedział majordomus - a nazajutrz spotkasz się z panem St. Jamesem.

Nazajutrz... Nazajutrz... Co to słowo mogło znaczyć? W każdym razie stary chciał, żeby Philippe odpoczął, zanim Armand wróci. Chłopiec nie był śpiący, ale nie protestował.

- Pan powie monsieur St. James, że ja tu? - upewnił się.

- Tak - odparł majordomus. - Powiadomię go nazajutrz.

Wyszedł i zamknął drzwi.

Philippe rzucił się na łóżko. Był zawiedziony, bo rozpierała go żądza czynu. Jechał tutaj prawie trzy godziny. Jeden ze stajennych naszkicował mu mapkę okolicy, ale i tak kilka razy musiał pytać o drogę. Na szczęście wszyscy wiedzieli, gdzie mieszka monsieur St. James. Za to Philippe miał wielkie trudności ze zrozumieniem ich wyjaśnień: taki dziwny akcent i tyle nieznanymi słówkami... Będzie musiał o nie spytać swego nauczyciela.

W którymś z pokoi zaczął bić zegar. Philippe naliczył aż dziewięć uderzeń i zaklął. Zaraz po tym, jak podsłuchał rozmowę Jacqueline z markizem, ruszył na poszukiwanie Armanda. Chciał go czym prędzej zawiadomić o ich zamiarach. Ale okazało się, że Armand odjechał, nie zamieniwszy nawet słowa z sir Edwardem, choć podobno przybył specjalnie po to, żeby z nim porozmawiać. Philippe wiedział, że musi go jak najszybciej znaleźć... ale czekały go cztery godziny pracy w stajni, a ponieważ zawsze pracował pod nadzorem, nie było żadnej nadziei, by wymknąć się przed czasem, i to razem z koniem. Wreszcie o szóstej wyruszył ze swoją mapką, przekonany, że dotarcie do posiadłości Armanda zajmie mu najwyżej półtorej godziny, a potem obaj popędzą do Harringtonów i zatrzymają Jacqueline, nim wyruszy o północy, albo przynajmniej pojedą razem z nią. Jednak drogi były ciemne i nieznane, toteż jechał dwa razy dłużej... i dowiedział się, że nie ma go w domu. Jeśli szybko nie wróci, nie uda im się zatrzymać Jacqueline!

Chłopiec splótł ręce na karku i westchnął. Był okropnie zmęczony. Przepadał za konną jazdą, ale rzadko jeździł dłużej niż godzinę. Całe ciało miał zeszywniałe i obolałe... Stęknął i przymknął oczy. Chyba dobrze mu zrobi chwila odpoczynku. Gdy tylko Armand wróci, od razu wyruszą w drogę. Miał nadzieję, że tym razem pojedą powozem.

Zbudził go brzęk tłuczonego szkła. Otworzył oczy i wyskoczył z łóżka, gotów do obrony. Rozglądał się dokoła. Świece już się wypaliły, z czego wywnioskował, że spał co najmniej dwie godziny. Może dłużej. Ogarnęła go panika. Zaklął pod nosem i wyszedł na korytarz zobaczyć, czy Armand nie wrócił.

Czyjeś stłumione przekleństwa dolatywały z końca korytarza. Philippe ruszył w tamtą stronę, zamierzając spytać tego kogoś, kimkolwiek był, czy monsieur St. James już powrócił. Dotarł do zamkniętych drzwi, spod których widać było światło. Zastukał energicznie. W odpowiedzi ktoś cisnął w drzwi od środka czymś ciężkim, co znów się rozbiło.

- Wynoś się stąd, słyszysz? - rozległ się wściekły, przepity głos.

Philippe się zawahał. Głos z pewnością należał do Armanda; wiedział jednak z

doświadczenia, że z rozszluszczonym pijakiem lepiej nie zaczynać. Odchrząknął i przemówił po francusku.

- To ja, Philippe Mercier. Muszę panu natychmiast coś powiedzieć!

Cisza. Philippe czekał cierpliwie.

- Czy to ona cię przysłała? - spytał podejrzliwie przepity głos.

-Nie, monsieur. Nie wie, że tu jestem.

Znowu zaległa cisza. Philippe zaczął powątpiewać, czy Armand go usłyszał.

- No to włącz, do diabła! - warknął z irytacją St. James.

Philippe nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Już od progu poczuł ciężki, słodkawy odór whisky. Zamrugał oczami i rozejrzał się po pokoju, który znajdował się w opłakanym stanie: poprzewracane meble, rozbite szkło, puste butelki, kałuże rozlanego alkoholu. Armand siedział w fotelu koło kominka z butelką bursztynowego trunku na kolanach i chmurnie wpatrywał się w wygasłe węgle. Żakiet, kamizelka i fular walały się po podłodze razem z porozrzucanymi książkami i papierami, a także potłuczonymi figurynkami z porcelany, które nieopatrzenie znalazły się na jego drodze. Armand miał na sobie wymiętą koszulę z podwiniętymi rękawami, prawie całkiem rozpiętą. Miedziane włosy opadały w nieładzie na ramiona. Wyglądał jak zwykły pijak, jeden z tych, co drzemią w taniej oberży, póki właściciel nie wyrzuci ich na ulicę, zamykając lokal.

St. James podniósł głowę i usiłował skupić wzrok na osobie Philippe'a. Nie miał pojęcia, od jak dawna chłopak tu jest. Czas przestał dla niego istnieć. Wiedział tylko, że od chwili, gdy ujrzał Jacqueline całującą się z markizem de Biret i usłyszał, jak ten dureń rozwodzi się na temat ich małżeńskiego szczęścia, ogarnął go gniew tak straszliwy, iż jedynie alkohol mógł go nieco przytłumić. Jeden kieliszek, tylko tyle zamierzał wypić. Ale jeden kieliszek nie pomógł, pozwolił więc sobie na drugi i trzeci... Wreszcie doszedł do wniosku, że najlepiej będzie upić się do nieprzytomności. Alkohol nie złagodził jednak jego gniewu, przeciwnie -jeszcze bardziej go rozniecił. Napełnił go też wstrętem do samego siebie, Jacqueline, Francji i całego świata.

Był nic niewartym śmieciem. Ostatnim bydlakiem. Nie sprawdził się jako syn, mąż ani ojciec. Nie potrafił obronić rodziny i dlatego musiały zginąć - matka, Lucette, Angélique.... I wbrew wszelkim zasadom, jakim teraz hołdował, z rozmysłem uwiódł Jacqueline. A potem ją odepchnął, przez co wpadła w ramiona markiza. Nic dziwnego: de Biret miał tytuł! Był jej godzien. A on nie odpokutował jeszcze za swoje grzechy. Przecież sam siebie skazał na dożywocie. Żadna miłość ani małżeństwo nie wchodziły w rachubę! I teraz jest znowu sam, może jechać do Francji i walczyć z demonami przeszłości, nie

przejmować się tym, czy żyje, czy zdycha.

Tylko że ni stąd, ni zowąd zaczęło mu zależeć na życiu. Uświadomił to sobie i przejęło go to trwogą.

Philippe zmierzył uważnie wzrokiem cały pokój i policzył puste butelki. Zrozumiał, że Armand przez cały czas był w domu. Poleciał zapewne majordomusowi, by mu nie przeszkadzano. Majordomus zaś, wiedząc, w jakim stanie jest jego pan, nie odważył się złamać tego rozkazu.

- Chodź no tu i wypij sobie kielicha - powiedział rozkazującym tonem Armand.

Philippe pokręcił głową.

-Nie piję.

-Ja też nie - odparł posępnie Armand.

Odchylił głowę do tyłu i pociągnął zdrowo z butelki. Trunek pociekł mu na koszulę. Nie przejął się tym, tylko otarł usta rękawem.

-Monsieur St. James, Jacqueline potrzebuje pańskiej pomocy - zaczął Philippe, mocno powątpiewając, czy w obecnym stanie Armand zdoła jej udzielić.

-Doprawdy? - spytał szyderczo. -Jakie kłopoty ma tym razem? Czyżby inny wielbiciel wzywał ją na ratunek?

Philippe nie zwracał uwagi na gorzki sarkazm w jego głosie.

-Nie - odpowiedział - ale słyszałem, jak markiz powiedział jej dzisiaj coś, czym strasznie się przejęła...

-A, markiz! - przerwał mu drwiąco Armand. - To musi być coś ważnego!

I znów pociągnął z butelki.

-Podobno słyszał od kogoś - ciągnął dalej Philippe - że jej brat żyje. I Jacqueline postanowiła wrócić...

-Powinienem był go zabić - przerwał mu Armand ze śmiertelnym spokojem.

Philippe spojrział na niego, całkiem zdezorientowany.

- Brata Jacqueline?...

- Dotykał jej! - warknął wściekle Armand, przypominając sobie całą scenę. - Ten bydlak kleił się do niej i całował ją, opowiadając, jak to będzie, kiedy się pobiorą. A ona mu pozwalała!

- Monsieur St. James, nie warto teraz gadać o markizie. Armand łyknął znów whisky i zapatrzył się w przestrzeń, zapominając ze szczętem o obecności Philippe'a.

- Ale będzie miał niespodziankę w noc poślubną! - wycedził z pogardą i uśmiechnął się paskudnie.

Nie ulegało wątpliwości, co chciał przez to powiedzieć.

-Zamilcz! - wykrztusił Philippe, czując, że *coś* go ściska w dołku.

-Ja miałem ją pierwszy! - chełpił się Armand z gorzkim triumfem.

-Zamilcz! - syknął Philippe przez zaciśnięte zęby.

-Najpierw myślała, że jestem od niej gorszy - mruzczał Armand, nie zwracając uwagi na chłopca. - Księżęca córka była za dobra dla takiego prostaka jak ja! Ale kiedy się wreszcie znalazła nago w moim łóżku, chętnie rozkładała te swoje długie, arystokratyczne nóżki!

Niewielka pięść Philippe'a zderzyła się ze szczęką Armanda tak gwałtownie, że zęby same się zacisnęły, a w mózgu mu zawirowało. Pokręcił głową i spojrzał ze zdumieniem na chłopaka.

-Co u diabła...?

-Zamknij pysk, cholerny bydlaku! -wybuchnął Philippe, drżąc cały z wściekłości. - Co ty o niej wiesz?! Nie jesteś wart jej dotknąć, słyszysz? - Stał naprzeciw niego z rękoma zaciśniętymi w pięści, zmagając się z pokusą uderzenia go raz jeszcze. - Niczego nie żałowała dla ciebie! Naraziła własne życie, oddała te błyskotki, całe swoje zabezpieczenie na przyszłość, byleby ciebie wyciągnąć z więzienia! Tylko to się dla niej liczyło!

Armand patrzył na niego z osłupieniem.

- Widziałeś jej dom? - pytał, kipiąc z gniewu, Philippe. – Jest sto razy wspanialszy od twojego! Zabrali go jej. Zniszczyli. A ona nie płakała! Nie powiedziała ani słowa! Bo tylko na tym jej zależało, żeby zabrać stamtąd te świecidełka, sprzedać je i kupić za to wolność dla ciebie! - Nie jest tu szczęśliwa - mówił dalej i głos mu drżał. - Nigdzie nie wychodzi. Z nikim się nie widuje. Może nie powodziło się jej lepiej, gdy była z nami we Francji, ale była o wiele szczęśliwsza! A wiesz, po czym to poznałem?

-Nie - odparł Armand, nadal zamroczony, ale teraz już absolutnie poważny. - Po czym?

-Bo we Francji nigdy nie płakała - wyjaśnił Philippe.

- A teraz płacze? - spytał Armand ochryłym głosem.

Chłopiec zmrużył oczy.

- To przez ciebie płakała tamtej nocy na „Angelique” – powiedział oskarżycielskim tonem. -Wykorzystałeś ją i przez ciebie płakała! I od tamtej pory płacze co noc. - Odwrócił się od niego z obrzydzeniem. -Wcale się nie wybiera za markiza! - rzucił szyderczo. - On nie jest jej wart. Ani trochę! - Zmierzył znów wzrokiem Armanda. - Tak samo jak ty! - dodał z

pogardą.

Armand patrzył na niego zdumiony. Mały, zabiedzony złodziejasek, który miał prawo z całego serca nienawidzić arystokracji, bronił zawzięcie księżęcej córki!... I czemuż by nie? Jacqueline potrafiła dostrzec, co kryje się pod jego brudem i łachmanami i zabrała go prosto z ulicy, by zapewnić mu lepsze życie i odrobinę nadziei. A co więcej, obdarzyła go przyjaźnią. Od samego początku postawiła sprawę jasno: nie będzie sługą, lecz członkiem rodziny. Armanda naszła pokora w obliczu lojalności tego chłopca wobec Jacqueline. I troski Jacqueline o tego chłopca. Ogromnie się zmieniła od tamtego dnia, gdy sądzono ją przed trybunałem za grzechy całej jej warstwy.

-Masz rację ~ przyznał cicho. - Nie jestem jej wart.

-Przybiegłem tu, bo myślałem, że jej pomożesz. Właśnie wyrusza na wybrzeże. Chce popłynąć do Francji i szukać swojego brata. Myślałem, że ją od tego powstrzymasz albo przynajmniej będziesz jej bronił... Ale wystarczy na ciebie spojrzeć: nawet byś się nie dowlókł do stajni, a co dopiero do Francji! Lepiej bym zrobił, gdybym sam za nią popędził! Nie warto było tu przyjeżdżać.

Wykręcił się na pięcie i chciał odejść.

- Zaczekaj! - zawołał Armand, rozpaczliwie starając się zrozumieć wszystko, co mówił chłopiec. - Powiedziałeś, że wraca do Francji? - powtórzył, mając nadzieję, że się przesłyszał.

Philippe się odwrócił.

- Jest już w drodze do Dover - stwierdził sucho.

-Sama? - dopytywał się Armand, wstając z wysiłkiem i usiłując utrzymać równowagę.

-Z markizem - odparł Philippe.

Armand zmarszczył czoło. François-Louis wybierał się z Jacqueline do Francji? Po co? Philippe wspomniał coś o jej bracie... który żyje?... Niepodobieństwo! A może nie? Nie był tego pewny. Jedno wiedział z całą pewnością, nawet po pijanemu: markiz de Biret nie należy do ludzi, którzy z narażeniem życia spieszą na pomoc innym. Jeśli wraca do Francji z Jacqueline, musi być przekonany, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Skąd pewność, że nie zostanie aresztowany, gdy tylko postawi nogę na francuskiej ziemi? A jeśli tak bardzo kocha Jacqueline, to czemu nie jedzie sam szukać jej brata, tylko narażają, zabierając ze sobą?

Nagle zrozumienie podziałało na niego jak kubeł lodowatej wody.

- Mój Boże! - szepnął przerażony. - To pułapka!

Cały pokój zawirował wokół niego.

Philippe spoglądał na niego w osłupieniu.

- Skąd wiesz?!

Armand pokręcił niecierpliwie głową. Nie umiał wytłumaczyć mu tego.

-Zawołaj lokaja - polecił, rozpaczliwie usiłując zachować równowagę. - Niech przyniesie kawy. I coś do jedzenia. Zaprzęgać do powozu! Musimy jechać natychmiast. Spróbujemy ją zatrzymać, nim wsiądzie na statek. Co tak stoisz? Rusz się!

-*Oui, monsieur* - odparł z pośpiechem Philippe.

Był zdumiony nagłą zmianą, jaka zaszła w Armandzie. Może nie był tak pijany, jak się wydawało?

Trzeba biec po majordomusa.

Nie dotarł nawet do drzwi, gdy za nim rozległ się rozpaczliwy jęk. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał, że oczy Armanda uciekają pod czaszkę, a jego potężne ciało wali się na podłogę.

Rozdział 16

Lodowaty deszcz siekł Jacqueline po twarzy. Stała na pokładzie, wpatrując się w zamglony, szary kontur francuskiego wybrzeża, które w oddali wynurzało się tajemniczo z wody. Jej ukochany kraj wydawał się taki spokojny w przyćmionym wieczornym świetle... Jacqueline nie zwiodły jednak te pozory. Ukazująca się jej oczom Francja była gwałtowna i okrutna, niewyobrażalnie okrutna. Niegdyś Jacqueline wierzyła, że to szaleństwo niebawem minie, a rozsądek i sprawiedliwość znów zapanują w jej ojczyźnie, która wydała tyle wspaniałych umysłów: artystów, uczonych, filozofów. Jednak oczekiwana godzina jeszcze nie wybiła. Nadal władały tu niepodzielnie mroczny strach i brutalna przemoc. Oby Antoine nie stał się po raz drugi ich ofiarą! - modliła się bezgłośnie.

Była pewna, że brat żyje. Od chwili gdy François-Louis wspomniał o jego rzekomym ocaleniu, utajona nadzieja, tłąca się gdzieś na dnie jej serca, buchnęła płomieniem, przepełniając ją radosną pewnością i niezłomnym postanowieniem. Uwolni go, nic jej nie powstrzyma! Odnajdzie go, będzie pielęgnować, dopóki brat nie odzyska sił, a potem wywiezie daleko od wrogów, pragnących go zniszczyć. Tym razem nie zawiedzie Antoine'a!

Zabierze go z Francji, choćby miało ją to kosztować życie!

Jakie szczęśliwe będą Suzanne i Seraphine, gdy znów ujrzą brata! Jacqueline uśmiechnęła się, wyobrażając sobie tę scenę; nie myślała nawet o porażce. Suzanne zawsze ubóstwiała Antoine'a; całkiem możliwe, że po jego powrocie przestanie być tak chorobliwie zazdrosna o jej przyjaźń z Philippe'em. Kto wie, może nawet Seraphine zacznie znów mówić?...

Ciekawe, co na to powie Armand? Będzie wściekły, że wróciła do Francji! Tego była absolutnie pewna. I weźmie jej za złe, że wybrała się tam z François-Louisem. Ależ był rozwścieczony, gdy zaskoczył ich w tym żenującym uścisku! Z jakiej racji?! - myślała gniewnie. Nie miał przecież do niej żadnego prawa! Postarał się, żeby straciła dla niego głowę, a potem ją odtrącił. Dokonał wyboru. Wolał wieść nadal życie pełne sekretów i niebezpieczeństw niż rozpocząć nowe, razem z nią. Przez całe tygodnie po powrocie do Anglii nie odwiedził jej ani do niej nie napisał. A potem nagle zjawia się i jest wściekły o to, że słucha miłosnych wyznań narzeczonego! Czegóż się spodziewał? Czy myślał, że przywdzieje po nim żałobę i wstąpi do klasztoru?! A może miała czekać na niego Bóg wie ile lat, aż republika upadnie, a on upora się z demonami przeszłości i pomyśli o przyszłości?... Kto wie, co mu chodziło po głowie! Westchnęła. Armand pogardzał François-Louisem, a widok Jacqueline w ramionach człowieka, przez którego omal nie rozstał się z życiem, bez wątpienia doprowadził go do pasji. Przykro jej było z tego powodu. Gdyby zechciał poczekać chwilkę, spróbowałaby mu wyjaśnić, że wcale nie było tak, jak mu się zdawało...

Poprawiła na głowie kaptur ciemnej peleryny, próbując lepiej osłonić się przed deszczem. Wiedziała, że powinna zejść pod pokład, ale chciała jeszcze przez chwilę popatrzeć, jak jej ojczyzna, która budziła w niej równocześnie miłość i nienawiść, wynurza się powoli zza zasłony deszczu.

Tym razem nie było czasu na farbowanie włosów ani na wymyślanie przebrania; miała jednak nadzieję, że skromny ubiór uchroni ją od wszelkich podejrzeń. François-Louis także zmienił wyszukany strój na pozbawione szyku ubranie z szorstkiej brunatnej wełny, podobne do ciemnej odzieży, do której miał wyraźne upodobanie Nicolas. Markiz nosił oczywiście perukę, ale schodząc pod pokład, zapewnił Jacqueline, że przed zejściem na ląd rozstanie się z nią.

O dziwo, François-Louis okazał się nieocenioną pomocą podczas podróży. Decyzja towarzyszenia jej była tak sprzeczna z jego naturą, iż początkowo Jacqueline obawiała się, że będzie on tylko zawadą. Ku jej zaskoczeniu markiz poczynił przygotowania do podróży dokładnie i z zadziwiającą znajomością rzeczy. Wynajmując powóz w Londynie i prywatny

statek w Dover, jak też zaopatrując ich w fałszywe dokumenty podrózne, zdumiewał swą towarzyszkę nieoczekiwaną troskliwością i zaradnością. Jacqueline doszła do wniosku, że widać go nie doceniała.

Statek zatrzymał się w odległości mniej więcej mili od brzegu. Jacqueline zeszła na dół, by ogrzać się trochę i zabrać torbę podróżną, zanim spotka się z François-Louisem na pokładzie i skorzysta z jego pomocy przy wsiadaniu do łódki, która miała ich pod osłoną nocy podwieźć do brzegu. Markiz był w stosunku do niej bardzo rycerski, troszczył się o jej wygodę i bezpieczeństwo. Cóż za kontrast w porównaniu z Armandem, który nigdy nie traktował jej tak, jakby była słabą, kruchą kobietą!

Zgodnie ze swym przyrzeczeniem markiz pozbył się srebrnobiałej peruki. Spod ciemnego filcowego kapelusza spływały długie pasma gładkich włosów w miłym odcieniu brązu i Jacqueline nie mogła pojąć, czemu zawsze je zakrywał. W Anglii przywykła do mężczyzn i kobiet obywających się bez peruk i noszenie ich wydawało się jej niemal dziwactwem.

Wylądowali na północ od Calais, omijając dzięki temu punkt kontrolny, gdzie członkowie Gwardii Narodowej sprawdzali dokumenty podrózne i paszporty wszystkich przyjezdnych. Wysiedli na brzegu i udali się piechotą do miasta. Chcieli tam wynająć powóz, którym wyruszą na południowy wschód - po Antoine'a. Markizowi udało się przed wyjazdem do Dover uzyskać dokładniejsze wiadomości o jego miejscu pobytu. Ukrywał się ponoć w niewielkim gospodarstwie w pobliżu granicy z Austrią. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinni tam dotrzeć za trzy lub cztery godziny. Jacqueline ogarnęło podniecenie zmieszane z niepokojem. Już wkrótce zobaczy Antoine'a!

Małe Calais znajdowało się o setki kilometrów od wielkiego Paryża, ale panowała w nim równie gorąca, rewolucyjna atmosfera. Na ulicach pełno było nieokrzesanych typków w stroju sankiulotów, dumnie noszących trójkolorowe kokardy na przybrudzonych czerwonych czapkach. Wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, spoglądali na siebie spode łba i nieufnie. Wydawali się szukać ofiary, na którą warto się rzucić. Jacqueline podejrzewała, że wystarczy jedno nieprzyjazne spojrzenie, by zostać uznanym za zdrajcę czy szpiega. Wbiła więc wzrok w ziemię i przyspieszyła kroku, by jak najszybciej wydostać się z labiryntu wąskich uliczek i znaleźć bezpiecznie w powozie.

Zbliżyli się do gwarnego zajazdu, przed którym stało kilka pojazdów różnego rodzaju i wielkości. Jacqueline naciągnęła kaptur na twarz, gdy weszli do zadymionego wnętrza, które cuchnęło alkoholem, potem, brudem i przypalonym tłuszczem. François-Louis doprowadził ją do małego stolika, którego blat był lepki od rozlanego wina.

- Zaczekaj tu - powiedział, rozglądając się dokoła z niewyraźną miną. Widać było, że tak samo jak ona nie zwykł odwiedzać podobnych miejsc. - Zamów coś do jedzenia, jeśli masz ochotę. Ja przez ten czas dowiem się, czy można tu wynająć jakiś powóz.

Obserwowała go z niepokojem, gdy podszedł do szynkwasu i zagadnął chudego, zaferowanego człowieczka, nalewającego tanie czerwone wino do stojących na tacy, byle jak opłukanych kieliszków. Szynkarz nie zważał na François-Louisa, tyle że od czasu do czasu kiwnął głową na znak, że nie jest głuchy. Wszelkie inne względy okazywane klientowi uznano by w czasach republiki za coś zbytecznego, a nawet podejrzanego. Jacqueline westchnęła i odwróciła wzrok. Rozejrzała się po izbie w nadziei, że dostrzeże kogoś, kto zechce podać jej coś do jedzenia. Porządnie wyglodniała, a poza tym dobrze byłoby zjeść posiłek teraz, żeby potem nie zatrzymywać się w trakcie podróży.

- Witamy z powrotem, Jacqueline! - wycedził drwiąco jakiś szorstki głos.

Jacqueline zamarła. W uszach jej zaszumiało i przeniknął ją nagły ból, gdy uświadomiła sobie, kto to mówi. Oblało ją gorąco, potem zimno. Zbierało się jej na wymioty. Przelknęła z trudem ślinę, zmuszając się do odwrócenia głowy, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Trwała więc w bezruchu, jakby liczyła na to, że niebezpieczeństwo samo zniknie, jeśli nie będzie zwracać na nie uwagi.

- Dajże spokój, stać cię na coś lepszego! - zadrwił Nicolas, zachodząc ją od przodu. - Nie powiesz mi przynajmniej dzień dobry?

Z wysiłkiem podniosła na niego oczy. Odpowiedział jej mrocznym spojrzeniem, w którym triumf mieszał się z nienawiścią. Dostrzegła bliznę po ranie, którą mu zadała. Odcinała się krwistą czerwienią od ziemistej cery. Chciała zawołać „ratunku!”, ale co by to dało? Zmusiła się do zachowania spokoju.

- Zazwyczaj nie bywasz taka milcząca - zauważył sucho Nicolas. Przysunął sobie krzesło, otrzepał je rękawiczką i usiadł naprzeciw Jacqueline. - Pewnie się trochę dziwisz, co? Czy naprawdę myślałaś, że dałem za wygraną po naszym ostatnim spotkaniu? - dopytywał się.

- Miałam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę - zdołała wykrztusić Jacqueline.

Nicolas pokręcił głową.

- Marzycielka z ciebie, Jacqueline - powiedział. - Powinnaś wiedzieć z doświadczenia, że łatwo się nie poddaję. Po naszym ostatnim spotkaniu Komitet Ocalenia Publicznego polecił mi zająć się wyłącznie twoją sprawą; mam cię pojmać i oddać prosto w ręce kata. Tylko w ten sposób zdołam naprawić szkody, jakie ty i twój przyjaciel poczyniliście w mej dotychczas nieposzlakowanej reputacji. Gdybyś tu nie wróciła,

zostałbym oskarżony o zdradę państwa.

Jacqueline nadal nie mogła uwierzyć, że stoi tu przed nią we własnej osobie. Skąd mógł wiedzieć, że wyląduje w tym właśnie dniu i że przybędzie do tego zajazdu, by wynająć powóz?... Wzdragająca się uwierzyć w jedyne prawdopodobne rozwiązanie tej zagadki. Spuściła wzrok, otulając się szczelniej peleryną, jakby mogła odgrodzić się w ten sposób od rzeczywistości.

- Otóż i nasz szlachetny markiz! - rzucił drwiąco Nicolas.

Jacqueline obejrzała się i zobaczyła François-Louisa, któremu towarzyszyło dwóch członków Gwardii Narodowej. Wszyscy obecni w zajazdzie gapili się na niego. Żołnierze nie trzymali go za ramiona, on zaś szedł między nimi bez entuzjazmu, ale spokojnie. Serce zaciążyło jej w piersi.

- Dlaczego? - wykrztusiła łamiącym się głosem, gdy zbliżył się do niej. Nie pojmowała, jak mógł ją tak podle zdradzić. - Dlaczegoś to zrobił?

Zmieszał się i wbił wzrok w podłogę.

- Ja... rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy - powiedział bez ogródek, spoglądając znów na nią niebieskimi oczami tak błagalnie, jakby wierzył, że go zrozumie i wybaczy. - Jestem bez grosza, Jacqueline - usprawiedliwiał się. - Myślałem, że masz te klejnoty... Moglibyśmy się pobrać i całkiem przyzwoicie urządzić. Ale kiedy zerwałaś zaręczyny i powiedziałaś, że jesteś bez grosza, zrozumiałem, że nie mam wyboru. I że muszę przyjąć propozycję Bourdona.

Serce ścisnęło jej się z bólu. Narzeczony, który przysięgał, że jest dla niego wszystkim, i obiecywał zrobić, co tylko w jego mocy, żeby była szczęśliwa, sprzedał ją Nicolasowi.

- A... Antoine? - szepnęła głosem ledwie dosłyszalnym mimo ciszy, jaka zapadła w izbie.

Na jego twarzy pojawił się grymas szczerzego żalu.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Jacqueline - powiedział cicho. Ból, który poczuła w tym momencie, był straszliwy, dławiący, nie do zniesienia!

- Ty łotrze! - krzyknęła, zrywając się od stołu i rzuciła się z pazurami na François-Louisa, gdy mieszanka piorunująca gniewu, rozgoryczenia i trwogi nagle w niej eksplodowała.

Dwaj żołnierze próbowali ją powstrzymać, ale bez większego przekonania; ostatecznie co ich to obchodziło, że arystokraci biorą się za łby? Jacqueline całkowicie zignorowała gwardzistów i dopadła François-Louisa ku ogólnej uciesze widzów. Markiz

osłonił twarz rękami, zerwała mu więc z głowy kapelusz wraz z peruką. Dokonawszy tego, znieruchomiała, wpatrując się w osłupieniu w brązowe włosy, które zostały jej w ręku. Wszyscy w izbie ryknęli śmiechem. Popatrzyła na markiza, którego lśniąca łysina była równie czerwona, jak policzki, które zaatakowała najpierw.

- Dość tego! - rozkazał Nicolas, chociaż widać było, jaką przyjemność sprawiło mu publiczne upokorzenie François-Louisa. - Zaprowadzić ich do powozu!

Jacqueline przygryzła wargę i otuliła się peleryną. Dwaj żołnierze stanęli po obu jej bokach i poprowadzili przez tłum w stronę drzwi. Nicolas i François-Louis ruszyli za nimi.

-Na gilotynę z tą zdradziecką suką! - wrzasnął jakiś osiłek i brudna, zarośnięta twarz wykrzywiła się w zjadliwym uśmiechu.

-Na gilotynę! Na gilotynę! - podchwycił entuzjastycznie tłum, unosząc w górę kieliszki w szyderczym toaście.

Jacqueline szła z głową wysoko uniesioną, nie chcąc okazać strachu. Jakaś chuda dziewczyna o zmierzwionych włosach szarpnęła ją za pelerynę i kaptur zsunął się z jej głowy. Jeden z żołnierzy brutalnie odepchnął napastniczkę, tak że zwała się na podłogę. Tłum przyjął to entuzjastycznie, a Jacqueline odetchnęła z ulgą. Cokolwiek miało ją spotkać w przyszłości, teraz Nicolas najwyraźniej rozkazał bronić jej przed motłochem - i była mu za to wdzięczna.

Powóz czekał na nich przed zajazdem. Jacqueline wsiadła pierwsza, za nią François-Louis i Nicolas. Odsunęła się od nich tak daleko, jak to możliwe w ciasnym wnętrzu powozu.

- Dobrzeście się spisali, obywatelu - pochwalił Nicolas, gdy powóz ruszył. Z rozmysłem nie użył tytułu markiza. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pękata skórzaną sakiewkę, którą rzucił markizowi.

- Oto część waszej zapłaty - oświadczył. - Reszta zostanie przesłana do londyńskiego banku, zgodnie z umową. Możecie wracać do Anglii. Gdybyście tu pozostali, nie ręczę za wasze bezpieczeństwo. Czy to jasne?

- Tak - odparł François-Louis i zacisnął sakiewkę w dłoni.

- Za ile mnie sprzedałeś? - spytała gorzko Jacqueline.

François-Louis spojrzał na nią zmieszany.

- No, obywatelu, powiedzcie jej, ile jest warta! - zachęcał go drwiąco Nicolas. - W końcu ma prawo to wiedzieć.

Markiz z trudem przełknął ślinę.

- Za osiem tysięcy funtów.

Jacqueline spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Osiem tysięcy funtów? - powtórzyła, pewna, że słuch ją zawodzi.

Mężczyzna tak rozrzutny jak markiz de Biret roztrwoni osiem tysięcy funtów w ciągu roku! W najlepszym wypadku starczy mu na dwa lata.

-Niezbyt drogo, prawda? - zauważył z wyraźnym zadowoleniem Nicolas.

-Widzę, że nie umiesz się targować - stwierdziła jadownicie Jacqueline. - Założę się, że zapłaciłby ci znacznie więcej!

François-Louis nic nie odpowiedział.

-Pomyśleć tylko, że wolałaś kogoś takiego ode mnie - zauważył Nicolas z gorzką ironią. - Jaka szkoda!

-Jaka szkoda, że nie sprawdziłam, czy na pewno nie żyjesz, gdy zostawiłam cię broczącego krwią na podłodze w Chateau de Lambert! - syknęła Jacqueline.

- Dla mnie był to raczej pomyślny zbieg okoliczności – przyznał Nicolas, gładząc od niechcenia bliznę. - Szkoda tylko, że zostawiłaś mi ten znaczek. Jeszcze ci się za to nie odwdzieczyłem.

Spojrzał na nią wymownie.

Jacqueline odpowiedziała mu morderczym spojrzeniem, chcąc ukryć strach.

- Tylko mnie spróbuj tknąć, a rozplątam ci drugi! – zawołała żywo.

Grzbietem ręki uderzył ją z całej siły w twarz, aż krzyknęła z bólu i uderzyła głową o tylne oparcie, na szczęście wyściełane.

- Boże święty! Czy musisz się tak zachowywać, Bourdon? - obruszył się François-Louis.

Jego niebieskie oczy były okrągłe z przerażenia. Nicolas zastukał w dach powozu. Pojazd stanął, a inspektor otworzył drzwiczki.

-Wysiadaj! - rozkazał, spoglądając groźnie na markiza.

-Myślałem, że... - bąknął François-Louis ze zdumieniem.

-Skończyłem z tobą - przerwał Nicolas. - Nie jesteś mi już potrzebny. Wynoś się!

Markiz rzucił niespokojne spojrzenie na Jacqueline, jakby nagle zrozumiał, że po jego odejściu Nicolas może wyrządzić jej krzywdę. - Słuchaj no, Bourdon, musisz mi obiecać, że nic jej...

-Niczego ci nie muszę obiecywać - odparł szyderczo Nicolas.

-Zwłaszcza jeśli chodzi o mademoiselle de Lambert. Sprzedałeś mija, nie pamiętasz?

-Zgodziłem się przywieźć ją tutaj - przyznał François-Louis - ale nie po to, żebyś...

-Co z nią teraz zrobię, to nie twoja sprawa - przerwał mu Nicolas. - Pomyśl lepiej o tym, jak się wynieść z Francji, zanim cię znowu aresztują i wsadzą do więzienia.

François-Louis spoglądał z niepokojem na byłą narzeczoną.

- Jacqueline, przysięgam ci, że tego nie chciałem!

- Budzisz we mnie wstręt! - powiedziała z niesmakiem. Spuścił wzrok.

- Rozumiem twoje wzburzenie.

Wysiadł z powozu. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Ruszyli znów w drogę.

- Dokąd jedziemy? - spytała po chwili Jacqueline. - Z powrotem do Paryża?

- Jeszcze nie - odparł Nicolas. - Przez jakiś czas pozostaniesz w tutejszym więzieniu.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Myślałam, że chcesz mnie czym prędzej przewieźć do Paryża, żeby pochwalić się swoją zdobyczą przed sprzedawczykami z Komitetu Ocalenia Publicznego!

- Spotkasz się z nimi niebawem - zapewnił Nicolas. - Ale stanowisz tylko część mojej zdobyczy. Zamierzam zaprezentować was razem, ciebie i twojego przyjaciela, Czarnego Księcia. A potem przyjrzeć się waszej wspólnej egzekucji.

Wstrząsnął nią dreszcz niepokoju, poczuła nagły zawrót głowy.

- Nigdy go nie złapiesz, Nicolasie! - powiedziała to z większym przekonaniem, niż w istocie czuła. - Możesz równie dobrze jechać od razu do Paryża.

- Doprawdy? - zdziwił się Nicolas. - Jestem innego zdania. Sądzę, że przybędzie tu po ciebie, a kiedy tak się stanie, dopilnuję, żeby został aresztowany i dostarczony do Paryża na egzekucję.

Jacqueline wybuchnęła nieco sztucznym śmiechem, choć te słowa wzbudziły w niej lęk.

- Na pewno nie przyjedzie tu po mnie - rzuciła lekko. - Ratuje tylko tych, którzy mu za to sownie zapłacą! Ponieważ jestem bez grosza, nie miałby ze mnie żadnej korzyści. Musisz wymyślić coś lepszego, jeśli chcesz go złapać!

- O ile mi wiadomo, Armand St. James nie potrzebuje pieniędzy.

Uśmiechnął się, widząc jej zdumienie.

- Doszedłem do wniosku, że warto dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, który niemal od dwóch lat sieje niepokój we Francji - powiedział. - De Biret niezwykle chętnie zdradził mi jego nazwisko podczas naszych negocjacji. Ale żeby pojmać wroga, nie wystarczy wiedzieć, kim on jest. Należy poznać motywy jego działania. Nietrudno było odkryć, że to wnuk byłego markiza des Valentès, którego córka Adrienne uciekła z domu, żeby poślubić Anglika niskiego pochodzenia, Roberta St. Jamesa. Dalsze śledztwo ujawniło, że pani St. James wróciła do Francji w 1792 roku, razem ze swą synową Lucette, córką francuskiego kupca uwięzionego w owym czasie za nieprawomyślne poglądy, oraz jej

córeczką Angelique. Obie kobiety były niewątpliwie emigrantkami i nie kryły swych rojalistycznych sympatii, toteż sąd skazał je na śmierć za zdradę ojczyzny.

- A o jaką zbrodnię oskarżono dziecko? - spytała Jacqueline, coraz bardziej zaniepokojona. - Miało obywatelstwo brytyjskie i nie stanowiło chyba zagrożenia dla Republiki Francuskiej.

Nicolas wzruszył ramionami.

-Zginęła z powodu pokrewieństwa łączącego ją z matką i babką - wybrnął gładko. - Tak czy owak, wbrew temu, co usiłujesz mi wmówić, Czarny Książę nie pracuje dla pieniędzy. Wygląda na to, że kierują nim pobudki natury osobistej.

-Być może - odparła Jacqueline niedbale, jakby nie miała o tym wszystkim pojęcia i niezbyt ją to obchodziło. - Mimo to długo będziesz czekał, nim zjawi się tu po mnie! Przede wszystkim nie wie o moim wyjeździe do Francji. Od powrotu do Anglii prawie się z nim nie widywałam, a nasze ostatnie spotkanie nie było przyjazne. Wątpię, by się dowiedział o moim zniknięciu, a co dopiero ryzykował dla mnie życie. Radzę ci: zawieź mnie jak najszybciej do Paryża i niech się to wszystko skończy! - przekonywała.

Sama myśl o tym, że miałyby posłużyć za przynętę, zwabić Armanda w kolejną pułapkę, była dla niej nie do zniesienia.

- Jakoś ci podejrzenie spieszo na gilotynę! Czyżbyś się zakochała w tym człowieku i gotowa była poświęcić życie, byle nie został schwytany?

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby ją znieważył.

- Doprawdy, Nicolasiu, chyba już zapomniałeś, że jestem córką księcia de Lambert i do niedawna byłam narzeczoną markiza de Biret! Czy naprawdę sądzisz, że mogłabym zakochać się w człowieku z gminu?

Zmusiła się do wzdorliwego śmiechu. Nicolas bacznie się jej przyglądał.

- Już raz ryzykowałeś życie, by go ocalić, Jacqueline - przypomniał. Rzuciła mu miążdzące spojrzenie.

- To była kwestia honoru... Wątpię, czy to zrozumiesz - syknęła. — Czuję się odpowiedzialna za jego aresztowanie, gdyż niechcący przyczyniłam się do tego. Ale monsieur St. James nie ma żadnych powodów, by spieszyć mi z pomocą. Tracisz tylko czas.

Splótł palce obu rąk, opadł na tylne oparcie i się uśmiechnął.

-Zobaczymy, Jacqueline - odparł spokojnie. - Zobaczymy.

-Została aresztowana.

Armand poczuł mdlący, lodowaty strach, zdołał się jednak opanować i nie dał nic poznać swoim ludziom. Tylko aresztowana - mówił sobie - a nie ścięta!

- Kiedy? - spytał lakonicznie.

-Wczoraj - oznajmił John. - Gdy tylko tu dotarła. Spokojnie! - powtarzał sobie w duchu Armand. Gromadź fakty!

-Jak to było?

- Jakiś inspektor z Paryża aresztował ją w zajeździe - odparł Andrew, inny majtek z jego załogi; mówił płynnie po francusku, wysłano go więc na brzeg, by zasięgnął języka. - Podobno ona i markiz chcieli tam wynająć powóz.

...To Bourdon zaczął się na nią, a ona weszła w pułapkę, niczego nie podejrzewając. Bezbronnie, głupie niewiniątko! Armand przemógł ogarniający go gniew.

-A markiz? - spytał obojętnym tonem.

-Zabrali go z zajazdu razem z nią i wsadzili do tego samego powozu, ale uwięzili tylko ją. Nikt nie wie, co się z nim stało - odparł John.

-Bez wątpienia podlec płynie teraz do Anglii! - syknął wściekle Sidney.

-To oczywiste - zgodził się Armand. W tej chwili nic go nie obchodziło, co się dzieje z markizem de Biret. - A gdzie uwięziono mademoiselle de Lambert?

John pochylił się nad stołem i rozwinął mapkę, którą naszkicował od ręki.

- Tutaj jest małe więzienie - zaczął wyjaśniać, pokazując palcem. - Parterowy budynek, najwyżej dwie lub trzy cele.

Armand wpatrywał się w prostokącik na mapie.

- Z czego zbudowany?

-Z kamienia. Ściany grube na więcej niż trzydzieści centymetrów.

-Są jakieś okna?

-Tylko jedno - odparł John. - Bardzo małe i porządnie okratowane. Nawet dzieciak by się nie prześlizgnął - dodał, zerkając na Philippe'a.

-Mogę spróbować! - oświadczył Philippe, który aż rwał się do pomocy.

Armand pokręcił głową.

-A strażę?

-Z tym jest największy problem - stwierdził Andrew. - Wygląda to tak, jakby się szykowali do oblężenia. Naliczyliśmy więcej niż tuzin żołnierzy naokoło budynku i w najbliższej okolicy.

Sidney zmarszczył czoło.

-Nie rozumiem tego - oświadczył. - Po co pilnuje jej taka chmara ludzi? Przecież to tylko nieuzbrojona dziewczyna!

-Po co w ogóle ją tam zamknęli? - dorzucił Philippe. -Jeśli draniowi tak zależy na tym, żeby ją ścięli, czemu nie zabrał jej od razu do Paryża?

-No właśnie, czemu? - zastanawiał się Armand. Spojrzał na Johna. - Nie słyszałeś, kiedy mają tam ją przewieźć?

-Jedni mówią, że zaraz. A inni, że będą ją trzymać w Calais liczo wie jak długo. Nikt nie wie nic pewnego.

Armand odchylił się do tyłu na krześle. Miał nadzieję zorganizować zasadzkę na pustej drodze i zatrzymać powóz Jacqueline. Poszłoby szybko, cicho i sprawnie. Wykradzenie jej z otoczonego strażą więzienia w małym miasteczku, gdzie oczy wszystkich mieszkańców są na nią zwrócone, będzie z pewnością znacznie trudniejsze. Zaciśnął zęby w bezsilnym gniewie. Bez wątplenia Nicolas na to właśnie liczył!

- Coś mi tu śmierdzi... - mruknął Sidney. -Wygląda na to, że drań na coś czeka... na przykład na to, że się zjawisz w przebraniu, żeby ją uratować. A jak się pokażesz, choćbyś nie wiem kogo udawał, już się z tobą rozprawi!

- Jeszcze jedna pułapka? - spytał Philippe.

Armand zaczął bębnić palcami po blacie stołu.

- Rzeczywiście tak to wygląda - odparł. Philippe spojrzał na niego z zainteresowaniem.

-No to co zrobimy?

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy czekali, co odpowie Armand. On zaś nadal bębnił w zadumie palcami po stole, rozważając różne możliwości.

I nagle uśmiechnął się szeroko.

Rozdział 17

Przez małe okienko znajdujące się na wprost celi Jacqueline przenikało zimne, szare światło - znak, że dzień ma się już ku końcowi. Siedziała na łóżku i wpatrywała się ze spokojem w zmrok, zwiastun nadchodzącej nocy. Będzie to jej trzeci wieczór w pustej, lodowato zimnej celi.

I ostatni.

Wiedziała, że to, co zamierza uczynić, jest śmiertelnym grzechem, ale na tym świecie nic już nie miało znaczenia... a Bóg może zdoła jej jakoś wybaczyć?... Pewna była tylko jednego: nie pozwoli, by Nicolas użył jej jako przynęty dla zwabienia Czarnego Księcia. Jej własna śmierć była nieunikniona, ale Armand nie musi umierać!

Gdyby jakimś sposobem dowiedział się o jej zniknięciu i postanowił przyjść jej z pomocą, nieświadomie wpadłby w pułapkę. Byłby zapewne czujny i ostrożny... ale Nicolas miałby nad nim przewagę, dopóki znajdowała się w jego ręku. A ona nie mogłaby umrzeć spokojnie, wiedząc, że przyczyniła się do śmierci Armanda, a pośrednio i tych wszystkich niewinnych ludzi, których Czarny Książę nie zdoła już uratować.

Śmierć nie jest taka straszna, myślała. Dziewczynki są bezpieczne, a Philippe znalazł się w nowym świecie, gdzie nigdy już nie zazna głodu i będzie mógł sam decydować o swoim losie. Miała nadzieję, że Armand zaopiekuje się nim, gdy jej już nie będzie, bo na Harringtonów pod tym względem nie mogła liczyć. Powinna może napisać kilka słów, wyrażając swe ostatnie życzenia, ale wyjeżdżała w takim pośpiechu, że nie pomyślała o tym. W każdy razie dzieci były bezpieczne, a ona spotka się z ojcem i Antoine'em, i zazna spokoju.

Namaciała przez ubranie wąski sztylet, który ukryła w halce. Zanim umieszczono ją w celi, jeden z gwardzistów gruntownie przeszukał jej torbę i okrycie. Uśmiechnął się z satysfakcją, gdy odkrył pistolet w wewnętrznej kieszeni peleryny. Bardzo rad ze swego znaleziska zaprzestał dalszych poszukiwań. Głupiec! Przed wyjazdem do Dover Jacqueline naszyła na halkę małą kieszonkę i ukryła w niej krótki sztylecik. Ilekroć wyczuła przez ubranie twardego metalu, dodawało jej to odwagi. W ciągu ostatnich dwóch dni często wyobrażała sobie, jak zatapia ten sztylet w sercu Nicolasa.

Dziś dokona tego naprawdę.

Uśmiechnęła się.

O tak, Nicolas musi umrzeć. Przybędzie do jej celi pewny, że znajdzie w niej bezbronną ofiarę. Kiedy już zostaną sami, uda, że przyjmuje życzliwie jego odrażające karesy. A gdy wreszcie Nicolas przestanie mieć się na baczności i będzie sobie gratulował poskromienia niezłomnej Jacqueline de Lambert, wtedy ona wyciągnie sztylet i wbije z całej siły w jego serce. Sięgnie przez ubranie, skórę i mięśnie aż do kości, przeszywając serce i płuca, aż krew tryśnie strumieniem, a w jego rozszerzonych oczach ujrzy paniczny strach. Kiedy zaś padnie już martwy na brudną, zimną podłogę, wyciągnie sztylet z rany, wytrze o jego koszulę i przetnie sobie żyły.

Przeklęta republika nie uczyni z jej śmierci publicznego widowiska! Nie stanie się

postrachem dla innych! Nie zginie w hańbie, lecz w glorii zwycięstwa!

Oby tylko Bóg zechciał to zrozumieć i jej przebaczyć.

Spokojnie wstała z łóżka i podeszła do stołu, na którym strażnik pozostawił dzbanek z wodą. Zaczepnęła jej w ręce i obmyła twarz; przyjemnie było czuć na skórze mokry chłód. Wytarła się do sucha szorstką wełnianą peleryną. Potem wyjęła szpilki z włosów i długo rozczesywała sięgające do ramion pukle barwy miodu. Nie miała lustra, ale udało się jej zaczesać włosy do góry i porządnie upiąć. Wyplukała też zęby i starannie wygładziła wszystkie zagniecenia sukni. Chciała wyglądać jak najlepiej, gdy zjawi się Nicolas.

- Strażnik! - zawołała przez kratkę w drzwiach celi.

Po chwili zjawił się zarośnięty żołnierz w źle dopasowanym, brudnym mundurze.

-Czego? - spytał z irytacją.

-Chcę się widzieć z inspektorem Bourdonem - oświadczyła. - Możecie posłać po niego?

-Po co chcesz się z nim widzieć?

-Mam dla niego wiadomość, która go bardzo zainteresuje - odparła wymijająco. - To pilna sprawa. Muszę rozmówić się z nim bez zwłoki!

Gwardzista spojrział na nią z zaciekawieniem.

-Cóż to za pilna sprawa? Jacqueline pokręciła głową.

-Powiem to tylko inspektorowi Bourdonowi. Strażnik się skrzywił.

-Lepiej nie zwracaj mu głowy! Odwrócił się i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Jacqueline uśmiechnęła się z satysfakcją. Sięgnęła pod spódnicę i wydobyla sztylet. Poglądziła nieomal z czcią zimne, stalowe ostrze, zanim ukryła broń pod poduszką. Potem usiadła na łóżku, by czekać na przybycie Nicolasa.

Za oknem naprzeciwko celi niebo było już całkiem czarne, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Podniosła się z łóżka i stała po ciemku, starając się opanować. Drzwi otwarły się powoli.

Nicolas mrużył oczy, usiłując dojrzeć ją w mroku.

- Przynies tu świece! -warknął.

Gwardzista wrócił spiesźnie z dwuramiennym świecznikiem, który postawił na stole. Dziwny blask żółtych, kopących płomyków padał na wnętrze niewielkiej celi.

-Czy życzycie sobie jeszcze czegoś, inspektorze? - spytał żołnierz.

-Wyjdź stąd i zaczekaj na zewnątrz! - rozkazał Nicolas lakonicznie, rzucając

kapelusz na stół. Wbił ciemne oczy w Jacqueline i wpatrywał się w nią uporczywie. - Mam ważną sprawę do omówienia z tą obywatelką.

Gwardzista wyszedł. Jacqueline nadstawiła ucha. Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły z łoskotem.

Znakomicie!

-A więc, moja słodka Jacqueline, nareszcie jesteśmy znów sami - stwierdził Nicolas cicho, z pogróżką w głosie, mierząc ją oczyma od stóp do głów.

-Zastanawiałam się, czemu wcześniej do mnie nie przyszedłeś - odparła miękko Jacqueline.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Moje obowiązki wobec republiki mają pierwszeństwo nawet przed tobą. Ponieważ oczekujemy na przybycie twojego przyjaciela, żołnierze i wszyscy tutejsi obywatele zostali poinstruowani, że mają każdą podejrzaną osobę przyprowadzić natychmiast do mnie. Niestety, zatrzymano takie mnóstwo mężczyzn i kobiet, że przesłuchanie ich zajęło mi całe dwa dni.

Jacqueline zdobyła się na beztronski śmiech.

-Tracisz czas, Nicolasie - zapewniła. -Już ci mówiłam, że z pewnością nie przybędzie po mnie!

-Uważam, że jesteś w błędzie - stwierdził z niezłomnym przekonaniem. Zaczął bez pośpiechu ściągać rękawiczki. - Zjawi się na pewno, a ja będę gotów na jego przyjęcie.

O nie, Nicolasie! Nie powitasz go. Będziesz już martwy!

Uśmiechnęła się.

Nicolas rzucił rękawiczki na stół i przyjrzał się jej ciekawie.

- Jesteś w niezwykle dobrym humorze. Aż dziw, zważywszy twoją obecną sytuację.

Wzruszyła ramionami, zupełnie jak Philippe.

- Wiem, że moje dni są policzone. Doszłam do wniosku, że powinnam jak najlepiej wykorzystać to, co mi jeszcze pozostało.

Zmarszczył brwi, widać nie trafiło mu to do przekonania.

- Myślisz, że ci uwierzę?

Jacqueline z westchnieniem pokiwała głową.

- Biedny Nicolas! - uzaliła się. - Wiecznie zapracowany. Wiecznie podejrzliwy!

Zaczął rozpinać zakiet.

- Albo zamknięcie w tej celi zmało ci umysł, albo ci się zdaje, że odkryłaś jakiś sposób ucieczki. - Rzucił zakiet na stół. – Zapewniam cię, że tym razem mi nie umkniesz!

Podeszła do niego i od niechcienia odgarnęła mu z czoła kosmyk czarnych włosów. Był to gest tak intymny, że Nicolas nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Kto wie? - szepnęła miękko. - Może tym razem wcale nie chcę umykać?

Spojrzał na nią, jakby jej rozum odjęło. Jacqueline roześmiała się w duchu, zachwycona, że potrafi aż tak go zmylić. Musnęła dłonią jego policzek i przemagając odrazę, powiodła palcem po zabliznionej ranie, którą mu zadała. Już niedługo umrze! - powiedziała sobie i spojrzała mu głęboko w oczy - ciemne, okrutne i niewątpliwie zafascynowane.

Nicolas oderwał jej dłoń od swojej twarzy. Tak mocno ścisnął jej nadgarstek, że krzyknęła z bólu.

- Co ty knujesz, Jacqueline? - warknął.

Przyciągnął ją brutalnie do siebie i objął drugą ręką, więżąc ją w uścisku.

-Niczego nie knuję, Nicolasie - protestowała, starając się opanować lęk.

-Skąd więc nagle ten przyjazny ton? Myślisz, że jestem tak głupi i uwierzę, że ni stąd, ni zowąd mnie zapragnęłaś?

-Nie obchodzi mnie, w co wierzysz, a w co nie.

Wyrwała rękę z jego uścisku i objęła go za szyję. Potem przyciągnęła do siebie jego głowę i przycisnęła mu wargi do ust, tuląc się do niego całym ciałem. Czowała, jak Nicolas się waha, niepewny, czy to nie jakiś podstęp. Jęknęła cichutko, starając się udawać, że pocałunek ten sprawia jej przyjemność, choć musiała walczyć z odrazą.

Nagle ramiona Nicolasa zacisnęły się wokół niej. Zaczął ją całować zaborczo i zachłannie. Brutalnie wodził rękoma po całym jej ciele, by udowodnić, że to on panuje nad sytuacją. Udając, że odwzajemnia jego uczucia, Jacqueline przesunęła się bliżej łóżka. Ścisnął jej piers tak mocno, że zaskomlała z bólu, i wydał zwierzęcy pomruk zadowolenia. Jacqueline pojęła, że to właśnie daje mu rozkosz: nie wzajemna czuła pieśczoć, lecz brutalna przemoc wobec kobiety, która wzdraga się przed jego dotykiem. Poczwała mdłości i dreszcz trwogi przebiegł jej po plecach. To nie potrwa długo! - mówiła sobie w duchu. Chciała przysunąć się jeszcze bliżej łóżka, ale Nicolas chwycił ją za ramiona, obrócił i pchnął brutalnie na ścianę. Szarpnął za dekolt sukni i jednym mocnym pociągnięciem rozdarł jej stanik aż do pasa. Poczwała zimno na obnażonej piersi.

Zaparło jej dech. Próbowwała osłonić się rękoma. Zrozumiała, że traci kontrolę nad biegiem wypadków.

-Nicolas! Ja...

-Milcz! - syknął i schwyciwszy nagą pierś, znowu ją ścisnął. - Myślałaś, że będę łagodny, kiedy cię wreszcie dostanę w swoje ręce? - spytał drwiąco. Pochylił głowę tak, że ich usta prawie się stykały, i wolną ręką zadarł jej spódnicę. -Nie jestem dżentelmenem, Jacqueline. Czyżbyś o tym zapomniała? Właśnie dlatego mnie odrzuciłaś, nie pamiętasz?

Miażdżył jej usta pocałunkami, przyciskał ją do ściany, napierając całym ciałem; jego ręka mocowała się z zapięciem spodni.

Jacqueline z płaczem usiłowała wyrwać się z jego uścisku, ale Nicolas był o wiele silniejszy. Ogarnął ją paniczny strach, gdy poczuła, jak wpycha jej rękę pomiędzy uda. Popelniła straszliwy błąd, a teraz będzie musiała za to zapłacić! W jej głowie zmagaly się wściekły gniew i rozpacz. Odwróciła twarz, zamknęła oczy, usta otwarły się do krzyku...

- Jak widzę, znów przybywam nie w porę.

Nicolas skamieniał, jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę słyszy ten głos.

Serce zabiło jej gwałtownie. Jacqueline otwarła oczy.

Armand opierał się od niechcienia o framugę drzwi. Za jego plecami stał uzbrojony gwardzista. Twarz Czarnego Księcia miała pogodny wyraz, jakby scena rozgrywająca się na jego oczach była właśnie tym, czego się spodziewał. Nie miał tym razem żadnego przebrania. Ubrany był zwyczajnie - w ciemny żakiet, białą koszulę i bryczesy; narzucił na to niezwykle obszerny czarny płaszcz. Popatrzył obojętnie na Jacqueline. Tylko nieznaczne zaciśnięcie szczęk świadczyło o kipiącej w nim furii.

- Lepiej ją puść, Bourdon.

Nicolas prychnął pogardliwie, ale odsunął się od dziewczyny.

Jacqueline jęknęła z bólu, usiłując połączyć rozdarte połówki stanika. W jej sercu szalała burza uczuć: miłość - nagła ulga - przerażenie... Zdawała sobie sprawę z tego, że ani dla niej, ani dla Armanda nie ma już ratunku. Zginą oboje.

- Wygląda na to, St. James, żeś wpadł w moją pułapkę, jak przewidywałem - szydził pełen triumfu Nicolas, poprawiając ubranie.

Armand wzruszył ramionami.

-A ja mam wrażenie, Bourdon, że nie wyleczyłeś się z obsesji na punkcie mademoiselle de Lambert - odparł łagodnie.

-Gdzieś go znalazł? - zwrócił się Nicolas do gwardzisty, ignorując uwagę Armanda.

-Wszedł tu i powiada: „Jestem Czarnym Księciem. Słyszałem, że mnie szukacie” - wyjaśnił żołnierz. - Myśleliśmy, że to wariat, ale upierał się, że musi się z wami

zobaczyć, inspektorze.

Jacqueline patrzyła na Armanda całkiem zbита z tropu. Czemu zrobił coś tak niemądrego?!

-Głupota ludzka jest doprawdy fascynująca - zauważył z rozbawieniem Armand. - Prawie każdego, kto zjawi się w Calais, choćby był dzieckiem czy kobietą, zatrzymuje się i oskarża o to, że jest Czarnym Księciem. A kiedy wchodzę tu i mówię: „to ja!”, nikt nie traktuje mnie poważnie. - Odwrócił się do gwardzisty. - To niemal zniewaga! - oznajmił.

-Nic mnie to nie obchodzi! - warknął niecierpliwie Nicolas. - Zostałeś aresztowany i tylko to się liczy.

Armand zrobił zdziwioną minę.

- Aresztowany? - powtórzył, jakby była to dla niego niespodzianka.

Tym razem uśmiechnął się Nicolas.

- A jak inaczej to nazwiesz? - spytał drwiąco.

- Przybyłem z własnej woli, w nadziei że dojdziemy do porozumienia - odparł Armand.

- Jakiego porozumienia? - zdumiał się Nicolas.

Armand zaczął poprawiać fular.

- To doprawdy bardzo proste. Proponuję uczciwą wymianę: życie za życie. Ofiaruję wam siebie, Czarnego Księcia, w zamian za uwolnienie mademoiselle de Lambert. - Zerknął znad fularu na Nicolasa. -Jeśli chcesz, inspektorze, możesz wymyślić bajeczkę o tym, jak sprytnie zwabiłeś mnie w zasadzkę, i opowiedzieć to swoim kompanom z Komitetu Ocalenia Publicznego. Nie będę protestował - zaproponował wielkodusznie.

Nicolas się roześmiał.

- Powiedz no mi, St. James, czemu ci tak zależy na tym, by Jacqueline żyła?

Armand wzruszył ramionami.

- Nie lubię, żeby mój wysiłek szedł na marne. Nie po to zadałem sobie tyle trudu, by ją wyciągnąć z Conciergerie. - Znowu zwrócił się do gwardzisty. - Szkoda, że nie widziałeś mnie w tym przebraniu. Było fantastyczne! - zapewnił.

- Do rzeczy! Mówiłeś, że... - przerwał niecierpliwie Nicolas.

Armand spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby zapomniał o jego obecności.

-A prawda! No więc, dołożywszy takich starań, nie chciałbym, żeby to wszystko poszło na marne. Zresztą twojemu rządowi, inspektorze, zależy przede wszystkim na

mnie.

-Co za szlachetność! - wycodził sarkastycznie Nicolas. - Niestety, nie jestem zainteresowany tą ofertą. Mam was oboje i nie muszę się z tobą targować. - Skinął na gwardzistę. - Zamknąć go!

Żołnierz tylko popatrzył na niego i nawet nie drgnął.

- Masz go zamknąć, przeklęty durniu! - powtórzył gniewnie Nicolas.

Gwardzista się nie ruszył.

Armand udawał, że ze skupieniem strzepuje jakiś pyłek z płaszcza.

- Musisz mu wybaczyć, inspektorze, że wykazuje tak mało entuzjazmu - westchnął. -

Tak się pechowo składa, że pracuje dla mnie. - Doprowadziwszy płaszcz do porządku, spojrzał na Jacqueline. - Mademoiselle, zechce pani łaskawie opuścić celę - poprosił grzecznie.

Jacqueline zawahała się i spojrzała na gwardzistę. Andrew mrugnął do niej. Nie wierząc własnym oczom, podeszła do łóżka, wyjęła sztylet spod poduszki i chwyciła pelerynę. Rzuciła Nicolasowi ostatnie spojrzenie, pełne nienawiści i wyszła z celi.

-Czyżby zamierzała użyć tego sztyletu przeciwko tobie, inspektorze? - spytał ciekawie Armand.

-Do mnie, gwardziści! - ryknął Nicolas na całe gardło. - Do mnie!

Drzwi frontowe otwarły się i do więzienia wpadło sześciu umundurowanych żołnierzy.

- Aresztować wszystkich troje! - rozkazał wściekły Nicolas. - I trzymać ich pod kluczem!

Żołnierze stali spokojnie.

Nicolasa ogarnął niepokój; spojrzał na Armanda, który pokiwał współczująco głową.

- Niestety, wszyscy pracują dla mnie. Twój ludzie zostali czasowo uwolnieni od swych obowiązków.

- Nie wyjedziesz stąd żywy, St. James! - krzyknął Nicolas.

Armand znowu westchnął.

-Chciałbym powiedzieć, że to spotkanie było dla mnie prawdziwą przyjemnością, inspektorze Bourdon... muszę jednak wyznać, że rozmowy z tobą są nużąco jednostajne. - Odsunął się i skinął na stojącego za nim gwardzistę. - Proszę wybaczyć, ale trzeba będzie cię zwięzać - usprawiedliwiał się, gdy żołnierz wkroczył do celi. - Musimy ci wybić z głowy niemądre pomysły w rodzaju pogoni za nami.

-Dopilnuję, żeby żadne z was nie uszło z życiem! - warknął Nicolas.

Gwardzista zakneblował go jakąś szmatą.

- Zegnaj, inspektorze! - powiedział uprzejmie Armand; gwardzista metodycznie wiązał Bourdona. - Mam nadzieję, że twoi zwierzchnicy okażą dużo zrozumienia, gdy będziesz im wyjaśniał, że dwoje osławionych więźniów znów ci się gdzieś zawieruszyło.

Zatrzasnął drzwi celi i przekręcił klucz w zamku.

Jacqueline stała otumaniona w grupie nędznie odzianych żołnierzy. (Większość z nich byli to członkowie załogi „Angelique”, wraz z Sidneyem). Przyciskała do piersi zwiniętą pelerynę i załzawionymi oczyma patrzyła na Armanda, nie otrząsnąwszy się jeszcze po dramatycznych przejściach.

Podszedł do niej, wyjął jej z rąk okrycie i troskliwie otulił jej ramiona.

- Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu - szepnął miękko. Sztylet, który ścisnęła w rękę, upadł z brzękiem na podłogę. Armand schylił się i go podniósł.

- Posłuchaj uważnie, mademoiselle! - powiedział spokojnym, kojącym głosem, spoglądając w jej załzawione oczy. - Jestem teraz inspektorem Garnierem, zostałem tu przysłany przez Komitet Ocalenia Publicznego wraz z oddziałem żołnierzy, by odstawić cię do Paryża na egzekucję.

Jacqueline kiwnęła głową. Z zewnątrz dochodziły krzyki podekscytowanego tłumu.

- Nie zapominaj, kiedy wyjdziemy na dwór, że jesteś więźniarką, a ja twoim strażnikiem. Musisz zachowywać się zgodnie z tą rolą.

Odchrząknęła, starając się odegnać strach.

- Tak.

Armand spojrzał na nią z aprobatą.

- To dobrze. Przechowam dla ciebie tę zabaweczkę – powiedział i wetknął sztylecik do buta. - Wątpię, żeby ci była potrzebna!

Zatoczył ręką koło i gwardziści natychmiast skupili się wokół niej, tworząc obronny mur. Armand szedł na czele. Otworzył drzwi i wyprowadził groźnie wyglądający oddział na zewnątrz, gdzie czekało na nich kolejnych trzech gwardzistów z tuzinem koni. A także ciżba rozgorączkowanych mężczyzn i kobiet z bronią i pochodniami.

-Co z nią tera będzie? - spytała miejscowa furia z ciężkim pistoletem za pasem.

-Gdzie zabieracie tę sukę? - zaskrzeczała inna.

W blasku pochodni widać było wyraźnie mocno przerzedzone uzębienie.

Jakiś osiłek z zapalem zaciskał muszkiet w usmolonej garści. Miał taką minę, jakby gotów był z niego strzelać bez powodu.

- Gdzie ten drugi inspektor? - huknął.

Dwunastoletni chłopak, z dziecinną buzią wykrzywioną grymasem nienawiści, wrzasnął:

- Najlepiej zatłuc ją od razu, no nie?

Tę sugestię przyjęto z ogólnym entuzjazmem. Armand spokojnie uniósł rękę, nakazując milczenie.

- Jestem inspektor Garnier - powiedział. - Zostałem tu przysłany przez Komitet Ocalenia Publicznego, żeby odebrać więźniarkę od inspektora Bourdona. Zabiorę tę zdradziecką arystokratkę do Paryża, gdzie zapłaci głową za swoje zbrodnie przeciw republice. – Donośny głos brzmiał rozkazująco. - Każdy, kto by nam przeszkadzał w wypełnianiu tego obowiązku, zostanie potraktowany jako zdrajca. – Spojrzał groźnie na tłum, jakby szukał zuchwalca, który ośmieli się sprzeciwić. A potem uniósł wysoko pięść w triumfalnym geście i zawołał: - Wolność, równość, braterstwo albo śmierć!

Tłum odpowiedział dzikim rykiem.

- Na gilotynę! Na gilotynę! Wolność, równość, braterstwo albo śmierć!

Armand dał znak gwardzistom. Zbliżyli się do Jacqueline i podprowadzili ją do wierzchowców. Wsiadła na jednego z nich, żołnierze także skoczyli na koń i otoczyli ją ze wszystkich stron. Armand ruszył przodem i powiodł ich przez ciżbę oberwańców, którzy wrzeszczeli, skakali i wiwatowali, wymachując bronią i pochodniami na widok Jacqueline, prowadzonej pod eskortą na pewną śmierć.

Przez jakieś pół godziny jechali drogą na południe, z Calais do Paryża. Kilku najbardziej zawziętych oberwańców towarzyszyło im aż za miasto, ochryple podśpiewując, ale ponieważ noc była ciemna i zimna, w końcu i oni znużyli się i zawrócili. Kiedy Armand i jego ludzie upewnili się, że nikt już się za nimi nie wlecze, zjechali z paryskiego traktu i skierowali nad morze.

Serce Jacqueline szalało z radosnego oczekiwania, gdy dotarli do plaży. Zsiadła z konia, przymknęła oczy i wdychała głęboko ostre, słone powietrze, czując, jak oczyszcza jej umysł, ciało i duszę. Skrzyżowała ramiona na piersi i wpatrywała się w ciemność, usiłując dostrzec „Angelique”. Nie udało się jej to od razu, ale w końcu zobaczyła statek wdzięcznie kołyszący się na czarnej wodzie kilka kilometrów od brzegu. Westchnęła. Gdy po raz pierwszy go ujrziała, była pełna niechęci, ponieważ statek miał ją zabrać daleko od ojczyzny, którą kochała. Teraz na ten widok jej serce napełniło się radością. „Angelique” przyplłynęła, by zawieźć ją do domu.

Nie, to Armand przybył, by zabrać ją do domu!

Wydawał właśnie rozkazy swoim ludziom, polecając im poprzecinać popręgi, zanim się spłoszy konie, by pogalopowały w noc. Czterech majtków wyciągnęło dużą łódź z za skalnego występu i zepchnęło ją na wodę. Armand podszedł do niej i rozejrzał się dokoła ze zniecierpliwieniem.

- Gdzie, u diabła, jest chłopak? - rzucił z rozdrażnieniem.

Mężczyźni zaczęli rozglądać się po brzegu.

-Powinien tu być - stwierdził John. - Miał zapowiedziane, żeby się nie ruszać i pilnować łodzi!

-Skaranie boskie! - zaklął w bezsilnym gniewie Armand. - Zabierajcie mademoiselle de Lambert i płyńcie na statek, a potem dwóch niech wróci mniejszą łódką po mnie i chłopaka. Ruszać się!

Bez wahania wszyscy zgromadzili się wokół łodzi, gotowi do niej wsiąść. Wszyscy oprócz Jacqueline. Armand podszedł do niej.

-Philippe tu jest? - spytała, mając nadzieję, że nie zrozumiała sytuacji... że zawieruszył się jakiś inny chłopak... i zawstydzila się swego egoizmu.

-Uparł się, że pojedzie ze mną - odparł Armand, przeklinając chwilę, gdy na to przystał. -Aleja go znajdę, Jacqueline. Zaufaj mi!

Kiwnęła głową, ściskając fałdy peleryny.

-Zostanę z tobą i pomogę go szukać.

-Nie ma mowy! - pokręcił głową. - Popłyniesz łodzią na „Angelique” i tam na mnie zaczekasz - oświadczył stanowczo.

Miał zamiar tu zostać... Sam. Przez chwilę ogarnął ją straszny lęk. Może już go szukają?... Tym razem całe miasto dobrze wie, jak wygląda! Lęk przerodził się w trwogę, która całkiem ją paraliżowała.

- Zostanę z tobą - powtórzyła z uporem.

Stał przed nią straszliwie zdenerwowany. Trwonili bezcenne minuty, a przecież prędzej czy później ktoś znajdzie w celi związanego Nicolasa albo gwardzistów, uwięzionych w stodole na przedmieściu Calais. Kiedy ich odkryją, rozpęta się piekło. Nie sposób przewidzieć, kiedy to się stanie - za parę minut czy za kilka godzin. Nie było czasu na spieranie się z Jacqueline, ale nie mógł pozwolić, by została we Francji.

- Odnajdę Philippe'a, Jacqueline - stwierdził zdecydowanie. - Przyrzekam ci to. A teraz wsiadaj do łodzi!

Czy nie rozumiał, że żąda od niej niemożliwości!

Pokręciła przecząco głową.

Westchnął w bezsilnym gniewie i wyciągnął rękę, by ją zataszczyć na łódź. Ku jego zdumieniu Jacqueline wydała okrzyk bezmiernego bólu i rzuciła mu się w ramiona, tuląc twarz do jego piersi i łkając tak rozpaczliwie, jakby jej serce miało pęknąć.

- Nie opuszczaj mnie! - zaklinała łamiącym się głosem. - Jeśli tu zostaniesz, ja też muszę zostać! Proszę, nie każ mi odpływać samej! Ja... ja nie mogę bez ciebie żyć! - Jej łkania były coraz głośniejsze, coraz bardziej rozdzierające. - Kocham cię - szepnęła głosem rwącym się z bólu, tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Stał i trzymał ją w ramionach, zdruzgotany tą nieukrywaną rozpaczą. Wiedział, że Jacqueline go kocha. Wiedział to od chwili, gdy zjawiała się w jego celi w La Force niczym anioł wybawca, gotowa poświęcić życie, byleby tylko on żył. Wiedział o tym - i potraktował tę miłość bez należnego jej szacunku. Wykorzystał ją i opuścił, wmawiając sobie, że od jej miłości ważniejsza jest zemsta. Mylił się jednak. Nie mógł się obejść bez tej miłości, bez Jacqueline. Pragnął jej jak niczego na świecie. Zrobiłby dla niej wszystko, ale nie mógł pozwolić, by znów narażała życie. Gdyby jej się coś stało, chybaby oszalał! Delikatnie ujął ją pod brodę i unióśł zalaną łzami twarz, by spojrzeć w srebrne głębie jej oczu.

- Posłuchaj, Jacqueline - powiedział stanowczo, głaszcząc ją delikatnie po policzku. - Boli mnie twój brak zaufania. Powiedziałem ci, że znajdę chłopca, i na pewno go znajdę. A wtedy wrócę do ciebie, rozumiesz?

Pokręciła głową i przytuliła się jeszcze mocniej do jego piersi.

- Kocham cię, Jacqueline - powiedział głosem ochryplym ze wzruszenia. - Zawsze cię kochałem. Od chwili, gdy ujrzałem twoją miniaturę w gabinecie sir Edwarda, wiedziałem, że jesteś cudowna i niezwykła. Myślałem wówczas, że moje życie jest skończone. Było mi wszystko jedno, czy wyżyję, czy zginę... Ale ty zmieniłaś wszystko. Sprawiałaś, że dostrzegłem coś więcej prócz śmierci i zemsty.

Objął ją mocno ramionami i przytulił twarz do jej włosów.

- Kiedy znikłaś, cały mój świat znów się rozpadł. Pojąłem, że dość mam zmagania z przeklętą rewolucją! Znalazłem coś o wiele cenniejszego od zemsty. Ciebie. Kiedy wrócimy do domu, moja miłość zawsze będzie ci towarzyszyć, Jacqueline. Będę cię strzegł i osłaniał, aż twoje rany się zabliznią... a wówczas oboje pożegnamy raz na zawsze przeszłość.

Zadrżała, odczuwając równocześnie radość i lęk. Nadal tuliła się do niego jak zbłąkane dziecko.

-Ale najpierw musisz mi zaufać - mówił dalej, obejmując jej twarz dłońmi. - I dowód tego zaufania masz wsiąść do łodzi i popłynąć na statek. Nie możesz zostać tu ze mną! Gdyby ci się coś stało, nie byłbym w stanie nic zrobić. Rozumiesz? - mówił

cicho, przekonująco.

-Obiecaj, że do mnie wrócisz - powiedziała z płaczem.

Łzy płynęły jej po twarzy, gdy zmuszała się do spełnienia jego woli. Uśmiechnął się czule.

- Możesz być pewna, że zawsze do ciebie wrócę, Jacqueline! Zawsze.

Nachylił się i przycisnął usta do jej ust. Ich pocałunek był długi, namiętny, rozpaczliwy. On usiłował wzmocnić ją siłą swej miłości, ona pragnęła zatrzymać go jak najdłużej przy sobie. W końcu Armand wypuścił ją z objęć, wziął za rękę i pociągnął w stronę łodzi.

- Sidneyu, dopilnujesz, żeby mademoiselle de Lambert dotarła bezpiecznie na pokład „Angelique”, zanim wrócisz po mnie i po chłopca. Czy to jasne? - powiedział, pomagając Jacqueline przy wsiadaniu.

Sidney spojrzał na niego i odparł z powagą:

- Tak jest, kapitanie.

Armand dał znak głową i majtkowie wzięli się do wiosł, zręcznie kierując ciężką łodzią na wzburzonych falach. Armand stał na brzegu i przyglądał im się przez chwilę. Potem ruszył plażą w stronę drogi, którą przybyli z Calais. Jacqueline, siedząc w łodzi, wpatrywała się w ciemną sylwetkę malejącą w oddali, prosząc w duchu Boga, by czuwał nad nim i pomógł mu odnaleźć Philippe'a.

Nagle pojawił się koń z dwoma jeźdźcami na grzbiecie. Z tętentem kopyt pędził w stronę Armanda i Jacqueline zorientowała się, że jeźdźcem jest Nicolas, trzymający przed sobą Philippe'a - bezbronno go jeńca. Strach ścisnął jej serce. Krzyknęła przeraźliwie. Marynarze przestali wiosłować.

-Zastrzelcie go! - zawołała Jacqueline.

-Nie możemy - odparł bezradnie Sidney. - Osłania się chłopakiem jak tarczą... a zresztą, nasza broń nie doniesie z tej odległości.

Armand bez lęku patrzył na zbliżającego się Nicolasa. Wyciągnął pistolet, ale gdy koń się zbliżył, zobaczył, że inspektor ma w ręku taką samą broń i mierzy z niej prosto w skroń chłopca. Nicolas osadził spienionego wierzchowca w niewielkiej odległości od Armanda i obaj przeciwnicy mierzyli się wzrokiem.

- Daję ci dwie sekundy, St. James. Rzuć broń, bo strzelę chłopakowi prosto w głowę!
- zagroził Nicolas.

Armand nie wahał się ani chwili. Pistolet upadł na piasek.

- Został bez broni! Musimy wracać! - krzyknęła przerażona Jacqueline.

Sidney zwlekał, nie chcąc złamać wyraźnego rozkazu kapitana.

- On ich zabije! - nalegała z sercem pełnym trwogi. – Musimy zawrócić!

Nicolas zobaczył, że łódź pełna uzbrojonych mężczyzn zmienia kurs i płynie do brzegu.

- Jeśli twoi ludzie tu wrócą, znajdą twojego trupa. A ja, cokolwiek by się stało, dopilnuję, by Jacqueline też zginęła.

Powiedział to ze śmiertelną powagą. Armand zwrócił się do swoich ludzi.

- Płynąć z powrotem na statek! - krzyknął ochryple. - Pod żadnym pozorem tu nie wracać!

Łódź zatrzymała się i powoli zawróciła ku „Angelique”.

- A teraz, inspektorze - powiedział Armand ze spokojem – proszę puścić chłopca. Przecież to na mnie polujesz! Z przyjemnością oddam się w twoje ręce, jeśli go puścisz wolno.

Nicolas się uśmiechnął.

- Jak to się dzieje, St. James, że jesteś zawsze taki dobrze wychowany? - wycedził z sarkazmem. - Choćby teraz: za chwilę z tobą skończę, a ty bawisz się w te głupstwa! Czyżby się odzywała połówka arystokratycznej krwi? - spytał zjadliwie.

Armand wzruszył ramionami.

-Nigdy nie uważałem, żeby tytuły czy pochodzenie miały coś wspólnego z kulturalnym zachowaniem. Przeciwnie, tytuły dają poczucie władzy, a władza nieraz czyni człowieka grubiańskim, czego sam jesteś najlepszym dowodem.

-Milcz! - warknął Nicolas. - Nie zapominaj, że to ja mam broń! - Przytknął lufę pistoletu do głowy Philippe'a i obserwował uważnie Armanda, upajając się poczuciem przewagi. -Jesteś taki sam jak księżę de Lambert - szydził. - Zawsze taki grzeczny! Taki kulturalny! Tak dobrze udawał, że uważa mnie za równego sobie, choć w rzeczywistości byłem dla niego czymś w rodzaju tresowanego psa! Takiego, co przyniesie w pysku zdobycz na każde żądanie. O, chętnie korzystał z moich porad, z mego finansowego geniuszu! To ja uratowałem go od ruiny. A w nagrodę przyjmował mnie łaskawie w swoim zamku. To tam zakosztowałem wyszukanych potraw i trunków, poznałem wspaniałe dzieła sztuki. To on rozbudził we mnie zamiłowanie do życia w zbytku, na jaki nie mogłem sobie pozwolić!

-Wybacz, inspektorze - przerwał Armand - skoro byłeś geniuszem finansowym, jak twierdzisz, mogłeś dorobić się fortuny!

-W ciągu całego życia zbiłbym ją pewnie - odciął się Nicolas. - Ale nie miałem od

czego zacząć, a chciałem jak najprędzej prowadzić takie życie, jakie podziwiałem z daleka. Zresztą przed rewolucją pieniądze nie otwierały żadnych drzwi. O, dobrze bronili dostępu do swojego świata!

- I wobec tego postanowiłeś ożenić się z Jacqueline?

Nicolas się uśmiechnął.

- Gdyby została moją żoną, wszystkie pałace stanęłyby przede mną otworem! - odparł. - Pragnąłem jej od pierwszej chwili, choć miała wtedy zaledwie piętnaście lat. Czekałem cierpliwie i widziałem, jak wyrasta na niezwykle ponętą kobietę. Starąłem się być dla niej miły... Chciałem, żeby też mnie szczerze polubiła.

Armand uniósł brwi.

- Niezbyt ci się to powiodło - zauważył.

Nicolas spochmurniał.

- Uważała mnie za kogoś gorszego. Nie wierzyła w równość wszystkich ludzi.

- Czasem człowiek zmienia poglądy, kiedy dorośnie - zauważył Armand, przypominając sobie spory z Jacqueline na początku ich znajomości. - Trudno, żeby dorosła, żyjąc pod kloszem w Château de Lambert!

- Nie mogłem czekać, aż dorośnie - oburzył się Nicolas. - Już i tak zbyt wielu fircyków kręciło się wokół niej. Poszedłem więc do Charles'a-Alexandre'a i poprosiłem o jej rękę.

- Bardzo romantycznie! - zauważył sucho Armand. - Aż dziw, że ci odmówiła!

- Nie miała okazji. Jej ojciec wyśmiał mnie, a potem zaręczył ją z tym tchórzliwym półglówkiem.

- Przynajmniej choć raz jesteśmy tego samego zdania - zgodził się Armand. - De Biret to rzeczywiście tchórzliwy półglówek.

- Wiedziałem, że ją opuści w potrzebie - mówił z pogardą Nicolas. - I byłem wściekły na księcia za to upokorzenie. Załatwiłem mu więc bezpłatny pobyt w Pałacu Luksemburskim.

- Zakończony egzekucją.

- No tak - przyznał Nicolas. - Czasem trudno przewidzieć, jak się sprawy potoczą.

- A potem postarałeś się, żeby aresztowano jej brata, Antoine'a.

- To było konieczne - odparł Nicolas. - Powiedziałem Jacqueline, że gdyby została moją kochanką, zaopiekowałbym się nią i jej rodziną. Lekkością odrzuciła moją ofertę.

- Kto by pomyślał! - zdziwił się Armand. - I w zemście za to podrzuciłeś im

kompromitujące listy i zadenuncjowałeś jej brata, co się skończyło jego uwięzieniem i śmiercią?

-To miał być tylko pokaz mojej siły i wpływów - zaprotestował Nicolas. - Gdyby przystała na moje warunki, postarałbym się, by oczyścili go z zarzutów i zwolnili z więzienia.

-Ale nie przewidziałeś, że Jacqueline też zostanie aresztowana?

-Tak, tego nie przewidziałem - przyznał. - Była zawsze taka opanowana, taka wytworna! Nigdy bym się nie domyślił, że zaatakuje kapitana Gwardii Narodowej!

-Jej brat był chory, a żołnierze znęcali się nad nim - przypomniał Armand. -Ale tego też, oczywiście, nie przewidziałeś.

-Czasem żołnierze lubują się w przemocy - oznajmił niechętnie Nicolas.

- Podobnie jak ich przywódcy.

Nicolas spojrział na niego spode łba.

- Potem skazali ją na śmierć. Odebrali mi ją! Nie mogłem się z tym pogodzić... A gdy wreszcie miałem osiąść to, co od dawna powinno być moje, ty się wmieszałeś! Wykradłeś ją i zniszczyłeś mi karierę. Inspektor Bourdon pozwolił, by wymknęli mu się zdrajczyń i Czarny Książę! Drogo zapłaciłem za ten błąd. Żeby zmyć swą winę, musiałem cię ująć. Ale kiedy mi się to udało, nie zdołałem dowieść tego Komitetowi Ocalenia Publicznego. Dopiero gdy Jacqueline wyciągnęła cię z La Force, w końcu mi uwierzyli. I zapowiedzieli, że albo znów schwytam Czarnego Księcia, albo zostanę oskarżony o zdradę i ścięty.

Poprawił się w siodle, żeby przytrzymać mocniej Philippe'a, który nie spuszczał oczu z Armanda, czekając na jakiś znak.

- Chyba więc rozumiesz, że nie mogę dopuścić do twojej kolejnej ucieczki. Tu chodzi o moje życie! Właśnie dlatego nie zaryzykuję z tobą podróży do Paryża.

- Rozumiem to świetnie - odparł chłodno Armand.

Jacqueline siedziała bez ruchu w łodzi, obserwując z daleka obu mężczyzn. Nie słyszała ani słowa, ale mrok już się rozjaśniał, nadchodził poranek; widziała więc wyraźnie Nicolasa na koniu, trzymającego pistolet przy skroni Philippe'a. I bezbronnego Armanda, stojącego naprzeciw nich.

- Szkoda, że tak się to skończy - zauważył Nicolas z żalem. - Byłbyś niezrównanym szpiegiem, gdybyś się opowiedział po stronie rewolucji.

-Wybacz, niezbyt mi to pochlebia - odparł Armand. Nicolas westchnął.

-Zatem żegnaj, Czarny Książę!

Odjął pistolet od głowy chłopca i wymierzył w Armanda. Z okrzykiem wściekłości

Philippe rzucił się z impetem do tyłu, uderzając Nicolasa w ramię. Obaj spadli z konia na piasek.

-W nogi, monsieur St. James! - zawołał Philippe, zrywając się pospiesznie, i popędził w stronę Armanda.

-Ty przeklęty szczeniaku! - ryknął wściekle Nicolas, mierząc teraz do Philippe'a.

Armand podbiegł do chłopca, chwycił go i zdążył odrzucić na bok w chwili, gdy pistolet wypalił. Echo strzału dotarło przez wodę do łodzi. Z przeciwnej strony dobiegł do Armanda krzyk Jacqueline. Spojrzał na uśmiechniętego triumfalnie Nicolasa. Inspektor nie składał się do ponownego strzału. Armand zmarszczył czoło. Nic nie rozumiał.

I nagle poczuł dziwny ból.

Był to ból palący, a równocześnie lodowaty. Straszliwy, a jakby niezmiernie odległy. Spojrzał z niedowierzaniem na pierś. Gorąca, szkarłatna krew przeciekała przez białą koszulę, plamiła zakiet...

Poczuł zawrót głowy i mdłości. Z ogromnej dali docierały do niego okrzyki Jacqueline. Nicolas się śmiał. Armand usiłował skupić się na tych dźwiękach, ale nogi załamały się pod nim i padł na kolana.

Nicolas szedł ku niemu przez piasek. Jego twarz wyrażała gorzki triumf

- A więc tak ginie słynny Czarny Książę - wycedził szyderczo. - Jaka szkoda. Cóż za haniebna śmierć!

Armand z najwyższym trudem zmusił się do spojrzenia na niego. Przy każdym oddechu pierś przeszywał mu ból. Tak bardzo pragnął położyć się na ziemi... ale tkwił nadal na klęczkach, sztywno wyprostowany. Jeszcze tylko kilka kroków, mówił sobie w duchu, sięgając do buta. No, podejdź bliżej, podły bydlaku! Nicolas znów zbliżył się o krok.

- Nie zwlekaj z tym zbyt długo, St. James! - szydził. - Chcesz, żebym strzelił po raz drugi?

-Dzięki - wykrztusił Armand. -Już mi wystarczy... Nicolas znów postąpił o dwa kroki.

-Na pewno? - spytał sarkastycznie.

Armand poczuł pod palcami lodowato zimną stal. Sztylecik Jacqueline. Z rozpaczliwym postanowieniem wyciągnął go z buta i rzucił prosto do celu.

- O tak - wychrypiął.

Nicolas patrzył osłupiały na sterczącą mu z piersi rękojeść sztyletu. Dotknął jej dłonią i popatrzył na Armanda z niedowierzaniem, jakby podejrzewał, że to jakaś sztuczka.

Potem z jękiem bezsilnej wściekłości upadł twarzą na piasek, wbijając stalowe ostrze głębiej w serce.

Armand wydał pomruk zadowolenia i spróbował wstać. Straszliwy ból przeszył mu całe ciało, odbierając zdolność myślenia. Nogi ostatecznie odmówiły posłuszeństwa i runął na piasek.

- Leż spokojnie! - błagał go Philippe cichym, pełnym napięcia głosem. Pochylił się nad nim i zaczął rozpinąć mu koszulę. – Zaraz zobaczę, co z tą raną...

Armand jęknął i przymknął oczy. Tak mu się chciało pić... Zanim całkowicie pochłonęły go ciemności, usłyszał jeszcze, że gdzieś w oddali Jacqueline znów krzyczy...

- Musimy zawrócić! - zawodziła histerycznie. Oślepiąca łzami czepiała się rozpaczliwie Sidneya. - On żyje! Musimy wrócić po niego i Philippe'a!

- Nie możemy - odparł posępnie Sidney. - Spójrz!

Jacqueline popatrzyła na brzeg i serce w niej zamarło. W łagodnym, popielatoróżowym świetle poranka oddział konnicy pędził po plaży, wprost na Armanda i Philippe'a. Jeźdźców było ponad dwudziestu. Z tyłu za nimi nadciągał tłum mężczyzn i kobiet uzbrojonych w noże, muszkiety i pistolety, wrzeszczących i strzelających w powietrze.

- O mój Boże... - wyszeptała Jacqueline łamiącym się głosem.

- Powrót byłby samobójstwem - stwierdził Sidney. - Gdybyśmy dotarli do brzegu, pewnie zdołalibyśmy kilku ukatrupić... Ale w łodzi stanowimy dla nich łatwy cel. Powystrzelaliby nas co do jednego! Nie mogę pozwolić na to, mademoiselle! Armand nigdy by mi tego nie wybaczył. Mam rozkaz odstawić panią bezpiecznie na statek, a potem do Anglii.

-Przecież nie możemy ich tak zostawić! - protestowała Jacqueline, zalewając się łzami.

Sidney zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

- Nie mamy wyboru.

Rozkazał swoim ludziom wiosłować w stronę statku. Ruszyli przez spienione fale w śmiertelnej ciszy.

Serce Jacqueline pękło na tysiąc odłamków, umysł był sparalizowany bólem. W odrętwieniu patrzyła, jak Philippe wstał, by stawić czoła gwardzistom, którzy zatrzymali się wokół dwóch nieruchomych ciał - Armanda i Nicolasa.

Rozdział 18

Widzisz tę pękatą chmurkę, o tam? To zaczarowana karooca, która sfrunie z nieba, żeby zawieźć mnie na mój pierwszy bal - opowiadała Suzanne z rozmarzeniem młodszej siostrzyczce. - Ubiorę się w suknię naszywaną brylantami, a w moich lokach będą błyszczały szafiry i rubiny...

Seraphine zrobiła sceptyczną minę.

- Mówię prawdę! - zaperzyła się Suzanne. - Włożę pantofelki ze szczerego złota i będę miała wachlarz z koronek naszywanych perłami...

Seraphine spojrzała na siostrę zadumany wzrokiem, jakby usiłowała wyobrazić ją sobie w takim stroju.

- I spotkam pięknego księcia - opowiadała dalej Suzanne - odzianego od stóp do głów w srebro, a on poprosi, żebym została jego żoną. Od razu, gdy tylko mnie zobaczy! I zabierze mnie do swego srebrnego zamku, gdzie nigdy nic złego się nie dzieje. - Położyła się na wznak na nagrzanym słońcem trawie, wpatrzona w chmury. - Wszystko to wydarzy się, jak będę trochę starsza, zobaczysz! - Przymknęła oczy, wyobrażając sobie swoją balową toaletę. - Jacqueline, ile miałaś lat, kiedy pojechałaś na pierwszy bal?

Do wpatrującej się w przestrzeń Jacqueline dotarło, że siostra coś do niej mówi.

-Pytam o twój pierwszy bal - powtórzyła Suzanne. - Ile miałaś wtedy lat?

-Nie pamiętam - odparła niezbyt przytomnie.

-A kiedy byłaś pierwszy raz w teatrze? - nie ustępowała Suzanne.

Jacqueline znów zapatrzyła się w przestrzeń.

-Już zapomniałam.

- Miałaś wtedy czternaście lat, a Antoine piętnaście... - Suzanne usiłowała odświeżyć pamięć siostry. - I papa zabrał was do Paryża na przedstawienie w Comedie-Francaise, a potem jedliście ostrygi i piliście szampana...

Jacqueline zastanowiła się przez chwilę.

-Rzeczywiście - przytaknęła w końcu. Jakie to było odległe i nieciekawe...

-To musiało być cudowne! -westchnęła Suzanne.

-Nie pamiętam.

- Na pewno pamiętasz! - obruszyła się Suzanne. - Tyle razy mi o tym opowiadałaś! - Wsparła się na łokciu i popatrzyła na starszą siostrę z bardzo poważną miną. - Opowiedz mi

jeszcze raz o swojej sukni!

Jacqueline westchnęła. Wiedziała, że siostra usiłuje skłonić ją do mówienia, wyrwać z posępnej zadumy, w której była pogrążona od sześciu tygodni. Ona jednak nie chciała z nikim rozmawiać ani o niczym myśleć. Nie wyszłaby nawet do ogrodu w ten piękny, wiosenny dzień, gdyby lady Harrington nie zagroziła, że każe ją wynieść z pokoju, choćby siłą, jeśli nie opuści go z własnej woli.

-Była cała ze srebra i złota - podpowiadała Suzanne. - Ze stanikiem wyszywanym perłami i szafirami...

-Istotnie - potwierdziła Jacqueline bez entuzjazmu.

-A włosy miałaś upięte tak wysoko, że musiałaś schylać głowę przy wsiadaniu i wysiadaniu z powozu.

-Tak.

Suzanne urwała i zmarszczyła brwi.

- Damy już się tak nie czeszą - zauważyła. - To niemodne!

Jacqueline popatrzyła na siostrzyczkę. Miała na sobie luźną zieloną sukienkę z podwyższonym stanem, obrzeżoną kremową koronką i przewiazaną kremową atłasową szarfą. Złote jak słońce włosy były uczesane w długie anglezy i ozdobione jasnozielonymi wstążkami. Dziewczynka wyglądała niezwykle uroczo. Ciekawe, czy to sukienka według najnowszej angielskiej mody? Nie ulegało wątpliwości, że stroje miały dla Suzanne ogromne znaczenie. Dawno, dawno temu, pomyślała Jacqueline, ja też się tak przejmowałam modą.

-Lady Harrington powiada, że jestem za młoda, by chodzić do teatru - pożaliła się Suzanne. - A ty co o tym sądzisz?

-Zgadzam się z nią.

-Aleja mam już prawie jedenaście lat! - podkreśliła dziewczynka. - Tylko o trzy mniej niż ty miałaś wtedy... a poza tym jestem całkiem dorosła!

-Nie na tyle dorosła, żeby bywać w teatrze.

-To niesprawiedliwe! - oświadczyła Suzanne i opadła znów na trawę. - Ten czas tak się strasznie wlecze...

Jacqueline odwróciła wzrok.

...A każda chwila rani! - dodała w duchu.

Sześć tygodni. Tyle właśnie czasu upłynęło od tamtej strasznej nocy w Calais. W gruncie rzeczy nie tak dużo. Pewnie dlatego jej ból wcale nie zmalął. Wiedziała, że kiedyś minie, a przynajmniej osłabnie. Musi tak być, bo inaczej oszaleje!

Po odwiezieniu jej bezpiecznie do domu, marynarze „Angelique” chcieli jak

najprędzej wrócić do Francji. Pogoda jednak była fatalna, a morze tak wzburzone, że o przepłynięciu kanału La Manche nie mogło być mowy. Musieli czekać całe dwa dni! Kiedy w końcu dotarli do Francji, wysłano kilku marynarzy do miasta, by zasięgnęli języka u mieszkańców Calais i rozpytali się o losy „inspektora Garniera”. Wszyscy dowiedzieli się tego samego: inspektor Garnier został zabity na plaży, a Czarny Księżę i jego banda odpłynęli, zabierając ze sobą zdrażczynię. O chłopcu, który pozostał przy zwłokach, nikt nie wiedział. Tak więc wrócili do Anglii pogrążeni w rozpacz, a Sidney przekazał tragiczną wieść Jacqueline.

Z początku mu nie uwierzyła. Przekonywała go, że marynarze są w błędzie. Armand z pewnością żyje. Musi żyć, bo ona czuje, że się uratował! Sidney nie sprzeczał się z nią. Pokręcił tylko głową i spojrzął na nią wzrokiem pełnym współczucia i bólu. To absolutne przekonanie o śmierci Armanda w końcu zabiło w niej nadzieję. Zaczęła tak rozpaczliwie płakać, że lady Harrington musiała wezwać doktora, by dał Jacqueline środki uspokajające. Przez trzy dni leżała w łóżku, pogrążona w głębokim narkotycznym śnie. Śnił się jej Armand; przeżywała bez końca przerażającą scenę na plaży. Nie mogła wyzwolić się z tego koszmaru, gdyż zbyt silne leki uniemożliwiały nagły powrót do przytomności. W końcu odmówiła zażywania ich. Wówczas okazało się wprawdzie, że o zaśnięciu nie ma mowy, ale wspomnienie tragicznych wydarzeń nadal ją prześladowuje.

Prawie nie opuszczała swego pokoju. Nie miała apetytu. Nie chciała z nikim rozmawiać ani się spotykać. Zdawała sobie sprawę, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie. Choćby ze względu na siostry będzie musiała przemóc się i pogodzić z losem, nie miała jednak pojęcia, jak tego dokonać. Jej serce było raz na zawsze złamane, a ból tak gwałtowny, że chwilami miała wrażenie, iż go nie wytrzyma.

Seraphine również cierpiała. Choć dziewczynka nadal nic nie mówiła, widać było, jak bardzo jej brak Philippe'a. Jacqueline oznajmiła siostrzyczkom, że chłopiec wyjechał na jakiś czas. Pragnęła zapewnić Seraphine, że Philippe wróci, ale doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić. Nic dobrego by nie wynikło z kolejnej niespełnionej obietnicy. Z ulgą dowiedziała się, że nikt z marynarzy nie słyszał nic o aresztowaniu chłopca ani o tym, że spotkało go coś złego. Pocieszała się więc myślą, że zapewne udało mu się uciec. W jej sercu tliła się nadzieja, że Philippe zdoła do nich powrócić.

Harringtonowie byli cierpliwi i pełni zrozumienia. Obojgiem naprawdę wstrząsnęła wieść o śmierci Armanda. Nawet Laura wyglądała na przygnębioną, choć -jak podejrzewała Jacqueline - raczej z powodu straty konkurenta niż z głębokiej miłości do Armanda.

Madeleine, jego siostra, była zrozpaczona. Odwiedziła Jacqueline mniej więcej w

tydzień po otrzymaniu tragicznej wieści. Obie kobiety tuliły się do siebie i płakały rozpaczliwie. Odczuwały jednak pewną pociechę w opłakiwaniu Armanda razem z kimś, kto kochał go równie głęboko.

-Kiedy dorosnę, będę ciągle chodziła do teatru! - oświadczyła Suzanne z przekonaniem. - Kto wie? Może nawet zostanę aktorką? Przechadzałabym się po scenie w pięknej sukni, a setki widzów oczarowanych będą biły mi brawo... To byłoby wspaniałe, prawda?

-Czyja wiem? - odparła apatycznie Jacqueline. - Pewnie tak...

Suzanne położyła się na trawie obok Seraphine i wróciła do obserwowania chmur. Przez chwilę w ogrodzie panowała cisza, jeśli nie liczyć słodkich ptasich treli i cichego poszumy wiatru wśród traw i kwiatów. Jacqueline siedziała na krześle, patrząc pustym wzrokiem na otaczające ją piękno, gorzko powątpiewając, czy jeszcze będzie kiedyś zdolna do odczuwania radości z jakiegokolwiek powodu. Nie wierzyła w to. Ból, który teraz ją dręczył, zapewne osłabnie, ale pustka, jaką pozostawił po sobie Armand, nigdy się nie zapelni.

Nagle Seraphine usiadła prosto i zaczęła wpatrywać się w dom.

- Co się stało, Seraphine? ~ spytała Suzanne.

Dziewczynka zdawała się nie słyszeć siostry. Nadal siedziała nieruchomo, pełna napięcia, jakby na coś czekała.

Jacqueline spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Usłyszałaś coś, kochanie?

Żadna z sióstr nie oczekiwała odpowiedzi, ale Seraphine potrafiła wiele wyrazić na migi. Można się więc było spodziewać przynajmniej kiwnięcia lub pokręcenia głową. Seraphine zignorowała jednak pytanie Jacqueline. Ciało dziewczynki stężało, twarz pobladła, jakby skupiła się na czymś, wyczerpując wszystkie siły.

Jacqueline zmarszczyła brwi.

- Czyś ty nie chora, Seraphine? - spytała z niepokojem.

Szare oczka Seraphine były nadal utkwione w domu.

- Pewnie usłyszała coś dziwnego - powiedziała Suzanne. - Może jakieś kociątko gdzieś miauczy? Ona ma doskonały słuch!

Jacqueline spojrzała na dziewczynkę ze zdziwieniem.

-Skąd wiesz?

-Zawsze wie wcześniej, że ktoś idzie - wyjaśniła Suzanne. - Czasem jak się bawimy

w dzieciennym pokoju, Seraphine nagle rzuca wszystko i patrzy w drzwi, jakby zaraz miał ktoś wejść. Ja też nasłuchuję i nic nie słyszę. Ale zawsze po minucie czy dwóch ktoś wchodzi! Zupełnie jakby czuła, że jest coraz bliżej i bliżej - dodała ściszym głosem.

-Niemożliwe! - zbagatelizowała sprawę Jacqueline. - Prawdopodobnie słyszy lepiej od ciebie, bo nigdy się nie odzywa, tylko przez cały czas nadstawia ucha.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na ich rozmowę, Seraphine nadal patrzyła na dom. Ręce zacisnęła na kępkach trawy, oddech niemal zamarł. Całe ciało zastygło w bezruchu, jakby dziewczynka przemieniła się w marmurowy posąg. I nagle zerwała się i popędziła przez trawnik w stronę domu.

- Dokąd tak pędzisz, Seraphine? - wołała za nią Jacqueline, ale dziecko zdawało się nie słyszeć, niemal polatując nad trawą. - Suzanne, pobiegnij za nią i uważaj, żeby się jej nie stało!

Suzanne wstała, strzepnęła trawę z sukienki i popędziła za siostrą. Jacqueline spoglądała za nimi. Seraphine wpadła do domu pierwsza, Suzanne tuż za nią.

Jacqueline westchnęła. Jakie one jeszcze małe! Ze względu na nie musi otrząsnąć się z rozpaczy. A to wcale nie było proste. Próbowала sobie wmówić, że wyjdzie z tego. Jest przecież silna. Nieraz już znosiła ból po stracie najbliższych i zawsze jakoś dochodziła do siebie.

Tym razem jednak było to coś innego. Armand ucieleśniał jej nadzieję na nowe życie. Wydarł ją z cienia śmierci, pomógł zabić ranom. Udowodnił, że nie wszystkie światła na ziemi pogasły, potrafił ją rozweselić. Nauczył ją miłości. I zawsze do niej wracał!

Z wyjątkiem tego ostatniego razu.

Zamknęła oczy, walcząc ze łzami. Próbowала się skupić na śpiewie ptaków, ciepłe słońca na twarzy... Oddychała głęboko, ścisła w rękę fałdy sukni. Mówiła sobie: nie wolno ci płakać! Ale twarz Armanda stała jej wciąż przed oczyma: to uśmiechnięta, to poważna, to znów doskonale obojętna, maskująca wszelkie uczucia... Wspomnienia o nim były takie cenne, takie cudowne... a równocześnie tak bolesne, że nie mogła się już opanować. Gorąca łza wymknęła się spod powieki i toczyła po policzku, a za nią druga, i jeszcze jedna, aż wreszcie dwa nieprzerwane strumienie płynęły jej po twarzy.

- Jacqueline...

Ktoś wymówił jej imię powoli, z zachwytem, jakby to była najwspanialsza fraza muzyczna. Serce zabiło jej gwałtownie i zamarło. Złękła się, że traci rozum, i powoli otworzyła oczy.

Stał przed nią Armand, wysoki, potężny i jak najbardziej żywy! Oczy miał pełne czułości, uśmiechał się i wyciągał do niej ramiona. Nie mogąc w to jeszcze uwierzyć, rzuciła się w jego objęcia, oślepiona palącymi łzami. Otoczyła mu szyję ramionami i przytuliła się mocno, pragnąc być jak najbliżej niego i czuć go przy sobie - prawdziwego, żywego! Podążyła mu ustami, obawiając się, że to tylko sen, wytwór jej imaginacji, który zniknie lada chwila. Poczuli jego wargi na swoich - ciepłe, mocne i żarliwe. Ramiona Armanda ścisnęły ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

Zanurzyła rękę w jego miedzianozłoty, długich włosach i trzymała z całej siły, smakowała, dotykała i cichutko popłakiwała ze szczęścia. Czuli, że odżywa jej nadzieja i radość życia, by wraz z miłością śpiewać i pulsować w jej żyłach.

Armand obejmował ją z całej siły, przysięgając sobie, że już nigdy jej nie opuści. Usta Jacqueline były takie słodkie i chłodne, otaczała ją woń równie delikatna i aromatyczna, jak zapach ogrodu różanego. Tulił ją mocno, a wodząc dłońmi po subtelnych okrągłościach jej smukłej postaci, uświadamiał sobie, że Jacqueline zeszczipiała. Mógłby tak stać przy niej, pieścić ją i całować choćby przez sto lat i jeszcze nie miałby dosyć. Była całym jego życiem. Poza nią nie miał nic na świecie.

Jacqueline przywarła do niego i płakała gorącymi łzami radości. Armand przytulił policzek do jej włosów i uspokajająco głaskał ją po plecach.

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham? - spytał wzruszonym szeptem.

Przytuliła twarz do jego piersi i pokręciła głową.

- Tylko myśl o tobie sprawiała, że walczyłem o życie - powiedział cicho. - Musiałem żyć, żeby nie ominęło mnie coś najwspanialszego w świecie: wspólna przyszłość razem z tobą.

Uniosła ku niemu splakaną twarz i zdobyła się na drżący uśmiech. Gładził koniuszkami palców jej jedwabiste, wilgotne policzki.

- Myślałam, że Nicolas cię zabił - szepnęła rwącym się ze wzruszenia głosem.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Przez chwilę i ja tak myślałem - odparł żartobliwie. - Ale Philippe był pewien, że to nieprawda i uparł się, że mnie uratuje.

- Philippe jest tu razem z tobą? - spytała z sercem pełnym radości.

Armand kiwnął głową.

- Straciłem przytomność akurat wtedy, gdy przybył kolejny oddział Gwardii Narodowej, a z nim spora grupa wojowniczo nastawionych mieszkańców Calais, którzy mieli ochotę pokosztować tej nocy czyjejs krwi. No cóż: na ziemi leżał Bourdon ze sztyletem w

piersi i ja, zastrzelony z pistoletu. A w łodzi odpływała duża grupa umundurowanych obrońców rewolucji z arystokratyczną więźniarką. Philippe niezwłocznie poinformował nowo przybyłych, że inspektor Garnier został napadnięty przez rzekomych gwardzistów, którzy w rzeczywistości byli na usługach Czarnego Księcia i jego przyjaciół kontrewolucjonistów. Utrzymywał, że Nicolas pomagał im ze względu na uczucie do ciebie, tak silne, że pozwolił swych lojalnych podkomendnych usunąć siłą z wyznaczonych im posterunków. Philippe zapewniał, że jeśli nowo przybyli gwardziści zasięgną języka w Komitecie Ocalenia Publicznego, przekonają się, że inspektor Bourdon już kilkakrotnie pozwolił, byś wyslizgnęła mu się z rąk, i że był podejrzewany o rojalistyczne sympatie. Kiedy zaś ja, dzielny inspektor Garnier, chciałem powstrzymać Czarnego Księcia od wywiezienia cię do Anglii, Nicolas strzelił do mnie, ja zaś zrewanżowałem mu się ciosem zadany sztyletem.

Jacqueline popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Philippe im to powiedział?

Armand się uśmiechnął.

- Ten chłopak ma wyjątkową zdolność do błyskawicznej improwizacji w krytycznym położeniu.

Jacqueline przypomniała sobie, że już pierwszego dnia znajomości Philippe ocalił ją od aresztowania bajeczką o wdowie, roznoszącej zarazę.

-Chyba dzięki temu zdołał w trudnych czasach przeżyć na ulicach Paryża - szepnęła w zadumie.

-Philippe wiedział, że jestem ciężko ranny i będę leżał bez ruchu przez jakiś czas - mówił dalej Armand. - Lękał się też, że kapitan Gwardii Narodowej odkryje, iż nic nikomu nie wiadomo o żadnym inspektorze Garnier. Przekonał więc kapitana, że tylko ja widziałem Czarnego Księcia bez przebrania i wobec tego wieść o moim ocaleniu musi pozostać absolutnym sekretem, dopóki nie znajdę się bezpiecznie w Paryżu. Zapewnił go, że Czarny Książę z całą pewnością mnie zamorduje, jeśli dowie się, że żyję.

W oczach Jacqueline pojawił się cień bólu.

-To dlatego twoim ludziom powiedziano, że zginąłeś!

-Obawiam się, że tak - odparł przeproszającym tonem. -Wszystkim nakazano trzymać gęby na kłódkę dla dobra republiki! Kto by tego nie posłuchał, miał zostać aresztowany.

- Ale kto się tobą opiekował? - dopytywała się Jacqueline.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

-Przewieziono mnie do niewielkiego gospodarstwa w pobliżu Calais i kazano gospodyni, żeby mnie doglądała. Philippe nie odstępował mnie ani na krok. Rana, niestety, okazała się poważna i byłem bardzo chory, co uniemożliwiło nam ucieczkę. Po dwóch tygodniach poczułem się lepiej i mogłem już podnieść się z łóżka. Philippe zaczął regularnie chodzić na brzeg. Wypatrywał „Angelique” każdej nocy, ale jej nie zobaczył.

-Nic dziwnego! Gdy tylko Sidney z marynarzami odwiózł mnie do Anglii, zawrócili do Francji i usłyszeli, że nie żyjesz. Przez kilka dni starali się dowiedzieć czegoś więcej, ale ponieważ wszyscy powtarzali im to samo, postanowili wreszcie pożeglować do domu.

Armand wzruszył ramionami.

- Rekonwalescencja trwała dobrych kilka tygodni. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że na „Angelique” nie ma co liczyć, postanowiłem znaleźć inną drogę ucieczki. Byliśmy jednak wciąż pilnowani. Nasz kapitan Gwardii Narodowej nie spuszczał ze mnie oka, bojąc się, że ktoś wyrządzi mi krzywdę. Dopiero kilka dni temu zdołaliśmy się wymknąć w nocy i ruszyliśmy na wschód, do granicy z Austrią. Kiedy ją szczęśliwie przekroczyliśmy, udało nam się zapewnić sobie miejsce na statku.

Jacqueline objęła go mocniej i serce wezbrało jej szczęściem. Obaj byli zdrowi i cali! Obaj wrócili do domu!

- Gdzie jest teraz Philippe?

Armand się uśmiechnął.

- Obawiam się, że Seraphine zaczęła się na niego i zagarnęła w posiadanie. Pewnie dlatego jeszcze nie przybiegł tu, by przywitać się z tobą.

Jacqueline przypomniała sobie, jak jej siostrzyczka nagle zerwała się i pobiegła do domu. Nie mogła z tej odległości usłyszeć kroków czy głosów Armanda i Philippe'a, a jednak coś kazało jej popędzić na ich spotkanie!... Jacqueline patrzyła w zdumieniu na rozległą przestrzeń trawnika.

- Czy coś się stało?

Odwróciła się i uśmiechnęła.

- Nie! - zapewniła. Wspięła się na palce i jej usta znalazły się tuż obok jego ust.

-Wszystko jest w jak najlepszym porządku!

Przyciągnął ją do siebie i ucałował jej wargi. Były słodkie jak miód, a jej ciało delikatnie zaokrąglone i ciepłe. Subtelna woń kwiatów, która ją otaczała, rozplómiła jego

pożądanie.

- Jacqueline - wymamrotał ochryple, odrywając się od jej ust, by całować oczy, policzki, szyję.

Zanurzył palce w jej jedwabistych włosach; a gdy wyciągnął z nich szpilki, opadły w nieładzie na ramiona. Przytuliła się do niego całym ciałem, pojękując cicho. Uniósł dłoń i pieścił wypukłość jej piersi. Oboje zapomnieli, że czas upływa, a oni stoją w biały dzień pośrodku ogrodu, na oczach wszystkich.

- Jacqueline! - zawołał jakiś głos z oddali.

Odsunęła się nieco, bo w głowie jej się kręciło, i starała się odzyskać panowanie nad sobą. Turkusowe oczy Armanda płonęły namiętnością i pożądaniem. Przepelniona radością - po raz pierwszy od wielu tygodni - przechyliła głowę i posłała mu palący, przekorny uśmiech.

Armand aż jęknął.

Oboje odwrócili się i ujrzeli Philippe'a idącego po trawniku od strony domu. Seraphine ścisnęła go za rękę tak mocno, jakby już nigdy nie chciała go puścić. Suzanne szła z drugiej strony, paplając z podnieceniem i zasypując go pytaniami. Philippe spojrzał na Jacqueline i pomachał jej ręką.

Odpowiedziała mu tym samym gestem i ruszyła im na spotkanie.

- Jacqueline! - Armand chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Mam ci coś do powiedzenia. - Spojrzał niespokojnie na nadchodzące dzieci i znowu na nią. - Zanim cię spotkałem - mówił spiesznie - popełniłem wiele błędów, choć może część z nich odpokutowałem, ratując innych z narażeniem własnego życia...

Jacqueline dotknęła delikatnie dłonią jego policzka.

- Armandzie, to naprawdę nie była twoja wina, że zginęły - powiedziała stanowczo.

Spojrzał na nią niepewnie.

- Może... - przyznał. - Nie byłem jednak dobrym mężem ani ojcem. Ale teraz, jeśli dasz mi szansę, postaram się stworzyć naprawdę szczęśliwy dom dla Suzanne, Seraphine i Philippe'a. Będę ich kochał jak własne dzieci i nie pozwolę, by stała się im jakaś krzywda. - Otarł palcem łzę spływającą jej po policzku. - Wyjdź za mnie, Jacqueline - szepnął. - Wyjdź za mnie, a przez resztę życia będę starał się dowieść, jak bardzo kocham ciebie, naszą rodzinę i nasze wspólne nowe życie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego. Nic jej nie obchodziło, że cały świat się dowie, jak bardzo kocha Armanda!

- Tak! - szepnęła radośnie, a serce omal nie pękło jej ze szczęścia. - Tak!

Objął ją i pocałował namiętnie. Jak przez mgłę dobiegał go wesoły śmiech nowej

rodziny.